

Joanna Kusy

B
I
E
G
U
N
Y

Zwyczajne
pakistańskie
życie

 PWN

Joanna Kusy

**Zwyczajne
pakistańskie życie**

 PWN

Copyright © by Dom Wydawniczy PWN Sp. z o.o., 2015

Grupa Wydawnicza PWN
ul. Gottlieba Daimlera 2
02-460 Warszawa
tel. 22 695 45 55
www.dwpwn.pl

Copyright © for the text by Joanna Kusy, 2015

Redaktor prowadzący: Marcin Kicki

Redakcja: Redaktornia.com

Korekta: Olga Gorczyca-Popławska

Konsultacja lingwistyczna: dr Krzysztof Iwanek

Projekt graficzny okładek do serii Bieguny: Przemek Dębowski

Opracowanie okładki: Ewa Modlińska

Zdjęcia na okładce: Javed Iqbal

Pozostałe zdjęcia: Waqar Ashraf

Przygotowanie wersji elektronicznej: Ewa Modlińska

Skład wersji elektronicznej na zlecenie Domu Wydawniczego PWN: Aleksandra Łapińska

ISBN 978-83-7705-909-8 (e-book)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza publikacja ani jej żadna część nie może być kopiowana, zwielokrotniana i rozpowszechniana w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty. Szanujmy cudzą własność i prawo. Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki

SPIS TREŚCI

Nazywam się Asia

Pakistan: *tremendum* i *fascinans*

Na początku jesteś gościem

Mieszkanie

Jak pięść do nosa

Rodzice i dzieci

Singielki

Być piękną w pakistańskim stylu

Zdrowie

Dastarkhan

Mieszkać w Karaczi

Samandar

Muzułmanie

Masihi

Moja żona pisze książkę

*Pamięci mojego Dziadzia,
który dostrzegł nasze podobieństwo*

Rodzicom i Wasimowi

Nazywam się Asia

W 2006 roku poważnie zachorowałam. Po chorobie musiałam wrócić do życia. Skończyć studia, wyjść z toksycznego związku. Było trudno.

Wydawało mi się, że internet pomoże przy „miękkim” przejściu do świata żywych. To przecież też świat, ale za ekranem, i daje wrażenie sprawczości – zawsze można przerwać połączenie. Zaczęłam pisać blog. Założyłam profil na Naszej Klasie.

Mojego męża spotkałam więc w przełomowym okresie życia. Poznaliśmy się na stronie FanBox, która rozsyłała automatyczne zaproszenia. Zapisalam się i umieściłam swoje zdjęcie. Co Wasim tam robił, nie wiem. Nie wiem, czy istniało już Badoo, na którym mnóstwo Polek spotyka dziś ukochanych z egzotycznych krajów, a Facebook nie miał wtedy takiej władzy nad światem. Rezultat założenia konta na FanBoxie mnie przytłoczył. Otworzyły się dziesiątki okienek z krajów, o których nigdy nie myślałam. Nie wiedziałam, ile ryzykuję. Internetowe związki z panami z dalekich stron to igranie z ogniem, czego – im więcej znam takich historii, tym bardziej jestem pewna – nie poleciałabym żadnej kobiecie. Zanotowałam adres Wasima.

Strona FanBox nie przetrwała próby czasu. Przeistoczyła się w koszmarne portal naciągaczy.

Wasim, który wysłał mi piękne fotografie i list, na początku wydawał się wariatem. Na widok mojego zdjęcia poczuł, że to na mnie czekał całe życie – twierdził. On zaś wie, co mówi, i akurat w takich sprawach się nie myli. Nasz ślub może być jutro, jeśli chcę, albo kiedy tylko będę miała ochotę. Ha, ha, ale ściemnia, myślałam. Jednak im więcej tematów poruszaliśmy, tym częściej czułam, że jeśli mówi to, co myśli, to jest ostoją normalności w szalonym świecie dziwacznych ulotnych związków.

Jeśli.

A jeśli nie?

A jeśli to szpieg? Wizowiec? Manipulator?

Nie chciał wizy.

– Po co mi wiza do Polski? – pytał, wystawiając na próbę moje poczucie narodowej dumy. – Gdybym chciał pojechać na Zachód, to już bym wyjechał.

Gdy bombardowałam go swoimi lękami, nie zaprzeczał. Nie odstraszyła go moja historia, którą przedstawiłam uczciwie od A do Z. Że nigdy nie chciałam wyjść za mąż i że może się przeliczyć, jeśli chce ze mną mieć synów, bo niedawno byłam poważnie chora.

– Nie ograniczaj Boga. Bóg wie lepiej niż ty – pisał. – Nie będzie, to nie będzie. Ale sama zobaczysz. Najwyżej ludzie będą nas nazywali „dziwna para”. Co z tego?

Nie odstraszyła go również różnica religii. Jestem przecież kobietą Księgi. Ani to, że zażądałam zerwania z reiki, jeśli chce ze mną być. Zerwał, po prostu. Był nieugięty. Chciał mieszkać ze mną w Karaczi. Opowiadał mi swoją historię, dużo trudniejszą niż moja, pełną prawdziwych dramatów rodzinnych. Musi być bardzo odpowiedzialny, pomyślałam. Niesamowicie podobał mi się sposób, w jaki myślał. Pracował w miejscu, które budziło zaufanie.

W końcu zaprosiłam go do Polski. Niech go zobaczę. Niech pozna moich rodziców.

O polską wizę było trudno.

– Zadzwoń do kolegi w ambasadzie Szwajcarii. Nie widziałem go dwanaście lat. „Słuchaj, Hussein. Potrzebuję wizy do Polski. Nie mam teraz czasu się z tobą spotkać, bo muszę jechać!”

I dostał. Na dwa tygodnie. Przyjechał do Polski przez Szwajcarię. Była sroga zima, o której potem opowiadał siostrom:

– Wiecie, jak wygląda śnieg? Wspaniale! To tysiące małych białych miękkich wirujących zimnych cząsteczek!

Jak w bajkach, gdzie po żonę jedzie się przez góry, lasy, pola, morza, równiny i tysiąc królestw.

Patrzyłam na mapę, jakie to królestwa mija po drodze, i czułam grozę.

Indie nigdy mnie nie kusiły. Ani kraje muzułmańskie. Ani nic typowo

„egzotycznego”. Wystarczająco dużo fascynującej obcości miałam bliżej, pociągało mnie szukanie jej w tym, co bliskie i zwyczajne. Nie cierpię zapachu kadzidełek, przy woni ittaru[1] się duszę, nie lubię henny na rękach. Do tej pory nie obejrzałam ani jednego bollywoodzkiego filmu w całości. Dodatkowo odstraszała mnie konieczność posługiwania się językiem angielskim, którego musiałam się uczyć, jak każdy, ale bez sympatii. Że też na mnie trafiło.

W czasie studiów miałam zajęcia „z Pakistanu” i świadomie nie poświęcałam im dużo czasu. Było mnóstwo innej, potrzebniejszej wiedzy do przyswojenia. Gdybym wiedziała, jaki błąd robię!

Pakistan? Kurz, brud, tłok, dzicz, upał, ludzie jak Cyganie.

Stereotyp. Jak to stereotyp, częściowo odzwierciedla to, co widzimy, ale też zniekształca i upraszcza. Wiedziałam o tym. Więc się szczególnie nie przejmowałam. Na pewno w Pakistanie jest coś więcej.

W tęgi mróz Wasim wyglądał dziwnie. W Karaczi trudno mu było skompletować zimową garderobę. Buty narciarskie, za duża jesionka z wielkimi guzikami, czapka uszanka. No cóż. Papieros w zębach, dwudniowy zarost, bo ze Szwajcarii jechał do Polski autobusem, wielgachne walizy, które wyglądały, jakby się tłukły pięć razy dookoła świata. Pakistańczycy mają różne odcienie skóry, od niemal białej do czekoladowej. Wasim jest brązowy i sprawiał wrażenie kogoś naładowanego ciepłem i słońcem. Podobne wrażenie sprawia owoc mango. W Polsce nie da się tego uzyskać żadnym sposobem.

– Wyglądałem jak klaun, co? – wspomina często i się śmieje.

Rozpakował swoje dziwne walizy, a z zanadrza wyjął pudełeczko.

– To są obrączki. Kupiłem je w Dubaju. Powiedziałem sprzedawczyni, że jak nie znajdzie, to będzie odpowiedzialna za to, że się nie ożeniłem!

Obrączki? Jakie znowu obrączki? Zdenerwowałam się. Może to jednak wariat, a ja dałam się zmanipulować.

– Słuchaj, Asia. Masz je wziąć. To dla ciebie. Nawet jak za mnie nie wyjdiesz. Najwyżej je dasz swojemu mężowi. Prezent ode mnie.

Wciąż twierdzi, że naprawdę chciał mi je po prostu podarować.

Na pierwszy obiad przygotowałam zupę pomidorową. Wasim spróbował, a potem wylał zawartość talerza do toalety.

– Przepraszam, nie dam rady – powiedział. Poprosił o jajko. I dalej był przekonany, że postępuje słusznie!

Pojechaliśmy do moich rodziców, którzy mieli zrozumiałą nadzieję, że może jednak go odrzucę i nie wyjadę do Pakistanu.

Małomówny Wasim („Mój syn jest bardzo dobry, tylko tak mało mówi!” – przedstawiał mi później Wasima mój przyszły teść) przez zimowe dwa tygodnie mówił, mówił, mówił. Mój tata pytał go o pakistański przemysł, motoryzację i politykę, mama o zabytki, przyrodę i społeczeństwo. Wasim odpowiadał wyczerpująco i obszernie.

– Jaki pan chce prezent z Polski? – pytali oboje uprzejmie przez tłumacza, czyli mnie. Opary absurdu unosiły się nad stołem w dużym pokoju – centrum pertraktacji. Każda ze stron chciała prowadzić rozmowy po swojemu.

– Asię.

Zapadła cisza.

– Nie mam czasu na dyplomację, nie rozumiesz? – tłumaczył się Wasim na osobności.

– Jak facet jedzie tyle kilometrów, to chyba nie po to, żeby wracać z pustymi rękami! – wzdychał mój tata (też na osobności).

Tylko mój dziadzio przyjrzał się nam i powiedział: a wiecie, że nawet jesteście podobni?

W końcu się zdecydowałam. Życie jest niepewne i bardzo kruche. Może mamy przed sobą długie lata. A może nie.

– Straciliśmy przez ciebie mnóstwo czasu! – mówi Wasim. Chciał się zenić po dwóch tygodniach, a ja zwlekałam z decyzją ponad rok! I jeszcze formalności kościelne: zupełnie nie do pojęcia dla Pakistańczyka, jak można robić tyle ceregieli z czymś tak naturalnym (!) jak ślub.

Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Miałam wielkie szczęście. Gdybym wiedziała, ile ryzykują kobiety poznające narzeczonych z egzotycznych krajów i w jakie bagno czasem wdeptują, może bym się wycofała. Ale Wasim to Wasim. Bywa niesamowicie przenikliwy i mądry i rozumiem, dlaczego ludzie mają go za „pira”, przewodnika duchowego. Naprawdę się

nie mylił! Nigdy nie zrozumiałem, jak mnie wyczuł po jednym zdjęciu, ale dobraliśmy się jak w korcu maku. Wydaje mi się niemożliwe, że kiedyś żyłam bez niego.

Pakistan. Tam jest strasznie. To wiedzieli wszyscy. Tylko gdzie to dokładnie jest? Gdzieś w Azji. Musiałam sprawdzić. Indie, Iran, Chiny, Afganistan. Ależ sąsiedzi! Mają jeszcze gorzej niż Polacy! No to trafiłam, myślałam, patrząc na mapę.

Wszędzie znajdowałam wiadomości, że w Pakistanie jest źle. Terrorysty, porwany i zabity polski inżynier, chaos, bałagan, kurz, dzicz, morderstwa honorowe, broń atomowa i niepokój. A jeśli już trafiły się strzępki informacji na temat życia zwykłych ludzi, skupiały się na różnicach (których jest oczywiście masa) i egzotyce w dość makabrycznym wydaniu. Tiziano Terzani w zbiorze reportaży *W Azji* poświęcił Karaczi kilka stron, z których jasno wynikało, że jest to miasto pełne lęku. Okazało się później, że to prawda, ale nie cała. Nie da się sprowadzić życia w Karaczi jedynie do lęku.

Wszyscy wokół wiedzieli tylko, w związku z porwaniem i zabójstwem geologa Piotra Stańczaka, że „w Pakistanie zabijają Polaków”.

Poszłam więc w Warszawie do banku zrobić przelew za bilet do Karaczi. Podeszłam do okienka, przy którym siedziała pani w wieku mojej mamy. Musiałam jej powiedzieć, „tytułem czego ta wpłata”.

– Tytułem opłaty za bilet – mówię.

– A dokąd pani leci? – zainteresowała się pani, bo suma była pokaźna, więc pewnie w jakieś ciekawe miejsce.

Powiedziałam.

Długopis wypadł jej z rąk.

– Gdzie? Czy pani ma rozum? Lata to się na Wyspy Kanaryjskie albo Teneryfę! Chyba pani nie kocha swoich rodziców! Czy myślała pani o tym? Tamte dzikusy panią zabijają! – krzyczała. – Już nie wiem, co mam wpisać w którą kratkę, tak się zdenerwowałam! – Długopis drżał jej w rękach. – Jak pani wróci... Jeśli pani wróci, niech pani tu przyjdzie, niech się pokaże, że pani przeżyła!

Kolejka, zgromadzona w ciasnej poczekalni, z ciekawością przyglądała się całej scenie.

Moja rodzina, znajomi i nieznajomi reagowali na Pakistan bardzo burzliwie. Ja też. Odkryłam pokłady strachu, którego sobie na co dzień

w ogóle nie uświadamiałam, bo nie było ku temu okazji. Stereotypu – mojej własnej utrwalonej wizji Orientu, islamu, Indii.

Tylko Wasim przekonywał, że w Karaczi da się żyć.

Coraz więcej Polek poślubia Pakistańczyków i odwiedza ich kraj. Spotykają ich na portalach społecznościowych, na emigracji, także w Polsce. Wiele zostaje muzułmankami i tworzą własne społeczności, w których dzielą się doświadczeniami. Wtedy nie znałam nikogo takiego. Czytałam dużo rosyjskojęzycznych forów dla żon „Indusów” – to bardzo mi pomogło. W moim otoczeniu nie było łatwo o polskie opowieści z pierwszej ręki (z wyjątkiem lektury *Pijanych Bogiem* Maxa Cegielskiego, jednak nie planowałam mieszkania w Pendżabie ani wśród sufich). Ktoś był w Indiach, ktoś w Maroku, ktoś w Dubaju. Ale to przecież nie to. Niemal każdy miał na podorędziu zasłyszane lub przeczytane dramatyczne opowieści o losach żon Arabów. Nie bez podstaw. Wiele z tych historii rzeczywiście, niestety, się zdarzyło. Dla otoczenia było jasne, że jadę na stracenie.

Trafił się kolega, który podróżował po północy Pakistanu, gdy było tam spokojniej.

– Było cudownie – zachęcał. – Niesamowita przygoda! Wspaniale!

Częścią jego przygody było wspomnienie o pierwszym pakistańskim posiłku u uroczych gospodarzy, po którym cała wyprawa poparzyła sobie żołądki, a z zatrucia leczyła się dwa tygodnie. Gdy kolega już się wykurował, jechał autobusem, był śmiertelnie głodny i miał ze sobą jajko na twardo. Był ramadan. Walczył ze sobą długo. W końcu pomyślał: jednak zjem. Nie wytrzymam. Może nie zauważą? Może są tolerancyjni? Nawet w Pakistanie nie każdy musi być muzułmaninem. Przecież tak uważał sam ojciec założyciel tego kraju, Muhammad Ali Jinnah, autorytet widniejący na każdym banknocie. Kolega zjadł jajko. Cały autobus patrzył na niego wilkiem. Potem zrobiło mu się niedobrze, zwymiotował i nikt mu nie współczuł. Wszyscy byli szczęśliwi, że dosięgła go sprawiedliwa kara boża.

Czekając na samolot z Istambułu do Karaczi, popełniałam gafę za gafą. Usiadłam w miejscu dla mężczyzn (czyli z tyłu), bez dupatty. Samolot był pełen Pakistańczyków, na szczęście leciał też Włoch. Przedstawił mi się jako biznesmen. Wybrał się do Karaczi na targi w Expo Center. Zagadnął mnie przy wypełnianiu deklaracji celnej, bo pożyczyłam mu długopis.

– Jedziesz na trzy miesiące? Żartujesz, prawda? Ja jadę na cztery dni i już

chciałbym wracać! – powiedział posępnie. – Byłem w Karaczi wiele razy. – Był równie przerażony moimi planami jak tamta pani z bankowego okienka.

– Zastanów się milion razy, czy na pewno chcesz tam mieszkać! – powtarzał. – To dziki świat! Jak w średniowieczu!

Obcy w najbardziej podstawowym sensie. Egzotyczny, straszny, fascynujący, brutalny, niedający się skontrolować, dziwny, wymykający się naszym wytłumaczeniom. Nieludzki. Nasze prawa tracą tu swoją moc. Inaczej się myśli, inne są: logika, motywy, cele, sposoby komunikacji. Inaczej traktuje się obcych, innych, niepasujących do większości.

Czyli dziki. I rzeczywiście. Na początku jest dziki bardzo. Później również wydaje się dziki i dziwny. Ale jak to z obcym bywa, z czasem można odkryć, że „my” bywamy równie dzicy i równie dziwni i że nie jestem lepsza, gorsza, mniej ani bardziej dziwna niż „oni”.

Byli też tacy, którzy mówili, że jest podobnie jak u nas. Być może w ogóle nie strasznie. Trzeba obalać mity. W Pakistanie jest właściwie tak samo jak w Polsce. Pięknie, bezpiecznie, malowniczo i (na ogół) pokojowo. Liberalna, ugodowa większość i fundamentalistyczna mniejszość, która psuje Pakistanowi opinię na świecie. W Polsce jest podobnie: „katotaliban” ma być równie zły jak talibowie (Państwa Islamskiego wtedy nie było): i jedno, i drugie jest fundamentalizmem, wypaczeniem religii, która ma uczyć pokoju i tolerancji. Miałam też wrażenie, że ośmieszali lęk przed obcym. Człowiek, który boi się obcości, należy do mentalnego zaścianka. Nowocześnie jest traktować obcość z sympatią i chętnie ją przyswajać, a nie się bać.

Zdecydowałam, że nie będę brała do serca opinii osób, które znają Pakistan tylko z mediów. Mój lęk też był dla mnie normalny. Boję się obcego, jak każdy, bo jestem człowiekiem. Chętnie posłuchałabym kogoś, kto żył tam długo, a o to było trudno. Interesowała mnie twarda, podstawowa wiedza, której nie miałam – o islamie i o regionie. Oczywiście. Kim są sunnici w Pakistanie? Kim są szyici? Skąd się tam wzięli? Jakie różnice są dla nich istotne? Jaka szkoła islamu jest w Pakistanie najpopularniejsza? Jak traktują tych, którzy islamu nie wyznają? Z czym będzie mi trudno, jakie prawa mi przysługują? Dotarcie do wiedzy komplikowało to, że mnóstwo muzułmańskich stron internetowych głosi tak zwany prawdziwy islam i trudno się domyślić, jaki nurt tej religii reprezentują. Do hasła „jedyne prawdziwy islam” zwykle odwołują się wahabici i salafici (którzy dążą

między innymi do oczyszczenia islamu z „innowacji” – przyciśnięci do muru przyznają, że szyici nie są według nich muzułmanami, że sufizm to niebezpieczna innowacja i tak dalej).

Dlatego jadąc do Karaczi, czułam się zupełnie sama. W moim odczuciu żadne źródło, do którego dotarłam (z pewnością dotarłam zaledwie do ułamka informacji), nie przekazywało rzetelnej chłodnej wiedzy, tylko przede wszystkim odautorskie strachy, wyobrażenia, przywiązania, fascynacje, niechęć albo pragnienia.

Pakistan: *tremendum* i *fascinans*

Przeraża i fascynuje. Już-już wpadam w zachwyt. Obezwładniają mnie kolory, potrawa o głębokim, niespodziewanym i wspaniale wyważonym smaku, czyjeś delikatne i pełne niezwyklej godności zachowanie. Czyjeś odczytanie. Wielkoduszność. Prosta i głęboka myśl. Dźwięki. Ażurowe wzory, poczucie piękna i klasy. Odwiedzam świątynię i czuję, że jestem w zupełnie innym świecie, gdzie naprawdę – nareszcie – ludzie są blisko Boga. Widzą w życiu sens, który mi umyka, odkąd pamiętam. Otaczają mnie dzieci, oglądają jak film albo dotykają i sprawdzają, czy istnieję naprawdę. Siadam na zatłoczonej ulicy miasta, które cieszy się ponurą sławą, gdzie nikt nie kieruje ruchem i nie ma żadnych skutecznych odgórnych regulacji, i ogarnia mnie niezwykle, wstrząsający spokój, pozornie niezmacona niczym harmonia. Wchodzę do biednej, koszmarnej brzydkiej dzielnicy i spotykam tyle radości, życia i prostej serdeczności, że robi mi się wstyd za swoje problemy, zmartwienia, depresje i lata narzekań. Mogłabym wyżywić setkę takich rodzin i nigdy nie zaznałam prawdziwej biedy, zupełnie bez perspektyw – tylko z oczekiwaniem na wieczność.

Potem ktoś mi przystawia pistolet do czoła – ot tak, żeby okraść mnie z telefonu wartego sto złotych. Czytam, że na moim osiedlu w czyjejs toalecie wybuchły *improvised explosive devices* w postaci piłeczek do tenisa. Moja *masi* wyjeżdża do swojej wioski na pogrzeb siostry, zastrzelonej w honorowym morderstwie. Siedzę w domu i słyszę strzały z kałasznikowa. Albo wybuch. Wybucho bomba na rondzie obok. Przed oczami stają mi wszystkie sceny utrwalone na wojennych filmach. Ale przecież nigdy nie odnosiłam ich do mojej codzienności. Zawsze działały się gdzie indziej albo kiedy indziej.

Pakistan potrafi bardzo przerazić. Potrafi też wciągnąć i zaczarować tak, że

o strachu się po prostu nie myśli. Albo prawie nie. Robi się wszystko, żeby lęk oswoić, odepchnąć, strywializować i nauczyć się z nim żyć.

Gdy w Trzecim Świecie ginie od wybuchu bomby sto pięćdziesiąt osób, Pierwszy Świat ma to, delikatnie mówiąc, w nosie. Jestem wstrząśnięta.

– Ale co się stało? – pytają znajomi z Polski.

– Sto pięćdziesiąt osób zginęło! Trzystu rannych! Mężczyzn, kobiet, dzieci! Wybuch! W Kweta! Karaczi sparaliżowane w protestach! Nie możemy nigdzie wyjść. Wracaliśmy do domu dwie godziny... Wyobrażasz sobie? Gotujesz obiad w kuchni, kładziesz dziecko spać i giniesz... Jak można było...? Dlaczego ludzie tak siebie nienawidzą?

– Taaaak? – słyszę w odpowiedzi. – Nie słyszałem. Ale to oni między sobą, prawda? No, u nich to chyba zresztą normalne?

To nie jest normalne, ale bardzo trudno to wytłumaczyć komuś, kto tego nie doświadczył.

Oddalamy się coraz bardziej. Gdy słyszę przerażenie i zdumienie rodaków po jakimś wypadku, który pochłonął sześć ofiar, o strzelaninie w redakcji „Charlie Hebdo”, przestaję ich rozumieć. Myślę: przecież sami prowokowali! Poza tym to tylko kilka osób – i taki lament. Oczywiście, zabić jednego człowieka to jakby zabić cały świat. Jednak czyżby ich życie było ważniejsze od życia w naszym rejonie? W Polsce nie mogę wyjść z zachwyty nad spokojnymi porankami i wieczorami, nad pewnością i łatwością, z którą ludzie planują dzień jutrzejszy (za to drżą przed rozpędzonym ruchem ulicznym). Nie muszą rozważać przy planowaniu dnia, że w dzielnicy A, przez którą przejeżdżają w drodze do pracy, mieszka grupa B, która dziś świętuje, a zwalcza ją grupa C (albo więcej grup), która może zaatakować grupę B, więc pojedą drogą D, która wydaje się spokojna.

Jak bogacz i żebrak, oddzieleni od siebie nieprzenikalną zasłoną.

To normalne. Bliższa koszula ciała. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Mechanizm, który sprawia, że na świecie w ogóle da się żyć. Również w Karaczi rozwinięty do perfekcji, bo po jakimś czasie strzały w okolicy powszedniej też mnie, podobnie jak wiadomości o różnych wybuchach, a przejmuję się tylko wtedy, gdy coś dzieje się z bliskimi. Z jakichś powodów musimy żyć tu i teraz. Więc żyjemy. Inaczej bylibyśmy sparaliżowani, a na to nie możemy sobie pozwolić.

W fitness klubie moją instruktorką była Sofia, dziarska i żywa, *niqabi* (czyli kobieta, która nie wychodzi z domu bez zasłony na twarzy – nikabu).

Lubiła się śmiać. Któregoś dnia, gdy piłyśmy wodę po zajęciach, pokazała wszystkim film w telefonie. Brodaty mężczyzna obcina na nim innemu głowę, trzyma ją i się śmieje. Sofia też wybuchnęła śmiechem. Spojrzałyśmy na nią przerażone, nie rozumiała, o co nam chodzi. Założyła nikab, rozstałyśmy się.

– Żyjemy w dzikim kraju – powiedziała po chwili Buśra, znajoma muzułmanka mieszkająca w Pakistanie. – Muszę tu zostać, bo nie mogę zostawić mamy ani siostry.

Po pierwszym szoku Pakistan mi znormalniał. Przechodziłam różne fazy. Poznawania, dostosowywania, fascynacji, zamknięcia, przerażenia, zwątpienia, zniechęcenia i wrogości, powrotu do równowagi i wiary, że jednak wybrałam dobrą drogę. Jestem szczęśliwa, że mogę dzielić życie z mężem i synkiem. To niezwykły dar od losu. Dzięki Wasimowi spotykam ludzi, którzy żyjąc w Pakistanie, mają odwagę, działają, i ich życie jest bardzo intensywne. To dodaje mi siły. Innym źródłem siły jest oczywiście wiara w Boga. W Pakistanie przyzwyczałam się, że mówienie o tym jest normalne. Na przykład prace magisterskie zaczynają się od: „Dziękuję Wszechmogącemu Miłosiernemu Allahowi i moim rodzicom”.

To, że mogłam napisać książkę, to dla mnie wielka radosna niespodzianka. Dzielę się osobistymi wrażeniami, urywkami spotkań i rozmów, czasem interpretacjami, które oczywiście mogą być nietrafione z punktu widzenia specjalistów. Imiona w książce są zmienione, co do innych szczegółów, starałam się opisywać je jak najwierniej.

Na początku jesteś gościem

Przez osobne drzwi

Gość zdejmuje buty i wchodzi do pokoju gościnnego.

– Nie! Nie zdejmuj butów! Absolutnie! – wołają gospodarze zupełnie jak w Polsce. Jednak *drawing rooms* często wyściełane są dywanami, a po dywanach chodzi się wyłącznie boso. To oczywistość, że ludzie tu wychowani zostawiają buty przed wejściem do pokoju. Pakistańczycy najchętniej używają angielskiej nazwy na pokój gościnny, choć istnieją rodzime słowa w rodzaju *baithak* czy *mehman khana*.

Prawie zawsze z Wasimem się rozdzielamy. U Śakila *bhai* (brata). U Seklena *bhai*. U innych *bhai* – przyjaciół, którzy dla Wasima są jak bracia: Kamrana, Śudźata, Imrana, Nusrata, Kafila i wielu innych. Jednak na początku wizyty siedzimy razem na miękkich sofach w orientalnym stylu (gięte nóżki, obicia ze złotymi tłoczeniami), często przy niskim szklanym stole. Panowie, panie, dzieci. Z ciekawości oglądam kaligrafie z wersetami Koranu na ścianach, ciężkie marszczone zasłony, czasem stiukowe dekoracje na suficie. Coś wypijamy, coś przegryzamy. Prowadzimy kurtuazyjne *small talk*, pełne wzajemnych komplementów i obietnic, z których spełniona zostaje mniej więcej co dwudziesta:

– *Bhabhi!*[2] – zaczyna się rozmowa, bo dla przyjaciół Wasima *bhai* jestem bratową, czyli *bhabhi*. – Wspaniale! Jesteśmy bardzo szczęśliwi! Teraz jesteś dla nas jak siostra! Widzimy się za rzadko. Musisz koniecznie przyjechać do nas na wieś na miesiąc! Moja żona będzie zachwycona, gdy wybierze się z tobą na zakupy na Tariq Road – (To jedna z głównych ulic handlowych w Karaczi, na której kupuje się ubrania i kosmetyki). – Będzie szczęśliwa, jeśli zamieszkaż u nas na tydzień. Może po ciebie codziennie

przyjeżdżać, jeśli boisz się sama poruszać po mieście. – Żona potakuje zachęcająco. – Z przyjemnością pokaże ci, jak gotować nasze potrawy. Zna się na modzie, więc może cię nauczyć projektowania naszych ubrań i pójdzie z tobą do krawca. Jak to wspaniale, prawda, Uzmo – zwraca się do żony – gdy biała kobieta nosi strój *desi*[3]? *Bhabhi*, naucz moją żonę piec zachodnie ciasta, ona uwielbia piec i czyta magazyny z przepisami. Odwiedź nas, gdy będziemy robić *halim*!

Pakistańskie domy o różnym standardzie i zwykle mieszkania w bloku mają dwa osobne wejścia: do mieszkania i do *drawing room*. Salonik to jedyna część domu, którą może zobaczyć gość mężczyzna. Panowie w czasie wizyty wychodzą na papierosa albo do ogrodu. Mają też do dyspozycji którąś z toalet. A i tak najbardziej lubią się spotykać w swoim gronie poza domem, w herbaciarniach, restauracjach, na trawnikach, podczas masażu pleców i w innych wybitnie męskich miejscach, w które obfitują ulice Karaczi.

Po dłuższej chwili żona gospodarza zaprasza mnie do wnętrza domu, za zasłonę. Często jest to rzeczywiście kotara, która przedziela pokój na pół. Do kuchni, sypialni i innych miejsc, które pani domu chce pokazać. Rzadko mówi się o zastosowaniu „zasłony” – *parda*, ale to właśnie jest jej podstawowe zadanie: ochrona kobiet i miejsc, gdzie mieszkają i przebywają, przed oczami mężczyzn. *Parda*, powszechna i czasem uciążliwa, jest w takich sytuacjach bardzo przydatna. Nie trzeba się martwić, że gość przeszkodzi komuś z domowników, zobaczy bałagan, meble wymagające naprawy, wejdzie w sam środek babskiej kłótni. Nie trzeba w stresie szorować każdego kąta przed zapowiadzaną wizytą. Wystarczy, żeby pokój gościnny wyglądał przyzwoicie. W części prywatnej kobiety rozumieją kobiety i nie dziwią się domowemu bałaganowi czy stosom ubrań, często porzucanych na meblach.

W czasie wizyt za zasłoną równie ważne jak poczęstunek jest łóżko. Krzesło przecież nie jest wygodne i utrzymuje ciało w nienaturalnej pozycji. Dużo przyjemniej siedzi się na podłodze wyściełanej tkaniną i poduchami albo właśnie na łóżku. Pakistańskie łóżka mają rozmach. Nie przypominają wersalki ani kanapy z Ikea. Nie zmieściłyby się w przeciętnym postkomunistycznym mieszkaniu. Właściwie są to łoża, w ekstremalnej wersji z baldachimami i fikuśnymi ramami, bardzo wygodne. Na każdym może usiąść nawet kilka kobiet, niezależnie od postury.

Arśada *bhai* prawie nie znałam. Wiedziałam tylko, że ma wąsy i długie

włosy (i drugą żonę, ale tego nie wiedziałam przy pierwszym spotkaniu). Mieszkał w domu na zacisznym osiedlu. Nasza rozmowa w pokoju gościnnym podczas tej wizyty trwała krótko. Po trzech minutach w pokoju gościnnym wyjrzała zza zasłony żona Arśada, rozleniwiona, senna, uśmiechnięta, wymalowana i uperfumowana. Panowie zostali w pokoju w oparach papierosów, a poczęstunek przynosił im służący. Pani domu, jej mama, siostra i córka posadziły mnie na łóżku.

– Usiądź wygodnie! To teraz twój dom! – polecily, widząc, że trwam w niewystarczająco wygodnej pozycji. – Połóż się. *Let dźaie. Aram kidźie.* Odpocznij. – Na początku trochę mnie krępowało to przybieranie rozluźnionych póz przy obcych. Czy naprawdę każdy musi oglądać z bliska moje paznokcie u nóg i oceniać, w jaki sposób depiluję łydki? Żaden taki szczegół nie umyka czujnym oczom kobiet, ani w Polsce, ani w Pakistanie. Przyniosły *cold drink* i lody. Gdy widziały, że mi smakują, przyniosły jeszcze dwa kubki i nie pytając, nałożyły do pucharka. Trzy kubki lodów o smaku mango. – Cieszę się, że ci smakuje! – Tłem rozmowy były szum wiatraków i indyjska opera mydlana z telewizora. – Jak ci się podoba Pakistan? Jest ci chyba bardzo gorąco, prawda?

Podobnie było w rodzinnym domu Ferzany, żony naszego kolegi, w Hajdarabadzie. Mieszka tam jej mama, kilka sióstr i wiele kuzynek, których ubrania wydały mi się bardzo kolorowe. Posadziły mnie na łożu, same też na nim usiadły. Przyniosły mi ręcznik i klapki: na pewno chcesz się wykapać. Tu jest łazienka! Może chcesz potem zasnąć? Tam jest drugi pokój! A może pomasaować ci ramiona i stopy? Musisz być bardzo zmęczona!

Gdy byłam już usadowiona i dopieszczona, zaczynało się coś, co tylko przez kilka pierwszych wizyt uważałam za niepodlegające kulturowym normom. Powoli utarło się w schemat.

– *Kitni pjari!* Jesteś taka urocza! Czy twoje oczy są naprawdę niebieskie? Nie nosisz soczewek? Czy farbujesz włosy? – wołały.

– Jak wspaniale wyglądasz w stroju *desi* – rozczulały się. – I masz bardzo dobry gust. Czy to marka Mausummery? Czy to Maria B.? – Czasem brały do ręki moją dupatę i przyglądały się haftom z obu stron tkaniny. – Te kolory bardzo pasują do twojej karnacji. Czy twoje bransoletki są ze złota?

– Jak się czuje twoja mama? A tata? Na pewno bardzo tęsknią. Nie bali się puszczać cię do nas? W Karaczi jest przecież niebezpiecznie. Czy masz rodzeństwo? Jak się czuje twój brat? Czy twój brat jest żonaty? Jak znosisz

pogodę? Nawet nam jest tu gorąco! Wspaniale, że w Karaczi wieczorem wieje wiatr od morza, prawda? – mówiły. Dopiero Wasim wyjaśnił mi, że pytając o rodzinę, gospodarze mogą dowiedzieć się więcej o samopoczuciu gościa. Jeśli w jego rodzinie ktoś choruje, oczywiście, że nie będzie w nastroju do żartów.

– Czy smakuje ci nasze jedzenie? Jaka jest twoja ulubiona pakistańska potrawa? Czy umiesz już coś naszego ugotować? Czy robiłaś już roti? Jak ci się żyje w *joint family*[4]? To musi być dla ciebie nowe doświadczenie. Jakie miejsca w Karaczi już widziałas? Byłaś na jakimś bazarze? Na którym? Masz wielkie szczęście, że Wasim *bhai* jest twoim mężem. Jak się układa wasze małżeństwo? Jakie masz stosunki z teściową? – Czasem już przy pierwszej wizycie, ale zwykle przy kolejnych, zaczynały się zwierzenia i bardziej osobiste rozmowy.

Moje nowe znajome zawsze zadawały mi podczas odwiedzin chyba najważniejsze pakistańskie pytanie:

– Czy jesteś muzułmanką?

Rozmowa o religii jest wyzwaniem dla kurtuazji, chyba że się przytaknie. Pakistańczycy są bardzo szczęśliwi, gdy cudzoziemiec wybiera islam. Opowiadają wiele historii o Amerykankach, Brytyjkach, Japonkach czy Niemkach, które stały się pobożnymi muzułmankami, wyznającymi religię swoich mężów. Pakistanki mogłyby się od nich uczyć gorliwości, podkreślają. Nie mogłam odpowiedzieć twierdząco i uradować gospodarzy, choć starałam się, jak umiałam, chwalić islam i jego wyznawców. Zwykle miałyśmy wybór – albo po kilku zdaniach zmienić temat, udając, że nic się nie stało, albo rozmawiać dalej, wciąż grzecznie, ale wchodząc na nieco inny poziom.

Lekki poczęstunek dla niespodziewanego gościa

Najpierw przynosi się gościowi szklankę wody, mineralnej albo gotowanej i ochłodzonej. Honor nakazuje podać ją nawet wrogowi.

Nieco później podaje się herbatę albo *cold drink*. Ukochany, nieodzowny, zawsze obecny. Jeśli gość jest cudzoziemcem, gospodarze często dbają o jego „nietutejszą” florę bakteryjną, więc raczej nie podają miejscowych napojów chłodzących, takich jak nimbu pani (lemoniada z pieprzem i czarną solą), woda z ziołowym syropem Rooh Afza albo z delikatnym maaz thadal

czy jogurtowe lodowate lassi. *Cold drink* zawsze oznacza produkt koncernu Coca-Cola lub Pepsi. Ameryka zastąpiła w tym regionie Brytyjczyków, a stosunek Pakistańczyków do niej przypomina nieco chorą i pełną sprzeczności miłość Polaków do Rosji. Z jednej strony – nienawiść, złość, żal, że Amerykanie traktują świat jak przedmiot, a Pakistańczycy ponoszą tego konsekwencje: przecież to Stany Zjednoczone wychowały talibów, bo potrzebowały ich do walki z wrogiem. To one wykorzystwały kampanię szczepień przeciw żółtaczce do szukania Bin Ladena. Poza tym każdy tutaj wie, że Ameryką rządzą Żydzi. Z drugiej strony – to, co amerykańskie, uchodzi za najlepsze. Niemal równe brytyjskiemu. To jeden z punktów odniesienia. I gdyby zabrać Pakistańczykom coca-colę, 7 up, mirindę, fantę, mountain dew, kraj pograżyłyby się w rozpacz. Nigdy nie piłam tyle coli i nie jadłam tylu burgerów czy zingerów co tutaj.

Herbata to poezja, nawet gdy ktoś nie lubi z mlekiem. Nie ma nic wspólnego z lurowatymi bawarkami, więcej z indyjskim masala ćaj[5], ale bez przypraw. Mleko, herbata, woda, cukier, niekiedy odrobina soli. Czasem kardamon lub anyżek. Bywa ciężka, jakby skondensowana. Daje kopa. Stawia na nogi. Siekiera, niemal dorównująca kawie. Równie pyszna w wytwornych filiżankach, jak w zgrzebnych wyszczerbionych kubkach. Wszyscy znajomi piją herbatę Tapal, zmieloną na pył, która nie pochodzi z pakistańskich pól, tylko z Kenii.

O kawę w gościach niełatwo. Prawie zawsze prośba o nią sprawi gospodarzom kłopot. Czasem ktoś ma w domu najłatwiej dostępną nescafé classic. Tylko w niezbyt licznych nowoczesnych domach, prowadzonych na zachodnią modłę, są ekspresy. Chęć zaspokojenia kofeinowego głodu budzi zgorszenie zwłaszcza latem:

– Kawa w upał? Przecież jest gorąca! – martwią się moi teściowie. To chyba najboleśniej, co może usłyszeć człowiek uzależniony od kawy. – Zachorujesz – przekonują z niepokojem w oczach. – Przegrzejesz się. Dostaniesz gorączki, wysypki, ropnych pryszczycy.

– Ale kawa pochodzi z Etiopii! Tam to dopiero jest gorąco! A przecież się ją pije – próbuję walczyć.

Może i gorąco. Przede wszystkim Etiopia jest zbyt daleko i nikt znajomy nigdy tam nie był, ja zresztą też. Moje słowa nie są więc ani trochę przekonujące. Najwięcej słyszał o Etiopii kolega, który był z misją pokojową

w Liberii. Wszyscy inni wiedzą, że kawa rozgrzewa, więc pije się ją zimą – pojawiają się wtedy uliczne wózki z kawą, już posłodzoną i z mlekiem.

Nescafé było dla mnie pomostem między światami: takie samo w Polsce i w Pakistanie. Kubek kawy przywracał mi równowagę i poczucie bezpieczeństwa. Nie musiałam się go bać jak wody, przed którą ostrzegał mnie w Polsce lekarz medycyny tropikalnej (nawet woda mineralna z butelki nie jest bezpieczna). Skoro tu jest kawa, mogę tu żyć. To nic, że moja przyszła rodzina bacznie obserwowała, czy nie mam już pryszczycy i wysypki. Nie miałam i w końcu się przyzwyczaili, że często stawiam ekspres na gaz.

Może mogłabym brać kawę ze sobą i prosić w knajpach albo w domach o wrzątek? – wpadałam na świetne pomysły, bo przecież na Słowiańszczyźnie to znany sposób. Okazało się, że w Pakistanie to niemożliwe. W herbaciarniach nie ma wrzątku, tylko gotowa herbata w wielkich garach. Z kolei prośba o wrzątek podczas wizyty byłaby kłopotem dla gospodarzy, nie mówiąc o tym, że picie przy nich swojej kawy stanowiłoby niesłychane poniżenie.

Do napojów podaje się przegryzki: nimko (czyli przekąskę z mąki ciecierzycowej, wyglądającą jak małe robaczki), pomiędzy nimi ziarenka dalu, znajome orzeszki ziemne i jadowicie zielony groszek. Słone i kwaśne, a ja lubię kwaśne. Z lekkim posmakiem zgniłego jajka (to od czarnej soli, która wchodzi w skład przyprawy). Po kilku sekundach język zaczyna palić od chili. Są też herbatniki, może trochę słodsze i sztuczniejsze w smaku niż te polskie. „Dozwolone prawem barwniki spożywcze; syntetyczne aromaty” – producenci nie wdają się w niewygodne szczegóły. Trochę później pojawia się to, co wymaga podgrzania: ciastka francuskie z ostrymi nadzieniami – *patties*, samosy (smażone pierożki) i kebaby smażone w głębokim tłuszczu. „Lekki poczęstunek” – tak zachęcała mnie do kebabów przy herbacie Faiza, siostra Wasima. Kebaby to lubiana przez wszystkich żelazna pozycja w gościnnym menu. Dobrze się mrozą, a gotowce ze sklepów są całkiem niezłe. Te z ulicy są wspaniałe, ale ryzykowne, a domowe – zawsze pyszne.

Zapraszamy na kolację

Gdy szłam w odwiedziny, zwłaszcza do bliższych znajomych, zawsze chciałam coś ze sobą wziąć. Jak gość może przyjść z pustymi rękami?

Weźmy choćby to upieczone niedawno ciasto – pyszne, a oni nie będą mieli kłopotu, czym nas ugościć, nie będzie trzeba smażyć kebabów, biec do sklepu.

– Tylko nie to! Obrażą się śmiertelnie!– powstrzymał mnie Wasim. – Chcesz ich upokorzyć? Pomyśleliby, że nie chcesz jeść tego, co przygotowali. Albo że twoim zdaniem są biedni i skąpi.

Ostatecznie można zanieść *mithai*, tradycyjne kupne słodczyce, ewentualnie bukiet kwiatów albo czekoladę – choć ta może zostać przyjęta z nieufnością, jeśli nie pochodzi z krajów muzułmańskich i nie ma na niej napisu *halal*.

Zapowiedziany gość musi się przygotować na obfitość jadła. I jeść powoli. Gdy tylko opróżni talerz, gospodarze natychmiast napełnią go znowu. Nie wolno odmawiać. Raz próbowałam się dyskretnie wykręcić od zjedzenia kebabu i pani domu prawie zalała się łzami. Należy jeść z uśmiechem i chwalić umiejętności gospodyni, nawet jeśli jedzenie zupełnie nie smakuje.

Podczas zapowiedzianej wizyty można się spodziewać wielu doznań smakowych. Przede wszystkim ryżu – jako dodatku albo głównego dania. Jest rzeczywiście wspaniały. Nawet ten gotowany bez przypraw pachnie cudownie. W tym z cynamonem, kardamonem, pieprzem, goździkami, w postaci pulao[6] lub nieco cięższego biriani (z sosem z mięsa) – można się zakochać, jeśli tylko gospodarze nie przesadzili z chili i z tłuszczem.

Zwykle podają łyżkę. Ale nie zawsze. Wtedy zaczynają się schody.

Gdy Wasim tłumaczył mi, jak jeść ręką (wyłącznie prawą), musiałam przypomnieć sobie wiedzę, którą próbowała mi przekazać szkoła na lekcjach biologii. Każdy palec ma bowiem trzy paliczki. Do jedzenia używa się dwóch pierwszych, fachowo nazywanych „dalszymi” i „środkowymi”. „Paliczki bliższe” (dolne części palców bliżej dłoni) powinny pozostać nietknięte.

– Masz wymieszać dokładnie ryż z sosem i dodatkami (aćarem – bardzo ostrymi piklami, raitą – jogurtem ubitym z wodą i przyprawami, dalem – sosem z soczewicy), można tylko „parę kęsów” albo cały ryż na talerzu. Nabrać trochę do zwiniętych palców, otworzyć buzię – szeroko! Przysunąć rękę z ryżem do ust i pomagając sobie kciukiem przenieść jedzenie. Po posiłku umyć ręce.

Zasady wydają się proste i zrozumiałe.

– Patrzcie, jak ona je ryż! – śmiali się sąsiedzi, którzy ugościli mnie pysznym biriani. Oglądali jak zabawny film, jak ryż wypełza mi z ręki i osiada na całej twarzy, przedramieniu i ubraniu. – Przecież to nie jest trudne

– dziwili się. – Przecież nawet dzieci to umieją. Mieszkasz tu już dwa miesiące i jeszcze nie umiesz? Dlaczego?

Dodatkowo krępowała mnie konieczność otwierania tak szeroko jamy ustnej. Unikałam ryżu, jak mogłam. Serce zaczynało mi walić na jego widok. W domu kryłam się w zacisznym kącie, żeby uczyć się eleganckich manier z dala od wścibskich oczu.

Podczas wizyt pojawia się na stole również mięso w sosie. Korma, najczęściej z kury. Nihari – pyszny gulasz wołowy. Jedzenie sosu za pomocą placka też kosztowało mnie sporo nerwów. Panowie w pracy Wasima lubią zamawiać na obiad gęsty dal (sos z jednej z roślin strączkowych), mięso w sosie i roti – chleb smażony na tawie[7], lub nan – płaski chleb z pieca *tandur*. Niestety *parda* tam nie obowiązuje i siadaliśmy przy stole razem, więc paćkałam się sosem po łokieć przy całym uprzejmym zespole, chętnym do pomocy i pokazywania.

– Musisz zrobić z chleba łyżkę! – powtarzali życzliwie. Po prostu. Szybko się przekonałam, że jeśli będę jeść tą metodą, zacznę wyglądać zdrowo i kwitnąco. Do zjedzenia odrobiny sosu potrzeba dużo placka. Węglowodanów. Dużo, dużo więcej niż przy jedzeniu sosu łyżką.

Rooh Afza i inne wyzwania

Mam szczęście, że jem wszystko. Lubię mięso, zawiesiste i tłuste dania, w które obfituje pakistańska kuchnia. Zapach siarkowodoru mnie nie zniechęca, więc uwielbiam pachnącą zgniętą jajkiem przyprawę ćat masala (z czarną solą) i posypuję nią frytki także w Polsce. Krzywię się przy wodzie z wychwalanym pod niebiosa czerwonym syropem Rooh Afza, którego smak ktoś spoza Pakistanu przyrównał do smaku posłodzonego płynu do mycia naczyń. Nie mogę przełknąć sztandarowych pakistańskich napojów firmy Pakola, zwłaszcza tego o przeraźliwie sztucznym smaku *ice and soda*.

Naprawdę paskudnych potraw na szczęście jest mało. Zbieram się w sobie, gdy ktoś podaje mi solone owoce z chili czy ćat masalą– a tak właśnie jada się w Pakistanie jabłka, pomarańcze, arbuza, grejfruty czy guawę. Unikam, jak mogę, ćatu na słodko. Uwielbiam go w kwaśnej postaci: to sałatka z ciecierzycy, cebuli, pomidorów, ciecierzycowego makaronu *sew* lub pokruszonych chrupkich placków *pappadam* w sosie z chili, ćat masali i jogurtu. Niestety, często dodaje się do niego słodki ćatni. Są *dahi bare*,

chyba największe nieszczęście, jakie może mnie spotkać. Należy zrobić kulki z ciasta z mąki ciecierzycowej (można je też kupić), usmażyć we wrzącym oleju i rozmoczyć w ostrym, najczęściej słodkim sosie z jogurtu. I karhi – te same kulki, rozmoczone w sosie na bazie mąki ciecierzycowej. Bardzo trudno jeść te dania z uśmiechem na twarzy i w zgodzie z etykietą chwalić przy nich zdolności kucharskie gospodyni. Wyzwaniem bywa też korma z kurczaka z litrem czerwonego oleju na powierzchni. Pakistańskie potrawy mają mało wspólnego z „lekką kuchnią”, a z nich wszystkich właśnie korma, z powodu nadmiaru zastygającego tłuszczu, najbardziej kojarzy mi się z czymś trudnym do przełknięcia. Jej przygotowanie zaczyna się od usmażenia dużej ilości cebuli na złoto i chrupiąco – w małej ilości oleju ten numer może się nie udać. W tym samym oleju (niekoniecznie w całości!) smaży się potem resztę dania. Dobrze przyrządzona korma jest wspaniałą potrawą, jednak każdej gospodyni zdarza się dzień, gdy chluśnie olejem zbyt hojnie.

I jeszcze faluda. Pakistańczycy uwielbiają ten deser, pochodzący ponoć z Iranu. Lody z cienkimi kluseczkami, takimi jak podaje się w Polsce dzieciom do mleka, śmietanką, suszonymi owocami, migdałami, pociętą galaretką owocową, czasem nasionami bazylii i syropem różanym. Znienawidzony przeze mnie syrop podstępnie opada na samo dno i jest obowiązkowym składnikiem faludy.

Więcej jest potraw, które podczas wizyty można z czystym sumieniem wychwalać pod niebiosa. Nie tylko herbata, znakomite kebaby i dania z ryżu. Także marchewkowa halwa – uwielbiam ją na równi z tiramisu i tak samo dobrze poprawia nastrój – którą czasem robimy w domu. Halwa z daktyli, którą podaje Kafila, żona naszego kuzyna. Gęsty mleczny deser dehli rabri, który zawsze za szybko się kończy. Mutton paja – danie z kozich nóżek, przygotowywane przez mamę Kamrana. Halim – ostra potrawa z mięsa, soczewicy i pszenicy, która wygląda bardzo źle i smakuje bardzo dobrze (przy jej gotowaniu nigdy nie byłam, ale częstują nas nią sąsiedzi szyici przed świętem Aszura).

Mistrzowie gościnności

Pakistańczycy to mistrzowie gościnności. To może przypadek, ale wszystkie znane mi osoby, które przyjeżdżają do Pakistanu wyłącznie w roli

gościa, są też najbardziej zagorzałymi fanami tego kraju, jakich spotkałam. Słusznie uważają, że media wypaczają wizerunek tego czarującego miejsca. Prawdziwy Pakistan to dla nich przebogata, wciąż zbyt mało znana kultura i niezwykle mieszkańcy – wyjątkowo uprzejmi, serdeczni, gościnni, wrażliwi, oczytani. Pakistańczycy zrobią dla gościa wszystko, na dodatek w niesłychanie delikatny sposób. Zawstydzą go wielkodusznością i taktem. To dziwne, że w telewizji wydają się wrodzy i naładowani złością. Ci, u których się gości i których się spotyka na bazarach, w taksówce, w sklepie, są życzliwi, uprzejmi, pomocni i instynktownie grzeczni. Człowiek nawykły do przepychanek i chamskich odzywek w polskich supermarketach w porach szczytu może – tak jak ja – doznać w Pakistanie szoku. Gość rzadko tu doświadcza radykalnych postaw, a wrogie i pełne złości twarze to tylko wyolbrzymiany przez media margines.

Podróźni opowiadają wzruszające historie o sprzedawcach warzyw, którzy zachwyceni ich próbami mówienia w urdu, obdarowywali przybyszów pomidorami, i o sprzedawcach, którzy po dwuminutowej rozmowie zapraszają na herbatę.

Tydzień temu poszedłem na inny bazar kupić warzywa i cztery razy musiałem prosić sprzedawcę, żeby wziął ode mnie pieniądze. Taksówkarz przed kilkoma miesiącami odmawiał zaledwie trzykrotnie. Raz jechałem z kolegą i popsuł nam się samochód. Dwóch przechodniów zatrzymało się, żeby nam pomóc popchnąć go do najbliższego warsztatu. Odmawiali przyjęcia pieniędzy! Kupowanie chleba z pieca *tandur* też było trudne, bo *rotiwala* odmówił przyjęcia zapłaty, oświadczając, że nie było nas w Pakistanie przez miesiąc i on chce nas powitać. Innym razem podczas wycieczki do miasta w Pendżabie bardzo ubodzy ludzie zaprosili nas do domu, nalegając, żebyśmy wypili pepsi, choć cena jednej butelki to dzienny koszt wyżywienia całej ich rodziny. Być może nie każdy Pakistańczyk jest taki, z pewnością są i ci nieprzyjaźni wobec Zachodu, którzy nie byłiby wobec nas gościnni. Jednak przez dwa lata w Pakistanie spotkałem się z ludźmi kilkaset razy i każdy był gościnny i uprzejmy. Czy Pakistańczyk, który podróżuje po Zachodzie i spotyka dwieście osób, ma podobne wrażenie?

– pisze z lekkim smutkiem nieznany mi autor bloga z podróży po Pakistanie[8].

Gościnność, zwłaszcza wobec cudzoziemca czy kogoś, kto stoi wyżej na drabinie społecznej, to sprawa honoru. Najważniejsza. Ważniejsza niż pieniądze. Kiedy gość chwali gościnność gospodarzy, odczuwają oni ulgę zmieszaną z dumą i szczęściem. Często mówią później: *Hamari izzat rahegi* – nasz honor pozostanie.

Trzy wizyty w trzech światach

Odwiedziliśmy kiedyś pana na włościach – wielkiego zamindara – w okolicach Hajdarabadu. Jechaliśmy przez biedniutkie wioski chłopów, którzy pracują na jego polach. Byłam wstrząśnięta. Feudalny wyzysk był dla mnie rzeczywistością co prawda nie tak dawną, ale znaną tylko z przekazów albo śladów, które można tropić, zwiedzając czworaki, wsie dworskie, dwory i pałace zamienione na muzea. Oglądaliśmy ptaszarnię, sady mango, trawę sprowadzaną z Australii, pokoje pełne poroży i kłów dzikich zwierząt upolowanych całkiem niedawno i przed laty. Były tam miecze, sztylety, wachlarze, fotografie przodków zamindara w towarzystwie *gora* (czyli białych – tak nazywa się Brytyjczyków), a także – co bardzo ujmujące wśród tych wszystkich kosztowności – tani plastikowy zegar reklamówka z Zachodu, z obrazkiem przedstawiającym dwie pomarańcze. Po posiadłości oprowadzał nas wąsaty szczupły służący ze wzrokiem wbitym w ziemię. On także podawał do stołu. Panie dostały osobny samochód. *Drawing room* był olbrzymi, pełen luster i kosztownych mebli z połyskującymi obiciami. Jednak nie byliśmy gośćmi wysokiej rangi. Pan domu pojawił się jedynie w czasie głównego poczęstunku i rozmawiał tylko z mężczyznami. Siedzieliśmy przy naszym stoliku, pilnując, by dzieci znajomych nie biły się zbyt gwałtownie, a potem zaprowadzono nas do pokoiów dla kobiet. Nie spotkałyśmy żadnej z żon gospodarza, bo żyły w ścisłej izolacji od obcych. Zaproponowano nam tylko obejrzenie basenu na dachu.

Zupełnie inaczej wyglądają wizyty w domu Hanifa. Hanif po wielu latach wrócił do Karaczi z Londynu i kupił dom w nadmorskiej dzielnicy. Salon z klimatyzacją, designerskie fotele z wysokimi oparciami, masa książek, pianino, stół do ping-ponga, piłkarzyki, piękna kuchnia, zapach wanilii, ogród, służba, palmy, trampolina dla dzieci. Zawsze wybór alkoholu, także najtrudniej dostępnego wina.

Filizanka kawy nigdy nie jest tu kłopotem. Nie musimy się rozdzielać. Mogę rzucić w kąt swoją dupattę. Nie oglądamy telewizji. Do gości łąszą się ukochane psy. Jest zwyczajnie. Czasem przychodzimy tu posłuchać poezji i muzyki. Wielu znajomych na czymś gra, improwizuje. Jest spokojnie. Gdy nie ma o czym rozmawiać, możemy swobodnie milczeć. Nikt nie daje nam odczuć, że mamy jakąkolwiek rangę, niższą czy wyższą, nie pyta o marki

naszych ubrań ani nie ogląda moich szalów od spodu. Nadźma, żona Hanifa, obdarowuje nas pomarańczami, które ktoś przywiózł z jej rodzinnych okolic. O religii rozmawiamy tylko wtedy, gdy chcemy. Czasem bardzo długo.

Tak samo jak dom Hanifa lubię odwiedzić w tak zwanym *interior Sindh* – w małych miasteczkach prowincji. W pobliżu miasta Thatta mieszka Atif. Jest Sindhijczykiem. Ma okrągłą twarz, nosi wąsy i widziałam go tylko w szalwar kamizach. Pochodzi z książęcej rodziny Kalhoro. Jest przyjacielem Wasima, który pomagał mu rozstrzygnąć jakieś istotne spory. Rzadko ze mną rozmawia, bo go to krępuje. Uśmiecha się tylko i przy rozmowie patrzy w przestrzeń lub w drugą stronę. Nigdy nie byłam u niego w domu. Zawsze spotykamy się w *otak*, wiejskim domu dla gości. Są tam pokoje z łazienkami, jadalnia i taras. Atif, podejmując gości, zachowuje się dokładnie tak, jak zachował się biblijny Abraham, gdy odpoczywał pewnego upalnego dnia przy swoim namiocie i zobaczył, jak obok jego dębów przechodzą...

dostrzegł trzech ludzi naprzeciw siebie. Ujrawszy ich, podążył od wejścia do namiotu na ich spotkanie. A oddawszy im pokłon do ziemi, rzekł: „O Panie, jeśli darzysz mnie życzliwością, racz nie omijać Twego sługi! Przyniosę trochę wody, wy zaś raczcie obmyć sobie nogi, a potem odpocznijcie pod drzewami. Ja zaś pójdę wziąć nieco chleba, abyście się pokrzepili, zanim pójdziecie dalej, skoro przechodzicie koło sługi waszego”. A oni mu rzekli: „Uczyń tak, jak powiedziałeś”.

Abraham poszedł więc spiesznie do namiotu Sary i rzekł: „Prędko zacznij ciasto z trzech miar najczystszej mąki i zrób podpłomyki”. Potem Abraham podążył do trzody i wybrałszy tłuste i piękne cielę, dał je słudze, aby ten szybko je przyrządził. Po czym, wziąwszy twaróg, mleko i przyrządzone cielę, postawił przed nimi, a gdy oni jedli, stał przed nimi pod drzewem[9].

Ilekróć słyszę ten bardzo znany fragment Starego Testamentu, myślę o Atifie.

– *Bhai! Takalluf ki koi zarurat nahi he!* (Bracie! Nie rób sobie kłopotu!) – krzyczą tu wielokrotnie goście, my też. Jednak Atif tylko się uśmiecha. Staje się sługą gości. Nie wysyła do nich służącego. Służący myje naczynia w kuchni i nakrywa do stołu. Kucharz przygotowuje jedzenie, ale to Atif go dogląda i próbuje potraw. To Atif osobiście je przynosi do jadalni i nakłada, odgania muchy, podaje szklanki z lodowatą wodą. Cicho i niepostrzeżenie. Zabicie kurczaka dla gościa czy pożyczanie go od sąsiadów z pewnością by go nie zdziwiło – zdziwiłoby go raczej, że ktoś może tego nie robić. Nie chce słyszeć o rekompensacie. Dzwoni, załatwia, organizuje. Nie sposób poznać

po jego minie, czy nasza prośba jest łatwa, czy trudna do spełnienia. Słowianin, podejmując gości, także wyznaje zasadę „zastaw się, a postaw się”: oddaje im swoje łóżko, chciałby przychylić im nieba. Gość w dom, Bóg w dom. Jednak inne słowiańskie przysłowia mówią, że „gość nie w porę gorszy od Tatarzyna”. W Polsce coraz rzadziej jesteśmy najprawdziwszymi i najszczerzszymi sługami swoich gości, zwłaszcza tych niezapowiedzianych. Atif nigdy nie da po sobie poznać, że przyjechaliśmy nie w porę ani że powinniśmy już odjechać.

Prezenty

Gość dostaje prezenty. Kobiecie daje się materiał na szalwar kamiz, perfumy, torebki, bransoletki. Ale zanim przyjechałam do Karaczi, dostawałam paczki. Pakistańska paczka jest zawinięta w płócienny worek, starannie zaszyta grubą nicią (przez pana na poczcie, co zobaczyłam, gdy wysyłałam z Karaczi paczki do Polski) i zalakowana. Pachnie osobiście, jakby stęchlizną. Paczki intrygowały mnie swoim widokiem, a ich zawartość zdumiewała za każdym razem. Czasem wybierał ją mój ówczesny narzeczony, a czasem jego siostra, która znała mnie tylko z opowieści. To były głównie kurty (bluzki z małym dekoltem, rozcięciami po bokach, żeby móc wygodnie usiąść, i zwykle jakimś ornamentem – łatwo dostępne w polskich sklepach, nosi się je do obcisłych spodni) i długie spódnice. Wszystko leżało na mnie tak, jakby wysyłał je ktoś, kto mnie zna. Nie przepadałam za stylem orientalnym, ale nie czułam się w tym źle ani śmiesznie. Ożywiało mnie. Nie miało tony cekinów i haftów. Niektórych kolorów nigdy bym nie wybrała, a jednak wyglądały świetnie. Bizuteria, choć w stylu pakistańska, czyli z pozłacanego metalu, który szybko ciemnieje, i roziskrzona kamieniami, które szybko wypadają, była dobrana bardzo starannie. Niektóre mniej poczerńiałe kolczyki mam do dziś, ku uciechu mojego męża – według niego kobieta powinna takie rzeczy zmieniać co sezon. Gdy przyjechałam do Karaczi, zobaczyłam, spośród jakiego badziewia zostały wybrane.

Na początku w Karaczi nie miałam w czym chodzić. Choć w Polsce wydawało mi się, że ubrania, które pakowałam przed wylotem, wystarczająco okryją moje kształty, tu natychmiast zrozumiałam, jak bardzo się myliłam. Przyzwoita kobieta w muzułmańskim domu nie chodzi na co dzień

w spódnicy, nawet długiej i obfitej (wyjątkiem są sari, które noszą dojrzałe kobiety pochodzące z Indii, tak jak moja teściowa). Bluzka z długim rękawem miała za głęboki dekolt. Inna była za obcisła. Kolejna za krótka, bo nie zakrywała całej pupy. Spodnie, choć do kostek, pokazywały zdecydowanie zbyt dużo. Zaraz po moim przylocie siostra Wasima podarowała mi szalwar kamiz. Był prosty i na co dzień, z leciutkiego, przewiewnego materiału, piaskowy w niebieskie kwiatki, z lazurową dupatą. Uszyty przez krawca po drugiej stronie ulicy, leżał tak dobrze, jakbym była stałą klientką. Wieczorem Faiza przyniosła stosy materiałów na następne komplety – wybrała wszystko idealnie.

Pierwsze dni w przyszłym domu

Moim pierwszym poczęstunkiem w Pakistanie był sok z mango. Wszystko było jak w słabym przewodniku po pakistańskich stereotypach. Pakistan to król mango, a mango to król owoców – powtarzają tu ludzie. Przyjechaliśmy do domu wczesnym rankiem, przed porannym azanem (tak wymawia się tu arabskie słowo *adhan*, oznaczające wezwanie do modlitwy). Wtedy pierwszy raz usłyszałam odryglowywanie zasuw w zakratowanych drzwiach, zobaczyłam drobną kobietę w sari, z kokiem, wielkimi złotymi kolczykami i złotymi obręczami na rękach. Miała piękne dłonie. To była moja przyszła teściowa. Podała mi szklanek żółtopomarańczowego soku słodkiego jak ulepek. W Polsce można kupić mango, wielu Polaków zna je i lubi. Ale tak się złożyło, że jako panienska miałam dalekie orienty w nosie, razem z ich mango. Przyjechałam do Pakistanu jak na inną planetę.

Byłam w domu gościem przez trzy miesiące. Na dodatek, synową *in spe*. „*Dulhan*” – mówiła mama Wasima. Rano dzieci założyły mi na głowę szalik i narysowały kropkę na czole. „*Dulhan*” – mówiły.

– Co oni mówią? – pytałam.

– Oni mówią: panna młoda. Ale czuj się wolna – uspokajał mnie narzeczony. Wyremontował na mój przyjazd łazienkę, żeby była w stylu zachodnim. Czułam, że to nie było bez powodu. – Nie śpiesz się! Spokojnie podejmij decyzję. – powtarzał.

– To twój dom! – powiedzieli po prostu. – Czuj się tu jak u siebie. Nie wstydz się, jedz, pij, niech ci będzie wygodnie. Nie pytaj, czy możesz coś zrobić, po prostu to rób. Jesteś częścią naszej rodziny.

Oglądali mnie, ale przede wszystkim chuchali na mnie i dmuchali. „Po prostu to rób” nie było więc takie łatwe.

– Nie podchodź do ognia! – wołał teść, gdy chciałam włączyć gaz.

– Nie mieszaj tego kurczaka! – grzmiały siostry Wasima, gdy oglądałam z ciekawością, jak robią sos salan, i rwałam się do pomocy. – Sparzysz się! Patrz, jakie my mamy mięśnie, a ty jesteś taka drobna! – Podobnie było przy ryżu, który nieumiejętnie mieszany zwyczajnie się połamie.

– Odejdź! Skaleczysz się! – bali się wszyscy, gdy udało mi się wejść na dłużej do kuchni i kroić cebulę.

– *Bhabhi!* Ty zmywasz?! – Wyrwały mi z rąk kubek po herbacie mama i siostry Wasima, a nawet ich córki.

– Uprasuję twoje ubrania! – oświadczała Faiza tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Odpocznij.

Gdy nie było prądu, czteroletnie bliźnięta brały wachlarze i wachlowały, póki im sił starczyło. Pewnego gorącego dnia przyniosły mi miskę pełną lodu z zamrażalnika – żeby ci było weselej, *bhabhi*, jest taki jak w twoim kraju, prawda? Gdy zapomniałam założyć klapki po wyjściu z pokoju, wsuwali mi je na stopy.

Faiza przychodziła do mojej sypialni.

– *Bhabhi*, jak wspaniale wyglądasz! Czy jesteś zmęczona?

Ku mojej irytacji zabierała się do masowania mi stóp lub ramion.

– Zrobiłam dla ciebie *something very special!* – uśmiechała się kusząco, ustawiając na moim łóżku wyściełanym obrusem wazy z sosami o ognistym smaku i szklanki z lodowatą wodą. – Specjalnie dodałam mało przypraw – zachęcała. Najczęściej jednak czułam się jak smok wawelski, któremu Szewczyk Dratewka podarował owieczkę. Teść robił wszystko, żeby ukazać mi się z jak najlepszej strony. Okazało się, że mamy podobne upodobania kulinarne. Obierał dla mnie grejpfruty i dzielił się ze mną kwaśnymi owocami dżamunu. Spędzaliśmy długie godziny na rozmowach o religii, świecie, polityce, podróżach, historii i życiu.

Wszyscy chcieli ze mną przebywać na łóżku. Oglądali mnie z ciekawością, dotykali włosów.

– Masz włosy i oczy jak lalka Barbie – zachwycaly się Hina i Aiśa, kilkuletnie córki mojej przyszłej szwagierki. Otwierały moje szafy, oglądały ubrania. Pisały do mnie serdeczne listy. Malutka Asma siedziała ze mną na balkonie. Teściowa *in spe* wchodziła do mojej sypialni i siadała na łóżku bez

słowa. Przynosiła mi herbatę, pokrojone jabłko, słodycze. Dostałam od niej mnóstwo drobnych prezentów. Nie rozumiałam, dlaczego wszystko, co mi kupowali, brali na swój rachunek. Krępowało mnie, że nie mogę się dołożyć do zakupów żywnościowych, zaprosić rodziny w jakieś fajne miejsce ani kupować ubrań czy biżuterii z własnych pieniędzy.

Mówili prawie wyłącznie w urdu. Choć znali angielski, to czuli się swobodniej, gdy nie wszystko rozumiałam. Nie tłumaczyli swoich rozmów i nie starali się mnie do nich wciągnąć. Oburzało mnie to i złościło. Gdy byłam dzieckiem, przyjeżdżali do naszej rodziny goście ze Szwajcarii. Prawie nie mówiliśmy przy nich po polsku, choć nasz francuski składał się tylko z niewielu słów. Podobnie było przy każdym innym cudzoziemcu. Nie mogliśmy pozwolić, żeby biedak czuł się ignorowany czy wykluczony, żeby myślał, że go obgadujemy za plecami. A Pakistańczycy po prostu nie myślą o takich sprawach.

– To jak ci się podoba Pakistan? Co byś dziś zjadła? – pytali, a potem długo rozprawiali w urdu, pokazując mi czasem palcami, śmiejąc się i pozostawiając mi ponure domysły. Może zastanawiają się, co i jak ugotować? A może mówią: „Ale śmieszna ta narzeczona Dżaweda?” (Wasim, jak wielu Pakistańczyków, ma dwa imiona: oficjalne i domowe). „Siedzi jak kołek w płocie”? „Mogłaby być wyższa”? „Wiesz, Dżawed, kandydatka, którą proponowała ci ciocia, była lepsza”, „To co, jaki kawał jej robimy?”. A może nie mają pojęcia, że to mi przeszkadza? Może są dużo szlachetniejsi niż ja z moimi podejrzeniami i nigdy czegoś takiego nie powiedzą? Chociaż... gdyby to było coś miłego, dlaczego by mieli to przede mną ukrywać? Żeby nie nakręcać się za bardzo, wsłuchiwałam się w brzmienie nowego języka i próbowałam wyłapać cokolwiek, co się w nim powtarza. Czasem gospodarze uczyli mnie najpotrzebniejszych zwrotów. Na przykład: *śor mat maćao!* – nie hałasuj! – należy to wrzasnąć do dzieci, gdy zbyt głośno się zachowują.

Gotowali tak, jak sobie wyobrażali, że lubię. Podawali osobno kilka ugotowanych bez soli ziemniaków, które miały mnie ratować, gdyby jedzenie z Bihar (skąd rodzina przyjechała do Pakistanu) okazało się za ostre. Wszyscy byli mili i rozmowni, żartowali, prawili mi komplementy, a przyszłe szwagierki wylewały na moim łóżku prawdziwe źródła łez na samą myśl, że mogę nie stać się częścią ich rodziny.

Wyjazd na wieś, czyli człowiek uczy się na błędach

Gościłam w wielu domach także później, gdy w domu byłam już po prostu *bahu* – synową, częścią codzienności, osobą, od której oczekuje się dużo więcej i z którą się nie cacka, bo w Pakistanie ludzie się ze sobą nie cackają. Jednak w czasie podróży po prowincji Sindh i po innych rejonach kraju wciąż byłam gościem. Dostałam kilka adżraków – drukowanych tkanin wręczanych gościom w Sindzie zgodnie ze starym zwyczajem. Nieznana mi wciąż osobiście siostra Atifa z Thatty wyszyła dla mnie szalwar kamiz. Ręcznie, koralikami, pasuje jak ulał. Powoli też nauczyłam się roli gościa.

Najważniejszą lekcją był chyba wyjazd na wieś. Biała pani etnograf bardzo chciała ją zobaczyć:

– Wyjedźmy na wieś. Mam dosyć tego miasta. Tego kurzu, hałasu. Jestem ciekawa, jak żyją ludzie na wsi – marudziłam Wasimowi coraz częściej. On jednak nie przejawiał entuzjazmu. Nikt z naszej pochodzącej z Indii rodziny nie mieszka na wsi. Tylko jeden wujek osiedlił się na wsi, około tysiąca sześćset kilometrów od Karaczi.

– Aha – słyszałam najczęściej w odpowiedzi. Czasem Wasim dodawał: – Rzeczywiście, bardzo dużo u nas kurzu.

Najwyraźniej starał się wszelkimi sposobami odwlec decyzję. Leń! Tak jakby nie można było wyjechać za miasto na pół dnia i skrócić sobie do jakiejś wsi, myślałam.

Nareszcie któregoś dnia oznajmił:

– Zobacysz swoją wieś. Przygotuj się do drogi. To zajmie cały dzień. Dwieście kilometrów od Karaczi.

Wyjechaliśmy we dwoje. „Cudownie – cieszyłam się. – Nareszcie tylko my, z dala od całej rodziny, od znajomych, tych wszystkich *bhai* i ich żon, którzy wiecznie nam towarzyszą”. Ufff.

Zamiast jednak na wieś, zajechaliśmy do czyjegoś domu w Karaczi.

– To mój przyjaciel, Seklen *bhai* – powiedział Wasim, pokazując na kolegę, który uśmiechnął się uprzejmie. – Pojedzie z nami. – Dla bezpieczeństwa, jak się potem dowiedziałam.

Byli mili, choć przez drogę rozmawiali głównie w urdu, nie wiedząc może, jak mnie to irytuje. Ale nie pojechaliśmy na wieś. Zatrzymaliśmy się w smętnym miasteczku, w biurze, gdzie powitali nas z otwartymi ramionami

kolejni życzliwi wąsaci panowie. Nie było ani jednej miejscowej kobiety. Poczęstowali nas wodą, herbatą, chrupkami, zaprosili na chwilę do biura, gdzie od niechcienia kręcił się wiatrak. Pokazali pokój z maszynami do szycia, w którym miejscowe panie uczą się technik haftu w ramach programu wzmacniania pozycji zawodowej kobiet. Podali obiad. Wyłączono prąd. Rozmawialiśmy długo i serdecznie.

– To jest organizacja pozarządowa. Zaraz przyjdzie Faisal – informował mnie narzeczony. – Faisal jest krewnym kogoś we wsi, do której jedziemy. Właśnie na niego czekamy.

Do naszego samochodu weszli jeszcze dwaj panowie. Przed nami pojechał dodatkowy samochód z pracownikami tej organizacji. Ruszyliśmy, tym razem już rzeczywiście ku wsi. Samochody zaparkowały nad strumyczkiem. Ośmiu panów zapaliło papierosy.

– Teraz Faisal pójdzie z tobą. *Take your time*, nie śpiesz się. My tu poczekamy – powiedział Wasim. – Nie możemy wejść do wsi. Tam jest *parda*. Wszystkie kobiety musiałyby się przed nami schować – wyjaśnił.

We wsi także narobiłam zamieszania. Przepięknie ubrane kobiety z kołami w nosach sadzały mnie na plecionych łózkach (ćarpajach), uśmiechały się, dotykały mnie i przynosiły różne hafty, materiały, ozdoby. Stare kobiety głaskały mnie po policzkach. Pokazywały kuchnię i domki z gałęzi pokrytych gliną. Próbowwały rozmawiać w sindhi, ale Faisal nie był dobrym tłumaczem. Golutkie dzieci z czarnymi wstążkami na nóżkach pierwszy raz widziały białego człowieka na żywo. Patrzyłam, jak dziewczynki myją aluminiowe naczynia w strumyku. Czułam się i wspaniale, i idiotycznie. Wspaniale, bo Malinowski, Lévi-Strauss, Geertz – jaki musieli czuć dreszcz emocji w podobnych miejscach! A idiotycznie, bo co ja tu robię? Etnograf od siedmiu boleści. Dlaczego Wasim mi nie powiedział, ile wysiłku włożył, żebym mogła spełnić swoją głupią zachciankę? Gdy wróciłam do samochodów, ośmiu panów dalej czekało. Wciąż byli bardzo mili, pytali o wrażenia, cieszyli się moim zadowoleniem. Nie wspomniałam im o najważniejszym – że chyba właśnie dotarło do mnie coś bardzo ważnego w pakistańskiej gościnności i korzystaniu z niej. Gość widzi tylko to, co powinien widzieć. Bardzo dużo jest przed nim ukryte z jakichś powodów. Czasem grzeczniej jest nie skorzystać z propozycji ani nie dążyć do spełnienia swoich „najzwyczajniejszych” pragnień za wszelką cenę. To, co zwyczajne dla mnie, dla kogoś może być powodem wielu kłopotów.

A przecież gospodarz musi zachować honor. Nie może lub nie chce odmówić.

Mieszkanie

Drawing room, czyli salon

Nasz salon – *drawing room* – wydał mi się bardzo skromny. Nie podobał mi się. Wyglądał jak urządzonej naprędce. Bywają salony pełne luster, marszczonych kotar, fikuśnych rzeźbionych mebli w arabskim stylu, czerwonych poduch, wypchanych ptaków, figurek i bibelotów, rodzinnych pamiątek, tradycyjnych huśtawek. Prawie zawsze na ścianach są muzułmańskie kaligrafie. W niektórych salonach ważne miejsce zajmuje karabin. Książki widuje się rzadko. Nasz „duży pokój” to komplet sof i mały stolik. Pod jedną z sof skrzętnie ukryte ciężarki do ćwiczeń. Na sofie złożone *dżanamaz* – dywaniki do modlitwy, często prane. Dywan, zakratowane okna, jasne zasłony, żyrandol, wiatraki. Robotnicy ozdobili ściany stiukami i wnękami, w których gromadzi się kurz. Na ścianie wisi też czarna tablica, a na niej wypisane złotymi literami dziewięćdziesiąt dziewięć imion Boga. Jeśli ktoś zna je na pamięć, dostanie się do raj. Kiedyś był w salonie wazon pomarańczowych sztucznych kwiatów, który po różnych przeprowadkach udało się wreszcie wyrzucić. Szafka na książki pojawiła się później, tak samo jak pianino cyfrowe i dwa bębny z Liberii. Nie mamy w domu tabli. Czasem Wasim i mama biorą bębny do ręki – i stają się zupełnie kim innym. Żałuję, że nie znałam mamy, gdy miała więcej okazji do grania.

Zapraszam państwa do naszego domu

W przedpokoju przy rurach z gazem (do których podłączone są lampy gazowe, niezbędne, gdy nie ma prądu) wisi breloczek z aksamitnym czerwonym sercem i napisem „love”. Obok niego dwa sznury *tasbi*, często

zdejmowane do modlitwy. Naprzeciwko egzotyczna maska, która wygląda jak *nazar battu* – ochrona przed urokiem. Wszystko momentalnie się kurzy. Lubię patrzeć na te religijne gadzety. Najokazalszym w domu jest chyba miniatura Kaaby w Mekce, zamknięta w bańce z wodą i wirującymi kolorowymi gwiazdkami – w identycznym stylu co Rzymy, Lourdes’y czy Jasne Góry.

W przedpokoju stoją też lodówka i jedyny w domu stół. Jedzą przy nim teściowie, bo teść nie podoła już siedzeniu na podłodze. Stół jednak służy głównie do tego, żeby stawiać na nim różne rzeczy: zabójczo pachnący aćar w słoiku, świeżo ugotowane mleko (żeby szybciej przestygło, włączamy wiatrak), ciecierzycę do namoczenia, suszone owoce i orzechy. Szklanki na tacy (każdy ma swoją). Od wody zaczyna się dzień. Domownicy piją też lodowatą wodę po jedzeniu, choć to niezgodne z sunną (tradycją muzułmańską): prawidłowo jest przed jedzeniem. Słyszeli o tym, jednak odkąd pamiętają, pili po. Czasem przy stole jedzą dzieci, dziadek rozmawia z córką albo – co prawda dość rzadko – pomaga dzieciom w lekcjach. Pod stołem, zupełnie jak pod stołem u mojej babci w Lublinie, ukrywają się butle z sokami, pudła z mikserami czy innymi maszynami, fascynującymi dla dzieci.

Wzdłuż ścian stawiamy dwudziestolitrowe butle z wodą, wtaczane co tydzień przez brodatego paniwałę. Przy stole stoi dystrybutor wody z minilodówką – o to, kto ma założyć nową butlę, codziennie toczy się walka (próbuję to robić mama, wyręcza ją Wasim albo Śehzad). Na dystrybutorze – kosz z owocami. W przedpokoju jest też kredens, intrygujący, jak to domowe kredensy. Talerze, sztucce, rachunki, tajemnicze lekarstwa i maści (Wintogeno! Neo-Carmina!), grube książki w urdu, zapasowe *dżanamaz*, w szufladach stare zdjęcia gdzieś z daleka – a na nich na przykład teść z bujną czupryną, teściowa o kilka kilogramów cięższa i weselsza, chudziutki brodaty Wasim, radosna mama Arifu i Asmy w szalwar kamizie i adidasach, bo lubiła biegać. Równie ciekawe są: szafka w pokoju teściów, pełna fascynujących starych fotografii, specjalna walizka z dokumentami i szafa, ale tam nie mam odwagi zaglądać. Choć zamykanie szaf na klucz to rzadkość. Drzwi na klucz – jeszcze większa rzadkość. Można zaglądać wszędzie, pożyczać ubrania, biżuterię, kosmetyki.

Każda z „podrodzin” tu mieszkających ma swój pokój z łazienką. Trzy

sypialnie – trzy łazienki; dlatego Wasim uważał, że mieszkania w Polsce są niewygodne. Trzy sypialnie – trzy szafy pełne sari teściowej, *lungi* („spódnic”) teścia, szalwar kamizów, T-shirtów i ubrań dziecięcych. Do pokojów wchodzi się boso. Muzułmanie mówią, że to wynika z zaleceń religijnych (należy chodzić boso po dywanach), choć równie przekonująco można argumentować, że to zwyczaj indyjski. W naszej sypialni stopniowo pojawiły się półki z książkami.

– To wszystko twoje? Ty to naprawdę czytasz? – nie dowierza Norin, sąsiadka, która kiedyś mnie odwiedziła.

Mamy też komorę (*store*), w której trzymamy walizki, odkurzacz, hulajnogi, pluszowego dinozaura. Jest tam też zbiornik na wodę niezbędny w częstych kryzysowych sytuacjach. Idea domowego survivalu (stosunkowo krótkotrwałego, bo kilkadziesiąt litrów wystarczy może na dzień) jest w Karaczi wcielana w życie na różne sposoby.

Jest jeszcze zakratowany balkon, na nim sznury, kartonowe pudła z ubraniami do prania, generator, osobny kubek dla khaćrewali (śmieciarza, zamiatacza; jest nie do pomyślenia, żeby miał używać jednego z tych, z których piją domownicy), miotły, piec grzejący wodę i brodzik do prania – wyłożony kafelkami, z dwoma kranami. Obok stołeczek.

***Pankha*, czyli wiatrak**

W domu w Karaczi ciągle wieje i huczy, niczym na statku. Tego nie spodziewałam się zupełnie. Upału – tak. Ale nie, że będzie wiecznie wiało, że będzie wiecznie szumiało albo warczało. Że będą fruwały kartki, na których rysujemy, i że trzeba je będzie przyciskać z każdej strony kredkami albo czym się da. Że będą fruwały bluzki, które prasuję, i że codziennie będę musiała prasować w tym wicherze dupatę. Na początku wyręczały mnie szwagierki, ale wiedziałam, że takie usługiwanie szybko się skończy. Kobiety służą tu swoim mężczyznom, a ich relacja z innymi kobietami jest napięta (z tego właśnie powodu). Poza tym nie lubię, żeby mi usługiwano. Po co? Dar uzależnienia. Woła o odpowiedź: masz obowiązki wobec tych, którzy okazują ci uległość. Usługiwała mi szwagierka (Faiza), której bardzo zależało, żebym ją lubiła i stawała po jej stronie w sporach z moim mężem i z teściem.

To wszystko przez wiatrak, który kręci się przez całą dobę i wprowadza

w ruch gorące powietrze.

Podczas prasowania wiatrak można wyłączyć; na początku, gdy to robiłam, prasowałam i płakałam. Potem przywykłam do lepkiego potu, który zaczyna ze mnie spływać mniej więcej po sekundzie od wyłączenia wiatraka. Życie w Karaczi jest słone: wciąż czuć w ustach sól. Nie spodziewałam się, że dzięki szumowi wiatraków i warkotowi generatorów po kilku latach w Karaczi będę wybuchała płaczem, słysząc muzykę. Tęsknię za pięknymi dźwiękami i za ciszą. W domu nie mogę się odizolować słuchawkami na uszach. Ciągle coś lub ktoś potrzebuje mojej uwagi.

Wiatrak to też zagrożenie. Nie wszystkie sufity są wysokie. Nie można stawać na łóżku, gdy się kręci w pobliżu. Pewnego ranka do pokoju dzieci wleciał gołąb. Zmieniło go na miazgę, która rozbryznęła się po całym pomieszczeniu. Zbieraliśmy ją do wiadra szmatą.

Świat w kratkę

Kolejnym charakterystycznym elementem pakistańskiego domu są kraty. Okratowane okna sprawiają, że człowiek czuje się jak w więzieniu, zwłaszcza jeśli spędza się w domu znacznie więcej czasu, niż przywykłam w Europie. Już po półtora miesiąca w Karaczi, gdy danego dnia akurat nie wyszłam, zakratowany pejzaż z okna potrafił mnie dobić. Nie mogę nawet zobaczyć kawałka czystego nieba – rozpaczałam, choć o czyste niebo trudno i poza domem. Kraty w oknach muszą być na tyle gęste, żeby nie przeleciał przez nie żaden ptak. Te balkonowe to kwadraciki dwa na dwa centymetry, tak małe, że nie da się zrobić przez nie zdjęcia. Zawsze pojawia się na nim cień kraty. Gdy tylko tu przyjechałam, ta granica była dla mnie głównie symboliczna. *Orbis interior* i *orbis exterior*, łomotało mi w podekscytowanej, jak to na początku, głowie. Świat męski i świat kobiecy oddzielone od siebie tak wymowną granicą! Stopniowo doceniałam praktyczny wymiar okratowania. Jest gorąco. Okien się nie zamyka, oprócz trzech zimowych miesięcy. Pod kratę parę razy podleciało wielkie ptaszysko – w Karaczi pełno jest orłów i sępów, które szukają jedzenia w pobliżu domów, w górach śmieci. Przylatują tu wrony. Biegają koty – czasem udawało się im przedostać do domu i narobić szkód (zjeść pół bochenka chleba tostowego albo wywrócić pozostawiony na noc garnek mleka). W domu roi się od dzieci, które w takich warunkach bez krat nieuchronnie by powypadały.

Przez kraty nie widać nas z ulicy, a na ulicy dzieje się wszystko.

Bez łuskania groszku dom by nie istniał

Łuskania groszku staram się unikać, zwłaszcza gdy teść przyniesie pięć kilogramów. Zleca się to zadanie dzieciom, choć czasem muszą do niego zasiadać wszystkie kobiety. Takich jednostajnych czynności jest w domu więcej. Czyszczenie szpinaku, portulaki, liści gorczycy i innych sagów, jak nazywa się warzywa liściaste. Drobne listki, które przynosi się w naręczach – mała pachnąca łąka na stole. Czyszczenie gór bhindi (czyli piżmianu, w Polsce znanego jako okra), kareli i innych warzyw. Obieranie i krojenie kilogramów imbiru i czosnku, albo ziemniaków na frytki i chipsy. Mycie kilogramów mięsa tak, żeby usunąć ślady krwi, czyszczenie kozich nówek, sprawianie ryb. A także – przebieranie ryżu, co widziałam przy spotkaniach chrześcijańskich, gdy kobiety przygotowywały posiłek. Wasim powiedział: w domu nie przebieramy ryżu, bo kupujemy najlepszy gatunek, który wystarczy tylko dobrze umyć. Trzeba dziękować Bogu, że możemy sobie na to pozwolić. Nie ja o was dbam przecież. To Bóg dostarcza nam wszystkiego.

Dzieci łuskają groszek z większą pogodą ducha. Przywykły od małego. A groszek jest wyjątkowo wdzięczny w obróbce w porównaniu choćby z imbirem. Zielony, ładny, jędrny. Z dziecięcej perspektywy łuskanie to nie strata czasu, tylko sposób, by miło go spędzić, pogadać, pooglądać kreskówki. A w strąkach groszku mieszkają gąsienice.

Kiedyś znaleźliśmy osiem. Włożyliśmy je do pudełka, daliśmy im trochę groszku, trawy i strączków. Nadaliśmy imiona. Trzy były bardzo duże i dorodne. A jedna – maleńka, *baćca* (dziecko). Jedna się zgubiła. Jedna umarła. Jedna się ponoć w pudełku urodziła. Mniejsze gąsienice siedziały w pudełku i jadły groszek, ale większe – dwie zielone i czarna, *itna naraz!* (taka zła!) *bohot badmaś!* (straszny łobuz!) – walczyły o teren i emocje były takie, jakbyśmy oglądali przynajmniej walki kogutów!

Dzieci pytały mnie, czy z tych gąsienic będą motylki. Powiedziałam, że tak, choć nie wiem, jak wyglądają. Dzięki wyszukiwarce Google i Wikipedii dowiedziałam się, że należą do gatunku *Cydia nigricana* – ciem żywiących się groszkiem, co odzwierciedla rosyjska nazwa *gorochowaja płodożorka* albo *gorochowaja listowiortka*.

Łazienka

Bardzo lubię łazienkę w Karaczi. Po pierwsze, jest tylko nasza. Po drugie, nie ma tam brodzika ani wanny, tylko obfitość pryszniców. W Polsce, zwłaszcza w toalecie, często czuję się niedomyta, choć łatwo temu zaradzić za pomocą plastikowej butelki z nakrętką przedziurawioną parę razy.

Nasza toaleta w Karaczi jest w stylu zachodnim (sedes), łazienka w pokoju dzieci – w stylu wschodnim (dziura w podłodze). Przez okna słychać gruchanie gołębi. W szafce często mieszka jaszczurka. Muzułmański prysznic jest mały, przymocowany obok toalety – można nim umyć pupę. „My, muzułmanie – pisze Humayun Gauhar w artykule o szczegółach muzułmańskiej toalety – nie używamy papieru toaletowego, bo on zwyczajnie nam nie wystarcza. Używamy wody, najbardziej higienicznej, która chroni nas przed hemoroidami. To nie ma nic wspólnego z religią, mycie po toalecie to nie patent muzułmanów. Ludzie Zachodu uważają, że jesteśmy brudni, bo dotykamy własnej kupy. My nie możemy zrozumieć, jak można chodzić nawet z odrobinką kupy w pupie”.

Nie mamy loty, choć nie da się mieszkać w pobliżu Pakistańczyków i się na nią nie natknąć. To dzbanek, który służy do umycia pupy, obecny nawet w łazienkach z zainstalowanymi „muzułmańskimi prysznicami”, zabierany także w podróż. Członkom misyjnego ruchu Tablighi Jamaat[10] czasem wytyka się to, że nosili zawsze jedną lotę w plecaku, na wypadek gdyby nie znaleźli noclegu. Najtańsze loty produkcji chińskiej są plastikowe i lekkie, niezwykle pstrokate. Papier toaletowy bywa trudno dostępny, zawsze warto mieć zapasik przy sobie. Niestety człowiekowi z Zachodu trudno się odnaleźć w toaletach tylko z lotą lub prysznicem.

Dawniej ludzie chodzili na pola z lotą, w której nieśli wodę do intymnej toalety. Lota miała półokrągłe dno, żeby się nie przewracała na nierównej powierzchni. Dlatego „chorągiewki” polityczne nazywa się w Pakistanie „lotami”: z której strony potrząsniesz, zawsze wstaną i przyłączą się do którejś partii – tej, która jest najbardziej na czasie. Ukuto nawet termin „lotokracja” – rządy „chorągiewek”. Gdy pojawiły się toalety, lota zmieniła dno na płaskie i zyskała dzióbek.

Gadżety

Polska. Grudzień, tuż przed Bożym Narodzeniem. Ucieramy kremy i mak w rowkowanej makutrze drewnianą pałką z okrągłą końcówką. Ubijamy białka trzepaczką, żółtka z cukrem – też trzepaczką, na parze. Wyrabiamy ciasto drożdżowe – „ciasto lubi ręce”. Jest tak, jak powinno być. W kuchni siedzi też Wasim. Przygląda się długo, przygląda. W końcu mówi:

– Czuję się u was jak u jakichś amiszów!

Amiszów!

Przybysz z Trzeciego Świata! Za taki kraj właśnie się Pakistan uważa, czyż nie? – czuje się w polskim domu jak wśród amiszów. Oho!

A jednak.

W wielu pakistańskich domach gubię się wśród mikserów, blenderów, żelazek (po kilka), automatycznych tarek i przyrządów do krojenia. Klimatyzatory, odkurzacze, mikrofalę, tostery, suszarki do włosów. Telewizory, laptopy, tablety, stopy komórek i ładowarek. Na zdjęciach z obozów dla powodzian widać biednych ludzi – ale prawie każdy z nich ma w ręku komórkę. Tylko zmywarek do naczyń brak. I radiodbiorników, bo mają nikłe szanse w konfrontacji z huczącymi wiatrakami. Wszystko to jest trzymane w firmowych pudłach. Czasem z lodówek czy pralek nie zdejmuje się folii i markowych napisów.

Na szczęście mamy też tradycyjne naczynia kuchenne, stare i niezawodne. *Karahi* przypomina nieco wok, ale z grubymi ściankami. Małe cienkie wałki do roti, tawy, aluminiowe garnki, drewniane wyciskacze do cytryn, dziurkowane łyżki do smażenia w głębokim oleju, formę do sera *panir*, kamień do ucierania dału i do krojenia mięsa z kością (trzeba wbić nóż w mięso i uderzać w niego kamieniem), łyżki i łopatki do różnych czynności.

Masi

W urdu *masi* znaczy siostra matki, ale powszechnie nazywa się tak pomoc domową.

– Szanujemy je – tłumaczą wszyscy. Śaista, Wasim, Faiza, Zara.

„Nie pierz, *masi* wypierze”, „Nie myj podłogi, *masi* umyje”, „Nie dawaj jej do prania ubrań, na których ci zależy!” Miesza rzeczy kolorowe z białymi (a niektóre kolorowe rzeczy bardzo farbują), wieszka je niedbale i często ubranie już do niczego się potem nie nadaje. Tylko do podarowania *masi*.

– Jak się nie będziesz uczyć – krzyczy Faiza do czteroletniej Asmy – to zostaniesz *masi*! Asma będzie *masi*!

– Niiieeeeeeee! – ryczy Asma ze złością.

Obcy w domu. Widzi dużo więcej, niż chcemy jej pokazać. Zanim wejdzie, zdejmuje buty. Mówi do mojej teściowej „matko” (*amma*) albo „starsza siostró” (*bhadźi*). Ja jestem zawsze *bhadźi*.

Jest tak potrzebna jak w Polsce pralka. Gdy rodzinie zaczyna się lepiej powodzić, najpierw płaci khaćrewali, a zaraz potem wynajmuje *masi*. Dzięki jej pomocy kobiety nie muszą same prać, myć i zmiatać. Czasem *masi* pomoże też przy obiedzie, zagniecie ciasto na roti. Nasze *masi* pochodzą głównie z Pendżabu. Jeżdżą do pracy autobusem, minivanem albo przychodzą pieszo. Noszą kolorowe szalwar kamizy, często złożone z kilku różnych kompletów. Zawsze owijają głowę dupattą, miewają przekłute nosy, na ramionach – szklane bransoletki. Mają ciemną skórę i świdrujące czarne oczy. Mówią bardzo głośno. Trzeba z nimi rozmawiać równie głośno, surowo i stanowczo. Pakistanka ma być cicha i potulna wyłącznie w towarzystwie swoich mężczyzn, i to publicznie. Wobec obcych mężczyzn ma być ostra, surowa, władcza i szorstka, wobec kobiet – również. Wobec *masi* – szczególnie.

Teść słynie z trudnego charakteru. Służące zmieniają się dość często, a rozstanie zwykle przebiega burzliwie i dramatycznie. *Masi* bywają w tak wielu domach, że wiedzą chyba wszystko o życiu mieszkańców swojego „rejonu”. Dlatego nie pozwalamy im wchodzić do naszego pokoju i czyścić naszej łazienki.

Pierwsza *masi*, którą pamiętam, miała lekką wadę wzroku. Dostawała u nas herbatę w potłuczonej filiżance, a czasem ryż, który jadła na podłodze w kącie kuchni. Syn, z którym przychodziła, siedział prawie nieruchomo na podłodze przy drzwiach wejściowych. Gdy się do niego uśmiechałam, nie wiedział, co zrobić. Ja też nie wiedziałam. Nasze dzieci do niego nie podchodziły, choć był w ich wieku, a sugestia, żeby dały mu którąś ze starych zabawek (których miały wielkie wory), wywoływała normalny u dzieci gwałtowny protest. Nie ma mowy! Miała także córkę, też *masi*, kilkunastoletnią, z wadą serca.

Potem była Kulsun. Nie spóźniała się, miło się uśmiechała, miała maleńkie dziecko i kładła je na materacu. Sprzątała szybko i sprawnie, a prała byle jak. Teściowa ją lubiła. Odeszła, bo musiała wracać do swojej wioski

w Pendżabie. Po niej przyszedł „słoń”. *Elephant. Hathi*. Tak domownicy przezywali z powodu gabarytów kolejną *masi*, która nie zagrzała u nas miejsca. Zrzuciła mojemu teściowi klapki antypoślizgowe z Dubaju na dach sklepu pod naszymi oknami. Wasim musiał wchodzić na ten dach, żeby je odzyskać. Była wielka awantura. Nie zdejmowała butów przed wejściem do mieszkania (jak inne *masi*), tylko w przedpokoju. Stłukła talerzyk. Przychodziła późno, sprzątała powoli. Wybrzydzała. Raz chciała herbaty, a raz wody. Musiała odejść, bo „zachowywała się jak domownik, a nie jak *masi*” – tak mi wytłumaczono. Było mi jej szkoda.

Po niej przysła dziewczyna w ciąży, która zaglądała do moich garnków i próbowała, więc jej wybitnie nie lubiłam. Gdy wchodziłam do kuchni, ona odwracała się znad naczyń, nieruchomiała i wpatrywała się we mnie przeciągle. Klepała mnie po ramieniu. Gdy odeszła, przyszły do nas matka z córką. Próbowaly u nas pracy dwa razy. Kiedyś matka musiała pojechać na czterdzieści dni do rodzinnej wioski, bo jej siostrę ktoś zastrzelił jako *kari*, w sprawie „o honor”. (Skazani na śmierć w sprawach honorowych nazywani są *karo* albo *kari*. W dosłownym tłumaczeniu *karo* oznacza oczernionego mężczyznę, a *kari* – oczernioną kobietę. Niesława zawsze łączy się z oskarżeniem o niemoralność, zwłaszcza o niemoralne prowadzenie się kobiet. Ciała zabitych chowane są na tak zwanych cmentarzach dla oczernionych, *karian dżo kabristan* – w niedbale usypanych mogiłach, bez przepisowego obmycia i ubrania).

Unikałam następnej *masi*, wylewnej i nadmiernie przyjaznej. W Pakistanie im promienniej ktoś się do mnie uśmiecha i im żałośniej szlocha, tym mniej mu ufam. Zbyt często oznacza to, że zwyczajnie czegoś ode mnie chce i ma nadzieję wzbudzić moją litość. Wszystkie wzmianki o kimś z mojej rodziny (na przykład gdy odpowiadałam na pytania: Czy twoi rodzice żyją? Czy masz rodzeństwo?) kwitowałam czymś, co brzmiało: *Allamijasajirakhebas*. Okazało się, że to utarty zwrot, którego pełna forma brzmi: *Alla Mian sahi rakhe, bas* (Niech Pan Bóg go utrzymuje w dobrym zdrowiu, i już).

Farzana miała troje dzieci i była w czwartym miesiącu ciąży. Zawsze czysto ubrana, pogodna i cicha, co ją bardzo odróżniało od poprzedniczki. Robiła mojej teściowej masaż olejem podgrzewanym w metalowej łyżce. Nie chciała piątego dziecka. Planowała operację „zamknięcia”, czyli podwiązania jajowodów zaraz po porodzie. Opowiadała, że mąż ją bije – nawet nie wie, że

jego żona będzie miała cesarskie cięcie i operację.

– Trzeba trochę odpoczywać – mówiłam jej głupio, bo widok kobiety w ciąży, która szoruje nam podłogi, nie dawał mi spokoju.

– *Bhadzi, kam madźbur he* (Praca to konieczność) – odpowiadała z uśmiechem.

Czasem rozmawialiśmy na balkonie. Prosiła, żebym o tym nie mówiła teściom.

– *Itni hamoś ho* (Jesteś taka spokojna i cichutka).

Dużo pytała – jak żyją ludzie w moim kraju, czy tęsknię za mamą. Opowiadała mi coś, ale nie wszystko rozumiałam. Mówiła, że się boi porodu i tego, co będzie potem. Dałam jej kwas foliowy, trochę pieniędzy, octenisept, żeby odkażała nim ranę, ale jak zawsze czułam się bezradna. Pracowała aż do rozwiązania, budząc moje straszliwe poczucie winy, choć nie ja ją wynajmowałam. „Pojechała do szpitala” – wyjaśniła teściowa któregoś dnia. Potem ślad po niej zginął.

I ostatnia *masi*. Pogodna i przy kości. Może pierwsza z kobiet w otoczeniu – po kilku latach! – potraktowała mnie jak kogoś, kto przyjechał z daleka i wielu zwyczajnych rzeczy wciąż nie wie, bo niby skąd. I można mu to pokazać. Jak strzepywać mokre szalwary, żeby nie trzeba było ich po wyschnięciu prasować. Jak cienko obierać oporną karekę. Robiła to zwyczajnie, w moim odczuciu bezinteresownie (jedyne, co mogłam jej dać, to parę groszy i ciuch w o połowę mniejszym rozmiarze). Pomogła mi bardzo.

Masi negocjują warunki bardzo twardo i często nie godzą się na różne prace. Nasze *masi* nie umyją ścian, drzwi ani kosza na śmieci. Prac takich jak sprzątanie szafek zwyczajnie się im nie powierzy, bo duże jest ponoć ryzyko, że część zawartości zniknie. Dochodząca *masi* nie powinna wiedzieć o domu wszystkiego.

Traktują swoich pracodawców także jak ubezpieczycieli. Mieć służącą to duże zobowiązanie. Proszą o dodatkowe pieniądze na leczenie, oczekują, że się im podaruje ubrania, torebki, buty, zabawki dla dzieci.

Zaistnienie *masi* w moim życiu było zmianą o sto osiemdziesiąt stopni. Ktoś codziennie myje za mnie podłogę! Z tym kimś nie wolno mi się zaprzyjaźnić. Może nigdy nie odwiedzę domu żadnej z nich, nie poznam jej rodziny. Społeczne doły traktuje się jak „doły”, nie dając im szans na awans. Mało komu zależy, żeby *masi* się uczyły, zmieniały status. Skąd wziąć dla

nich inną pracę? Co zrobić z tymi tysiącami (albo i milionami) kobiet, gdyby zaczęły być świadome swoich praw i swojej wartości?

Wchodzę do tradycyjnego zamożnego domu w Karaczi. Kilka pięter, ażurowe ściany na klatce schodowej, strome schody, kamienna podłoga, gabinet pana domu z komputerem i okazałą biblioteką. Kobiety przynoszą mi herbatę z kuchni. Mają tu kucharkę, dwie stałe panie do sprzątanania i prania, kosmetyczkę, krawca, aję (nianię) do dzieci, kierowcę.

– Na Zachodzie nie macie *masi*! – mówi jedna z tych kobiet. – Czy to byłaby wolność, gdybym sama musiała zmywać, prać, czyścić toalety, nosić ciężkie zakupy?

To może nie jest wolność, myślę. Pewnie, że przyjemnie, gdy tragarz ci niesie zakupy, kierowca wozi, kucharka gotuje, *masi* sprząta, służący wyprowadza pieska i nie stoisz w kolejce do niczego. Ale czy to jest wolność, jeśli nie możesz na cały dzień wyjechać z koleżanką pociągiem do nieznanego miasteczka pod Karaczi? Choć może nawet o tym nie pomyślisz.

Masi powinna być tania. Zarabiać mało. Nie czuć, jaka jest potrzebna. Sprzątananie, pranie, szycie, wyszywanie, zamiatanie nie mają tu wartości.

– *Masi* nie powinna też kształcić swoich dzieci, bo to jej los – mówi smutno jedna z moich pakistańskich znajomych, której opowiadam, jakim szokiem są dla mnie spotkania z *masi*. – Tak mówią. Bóg tak chciał, żeby ona żyła i umarła jako *masi*. Córka *masi* powinna pozostać *masi*. Syn *masi*, jeśli będzie się starał, może zostanie fryzjerem.

Świat nie rozpieszcza *masi*. Pracują dla kogoś, a zarobione pieniądze oddają mężom. O swoim losie nie decydują same, rzadko mają szansę skończyć studia. Na pewno nie podołałabym takiemu życiu. Mimo to – choć może po prostu za mało o nich wiem – *masi* wydają mi się wolne. Wychodzą swobodnie na zewnątrz. Nie zasłaniają twarzy, nie noszą burek. Zazdroszczę im bardzo, gdy widzę zza krat balkonu, jak razem idą, głośno rozmawiają i wybuchają śmiechem. Robią to, za czym bardzo tęsknię. Widzą i czują świat codziennie.

Kiedyś dawałam Michałowi śniadanie w dużym pokoju, gdy weszła *masi*, żeby zamieść dywan.

– *Munne*[11] *bhai* – mówiła jak zwykle do Michała – *našta kar lo!* Jedz śniadanie! Mama daje ci śniadanie, jedz, jedz... *Aaa karo*, zrób „aaa”. *Bhadzi!* Mnie też daj!

– Co mam ci dać? – Zrobiłam wielkie oczy. – Śniadanie?

Masi złapała mnie za przód kamizu.

– *Kapre!* Ubranie, ubranie mi daj!

Kapre, czyli coś pomiędzy darem, śmieciem i jałmużną. Jak zwykle w takich sytuacjach poczułam wstyd. Wiele razy czułam go na wsi w Sindzie, gdy kobiety brały mnie na stronę i mówiły: jesteście biedne. Daj. Wydawało mi się, że żebrzą. Jak mogą aż tak nie mieć godności? Widocznie bieda naprawdę odbiera wszelkie hamulce. Nigdy nie dałam wystarczająco. Zawsze było za mało. „Tylko tyle?” – słyszałam. Czułam, że nawet gdybym dała wszystko, co mam, nie wystarczyłoby.

I teraz znowu. *Masi* u nas pracuje, a zachowuje się jak żebraczka!

Jak żebraczka na Zachodzie. Ale w Pakistanie jest inaczej. Pracuje u nas i to jej prawo, o które musi się upomnieć.

Zachód nigdy nie lubił żebraka i wraz z rosnącą wartością pracy coraz mniej miejsca mu udzielał. Żebrak prosi bez tłumaczeń. Nie wyjaśnia, nie zbiera na szczytny cel. Nie chce nic zmienić. Dając, wspieramy jego zawód, który jest zerowaniem na emocjach tych, co uczciwie pracują. Budzi coraz częściej mieszanie, złość, nieufność, podejrzenia, czasem agresję.

Tymczasem w Pakistanie tak właśnie „ma być”. Ktoś mi usługuje, pracuje dla mnie, okazuje mi szacunek i to mnie zobowiązuje do odpowiedzialności i troski wobec niego. Gdy prosi, nie żebrze. Uznaje swoją niższość (dlatego starsi nie proszą o nic młodszych, lecz żądają). Prosi tak, jak dziecko prosi rodziców, bo to jego prawo. Gdy boli ząb, gdy córka ma mieć operację, gdy brakuje ubrań, gdy kłóć się z kimś z twojej rodziny i chcą, żebyś ty go udobruchała.

– Zawsze lamentują, jak im ciężko – mówi teść. Jeśli masz stałego służącego, odpowiadasz za jeszcze więcej. Jeśli nie słuchasz, nie pomagasz, ignorujesz, ludzie mówią, że jesteś nieprzyjazna, zimna i że nie chcesz budować głębokich i trwałych relacji, opartych na głębokim oddaniu.

***Khaćrewala aja!*[12]**

Bez khaćrewali utonęlibyśmy w śmieciach. Jest potrzebny jeszcze bardziej niż pralka.

Śmieciami w domu zajmuje się kobieta, zwykle najmłodsza albo najmniej znacząca w rodzinie. Gdy tylko rodzina może sobie pozwolić na zatrudnianie

ludzi do prac domowych, wyrzucanie śmieci jest pierwszą brudną czynnością, która zostanie komuś zlecona. W Faisalabadzie na północy Pakistanu podczas badań terenowych okazało się, że w niezbyt zamożnym rejonie miasta – Nazimabadzie – w niewielu domach pracowała służąca. Jednak prawie siedemdziesiąt procent gospodarstw zatrudniało khaćrewalę – człowieka do zamiatania i wyrzucania śmieci.

W Karaczi nie ma podwórkowego śmietnika, do którego się wynosi śmieci. Nie ma codziennych dyskusji, sporów i ustaleń: kto dziś wyniesie śmieci, czyja dziś kolej. Nie ma też śmietników „ulicznych”. Mieszkańcy traktują niemal całą przestrzeń publiczną jak śmietnik.

Codziennie – czasem o dziewiątej rano, czasem o dwunastej albo i później – słyhać walenie do drzwi i wołanie: khaćrewala! Jeśli w tym czasie otworzę drzwi, widzę bosego mężczyznę albo chłopca, często z rzemieniem na kostce, który biegnie z tym okrzykiem od drzwi do drzwi.

Przyrostek *-wala* (lub *-wali* w odniesieniu do rodzaju żeńskiego) to sposób charakteryzowania kogoś. Naćnewala – tancerz (naćnewali – tancerka). Golgappewala – sprzedawca golgapp. Paniwala – pan, który przynosi wodę mineralną w wielkich butlach. Taksiwala – taksówkarz. Karacziwala – mieszkaniec Karaczi. I tak dalej (a jeśli *-wala* dodać do czasownika, to znaczy, że coś zaraz się stanie – na przykład *light dżanewali he* – zaraz wyłączą prąd).

Szybko wystawiamy śmieci za drzwi. Za chwilę khaćrewala wraca z wielkim plecionym koszem i wrzuca do niego nasze śmieci. Jeśli go w tym czasie spotkam, poprosi mnie o szklankę wody albo coś do jedzenia.

Śmieciarzowi w naszym domu wodę podaje się w najgorszej szklance, plastikowej i wyszczerbionej albo szklanej i obtłuczonej. Trzymamy ją w kącie balkonu między rupieciami i brudnymi sari. Jedzenie dajemy tylko takie, które i tak trafiłoby do kosza: przedwczorajszy ryż, zeschnięte roti, resztki salanu (czyli tego, co Zachód zna jako curry), który niezbyt smakował. Jeśli mamy tylko świeże jedzenie, mama mówi, że nie mamy nic. Czasem dajemy fioletowy banknot pięćdziesiąt rupii. Zwyczaj, który zabrania dawać *n i e d o t y k a l n y m* świeże jedzenie, tylko resztki i na pobitych naczyniach, jest bardzo stary. Wzmianki o nim można znaleźć w kodeksie *Manusmryti*[13]. W Pendżabie do dziś w męskich knajpach przeznaczają się dla chrześcijan – którzy bywają synonimem śmieciarza czy niedotykalnego – osobne potłuczone naczynia. John O’Brien, autor książki o pendżabskich

chrześcijanach, pisze o sobie: „autor często obserwował, jak ludziom z niższych warstw społecznych podaje się herbatę w popękanych filiżankach, przechowywanych osobno od tych, w których podaje się herbatę innym klientom. Sam też, gdy przychodził z chrześcijanami, często pił z tych popękanych naczyń”[14]. Nie w każdym domu jednak przestrzega się tego aż tak ściśle. Może kiedyś takie podziały całkiem znikną?

– Moja teściowa, jak tylko przyjedzie do Sijalkotu, to przekazuje gosposiom wszystkie rodzinne ploty. Kiedyś u nas też były oddzielne kubki (i też poszczerbione) dla gosposi i kucharki, ale od kiedy mamy dziewczyny, które lubię, używa się tych naczyń, tylko jak ktoś przyjdzie coś naprawić w domu, na przykład hydraulik albo elektryk. Nasze dziewczyny jedzą z normalnych naczyń, ale szczerze mówiąc, to nie każdej gosposi bym pozwoliła. Kiedyś miałam panią do prasowania, która przynosiła ze sobą córeczkę i kazała jej spać na podłodze. Nie pozwalała jej siadać na kanapie. Mówiłam, że mnie to nie przeszkadza, niech się położy na kanapie, ale ona kazała dziecku leżeć na podłodze – opowiada Joanna, także Polka, która mieszka w pakistańskim Pendżabie.

Śmieci z koszów i z ulic są wstępnie przebierane, trafiają na taczki, a z nich na wózek zaprzęgnięty w wyliniałego osła lub pchany przez kilku mężczyzn w różnym wieku. Śmieci zostawia się na wielkim wysypisku w pobliżu. Pasą się na nim osły i kozy.

Śmieciarze najczęściej są chrześcijanami. Są wśród nich też hindusi, którzy czasem przyjmują islam (wtedy nazywa się ich *masali*). To dawna najniższa warstwa społeczeństwa hinduskiego, niedotykalni. W Pakistanie oficjalnie nie ma kast. A jednak ludzie zajmujący się śmieciami wciąż są niedotykalni.

2 lutego wyrzuciliśmy choinkę. Matki Boskiej Gromnicznej. Parę dni potem chłopak, który zabierał nasze śmieci, zagadnął mnie:

– *Hello, sister*. Jak się masz? Skąd jesteś? Czy obchodzisz w Pakistanie Boże Narodzenie? Jestem chrześcijaninem.

– Ja też jestem chrześcijanką! – ucieszyłam się.

Odtąd starałam się składać życzenia świąteczne jemu i jego mamie. Rozmawiać. Gdy teść wdawał się z nimi w kłótnię i nie przychodzili do nas, szłam na dół i rozmawiałam. Słuchałam. Prosił mnie o pieniądze. Wynosiłam je ukryte w dupacie, żeby teściowie nie widzieli. Chciałam pogadać z kimś, kto dzieli częśćkę mojego świata. Wychodziłam z maleńkim

Michałem. Kiedyś przybiegły za nami dzieci z naszej rodziny. Były przy naszych rozmowach. Strasznie je to skonfundowało. Przecież wszyscy mogli nas zobaczyć.

– *Bhabhi*, chodź! *Bhabhi!* *Bhabhi*, tam! *Bhabhi*, nie! *Bhabhi*, *bhabhi!* *Bhabhi*, patrz, kot! – wołały, ciągnąc mnie za ubranie.

– Kiedyś niedotykalny nie mógł nawet stanąć w cieniu rzucanym przez bramina, a bramin w cieniu rzucanym przez niedotykalnego – mówi znajoma dziennikarka, gdy jej opowiadam o naszych zamiataczach.

Praca *masi* i zbieracza śmieci nie ma godności, a ich uczucia są bez znaczenia. Złota reguła „Wszystko, co chcielibyście, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie” czy też „Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe” rzadko ma tu zastosowanie. Pracodawcy zostawiają na talerzach przeżute potrawy, przeżute roti, tosty rozmoczone w herbacie. Praca zamiatacza to granica, której nawet nie umiem sobie wyobrazić, a przecież są jeszcze ci, którzy zajmują się ściekami. Nie sortujemy śmieci na plastik, szkło i odpady organiczne. Zawsze myślę o tych, którzy będą potem nasze śmieci przebierać wśród setek much, rzecz po rzeczy, wyławiając to, co jeszcze da się sprzedać lub wykorzystać.

Współlokatorzy

Robaki są wszędzie. Małe i duże. Szybkie i rozlazłe spasiose leniwce. Można z nimi walczyć za pomocą sprayów i kadzidełek, ale to daremne wysiłki. Nie zasypiają snem zimowym. Nie ma innego wyjścia – trzeba z nimi żyć.

Na ścianach i na podłodze. W pokojach i łazience. W torebce, jeśli schowałam do niej na przykład paczkę cukierków. W łóżku. W ręczniku. W książce. Na ciele. W szafce w kuchni między torbami z dalem i herbatą. W ryżu. W mące pszennej, żytniej i jęczmiennej. W krakersach. W warzywach oczywiście, na przykład urocze małe zielone gąsieniczki w zielonym groszku, okrze, kareli... W kaszy jaglanej i zarodkach pszennych firmy Santé. W suszonej włoszczyźnie, którą ktoś mi kiedyś wysłał, bo w Pakistanie nie ma świeżych porów i selerów korzeniowych (i jak wtedy ugotujesz zupę? Ha!). Są też takie, które mieszkają w sproszkowanym chili. To jest mistrzostwo świata: ktoś może jeść tylko chili i jeszcze w chili mieszkać!

W Karaczi nie ma pszczoł, os, szerszeni. Są muchy. Przed południem, gdy śmieciarze jeszcze nie skończyli pracy, nasze podwórko jest czarne od much. Podczas pikników czy posiłków na werandach obsiadają wszystko. W Pakistani Air Force Park afgańska rodzina zaprosiła nas na mantu i kabuli pulao. Pyszne, ale upstrzone muchami, które gospodarze niestrudzenie odganiaли. Trzeba powstrzymać wstręt i jeść z godnością. Nikt z nas nie może nic z tym zrobić. Oni żyją, przeżyją i ja. W domu mieszkają karaluchy. Przychodzą od sąsiadów, więc trudno z nimi walczyć. Nauczyliśmy się je zabijać klapkami. Czasem czułam się dziwnie, gdy Michał w wytwornym towarzystwie z upodobaniem rozgniatł przechodzącego insekta. Mieliśmy też pluskwy. Najgorsze ze wszystkich. Maleńka pluskwa przypomina czerwoną kropkę, potem są jeszcze dwa stadia rozwoju. Nie czuć, jak pluskwa gryzie, bo wytwarza przy tym substancję znieczulającą. Dopiero gdy ucieka, człowiek zaczyna czuć, że ciało go pali. Głodna pluskwa jest sucha, najedzona – czerwona i napęczniała. Nauczyłam się zabijać je gołymi rękami, choć nie powinno się tego robić, bo ryzyko infekcji jest takie samo przy rozgniataniu ręką jak przy ukąszeniu. Plam po pluskwach nie da się usunąć z ubrań ani pościeli.

Wstajemy w nocy, zapalamy światło, łapiemy, co się da, a one dalej są. Najgorzej, gdy gryzą dzieci. Niewiele daje fumigacja, czyszczenie parą, sprawdzanie ubrań i książek. Budzą we mnie podziw swoim uporem, wolą przetrwania, elastycznością. Bez jedzenia żyją aż dziewięćdziesiąt dni. Można je wymrozić albo wyprażyć. Nasza rodzina wyżywiła chyba całe pokolenia pluskiew.

Mrówki. Te balkonowe są nieszkodliwe, faraonki pojawiają się czasem i rzucają na każde pozostawione poza lodówką jedzenie. Zresztą mrówki łatwo wytępiłiśmy polskimi karmnikami Expel. Dokuczają nam maleńkie komary – *maćchar*. Przenoszą malarię i wirusy dengi. Śehzad chorował na dengę. Telepał się w upale pod kocem, skarżąc się na zimno. Trafił do szpitala. Silny, zdrowy chłop dochodził do zdrowia ponad miesiąc. Komary są najniebezpieczniejsze o świcie i o zmierzchu. Po deszczu pojawiają się *pattingi*, wyglądają jak mrówki ze skrzydełkami (w Polsce też je widziałam). Latem do domu wchodzi *ćipkali*. Małe i urocze jaszczurki, gekony, ponoć jadowite. Chodzą po ścianach. Śpią w szafkach w łazience. Kobiety piszcza ze strachu na ich widok.

Robiłam kiedyś żytni zakwas. Czasem mam ochotę na polski chleb, którego nie zastąpią wyroby piekarnicze w wielkich galeriach handlowych. Bagietki i chleby może i są jak na Zachodzie, ale na pewno nie są słowiańskie. Mąkę żytnią zdobyłam dopiero w Islamabadzie i przywiozłam do Karaczi jak drogocenny skarb. Aż dwa kilogramy. W Karaczi mało kto o niej słyszał. Łatwiej kupić jęczmienną.

Pierwszego dnia zakwas pachniał jak wędzony ser. Potem było na szczęście lepiej. Ciasto wyrosło. Jako pierwsza w historii domu uruchomiłam gazowy piekarnik. Odkryłam przy okazji, że włączony piekarnik po pierwsze świetnie dogrzewa kuchnię, i tak rozgrzaną chyba do pięćdziesięciu stopni, a po drugie oznacza zerowy poziom płomienia na palnikach w kuchence i blokuje inne kulinarne czynności. Jednak chleb upiekł się znakomicie. Poczułam, że jestem w domu. Rodzina spróbowała, pochwaliła i nie sięgnęła po dokładkę. Wolą parathę i double roti, czyli paskudne napakowane konserwantami pieczywo tostowe.

Wpadłam w rozpacz, gdy okazało się, że w mojej bezcennej mące zalęgły się czarne robaczki. Pokazałam je teściowej, gdy już miałam mąkę wyrzucić. Ona pokiwała głową i dała mi sitko. Wasim również nie widział problemu. Powiedział, że w ryżu też są robaczki, tak powinno być i tak jest bardzo dobrze. Bo to znaczy, że ryż już trochę leży, jest stary i wysuszony, taki jest najsmaczniejszy, a robaczki się przesiewa. Albo można je zebrać, gdy wypłyną na powierzchnię wody podczas gotowania.

Gdy przywiozłam pakistański basmati do Polski, też się w nim zalęgły robaczki. I z mądrą miną kogoś, kto zna życie, mówiłam wszystkim, którzy chcieli ryż wyrzucić: tak ma być! To bardzo dobrze!

Jak pięść do nosa

Ideał pakistańskiej żony

Daleko mi do niego. Z punktu widzenia rodziny miałam najwyżej dwa plusy. Przypadkiem wyjawiał mi je Wasim.

– A co powiedziała twoja mama na wieść, że będziesz się żenił z cudzoziemką? – zapytałam kiedyś.

– Nie zna tu nikogo i nie będzie urządzać rodzinnych intryg – miała powiedzieć.

Nie znam obyczajów i strategii. Łatwy przeciwnik, którego bez trudu można urobić, choć jego niewiedza będzie też uciążliwa. Nie mam w pobliżu rodziny, która mnie obroni w razie konfliktu. Pakistańska synowa w czasie rodzinnej kłótni dzwoni do mamy, alarmuje tatę i braci. Ci potrafią przyjechać z daleka i zaprowadzić porządek. Można się spodziewać, że ojcowie i bracia z przeżartego kryzysem wartości Zachodu nie będą aż tak ofiarni. Nie przylecą do Pakistanu bronić niezależnej kobiety, która świadomie podjęła decyzję. Jej decyzja, jej sprawa, jej życie. Już nie mówiąc o tym, że nie mają pakistańskich wiz. Rozkład sił jest aż nadto oczywisty.

Jestem wprawdzie biała. Jednak nie z Ameryki, nie z Anglii i innych najwyżej cenionych krajów. Nie można nazwać mnie *gori*, bo nie przyjechałam z „tego” Zachodu.

– Skąd jesteś? – pyta lekarka podczas USG.

– Z Polski.

– I mówisz po angielsku! To wspaniale! Ludzie z Rosji często nie znają angielskiego!

– Jesteś Rosjanką? – pytają mnie najczęściej.

– Polska! To u was był komunizm! – Uśmiecha się z rozmarzeniem wielu

starszych znajomych, którzy jako młodzińcy należeli do pakistańskich partii komunistycznych i, jak jeden z nich, Nusrat, zapuszczali węży, wcale nie żeby podkreślić swoje związki z Sindhem (węży są tam atrybutem prawdziwego mężczyzny), tylko na cześć Lecha Wałęsy, przywódcy robotników. Nusrat, urzędnik państwowy, czytał *Boże igrzysko* Normana Daviesa i wypytywał mnie o szczegóły bitwy warszawskiej 1920 roku. Kupił owczarka, którego zupełnie nie umiał ułożyć.

– To owerczarka. Polski pies – mówił, pokazując mi zamkniętą za kratami ryczącą bestię.

– Polska!... Hm. – Uprzejmie uśmiecha się sąsiadka, która mnie zatrzymała i obsypała pytaniami. Ta nazwa nic jej nie mówi.

– Jestem z Polski. *Poland* – mówię chłopakowi w świątyni sufickiej.

– Naprawdę z Holandii? – cieszy się chłopak.

– Spotkałam w Anglii wielu Polaków! – opowiada pani profesor najczystszy brytyjskim akcentem, którego brak mnie czasem całkowicie dyskwalifikuje. (Szczytem pakistańskich marzeń o statusie jest mówić po angielsku jak *native speaker*. Kto ma obcy akcent, ten jest *peindu*, odpowiednikiem polskiego „Janusza z Podkarpacia”). Pani profesor była raz na Węgrzech, to blisko, prawda? Pyta mnie o religię w Polsce. Istnienie grekokatolicyzmu i różnych patriarchatów prawosławnych jest dla niej odkryciem.

Czasem tylko można usłyszeć od najstarszych osób miód na polskie serce:

– Polacy! Wspaniali, gościnni, honorowi, serdeczni! Mój najlepszy przyjaciel był Polakiem! Uratował mnie, gdy tonąłem na morzu! – wzrusza się Roque Fernandez, emerytowany marynarz. Starzy ludzie pamiętają generała Turowicza i polskich lotników, a entuzjazm i szacunek w ich głosie są dla mnie wyrzutem sumienia. Czy podtrzymają swoją opinię o Polakach po spotkaniu ze mną i z ludźmi mojego pokolenia?

Rosjanka zresztą też nie jest *gori*. W Karaczi Rosjanie są dobrze znani, bo Związek Radziecki budował tu hutę żelaza i stali. *Gori* to Brytyjka, Francuzka, Niemka, Hiszpanka, Amerykanka, Australijka. Polacy, choć białoskórzy, uciekają ze swojego kraju tak samo jak Pakistańczycy. To znaczy, że w Polsce nie może być tak dobrze jak w Anglii. Mają obcy akcent. Godzą się na niższe zarobki. Polki są uważane za jedne z najłatwiejszych do omotania „wizowych żon”. Pakistańczycy słyną wśród Polek z tego, że biorą śluby dla wizy. Oczywiście, też się bałam – chwilami panicznie! – że Wasim

może być wizowcem.

Gdy miał pierwszy raz jechać do Polski, jego koledzy się przerazili.

– Zawsze byłeś szalony, Wasim *bhai* – mówił Bilal. – Ale teraz to już przesadziłeś. Kochasz ją, oczywiście, tak, rozumiemy, tylko nie trać resztek rozumu. Dlaczego nie umówicie się na spotkanie w jakimś cywilizowanym kraju?

– W Polsce jest zimno! Przeziębisz się i kto ci pomoże? – martwił się Aamer.

– Polacy to złodzieje! Okradną cię! Polki są piękne, ale przewrotne! Ona też może cię okraść! – straszili inni. – Gdybyście się spotkali w Londynie, moglibyśmy ci pomóc!

Bliscy przestrzegali go przed Polską tak, jak mnie moi bliscy przed Pakistanem.

– Zabiorą ci paszport! – brzmiały najłagodniejsze polskie przepowiednie. – Będziesz ich służącą. Zamkną cię i nie będziesz mogła wychodzić. Będzie cię bił – wróżyli.

Oboje mieliśmy szczęście. Choć spotkaliśmy się w Polsce, Wasima nikt nie okradł, nie zmogły go mrozy. W Pakistanie wciąż mam swój paszport, a jeśli problemem jest wychodzenie, to nie dlatego, że ktoś mnie gdzieś siłą zamyka.

Legenda głosi, że po piękne cudzoziemki jeździ się na Kaukaz (wzięło się to z opowieści o brankach z Kaukazu, niezwykle urodziwych, uduchowionych i eleganckich). Ja wyglądam bardziej jak Pasztunka niż jak Iranka czy kobieta z Kaukazu. Idealnie piękna panna młoda powinna mieć białą skórę. Jasne oczy ceni się bardzo, ale włosy najlepiej mieć kruczoczarne. Powinna być wysoka i szczupła. Ja jestem drobna, ale niska. Powinna mieć niskie czoło – mam wysokie. I pełne usta. Mam niezbyt pełne i zawsze chcą mi szminką powiększyć górną wargę.

Niemuzułmanka. Potężny minus, wywołujący burzliwe reakcje. W wielu rodzinach zupełnie by mnie skreślił. Idealna synowa jest muzułmanką i należy do tej samej gałęzi islamu co rodzina, do której wchodzi.

Wydaje się, że Koran stawia sprawę jasno. Kobiety wyznające religię Księgi mogą poślubić muzułmanów bez konieczności zmiany swojej religii.

Dzisiaj są wam dozwolone dobre rzeczy; dozwolone wam jest pożywienie tych, którym została

dana Księga; a wasze pożywienie jest im dozwolone. I kobiety cnotliwe spośród wierzących, i kobiety cnotliwe spośród tych, którym została dana Księga przed wami, jeśli daliście im należny posąg jako ludzie uczciwi, a nie rozpustni, biorący je sobie jako nałożnice. A ktokolwiek odrzuca wiarę, to jego działanie jest daremne i on w życiu ostatecznym znajdzie się wśród tych, którzy ponieśli stratę[15].

– Pokaż mi tę surę w Koranie – prosiłam Wasima wiele razy.

Kupił więc Koran w trzech językach, złożony i dostojny, w czerwonej twardej okładce. Wspólnie odszukaliśmy potrzebny werset. Sura piąta. Dla mnie oczywista. Dla wielu uczonych nie. Nie każdy muzułmanin opiera się wyłącznie na Koranie. Mułła, którego Wasim poprosił o udzielenie nam ślubu, nie chciał go udzielić, jeśli nie wypowiem szahady – muzułmańskiego wyznania wiary.

– Chrześcijan, o których mowa w Koranie, już nie ma, więc nie można stosować tego przepisu – wytłumaczył. – Cnotliwe chrześcijanki to przeszłość – marudził. Wasim chodził nabuzowany i wyglądał, jakby zamierzał pobić mułłę. Nareszcie znalazł kogoś, kto zgodził się udzielić nam ślubu.

Główne nurty religii widzą w związkach mieszanych zagrożenie dla czystości wiary. Innowierca wprowadzi do rodziny niepotrzebny relatywizm i wielogłos. Kontakt z obcym już od dzieciństwa. Ryzyko i zagrożenie. A jednak ludzie zawierają takie związki. Moje pierwsze badania etnograficzne dotyczyły rodzin mieszanych na ukraińskim Podolu. To trudna droga, zgadzali się wszyscy moi rozmówcy. Jak się kłócą, to o religię zawsze też. Wywlekają ją i próbują przeciągnąć dzieci na swoją stronę. Opowiadali mi różne historie, radosne i smutne, w tym o prababkach wyklętych za ślub z „Ruskiem” lub z „Polakiem”, i o rodzinach, które wyparły się swoich kobiet po takim wyborze życiowego partnera. Nie warto się w taki związek pchać, choć w życiu różnie bywa – stwierdzali zgodnie.

Moja droga do ślubu kościelnego w Polsce była wyboista. Księża opowiadali mi przerażające historie. Wypytywali mnie tak surowo, że czułam się z góry stracona dla Kościoła. Trudno się dziwić ich nieufności. Większość białych żon muzułmanów przechodzi na islam. Trafiłam też na duchownych, którzy mnie wspierali. Okazali się równymi chłopami, z którymi można było zwyczajnie pogadać przy kawie. Podczas ślubu zaopiekowali się Wasimem tak, żeby czuł się jak najlepiej – w czasie Podniesienia staliśmy, a nie klęczeliśmy, żeby nie czuł się głupio, stojąc sam jak palec w najważniejszym

dla katolików momencie.

W Pakistanie ślub religijnie mieszany bez wypowiedzenia szahady przez żonę zdarza się niezmiernie rzadko. Między Pakistańczykami – prawie nigdy. Niemuzułmańska panna młoda wypowiada ją i już. O tym dowiedziałam się dużo później. Dla rodziny Wasima moja odmienna religia to duże wyzwanie i z pewnością wielki trud. Dziwi mnie, że je podjęli, narażając się na ostrą krytykę. Pozwolili na krzyż w mojej sypialni, na Pismo Święte – co prawda w języku, którego nie rozumieją. Na ikony, których nie zdejmują. Nie przeszkadzali. Może mieli nadzieję, że sama się opamiętam. Może zlekceważyli. Może wierzyli, że prędzej czy później i tak wybiorę islam, bo zrozumieć, że to mi ułatwi życie. A może są po prostu tolerancyjni i wierzą, że skoro Bóg pozwala mi być chrześcijanką, oni też pozwolą. Może ratuje mnie to, że staram się żyć tym, w co wierzę, i nie podważać celowo podstaw ich życia. Choć – niestety – sama moja obecność, choćby najbardziej dyskretna, już może być ich podważeniem.

Świat się kręci wokół *rišta*

– Maj son goin tu bi en indziniir! (*My son's going to be an engineer*, mój syn zostanie inżynierem) – woła z pakistańskim akcentem „mama” w filmie komika Mawaana Rizwana z powiedzonkami pakistańskich mam. – Jest za gruba! Jak znajdzie męża? – mówi za kilka sekund. Pakistańczycy rzadko się przy tym śmieją. Powiedzonka brzmią dla nich zwyczajnie. Wiadomo, że prawnik, lekarz i inżynier to najlepsze zawody – każdy chce mieć je w rodzinie. No i zresztą – jak można się śmiać z mamy? A dla mnie to świetny, trafnie podpatrzony instruktaż codziennego życia.

Szukamy pięknej panny z szanowanej rodziny, poniżej 24 lat, wzrost maksymalnie 164,5 cm (5,4 stopy), o jasnej skórze i bardzo atrakcyjnych rysach twarzy, dla mojego syna, który jest Saidem[16], sunnitą, mówi po angielsku, wyznaje tradycyjne wartości rodzinne. Kawaler, nigdy nie żonaty, niezależny biznesmen, ma własną międzynarodową grupę firm. Prosimy o kontakt wyłącznie Rodziców lub Opiekunów. [e-mail, komórka, telefon stacjonarny].

Rodzice 29-letniej sunnitki z rodziny Pendżabczyków z Kaszmiru szukają kandydata dla swojej Córki. Należy ona do Wykształconej, dobrze Sytuowanej rodziny mieszkającej w Defence [to jedno z tak zwanych *posh ilaqa* – elitarnych osiedli]. Nasza córka jest wykształcona Za Granicą, atrakcyjna i pewna siebie [*confident*]. Pracuje w międzynarodowej firmie. Rodzice chłopców z profesjonalnym wykształceniem z LUMS [The Lahore University of Management Sciences, równie prestiżowy jak IBA], IBA lub z zagranicy, nie starszych niż 35 lat, z wykształconych

rodzin z Defence lub Clifton mogą wysyłać e-maile: [adres].

Wysoko wykwalifikowany naukowiec, miły i opiekuńczy, na wysokim stanowisku, pracujący w państwowej instytucji, żonaty, szuka drugiej żony. Oferty od rodziców lub niezależnych kobiet, domatorek, opiekuńczych, religijnych, praktykujących muzułmanek przestrzegających hidżabu, proszę kierować na [adres e-mailowy].

Syn, lat 27, mówi w urdu, Sunnita, o jasnej karnacji, wysoki, atrakcyjny, należy do ACCA [międzynarodowej organizacji księgowych i menedżerów], świetna praca, własny dom w Islamabadzie, dużo podróżował. Szuka wyłącznie atrakcyjnych, profesjonalnie wykształconych kobiet bez hidżabu[17].

W internecie panuje większy luz. „Kochająca”, „żywa”, „miła” to pożądane cechy kandydatki. Niejaki Salman pisze:

Potrzebuję pożyczyć trzy lakhy [300 tysięcy rupii – około 10 tysięcy złotych]. Poślubię dziewczynę, której rodzina mi da te trzy lakhy, nie jako dżahez [posag]. Zacznę biznes dzięki tym pieniądзом i wtedy je oddam! Mam 27 lat, pracuję w laboratorium jako technik. Jestem zmęczony pracą na trzy zmiany za marne grosze, z których nie utrzymam rodziny. Potrzebuję pieniędzy, żeby rozpocząć swój biznes! Jestem jedynym synem w rodzinie. Mam własny dom. Mam trzy starsze siostry, w tym dwie zamężne, i rodziców [w domyśle: trzecią siostrę trzeba wydać za mąż, a rodzicami się opiekować]. Kasta: mughal.

Autorzy tych ogłoszeń szukają *rišta* – dosłownie znaczy to związek, dla siebie lub swoich bliskich. Dobrych partnerów życiowych. Wybór *rišta* to jedno z kluczowych zagadnień w życiu.

Nie wniosłam do rodziny pieniędzy, telewizora, samochodu, kilogramów biżuterii z dwudziestoczerokaratowego złota, domu, działki budowlanej, „najlepszego” paszportu. Posagu (*dahez*) – pakistańskiej konieczności, odpowiedzialnej też za niechęć do córek. Córkę trzeba wyposażyć, wyprawić większą część wesela. Wraz z córką odpływa część majątku.

Wasim nie chciał wizy ani posagu od moich rodziców.

– Ten zwyczaj rujnuje ludziom życie – powiedział. – Wiele dziewcząt nie może wyjść za mąż, bo nie ma posagu albo całe panieństwo spędzają na szyciu prześcieradeł i zbieraniu zastawy stołowej.

Wniosłam tylko możliwość „dobrych dokumentów” dla mojego dziecka. I nadzieję, że nie będę nadmiernie przeszkadzała.

Wasim zaprowadził mnie do znajomych pendżabskich chrześcijan: rodziny Lucasa. Mieszkali w kamienicy w starej części Karaczi. Okna ich domu z jednej strony wychodziły na okna domu naprzeciwko, tak że można było

podać rękę sąsiadom.

– Piękną masz torebkę! – powiedziała żona Lucasa, konkretna i rzeczowa pani po czterdziestce. – Jaka jest twoja i jego gwiazda? – zapytała surowo. O gwiazdę tuż po moim przyjeździe do Pakistanu wypytywał mnie też teść. Zaczęłam się zastanawiać. Strzelec zawsze myli mi się ze skorpionem. Moja ignorancja w tak zasadniczej sprawie nie zrobiła najlepszego wrażenia. W końcu żona Lucasa oceniła, że nasz związek według gwiazd rokuje co prawda nie najlepiej, ale i nie najgorzej.

Ufff.

– Widziałam Wasima *bhai* na pogrzebie jego brata. Tak mi przykro – dodała. – Wyglądał bardzo źle. Teraz nareszcie jest szczęśliwy.

Ślub

Przed ślubem czułam się, jakbym weszła na plan filmowy. Rzeczy wokół mnie działały się same, stałam się tylko rolą, którą miałam odegrać. *Dulhan* (panna młoda) jest konieczna, żeby dopełniło się najważniejsze wydarzenie w rodzinnym życiu. Ślub. Było tak, jak według mojej rodziny „miało być”. Pierwsze było *mehndi*, które można, nieco naciągając, porównać do „wieczoru panińskiego”. Chudziutkie dziewczę w granatowej dupatcie malowało mi na kończynach henną równiutkie wzorki. Nie wolno mi było się poruszać. Czekałam, aż wyschnie. Szwagierki przynosiły herbatę. Grały na bębnach i tamburynie, śpiewały piosenki. Wielokrotnie potem słyszałam takie same z różnych mieszkań. Wzór z henny wygląda dużo ładniej przed zmyciem (można go utrwalić w tej formie, polewając hojnie posłodzoną wodą) – potem staje się brązowo-pomarańczowy. Byłam niezbyt zadowolona. Przynieśli też cukier, glinę, hennę i ryż. Posadzili Wasima obok mnie. Rodzice i siostry zaczęli nas karmić cukrem z łyżeczki, smarować nasze twarze gliną, a Wasimowi nałożyli na rękę trochę henny. Rzucali na nas ryż i robili wokół nas ruchy okrężne dłońmi z ryżem. Zawiazali nam na rękach złote kulki.

Następnego wieczoru ubrali mnie w strój weselny. W głębokim odcieniu czerwieni, wzorzysty, ze świecącymi kamyczkami i cekinami co pół centymetra. Dupatta miała złociste i srebrzyste frędzle z dzwoneczkami. Założyłam aksamitne czerwone szpilki ozdobione szklanymi kamieniami i „złotem”. Chybocząc i promieniejąc jak choinka na Boże Narodzenie,

wyruszyłam robić makijaż.

Rudowłosa, niska żona Nusrata, do której miałam mówić *bhabhi*, miała wtedy salon piękności w domu, na piętrze. Pracowało u niej kilka dziewczyn, których zupełnie nie rozumiałam. Nie lubiłam ich. Wciąż wydawało mi się, że uśmiech *bhabhi* jest lekko drwiący. *Bhabhi* wynitkowała mi brwi, pokryła mnie jakąś maseczką, następnie ją zmyła i przystąpiła do makijażu. Dokleiła mi rzęsy, na powieki nałożyła cienie i brokaty, na czole doczepiła tike (wisiorek), do głowy przytwierdziła ozdobną dupatę. Na własną zgubę weszłam do łazienki w jej salonie. Było strasznie brudno. Pełno włosów i kurzu. Wyobraziłam sobie wszystkie bakterie, które mogą mi zostać wszczepione podczas manikiuru lub depilacji. Nigdy więcej nie korzystałam z ich usług kosmetycznych.

Spoglądając w lustro, czułam się jak aktorka w teatrze. Pierwszy raz w życiu widziałam tę twarz, choć niby była moja. Chciało mi się śmiać. To wielka frajda poczuć się przez chwilę kimś zupełnie innym. Grać nieznaną rolę i oglądać świat spod maski. Byłam obwieszona biżuterią i wymalowana w groteskowy dla mnie sposób. Wyglądałam w swoich oczach jak tancerka *bharatanatjam* (klasycznego tańca indyjskiego). Brakowało tylko, żebym sugestywnie poruszała wynitkowaną brwią.

Później zobaczyłam inne style pakistańskiego makijażu i zrozumiałam, że mogło być znacznie gorzej.

Wasim założył kurtę – elegancką długą koszulę przypominającą ukraińskie soroczki, spodnie nazywane swojsko *padżama* i czubate buty *khusa*, których na co dzień nienawidzi i chyba nigdy potem ich nie włożył. Protestował przeciw tradycyjnemu ślubnemu płaszczowi *śerwani* i turbanowi, choć wszyscy żartowali, że mu kupią. Mówił, że nie chce robić z siebie błazna. Przez lata pomagał kolegom w wyprawianiu wesel, a sam pozostawał zatwardziałym kawalerem. Przysięgał, że się nie ożeni. Jego ślub był świetną okazją dla kolegów, żeby się zemścić i odegrać za wszystkie Wasimowe żarty. Wasim był zaangażowany w bractwo sufickie. Chciał żyć „jak aniołowie”. Jego modlitwa potrafiła leczyć. Ludzie dawali mu – i wciąż dają – zdjęcia własne i bliskich, którzy potrzebują pomocy. Witając się z nim, kłaniali się do ziemi. Niektórzy znajomi wciąż mają do niego żal, że się ożenił i nie kontynuuje drogi mistycznej.

Podczas *nikah* – następnej części ślubu, gdy następuje zawarcie kontraktu ślubnego – przypomniałam sobie polskie zwyczaje ludowe omawiane na

studiach. Na przykład ten, że gdy przychodzili swaci, to krzyczeli: „Nie macie tu w domu krowy do sprzedania?”. Ślub uważano przede wszystkim za transakcję i kontrakt między mężczyznami, którzy przekazują sobie kobietę i ustanawiają więzi, a nie za wzajemne składanie sobie przyrzeczeń dożgonnej miłości. Czy w małżeństwie w ogóle chodzi o miłość? Gdzie jest jej miejsce? Nie ma o niej mowy wprost. Wszyscy i tak wiedzą, że miłość też jest ważna i to tylko „główna scena” umieszcza ją na dalszym planie. Przecież – ufajmy – „pojawi się po ślubie”.

Mężczyźni z panem młodym i imamem siedzieli w jednym pokoju, przepięknie wystrojone panie w drugim. Próbowałam się zachować, jak przystoi pannie młodej. Trwać nieruchomo z oczami wbitymi w podłogę, zimna jak gład, ponura, obojętna, nawet naburmuszona. Nareszcie przynieśli mi płachtę szarawego papieru wypełnioną zdaniem w dziwnym pakistańskim angielskim i robaczkami urdu – kontrakt ślubny (*nikah nama*) do podpisu.

– Tu wpisz, ile chcesz *mehr* – powiedzieli (*mehr* to suma, którą otrzymuje panna młoda od rodziny męża podczas ślubu, na wypadek rozwodu lub śmierci męża). – To jest twój wakil. – Pokazali mi brodatego żołnierza Shahbaza, szyitę. Pełnił obowiązki świadka reprezentującego moją rodzinę, z której niestety nikt nie mógł przybyć.

Podpisałam. Była chwila na modlitwę w ciszy. Nareszcie znaleźliśmy się w tym samym pokoju. Mogliśmy się nakarmić nawzajem słodyczami. Mogłam usiąść koło męża. Potem było obwieszanie nas jaśminem i różami przez teściów i rodzinę, wspólne jedzenie biriani (danie z ryżu) z wielkich garów, pełno różnych mięs i khir (deser z ryżu), śmiechy, robienie zdjęć, odbieranie niezliczonych telefonów z życzeniami, zabawa.

– *We love you very much* – powiedziała szwagierka, przytulając mnie. Poczułam się szczęśliwa. Będzie dobrze, pomyślałam.

Nasz ślub był bardzo skromny w porównaniu z innymi. Oboje z Wasimem jesteśmy outsiderami ze swoich kultur. Nie umiałam sobie wyobrazić siebie na własnym szczeropolskim weselu z okrzykami „gorzka wódka”, oklaskami i pocałunkami przy gościach – podobnie jak on wzbraniał się przed „weselną szopką” na własnym podwórku. Jednak wesele to dla wielu Pakistańczyków najważniejsze wydarzenie w życiu. Przedsięwzięcie i wielki wydatek dla obu rodzin. Czasem trwa cztery dni. Długi spłaca się bardzo długo, ale wspomnienia o nim ożywiają monotonię następnych lat. Wesele stanowi

przerywnik od codzienności i przenosi wszystkich na chwilę w wymarzony świat przepychu i bogactwa. Zaprasza się dalszych krewnych i znajomych, wszystkie ważne i potrzebne osoby w życiu rodziny. U najbogatszych może być nawet i tysiąc gości. Wesele podtrzymuje więzi i ustanawia status. Trzeba wynająć rzeźbiarstwo (i zwykle nielegalnie) oświetloną salę, przypominającą rajskie ogrody. Goście oceniają wszystko: koperty i papier, na którym wydrukowano zaproszenia, makijaż, stroje, zdjęcia w grubych albumach i filmy z *mehndi* i *majo* (ceremonii malowania henną rąk panny młodej i nakładania na jej twarz pasty z kurkumy) *nikah* i walimy (przyjęcia weselnego), wystrój sali, jakość mebli, obrusów, kotar, obecność rzutnika, dziewczynki ze światłami, *doli* – „pudło”, w którym niesie się pannę młodą z zasłoniętą twarzą, wystawiony posąg (oczywiście nie cały), muzykę, często na żywo, jakość tańca podczas *mehndi*. A najważniejszy jest, jak zawsze w Pakistanie, poczęstunek.

– *Auntie, are you Chinese?* – zapytały mnie wystrojone dziewczynki, które przyglądały mi się bacznie od kilkunastu minut. Wlepiając we mnie wielkie oczy, naradzały się chyba z pół godziny, zanim uzgodniły to pytanie.

Nie zdobyłam się na „yes”, choć przez chwilę mnie korciło. Gdzie jeszcze będę mogła pobyc przez chwilę Chinką?

– *Are you British? French? American?*

– Jestem *European*. – wyznałam w końcu. Moja odpowiedź wypełniła wszelkie szufladki, których pustkę ujawniła w ich głowach moja obecność. Poszły.

Natychmiast zaczęły szczytać Michała po policzku. Są w Pakistanie typowe gesty: podnoszenie prawej dłoni do prawej skroni przy pozdrowieniu *assalamualejkum*, *wawawawa* (wyraża podziw i towarzyszy mu kręcenie głową), a wobec dzieci czy panny na wydaniu – szczypanie po policzku, cmokanie i coś w rodzaju *kuciukuciukuciu! pucipucipuci! pisipisipisi!* To szczypanie nie jest wcale delikatne. Zwykle mam ochotę dać szczypiącemu potężnego szczypana w policzek w odwecie.

Też wlepiałam w nie wielkie oczy. Miały na sobie, oprócz kwiatów, cekinów i bufek, niebotyczne lakierowane szpilki, o parę numerów za duże.

Walima – przyjęcie weselne organizowane przez rodzinę pana młodego – nie wyróżniała się niczym szczególnym. Panie w sari, śararach (długich mieniących się kolorami sukniach i wąskich marszczonych na kostkach

spodniach *curidar*), szalwar kamizach, mniej lub bardziej owinięte, mniej lub bardziej wymalowane i obwieszane biżuterią. Jak często bywa, ważyły nawzajem swoje gigantyczne kolczyki w dłoniach, a w myślach oceniały ich wartość. Panowie przyszli w tradycyjnych weselnych turbanach i wytwornych płaszczach *serwani*. Był jeden tak zwany *green turban* (członek Sunni Tehrik – organizacji muzułmańskiego ruchu barelwitów), kilkunastu panów w *topi* i szalwar kamizach. Jeśli z którymś rozmawiałam, patrzył tutejszym zwyczajem w sufit albo przeciwległy punkt sali. „Czy właśnie to jest *parda oczu*?” – myślała we mnie etnografka, czując się dziwnie, aż się przyzwyczaiła.

Para młoda siedziała sztywno na podwyższeniu, do którego dotarła zółwim krokiem. To nie lada wyzwanie dla kobiety, kroczyć zgrabnie i dostojnie na szpileczkach, z oczami wbitymi skromnie w trawę pokrytą dywanem. Zwłaszcza gdy strój weselny waży kilkanaście kilogramów. Towarzystwo w orszaku co chwila wybuchało śmiechem. Ustawiała się kolejka do wspólnych zdjęć z młodą parą. W rogach sali stały stoły z podgrzewanymi kociołkami, sztucami, talerzami. W ślubnym menu muszą być: biriani, kurczak *tikka*, *bihari* kebab, *nihari* lub jakieś inne mięso w sosie, nany, sałatki budzące często grozę, bo pokryte muchami, ryżowy deser *khir*, lody *kulfi* i *cold drink*. Przy jedzeniu kręciły się koty. Gdy ktoś rzuci hasło: „Już podają!”, cichy i senny dotychczas naród się ożywia, pędzi, walczy o talerze – starsi wpychają się przed młodszych – nakłada sobie góry (prawdziwe góry, jak dla pięciu głodnych osób!) mięsa, ryżu, chleba. I ucieka do swoich stolików. Zdążyli. Spokojnie mogą oddać się konsumpcji. To jeden z najważniejszych punktów wesela.

I już. Teraz można się pożegnać i rozejść, częstując się kilkoma rodzajami panu. Jedzenie nie jest wstępem do zabawy, nie podtrzymuje nadwątłych tańcem sił. Jest centrum. Bez względu na to, jak wspaniałe będą inne punkty uroczystości, niesmaczne jedzenie sprawi, że cała impreza pójdzie na marne. Nakarmienie gości to sprawa honoru gospodarzy. Po jedzeniu wesele kończy się bardzo szybko – nie ma „ciągu dalszego”. O posiłku weselnym wszyscy będą rozmawiali, będą oceniali jakość mięsa i ryżu. Ja pozostanę rozczarowana, jak zawsze, i będę w duchu tęsknić za spontaniczną zabawą, luzem i tańcem do utraty tchu.

Niedługo po ślubie pojechałam do Polski. Wciąż byłam *dulhan*, karmioną zawieszonymi potrawami, ubieraną w jaskrawe kolory, ganioną za brak

jaskrawego lakieru na paznokciach. Żegnali mnie bardzo wylewnie. Kilka dni przed pożegnaniem zamieszkały u nas obie szwagierki z dziećmi. Łącznie dziesięcioro dzieci w mieszkaniu. Przed moim wyjazdem siedliśmy w kręgu na podłodze i rozmawialiśmy, bawiliśmy się, śpiewaliśmy ulubione piosenki. Było tak dobrze, że myśl o powrocie do Pakistanu szczerze mnie cieszyła.

Love marriage? Arranged marriage?

Przy mężczyznach udajemy, że interesuje nas tylko moda, upiększanie się, gotowanie, przedszkola i wyprzedaje. Gdy tylko jesteśmy same, a jeszcze się nie znamy, słyszę pytanie:

– *Is your marriage a love marriage or arranged marriage?* Wyszłaś za mąż z miłości czy jest to małżeństwo aranżowane? Za kogo? Czy za kuzyna? Zaraz potem: jaki jest dla ciebie twój mąż? A następnie: jaka jest jego mama? To wszystko razem znaczy: jak ci się żyje?

W szpitalnym *family room* spotkałam mamę Mustafy. Przyszłyśmy obie na obrzezanie synków. Zaglądała do nas i zaglądała. Musiałam też odganiać jej starszego syna, który pluł na wszystkie strony i był bardzo ciekaw dziecka białej kobiety. W końcu zaczęłyśmy rozmawiać.

– Twoje dziecko nie wygląda jak Pakistańczyk. Popatrz, jak wygląda Mustafa. To jest prawdziwe pakistańskie dziecko. Czy jesteś muzułmanką? Nie? A jak długo u nas mieszkasz? Rok? Przejdź już na islam, islam jest bardzo dobry. *Love marriage* czy *arranged marriage*?

– Moje z miłości, a twoje?

– Aranżowane. Mamy troje dzieci.

– Tu często ludzie mówią, że czasem miłość pojawia się po ślubie.

– U nas się nie pojawiła – powiedziała mama Mustafy. – Ale co zrobić.

No właśnie. U ilu znajomych małżeństw miłość się pojawiła, a u ilu nie?

Według moich teściów na czymś tak ulotnym jak uczucia nie da się zbudować małżeństwa. Młody człowiek nie ma doświadczenia. Dlatego małżonka dla dziecka powinni wybrać rodzice. To oni czują się odpowiedzialni za honor rodziny i całego rodu, za zatrzymanie majątku w rękach rodziny, za plotki i za bezpieczeństwo swojego dziecka. W mojej rodzinie, jak w wielu innych, prawie wszystkie małżeństwa to kuzyni. Gdy kobieta poślubia kuzyna, wiadomo wszystko o jego krewnych, a majątek

zostaje w rodzinie. Badania dowodzą, że ma to opłakane skutki genetyczne. Myślę o moich braciach ciotecznych. Sama myśl budzi – uwarunkowane kulturowo oczywiście – obrzydzenie.

Miłość może się pojawić po ślubie jako skutek uboczny wspólnego życia. Ba! Przed ślubem wręcz nie powinna mieć szansy pojawienia się. Dlatego jakakolwiek interakcja młodych przed ślubem jest zabroniona.

Czy na pewno?

Wieczorami i sennymi przedpołudniami w parkach w Karaczi, wśród starannie utrzymanych krzaków kryją się pary. Wszystkie ławki zajęte! On w obcisłych dżinsach i koszulce, ona w burce i nikabie. Umawiają się w porze wieczornego wyłączania prądu, żeby móc się objąć. Niejeden park słynie jako miejsce schadzek. Inni zakochani siedzą w restauracjach i wyglądają jak rodzina. Czasem, jak to się zdarzyło w rodzinie Amny, dziewczyna pożyczka czyjeś dziecko, wciska krewnym kilka wiarygodnych kłamstw i umawia się z ukochanym w dalekim od domu rejonie. W rodzinie Amny, gdy sprawa się wydała, skończyło się kłótnią, że nie przedstawiła wybranka rodzicom i że wstydziła się jego pochodzenia z niskiej kasty. Co z nimi będzie? Czy ich miłość skończy się wraz z zaaranżowanymi zaślubinami? Czy rodzice o nich wiedzą? A może niektórzy to narzeczeni?

– Miłość może się pojawić, gdy złączysz się już z mężczyzną, z którym masz spędzić życie. To efekt trwałego towarzyszenia, kompromisu, zaufania. Zaufania nie tylko jemu, lecz także decyzji twoich rodziców. To oni wybrali go dla ciebie. Musisz sama uznać, że powody, dla których stał się twoim mężem, wystarczają ci, żeby się w nim zakochać. Miłość to zaufanie i cierpliwość, która sprawia, że nieśmiali, obcy sobie ludzie zaprzyjaźniają się i stają prawdziwymi towarzyszami. To nauka życia z kimś i nauka kochania go – mówi stara kobieta. Miłość to dla niej pogodzenie się z losem.

Podobnie uważa Kaśif. Ma trzydzieści pięć lat. Jest dobrze odżywiony, wąsaty, wesoły i świetnie wykształcony. Doskonała partia. Ma dobrą pracę, w wolnym czasie śpi, spotyka się z kolegami albo gra w gry takie jak prowadzenie farmy czy *Angry Birds*. Uwielbia jeść. Mama, kruchutka na pozór staruszka, daje mu do pracy termosy z niedoścignioną pają i nihari. Koniecznie z mózdzkiem. Od kilku lat bezskutecznie szuka żony dla syna. Nie może go powierzyć byle komu. Dziewczyna ma być wysoka, piękna, jasna, wykształcona, religijna, pokorna, słodka i musi umieć gotować. Kaśif

ufa mamie bezgranicznie. Nie przeszkadza mu, że w pracy ma ksywę „duże dziecko”.

Hina uwielbia Justina Biebera, Eminema, modę i taniec. Tańczy przy filmach bollywoodzkich i kasetach, bo w Karaczi niełatwo trafić do szkoły tańca. Rodzice na pewno by się na to nie zgodzili. Lubi robić własną biżuterię. Uczy się dużo i dobrze, ma wielu przyjaciół w szkole. Na swoim koncie na Facebooku lajkuje „Uśmiech jest sunną” czy „Chocolate lovers”. Robi mnóstwo testów osobowości. Cieszy się z nowych szalwar kamizów, ze wzorów malowanych henną na rękach i z błyszczącej biżuterii. Wygląda w nich jak bollywoodzka księżniczka, z kruczoczarnymi włosami, niebotycznie długimi rzęsami i niskim czołem. Ma trzynaście lat. Z młodszymi siostrami często bawi się w dom. Umie zrobić śniadanie młodszemu rodzeństwu i sprzątnąć mieszkanie. Idziemy przez nasze brudne podwórko.

– Mężczyźni często się złością – wzdycha nagle. – Czasem nawet uderzą, prawda? My, kobiety, musimy to znosić.

Bisma mówi świetnie po angielsku. Skończyła studia matematyczne. Marzyła o doktoracie. Amir docina jej zawsze, gdy o tym wspomni. Jest bardzo religijna i poważna. Amir, jej mąż, jest lekarzem, pracuje w szpitalu i ma prywatną klinikę. Mieszkają w *joint family*: z teściową i braćmi Amira. Mają duży dom, dwie córki, huśtawkę w ogrodzie. Miłość nie przyszła po ślubie.

Udało się nam usiąść w sypialni Bismy. Michał był maleńki i musiałam go nakarmić. Pełno rozrzuconych ciuchów, wysokie łoża, kamienne podłogi. Nagle z oczu Bismy lecą łzy.

– *Bhabhi*, patrzę na twojego synka i boję się, że będę miała trzecie dziecko. Okres mi się spóźnia, wiesz? A mam zawsze tak regularnie! Myślę, żeby spaść ze schodów. Z dwojgiem jest mi tak trudno. Nie dam rady z trzecim. Może gdybym miała dobrego męża. Ale on mi nie pomoże. Ani jego mama.

Śazia nie cierpi teściowej i szwagierek, z wzajemnością. Kobiety z jej rodziny są zbyt bystre, uważa ponoć jej teściowa. Na szczęście Śazia z nimi nie mieszka. Sadzid, jej mąż, jest wojskowym, bierze udział w różnych akcjach. Dzięki niemu Śazia zwiedziła wiele pięknych miejsc. Nie chce

emigrować z Pakistanu. Policjanci zatrzymują jej samochód, mówiąc, że kawałek jej dupatty przytrzasnęły drzwi. I salutują.

– Takiego szacunku nikt mi nie okaże za granicą! – mówi Śazia. I ma rację. Jej dzieci chodzą do najlepszych szkół. Mieszka w osiedlach wojskowych. Żeby ją odwiedzić, trzeba przejść przez kilka posterunków kontroli. Ma luksus ciszy i spokoju, wieczorami słyszy cykanie świerszczy i widzi gwiazdy. O tym, że mieszka w mieście, przypomina tylko cichutki, odległy szum ulicy. Nie wiem, jak znosi długie rozstania i lęk o życie Sadzida. Spokój na jej twarzy wydaje się niezmacony.

Masud i Uzma. Mają prawie dorosłe dzieci. Mieszkają w Islamabadzie, przyjechali z Pendżabu. Lubię u nich gościć, choć zimą bardzo tu chłodno. Oglądać w kuchni słoiki z domowymi chatnejami, zdjęcia rodzinne – tu oni, młodzi i piękni, tu maleńkie dziecko, tu dzieci dorastają, a tata wyłysiał. Wyrazowe rozsypanki na lodówce, obrazki namalowane przez domowników w wielkim holu. Uwielbiam u nich kichać przy głaskaniu kotów, bo to kociarze. Słuchać gdakania kur w ogródku. Siadać na miękkich poduchach w salonie, słuchać opowieści o krykicie, rodzinie i przygodach, które ich spotkały w Pakistanie i Kanadzie. Czuję się tu zawsze wolna, jakbym wkładała na nogi wygodne kapcie. I dyskretnie podglądać ich rodzinne życie. Nareszcie ludzie, którzy są sobie naprawdę bliscy.

– Oni nie są żoną i mężem – mówi Wasim, a jego słowa da się zrozumieć tylko w kontekście świata, w którym małżeństwo to nie wybór, lecz coś w rodzaju losu. – To świetna para.

Bahu

Mieliśmy też drugi ślub w Polsce – zupełnie inną historię. Krótką podróż poślubną i powrót do Karaczi. Powitali mnie serdecznie i zwyczajnie. Zrobili dla mnie miejsce.

– Tu twoja szafka w kuchni! Nie pytaj, czy ktoś chce coś zjeść przed tobą! Nie pytaj, czy możesz to wziąć! Po prostu to zjedz! To twój dom! – wołali.

Długo mieszkałam w akademiku i czułam się tam źle z powodu wspólnej kuchni i konieczności dzielenia prywatności z innymi, jedzenia z nimi. Często uciekałam. Bałam się, że w domu przypominającym akademik albo „komunałkę” też tak może być. Nigdy tak nie było.

– Po ślubie wszystko się zmienia. Zobaczysz.

Tak mówiła Arfa. I Szazia i Bisma, i sąsiadki, i katolicka żona metodysty. I inne, których imion nie pamiętam. Powtarzały to jak mantrę.

Rozumiałam to po swojemu. Naiwnie. Górnołotnie. Że odtąd mąż i żona nareszcie mogą budować swoją więź, wyrażać miłość, żyć, wspierać się, że pojawią się dzieci, że życie staje się inne, bo już nie jesteśmy singlami, tylko całością.

Pakistankom chodziło o coś innego. Wszystko się zmienia, bo zaczyna się wygnanie. Trudne życie w rodzinie męża, często pełne samotności. Z teściami. Rodzin nuklearnych w Pakistanie wciąż jest mało.

– Moi teściowie już nie żyją, *million of thanks to God!* – powtarza Sabrina.

Po ślubie wyszły na jaw moje różne niedostatki: nie umiem gotować tak, jak lubi rodzina. Nie czuję smaku Biharczyków, innego niż dominujący pendzabski. Chcę wszystko rozumieć, zanim zaakceptuję. Jestem wątła, o połowę mniejsza od obu siostr Wasima. Mit niskiej Pakistanki w naszej rodzinie obala Zara, która mierzy chyba z metr osiemdziesiąt pięć, i jej równie rosłe córki. „Duże do roboty, małe do pieśczoćy” – mówiły nasze babcie. „Strzeż się jak ognia dwóch rzeczy – powtarza za to mój teść. – Starego samochodu i słabej żony”. Na opcję „małe do pieśczoćy” może sobie pozwolić ten, kogo stać na luksus.

Bahu jest n i e w i a s t ą – tą, o której się nie wie. Obcą w domu, ale już nie gościem. Nie należą się jej żadne honory. Mąż pracuje, ona zostaje w domu razem z teściową (*sas*), niezamężnymi siostrami męża, jego braćmi i ich żonami. Ma współtworzyć to miejsce przez najbliższe kilkadziesiąt lat. Często czuje, że staje pomiędzy swoim mężem a jego mamą, bo więź syna z matką jest święta. Staje też w poprzek innej świętej relacji: brata i siostry. Jej jedynym schronieniem staje się rodzina naturalna, do której jest często wysyłana, gdy zbliża się czas narodzin jej dziecka. Do domu męża wraca po połogu.

Jest na wygnaniu, tak jak słowiańskie synowe, śpiewające smutne pieśni o kobiecej doli i tęsknocie za rodzinnym domem, do którego teraz kobieta może przychodzić tylko w gości. „Oj siadaj, siadaj kochanie moje, już ci nie pomoże płkanie twoje”. Albo, po białorusku: „*Oj dawno, dawno u matuli była. Taj czerwona, czerwona kalina stieżku zarosła*”.

Odwiedziliśmy kiedyś babcię Wasima. Nic nie widziała, a słyszała tylko

przez trąbkę. Była spowita w jasny delikatnie zdobiony szalwar kamiz, na nogach miała ciepłe skarpety i ciągle chciała mnie przytulać i głaskać. Powiedziałam, że będę czasem odwiedzać rodziców.

– I zostawisz swoich krewnych? Teraz twój dom jest tutaj, a nie tam – powiedziała poważnie.

Często czuję, że łamię stare normy. Przyczyniam się – nie jako jedyna, oczywiście – do rozwalania świata, w którym zamężna kobieta ma z całym poświęceniem uczestniczyć w tradycjach rodziny męża. Powinna porzucić zwyczaje, które mogą jej w tym przeszkadzać – a takich mam mnóstwo. Jej zadaniem jest ochrona szczęścia i zdrowia męża. Ma zaspokajać jego potrzeby, usługiwać jego rodzinie. Jeśli to robi, mąż będzie odnosił sukcesy. Jeśli nie, będzie cierpiał, chorował, może nawet umrzeć.

– Mój mąż jest z innej społeczności – opowiada Zara. – Nie rozumiałam ich. Nie pytali mnie o zdanie. Nie umiałam gotować ich jedzenia. Śmiali się ze mnie. Nie uczyli mnie. Nie dawali mi wejść do kuchni. Gdy chciałam pokroić cebulę, wyganiaли mnie: „Nic nie rób!”. Gdy już coś ugotowałam, nie chcieli tego jeść: chcieli i tak swojego. Zaczęłam gotować w domu dopiero po czterech latach, wiesz?

Patrzę na nią szeroko otwartymi oczami. Przeżyła dokładnie to samo co ja na początku! W kuchni długo czułam się jak intruz. Teściowa nieruchomiała przy każdym moim ruchu. Chyba dopiero po dwóch latach dostąpiłam z a s z c z y t u gotowania dla rodziny. Podawania im roti i salanu. O przygotowaniu iftaru (ramadanowej „kolacji”) nawet nie wspominam. Nie zliczę, ile razy wcześniej słyszałam:

– Nikt w kuchni mi nie pomaga. – Ale na propozycję, że może ja, padała odpowiedź: – A co ty mi możesz pomóc?

Brałam to za niechęć do mnie, a tymczasem traktowali mnie zupełnie normalnie! Gdybym o tym wtedy wiedziała, dużo mniej bym się martwiła. Było mi niewymownie przykro. Potrzebowałam kobiety, która wprowadzi mnie w kobiecy świat. Nauczy. A takiej nie było. Chrzest bojowy przeżywa się w samotności.

Sas – amma – mama

Gdy byłam w ciąży, nasłuchiwałam się o tym, że niebo jest u matczynych

stóp. Na samochodach wdzięczni pakistańscy synowie wypisują hasła: „Taksówka mamy” albo „Mamo, dziękuję ci, że mnie wychowałaś”. Matkę wychwała się pod niebiosa i nigdy z niej nie żartuje. O żonach opowiada się kawały.

Karaczi. Noc. Pora deszczowa. Leje. Wichura. Puste ulice, wszyscy siedzą w domach. Tylko jedną ulicą idzie facet. Spotyka drugiego faceta. Wywiązuje się między nimi dialog.

Facet 1: Dokąd idziesz w taką pogodę?

Facet 2: Po chickenburgera.

Facet 1: Żona cię wysłała?

Facet 2: A która matka wysłałaby syna nocą, w deszcz i wiatr, po chickenburgera?

Moja teściowa urodziła pięcioro dzieci. Przeżyła śmierć trzydziestoparoletniego syna, a wcześniej – z tego, co mi opowiadają – jego cierpienie i straszny ból po stracie żony. Pewnie połowy z tego, co przeżyła, nie wyznała nikomu, bo o tym się nie mówi, a ból żałoby nie może być wyrażany w nieskończoność. Trzeba żyć, a nie podawać w wątpliwość wolę Boga. Skoro Bóg dał takie miejsce i taki czas, dyskusja z Jego wolą byłaby zuchwałością. Zresztą w polskiej kulturze tradycyjnej też mówiono, że matki nie powinny zbyt długo opłakiwać dzieci. Jednak gdy poznałam teściową, była zboląła. Nie mówi nigdy źle o mężu, ale boi się jego gniewu. Nie rozmawia z córkami na „kobiece tematy”, bo o tym rodzice z dziećmi nie rozmawiają (a w każdym razie w jej czasach nie rozmawiali). Córki traktuje surowo, dla Wasima robi wszystko. Szwagierki mówią, że mama zdziwaczała na starość, nie warto brać jej słów poważnie.

Często przy niej myślę o Maryi, o matkach, które straciły dziecko oraz o Noemi i Rut. Te ostatnie nie dają mi spokoju. W świecie Starego Testamentu relacja teściowa–synowa nie mogła raczej być z gruntu różna niż ta, którą znamy obecnie. Była chyba podobnie napięta. W końcu dwie kobiety kochają tego samego mężczyznę. Jak więc można, mimo napięcia wbudowanego w tę relację, zbudować taką więź? Czy w ogóle się da?

Wasim uważa, że najlepiej byłoby zacząć od wspólnego siedzenia na łóżku, masowania mamie pleców i gawędzenia. Ale na takie przytulanie trudno mi się zdobyć i to mnie od krewnych oddala. Czasem masuję mamie

plecy, ale nie leżę z nimi na łóżku. Wzdragam się, gdy Faiza proponuje mi masaż. Dotyk obcych bab jest dla mnie nie do zniesienia.

Pewnie byłoby znacznie bliżej i ufniej, gdybyśmy się razem modliły, gdyby mogła mnie tego uczyć, razem ze mną czytać *Kuran Śarif*, obmywać się przed modlitwą, śpiewać na'aty, wstawać o świcie i dzielić się doświadczeniem. Mama jest pobożna. Często mówi, że się za nas modli. Daje za nas sadkę (jałmużnę). Podczas wezwania na modlitwę – azanu – i przy posiłkach nakrywa głowę. „Allah” – wzdycha często. Nigdy nie powiedziała, że powinnam się zmienić.

Mój świat jest dla niej tak samo odległy, jak jej świat dla mnie. Nie mam pojęcia, gdzie dorastała. Wiem tylko, że uczyła się w domu, pod kierunkiem kazi sahaba, że wyszła za mąż bardzo młodo (jeśli wierzyć papierom, miała piętnaście lat, gdy urodziła Wasima), że dużo jeździła z mężem i że gdy mieszkali w Dhace, do kuchni wskoczyła małpa i porwała jej roti.

Mamie nie podoba się, że chcę wciąż wychodzić, pracować, być wśród obcych, a nie w domu. Uważa, że to angażuje Wasima i przysparza mu trosk. Rolą kobiety jest przede wszystkim tworzenie domu. Nie ma też mowy, żeby z mamą zażartować czy ironizować na temat mężczyzn. To biedni, spracowani opiekunowie, o których trzeba dbać i troszczyć się ze wszystkich sił. Masować im stopy i ramiona, nakładać olej na głowy, karmić ich, ubierać, wysłuchiwać, towarzyszyć, gdy tego chcą, nie skarżyć się im, nie narzekać. Drzeć przed ich gniewem. Być żoną poświęcającą się mężowi.

Cieżko się dogadać, gdy jeden rozmówca nie zna urdu, a drugi zna tylko urdu. Wspaniałe pole do nieporozumień, domysłów, interpretacji, działania na wycucie – często zawodne, wbrew mitowi kobiecej intuicji. „Ugotuję poduszkę” – mówiłam mamie po paru latach. Ofiarą padał najczęściej Wasim, bo jemu mogę bez przeszkód okazać emocje. Minęło sporo czasu, zanim się poznałyśmy i zgrałyśmy.

Czasem tworzymy wspólny front. Gdy odwiedza nas nielubiana *phuphi* (siostra teścia), mama w cichości kuchni narzeka mi na ucho.

– Allah! Allah! Znowu przyszła! Jak ona się złości! Jak krzyczy! A jak wygląda! Nie, nie dawaj jej lodów! *Cold drink* wystarczy!

Obie oddychamy z ulgą, gdy *phuphi* wychodzi.

Mama robi mi herbatę. Przynosi różne smakołyki, które przyrządza na podwieczorek. Pamięta, że w piątek nie jem mięsa. Zostawia mi wtedy trochę

warzyw przed wrzuceniem ich do mięsa albo odkłada trochę sosu na jutro. Opowiada o różnych miejscach, w których mieszkała, i ludziach, których spotkała. Mówi, co ją boli i czego się boi, bez tabu, które wiąże jej usta wobec córek. Staje na balkonie i z ciekawością ogląda życie ulicy. Boi się strzelania, tak jak ja. I że ktoś zerwie z niej złoto. Uśmiecha się, gdy się mijamy. Widziałam jej nogę i masowałam jej plecy.

Czasem się razem śmiejemy i przytulamy. Obie nie lubimy telewizji. Gdy mama bawi się z wnuczkami, wkłada sobie na głowę miskę, zatyka nos palcami i wychodzi z roli szacownej domowej matrony. Nosi cudowne sari, piękną biżuterię, jest piękna. Dbą o siebie i potrafi pokazać prawdziwą klasę pod tym względem. Imponuje mi jej upór, żelazny rytm, którego nie porzuca, póki wystarcza jej sił.

Granice

Dom. Nie więzienie, mimo gęstych krat. Nie akademik, mimo tak wielu ludzi i wspólnej kuchni (oraz osobnych łazienek – niebiosom niech będą dzięki!). Nie internat, choć panuje tu hierarchia. Ale mnie dom kojarzy się z luzem. Z domowymi ciuchami. Z miejscem, gdzie nie trzeba udawać i do którego się wraca. Z pracy, ze sklepu, z podróży, z zewnątrz. Dom jest schronieniem, jest w nim bezpiecznie, intymnie, blisko i swobodnie. Można zdjąć maskę, zdjąć makijaż i to, w czym widzi nas świat. Tu regeneruje się siły, odpoczywa, tu jest najintymniejsze wnętrze świata.

W domu ludzie są fizycznie bardzo blisko. Najchętniej leżeliby razem godzinami na jednym łóżku, potem jedli, znów leżeli, modlili się, jedli, wychodzili do parku, i od początku. Szafy, ubrania i kosmetyki są wspólne. Drzwi otwarte na oścież. Wydaje się, że nie mają przed sobą tajemnic.

– *Bhabhi*. – Zara wchodzi do mojego pokoju i zamyka drzwi. – Czy masz podpaskę? Czy masz panadol? Bardzo źle się czuję. Nie mów nic mojej mamie!

Matka czworga dzieci nie może powiedzieć matce, że ma okres?

Faiza tak samo.

– Nie mogę pójść po podpaski, bo mama zobaczy. Nie może nic wiedzieć.

Ano, takie tabu. Rodzice i dzieci o ciele nie rozmawiają. Rozmawiają za to równolatki. A także dwie „obce w rodzinie” – teściowa i synowa.

Gdy zamknę drzwi na klucz i zasłonę okna (sąsiedzi patrzą!), nie muszę się trzymać żadnych zasad. Wstaję więc rano, w negliżu. W koszuli nocnej albo w spodniach i T-shircie. Chcę się napić wody, która stoi w przedpokoju.

– Załóż coś! – woła Wasim – Nie możesz t a k wyjść. Po angielsku brzmi to wymowniej: – *You cannot go out like this!*

Czyli jak? Czy mam coś odsłoniętego? Spodnie długie, zwyczajna koszulka. Otóż wcale nie. Kończy się o wiele za wcześnie. Na pupie. Długa koszula nocna odsłania kostkę! Chcę szybko zrobić sobie kawę – i nie mogę, dopóki się nie przebiorę. A przebierać się bez kąpania? Trzeba wziąć prysznic. Na dodatek wszystkie szalwary wymięte. Irytacja rośnie z sekundy na sekundę, wraz z kofeinowym głodem. Żadna kobieta nie chodzi w tak potwornie wymiętym szalwarze! Obcy nie wie, że można ubranie wysuszyć albo po prostu rozwiesić odpowiednio wcześnie na wieszaku.

Kobiety uczą się zasady *parda* jako małe dziewczynki. Ja nadrabiam te braki w wiedzy, czasem w bólach.

Z Polski przywiozłam rozmaite zwyczaje. Jedzenie sztuccami, a nie prawą ręką. Poranny prysznic. Poranna kawa. Sentyment do ciepłej wody w kranie. Przebieranie się do snu w nieprzyzwoite ubrania. A to widać dekolt, a to zarys pupy, a to bez rękawów, a to goła noga (szczytem swobody w domu byłyby legginsy i kurta lub luźna koszula). Takiego stroju nie uratuje nawet dupatta. Trzeba wcisnąć się w szalwar kamiz.

Wcześniej go wyprasować. Zaplanować to prasowanie, uwzględniając rozmiary dupatty i przerwy w dostawie prądu. Wykąpać się przed zmianą stroju na dzienny. Tak jak przed wyjściem do pracy. Tylko po to, żeby móc się swobodnie poruszać po domu.

Gdy się śpi w tym, w czym chodziło się w ciągu dnia (paskudne uczucie, bo panuje upał i wilgoć), wszystkie powyższe kłopoty znikają. Człowiek chodzi po domu przez pół dnia śmierzący i spocony, za to swobodny i przyzwoity, i wygląda strojnie (bo nosi też bez przerwy bransoletki). Co więcej, ten rytm jest dostosowany do rytmu dnia i pracy. Prysznic bierze się po przygotowaniu śniadania i obiadu, a przed pierwszą popołudniową modlitwą i obiadem. Przez pierwsze miesiące z Michałkiem byłam tak zmęczona, że przeszłam na pakistański system.

Próbowałam wychodzić z domu po swojemu i niewyprasowana. Jednak tej granicy nie udało się ruszyć.

– Masz gołe nogi! Załóż spodnie! – nakazywał Wasim, choć gołe nogi

były przykryte za kostki sukienką.

– To nie jest wyprasowane! – cedził po angielsku teść, mierząc mnie spojrzeniem, przy którym każdy poczułby się zerem.

Do domu przychodzi *masi*, przychodzą khaćrewala, paniwala, mnóstwo żebraków, sąsiedzi, czasem ktoś coś naprawić. Wszyscy o wszystkim opowiadają napotkanym osobom, a tamte powtarzają dziesiątkom kolejnych.

Inny niepojęty zakaz dotyczy okazywania sobie przez małżonków czułości przy domownikach. Wszyscy inni się obejmują, przytulają, śpią na jednym łóżku, gadają godzinami. Po ulicach przechadzają się objęci mężczyźni. Nam w obecności kogokolwiek nie wolno nawet dotknąć swoich rąk! Musimy udawać, że jesteśmy obcy! Pocałunek przed wyjściem do pracy – w sypialni. Gorące powitanie – w sypialni. Poza sypialnią albo parkiem nocą, gdy wyłączono prąd – nic oprócz podawania posiłku. Żadnych pocałunków w przelocie, czułych słówek, drobnych przytuleń, namiętnych pogłaskań. Miłość jest dobra przed ślubem, opiewana w filmach i gazetach. W życiu ma być na dalszym planie.

– Asza! – woła Wasim suchym rzeczowym tonem. „Dobrze, że nie warczy jak na pendzabskich filmach”, myślę ponuro. Nie może nazwać mnie przy ludziach *jar* (przyjaciółko). Ani *dżan* (kochanie). Nie może mnie poklepać po ramieniu, podać mi ręki. Nie może mnie nakarmić (karmienie to bardzo intymny znak bliskości i opieki, i zdarza się w zaciszach alkowy). Nawet czulej spojrzeć. Nikt nie powinien widzieć, że masuję mu plecy. To wszystko robimy przy drzwiach zamkniętych na klucz.

Wasim nigdy nie widział, żeby jego rodzice się przytulali czy byli wobec siebie czuli. Tata do mamy mówi często: o n a, w chwilach najlepszego humoru: *bhai*. Chwali ją, jeśli coś smacznego ugotowała, kupuje wszystko, o co ona prosi. Nigdy nie pomaga jej wstać, umyć naczynia, nie pyta, czy wzięła lekarstwa. Czasem pomaga złożyć mikser, kroi czosnek i imbir i sam obiera sobie grejpfruta.

Druga strona medalu jest taka, że można też łamać tabu. Zakazany owoc smakuje najlepiej. Pocałunek w kuchni przy otwartych drzwiach, gdy w każdej chwili może ktoś przyjść, jest tu jak picie wina na wagarach i palenie w szkolnej toalecie! Co za emocje!

Niedawno trafiłam na dość leciwy już tekst Veeny Das – bardzo

wartościowy dla białych żon „Indusów”, choć nie ma w nim dla nich żadnej szczególnie radosnej nowiny.

Zasady moralności krewniaczej wymagają całkowitego stłumienia każdego wyrażania relacji seksualności między mężem i żoną. Żona nie może położyć się na łóżku, gdy jest zmęczona. Musi czekać, aż każdy już uśnie albo aż starszy członek rodziny, zwykle teściowa, powie jej, że może odpocząć. Miłość fizyczna musi być uprawiana dyskretnie. W zatłoczonych mieszkaniach wielu rodzin małżonkowie muszą się natrudzić, żeby zapewnić sobie warunki, w których żaden znak, że się właśnie kochają, „nie wyjdzie na zewnątrz”. Same zamknięte drzwi już są znaczącym sygnałem. Jeśli małżeństwo miało w ogóle swój osobny pokój, dbali bardzo, żeby nigdy nie zamykać w ciągu dnia drzwi do niego, bo natychmiast zostałyby to odebrane jako zachowanie godne wstydu. Podobnie w obecności starszych członków rodziny męża kobieta nigdy nie siądzie na tym samym łóżku co mąż[18].

Poczułam się szczęściarą. U nas zasady nie są aż tak ostre. Mogę zamykać drzwi! Nikt nigdy mi nie powiedział, że zamykanie drzwi jest bezwstydne. Ani że nie mogę usiąść obok Wasima.

Wszyscy świetnie wiedzą, że nowo poślubieni małżonkowie kompletnie się ignorują w ciągu dnia. Na przykład przychodząc do domu wieczorem, mąż może wymienić pozdrowienia ze wszystkimi – oprócz własnej żony! Od niej również wymaga się, żeby nie okazywała mu żadnego zainteresowania w ich obecności[19].

W mojej rodzinie jest to ogólnie przyjęte i niełatwo to znieść. Mąż przy innych domownikach może okazywać sympatię wszystkim, tylko nie żonie.

Utrzymuje się mit, że żona jest obca dla mężczyzny, a jego matka i siostra to jego własna krew. Wszyscy jednak wiedzą, że to tylko mit. Nie ma nic wspólnego z faktami. Wiedzą, że mężczyzna doświadcza zawsze konfliktu więzi z żoną i więzi z krewnymi (zwłaszcza matką). Żadna więź nigdy nie dorówna świętości relacji matki z dzieckiem. Cierpienie i poświęcenie, których doświadczyła matka, aby urodzić i wychować dziecko, nadają tej relacji większe wymagania moralne[20].

Czasem mężczyzna może być posłuszny wszystkim zasadom, ale zarazem pokazywać „widzom”, że ten publicznie okazywany konformizm jest tylko przebraniem albo „performansem”. Może dawać sygnały z „tła”, żeby zakomunikować prawdziwy stan rzeczy. Dajmy przykład. Wywiązała się kłótnia między siostrą a nowo poślubioną żoną – mężczyzna zbił żonę, potwierdzając tym samym lojalność wobec siostry. Jednak później dał wszystkim do zrozumienia, że to zachowanie było z jego strony tylko pustym konformizmem. Pokazał to, kochając się z żoną tej samej nocy tak niedyskretnie, że każdy naokoło usłyszał i zrozumiał, że ich relacja wcale się nie ochłodziła. Jego żona powiedziała mi, że choć ją zbił, to jego mama wyglądała jak „hazardzista, który stracił wszystko”[21].

Ludzie wiedzą, że zachowanie wynikające z biologii nie może zostać stłumione, ale powinno się je umieszczać na tyłach sceny, z dala od publicznego widoku. Dwa podstawowe fakty biologiczne, z jakimi pendzabska moralność pokrewieństwa musi sobie poradzić, to prokreacja i kopulacja”.

„Bezpośredni dostęp do dalszego planu ogranicza się do niewielu osób”[22].

– Ciociu, lubię zmywać. Szkoda, że nie jestem kobietą i nie mogę tego robić – wyznał mi kiedyś Śehzad, wchodząc do kuchni z brudnym talerzem.

Dwudziestoletni chłop na schwał. Gra na gitarze, dwa razy dziennie wklepuje w policzki krem wybielający, ćwiczy mięśnie, szaleje na motorze ulicami Saddaru. Akurat myłam naczynia. Nie wierzyłam, że mówi poważnie.

Ma trzech braci i mama wszystkich wychowała w przekonaniu, że niektórych czynności nie wolno im wykonywać.

– *Bhabhi*, tak mi ciężko – opowiada mi jego mama, Faiza, gdy robimy *khasta kaćori*, chlebki nadziewane ciecierzycą. – Pamiętaj, żeby środek placuszka był grubszy, a brzegi cieniutkie i równiutko uklepane. – Faiza robi to tak zręcznie, że wpadam w rozpacz. Nigdy chyba nie osiągnę tego poziomu. – Próbuję pracować, mam nadciśnienie, wciąż mi gorąco, codziennie tyle gotowania, krojenia, potem zmywania... Każdy zjada po trzy, cztery *roti* naraz.

– No tak. A dlaczego synowie ci nie pomagają? Są już duzi, mają sporo czasu, z tego co widzę. Mogliby zmywać po sobie, ustalić dyżury. Nauczyć się gotować. Przecież to w życiu bardzo potrzebne! A tobie byłoby trochę lżej...

– Mają zagniatać ciasto na *roti*? – pyta Faiza i się uśmiecha. – Ale oni mi tak pomagają, chodzą po warzywa na targ, noszą mi takie ciężkie torby!

Opowieści o życiu w polskim domu nie przekonują jej zupełnie. Gdzieś daleko jest świat, w którym mężczyzna obiera kartofle i zmywa po obiedzie. Czy nie rozumiem, że tu jest Pakistan? Że kobieta ma usługiwać swoim mężczyznom, karmić ich i chronić, fizycznie i duchowo? Jeśli mężczyzna będzie w domu gotował i zmywał, to co będzie robiła jego żona?

Synowie Faizy nie składają matce życzeń na Dzień Matki, bo to głupi wymysł Zachodu. Mówią, że ich mama jest bardzo dzielna, a gdy dorosną, to będą dużo zarabiali i wtedy zafundują jej *masi*.

A mężczyzna? Ma swoje obowiązki. Zajmuje się tym, co na zewnątrz, zarabia na rodzinę, zna się na prądzie, gazie i przewodach.

Kobiety z Bihar surowo wychowują dziewczynki. Busra wykręca małej Alinie ucho. Kocha ją bardzo, dlatego jest surowa. Chce ją zawczasu

przygotować do życia, żeby nie przeżyła szoku. Przekazuje jej wzorzec nieuniknionego cierpienia, którego doświadczyła ona, a wcześniej jej matka i babka.

– Naucz się znosić ból – mówi. – Nie wolno ci płakać, gdy boli. Musisz mieć wstyd.

Nie chodzi tylko o poród, choć o niego też.

Alina ma krnąbrny charakter, jest niezwykle bystra, przenikliwa, sprytna, ma świetną intuicję. Starsze kobiety widzą w niej zagrożenie, choć ma dopiero pięć lat. Faiza tłumaczy jej podczas kłótni:

– Naucz się skromności! Posłuszeństwa! Gdy wyjdiesz za męża, będziesz musiała żyć w nowej rodzinie, przyjmując jej zwyczaje w miejsce swoich, być posłuszna jej starszym! Inaczej nie przeżyjesz!

– Dlaczego mówisz prawdę? – spytała kiedyś ze złością Faiza, wprawiając mnie kolejny raz w osłupienie. – Od ciebie zależy pokój w domu!

– Bijcie mnie! – woła mama, gdy wnuki się kłócą.

Odczytuję to tak (może zupełnie mylnie): babcia ma znosić ból i chronić dom. Po to tu jest. Zbijcie ją, wyładujcie swoje emocje, jeśli musicie, i uspokójcie się.

Dyscyplina dla córki czy wnuczki i tak jest mniej surowa niż dla synowej. Nikt nie powie tego na głos, ale hinduski ideał *pativrata* – żony poświęconej mężowi – jest wyraźnie punktem odniesienia. Gdy o nim czytam, stają mi przed oczami niektóre Pendżabki i kobiety z mojej rodziny, choć były też takie, które w końcu uciekały od cierpień. Ponoć ma on związek z groźbą wdowieństwa, które dla hindusów było klątwą. Kobieta ma robić wszystko, żeby nie owdowieć. Ślubuje chronić męża, dbać o niego, być mu wierna, poświęcać się mu i jego rodzinie, wyrzekając się siebie. Muzułmanki nadają wyrzeczeniom znaczenie, które tak dobrze wyraża muzułmańskie Święto Ofiarowania. Dla Wasima to, że zgodziłam się z nimi żyć z dala od dzielnic dla zwesternizowanych Pakistańczyków, ma dużą wartość – bo to dla mnie wyrzeczenie, bo wypieram się siebie, bo jestem gotowa do poświęceń.

Trzy magiczne słowa

Bliscy sobie nie dziękują. I w zasadzie się nie przepraszają.

Prośba ma często charakter rozkazu. Chamstwo! Jak inaczej nazwać

zachowanie człowieka, który wchodzi do domu i woła ostro: *khana de do!* Dawaj jeść! Albo grzeczniej (o czym świadczy użycie grzecznościowej formy czasownika „dać”, kierowanej do osób o wyższej pozycji – coś w rodzaju niegdysiejszego: matko, dajcie!): *khana didzie!* I tyle, bo przecież „hej, kochanie” można powiedzieć dopiero w sypialni. Albo gdy nic nie mówi, a potem się obraża, bo ktoś się nie domyślił, że on właśnie jest głodny, zmęczony albo miał zły dzień w pracy?

Nawet robotnik układający kafelki mówi do pani domu: niech pani da herbaty!

Gdzie „proszę”, „dziękuję”, „przepraszam” – słowa klucze codziennej komunikacji?

Czuję się w takich sytuacjach jak w gromie szturchających się jaskiniowców, choć zaraz ganię się za brak relatywizmu kulturowego. Moi domownicy, gdy chcą, umieją wysławiać się kwiecicie i słodko, znają mnóstwo synonimów, które sprawiają, że nic nie rozumiem – „bo to z bengalskiego”, „bo to z *farsi*”. Recytują odpowiednie fragmenty z Baby Farida i Bulle Szacha, są mistrzami tak zwanych dobrych manier, o ile sytuacja tego wymaga. Wśród najbliższych nie ma takiej potrzeby. Polska w takich chwilach wydaje mi się oazą galanterii i elegancji, co zupełnie nie jest prawdą. Młodszy starszym też nie dziękują. Do mnie mówią *thank you*, ale nie słyszałam, żeby ktoś z młodzieży powiedział do dorosłego *śukrija* (dziękuję). Zresztą „proszę” też nie, a „przepraszam” jest bardzo rzadko używane, można powiedzieć w urdu *muaf karo*, ale powszechnie mówi się *sorry*. Anglicyzm. Przyszło z daleka.

– Spełniamy tylko swoje obowiązki – tłumaczy Wasim. – Mama ma mnie o coś prosić? I dziękować mi? Za co?

Nie umiem żyć bez „dziękuję”. Używam tego słowa. W rodzinie milczą, a przyjaciele mówią tajemnicze zdanie: między bliskimi ludźmi nie ma „dziękuję”, „proszę” ani „przepraszam”! Czuję się, jakbym ich swoją uprzejmością uraziła.

Około południa, między jedenastą a trzynastą. Piękna pogoda. Ptaki śpiewają. Słońce, ale nie upał. Pościel zmieniona. Obiad ugotowany. Kebab przyprawiony. Zakupy zrobione. Pranie się suszy, *masi* wysprzątały, co trzeba.

Moi teściowie, sprawni sześćdziesięciolatekowie, siadają przy stole

w przedpokoju i wspólnie milczą. Przez pół godziny. Nieruchomo. Jakby czekali, aż jakieś wydarzenie ich z tego milczenia wytrąci. I po jakimś czasie – wytrąca. Samo. Rozlega się azan. Ktoś zapuka. Ktoś zawoła.

Moi rodzice i dziadkowie w takiej sytuacji natychmiast by wyszli z domu. Na słońce, tu tak znienawidzone, a w Polsce tak upragnione. Odetchnąć. Przewietrzyć się. Przejść się. Coś dokupić. Po prostu pobyc gdzie indziej. Albo coś przeczytać. Zapełnić czymś ten „pusty czas”, dar, który – niewykorzystany – zmarnuje się.

O życiu z kobietami

Najwięcej czasu spędzam wcale nie z Wasimem, tylko z teściami i, na drugim miejscu, ze szwagierkami. Tak jak każda pakistańska żona. I podobnie jak pakistańskie żony, czuję, że wciąż jestem obca, wciąż mam status *bahu*.

„Obecna niewolnica, przyszła królowa” – mówią o *bahu* Pendzabczycy. Między synową a teściową iskrzy w Pakistanie tak samo jak pod każdą szerokością geograficzną. Często w domu męża nie karci się wprost synowej, tylko córkę. Pendzabczycy mawiają: *Dhi nu kehna te bahu nu sunana* – zwracać się do córki, ale słowa są skierowane do synowej. Gdy synowa byle jak zakrywa głowę w obecności starszych (teściów, wujków), jej teściowa może przy niej powiedzieć do swojej córki: „Jestem pewna, że przyniesiesz nam wstyd. Nie będziesz nawet pamiętała, żeby przykrywać głowę w domu męża”. Każdy rozumie, do kogo to było. Po angielsku te zabiegi nazywa się zawołowaną mową. Takie aluzje są zmorą cudzoziemców w tym rejonie świata.

Między synową a siostrami męża również nie jest różowo. Relację między bratem i siostrą uważa się za świętą, a żona brata zwykle chce ją ograniczyć. Siostra ma dostarczać bratu duchowej ochrony. W zamian otrzymuje realną ochronę podczas kryzysów w domu swojego męża. Jest też honorowym „biorcą prezentów” w domu brata. Tak uważa na przykład indyjska antropolożka Veena Das.

Rumieńców życiu dodają „dramy”. Na przykład jedna z kobiet w rodzinie, niewiele starsza ode mnie, wciąż była chora. Gotowała i się słaniała. Chwytała się za serce. Dyszała ciężko. Ocierała pot. Opierała się o ścianę.

Mówiła:

– Mam czterdzieści stopni gorączki! Już niedługo umrę.

– Połóż się – sugerowałam, bo jej współczułam.

– Nie, muszę gotować, służyć moim rodzicom.

Któregoś dnia skarżyła się na nadciśnienie.

– Jakie? – spytałam.

– Dwieście na sto dwadzieścia – wyjęczała na łóżku.

– Ojej. To bardzo wysokie. – Przyniosłam ciśnieniomierz i zmierzyłyśmy.

Sto dwadzieścia na osiemdziesiąt. I jeszcze raz, tak samo.

– Nie masz żadnego nadciśnienia. W każdym razie na pewno nie teraz – powiedziałam i straciłam przyjaciółkę.

Rozmawiamy w salonie. Szwagierka siada obok i zaczyna coś opowiadać bratu. Żadnego „przepraszam, że przerywam”, zaczekania, aż skończymy.

Czuję się, jakby mnie nie było.

To siostry najlepiej wiedzą, co brat lubi, a czego nie. Wciąż chcą mu to wszystko gotować. Okazują mu szacunek. Jest dla nich pierwszy po ojcu. Szczególnie dla tej, która chciałaby rozejść się z mężem i zamieszkać znów z nami. Gdy Wasim przychodzi z pracy, tworzy się kolejka rąk, które chcą mu podać herbatę. Moje ręce są często ostatnie, nie jestem wytrenowanym graczem. To jakiś chory wyścig, myślę. Jakbyśmy były faworytami, damami dworu Wasima i jego taty. Dochodziło do groteskowego wrywania kubka z herbatą z ręki, żeby im zanieść. Która pierwsza poda Wasimowi śniadanie, zadba, ugotuje jego ulubione danie, a on je zje i zaaprobuje? Jeśli nie zje, dzieje się dramat. Polubił jedzenie jej, nie moje. Jeden zero dla niej. Ona zna go lepiej. Lepiej go czuje. Polubił jedzenie moje, a nie jej: wygrałam.

Pierwsze lata były walką. Czułam się wiecznie „odcinana”. Najlepiej, żebym nic nie robiła, nic nie rozumiała, nie przeszkadzała.

– *Bhabhi*, jesteś taka ładna. We wszystkim ci pięknie! Taka mądra. Taka bystra. Co mam zrobić, żeby być taka szczupła jak ty? Tak szybko uczysz się urdu. Może cię pomasować? Może ci wyprasować ubrania? Jesteś taka słaba i delikatna. Usiądź. Nie poradzisz sobie. Tu trzeba siły. Nie ugotujesz, nie upierzesz, nie wyjdiesz. Idź, pobądź z mężem – powtarzały siostry.

Rozmawiały tylko w urdu, pozostali zresztą też.

– Jesteś tu tak długo i jeszcze nie znasz naszego języka? To dlaczego Wasim mówił, że jesteś taka zdolna? – mówił teść, gdy czegoś nie

zrozumiałam.

Gdy jednak przyznałam się, że coś rozumiem, mówili: *khatarnak*. Jesteś niebezpieczna. Żartowali? Mówili prawdę? Zaczęli milknąć lub ściszać głos, gdy wchodziłam. A nuż rozumiem?

Czasem się obrażali, nie wiedziałam na co. Raz tylko niby poznałam przyczynę. Teść gwałtownie wychodził z pokoju, do którego wchodziłam, udawał, że mnie nie ma, albo posyłał mi mordercze spojrzenia. Jestem odporna i wychowana na zachodnią modłę: dorosły człowiek używa do komunikacji również języka. Dopóki nie powie mi, o co chodzi, będę go ignorować. Nie pytałam często rodziców o zdrowie, uznali więc, że jestem niegrzeczna – coś takiego przebaknął Wasim, przyparty po tygodniu do muru. Czy rzeczywiście o to chodziło, nie wiem. W końcu im przeszło.

Gdy szwagierki wprowadzały się z dziećmi, zajmowały kuchnię całymi dniami. Jedzenie podawały bratu na początku, dla mnie czasem nie wystarczało. Gdy chciałam coś ugotować, musiałam zestawiać któryś z ich garnków. Stałyśmy, patrząc na siebie wrogo i milcząc. Nie było nic do powiedzenia. Wchodziła mama i zdejmowała inny garnek – chciała ugotować mleko. Na tym palniku jest lepszy płomień. Przekładała talerze, gdy córki piekły roti, wyjmowała z trudno dostępnych zakamarków szafek zakurzone cedzaki i zapomniane garnki. Między nią i córkami działo się to samo. Walka, której polem stawała się kuchnia.

– Mamo, idź się położyć. Jesteś taka słaba. Wszystko ci się myli. Już nie wiesz, co się do czego dodaje, w głowie ci się kręci.

– Po śmierci naszego brata mama już nie jest taka sama. Tata mógłby wziąć nawet drugą żonę. Jest bardzo dobry i tego nie robi! – mówiły do mnie.

– Ale mama niektóre potrawy gotuje świetnie – odpowiadałam naiwnie, naprawdę tak uważam. – Dzieci uwielbiają jej khićri. A ty nie lubisz?

W życiu rodzinnym liczą się przedmioty i ich cena. Chyba wszystko przeliczają na rupie i dolary. Niektóre panie łapią przy spotkaniu za czyjeś złote kolczyki, za łańcuszki i ważą je w dłoniach, żeby ocenić ich wartość. Gdy mam nowe ubranie, oglądają je z każdej strony.

– Phi, to kosztuje może dwa tysiące rupii! Zwykły drukowany *lawn* (letnie ubranie z bardzo cienkiego materiału). – Krzywi się szwagierka. – A ty się cieszysz.

– Brat cię nie bierze do drogich sklepów – mówi druga z satysfakcją.

– To moje, to twoje! – wołają bez przerwy dzieci, zupełnie jak w Polsce. Po świętach w nieskończoność przeliczają pieniądze w skarbonkach. Walczą o każdą rupię. Porównują prezenty. Gdy dają upominki (a dają często!), zawsze mówią, ile kosztowały. Paczka czipsów pięć rupii, ciastka dwie rupie, torebeczka naz (panu dla dzieci) jedna rupia.

Odwiedzamy wujka z zagranicy. Wujek odniósł sukces. Ma kilka domów w Dubaju, Irlandii, Kanadzie, Pakistanie. Dom w Karaczi jest pusty, luksusowy i olbrzymi, ożywa tylko w czasie wizyt rodziny wujka. Krewni mu zazdroszczą. Nie może się od nich opędzić. Rodzina oczekuje, choć w życiu nie powie mu tego wprost, że wujek pomoże w znalezieniu pracy, w załatwieniu wizy, podzieli się z uboższymi krewnymi, że cień jego losu spadnie też na nich. Każdy z rodziny dalszej i bliższej dostał od wujka lśniącą torbę. Ze zdumieniem patrzę, jak kobiety z rodziny zaglądają sobie nawzajem do toreb. Dostałam perfumy, ktoś materiał na ubranie, ktoś inny torebkę. Na ich twarzach nie ma uśmiechu ani spokoju.

Jestem z pokolenia kryzysu. Moje wczesne dzieciństwo to koniec stanu wojennego i chude lata osiemdziesiąte. Do Polski przyjeżdżali wtedy cudzoziemcy z Zachodu z „darami”. Gdy miałam może pięć lat, widziałam, jak Niemcy czy Holendrzy przywieźli olej. Pomarańczowy wielki baniak z kranikiem. Pięć litrów? Dziesięć? Rodziny miały się nim podzielić. Nie zapomnę zaciętości na twarzach ludzi, którzy przyszli z butelkami i stanęli w kolejce. Napięcia, patrzenia sobie na ręce i na krople oleju kapiące do naczyń. Potem widziałam takie twarze w różnych okolicznościach: to w człowieku siedzi. Ta scena przypominała mi się w Pakistanie wielokrotnie. Jesteśmy tacy sami, pomyślałam.

Nośin mogłaby nie robić w domu właściwie nic, tylko zarządzać służbą. Mieszka w posiadłości w środku miasta, za grubymi murami. Jej rodzina ma własny mały meczet. Kucharze gotują, służący chodzą na zakupy, aje (nianie) opiekują się dziećmi, *masi* sprzątają i zmywają, ćokidarowie (strażnicy) pilnują posiadłości, a kierowcy wszystkich wożą. Ona może wtedy swobodnie poświęcać się pracy naukowej, choć pierwsze pięć lat życia synów spędziła w domu.

Jedna osoba do pomocy na stałe to prawie norma w pakistańskich gospodarstwach domowych należących do niższej klasy średniej. W mieszkaniach zamożniejszych rodzin jest specjalny pokój dla służby,

w jeszcze bogatszych – osobne mieszkanie lub domek. „Uzależnisz się od swojej *masi*. Gdy byłeś za granicą, pewnie sprzątałeś cały dom, robiłeś pranie, zakupy i gotowałeś. Teraz ledwo się zmusisz, żeby zejść do kuchni i zrobić sobie herbatę” – słusznie zauważa w internetowym wydaniu poczytnego dziennika ktoś z wyższej klasy średniej. Uboższe rodziny wynajmują gosposie na parę godzin i też się od nich uzależniają. Rodziny *masi* nie czytają takich dzienników.

W ciągu doby nie zdarza się nawet minuta, gdy nikogo nie ma w domu. Życie płynie bardzo rytmicznie, a rytmem kierują kobiety. Przede wszystkim karmią domowników. Gotują (właściwie bez półproduktów, prawie wyłącznie z nieprzetworzonych składników) i podają jedzenie. Szykują dzieci do szkoły, witają je po powrocie, pilnują, żeby odrobiły lekcje, żeby się wykapały i pomodliły. Dbają, żeby *masi* sumiennie wykonała swoją pracę, a jeśli rodzina jest biedniejsza, to same sprzątają. Zgłaszają mężczyznom, jakie zakupy trzeba zrobić. Przyjmują gości. Dopieszczają mężczyzn, którzy w domu mają głównie regenerować siły i czuć, że są koroną stworzenia. Modlą się – często tak jak powinny, czyli pięć razy dziennie. Jeśli po tym wszystkim zostanie kobiecie jeszcze siła na rozwój intelektualny lub pracę, to oczywiście może się nimi zająć. Częściej energii wystarcza tylko na plotki na rodzinnym łożu i patrzenie w telewizor, żeby odreagować codzienny szum. Poza tym – jak wyjść z tego kieratu poza rodzinne grono? Za każdym sukcesem kobiety stoją tu mężczyźni.

Zajmuję się tylko jednym dzieckiem – absolutnym minimum w świecie, w którym ideał to siedmiu synów. Gotuję na zmianę z teściową i w dodatku moje potrawy zapewne wydają się proste w porównaniu z tym, co przyrządzają Pakistanki. Nie mogę pomagać dzieciom w nauce urdu ani uczyć ich modlitw. Daję im tylko śniadanie, kolację, słucham, rozmawiam. Mam pralkę. Podłogi myje *masi*. Gdy kładę się spać, boli mnie każda kosteczka i każdy mięsień. Najpierw odpoczywam, potem zasypiam.

Gdy wieczorem nareszcie Michał uśnie albo ktoś go litościwie weźmie na chwilę, żeby się pobawić, choć nikt oprócz Wasima nie ma siły ani ochoty, żeby zająć się nim dłużej niż piętnaście minut, robię herbatę, siadam, popijam i patrzę tępo na pokój, który jest obrazem nędzy i rozpacz, areną zacieklej walki i zmagania ze światem od 7.30 (choć właściwie 24 na 24), pełnym rozwalonych ubrań, bucików, podartych książeczek, zabawek, ciasteczek wgniecionych w dywan, fragmentów wnętrza szaf i szafek – i czuję się totalnie wgnieciona w świat, jak te okruchy ciasteczek, i nie mam siły podnieść tego wszystkiego, aby przekształcić naturę w jakąkolwiek

kulturę i ład, i żeby to jakkolwiek w y g l ą d a ł o, a wszak tego jako kobieta mam być niby strażniczką[23].

Prawdopodobnie gdybym się tu urodziła, prawo natury byłoby dla mnie okrutne i samo by mnie odsiało, bo jestem raczej wątłego zdrowia.

– Patrz na moje muskuły, *bhabhi!* – woła Faiza. Jest na co patrzeć. Arina również takie ma. Kruchutka teściowa jest znacznie bardziej ode mnie żylasta.

– Zostaw ten garnek. Zostaw to ciasto. Albo dobrze, spróbuj – mówi pobłażliwie, jak do dziecka. – Bardzo dobrze. A teraz już mi daj.

Arina ma czworo dzieci. Czwartej córeczki nie chciała. Była przybita, gdy ją poznałam. Miała nadzieję, że gdy trzecie dziecko podrośnie, będzie mogła dokończyć studia i pójść do pracy. Studia przerwała, gdy spotkała Tarika, swojego przyszłego męża, a on nie chciał, żeby uczyła się dalej.

– Byłam bardzo piękna. Znajomi Tarika pytali mnie, czy mam siostrę. Bał się, że gdy będę na dodatek wykształcona, zupełnie nie będzie miał nade mną kontroli. Mówi mi czasem, że mogłabym mieć każdego faceta. Denerwuje go nawet, gdy nakładam szminkę przed wyjściem albo robię manikiur.

Tarik, wąsaty gudźaracki przystojniak, często pomagał w domu. Kroił warzywa na sałatkę. Brał dzieci do parku i nad morze. Wspólnie jedli golgappy. Gdy usłyszał, że Arina chce iść do pracy, przestał pomagać. „Dzieci, gotowanie, sprzątanie to twój obowiązek – powiedział. – Chcesz mieć *masi*, płać za nią ze swoich pieniędzy. Wszystko ma być zrobione. Nie interesuje mnie, czy idziesz do pracy, czy nie”.

Tarik jest prawnikiem. Bardzo zdolny, ale pije i pali trawę, bo takie to towarzystwo. Arina nie umie nic z tym zrobić. Musi ścierpieć, nie ma wyjścia. W Pakistanie picie alkoholu uważa się za wielki grzech, więc nie rozpowiada się o nim publicznie. Pomocy chorym trzeba udzielać dyskretnie, żeby ich nie stygmatyzować. Arina nie wie, że w Karaczi działa grupa anonimowych alkoholików, którzy kierują się programem dwunastu kroków. Wiele razy chciała wracać do rodzinnego domu. Ojciec powiedział, że ją przyjmie, ale wnuki muszą zostać z ojcem. Nie zgodziła się. Ponieważ pieniędzy w domu nie wystarcza, Arina sprzedaje lub zastawia biżuterię ślubną, żeby córki mogły się uczyć w dobrej szkole. Jest uparta.

Znalazła pracę w szkole dla dzieci wojskowych. Zasady były bardzo surowe, atmosfera napięta i upokarzająca. Nie mogła rozmawiać z innymi

nauczycielami. W końcu rzuciła pracę. Potem pracowała z dziećmi autystycznymi – była z siebie dumna. Zapisła się też na kurs kroju i szycia z USAID. Jej projekt zajął bardzo wysokie miejsce. Gdy wyjeżdżałam, miała zaczynać własny biznes.

Zarina siedziała obok mnie podczas szkoły rodzenia wśród kilkunastu barwnie ubranych i przyozdobionych przyszłych matek. Słuchałyśmy wykładu położnej. Zarina pomagała mi robić notatki, gdy czegoś nie rozumiałam, bo kurs był w urdu. Któregoś dnia spytała: czy byłaś w centrum kultury francuskiej? Byłam. Okazało się, że Zarina grała wtedy na tabli. Zaprzyjaźniłyśmy się szybko. Jej córeczka urodziła się trochę później od Michała. Rodzina jej męża jest światła i wykształcona, jednak tradycyjna: uważa, że macierzyństwo musi stanąć przed wszystkimi dotychczasowymi obowiązkami. Dlatego Zarina martwi się, że musi porzucić tabię. Może na zawsze? Żeby się rozwijać, trzeba grać codziennie.

Mieszka w Omanie, bo mąż tam pracuje. Czuję, że Oman to dla niej trudny świat, tak jak dla mnie Pakistan. Rozmawiamy na Skypie. Spotykamy się, gdy przyjeżdża do Karaczi. Wtedy przychodzi do niej siwy ustad – nauczyciel gry na tabli. Zarina ćwiczy z nim codziennie przez kilka godzin i podtrzymuje nadzieję, że wróci kiedyś na poważnie do instrumentu.

Wiele razy pocieszam ją, żeby była wytrwała. Mówię to i do niej, i do siebie. Może do siebie bardziej niż do niej. Wierzę, że jednak można, choć czasem się wydaje, że wszystkie drzwi są zamknięte.

Że obojętnie, co się dzieje, ile dni siedzę w zamknięciu, ile roti mam uklepać, jak długo grać w piłkę z dziećmi i lepić z nimi plastelinowe figurki, muszę jak ognia strzec się świata kuchennych intryg i kłótni.

Ludzie, którzy rzadko wychodzą poza najbliższe otoczenie, zwracają uwagę na najdrobniejsze szczegóły swojego życia. Obserwują bacznie siebie nawzajem. Żyją sprawami rodzinnymi i sąsiedzkimi („Zamiast zająć się czymś pożytecznym” – narzekam w duchu. „Jednak oni żyją w grupie i grupa jest dla nich ważna” – sama sobie odpowiadam). Podglądają się nawzajem przez okno, a przypuszczam, że czasem nawet przez dziurkę od klucza. Intrygi zjadają często najwięcej emocji, sił i myśli. Nadają życiu smak. Od rana do późnej nocy. No bo jak znaleźć czas na czytanie, pasję, pracę umysłową, pomoc innym, gdy zżera człowieka ciekawość: czy zdjęcie, które

dostałam w prezencie urodzinowym od Ariny, ona ukradła wcześniej Faizie? Faiza już od pół godziny opowiada mi o tym z wypiekami na twarzy, ale sprawa zdjęcia to drobiazg. Zajmuje ją mnóstwo takich problemów. Potrafi objechać pół Karaczi, żeby przekazać plotki różnym krewnym i znajomym, którzy też dostają od jej słów wypieków, a potem do nas dzwonią i przychodzą zaafetowani. Co powiedziała o mnie Lina? Zara przyszła przedstawić mi różne wersje. Czy rzeczywiście powiedziała, że Faiza zachowuje się jak moja *masi*, bo chce, żebym wpływała na Wasima? Kto obgaduje mnie za plecami? Kto mnie o coś oskarża? Komu się nie podoba, że za dużo wychodzę? Kto czego chce? Układ sił w rodzinie jest ważny, nie można stać zupełnie z boku. Jednak kluczem do przetrwania w domu jest zimna krew. Najlepiej, jeśli słowa wpadają jednym uchem, a wypadają drugim. Wtedy można spokojnie robić swoje i uniknąć zatracenia się w codziennych wyścigach i walkach.

Rodzice i dzieci

Nie umierają, tylko się mnożą

Wszędzie pełno dzieci. Szczególnie przybysz z Zachodu, nieprzywykły do takiej ich liczby, może odnieść wrażenie, że jest ich co najmniej tyle co dorosłych.

– Jak to, przecież i u nas jest tłum dzieci. Popatrz latem na place zabaw! Na pociągi! Na koniec i początek roku szkolnego! Na Centrum Nauki „Kopernik”! Dzieci są, tylko nie wychodzą na dwór tak często jak dawniej! – mówią mi w Polsce.

Tu nie trzeba jeździć do „Kopernika” ani czekać do pierwszego września. Pod moim blokiem biega czasem kilkadziesiąt dzieci. Gdy jedziesz samochodem, musisz co chwila stawać i czekać, aż drużyna krykieta przesunie bramkę.

– Ludzie tutaj są jak robaki – irytuje się kolega, z którym jedziemy samochodem i mijamy troje umorusanych trzy-, czterolatków spacerujących po ulicy. – Nie umierają, tylko się mnożą. *They don't die, they multiply.* Każda *masi* ma siedmioro.

Rzeczywiście, można odnieść takie wrażenie – bo gdy dzieci umierają, nikt oprócz najbliższych tego nie zauważa. Przeraza mnie myśl, że nawet gdyby dziś zginął milion mieszkańców Karaczi, na ulicach i tak byłoby widać taki sam tłum.

Chodnikiem idzie młoda szczupłutka kobieta w czarnym płaszczu, z trójką drobiazgu. Jedno idzie samo, drugie za rączkę, trzecie mama trzyma na rękach. Dwie takie kobiety z szóstką. Trzy z dziewiątką. Idą na bazar.

Rodzina na motorze. Widok często utrwalany na zdjęciach czy filmach.

Rodzice z czworgiem dzieci, na końcu kobieta bokiem z najmniejszym dzieciątkiem pod pachą. Kobieta założyła przepastne szaty, które mogą się jej wkręcić w szprychy motoru, na jej stopach dyndają klapki, mieniać się cekinami i sztucznymi diamentami. Czasem widać kurioza: motor prowadzi dwunastolatek, a z tyłu bokiem siedzą jego mama i siostra.

Jedenaście osób upchniętych w rikszy. Piętnastka krewnych gnieździ się w taksówce. Faiza, słusznych rozmiarów, mieści się spokojnie w niedużym suzuki z szóstką latorośli w wieku od sześciu do osiemnastu lat. Jak w rosyjskiej bajce o rękawicze.

Rzadko, bo rzadko, ale widywałam dodatkowych krewnych poupychanych w niedomkniętym bagażniku i ciekawie oglądających z tej perspektywy świat, bo wszyscy chcą przecież jechać w sobotę nad morze!

W wytwornej kawiarni krótko ostrzyżona i elegancka Attija Inajatullah opowiada o swoim życiu i przemyśleniach. Była doradcą do spraw planowania rodziny za prezydentury Zii ul-Haqa, a potem ministrem rozwoju kobiet, edukacji specjalnej i opieki społecznej. Zasiada w radzie UNESCO. Mówi o swoim ojcu, któremu ludzie współczuli, bo miał aż cztery córki i tylko jednego, najmłodszego syna; o spotkaniu z Mao Zedongiem i o tym, że generał Zia ul-Haq, wbrew obiegowej opinii, robił dużo w zakresie planowania rodziny. Słucha jej może sto osób. Pomagała też we wprowadzeniu programu regulacji poczęć w Iranie.

– W Iranie się udało – powiedziała. – W Pakistanie jest wciąż tyle pracy!

Iran jest w regionie wzorem kraju, któremu się udało powstrzymać przyrost naturalny. Pogadanka o antykoncepcji była tam obowiązkowa, podobnie jak „kursy przedmałżeńskie” przed polskim ślubem kościelnym, lecz o zgoła przeciwnej treści. Po trzecim dziecku w Iranie rodzinie przestawały przysługiwać bony żywnościowe, płatny urlop macierzyński i wszelkie świadczenia społeczne. Pakistan nie ma żadnych tego rodzaju luksusów, które mogłyby odebrać matkom.

– Każde dziecko ma prawo być kochane, chciane, pielęgnowane – mówiła doktor Attiya. – Każda matka ma prawo mieć tyle dzieci, ile może pokochać. Jesteśmy za życiem, ale za godnym życiem. Dzieci w Pakistanie jest za dużo. Lekarze wyznaczają matkom po porodzie wizyty, na których chcą z nimi omówić metody antykoncepcji, a pacjentki nie przychodzą. Dużo skuteczniej podwiązać kobietom jajowody po czwartym dziecku, nic nawet nie mówiąc!

Islam jest nowoczesny – dodała. – Nie zabrania antykoncepcji. Ludzie, którzy wierzą, że trzeba mieć jak najwięcej dzieci, są zacofani i nie szanują kobiet ani ich prawa do wyboru.

Pakistan liczy około 188 milionów mieszkańców. Przeciętny Pakistańczyk ma około dwudziestu trzech lat. W Polsce czuję się stosunkowo młodo, tu należę do tej drugiej, starszej połowy. Ludzie powyżej pięćdziesiątego piątego roku życia to niecałe dziesięć procent populacji. Statystyczna Pakistanka rodzi pierwsze dziecko w wieku dwudziestu trzech lat. W moim otoczeniu najwięcej kobiet to matki trojga lub czworga dzieci. Wedle statystyk taka liczba to norma. Kobiety często rodzą niemal rok po roku, co bardzo odbija się na ich zdrowiu.

Godne życie

Hasło o godnym życiu, na które zasługuje każdy, trafia tu na podatny grunt.

Domy z szarych cegieł. Wokół nich kanały ze stojącą cuchnącą cieczą. Zgroza ogarnia na myśl o pracy człowieka, który je czyści. Lodówka, dwupalnikowa kuchenka, szafka, zlew w kształcie szaflika. Granatowe baniaki z wodą – najcenniejszym dobrem. Słowa „higiena”, „kąpiel”, „pranie”, „mycie rąk” nabierają innego znaczenia. Na jednym palniku czasem trzeba ugotować obiady dla dwóch rodzin, każdej po dwadzieścia osób. Codzienny majstersztyk, którego nikt nie doceni.

Na trzynaście osób (w tym czworo dzieci) musi czasem wystarczyć 30 tysięcy rupii na miesiąc. 1150 złotych. Ceny w Pakistanie są niższe niż w Europie, a w Karaczi ponoć jest tanio – ale nie aż tak tanio, jak można by się spodziewać.

Zakupy na kolację wyglądają malowniczo: pomidory, ziemniaki, kolendra, cebula, kalafior, ryż, zmieszany dal. To aż trzysta rupii, a olej, sól, przyprawy i gaz przecież też kosztują.

Na ulicach widać grupki dzieci. Niektóre spędzają tak całe dni. Podczas konferencji o Karaczi widzę zdjęcie dziennej diety dziecka ulicy. Orzeszki, czipsy, pestki słonecznika, torebeczki panu dla dzieci (*chocolate pan masala*) o nazwach w rodzaju Hum Tum, Go Go, naz, dropsy, landrynki. Wszystko razem kosztuje dwadzieścia rupii. Mniej niż złotówkę.

Rząd i potężne organizacje pozarządowe przeznaczają dużo pieniędzy na zahamowanie przyrostu naturalnego. Promują prezerwatywy Prudence i Josh, wkładki domaciczne Heer (imię bohaterki ze słynnej historii miłosnej) i wszelkie możliwe rodzaje antykoncepcji hormonalnej. Darmową wazektomię i sterylizację. Chodzą od domu do domu. Na billboardach reklamuje się modele rodziny 2+2 i 2+3. Ponieważ organizatorzy wiedzą, jak ważne w tym świecie są dzieci, przedstawiają swoją pracę jako promocję *birth spacing* – wydłużenia przerw między narodzinami kolejnych dzieci. Przynosi to skutki, ale nie tak szybkie jak w Iranie. Wielu Pakistańczyków wierzy, że antykoncepcja sprzeciwia się i naturze, i islamowi. Nikt nie zadaje sobie trudu stworzenia propozycji regulacji poczęć zgodnej z ich przekonaniami.

– Zapraszajcie mężów na poród! – przekonywała nas położna w czasie szkoły rodzenia w szpitalu Aga Khana. – Muszą zobaczyć, ile kobieta cierpi i że oni też są za to odpowiedzialni! Muszą zrozumieć, że nie możecie tego przeżywać za często!

Zaprosiłam, choć z bardziej „zachodnich” powodów. Bliskość, wspólnota, rodzicielstwo. W kluczowej fazie pielęgniarka zasłoniła przed Wasimem zasłonki i tyle się napatrzył.

Jedne zajęcia podczas szkoły rodzenia poświęcono środkom antykoncepcyjnym i wczesnoporonnym. Plastrom, wkładkom, operacji, a na końcu, z powątpiewaniem, antykoncepcji doustnej. Pigułki w Pakistanie zawodzą, bo ich skuteczność zależy od żelaznej dyscypliny, regularności i punktualności. To raczej nie są cechy, z których słyną Pakistańczycy.

Dzieci umierają, statystycznie najczęściej na biegunki i zapalenia płuc. Dlatego rozsądniej urodzić ich jak najmniej. Najlepiej synów (im więcej, tym większy szacunek otoczenia), bo córka dołączy prawdopodobnie do rodziny męża i będzie się opiekować jego rodzicami. Kto, jak nie dzieci, zajmie się rodzicami na starość? Nikt trzeźwo myślący nie liczy, że zrobi to państwo albo dalsza rodzina. Zresztą nawet nadzieja rodziców na opiekę ze strony dzieci jest pełna niepokoju. Czasy są trudne.

– Mam w domu maleńkie dzieci. Najbardziej się boję, że nie będą się nami opiekowały na starość. Że wyrosną na egoistów. Robię, co mogę, żeby zaszcześcić im wartości, które przekazali mi moi rodzice, i mam nadzieję, że moje dzieci, patrząc, jak traktujemy rodziców, którymi się opiekujemy, nauczą się na moim przykładzie. Ale boję się, że może mi się nie udać.

– Dlaczego? Przecież dobrze je wychowujesz.

– Świat się zmienił. Żyjemy w tak niepewnych czasach. Teraz nawet mała sprzeczka prowadzi do morderstwa. A jeśli któregoś dnia nakrzyczę na dorosłego syna, a on w złości odbierze mi życie?
[24]

Człowiek musi założyć rodzinę

Muzułmanin nie może pozostać singlem. „Każdy muzułmanin ma obowiązek zawarcia związku małżeńskiego. Życie w celibacie i życie monastyczne są w islamie zakazane”[25]. Mężczyzna ma utrzymywać żonę (lub żony) i dzieci, kobieta – rodzić dzieci i je wychowywać. Macierzyństwo zawsze jest na pierwszym miejscu w życiu kobiety. To jej najważniejszy życiowy obowiązek i misja do spełnienia. Kariera zawodowa nie może, przynajmniej teoretycznie, się z nim równać. W Pakistanie ciąży, macierzyństwu i dzieciństwu nie towarzyszy słodko-różowo-błękitno-misiowo-romantyczna otoczka. Mało kto ma warunki, by roztkliwiać się nad swoim odmiennym stanem i celebrować macierzyństwo. Dzieci to wielka radość, zwyczajność, normalność i los. I jeszcze nadzieja opieki na starość.

– Teraz jesteś kobietą – mówiły znajome, gdy urodziłam. – Taką jak my!

Kim byłam, zanim stałam się mamą? Czy w ogóle kimś byłam? Czy o mojej wartości tutaj decyduje tylko biologiczne macierzyństwo? Co przeżywają tu kobiety niepłodne? Tym bardziej, że gdy para jest niepłodna, odpowiedzialność przypisuje się wyłącznie kobiecie. Jak się czują z taką społeczną presją? To wielkie wyzwanie – być kobietą w takim systemie i nie dać się przygnieść. Wtłoczyć tylko w tę rolę.

A jednak nie zawsze decyzja o niezakładaniu rodziny spotyka się z brakiem akceptacji.

– Ludzie nas szanują – opowiada polska zakonnica ze zgromadzenia sióstr miłosierdzia (Matki Teresy z Kalkuty). – Wiedzą, że chodzimy do najbiedniejszych, najciężej chorych i że żyjemy jak biedacy, że nie mamy telefonów komórkowych, telewizora. Znają naszą pracę. Nie widzą tego, co za klauzurą, nie wiedzą, że nie mamy wiatraków. Ale nie jemy u nikogo, kogo odwiedzamy. Nie chcemy, żeby ponosili przez nas koszty. Nie chowamy krzyży. Mówią, że żyjemy jak anioły.

Wasim często używa sformułowania „jak anioły” w odniesieniu do zakonników i wszystkich, którzy poświęcają osobiste szczęście i zajmują się

ludzką nędzą.

Anioł nie ma rodziny, człowiek musi ją mieć.

W moim otoczeniu najwięcej jest matek niepracujących zawodowo. Studiują i pracują, gdy nie mają jeszcze rodziny. Zamążpójście zazwyczaj oznacza dla nich koniec nauki i życia zawodowego. Czasem rodziny specjalnie wyznaczają datę ślubu tuż przed otrzymaniem dyplomu uczelni lub zaraz potem. Zawodowo spełniają się kobiety takie jak Nośin – zamożne, których mężów stać na nianie i świetne szkoły.

– Wróciłam na uniwersytet, gdy synek miał pięć lat! – powiedziała Nośin. Miała szczęście, że się jej udało po tak długiej przerwie.

Lekarki, urzędniczki, kobiety w wojsku. Nauczycielki – gdy odchowają dzieci i mogą je wysłać do szkoły, w której pracują. Pracować muszą kobiety z ubogich rodzin: na wsiach, szwaczki w fabrykach, sprzątaczkki i pomoce domowe.

Haripur na północy Pakistanu, zielone, ciche i miejscami odludne, przypomina małe ukraińskie miasteczka. Mieszka tu część naszej rodziny. Wkoło ciągną się pola, a do miasteczka wiedzie droga obsadzana drzewami.

– To nasze ulubione miejsce – mówi żona kuzyna Ajaza, gdy idziemy na spacer. – Tu jest tak pięknie. Mówimy na nią „zielona droga”.

W ich domu też czuję się swojsko. Dywany na ścianach, pełno pamiątek na półkach. Kuchnia i łazienka są na zewnątrz, do domu prowadzi ścieżka pełna krzewów z kolorowymi kwiatami. Jest bardzo czysto. Kobiety zapraszają mnie do swojego pokoju. Trzymają w nim Koran, więc nie ma tu żadnych zdjęć. Na co dzień mieszka tu babcia – kuzynka mojej teściowej. Siadam z nimi na łóżku. Gruba owinięta w ciemny wzorzysty czador siostra Ajaza, która przysłała się z nami spotkać, mówi:

– Popatrz na mnie. Na mój brzuch. Byłam dziesięć razy w ciąży. Mam sześcioro żywych dzieci. Mąż się ze mnie śmieje, że brzydko wyglądam, że moja skóra wisi. A jak mam wyglądać? Wyszłam za Hazara, jesteśmy bogaci. Wszystkie moje córki się uczą. Jedna studiuje fizykę! Uparłam się, że muszą być wykształcone. Mają iść na studia. Nie chcę, żeby żyły tak jak ja.

Ciąża

Gdy wychodzisz za mąż, kobiety zaczynają bacznie obserwować twój brzuch. W naszym domu zorientowano się, że jestem w ciąży, bo zaczęłam mieć mdłości, zwłaszcza przy wszechobecnej woni smażonej cebuli – tej krojonej i tej zmielonej (pachną zupełnie inaczej!).

– Ho ho ho! Twoja bluzka do sari już robi się ciasna! – chichotały szwagierki i teściowa.

– Raj jest u stóp matki! – pouczał mnie nestor rodu.

– Uważaj teraz, gdy jedziesz rikszą. Nie pochylaj się za dużo! Jedz niedojrzałe mango! – radziły kobiety. Nikt nie zalecał mi leżenia i objadania się słodyczami ani nie zastanawiał się, czy wolałabym chłopca, czy dziewczynkę. Dziwili się, że boję się różyczki, której nie przechodziłam w dzieciństwie, i że unikam kotów. Nie wiedzieli, że wpadałam w panikę, myjąc kilogramy kurczaków czy kozich nóg – przecież to codzienne czynności, nikomu nie przychodziło do głowy, że wiąże się z tym zagrożenie toksoplazmozą.

Znalazłam szkołę rodzenia w moim szpitalu. *Antenatal classes* w ponurej auli. Zebrały się tam zadbane panie, wymalowane, wyondulowane i z wypielęgowanymi dłońmi, owinięte we wzorzyste szaty, najczęściej z dużą nadwagą.

– W niektórych domach ciężarna kobieta spędza większość ciąży na leżeniu lub siedzeniu i jedzeniu słodczy. Żeby jej dziecko miało słodkie życie – przypomniałam sobie słowa Wasima.

Kobiety, które pracują do ostatniego dnia ciąży, może nigdy nie zajrzą nawet za próg tego szpitala. Prowadząca położna, Jasmin, rozdała nam tekturowe teczki z informacjami, jak rozpoznać, że już rodzimy, i jak dbać o siebie w czasie połogu. Powiedziała, że przyszłe mamy mają pić od szesnastu do dwudziestu szklanek wody dziennie (zalecenie wydawało mi się niemożliwe do wykonania, ale potem bardzo mi pomogło nauczyć się pić tyle, ile trzeba w tym klimacie), jeść guawę, papaję, parathy, żuć orzeszki betelu, rozciągać się, odpoczywać, robić masaże, do napoju lassi dodawać jedno małe mango, chodzić na spacer i zachowywać spokój.

Zachęcała do karmienia piersią, niezbyt popularnego wśród Pakistanek. Mleko mamy jest dla dziecka najlepsze, znacznie lepsze niż miód, gutti (ziołowy lek na przeczyszczenie) czy przeżuty daktyl, które tradycyjnie daje się noworodkom jako pierwszy pokarm. Nie należy też noworodka i niemowlęcia poić wodą z miętą, wodą z gotowania dalu ani w ogóle

niczym, dopóki nie skończy pół roku. W tym szpitalu personel czuwa, żeby babcia, dziadzio albo ciocia nie przedostali się do naszego dziecka z przemyconym – nawet w jamie ustnej! – daktylem.

Ufff.

– W domu musicie tego dopilnować same. Powiedzcie szczególnie mężom! – powtarzała stanowczo Jasmin. – Pilnujcie też, żeby nikt nie podkładał pod główkę dziecka talerza ani specjalnego przyrządu modelującego główkę.

(Nie wiem, czy to Wasim, z którym – przestraszona, co tu kryć – dzieliłam się tymi rewelacjami, wszystkiego upilnował, a może po prostu w jego rodzinie się tego nie praktykuje – dość, że nasz synek nie doświadczył żadnego z tych zabiegów).

– I nie pijcie litrami mleka, soku jabłkowego ani wody z orzecha kokosowego! Dziecko nie będzie od tego miało białej skóry! W ciąży trzeba jeść szpinak i buraki, czarną ciecierzycę, rozmaite fasole i dale, ryż, czasem mięso, ćapati, pić jogurt, unikać soków, nawet tych świeżo wyciskanych, cukru, biriani, pakor i samos.

Unikać świeżo wyciskanych soków. Łatwo powiedzieć!

Rodzić jak burger

– Rodziłaś w Pakistanie? – pytają mnie polskie przyjaciółki. – I przeżyłaś?!

Może rodziłam w egzotycznym domu, z całą rodziną, a poród odbierała pomarszczona *dai* – akuszerka o świdrujących czarnych oczach? Może miałam prawdziwą orientálną dulę? Ich miny mówią, że z pewnością jest to coś budzącego grozę i podziw.

Tymczasem rodziłam jak burger[26]. W luksusach. W Polsce też uznano by to za świetne warunki. Pojedyncza sala, smaczne, choć wystygłe jedzenie, fachowa, delikatna opieka, niezwykła lekarka prowadząca – doktor Fauzia. Znieczulenie bez specjalnych dyskusji! Mogłabym się czepiać, że pielęgniarka nie wkuła mi dokładnie kroplówki i ręka spuchła jak bania albo że przy intubacji naruszyli mi struny głosowe i przez dwa tygodnie nie mogłam głośno mówić. Ale to byłoby nie fair. Było wspaniale, chciałam zostać w szpitalu jeszcze przez miesiąc. Niestety, wypisali mnie po trzech dniach.

– Boję się – powiedziała dziewczyna w ciąży, która leżała obok mnie na izbie przyjęć. – Rodzenie to czas kobiety. Wtedy śmierć jest blisko.

Moja szwagierka zmarła przy porodzie. Gdybym rodziła w domu albo zwykłym szpitalu, tak jak moje sąsiadki, może bym nie przeżyła. Wasim protestuje, gdy chcę odwiedzić taki szpital. – Tylko przyniosłabyś jakąś chorobę – mówi. – Musisz być bardzo zdrowa.

Na porodówkę jechałam przy akompaniamencie soundtracku z *Love Story*, bo taką akurat kasetę Wasim miał w samochodzie. Było więc rzewnie i wzruszająco. Jak w serialu. Nie zapomnę bólu, swoich krzyków i tego, że wszystko wydało mi się zimne: woda, jedzenie, wystrój szpitala. Doktor Fauzia krzyczała:

– *Yes, Maria! Push! Wonderful! Amazing!* Michał był czerwony, mały i wściekły. Lekarka trzymała go za nogę. Pielęgniarki z Cítralu zabrały mi go do zważenia i umycia, a po dwudziestu minutach powiedziałam im:

– Dajcie mi go wreszcie!

Gdy opuszczałam szpital z małym niebieskim pakunkiem, czułam się okropnie samotna. Wszystko było straszliwie obce. Nie godziłam się też na słowa, które słyszałam od tyłu osób: „Teraz jesteś kobietą”. Przecież zawsze byłam kobietą!

Rodzi się znacznie więcej chłopców.

Ostatnie USG w ciąży. Trzydziesty siódmy tydzień.

– Czy może pani doktor powiedzieć nam, czy to chłopiec, czy dziewczynka?

– Nie – mówi zakłopotana lekarka i pokazuje na kartkę po angielsku, której nie zauważyłam. „O płci dziecka informujemy tylko za pisemną zgodą lekarza prowadzącego ciążę”.

– Dlaczego?

– Rodzice często chcą się pozbyć dziewczynki. Nawet pod koniec ciąży. Córnka to dodatkowy kłopot i obciążenie. Posag. Rozumieją państwo, majątek wypływa z rodziny. Jeśli żona nie urodzi mężowi syna, ten ma prawo bez informowania jej poślubić inną kobietę.

Niemowlęta porzucane na śmietnikach, żywe lub martwe, to niemal same dziewczynki.

Ponoć motywem większości *karo kari* (honorowych zabójstw kobiet) – oblewanie kwasem, przypadkowe wylanie wrzącego oleju – jest chęć odzyskania własności utraconej podczas jakiegoś ślubu.

– To chłopiec! – powiedziała moja lekarka. – Bóg panią pobłogosławił, dając syna!

Oczywiście, że tak. Dziecko to prawdziwy dar od Boga. Chodziłam po szpitalnym korytarzu. Na drzwiach sal goście przyklejali kartki z gratulacjami. Tam, gdzie urodził się chłopiec, niebieskich kartek, kupionych w sklepie, było kilkanaście. Na drzwiach, gdzie urodziła się dziewczynka, gratulacji było znacznie mniej, wykonanych samodzielnie. Może tak trafiłam. Moja przyjaciółka urodziła dziewczynkę. Spotkałyśmy się kiedyś, jako świeżo upieczone mamy, na przyjęciu.

– *Maşalla!* – wołały kobiety na widok Michała. – Bóg cię pobłogosławił! Syn!

– Aha – mówiły, widząc córeczkę i kiwały głowami. – Jest taka śliczna.

Miałam ochotę wystąpić z edukacyjną przemową, że każde dziecko jest darem od Boga, ale ani był na to czas, ani miejsce.

– Nie wszyscy tak myślą – pocieszył mnie nasz dobry znajomy, Masud, gdy opowiadałam mu o tym rozzalona. – Naprawdę mnóstwo ludzi kocha swoje córki i nieba by im przychyliło. To wspaniale mieć córkę!

Powitanie na świecie: macierzyństwo musi boleć

W dniu narodzin Michała odwiedziła nas szwagierka z sześciorgiem dzieci i wielkim bukietem kwiatów. Włożyli małemu do łóżeczka rupie. Odmówili nad dzieckiem modlitwę, jednocześnie „wykonując banknotem ruchy okrężne”.

Każdy chciał pogłaskać noworodka i pocałować mu rączki.

– Arif miał wczoraj gorączkę – powiedziała Faiza. – Ale już mu spadła – dodała na pocieszenie.

Tydzień po narodzinach sprowadziły się do nas obie szwagierki z dziesięciorgiem dzieci. Był grudzień, w Karaczi sezon gryp, przeziębień i trudnych do wyleczenia infekcji. Przyniosły pudło pysznego rabri (mlecznego deseru).

– Miałam czterdzieści stopni gorączki! – skarżyła się Arina, kichając jak

z dubeltówki i wycierając nos. Oczy całe zażawione od kataru. – Dzieciaczek! Puciupuciupuciu! *Śoo ślit!* (czyli: so sweet, taki słodki). *Śoo kiuuut!* (so cute, taki uroczy). Mój syneczek! Maluszek! Uuuuu! Tak się cieszę, że mogliśmy do was przyjść!

Znajome rodziny wpadały z zapowiedzią i bez. Jedni znajomi, z dwiema małymi córeczkami, zobaczyli mnie bez dupatty. Byłam tylko w sukni do kostek, w której zmieściłby się wieloryb, i oczywiście spodniach.

– *Bhabhi!* W Pakistanie, gdy przychodzą goście, zakłada się dupattę! – wysyczała zgorszona mama dziewczynek.

– To jest mój dom, a wy przychodzicie bez zapowiedzi! – zdenerwowałam się.

Do sukni dupatta nie była przewidziana, więc aby nie robić awantur gościom, którzy przyszedli z radosnej okazji, wyszukałam w szafie cokolwiek.

– Ta dupatta nie jest od kompletu! – zawołała pięciolatka. – Dlaczego ją założyłaś? Ta dupatta zupełnie nie pasuje! Gdzie jest dupatta do tej sukienki? Ta dupatta i ta sukienka nie są do pary! – powtarzała niezadowolona. Dupatta i dupatta. Miałam ochotę ją ugryźć.

Reagowałam jak kotka, której ktoś chce zabrać młode, gdy obce baby – a obca była każda – brały moje dziecko na ręce, całowały i powtarzały: *mera beta, mera beta* (mój synku, mój synku). Chciałam je rozszarpać. Kobiety w rodzinie podbiegały i wrywały mi dziecko z rąk. Wciąż chciały mi je zabrać.

Czy my go nie kochamy? Zderzenie perspektyw

Michał rósł, a ja odkryłam dziwną zasadę. Otóż gdy szłam go przewinąć, przebierałam go, a zwłaszcza gdy się z nim bawiłam, rysowałam albo mu śpiewałam, teściowa mówiła do mnie:

– Czy to tylko twoje dziecko? Nie możemy do niego podejść? Nie kochamy go?

O co chodzi? Jak to: nie mogą? Skąd taki pomysł? Czyje to zadanie, jeśli nie moje – opiekować się dzieckiem? Tym bardziej że nie pracowałam poza domem i byłam wciąż na miejscu.

– Gdzie jest jego matka? – wołał teść, jeśli Michał wyłaził na podłogę w przedpokoju czy coś broił, a ja byłam gdzie indziej. Kto mi opowiadał iks

razy, że raj jest u stóp matki? Przecież nie ja im. Poza tym – dlaczego, gdy cokolwiek gotuję, słyszę twierdzące i aż irytujące: to dla synka, prawda? Zakładałam mylnie i naiwnie, że jestem w domu z powodu dziecka, podczas gdy w Pakistanie kobieta jest w domu, bo to właśnie jest jej miejsce.

Gdy czytałam szkic o pendżabskim życiu rodzinnym *Masks and Faces. An Essay on Punjabi Kinship (Maski i twarze. Esej o pendżabskich więzach pokrewieństwa)* Veeny Das, poczułam się, jakby ktoś podsuwał mi rozwiązanie zagadki słów mojej teściowej (choć biorę poprawkę na to, że teściowa nie jest Pendżabką, więc zagadka pozostaje nie do końca rozwiązana).

Jednym z rzucających się w oczy faktów życia w *joint family* jest to, że rodzice małych dzieci rzadko pieszczą je w obecności innych. Pewna starsza rozmówczyni kategorycznie uważała, że młoda kobieta powinna zawsze ignorować płacz własnego dziecka i pozwolić innej kobiecie z rodziny odpowiedzieć na jego potrzeby. Taki kod zachowania jest przestrzegany w rodzinie męża tej rozmówczyni i w jej domu rodzinnym. Zdaniem niektórych rozmówców wynika to z faktu, że dzieci są owocami seksualności swoich rodziców i dlatego rodzice czują „wstyd” przy pieszczaniu ich albo zabawie z nimi! Uważam, że jest drugi równie ważny element tłumaczący ten kod. Stało się to dla mnie jasne, gdy pewien stary człowiek, patrząc na swojego syna bawiącego się z wnukiem, spytał: „Dlaczego on musi się bawić ze swoim synem? Czy myśli, że nie kochamy wystarczająco jego dziecka?”. Pieścić swoje dzieci i odpowiadać natychmiast na ich potrzeby znaczy zarazem podawać w wątpliwość zdolność pozostałych członków rodziny do kochania ich i dbania o nie. Rodziców, bezpośrednio odpowiedzialnych za przyjście na świat dziecka, łączą z nim naturalne więzi. Ukrywając swoją miłość do dziecka, zarazem potwierdzają wiarę, że ich rodzice albo rodzeństwo kochają dziecko w równym stopniu co oni. Jest to akt wiary w moralne zasady pokrewieństwa przeciw biologicznym faktom pokrewieństwa. Zaprzeczanie mu często staje się przyczyną konfliktów w *joint family*[27].

Aha. A więc – o ile ta interpretacja jest trafna, a oczywiście nie dyskutowałam z rodziną na ten temat – gdy bawię się ze swoim dzieckiem, oni mogą czuć, że chcę w ten sposób im je zabrać, że może nie umieją się nim opiekować. Że może uważam ich za kogoś gorszego. Ignoruję też zasadę, że w życiu człowieka ważni są nie tylko rodzice, lecz także cała poszerzona rodzina (i to odróżnia polską rodzinę, w której naturalna więź dziecka z rodzicami jest pielęgnowana, od rodziny pakistańskiej, gdzie uważa się, że więź z rodzicami jest naturalna i nie wymaga wzmocnienia, obowiązuje bezdyskusyjny szacunek i poczucie odpowiedzialności za los rodzica na starość – należy za to narzucić poczucie bliskości z całą grupą). No trudno. Nie będę pozbawiała dziecka szansy zabawy ze mną tylko

dlatego, że dorośli tu rzadko bawią się z dziećmi i że poczują się urażeni. Może nawet mają trochę racji. Bo czy darzę ich całkowitym zaufaniem? Potrafią mu dać do zabawy swoje lekarstwa w blistrze, twierdząc, że nie umie ich otworzyć. Nie widzą nic złego w tym, że niemowlak bawi się tuż pod kuchenką z garem wrzącego ryżu. Nie sięgną po klocki, kredki czy samochodzik, nie wymyślą zabawy, nie złączą skakać z dzieckiem po łózkach. Gdy próbuję skakać czy wygłupiać się z Michałem w parku, Wasim naprawdę się złości, bo nie zachowuję się jak dorosła kobieta i przykuwam uwagę obcych.

Pierwsze ubranie dziecka nie powinno być białe. Białą to kolor starości i choroby. Teściowa była niezadowolona, widząc, że wśród nowych ubranek jest tyle jasnych.

– Dlaczego je pierzesz? – zdziwiła się, gdy wywiesiłam uprane śpioszki i koszulki. – Przecież są prosto ze sklepu.

Według Wasima pranie sprawia, że ubranie przestaje być nowe. A ubranie dziecka musi być nowe, bo dziecko jest nowe na świecie. Nie ma mowy o oddawaniu innym młodym mamom używanych ubranek, upranych choćby raz. Owszem, można takie ciuszki dać *masi*. Biedak zawsze weźmie, sam też ubierze się w second handzie, choć nie na każdą okazję. Ale zaproponować komuś z tej samej „sfery” wyprawkę dla noworodka po swoim dziecku – to okropna zniewaga.

Ubrania są kolorowe i ładne. Te dla chłopców dużo wygodniejsze niż dla dziewczynek. W naszym domu – zachodnie, od święta czasem *desi*, jednak Michał nie dorobił się ani jednego szalwar kamizu ani kurty.

Na ślubie nie miałam wakila (przedstawiciela mojej rodziny) i ktoś został na to miejsce wydelegowany. Wiele Pakistanek po porodzie jedzie do swoich domów rodzinnych. Ten zwyczaj nazywa się w urdu *godbharai*. Zostałam w Karaczi. Nie miałam nikogo, kto zastąpiłby mi matkę czy siostrę. Leżałam, chciało mi się pić, nie umiałam się obchodzić z noworodkiem, bałam się go wziąć na ręce. Nikt do mnie nie zaglądał. Czy wzbudziłam aż tyle niechęci? A może to było zwyczajne, normalne i szczerze podejście do położnicy? Jak kobieta może nie umieć opiekować się swoim dzieckiem, skoro tak zaprogramowała ją natura? Może Wasim im coś źle wytłumaczył? Może wyczuli moje kocie reakcje hormonalne? Nie miałam siły wstać, wdało się zakażenie. Teściowa opowiadała, jak jej córki trzeciego dnia po cesarskim

cięciu już oporządzały cały dom i robiły *pulao*. Dola kobiety jest ciężka. Myślisz, że tobie jest najgorzej na świecie? Gorączka po porodzie musi być, zakażenie musi być, krwawienie musi być i ból musi być. *Pulao* też musi być i nikt za ciebie go nie robi. Przecież chyba nie mąż? To jest los kobiety, który masz nieść z podniesioną głową. Właśnie to ci dodaje wartości między kobietami. Że jesteś silna i się poświęcasz. Tak właśnie chce wychować wnuczkę. Czasem widzę, jak ciągnie ją za ucho.

– *Istemaal karna sikhna he!* (Musisz się nauczyć znosić ból!) – mówi.

Z dzidziusiem w ramionach

Dzidziusie są w Pakistanie głaskane, całowane w usta, nóżki i brzuszek, szczypane w policzek, noszone, sadzane na kolanach, zauważane i obsypywane komplementami, zawsze z nieodłącznym *maśalla*. Przez rodzinę, znajomych, przechodniów, panów w sklepie, panie w bankach, dzieci na podwórku. Otoczenie traktuje dzieci trochę jak maskotki.

Nosi się je na rękach. Do lekarza, do parku, w gości rodzice zabierają je w koszykach, fotelikach samochodowych i becikach. W chuście jest za gorąco.

Nie możemy mieć jednak na stałe fotelika w samochodzie.

– Zaraz byśmy się stali rozpoznawalni. Tu nikt nie montuje fotelika!

Spacerówka w Karaczi tylko zawadzała.

Przechodzień musi być tu sprawny i czujny jak dzikie zwierzę. Stale w gotowości do biegu i skoku. Musi uważać nie tylko na pojazdy, które poruszają się według wciąż negocjowanych reguł (które mają się nijak do kodeksu drogowego), lecz także na podejrzane kałuże, zdechłe różności, śmieci, ośle i kozie kupy, dziury, wystające pręty i nierówności w nawierzchni. Jeśli nawet zdarzy się chodnik, mknący po nim motor nie jest niczym dziwnym. Wolałam mieć dziecko przy sobie, a nie wlec się z wózkiem. Jak wygląda życie osób na wózkach inwalidzkich, o kulach czy niewidomych? Czy w ogóle wychodzą?

Wkładaliśmy spacerówkę do bagażnika, wyjmowaliśmy na parkingu przed parkiem. W parku Michał na niej wstawał, wykręcał się, protestował i wyłaził.

Karmiłam piersią. Oprócz radości, więzi i bliskości dawało to dziecku

odporność, a mnie większy spokój. Michał był wciąż tulony przez znajomych i nieznajomych. Namiętnie gryzł swoje wycalowane paluchy. Nie musiałam wciąż biegać do kuchni i sterylizować tam butelek, medytować nad smoczkami, mieszankami, wodą i witaminami. Ostatnim plusem, choć nie znaczy wcale, że mało istotnym, były nieśmierdzące kupy.

W domu karmiłam przy drzwiach zamkniętych, bo domownicy czuli się zgorszeni moim – co z tego, że przykrytym – widokiem. W samochodzie – pod czadorem albo bardzo rozłożoną dupatą. Znalezienie w Pakistanie przestrzeni do karmienia piersią nigdy nie było problemem, choć hasło „cyce na ulice” nie ma tu szans. Miałam wrażenie, że każdy mnie rozumie, chętnie udostępniano mi ustronne miejsca. Karmiłam więc podczas wesela w pokoju dla gości, który przypominał orientálną komnatę. W gościach u znajomych, w kancelariach parafialnych, szpitalnych przebieralniach i *family rooms*. Jedynie Pasztunki karmiłam publicznie, pod swoimi przepastnymi burkami.

W Karaczi to niezbyt popularna metoda żywienia niemowląt. Stereotypowy ciąg skojarzeń: „Pakistan – trzeci świat – cywilizacyjne zacofanie – bliżej natury” prowadzi w tym wypadku (jak w wielu innych) do całkowicie błędnych wniosków. Pakistan to fantastyczny rynek zbytu dla zachodnich koncernów żywnościowych, które w krajach macierzystych muszą się bardziej pilnować i dostosowywać do wymagań konsumentów. Dopiero od 2002 roku nie wolno tu reklamować mleka modyfikowanego jako całkowicie zastępującego pokarm matki, a Nestlé musi umieszczać na swoich stronach internetowych poradnik o karmieniu piersią. Mleko modyfikowane przychodzi też z zachodnią pomocą humanitarną.

Pakistan ma dziś najmniejszy w całym regionie odsetek dzieci karmionych piersią – jest za Indiami, Sri Lanką, Bangladeszem i Nepalem – a zarazem najwyższy z tych krajów wskaźnik zachorowań kobiet na raka piersi. W szpitalu Agi Khana lekarze podkreślali związek między tymi faktami. Michał, odkąd odżywia się normalnie, ma tu biegunkę co kilka tygodni; w Polsce – właściwie nigdy. Wiele razy robiłam z siebie idiotkę, wyparzając butelkę do soku albo gotując i studząc wodę na mleko z butli z wodą mineralną. Przecież woda jest czysta! Trzeba też przyznać, że nie ma żadnego uczulenia i choruje bardzo rzadko.

Sztuczne karmienie jest wygodne. Dzieci nakarmi ktokolwiek, a matka, na której nie wisi dziecko, może zająć się domem lub pracą. Sklepowe działły dla dzieci uginają się pod puszkami z mlekiem i odżywkami, słóiczkami Gerbera,

kaszkami w torebkach i pierwszymi ciasteczkami, jogurcikami. Podobnie jak na Zachodzie. Niemal wszystkie kaszki dla niemowląt są z cukrem. Większym dzieciom daje się wzbogacane mleko w proszku Nido (Nestlé), nie patrząc na przedziały wiekowe na opakowaniu.

Można tu zapewnić dziecku przyzwoite materialnie dzieciństwo, ze smoczkami, butelkami, grzechotkami, baldachimami, laktatorami, wózkami, kojcami i tysiącem zabawek produkowanych przez firmy znane z polskich półek. Kupować dziecku pampersy produkcji saudyjskiej w cenie 1000 rupii za opakowanie (27 rupii to jeden złoty) i delikatne nawilżane chusteczki. Choć szczęściarze, których na to stać, to według statystyk znikomy procent społeczeństwa, w sklepach potrafią stworzyć imponujący tłum. Do zamożnej elity nam daleko, jednak nie mogłam się zdobyć na przewijanie Michała w cieniutkie bawełniane pieluszki *desi* i uszczelnianie ich ceratką.

Masi przyszła z zawiniątkiem w ramionach.

– Nie miałam jak go dziś zostawić w domu – wyjaśniła.

Nazywał się Mohammad Bilal. Wyglądał jak laleczka z niebotycznie długimi rzęsami. Miał może trzy miesiące, ubrany był w ciepłą czapeczkę z misiem i ciepły sweterek. Jego mama może pomarzyć o karmieniu piersią i pampersach za tysiąc rupii. Daje mu mleko, wodę z gotowania dalu, kisiel z tapioki (*sabudana*), khićri i potrawy z dodatkiem *sattu* – prażonej mąki besan – na przykład *sattu* ugniecione z cukrem i wodą. Bilal, gdy podrośnie, dostanie odrobinę biriani albo kurczaka z sosu, przemytego, żeby mięso było mniej ostre.

Położyła synka na podłodze w salonie. Gdy zaczął płakać, położyła go na boku, obok położyła poduszkę, na poduszce – butelkę z mlekiem. Włożyła smoczek do buzi i zostawiła. Mohammad Bilal pił i pił. Przestał, mama wyjęła mu butelkę z ust, po chwili zaczął płakać. Poklepała go po plecach dopiero po kilkunastu minutach, choć ją namawialiśmy, żeby przerwała pracę i się nim zajęła.

Następnego dnia przyszła bardzo zmartwiona. Mohammad Bilal dostał *ulti* – wymiotów, a także biegunki i gorączki. Zawiozła go do szpitala. Powiedziała, że doktor mówił, żeby myła ręce mydłem.

Thappar

W Polsce jedni dają klapsa w pupę, inni zaciekle z nim walczą. Debata, kto ma rację, będzie pewnie trwała jeszcze długo, bo każda ze stron ma mocne argumenty. W Pakistanie nie prowadzi się takich dyskusji. Wymierza się dzieciom klapsa – *thappar* – w twarz, a w szkole uczniowie dostają linijką po rękach (oczywiście nie w każdej szkole, jednak według statystyk kary cielesne są społecznie akceptowane).

– Skoro w domu dziecko dostaje w twarz, to ja nie mam innego wyjścia, niż też je uderzyć, żeby słuchało! – mówi mi Amna, nauczycielka. – Błędne koło. Skoro w domu dostaje karę za to, że o coś pyta, to jak mogę oczekiwać, że w szkole będzie umiało wątpić i pytać? Widziałam kiedyś obrazek. Książka grzbietem do góry. Z jednej strony wchodzi dziecko. Z drugiej wychodzi osioł. I podpis: „Pakistański system oświaty”. – Wzdycha.

Polacy, których znam, zwolennicy i przeciwnicy polskiego klapsa w pupę, zgadzają się, że uderzenie w twarz jest karygodne. Z innej epoki, gdy rodzice plaskali dzieci po pysku. Narusza godność człowieka. Przynosi podwójny wstyd. W porównaniu z wymierzeniem nawet lekkiego policzka polskie lekkie klepnięcie po pupie traci część złowrogiej mocy. Starsze dzieci w Pakistanie klepią albo szczypią młodsze po twarzy. *Thappar* to ostateczność. Zwykle poprzedza go wielokrotne cierpliwe i bardzo grzeczne: *Nahi karo, beta. Nahi beta. Ćhoro beta. Tum aćće baćće ho* (Nie rób tego, dziecko. Nie. Zostaw to. Jesteś dobrym dzieckiem).

– Jeśli mój ojciec by mnie uderzył, tylko skłonię głowę – opowiada Imran – I odejdę. Nawet jeśli się z nim zupełnie nie zgadzam i dalej nie będę się zgadzał.

Miejsca przyjazne dzieciom

W parku muftiego Ramzaana jest fontanna, można kupić watę cukrową, obejrzeć zwierzęta w małym zoo i w akwarium, pojeździć na kucyku, huścić się na dźhulach (zwierzątkach na żetony, z których rozbrzmiewa przeraźliwie rozjeżdżająca się melodia *Dla Elizy*), biegać po nadmuchiwanym zamku. Najczęściej parki są świetnie utrzymane, ze strażnikami, alejkami, sklepikami, ławkami i altanami. W galeriach handlowych można pójść na strzelnicę i do przeraźliwie głośnych centrów rozrywki Sindbad. Są też zamknięte kluby, kąciki zabaw, dziecięce restauracje. Jest stare zoo, nazywane wciąż Gandhi Garden, w dzielnicy Garden West. Jednak w jakimś

sensie cały Pakistan jest miejscem dzieci.

Spotykamy się z przyjaciółkami w hotelu. Michał zaczyna otwierać torebeczki z solą i cukrem. Wysypuje je na stół. Wylewa sok, choć próbuje go hamować. Wpadam w panikę, szukam chusteczek. Natychmiast nadbiega uśmiechnięty kelner.

– *Madame*, proszę się nie niepokoić! To przecież dziecko! Proszę dać mu się pobawić! My tu posprzątamy!

– Ależ to tylko dziecko! – mówią prawie wszyscy, gdy dziecko (choć to oczywiście też zależy od statusu społecznego dziecka) coś rozleje, gdzieś nasika, coś przewróci, rozbije.

W centrum historii mówionej w Karaczi, gdy martwię się, że Michał hałasuje, moja młoda rozmówczyni się rozpromienia.

– Mam w domu wielu małych kuzynów – mówi. – On mi zupełnie nie przeszkadza!

Są też wyjątki. Wysoka Komisja Zjednoczonego Królestwa zaprasza gości wyłącznie bez dzieci. Nasze pierwsze wyjście po narodzinach dziecka tylko we dwoje zawdzięczamy królowej angielskiej, na której urodziny zostaliśmy zaproszeni.

Dzieci nie są mile widziane w nowoczesnych kawiarniach literackich, podczas odczytów i otwartych wykładów, na koncertach, w teatrze i na anglojęzycznych mszach. Dlatego niektórzy je wołają. Podczas pendzabskich, pełnych dzieciarni, czasem nie da się skupić.

Dzieci idą do szkoły

Ruth przyjechała z Europy, jest nauczycielką przedszkolną z wykształcenia i pasji. Pracowała w kilku szkołach w Karaczi. Im dłużej tu jest, tym większą rezygnację i złość słyszę w jej głosie.

– Ten system jest przestarzały! Po co go wtyłaczać dzieciom? Cały świat od tego odchodzi! A tu go wprowadzają: ej, bi, si, kwadrat, trójkąt, koło, sześcian, kula, kucie na pamięć, już dwulatki muszą się uczyć tych głupich wierszyków, kiedy to jest czas na poznawanie świata wszystkimi zmysłami!

– Może chciałabyś pracować w szkole? – zapytała kiedyś znajoma.

– Nie jestem nauczycielką. Mogę ewentualnie uczyć wprowadzenia do antropologii, metod badań, jakichś podstaw francuskiego... – zaczęłam się jąkać. Znajoma zrobiła wielkie oczy. Właśnie składała rezygnację z pracy i mogłam zająć jej miejsce. Co z tego, że nie jestem nauczycielką?

– To bardzo łatwe. Masz książkę, od lat tę samą, więc nic nie musisz sama wymyślać. Uczysz się wszystkiego na pamięć, mówisz, dyktujesz, zadajesz.

Pał sześć wykształcenie. Może i nie muszę być nauczycielką. Ale dyktować i zadawać prace domowe czterdziestu chłopakom przez sześć–siedem godzin dziennie! W olbrzymim, wiecznie zatłoczonym, odpychającym kołchozie przypominającym mi *Zamek* Kafki! To znana misyjna solidna szkoła. Pojechałam tam raz, zobaczyć – więcej nie wróciłam.

Są też naprawdę dobre, nowoczesne i przyjazne szkoły, nie tylko te najbardziej elitarne, takie jak Karachi Grammar School czy amerykańska. Obecnie oazą świetnych szkół jest DHA Phase 8. Dzieci mają do wyboru zajęcia kulinarne, grę w golfa, muzykę, plastykę i rzemiosło, jazdę konną, garncarstwo, fotografię, squasha, wioślarstwo, pływanie, taekwondo, projektowanie tkanin, tenisa, robotykę.

Jedne są dla nas za drogie, inne – bardzo daleko. Czasem oznacza to trzy lub cztery godziny dziennie w drodze. Nauczyciele są w tych najlepszych placówkach skrupulatnie sprawdzani, wymagania wysokie, programy dobrze opracowane. Często to szkoły z nazwami świętych, niewielkim czesnym i zniżkami dla chrześcijańskich dzieci: szkoła świętego Michała, Patryka, Pawła, Filipa, konwent Jezusa i Maryi, BVS Parsi High School (perskie liceum imienia Bai Wirbedźi Sopariwali), szkoła CAS, akademia pani Hak, dziesiątki, jeśli nie setki, innych. Większość, na szczęście nie wszystkie, „po drugiej stronie mostu”. Wpisowe – przynajmniej sto tysięcy rupii, czesne od kilku do około dwudziestu tysięcy rupii miesięcznie. Szukanie „prawdziwej” szkoły jeszcze przed nami.

„Zdjęcie przedstawia rodzinę Salmana – piętnaście osób. Łączny miesięczny dochód rodziny wynosi 29 tysięcy rupii” – przypominam sobie slajdy pokazywane podczas konferencji o Karaczi w Arts Council.

W okolicy mamy do wyboru szkoły państwowe – nikt znajomy nie bierze ich pod uwagę, medresy, które wyrastają tu niemal bez kontroli jak grzyby po deszczu, i szkoły prywatne średniej lub bardzo złej jakości.

Dziś rozumiem, że moja peerelowska podstawówka i liceum w latach dziewięćdziesiątych to niezasłużony i luksusowy dar od losu. Nie nauczyłam się tam angielskiego, ale ćwiczyłam umysł i czekałam na piątkowe popołudnia i wakacje – nauka była jednym z filarów świata każdego z nas. Pewnikiem. Nieuchronną rzeczywistością, nieprzerywaną przez karabiny, bomby, „strajki” czy brak finansów. A ponieważ traktowałam ją jak oczywistość, nigdy nie pomyślałam, że powinnam być wdzięczna za taką szansę.

Zła szkoła oznacza, że dziecko nabawi się wszy i chorób skóry, że będą wobec niego stosowane kary cielesne. Że nauczyciel będzie popełniał błędy w angielskim i matematyce. W pięćdziesięcioosobowej klasie nie może być mowy o nauce, poza tym nikt ze szkoły nie zadzwoni, by powiadomić rodziców, gdy dziecko będzie nieobecne przez dłuższy czas. Zdarza się, że nie ma toalet, wody, światła. Z kolei zbyt dobra szkoła może zepsuć dziecko i wytworzyć w nim poczucie wyższości oraz frustrację, jeśli jego rodzice nie są bogaci, a rodzice kolegów – tak.

Michał zaczął chodzić do przedszkola. Ponoć niezłe. I schody nie są tu strome. Ma plecak ze Spidermanem, butelkę z samochodami, pudełko na kanapki z Angry Birds i identyfikator. Podobną kartę mam też ja. Uczy się piosenek, koloruje, ćwiczy przy muzyce, biega po placu zabaw. W jego zeszytach pojawiają się wiadomości: jutro dzień wody i piasku. Proszę zapakować ubranie na zmianę. Pojutrze dzień liści. Niedługo szkolne przyjęcie, potrzebne będą dwa litry soku. Proszę wyrazić zgodę na wyjazd dziecka do stadniny koni, znamy strażników.

Każdy krok jest rejestrowany przez kamerę. Od wczesnego popołudnia przed przedszkolem zaczyna się ta sama scena: parkuje samochód pełen uzbrojonych policjantów. Przez ciasną uliczkę przesuwa się sznur samochodów. Ochrona w granatowych mundurach wyczytuje przez mikrofon nazwiska dzieci, które mogą wyjść do domu.

Zajrzałam do podręcznika...

Po domu walają się dziesiątki podręczników dla różnych grup wiekowych. W urdu (do przedmiotu „Wiedza o Pakistanie”, religii i nauki języka) i po angielsku. Pomazanych, porwanych, pomiętych. *1000 słów* to podstawy

angielskiego w obrazkach. Wydane w Karaczi sceny z życia codziennego małych mieszkańców pakistańskiego miasta.

Rodzina Alego, Zaimy i Salima podtrzymuje tradycję wielopokoleniowości. Jest *p a t r y l o k a l n a*, lub jak kto woli, *w i r i l o k a l n a* – to żona wywędrowuje do rodziny męża i mieszka z jego rodzicami, nigdy odwrotnie (odwrotna strategia jest niehonorowa, przynosi mężczyźnie wstyd i miano *ghardamad* – zięcia na utrzymaniu rodziny żony). Troje dzieci, w sam raz. W domu nie ma *masi*, pełno za to pralek, tosterów, suszarek. Dziadzio ma brodę i nosi na co dzień szalwar kamiz, tata codziennie się goli i przedkłada koszulę i dżinsy nad tradycyjne stroje. W rzeczywistości szalwar kamiz wśród panów jest równie modny jak strój zachodni. Kobiety w podręczniku ubierają się *t r a d y c y j n i e*, lecz *dupatta* w zasadzie nie służy im do zasłaniania kształtów, a na pewno nie w domu.

Dziadkowie ze strony mamy są w podręczniku nieobecni, nawet podczas najważniejszych świąt się ich nie zaprasza ani nie idzie ich odwiedzić.

Rano wszyscy się myją, niektórzy kąpią w wannie (rzadkość w prawdziwym życiu), jedzą śniadanie w jadalni. Dzieci wyruszają do przedszkola, gdzie czas upływa im na samych przyjemnościach. Wracają do domu – tam czeka na nie posiłek, po którym sprzątają razem. Widok dziadka i wnuczka przy garach to miód na moje serce. W naszych kręgach tylko Wasim jest na tyle wyzwolony z kajdan patriarchy, że nie uważa, by zmywanie go kałało.

Podręcznik zaczyna się od pokazania zwyczajnego dnia, domu i szkoły. Później przedstawia różne miejsca, do których dzieci chodzą: parki, zoo, supermarkety, fast foody, centra handlowe, lekarza, fryzjera, weterynarza, mechanika samochodowego, ba, nawet basen i plażę (a może to jednak Karaczi?) podzieloną na kąpiących się panów i panie sączące napoje przez słomkę. Pojawiają się także dwa główne muzułmańskie święta: *Id ul-Fitr* (zakończenie postu) i *Id ul-Adha* (Święto Ofiarowania).

Można się też dowiedzieć, że z okazji narodowych świąt w pakistańskich szkołach (a także w *community centres*) przygotowuje się akademie z pieśniami, tańcami i recytacjami.

Podręcznik, zwłaszcza na tym etapie edukacji, pokazuje trochę wyidealizowany obraz rzeczywistości. Ulica jest czysta. Nie ma na niej ani jednego śmiecia czy plamy z panu, nie ma autobusów z ludźmi na dachach,

graffiti, osłów. Są jednak aż trzy postacie zwracające się o pomoc: starszy mężczyzna, kobieta z dzieckiem, chłopiec. To normalne, że ktoś podchodzi, zaczepia, prosi o datek albo siedzi i wyciąga rękę, bo jest biedny.

Przejście dla pieszych, działające światła, a szczególnie kombinacja: piesi przechodzący na przejściu na zielonym świetle – to raczej sfera pragnień i marzeń. Pakistan przyszłości. W Karaczi jest może kilka miejsc, gdzie takie obrazki można zobaczyć naprawdę.

Na koniec jedna z ulubionych dziecięcych rymowanek (śpiewały ją dzieci z naszej rodziny, gdy były małe):

Hara samandar [Zielone morze] (przy tych słowach należy stanąć w kręgu)

Gobi ćandar (przy tych słowach należy iść po okręgu)

Bol meri maćhli [Powiedz, moja rybo...] (przy tych słowach należy dotknąć swojej buzi)

Kitna pani? [Ile wody?] (pokazać na kostki u nóg)

Itna pani! [Tyle wody!] (pokazać na kolana albo wyżej)

Ata gundo [Zagnieć ciasto] (pochylić się i zagniatać ciasto)

Roti pakao [Uklep roti] (klepać się po dłoniach tak jak przy robieniu roti)

Ćatni piso [Utrzyj ćatni] (trzeć)

Lapu lapu khao (jeść)

Bariś ai [Spadł deszcz] (pomachać rękami wkoło)

Kapre bhige [Ubrania zmokły] (złapać się za daman)

Per mera pisle [Poślizgnąłem się] (potupać nogą)

Dil mera dharka [Przestraszyłem się] (zrobić dukudukuduk, zapiszczeć i uciec)

Singielki

Asma

– Napij się herbaty. Zjedz tosta, proszę! – słyszę od niej co jakiś czas.

Asma upina swoje gęste włosy tylko na siłowni. Nie oszczędza się podczas ćwiczeń. Poza domem nosi wyłącznie długie luźne suknie i szalwar kamizy. Mieszka we wspaniałym domu w jednej z „dobrych” dzielnic Karaczi. W jej salonie stoi mnóstwo cennych i pięknych przedmiotów.

Ma pomysły.

Stworzyła od podstaw świetne muzeum monet, zaprasza dzieci na warsztaty, wydaje pomoce naukowe. W muzealnym sklepiku wciąż jest coś nowego i ciekawego. Pomaga studentom, przyjmuje zagranicznych gości, organizuje konferencje i wykłady. Zna starożytne języki. Założyła fundację imienia swojej mamy. Organizuje przyjęcia. Ma wielu wypróbowanych przyjaciół.

Umówienie się z nią graniczy z cudem.

Jej biuro natychmiast budzi moją sympatię, choć też i smutek: przypomina mi o uniwersytecie, który został bardzo daleko. Stosy książek, zagadkowych eksponatów, dopiero opisywanych, pozorny bałagan, komputer, niedbale rzucona dupatta, filiżanka herbaty, rozdzwoniony telefon.

Naukowiec z pasji.

– W 1990 roku na nasz wydział na uniwersytecie w Karaczi przyjechała francuska archeolożka. A ja zawsze chciałam jechać na wykopaliska! Gdy zaczęłam pracować na wydziale, powiedziano mi, że kobiety nie mogą jeździć na wykopaliska. Nie wolno. Więc władze z początku odmówiły, gdy poprosiłam. Potem poproszono mnie o oświadczenie, że robię to na własną odpowiedzialność. Napisałam i byłam niesamowicie szczęśliwa, że pojedę na

te badania. To było na jednej z wysp w delcie Indusu, Ratukot. Pojechałam. Było wspaniale.

Gdy wróciłam, mój narzeczony, z którym zaręczyłam się z miłości, powiedział o tym coś niemilego. Że mam zły charakter, że jeżdżę z cudzoziemcami. Pomyślałam: „A może robię błąd? Przecież kocham archeologię, ona jest najważniejsza w moim życiu. Czy będę szczęśliwa bez archeologii?”. Przemysślałam to i zdecydowałam, że nie wyjdę za niego za mąż. Bo bardzo chciałam coś robić.

Wiesz, to była moja pasja od dzieciństwa.

Zapytałam go, czy po ślubie będę mogła pracować, jeździć. Powiedział, że nie. „Mojej matce to się nie spodoba”, i tak dalej.

Pomyślałam też, że będę musiała mieć dzieci. Może czworo? Przecież gdy ono, takie maleńkie, już będzie przy mnie, nie będę miała serca, żeby je zostawić. Ono potrzebuje opieki.

Więc zerwaliśmy. Miesiąc przed ślubem. Już wszystko było gotowe – śmieje się. – Moje ubrania, makijażystka, sala, dzień! Wszystko.

W tej kulturze to bardzo trudna decyzja, ale dużo trudniejsza była myśl, że musiałabym porzucić archeologię.

Potem dużo razy myślałam o ślubie, ale byłam zbyt zajęta pracą. Jeszcze później zachorowała moja mama i musiałam się nią opiekować. Nie chciałam jej zostawiać.

Moja rodzina nie zareagowała życzliwie. Wszyscy, nawet mama. Byłam młoda, chcieli, żebym była bezpieczna, żeby o nas nie plotkowano. Czułam presję. To był dla mnie zły czas. Musiałam walczyć na wielu frontach, na wydziale archeologii, w domu. W pracy byłam jedyną kobietą. Nie chcieli mnie tam. Wysłali mnie do magazynu. Myśleli, że nie wytrzymam i się zwolnię. Rozumiesz, to najnudniejsza i najźmudniejsza praca. Po wyprawie wszystkie znaleziska trafiają do magazynu i trzeba je opisać, sklasyfikować. Byłam tam szczęśliwa, umeblowałam całe biuro, skatalogowałam sobie wszystko. A oni i tak mnie nie lubili, byli mi niechętni. W muzeum była jeszcze jedna kobieta, kurator, teraz już staruszka.

Chciałam iść do działu wykopalisk. Tam nigdy nie było kobiet, nie jeździły na wyprawy.

Studia skończyłam w 1986 roku. Wtedy nie było można pracować na wydziale. Powiedzieli mi, że nie mają polityki zatrudniania kobiet. Teraz na archeologii oczywiście już pracują kobiety, czasy się zmieniły. Miałam

potem asystentkę, ale pracowała w muzeum, nie w dziale wykopalisk.

– Czy są teraz wykształcone pakistańskie archeolożki?

– Jeszcze nie. Na wydziale u mojego kolegi jest dużo dziewczyn, ale nie są zawodowo wykształcone jako archeolożki. Robią dokumentację, są architektami. Wiele wyszło za mąż i nigdy nie wróciło do pracy.

Za to w sferze edukacji w Pakistanie obecnie kobiet jest więcej! Wczoraj była tu delegacja z Uniwersytetu Jinnaha w Karaczi – same dziewczyny! Ani jednego faceta!

I myślę, że one też będą musiały pracować. Jeśli mają po pięć siostr, to przecież muszą, nikt ich nie utrzyma. Muszą sobie poradzić. Mężatki też pracują, czasy nie są lekkie. Bardzo dużo wybiera pracę w szkole, bo to zajmuje mniej czasu.

Jedna dziewczyna, Zaida, próbowała do nas dołączyć na wykopaliskach w Banbhore[28], ale nie było jej wolno zostać na noc. To duży problem. Rodzice nie pozwalają pannom spać w terenie. Jest tam hotel, ale rodziny się nie zgadzają.

Miałam ten sam problem. Jeździłam, spałam i rodziły się plotki. Mówili, że mam zły charakter. Mojej rodzinie też to się nie podobało, wiesz? To bardzo poniżające. Rodziny nie ufają dziewczynom.

Tylko moja mama mi ufała. Zawsze stała po mojej stronie. Kiedyś mój profesor poszedł do niej i powiedział, że „ona jest z tyloma chłopakami, powinna pani jej zabronić”. Mama odparła: nawet jeśli jest z dziesiątką facetów w jednym pokoju, to jej ufam! To moja córka. Znam ją. Moja mama nie była wykształcona. Nie wiedziała, co dokładnie robię. Ale wierzyła we mnie. Mówiła, że cokolwiek bym robiła, to jest to dobre! Tylko dzięki niej udało mi się dojść tak daleko. Ludzie przychodzili do niej i mówili, żeby mnie powstrzymała. Bo chodzę wszędzie z chłopakami.

Takie podejście nie zmieniło się do dziś. Niezamężnym jest trudniej, ale mężatkom też niełatwo. Teściowie nie są zadowoleni, że jedziesz do lasu z cudzoziemcami i spędzasz tam noc! Praktyki studenckie to co innego, jesteś pod kierunkiem nauczyciela i on jest za was odpowiedzialny. A też się zdarza, że rodzice nie pozwalają córkom na takie wyjazdy. Można pracować w muzeum i to jest według nich bezpieczne.

Poza tym archeologia to między innymi praca fizyczna. Wystawiasz się na kilkanaście godzin na poniewierkę. Na kurz, na pył, na słońce, na wiatr. A dziewczynom bardzo zależy na urodzie. Na jasnej skórze, na delikatnych

palcach, na których będzie wyraźnie widać wzór z henny. Nie chcą pracy fizycznej ani opalenizny. W Azji to ważne, by mieć jasną skórę. A popatrz na moje ręce. Dziewczyny nie lubią pracować rękami!

Pierwsza kobieta na stanowisku dyrektora banku Pakistanu też była niezamężna. Musiała wybrać: dom albo kariera. To rzadkość, żeby twój partner cię zrozumiał i żebyś mogła to połączyć.

– Ten wybór między domem a karierą mają tylko zamożniejsze kobiety – wtrącam.

– Tak, dziewczyny z klasy średniej i niższej klasy średniej – (ten podział jest tu powszechny) – muszą wyjść za męża.

Czytałam *Drugą płć* Simone de Beauvoir. Kobiety w Europie miały dokładnie te same problemy! Francja była dla nich taka jak teraz Pakistan! I de Beauvoir opisała, jak matki wkładają to córkom do głów. Mówią im, że taka jest właśnie ich rola. Że są drugą płcią.

Dziewczynki od dzieciństwa wyobrażają sobie swój ślub. W Azji to bardzo popularne. Otoczenie podsycza te marzenia. Dziewczyna musi na weselu wyglądać jak piękna lalka, jak na filmach. I to jest jej koniec. Finał życia. Wejście do dobrej rodziny. To ci się wkłada do głowy, od chwili gdy się rodzisz, bardzo trudno to potem zmienić.

Zdarzają się oczywiście wyjątki i ich życie jest trudne. Przechodziłam bardzo ciężki czas. Płakałam codziennie. Myślałam każdego dnia, czy iść dalej, czy nie rzucić tego wszystkiego. Wciąż słyszałam: wyjdź za męża, daj sobie spokój, to nie jest praca dla ciebie. Nie dostawałam awansu. Zawsze byłam gdzieś tłamszona. Mówili, że mam zły charakter. Jestem typem buntowniczką.

Zawsze myślałam, że ktoś musi się poświęcić pierwszy. Może przetrę jakieś ścieżki, może przekonam inne dziewczyny, żeby szły za swoją pasją? Ilekroć czułam się odrzucona, czytałam biografie albo dzienniki wielkich kobiet. To mnie bardzo podnosiło na duchu. Wszystkie musiały walczyć.

Nawet teraz mężczyźni wcale tak łatwo mnie nie akceptują, wiesz? Pracuję w takiej nowoczesnej instytucji, dużo osiągnęłam... Oni nie czują się dobrze, gdy kobieta zajmuje silną pozycję. Wszędzie na świecie chcą rządzić. W Pakistanie mówią to otwarcie, a na Zachodzie nie mogą ci powiedzieć, ale też tak jest. Gdy pytam znajomych z Zachodu, każdy mówi: ale u nas jest podobnie jak w Pakistanie!

Tutaj łatwiej to odczuć, bo mężczyźni nie boją się kobiet ani prawa. Na

Zachodzie boją się prawa. Spytałam znajomego w USA, jak to jest, że dziewczyny mogą chodzić tak ubrane i nic im się nie dzieje.

Powiedział, że to z powodu przepisów. Jeśli chłopak gwizdnie na widok dziewczyny, wylatuje z uniwersytetu i nie może zacząć studiów na innej uczelni.

W Pakistanie niby też obowiązuje prawo o molestowaniu seksualnym. Złożyłam skargę na swojego dyrektora. Byłam w dziale wykopalisk, on przyszedł i zachował się źle. Gdy się poskarżyłam, wszyscy śmiali się ze mnie, nie z niego. Mówili, że „ona przychodziła tak ubrana”, „nosiła to i to”. Chciała zwrócić uwagę, to zwróciła. Sama chciała. Przez półtora roku byłam na urlopie, a on chodził za mną wszędzie, chciał mnie wyrzucić z pracy! Potem przeproszał, że tak mnie niszczył, ale ile się namęczyłam[29].

Teraz dużo kobiet pracuje w wojsku, w policji, w lotnictwie.

Jest na przykład pilotka, Lakśan Bibi. Słyszałaś? Z plemienia Kalaszy[30]. Możesz z nią porozmawiać. Jest bardzo niepokorna, pracuje w Peszawarze i w Islamabadzie. Dostaje pogróżki od talibów.

– A Mehtab Rashdi? – pyta Wasim, który przysłuchuje się naszej rozmowie.

(Mehtab Rashdi była prezenterką telewizji państwowej. Zasłynęła z tego, że w czasie prezydentury generała Zii ul-Haqa odmówiła przykrycia głowy dupatą. Kobieta symbol. Pamiętają ją wszyscy, którzy wtedy oglądali telewizję).

– Nie, ona raz była nieposłuszna, ale to nie jest charakter rewolucyjny! – mówi Asma. Powiedziała, że nie założy dupatty, i tyle. Stała się symbolem przez swój gest. Z zawodu nauczycielki przeszła bezpośrednio do rządu stanu Sindh, co jest możliwe tylko przez znajomości. Nie sądzę, że o coś walczyła czy cokolwiek poświęciła. W zasadzie wykorzystała okoliczności i ludzi naokoło. „Nie założę dupatty i będę bohaterką”. Dla mnie takie kobiety to nie są bohaterki. Bohaterkami są raczej te, które po cichu pracują, robią swoje, pozostają nieznanne, walczą tam, gdzie mieszkają. Te dziewczyny, które chodzą ze szczepionkami na polio! Albo nauczycielki na wsiach! Wyjść z plemienia Kalaszy i latać! Pracować w Peszawarze i Islamabadzie! Ta dziewczyna była w Stanach, dawała wykłady, zrobiła małe muzeum w swojej miejscowości! A zaczęła od tego, że jest pilotem.

Żeby osiągnąć sukces, trzeba bardzo ciężko pracować. Nie miałam ojca. Wieczorami pracowałam na pół etatu, żeby płacić za studia. Zawsze

kserowałam książki, nie mogłam ich kupić. Albo robiłam notatki. Jesteśmy z Pendzabu. Tata umarł, gdy byłam mała, dużo pieniędzy zabrała jego rodzina, a moja mama nie była wykształcona. Mieliśmy kilka sklepów, ale z ich wynajmu dostawaliśmy bardzo mało pieniędzy. Tysiąc sto rupii miesięcznie. Jakoś przeżyliśmy. Gdy skończyłam studia, zaraz poszłam do pracy. Pracowałam też w Federal Public Service[31], poprosili mnie. Napisałam dwa podręczniki dla dzieci, do czwartej i piątej klasy. Mówili: „Jesteś taka młoda, jak to możliwe, że napisałaś takie świetne książki! Spójrzcie tylko na tę dziewczynę!”. – Śmieje się. – Miałam o dwa lata za krótkie doświadczenie, ale powiedzieli, że mi dadzą. „Powinnaś do nas dołączyć”, powiedzieli i przyjęli mnie. Bóg mi pomógł.

I ciężko pracowałam. Gdy tyle pracujesz, przestajesz być szczęśliwa. Musisz tłamsić wszystkie uczucia. W końcu przestajesz je mieć. Przyzwyczajasz się. Teraz już nic mnie nie cieszy. Bank, w którym pracuję, daje mi nowy samochód, ludzie mówią: „Pewnie teraz jesteś szczęśliwa”. A ja nic nie czuję! Bo nie w tym jest szczęście. Gdy jesteś młoda i zapracujesz na samochód, wtedy cię to cieszy. Ale prawdziwe szczęście jest gdzie indziej.

Samita i Namita

Samita i Namita. Nie wiem, ile mają lat. Między trzydziestką a czterdziestką? Mieszkają z mamą.

Za mąż wyszła tylko ich najmłodsza siostra. Czasem odwiedza rodzinny dom, jej teściowie mieszkają bardzo blisko.

Dom Namity i Samity stoi na zacisznej ulicy w Defence. Siostry zawiesiły na ścianach salonu wspaniałe tkaniny – niektóre własnoręcznie zaprojektowane. W przedpokoju widzę pianino. Z salonu wychodzi się do ogrodu.

Samita ma ciężki warkocz i niski głos. Lubi ciemne mocne kolory. Namita ma włosy do ramion, jest młodsza. Uczy się nurkować. Obie kręcą filmy dokumentalne, zajmują się projektami naukowymi i prowadzą seminaria o „wizualnych metodach w naukach społecznych”. Być może część rodziny im współczuje – zawsze znajdzie się jakaś ciotka, która wypomni im, wprost lub za plecami, staropanieństwo. Ich czas, według tradycyjnego pakistańskiego życiowego kalendarza, już minął.

Namita parzy kawę w tygielku przywiezionym z Turcji.

– Jak widzisz, nie mamy mężów, ojca ani braci. Nasz tata nie żyje – mówi.
– Mieszkamy bez mężczyzny w domu, mamy tylko strażnika. Nie jest aż tak źle. Prowadzimy samochody. Mama ma kierowcę, ale teraz zachorował na oczy, więc go leczymy. Mamy też panią do sprzątanía i pomocy przy gotowaniu.

Nie boję się jeździć do biednych osiedli. Kręcę tam filmy. Nakręciłam też film o salonach piękności, chcesz obejrzeć? Nie można wszystkiego demonizować. Chcesz coś robić – rób to. Jeśli będziesz wiecznie myślała, że ryzykujesz, że nie możesz, że ci nie pozwolą, to nie zrobisz nic.

To się powtarza jak refren w rozmowach z kobietami.

Sabina

Sabina jest drobna, wielkooka i krótko ostrzyżona. Pierwszy raz spotykam ją w nowoczesnej kawiarni. Oglądamy sztukę Marka Ravenhilla (przemoc, seks i soczysty język). Też mieszka w Defence, w bloku. To nie dom otoczony grubym murem pokrytym drutem kolczastym i dodatkowo nabitym kolcami. Wygląda nieciekawie: szare mury, strażnik, samochody, bezpańskie psy. Nie można dać się temu zwieść. Wnętrza tych brzydkich budynków są przestronne i luksusowe, choć przeżerane rdzą, nieuniknioną z powodu słonej wilgoci od morza.

Gdy Sabina chodzi po ulicach Lyari (wym. Lajari; legendarnie niebezpiecznej dzielnicy Karaczi), owija się niemal całkowicie czadorem. Zasiada do panelowych dyskusji z brodatymi dziwacznie ubranymi mężczyznami. Nie boi się z nimi rozmawiać.

Spotykamy się jeszcze raz wczesnym popołudniem w jednej z nadmorskich galerii handlowych.

Pani z ochrony przeszukuje nam torebki.

Ciuchy z Debenhams. Sama rozumiesz, przecena z dziesięciu tysięcy na dwa. Dopasowana bluzka w biało-granatowe paski, z dekoltem, czółenka, obcisłe białe spodnie, granatowa torba. Na palcach kilka minipierścionków – *knuckle rings*. Na obu nadgarstkach tatuaż: małe różyczki. Zapach perfum.

– Robię, co chcę. Mieszkam w ekskluzywnym miejscu. Moimi sąsiadami są bogaci, nowocześni ludzie. Nikt nie zwróci mi uwagi wprost, nie

skomentuje. Ale są inne sposoby. Jechałam teraz windą z facetem. Widzisz, jak jestem ubrana, ale on nie patrzył. Gdy wyszliśmy, obejrzał się za mną i rzucił mi taaaaakie powłóczyście spojrzenie! Szal mam zawsze w torbie. Nigdy nie wiadomo, do czego może się przydać.

Jestem szalona. Potrzebuję mężczyzny równie szalonego jak ja. Pakistańczycy na pewno tacy nie są. Zawsze pcham się tam, gdzie nie powinnam. Zdawałam relacje ze wszystkich największych ataków terrorystycznych w ostatnich latach. Jeździłam na miejsca najważniejszych wybuchów. Zawsze taka byłam.

Pochodzę z tradycyjnej rodziny. Mam brata. Moja mama jest Pasztunką z północy, tata – Pasztunem z Sindhu, mówi w sindhi. Mama zawsze nas karała biciem. Mnie i brata. Uderzała. A ja zawsze, zawsze pytałam, dlaczego mnie bije. Dlaczego nie wolno mi tu stawiać szklanki? Dlaczego mam tego nie robić? Dlaczego teraz się nie odzywać?

– Mama ci odpowiadała?

– Nie. Ona jest tradycyjną Pakistanką. Nie, bo nie. Nie, bo ja jestem mamą, a ty jesteś dzieckiem. Więc ja ci każę, a ty słuchasz. Tata jest bardziej odczytany i dawał mi spokój. Niech ona robi, co chce, mówił. Mama zawsze lamentowała nad moim losem. A on machał ręką. Chyba wyżył swoją chęć męskiej dominacji na mamie i to mu wystarczyło. Zmusił ją do noszenia burki, mama nigdzie nie wychodziła, nie jest wykształcona, rozmawiała tylko z sąsiadkami i rodziną.

Rodzice wysłali mnie do świetnej szkoły – konwentu świętych Józefa i Marii. Potem przestało być ich stać i przenieśli mnie do gorszej. Nigdy się nie interesowali naszą nauką. Zupełnie niewyobrażalne było, żeby mama odrabiała z nami lekcje, sprawdzała nas, dyskutowała z nami o czymś.

Pod koniec studiów już wiedziałam, że na razie jeszcze nie chcę wychodzić za mąż. Może kiedyś, ale nie teraz! Bardzo chciałam skończyć studia. Miałam mocne postanowienie, że będę dziennikarką. Chciałam być reporterką wojenną. Zostałam dziennikarką kryminalną. Wiesz, jakie to dołujące? Uczę dziennikarstwa na prywatnej uczelni. Drogiej. Dziewczyny przychodzą na zajęcia, ale już na egzaminy – nie. Niech pani nam postawi dobre stopnie, żeby ładnie wyglądały na dyplomie, mówią. Bogate kobiety, ze świetnych rodzin! I są z tego zadowolone, nie płaczą, nie żałują. Uważają, że to ich nieuchronny los, pogodziły się, nie walczą, korzystają z tych kilku lat.

– Rodzice nie szukali ci męża?

– Oooo, szukali! I to ilu! Cały czas ktoś przychodził! A ja żadnego nie chciałam. Staralam się wyglądać najgorzej, jak się dało. Pokazywałam się w najgorszych ciuchach, z olejem na włosach.

Wyobrażam sobie rozczochraną Sabinę w kamizie z plamami oleju. Może nawet zjełczałego? „Jeśli ktoś jest trochę aktorem, to chyba może mieć frajdę z życia w tym kraju” – myślę. Adrenalinę. Przypominam sobie słowa kolegi: „Lubię Karaczi, bo tu można być kilkoma osobami w ciągu jednego wieczoru”. I inne zasłyszane słowa: „Na Zachodzie jest nudno. Wszystko wprost i dosłownie. Dlatego lubimy wracać do Pakistanu”.

– Pcham się wszędzie. Robię reportaże kryminalne. Jestem jedyną taką reporterką w Pakistanie. W tych niebezpiecznych miejscach mnie znają. Mówią na mnie *bhadzi* (starsza siostra): „O, *bhadzi* już tu jest. Przepuście ją”.

Kobiety w mediach są tylko po to, żeby ładnie wyglądać. Tak, wiem, że na Zachodzie też jest szklany sufit, ale chyba nie ma porównania. Wiesz, jeden facet mnie zwolnił, zwolnił wszystkie kobiety i potem żałował, bo był kobieciarzem. Powiedział mi: „Jesteś jedyną kobietą, której nie żałuję! Dobrze, że cię już nie będzie w pracy!”. To był dla mnie komplement.

Mam trzy rodzaje informatorów. Jedni przekazują mi informacje, bo myślą, że się za to od razu z nimi umówię. Inni przekazują mi informacje, bo myślą, że w końcu się z nimi umówię. I ostatni – uczciwi, po prostu przekazują mi informacje.

Wiesz, jak trudno kupić dom, jeśli jesteś samotną kobietą? W dobrych dzielnicach, gdzie dbają o reputację, nikt nie będzie chciał ci go ani sprzedać, ani wynająć! Myślą, że jesteś prostytutką, że będziesz spraszala facetów. Że zrobisz w ich okolicy dom publiczny.

Nigdy nie zapraszam mężczyzny do domu. Może przyjechać pod mój dom, może mnie gdzieś zabrać. Ale na pewno do siebie go nie zaproszę. Samotne koleżanki wynajmowały mieszkanie. Codziennie ktoś pukał do ich drzwi, a gdy otwierały, nikogo nie było. Wiedziały, że sąsiedzi o nich gadają, że na nie patrzą. Przecież to budzi strach.

Właściwie jestem wolna. Robię, co chcę. Chodzę, dokąd chcę. Teraz może nawet jestem bardziej sobą, odkąd nie jeżdżę cały czas w teren i jestem freelancerką. W terenie musiałam nosić czadory, szalwar kamizy. Osiągnęłam bardzo dużo. Nie przejmuję się. Byłam przy tyłu zamachach

terrorystycznych, przy wybuchach. Rozmawiałam z bardzo ważnymi osobami. Byłam w Beludżystanie, w Waziristanie, mnóstwo widziałam i przeżyłam. Nie udało mi się zostać korespondentką wojenną, ale praca w Karaczi to prawie jak na wojnie. Nie nudziłam się. Ale zawsze jestem sama, a to oznacza, że nie wszędzie mogę pójść.

– Chodzisz do kina?

– Nie mam z kim! Nie pójdę też nad morze. Na plażę tu obok. Na inne plaże tak. Na Seaview już nie. Na piknik – też nie. Moi wszyscy przyjaciele się pożenili, koleżanki powychodziły za mąż, mówią w kółko o dzieciach, ciągle nie mogą gdzieś iść, bo ich dzieci właśnie robią to czy tamto.

– Czy nie macie jakiegoś miejsca dla samotnych kobiet? Nawet w internecie? Nie chodzi mi o jakieś duchowe wsparcie, tylko konkretne. Żeby gdzieś razem pójść, bank czasu, wymiana ciuchów, bezpieczne podwiezienie się. Bo przecież to czasem musi być trudne.

– Nie. Wszystko robię sama.

Nie mogłabym mieszkać w innym miejscu Karaczi. Na przykład tam gdzie ty. Tylko w tych dwóch dzielnicach to możliwe, w Defence i Clifton. W innych musiałabym wyglądać inaczej. I nawet tu gdzie mieszkam, nie mogę całkiem sama wynająć mieszkania. W Islamabadzie może by się udało. Ale Islamabad jest martwy. Mieszkałam tam rok, było mi dobrze, ale musiałam wracać i właściwie się cieszyłam.

Masz być posłuszna mężowi i nie być mobilna. To dwa główne zadania wyznaczone kobietom w Pakistanie. I jeszcze jedno. Nie wiem, czy znasz takie słowo, *becari*. Biedactwo. Wobec mężczyzny masz być biedactwem. Najlepiej ze łzami w oczach. Kimś, kogo on ma chronić. To kobiety uczą mężczyzn tego protekcyjnego traktowania innych kobiet. Matki wychowują takich synów, bo to matka jest najbliżej dziecka.

Mój tata teraz poważnie choruje. Zawsze opiekował się nim wujek, jego kuzyn. Ja pracowałam, nie miałam czasu. Pomagałam rodzinie tylko finansowo. Wujek woził go do szpitala, rozmawiał z lekarzami, wszystkiego doglądał. Teraz ja to robię, bo mam więcej czasu. I wtedy wujek poczuł się niepotrzebny. O nic go nie prosiłam, dawałam radę sama. Wiesz, co powiedział? Boję się ciebie. Ty niczego nie potrzebujesz! Chyba tylko pakistański facet może tak powiedzieć! Silna kobieta osłabia jego pozycję. Nie powie jej czegoś w rodzaju: jak to wspaniale, że tak sobie radzisz, że jesteś taką silną osobą, mocnym człowiekiem! Przecież to świetne, to godne

pochwwały! Tylko: „Boję się ciebie, bo jesteś niezależna”!

Gdybyś była facetem, mogłabyś w domu otworzyć fejsa na godzinę i to by się nazywało, że „pracujesz na komputerze”. Nikt by od ciebie nie wymagał doglądania domu, opieki nad dzieckiem w tym czasie, gotowania.

Niezależność dużo mnie nauczyła. Nie oczekuję niczego od nikogo. Jestem aktywna. Twórcza. Umiem zrobić wszystko sama, sama załatwić. Ale teraz trochę mi smutno. Człowiek potrzebuje czyjejś troski. Im jest starszy, tym bardziej. Gdy widzi, że inni nie są samotni. Teraz mieszkam z rodzicami. Opiekuję się nimi. Nigdy mnie nie kontrolują. Nie dzwonią spanikowani, gdy jest późno, a mnie nie ma. Wiedzą, że zawsze wracam. Nie pytają, dokąd idę, co będę robiła, gdzie byłam.

Te różyczki? Mam jeszcze jeden tatuaż, na plecach. I jeszcze jeden, niżej. Zrobiłam je w 2008 roku. Nie tak dawno temu. Tu, w Karaczi. Bardzo dużo ludzi przychodzi na tatuaże. Cały czas coś o nich słyszę. Że nie pójdę do nieba, jeśli robię coś ze swoim ciałem. Że jestem nieczysta, niekompletna. To ludzie po amputacji też nie pójdą do nieba? Okaleczeni też nie? Jak staną przed Bogiem?

Mam nowoczesnego kolegę. Nowoczesnego muzułmanina, wiesz, jacy to są. On mi poważnie powiedział, że podczas uprawiania seksu należy cały czas pamiętać, że celem tego aktu jest prokreacja. Poważnie! Dziecko! Dziecko! Nie przyjemność. Przyjemność mogłaby przecież przysłonić ci cel! Właściwie to gdy czujesz przyjemność, grzeszysz, bo zapominasz o celu twoich działań! Masz jej nie czuć. To po co Bóg stworzył przyjemność?

Biegamy po sklepie. Ganiamy się z moim synkiem. Mamy w nosie, kto na nas patrzy. Podoba mi się, że Sabina nie pozwoliła, by zawładnęły nią złość i agresja, jakie z pewnością czuła wiele razy. Sprawiała, że złość i protest przeistoczyły się w siłę, która ją napędza, a nie taką, która ją niszczy. Nie stała się męska przez to, że zajmuje się męskimi sprawami, nie wyrzekła się rodziny, nie opuściła jej obrażona i pełna goryczy, nie mówi, że bliscy są toksyczni, że nie wybacza im traumy. Wyraża się o nich z miłością. Opiekuje się nimi.

Rozmawiałyśmy o kobietach z Zachodu, które poślubiają Pakistańczyków. O ich nadziei, że mąż będzie czysty, inny, że nie będzie pił.

– Co? – Wielkie oczy i uśmiech pełen niedowierzania. – Że nie będzie pił? Przecież prawie wszyscy piją! Tylko tak, żeby ludzie nie widzieli!

Nadmorski Dolmen Mall, w którym rozmawiamy, to popularne miejsce spotkań. Można obejrzeć klimatyzowany świat pełen sztucznych strumyków, sztucznych świateł, żwiru i roślinności. Markowe sklepy w rodzaju Debenhams, Nine West i wiele tutejszych. Niektóre koszulki kosztują w przeliczeniu siedemset złotych. Można zaprowadzić dziecko do przeraźliwie głośnego centrum rozrywki Sindbad – karta za sto rupii (2,5 złotego), doładowanie za tysiąc rupii wystarczy może na trzy kwadransy relatywnego spokoju. Zjeść mrożony jogurt. Spróbować światowych fast foodów: indyjskiego, chińskiego, tureckiego. Wypić doskonałą kawę i świeży sok. Zrobić zakupy w Hyperstarze, bo tak tu nazywa się Carrefour, a robiąc to wszystko – oczywiście przyjrzeć się ludziom. To tylko „lepsza”, standardowo chroniona galeria handlowa. Nie ma w niej nawet kina.

– Rzeczywistość cię atakuje, gdy wychodzisz – mówi Sabina, gdy zamykają się za nami drzwi. Duże płyty chodnikowe, policja z karabinami, zapach morza zmieszany ze smrodem śmieci, druty i kable. Autobusy, riksze, samochody tanie i bardzo drogie. To bardziej oswojona rzeczywistość niż ta, która mnie otacza na co dzień, ale i tak nie ma co się łudzić. Sabina ma rację.

Być piękną w pakistańskim stylu

Kolory

W Polsce jestem w szoku.

Gołe ciała, ponure kolory. Wolni i swobodni ludzie, nawoływani do kreowania własnego stylu i podkreślania indywidualności, ubrani na szaro. Granat, ciemna zieleń, szarość, popielaty, beż. Odcienie mleczne, śnieżne, kremowe, kawowe, kakaowe, miętowe, écru, grafitowe, złamane róże. Nazwy brzmią powabnie, ale wyglądają smutno, zwłaszcza w pochmurne dni. Szary tłum, upstrzony gdzieś tam plamami koloru, przygnębia mnie w sklepie, kościele, parku, na uniwersytecie. Nawet latem, gdy kolorów jest więcej, a kolorowe pisma huczą: „Tego lata zakochaj się w kolorach!”, i tak ich brakuje. Mało kto podejmuje wyzwanie.

Polska ulica, choć bez wahania odsłania ciało, jest bardzo konserwatywna. Większość moich zwyczajnych pakistańskich kamizów wygląda w Polsce dziwnie. Pstrokato, kolorowo, za błyszcząco – bo lusterka. I jeszcze cekiny. Za luźno, za szeroko, za długo, cygańsko, orientalnie, kiczowato, wschodnio. Przyciągają wzrok.

– Jak ci do twarzy w tych szatach! – mówi znajoma. Słowo „ubranie” do tych ciuchów w Polsce nie pasuje. Oprócz garstki fanek tańca orientального albo partnerek Azjatów nikt nie traktuje ich poważnie.

Żeby wtopić się w tłum, wybieram się więc do sieciówek po bezpieczne beże, róże, granaty, brązy i czernie. Jednak potrzebuję energii. W końcu sięgam po soczyste, ostre kolory. W Karaczi przestałam się ich lękać.

Moje ciało bez dupatty czuje się nagie. Na nowo uczę się odsłaniać nogi, biodra, ramiona, dekolt. Ale przyjaźni z ciałem nauczyło mnie dopiero Karaczi.

Narzeczona i panna młoda ubierają się jaskrawo. To najjaskrawszy czas w życiu kobiety. Prawie natychmiast po przyjeździe do Pakistanu Faiza zbombardowała mnie kolorami. Przyniosła torbę materiałów. Bawełny i szyfony. Czerwony w zielone, żółte, białe i niebieskie koła. Biały wyszywany złotem oraz granatowymi i bordowymi nićmi. Różowy ze złotym. Turkusowy w zawrotne kolorowe delikatne liście. Czarny w drobne różnokolorowe kwiatki. Musztardowy w drobną panterkę. Butelkowy zielony wyszywany w złote cekinowe gwiazdy i kwiaty – wspaniały na miesiąc *rabi-ul awwal*, gdy świętujemy urodziny Proroka, wyjaśniła (zieleń to kolor islamu). I tak dalej, prawie w nieskończoność. Wszystkie kolory tęczy w kilku odcieniach. Fioletowy, delikatny brzoskwiniowy, różowy jasny i ciemny, musztardowy – żółć w zielonkawym odcieniu z delikatnym srebrnym ornamentem. „To dla ciebie, *bhabhi*”.

Ja? W takich kolorach?

– Teraz to zamoczymy – powiedziały szwagierki. Przyniosły aluminiowe gary, włożyły do nich tkaniny – każdy kolor osobno – i zalały wodą. – Trzeba zostawić na noc i wysuszyć. Wtedy materiał się zbiegnie. Dopiero potem można zanieść go do krawca.

– Dupatty nie mocz! – zawołały, gdy chciałam pomóc. – Dupattę zaniesiesz tylko „na piko”.

Na co? Okazało się, że tak nazywa się obrębianie brzegów, czasem bardzo ozdobne, z koronkami, frędzelkami, koralikami, tasiemkami.

– Jak ci to uszyć? – zapytała Faiza.

Jak mi to uszyć?!

Na początku wszystko było przebraniem. Wyglądało jak różne wersje piżamy z prześcieradłem do owinięcia. Nie mogłam tego brać na serio.

– Uszyj tak, jak się teraz szyje – zważyłam odpowiedzialność na Faizę. Ona ma świetne oko. Przyniosła gotowe ubrania od krawca. Każde miało inny dekolt, inny krój rękawów, starannie dobrane tasiemki i koronki przy rękawach, dekolcie i damanie[32]. W przymierzalni Orsay czy H&M może nigdy bym nie odkryła, jak świeżo i kwitnąco wyglądam w musztardowym i kasztanowym, w pomarańczu i butelkowej zieleni!

Polskie obuwie było zdecydowanie zbyt skromne. Nasze skórzane buty nie wyglądają tu wystarczająco elegancko. Obuwie powinno lśnić. Nieodzowną ozdobą były cekiny, cyrkonie, dzęty, kwiaty lub misterne ażurowe wzory.

Potrzebowałam też torebki. Elegancka torebka ma w sztucznym oświetleniu błyszczeć jak diament – cała albo chociaż w części.

Kupiono mi też pudła pozłacanych kolczyków, bransoletek i naszyjników. Niektóre szerniały natychmiast, inne trzymają kolor do dziś. W kolorowych pudłach lśniły komplety szklanych bransoletek *ćuri*. Czasem fantastycznie dobranych. Godzinami mogę oglądać, jak sprzedawcy w natchnieniu tworzą komplety, a na ich rękach i koszulach osiada brokat. Właściwy rozmiar jest, według polskich kryteriów, znacznie za ciasny. Żeby je włożyć, kobiety smarują dłonie mydłem lub kremem, mimo to przy nakładaniu i zdejmowaniu bransoletki czasem się tłuką i ranią skórę. Przy gotowaniu rozgrzewają się i parzą ręce. Bywają nie tylko ze szkła, lecz także ze złota albo pozłacanego metalu. Tradycja mówi, żeby raz założonych bransoletek nie zdejmować. Mężatka nosi je, dopóki się nie potłuką. Gdy się porusza, bransoletki delikatnie pobrzękują. Zawsze wiem, gdzie jest moja teściowa i czy śpi.

Kobieta musi mieć pomalowane przynajmniej oczy i usta, a panna młoda – paznokcie (a czasem też dłonie i stopy w skomplikowane wzory z henny). Oczy grubą czarną kadźalową kreską, resztę – kolorami, które widać. O beżu – zapomnij, zwłaszcza panna młoda i świeża mężatka. Makijaż „*nude*” i manikiur typu delikatny frencz nie biją rekordów popularności.

– Dlaczego nie pomalowałaś paznokci? – strofuje mnie Śazia, u której jestem pierwszy raz w odwiedzinach. – Sanaaa! Przynieś lakier! – woła do córeczki. Chwyta mnie za rękę i zaczyna malować. Część lakieru zostaje na skórze obok paznokcia.

– Gdzie masz naszyjnik? – pyta teściowa, gdy wychodzimy.

– Nie mam, nie potrzebuję – próbuję powiedzieć. Mama nie słucha. Przynosi mi jakiś swój i nakłada na szyję.

W odwiedzinach jakaś ciocia wybiega z klipsem i przyczepia mi go do nosa.

– *Bhabhi*, wychodzisz i nie pomalowałaś ust? – Faiza wyjmuję z lodówki szminkę. – Pomaluj też górną wargę! – Widząc, że nic nie robię, zabiera się do dzieła. Wyjeżdża znacznie poza kontur moich „prawdziwych” ust, zwłaszcza u góry. – Twoje usta nie są wystarczająco pełne.

Masz ci los. Wracam do łazienki i ścieram nadmiar szminki.

Przychodzi do nas *phuphi*, kuzynka teścia. Jest wybielona i wymalowana jak indyjskie aktorki.

– Jaka urocza, jaka urocza! *Kitni pjari!* – woła, szczypiąc mnie w policzek.
– Dlaczego nie malujesz dolnej powieki kadzalem?

Oko z czarnymi kreskami rzeczywiście wygląda lepiej. Unikałam kadzalu, dopóki nie dostałam podczas promocji w ambasadzie rosyjskiej dwóch buteleczek surmy (w Polsce używa się nazwy kohl) – suchego nakładanego patyczkiem czernidła do oczu firmy Hashmi.

– Surma jest bardzo dobra dla oczu! – przekonuje mnie Faiza, która codziennie rano nakłada ją na dolną powiekę. Kadzál nakłada się na powieki już noworodkom, dorysowuje się nim pieprzyki na czole i całym ciele dziecka. „Obrzydzają” je w celu ochrony przed urokiem. Nazywa się to *nazar utarna* – zdjęcie „spojrzenia”.

Według amerykańskiej agencji dopuszczającej do obrotu jedzenie, leki i kosmetyki przemysłowy kadzál (pasta) i kohl (proszek, nazywany też surmą) firmy Hashmi składa się w połowie z siarczanu ołowiu. Ulotki firmowe o tym milczą. Lepiej zrobić bezołowiowy kadzál w domu – jeśli ktoś ma czas, ochotę i pastę z drzewa sandałowego – z sadzy zbieranej do miseczki z brązu lub miedzi.

Wziąć czystą cienką gazę lub muślin o wymiarach 10×10 cm, zamoczyć ją w paście z drzewa sandałowego (znanej w medycynie ajurwedyjskiej ze świetnych pielęgnujących właściwości) i wysuszyć w cieniu. Trwa to cały dzień. Wieczorem materiał zwinąć w cienki knot i zapalić lampę (najlepiej glinianą) z olejem rycynowym. Zanurzyć w niej knot. Miedziany talerzyk posmarować sokiem z czosnku i trzymać go nad lampą, ale zostawiać trochę miejsca, żeby tlen dochodził i lampa mogła się palić całą noc. Rano zeskrobać sadzę z talerzyka do czystego suchego pudełka, zmieszać z odrobiną czystego *ghi* (klarowanego masła) albo oleju rycynowego i używać jak kadzalu.

Albo można kupować kadzale znanych marek kosmetycznych.

Bielizna

W domu się jej nie nosi, a już zwłaszcza majtek. Spuśćmy na to zasłonę milczenia. Nie nosi się i już. Kto ma rodzinę, ten wie. Kto nie ma, zyskuje kolejny powód, żeby obejrzeć wstrząsający i piękny dokument Omara Mullicka i Bassama Tariqa *These Birds Walk*. Główny bohater, kierowca karetki fundacji Edhiego, po drodze przymierza dżinsy w ciasnym sklepie.

– Masz pod spodem bieliznę? – pyta go któryś ze sprzedawców, a może narrator (niestety film obejrzałam tylko raz).

– Ja? W majtkach tracisz cały kształt. Założyłem raz majtki. Niewygodnie, brzydko. Koszmar.

Święta prawda. Majtki, choć istnieją, są traktowane jako rodzaj pancerza, który zniewala miłujących wygodę Pakistańczyków. Ścisnąć ciało w taki upał? Nie nosi się ich pod przepastnymi szalwarami; pod dzinsami – czasem, ale też niechętnie.

Po bieliźnie damskiej widać kulturowe priorytety: to, co widoczne, ma być strojne, piękne i robić wrażenie. To, czego nie widać, może być i bywa byle jakie. W końcu kto to oceni? Kobieta w domu zakłada majtki podczas miesiączki, gdy i tak zwykle nie sypia z mężem. Wypraną bieliznę suszy się w ukryciu. Jeśli mieszkamy z dużą rodziną – wieszamy majtki i staniki schowane pod mniej wstydliwymi fragmentami garderoby.

Do wyboru są więc beżowe, sine lub różowawe majtki z syntetyków, smętne bawełniane namioty na grubych gumkach. Trafiają się wyroby wściekle czerwone albo z doszytym kwiatkiem czy sztywną koronką. Często prują się z nich nitki. Beznadziejne („skromne”) niewymiarowe staniki jak z czasów czarnej komuny, z rozlatującymi się klamerkami. Albo najtańsza chińszczyzna pachnąca sztucznością i wpijająca się tam, gdzie nie trzeba.

Kupuje się te dobra w znienawidzonych przeze mnie sklepach lub działach *ladies only*. Za zasłonką. Mąż w najlepszym razie zostaje za drzwiami i czeka na znak, że już pora wyjmować portfel (ale częściej kobieta wchodzi już z pieniędzmi w zanadrzu).

Zraziłam się za pierwszym razem. Sprzedawczyni zaglądała ukradkiem przez zasłonkę przymierzalni i chciała mi założyć stanik. Innym razem na Tariq Road (znanej ulicy handlowej) poziom intymności w bieliźnianej kanciapie znacznie przekraczał moje oczekiwania, za to rozmiarówka ich nie spełniała. W drogim markecie stanik „znanej zachodniej marki” kosztował krocie, mimo że był raczej średniej jakości. W innym sklepie znalazłam świetne taniutki bawełniane staniki na upał, ale rozmiary ledwo ledwo.

W kolejnym miejscu, w galerii handlowej, było wszystko, w tym półki z zawartością bardzo seksi. Żadnej pruderii. Rozneglizowane manekiny demonstrowały sznureczki, otworki w różnych miejscach, subtelne koronki, przezroczystości, frędzle, satyny i jedwabie. Na pudełkach z fikuśnymi kompletami wyłącznie białe kobiety. Najczęściej zmysłowe blondynki. Rozumiem mechanizm, ale poczułam się urażona. Sprzedawały to wszystko dziewczyny w hidżabach. Taki szalony wybór jak na Pakistan – może znajde

tu też staniki w prawidłowych nowoczesnych wymiarach?

– Tak! – ożywiła się sprzedawczyni. – Numerki na wieszakach są złe! Tu jest pani rozmiar!

Mój? No, powiedzmy. Może przymierzę?

– *Hold on!* – zawołała i błyskawicznie zapięła mi stanik pod biustem. – *Hold on, hold on!* – Osłupiałam, a ona założyła mi ramiączka. I już. Tak, to twoja miseczka. Stałam jak głupia na środku sklepu, w staniku na ubrani. Każdy z obecnych mógł sam ocenić, czy to moja miseczka. Dobrze, że w takich sklepach w niedzielę o piętnastej nie ma tłoku.

Pasujący stanik w tym sklepie to wydatek około 200 złotych. Dobrej jakości, ale żadna rewelacja. Więc wciąż kupuję bieliznę w Polsce.

Wielki obcy, czyli popraw dupattę!

Dupatta przeszkadzała mi okropnie. Kamizy uszyte według zamówienia Faizy były dość luźne i długie do kolan. Spodnie albo bardzo szerokie i marszczone – tak zwane *patiala szalwar*, albo luźne i proste – *padżama*. Co jeszcze mam przykryć? Dlaczego? Włosy? Ich włosy może tak, ale moje to nie żadna ozdoba – irytowałam się. Nie sądziłam, że inny wygląd w Karaczi będzie stanowił aż taki problem. Mam się przykrywać, bo tak mi każą? Bo o n e tak noszą? Nie wystarczy, że chodzę w tej całej piżamie zamiast w swoich bluzkach, spódnicach i spodniach, które – do jasnej anielki! – specjalnie wybierałam tak, żeby były „skromne”? Nie stać ich na odrobinę tolerancji? Nie zniosą, że ktoś wygląda inaczej niż one? Wmuszają we mnie ten idiotyczny kawałek materiału, który nie dość, że trzeba wyprasować w strasznej męce, to potem nie wiadomo, co z nim zrobić.

– Chociaż bierz ją ze sobą – mówił zrezygnowanym głosem Wasim. Jeździliśmy tylko samochodem. W pracy Wasima mogę być bez dupatty, u wielu znajomych też. Brałam. Składałam. Przerzucałam przez ramię. Nie umiałam nosić. Więc zdejmowałam, trzymałam w dłoniach.

I wszyscy na mnie patrzyli.

Przełom nastąpił, gdy dopadła mnie depresja. Przyczyny były dla mnie tym razem jasne: zamknięcie. Sufit, ściany, wiatrak, krata. Samochód, fotele, szyby. Trzydzieści sekund od samochodu do domu. Sufit, ściany, wiatrak, krata. Albo wyjdę, albo zwariuję. Muszę zobaczyć niebo. Natychmiast. Nie chcę jechać samochodem. Chcę iść.

– Bez dupatty nie wyjdiesz – postawił jasno sprawę Wasim. – Wychodzimy, ale się owiń.

To był długi spacer wzdłuż głównej ulicy, po którym wyskoczyły mi na stopach bąble. Leczyłam je, szczęśliwa, przez następne dwa dni. Szliśmy obok osiedli biedoty, po wiaduktach, aż do bazaru. Pamiętam ulgę i radość. Owinięte ramiona rzeczywiście zwracały mniej uwagi. Ktoś na bazarze zapytał Wasima, czy jestem z Kaszmiru.

W Karaczi tłum nie jest anonimowy. Ludzie stale na siebie patrzą i odczytują komunikaty wysyłane przez strój. Na ulicy przeważają tak zwane burki, czyli abaje (płaszcz), i szale lub hidżaby na głowach, czadory (wielkie płachty) i szalwar kamizy z dupattą. Wyróżnia się kobieta w sari, kobieta z dawoodich (najbardziej tradycyjnego odłamu wspólnoty Bohrów) ubrana w hidżab z pelerynką zwaną *ridah*, hinduska w spódnicy – *lehendze*, a także chrześcijanka w spodniach i kurcie.

W mojej dzielnicy kobiety ubierają się właściwie tylko w szalwar kamiz, co nie znaczy, że wychodzą z domu tylko w nim. Kwestią wyboru jest, czy nałożą przed wyjściem czador lub abaję, ale pod spodem zawsze jest on.

Właśnie on na początku przypominał mi piżamę – i krojem, i materiałami. Kamiz to długa kolorowa koszula z rozcięciami po bokach, często bardzo luźna (na szczęście nie zawsze). Szalwar – lekkie płócienne albo jedwabne spodnie, obficie fałdowane i marszczone (*patiala*), a przez to bardzo wygodne: niestraszne w nich długotrwałe kucanie w rozkroku, czyli jedna z ulubionych pakistańskich pozycji ciała. Węższe nazywają się *padżama*. Czasem modne są *ćuridar padżama* – superszerokie w udach, wąziutkie niżej, zapinane u dołu na guziczki i długie jak węże (ponieważ starannie układa się je na łydkach w fałdki, które mają ponoć imitować bransoletki). Podarłam, sfrustrowana, kilka par, zanim nauczyłam się je sprawnie wkładać. Nosi się je na przykład do anarkali – stroju, który przypomina bajkową suknię. Coraz popularniejsze są też legginsy z pięknymi miejscowymi haftami.

Szalwar kamiz noszą i panowie, i panie. Męski wariant jest najczęściej jasny, długa do kolan koszula z kołnierzykiem (która, jeśli występuje oddzielnie, nazywa się wcale nie kamiz, lecz kurta), czasem misternie ozdobiony przód i rękawy. Do tego bardzo szerokie fałdowane spodnie. *Ćuridar padżama* to rzadko wybierana przez panów opcja. Choć przeważa ściąganie spodni gumką, mężczyźni noszą czasem szalwary ściągane

sznurkiem – *nara*. Też zresztą mam jedną parę szalwarów „na sznurki”, prezent z głębi Sindhu.

– Ha ha ha! W Karaczi jeszcze się je nosi? – spytał mnie ktoś z Pendżabu.

Zimą lub na uroczyste okazje panowie lubią narzucać na koszulę kamizelkę – tak zwany wiskot.

Wasim ma tylko dwa szalwar kamizy, które wkłada na modlitewne spotkania.

– Ja muszę mieć kieszenie! – protestuje, gdy go namawiam do kupienia jeszcze jednego kompletu. Lubię go w tym stroju, cóż poradzić. On woli siebie w T-shircie i džinsach. – Poza tym skąd będę wiedział, że robię się gruby? W szalwarach człowiek nie ma kontaktu ze swoim ciałem!

Szalwar kamiz szczególnie dużo mówi o kobiecie. Czy jest markowy? To od razu widać. Czy z nowej kolekcji? Czy skompletowałaś go sama z gotowych ubrań w sklepie? (cena podnosi się zawrotnie). Gdzie szyjesz? Czy masz swojego stałego krawca?

Na damski – znacznie bardziej kolorowy i ozdobny niż męski – mówi się *three pieces suit* albo *two pieces suit*. Trzecią częścią jest dupatta, która przysparzała mi na początku najwięcej kłopotu. Była dla mnie symbolicznym przedmiotem przejścia do innego systemu wartości.

Dupatta to jeden ze znaków statusu kobiety. Ponad dwa metry długości i metr szerokości. Niektóre dupatty zjeżdżają i żeby się trzymały, mocowałam je agrafką lub wsuwką. Narzucona na głowę dupatta odgradza od otoczenia. Pozwala nie widzieć wszystkiego. Pomaga się skupić, na przykład podczas modlitwy w kościele.

Dodaje uroku, kryje krągłości i niedostatki. Można ją poprawiać, zarzucać na głowę, przysłaniać twarz, zarzucać na szyję, ramiona i ręce (na których szklane bransoletki cichutko wtedy pobrzękują), kokieteryjnie podkreślać własną skromność, odsłaniać się, zasłaniać, wysyłać różne komunikaty. A konieczność częstego prasowania, zwłaszcza tych bawełnianych, wyszywanych, z koralikami, to okazja do medytacji, modlitw, planowania, słuchania muzyki. Inaczej strasznie mnie te rogi, brzegi i środek złoścą.

Owinięte ciała poruszają się i wyglądają zupełnie inaczej niż odkryte. Nie dlatego, że są chude, ciemnoskóre i ciemnookie, ale z powodu gestów. W ich repertuarze ważne miejsce zajmują gesty z tkaniną w roli głównej: nakładanie na głowę, przykrywanie twarzy, otulanie się. Ludzie, którzy stąd

wyemigrowali i przyjęli zachodni styl życia, często rezygnują z dupatty, ale i w samym Karaczi sporo osób porzuca tradycyjne ubrania.

Na początku dupatta była na mnie martwa. Zamiast kryć moją odmienność, bezlitośnie ją obnażała. Ożyła, dopiero gdy postanowiłam naśladować inne kobiety i zamiast traktować ją jak przeciwnika, zaczęłam widzieć w niej część mnie. Poprawiać ją mikroruchami tak, żeby przykryć to, co ma być przykryte, choć wiedziałam, że tkanina i tak się zsunie za minutę, pół, a może za parę sekund. Bez irytacji i zniecierpliwienia: tak ma być. Wygładzać. Zarzucać na włosy całkowicie lub tak, żeby było je trochę widać. Przysłaniać nią twarz. Pewnie robię to nieudolnie. Ale ujdzie. Moje gesty nie zwracają już uwagi.

Żeby bardziej wtopić się w tło, chciałam mieć czador albo burkę. Czador jest olbrzymi, dużo większy od dupatty i dlatego trudny dla nowicjuszki. Burkę, czyli abaję, z hidżabem (upiętym odpowiednio szalem) i nikabem (zasłoną na twarz) oswoić dużo łatwiej, ale była dla mnie strojem z kosmosu. Przerażały mnie zasłonięte twarze na ulicach, w sklepach i poczekalniach. Odkryłam swoje granice: twarz znaczy dla mnie zupełnie co innego niż dla nich. Przypominałam sobie wszystko, co przeczytałam o twarzy u Levinasa – że obecność twarzą w twarz i wynikająca z niej odpowiedzialność są najważniejsze w relacji między osobami. Odbierałam (i wciąż odbieram) zasłonięte twarze jako przemoc wpisaną w przestrzeń publiczną. Może jeszcze nie zrozumiałam „twarzy” tutaj. Tu ludzie muszą lub chcą je chować. Ukrywać to, co najważniejsze. Z obnażoną twarzą czułam się więc zagrożona. Ona zdradza wszystkie emocje, nie zawsze kontrolowane, przed ludźmi, którzy chcą się przede mną ukryć. Oni mnie widzą, a ja ich nie.

Często wydawało mi się, że kobiety w nikabach obrzucają mnie złymi spojrzeniami. Miałam nadzieję, że się mylę i że jestem uprzedzona. Jednak chyba nie zawsze się myliłam.

– Mierzą mnie pogardliwie wzrokiem w galerii handlowej – mówi Helen, Angielka. – Uwierzysz, że moją koleżankę, Amerykankę, jacyś kolesie zaatakowali w Dolmen Mallu, bo była w dżinsach i krótkiej koszulce?

Uwierzę. W Taksili ubrałam się w kurtę, dżinsy i krótki jak na Pakistan szalik. Byliśmy tam z nowoczesną rodziną. Podeszła do mnie grupa dziewcząt w nikabach.

– Chciałyśmy ci powiedzieć – rzekła jedna uroczyście – żebyś się ubrała. Masz za małą dupattę.

Innym razem wstałam z trawy na dziedzińcu uniwersyteckim i trzymałam swoją dupatę w dłoniach. Przeszłam tak może kilka metrów.

– *Sister* – odezwał się młody człowiek w pobliżu. – Proszę, załóż dupatę.

„Jeśli jesteś kobietą, musisz zawstydzić każdą kobietę, która ma na sobie mniej niż ty. Wystarczy, że zmierzysz ją zgorzonym wzrokiem” – pisze Shamila Ghyas, moja ulubiona pakistańska blogerka.

W końcu wybrałam strategię ignorowania zasłonki. Patrzę prosto w oczy, te przysłonięte okularami też. Uśmiecham się. Pod spodem przecież jest człowiek. Zagubiona na lotnisku dziewczyna z noworodkiem. Życzliwa kobieta, która uśmiecha się na widok mojego śpiącego synka i woła *alhamdulillah*, Bogu niech będą dzięki. Pani, która przyszła na spacer. Studentka.

Jak się w nikabie oddycha, mówi, je?

Czy nie jest w tym gorąco?

Czy abaja jest przewiewna?

Czy nie wkręca się w koła jadącego motoru?

Mówi się normalnie. Je się od dołu. Oddycha się trudniej. Jest goręcej. Abaja nie jest przewiewna. Zatrzymuje pot. Najczęściej to syntetyk, poliester czy wiskoza, choć droższe abaje szyje się też z prawdziwego jedwabiu, bawełny, lnu, szyfonu, lycry czy cordury. Do patrzenia można się przyzwyczaić. Na wkręcanie trzeba bardzo uważać. W zamian dostaje się swobodę, pewność i ochronę przed natarczywymi spojrzeniami.

– Nie musisz się przebierać, jak wychodzisz w burce. Nakładasz na to, co masz – uśmiecha się kuzynka Fateha. – Możesz wyjść z nieumyтыми włosami!

– Nosimy burki, bo tak jest bezpieczniej – powtarzają Hadika, Khadidża, Amna i wiele innych.

– Abaje są teraz modne – opowiadają dziewczyny na kursie gotowania, wszystkie w modnych abajach i kolorowych hidżabach.

– „Żółwie Ninja” – mówi z przekąsem Arima. Aha. Czyli nie wszystkie kobiety mówią jednym głosem.

– Chcą pokazać, jakie są pobożne. Że były na pielgrzymce i widziały Arabię Saudyjską! Myślą, że jak mają arabskie burki, to stają się Arabkami! – dodaje Sana z nutką pogardy.

– Burka to nie nasz strój – mówi bardzo wytworna starsza pani w sari. –

Nie sindhijski. Musimy dbać o swoją tożsamość. Nie porzucę sari, o nie.

– Noś burkę, będą cię bardziej szanować – radziła mi pewna cudzoziemka.
– I będziesz modna.

„Przykryj ciało jedną z naszych najmodniejszych abai! Niektóre dziewczęta noszą abaję wyłącznie dlatego, że jest piękna, a nie żeby przykryć ciało. Noszą ją nawet niemuzułmanki! Latem 2014 roku modne są delikatne i lekkie żywe kolory – biały, delikatny róż, turkus, żółć i zieleń morza. Zimą wybieraj ciemne barwy: fiolet, brąz, szarość, czerń” – zachęcają właściciele internetowego sklepu z muzułmańską modą.

Arabki, dla wielu Pakistanek wzorzec do naśladowania, nie wychodzą z domu bez abai. Abaje są teraz nie tylko czarne, ale z dodatkiem różnych kolorów, złota i srebra. Projektanci używają koronek, naszywek, guzików, diamentów, koralików, tasiemek i innych ozdób. Prosta czarna burka bez wzoru odchodzi do lamusa – kiedyś noszono ją ze względu na wymaganą skromność stroju. Dziś jest inaczej. Po twojej abai widać, czy jesteś na topie. Przód i linię szyi zdobi ciężka koronka, a na rękawach (często wytwornie wycinanych) umieszczony jest misterny haft. Bardzo ważny jest odpowiedni szal albo hidżab i broszki. Broszka jest niezbędna – zwyczajne agrafki wyglądają zbyt siermiężnie.

Dla mnie najważniejszą zaletą burki jest to, że mnie ukrywa. Chcę mieć burkę. Chcę móc iść swobodnie, przynajmniej czasami. Pojechałyśmy więc z Faizą riksą na targ. Obejrzałam chyba z tysiąc – czarnych, brązowych, beżowych, szarych, z różnymi guzikami, haftami i rękawami. Niektóre wyglądały jak wytworne suknie czy płaszcze, choć mimo wszystko dość smutno. Wybrałam dwie. Zjadłam wspaniałego pieczonego słodkiego ziemniaka w gazecie. Uśmiechnęło się do mnie tyle kobiet co nigdy wcześniej. Kupuje burkę – jest muzułmanką, to było dla nich jasne. Nasza! Może nie czytały, że niemuzułmanki też wybierają abaję. Pakistańczycy ogromnie się cieszą, gdy ktoś z Zachodu chętnie, „z otwartymi ramionami” przyjmuje islam (*embraces islam*, czyli dosłownie: obejmuje).

Nie mogłam się na siebie napatrzeć. Było mi co prawda goręcej, ale za to dużo spokojniej i swobodniej. Wspaniale. Zdradzały mnie oczy, białe czoło i ręce, ale przecież oczy można przysłonić ciemnymi okularami. Na czoło można nasunąć szal, tak że właściwie nie widać skóry, na ręce włożyć czarne rękawiczki. Na nogi – skarpety i półbuty. Miałam na sobie czapkę niewidkę. Gdyby to były badania terenowe, kupiłabym burkę natychmiast.

Najlepiej się sprawdza, gdy nikt nie zadaje dodatkowych pytań o religię. W sklepie, w parku, w nieznanym rejonie.

Nie sprawdza się zupełnie na przykład w nowoczesnej kawiarni, jednym z normalnych miejsc w mieście. Lubię tam chodzić na odczyty i programy muzyczne. Siadam wśród kobiet prosto od fryzjera, w kosztownych koszulach i spodniach rurkach. Hidżaby, czadory, burki nie docierają do ich świata. W szalwar kamizie wyglądam tu jak niemodna ciotka z prowincji. Nie mówię im jednak, że ubrani w zachodnie ciuchy wydają mi się bardzo przeciętni.

Niestety, z domu nie mogę wyjść w džinsach i T-shircie. Jedynym rozwiązaniem, które pozwoliłoby mi pasować strojem do każdego miejsca, w którym bywam, byłaby podróżna walizeczka z burką i sukienką na ramiączkach.

Uszyć markową szatę

Z billboardów patrzą wybielone i wyphotoshopowane przepiękne modelki w strojach, które oczarują chyba każdą kobietę. Krawiec w ciemnej pracowni podaje mi sterty wymiętych kolorowych katalogów. NL, Kayseria, Deepak Pervani, Gul Ahmad, Maria B. Mausammery, Asim Jofa, Sana Safinaz. Pakistan przeżywa wysyp marek odzieżowych, dostępnych jedynie dla zamożniejszej części społeczeństwa. Sześć tysięcy rupii, cena zwykłego trzyczęściowego ubrania w Khaadi Khaas, to miesięczny zarobek męża Asi Bibi w cegielni lub rybaka w nadmorskiej wiosce. Modowy rok dzieli się na kilka sezonów: zwyczajne cztery (wiosna, lato, jesień, zima) i „środkie” (*mid-summer, mid-winter*). Każda pora roku ma dwie części kolekcji (wiosna I i wiosna II), na ramadan i Idy wypuszczane są osobne kolekcje.

Moje sąsiadki uwielbiają zakupy. Jeżdżą na bazyry riksami. Umieją i lubią się targować. Czują się wtedy wolne, silne i pewne siebie. Godzinami mogą przebierać w stosach tęczywanych materiałów, pijąc herbatę, którą podają im sprzedawcy. Wypatrują materiału jak orzeł zdobyczy i ruszają do ataku. Rozpoznają, skąd pochodzi, oceniają jakość haftu. Tkaninę trzeba obejrzeć od spodu, znaleźć rzeczywiste lub wydumane niedokładności w wykonaniu. *Reśam* albo *karhai* – haft zwykłymi nićmi. *Salma sitara* – wyszywane cekinami. *Karćob* albo *zardozi kam* – haft złotą lub metalową nicią. Haft kaszmirski (*kaśida*), *bahawalpuri* (z Bahawalpur) i szczególnie ceniony

multani – z Multanu w Pendżabie. Szwagierki i żony kolegów czasem same sprzedają ubrania, zamawiane gdzieś „w Pendżabie”. Moje ukochane materiały to drukowane cieniusieńkie batysty, które chłodzą w upał.

– Najpierw patrz na dupatę – mówi Farial, która mieszka piętro niżej. – Do niej dobierasz kamiz, szalwar, szamiz – nieprzezroczystą koszulkę, jeśli kamiz prześwituje – tasiemki, guziki, frędzelki, biżuterię, dodatki.

Okazje do uszycia nowego stroju zdarzają się przynajmniej kilka razy w roku: święta religijne (tak zwane *Idy*, każde trwa trzy dni), wesela w rodzinie. Poszukiwanie i dobieranie dodatków to wspaniała rozrywka. Sąsiadki chodzą na kurs projektowania i szycia. Oglądają katalogi znanych marek. Czytają szafiarskie blogi. Są ekspertkami. Nie stać ich na markowe ciuchy, ale wiedzą, jak wyglądać dobrze. Gdy je odwiedzam, z dumą otwierają szafę i pokazują uszyte własnoręcznie stroje.

Gubię się w tym podobnie jak w smakach. Też chcę szyć u krawca. Większość pakistańskich gotowych ubrań jest dla Europejek, także dla mnie, za szeroka w biodrach, a za ciasna w biuście.

Pracownie krawieckie są zawsze w pobliżu, tak jak sklepiki z mlekiem i przychodnie homeopatyczne. U krawca często jest ciemno i ciasno. Przerzucam poszarpane kartki kolorowych magazynów – która kreacja mi się podoba? Którą krawiec ma skopiować? Oglądam stroje na manekinach. Zerkam na wyszywających mężczyzn. Czas na decyzje. Rękaw trzy czwarte, długi czy krótki, prosty czy wycinany? Jaki dekolt, jaka długość, czy z tyłu zamek? Klientki wyglądają na zdecydowane i bardzo pewne siebie. Mówią dużo. Nie mam wciąż „mojego” krawca, tak jak one – bo nie mam bliskich koleżanek w okolicy. Można też zaprosić krawca do domu, żeby uniknąć konieczności wychodzenia.

Jak wyglądać, żeby nie tylko czuć się dobrze, lecz także nie przynosić wstydu? Odczytywać komunikaty innych (to najpierw) i wysyłać własne, czytelne dla otoczenia (to później, gdy nabierzemy wprawę)? Wszystkie kobiety ubierają się kolorowo i ozdobnie, ale nie tak samo. Tylko nieliczne, na przykład Beludżyjki, noszą hafty, których nie da się z niczym pomylić.

„W Karaczi nosi się dużo bieli, złamanej bieli, *écru* i beżu” – zauważa Salima Feerasta, blogerka w Dawn i Express Tribune (i absolwentka Oxfordu). Pisze głównie o modzie i stylu (w co się ubrać, do jakiej kawiarni iść, jak zrobić udane wesele, jakie meble i jakie prezenty dla dzieci są

aktualnie *trendy*). – „Może to kwestia naszego tropikalnego klimatu, a może naszej miłości do subtelnej elegancji. Gdy tu zamieszkaż, z pewnością także twoja szafa wypełni się tymi kolorami”.

Jednak w uboższych rejonach biel i beże to kolory męskich szalwar kamizów. Kobiety z biedniejszych grup społecznych uwielbiają błyszczyć. Podobają im się jaskrawe kolory, dupatty całe w cekinach, masa taniej połączanej biżuterii. Nie czytają anglojęzycznych blogerek. Biel to dla nich wciąż kolor starości i śmierci. Kobiety w mojej rodzinie, pochodzącej z indyjskiego stanu Bihar, lubią, gdy jest dużo różnych kontrastujących barw i misterny haft, rzadko wybierają świecące ubrania – ale za to odbijają sobie na biżuterii. Noszą bransoletki na kostkach nóg, oczy podkreślają kadzalem. Zgaduję: ta biedna, ta bogata, ta tradycyjna, ta nowoczesna, ta z elitarnego osiedla Defence, ta z uboższej Federal B. Życie nie pozwala mi popaść w nadmierne samozadowolenie. Co chwila się myślę. Wybieram to, co mi się podoba, a okazuje się, że kobiety w mojej rodzinie by tego nie włożyły.

– A co ty się tak ubrałaś jak Pendżabka? – pyta mnie na przykład kuzynka Sumaira. Nie wiem, o co jej chodzi, i potem długo patrzę na swój strój. Co w nim pendżabskiego? Niestety, człowiek nie staje się Biharczykiem tak szybko.

Nie należę do jednej społeczności. Tworzę własny patchwork. Moja szafa powoli wypełnia się ubraniami z różnych rzeczywistości. To, co dobrze wygląda w sąsiedztwie czy w rodzinie, nie pasuje do kościoła. Dobrze ubrana w kościele, na nowoczesnym bankiecie wyglądam beznadziejnie. Dobrze ubrana na bankiecie nie mogę się nawet pokazać pod domem – i tak dalej, i tak dalej.

Jestem szczęśliwa, że w ogóle udaje mi się coś wybrać z tych setek tysięcy tkanin, niewygodnych śliskich syntetycznych sandałów, iskrzących się szklanymi kamieniami, z ozdobnych wschodnich torebek. Że nie ogarnia mnie już panika przy sprzedawcach, którzy na widok *gori* przyklejają swój najusłużniejszy uśmiech, a jednocześnie wydaje mi się (nieco paranoicznie), że oceniają w myślach każdy mój wybór i wyśmiewają go w magazynie pięć minut później.

– Zobacz to sobie! – powiedział w biurze Mohammad do Wasima, rzucając na jego stół kolorowe czasopismo dla *burger class*.

Wasim obejrzał i przyniósł miesięcznik do domu. Rzucił go na łóżko.

– Zobacz to sobie! – powiedział.

Przeglądam. W końcu trafiam na relację z festiwalu literackiego w Karaczi i na swoje zdjęcie z komentarzem: „Jak pięknie wyglądają *gori* w naszych strojach!

To może o niczym nie świadczy. Ale sama sobie ten szalwar wybrałam. Może jest dla mnie nadzieja?

Wyglądać jak Królowa Śnieżka

Że muszę chodzić do kosmetyczki – to dla Wasima oczywistość.

– Wybierz sobie biuti parlur – mówi, podjeżdżając pod jakieś niepozorne zakurzone drzwi. – Może ten? Sprawdź.

A mnie w głowie oprócz ciekawości tylko wirusy zapalenia wątroby typu A, B i C, którymi mogę się zarazić w takim *beauty parlour*, salonie piękności.

Biuti parlury w naszej części miasta niemal zawsze zdobi wizerunek idealnej panny młodej. Jak z *Królowy Śnieżki*: włosy jak heban, twarz jak śnieg, usta jak krew – tyle że w orientalnym wydaniu. Za drzwiami zaczyna się babski świat. Można zrzucić dupatę i przejrzeć się w wielkich lustrach. Dżinsy i koszulka nikogo nie dziwią. Można plotkować bezkarnie o mężu i teściowej (jeśli przyszło się bez kobiet z rodziny). Zedrzeć z siebie część skromnej i usługowej kobiecej maski, obowiązkowej w patriarchalnej kulturze. I oczywiście bezlitośnie ocenić przeciwniczki, a także poznać swoje niedostatki.

Pytają tu jednak o to samo. O miłość, męża, teściową, szwagierki, dzielnicę, tęsknotę.

Równie niepozornie wyglądał salon, do którego zaprosiła mnie Crystal. Zaparkowałyśmy w zapyziałej uliczce w Clifton. „Dobre” dzielnice w Karaczi też są brzydkie. Dziurawy chodnik, pomazany płot, walające się śmiecie. Nie było żadnych reklam – portretów panien młodych jak z bajki ani nic podobnego. Za to wewnątrz lśniło i błyszczało. Kryształowe żyrandole, oświetlone schody, na ścianach obrazy. Cichutka muzyka, w pokojach półmrok, zapachy, uśmiechnięte dziewczyny z Dalekiego Wschodu. Crystal zaprowadziła mnie na piętro – na pedicure i masaż stóp. Oprócz nas były jeszcze dwie klientki. Dostałyśmy kawę z ekspresu. Ułożyłyśmy się na miękkich kanapach. Miałyśmy o niczym nie myśleć. Dewiza salonu brzmi: „spokój, odmłodzenie, odprężenie (*serenity*)”. Masażystki z uśmiechem

namaściły nasze stopy olejkami. Nie zadawały żadnych pytań, oprócz: „Czy jest pani wygodnie?”, a uśmiech nie schodził z ich twarzy. Pół godziny w innym świecie. „*Mind-blowing. Amazing. Energetic. Joyful* (Niesamowite. Zdumiewające. Energetyczne. Radosne)” – mówią o tych doświadczeniach klientki. Zakładamy sandały na nasze wypieszczone stopy. Wychodzimy: dziurawy chodnik, pomazany płot, zakurzone ściany, żebracy bez rąk albo nóg, dzieci o świdrujących oczach.

Do *parlour* chodzi się przed uroczystościami, zrobić makijaż na przyjęcia, na zaręczyny i na *nikah* – upiąć dupattę, nałożyć biżuterię i kwiaty. Na *mehndi* lub *majo* – by wyglądać „świeżo jak jutrzienka”. Wymalować się przed sesją zdjęciową, zrobić portfolio dla mediów. Ułożyć włosy, przedłużyć je, rozjaśnić, pomalować, odżywić na wiele sposobów, wyprostować keratyną. Wymasować ciało, nałożyć hennę na dłonie i stopy. Wydepilować woskiem lub nitką. Ukoić oczy. Przekłuć uszy i nos. Wybielić skórę – bo piękna kobieta jest biała i nie zmienia tego najbardziej skandalizujące opowiadania Hasana Manto takie jak *Zapach (Bu)*. Manto mógł sobie pisać, co chciał, ale wybielająca maska Janssena, depigmentacja, wybielający peeling, serum, ziołowe rozjaśniacze i kremy do większości części ciała i tak są potrzebne.

– Ależ mam ciemną twarz w tym ubraniu! A może ściemniała mi z zimna?
– Faiza krzywi się, patrząc w lustro. – Jak chorujemy, to ciemniejemy, wiesz?

– Patrz, jak wyglądasz! Ciemny i blady! Zjedz jeszcze jedno roti! – wyśmiewa się z tej obsesji anglo-pakistański komik, przebrany za mamę, która karmi dorosłego syna.

Można też nakładać *ubtan*. Da się go zrobić w każdym domu, także w polskim. Najprostszy to mąka *besan*, kurkuma, mleko i cytryna. Szczególnie polecany pannom młodym, są też mieszanki dla noworodków. „Ajurwedyjska mieszanka upiększająca” – głoszą ulotki. Przeciwgrzybicza, przeciwbakteryjna, redukuje potliwość, ma właściwości dezodorujące i zmniejsza możliwości zakażenia skóry. Oczywiście także wybiela.

UBTAN NA TWARZ:

łyżka pasty z migdałów, łyżka pasty z orzechów nerkowca, półtorej łyżeczki pasty z pistacji (*pista*), po łyżce: *malai* – kozucha z mleka, *tilula* – oleju z kielków pszenicy i wody różanej; ćwierć szklanki pasty z czerwonej soczewicy – *masur* (namoczonej i zmiksowanej); mąka ciecierzycowa (*besan*) do zagęszczenia

UBTAN DO CIAŁA:

cztery łyżki mąki *besan*, dwie łyżki oleju gorczycznego lub migdałowego, łyżeczka kurkumy, łyżeczka sproszkowanych nasion kozieradki (*dana methi*), łyżeczka oleju z kielków pszenicy, ćwierć łyżeczki wody różanej
Maseczki nałożyć, zostawić na kilkanaście minut (lepiej, żeby nie wyschło całkiem), zmyć.

...włosy jak heban

Pakistanki mają piękne włosy, gęste, sztywne i błyszczące. Naolejowane – w naszym domu używa się oleju kokosowego i z gorzycy, wyciera po myciu nie ręcznikiem, ale bawełnianymi dupattami. Czeszą je długo i z namaszczeniem. Upinają w ciężkie koki albo zaplatają w warkocze, czasem grube jak pięści. Modne są też rozpuszczone cieniowane włosy i ich rozjaśnianie. Bogatsze panie włosy prostują.

Warszawa 2008, festiwal filmów etnograficznych. Oglądam film z historiami z Indii: opowieść fotografa ślubnego. Mężczyzna, nakładając smolistą farbę na włosy, wąsy i tors, opowiada, jak przygotowuje się do pracy. Musi przede wszystkim dobrze wyglądać. Pociągająco. Z siwymi włosami to niemożliwe. Łysina też by go zdegradowała. We włosach wyraźnie tkwi moc i siła witalna. Pełno jest reklam cudownych środków na porost włosów. Klinika przeszczepiająca włosy to świetny biznes.

Karaczi 2012, wieczór. Włosy farbują teściowa, szwagierki i Wasim, bo też już siwieje. Z farbą na włosach wygląda jak wypomadowany czarny charakter z przedwojennych filmów. Bardzo mi się wtedy podoba, choć nie mogę powstrzymać się od śmiechu. To cokolikumiesięczny domowy rytuał. Zaczęłam w końcu farbować i ja, tylko że na blond, sprowadzany z Polski. Farby do włosów, dzięki Photoshopowi, reklamuje tu niejedna gwiazda, pewnie nawet o tym nie wiedząc – na przykład George Clooney.

Buśra pracuje w banku i dwa razy w tygodniu pojawia się na siłowni. Pod burkami, w których przychodzą panie w czasie specjalnych „godzin dla kobiet”, ukrywają się normalne ubrania, dresy i koszulka, tylko czasem szalwar kamiz. Tańczymy, wyciskamy, stepujemy, żeby stracić na wadze albo popracować nad kłopotliwymi partiami ciała. Są zawiedzione, że nie umiem im odtaćzyć polskich tańców ludowych. Spotykam tu chrześcijankę Sanę, która ma narzeczonego w Lahore i cieszy się ostatnimi latami wolności.

Ideologiczna walka na billboardy i tygodnie mody

„Pani na billboardzie ma odsłonięte włosy!” – zdziwił się Polak, który zobaczył na moim blogu zdjęcie reklamy oleju. Ulica to jedno, media – drugie. Z wyjątkiem ramadanu odsłoniętych włosów jest w nich bardzo dużo. Wymalowane prezenterki występują z symbolicznym szalem albo całkiem bez niego. Co się dzieje w indyjskich mediach rozrywkowych (chętnie tu oglądanych), szkoda gadać.

– Muzułmańska republika? Jeśli chcesz poznać islam, to wybrałaś najgorsze miejsce – mówi mi brodaty Śoaib.

„Billboard pokazuje Katrinę Kaif (indyjską aktorkę) w wulgarnej reklamie kremu do depilacji. Rozmieszczone w całym kraju billboardy pokazują nogi Katriny. Przykuwa to uwagę, odwraca myśli kierowców, może spowodować wypadki! Reklama propaguje ideę wulgarności i nagości. Jest bardzo nieodpowiednia dla każdej grupy pakistańskiej populacji” – pisał pewien zgorszony czytelnik do gazety „Pakistan Observer”.

Gołe nogi! Kobiectwo! Publicznie! Męskie nagie łydki to sunna[33], ale kobiece nogi? Powinny być przykryte do kostki! Skandal na cały kraj, choć żadna tajemnica, że Pakistan jest w światowej czołówce wejść na strony pornograficzne każdego rodzaju. Można tu robić, co się chce, byle w ukryciu. Billboardy z wydepilowanymi kremem Veet nogami Katriny Kaif były przykrywane czarną tkaniną z napisem *kapre bećo, gheirat nahi* (sprzedawajcie ubrania, a nie honor), a nawet palone. Podobny los spotkał reklamę mydła Lux z udziałem pakistańskiej aktorki Meery.

Co roku mijamy po drodze plakaty pokryte czarnym sprayem, wydrapane twarze modelek, nawet tych w luźnych szalwar kamizach z długimi rękawami. Rzadziej – czarny materiał z hasłem o honorze. Nikt się nie przyznaje do tych akcji, ale dyrektorzy rozmaitych medres i liderzy konserwatywnych partii politycznych nie ukrywają swojego poparcia.

– To nie nasi. Jesteśmy przeciwni metodom sprzecznym z prawem. Ale pokazywanie nagich nóg powinno być zakazane. Ten ktoś kieruje się dobrą wolą – tłumaczą w wywiadach. – Zrozumcie, że Zachód chce osłabić Pakistan!

Wiosną w Karaczi odbywa się „Tydzień mody” – tej, której nie widać ani na ulicy, ani w znakomitej większości domów. Tylko nieliczni, zamknięci

w swoich odgrodzonych od ulic „bańkach”, zdobywają się na pokazywanie we własnym gronie nóg, brzuchów i ramion i wcielanie w życie pomysłów podpatrzonych na wybiegach. Wydaje się, że tygodnie mody (podobny jest organizowany w Lahore) to oderwana od rzeczywistości rozrywka dla bogaczy.

– Bluzki bez ramion to najgorzej sprzedający się model w Pakistanie – przyznaje w wywiadzie Hasan Sheheryar Yasin, twórca ekskluzywnej marki odzieży HSY. – Nie może się sprzedać, dopóki się go nie przerobi na tunikę z rękawami i plecami. Aż nie rozumiem, po co to pokazywać na tygodniach mody.

A jednak.

Widok nagich kobiecych ud na żywo wywiera tu piorunujące wrażenie – widziałam je może dwukrotnie, w chronionych okolicznościach. Moje sąsiadki za nic nie przyznałyby się, że śledzą Tydzień Mody na Facebooku. To rzucałoby cień na ich skromność i pobożność – no, chyba że oglądając, wołałyby oburzone: „*Lanat!*” (biada!).

Jeśli spytać innego projektanta, Kamiara Rokni, o talibów, ten się krzywi.

– Gdy ktoś łączy naszą pracę z talibanizacją i pyta, czy zajmujemy się modą, żeby zwalczać ekstremizm, czujemy się pomniejszeni. Nie po to to robimy. Tylko dla mody! Prześladowuje nas widmo bomb i burek – dodaje znudzony. – Jasne, że się ochrania. Ale poza tym trzeba mieć wiarę i robić swoje.

– Chcemy pokazać światu naszą bogatą kulturę – mówią inni projektanci. – Z nikim nie walczymy. – Rzeczywiście, czerpią inspirację ze wspaniałych ludowych rękodzieł, zapraszają do współpracy hafciarki z wiosek. Mohsin Ali promuje na wszelkie sposoby kulturę własnej społeczności – Hazarów, prześladowanych w Beludżystanie.

Przemysł modowy w Pakistanie rozwinął się na dobre w latach dziewięćdziesiątych – epoce generała Zii ul-Haqa, który próbował wprowadzić w kraju szariat, zamknął dansingi i kawiarnie i nakazał w 1979 roku przestrzeganie ordynacji Zina Hudood (kary za cudzołóstwo – biczowanie i kamienowanie).

– Przeżyliśmy Zię – mówi jeden z projektantów, Sajid, a ja myślę, że Pakistan w wielu sprawach przypomina mi Polskę – przecież to jasne, że przetrwamy i tych ludzi.

Mimo woli każdy, kto „robi swoje”, tańczy, projektuje, maluje, pisze bez

cenzury, kręci filmy, pracuje społecznie – walczy z ekstremizmem i strachem, który on w ludziach zasiewa. Nawet jeśli tego nie chce, taki jest kontekst jego działań. Grupy religijne oskarżają projektantów i modeli o promocję „kultury zachodniej”, która z ich perspektywy jest największym złem. Sprzeciwiają się używaniu kobiet jako modelek, co, o ironio, mogłoby ich połączyć z zachodnimi feministkami. Projektantów nie omijają groźby. Niechętni modzie i nowoczesnym trendom są też ci, którzy uważają, że ich wiara potrzebuje odnowy, i czerpią inspirację z przykładu Arabii Saudyjskiej oraz konserwatywnych szkół islamu. Szerząca się nowoczesność w ubiorze to brak dupatty, legginsy zamiast szerokich spodni, wysokie koki pod hidżabem, regulowane brwi, a także jazda na motorze tak jak mężczyzna – nie bokiem, lecz okrakiem.

– Powinniśmy promować muzułmański ubiór!– zgadzali się uczestnicy kursu angielskiego w jednej z prywatnych uczelni ze słowami studentki w abai i hidżabie. Na ogół młodzi i zatrudnieni w dobrych firmach. Z obecnych kobiet tylko ja nie przykrywałam głowy. – To podstawa naszej tożsamości.

Czy chodziło im o szalwar kamiz? Abaję i hidżab? Kurtę i dzinsy? One też mogą przecież spełniać wymogi muzułmańskiego stroju. Nie dowiedziałam się, co mieli na myśli.

Niewygodnie jak w pakistańskim pantofelku

Idę po parku. Wyprzedza mnie kobieta w burce, kolorowych spodniach i białych adidasach.

Obok idzie elegancka pani z ładną torebką. Na nogach ma czarne babcine półbuty i cieliste skarpety, choć jest upał.

Pożądany styl nieco przypomina letnie kolekcje CCC, lecz jest bardziej finezyjny. Nosi się buty na obcasie, a jeśli płaskie – to przynajmniej zdobne w szklane kamienie i błyskotki. Koszmarnie śliskie. Najwygodniejsze są najtańsze klapki, ale szykowna kobieta takich rzeczy nie nosi. Niektóre panie noszą też tradycyjne skórzane (i piękne) pendżabskie buty *khusa*. Po przyjeździe do Pendżabu doszłam do wniosku, że to część pendżabskiego stylu, w moim domu i wśród znajomych niezbyt lubianego. Nikt na początku nie proponował mi skórek i pomponów, lecz raczej klapki, sandałki i pantofelki z połączanego tworzywa sztucznego.

Między zgrzebnym pantoflem a śliskim klapkiem z tworzywa lub wysadzaną kamieniami szpilką rozciąga się wielka, niezagospodarowana przestrzeń. Najbiedniejszym kobietom, które najwięcej wychodzą z domu, muszą wystarczyć najtańsze sandały (często widuję tu zresztą ludzi obojga płci pracujących boso).

Eleganckie zamożne panie poruszają się samochodami, a jeśli potrzebują wygody, kupują buty za granicą. Pozostałe – wybierają z tego, co jest dostępne. Na szczęście teraz jest lepiej niż kilka lat temu. Już nie muszę błagać rodziny z Polski, żeby przysłała mi buty. Może to znak, że kobiety stają się bardziej mobilne i rynek na to zareagował? Pojawiły się bowiem w sklepach sandaalki, które się nie ślizgają, i „klapki dla ciotek”, czyli miejscowa wersja butów „anatomicznych”, nieco bardziej ozdobna niż wygodne sandały Scholla, które nie mają tu szans ze względu na zbyt zgrzebną estetykę w stosunku do wysokiej ceny.

Wasim w sferze obuwniczej jest typowym Pakistańczykiem. Najchętniej wkłada japonki i sandały, nigdy buty *khusa*. Czasem w czterdziestopięciostopniowy ukrop *dress code* wymaga, żeby włożył lśniące półbuty. Zimą na co dzień wystarczą adidas. Po powrocie do domu zdejmuję buty, zdejmuję skarpetki, wkłada je do butów i tak zostawia. W tym momencie przestaje o nich myśleć. Zawsze znajdzie się jakaś kobieta, która je po nim pozbiera, zanieśie do prania i zadba o dostawę czystych.

Z tą praktyką spotkała się chyba każda żona Pakistańczyka. Dlatego o niej wspomina.

„Muszę zbierać po nim skarpetki!” – skarżą się polskie żony w internetowych dyskusjach.

„Wasz mąż też zostawia skarpetki w butach? Przyuczyłam go! – zwierza się jakaś z dumą. – Już sam wyjmuję skarpetki z butów i wrzuca je do kosza na brudne ciuchy!”

„A mój sam pierze! – chwali się inna. – Dlaczego oni to robią?”

Zapytani, sami nie wiedzą. Robią tak, bo tak się robi. W ogóle nie myślą o tym geście. Można więc tylko podejrzewać, że może uczą się tego w meczetach. Tam trzeba zostawić buty i skarpetki, żeby móc umyć stopy przed modlitwą.

Zdrowie

Czyste i brudne

Pojęcie czystości to jedna z wielu moich kategorii, które się w Pakistanie rozciągnęły, skurczyły i uległy przedziwnym przekształceniom. Żyjąc poza domem, nie trzeba czytać Mary Douglas, żeby dojść w końcu do wniosku, że „czyste” i „brudne” to kwestie przede wszystkim kulturowe. Lektura jednak sprawi, że będziemy z radością kiwać głową i czuć w Mary siostrzaną duszę, która tak wnikliwie wyraziła to, czego doświadczyliśmy. Dla mnie oni są (często) brudni. Dla nich ja jestem (często) brudna. Są chwile, gdy przekraczamy swoje najintymniejsze tabu, czujemy wstręt, patrząc na siebie z bliska. Każdy ma swoje granice czystości.

Nie myją rąk. Nie noszą majtek (czasem nawet pod dzinsy)! Wycierają pupy ręcznikiem; żeby chociaż każdy miał swój! O bakteriach wiedzą w najlepszym razie mało, więc się nimi nie przejmują. Boję się podawać rękę niektórym ludziom. Dzieci Faizy kichają mi do ucha. Teść wyciera nos w chusteczki z materiału, a kobiety – w dupatę albo w połę sari, nawet gdy gotują. Gdy ktoś jest chory, to się go nie izoluje. Mimo grypy, gorączki i kaszlu liczni krewni przyszli na parę dni zobaczyć kilkudniowego Michała: jak by to wyglądało i co by pomyślał o nich Wasim, gdyby nie przyszli? Z pewnością by nas uraziła ich nieuprzejmość. Próby sprzeciwienia się takim zwyczajom to obraza, zwłaszcza gdy chodzi o starszyznę. A nie ma nic ważniejszego w życiu od honoru. Jak odizolować naczynia teścia, gdy kaszle i ma wysoką gorączkę? Izolacja to wykluczenie, a wykluczenie obraża – nie rozumieją, że chodzi o to, by nie rozprzestrzeniać choroby. Gdy mamy wszy, jak wytłumaczyć, że wszyscy (także teściowie) powinniśmy nałożyć na głowy mazysty silikon? Jak zwrócić uwagę, żeby nie głaskali niemowlęcia

rękami, którymi przed chwilą bawili się z gołębiem? Że ręka dziecka, które wynosiło kosz ze śmieciami, nie jest tak czysta jak przedtem? Bo gdy zwrócę dzieciom uwagę, żeby umyły ręce, dorośli się obruszają: przecież nie wkładały ręki do śmieci. Czy myślisz, że jesteśmy brudasami?

Brudne, zatłuszczone ścierki kuchenne, a używa się ich nie tylko do rąk i naczyń, lecz także przy smażeniu roti, do przyciskania brzegów placka do tawy, aby równomiernie się przypiekły. Brudne zmywaki. Gotowanie w bransoletkach, bo się ich nie zdejmuje.

I kurz. Codziennie taka warstwa, jaka w Warszawie zgromadziłaby się po tygodniu niesprzątania.

Może jestem przewrażliwiona? Przecież wszyscy żyją, przeżyjemy i my. Przechorowują swoje, ale wychodzą obronną ręką. Myję ręce, dbam, żeby dzieci je myły, żeby nie pchały łap do buzi. Biegunki zdarzają się bardzo często.

Tyle razy myślałam, że gdyby nie obowiązek religijny, ludzie by się w ogóle nie myli. Na szczęście kąpią się codziennie, a nogi myją nieporównanie częściej niż Polacy. Nie zmieniają ubrań przez kilka dni – w domu na szczęście nie jest tak źle, ale na targu czy na wykładzie człowiek o wrażliwym węchu bywa wystawiany na ciężkie próby.

Gdy mieszkają u nas siostrzeńcy, zasypiają często tam, gdzie skończyli zabawę. Nie ma mowy o żadnych wieczornych rytuałach, przebieraniu, kąpieli, myciu zębów. Kąpią się następnego dnia w porze przed modlitwą *zohar* (albo po przyjściu ze szkoły, co wypada podobnie). Rano pokój wygląda jak pobojowisko z martwymi żołnierzami. Chyba najtrudniejszy do zniesienia był zwyczaj spania w tym, w czym się chodziło w ciągu dnia: szczyt obrzydliwego, paskudnego, przepoconego brudu. Wydawało mi się, że nigdy nie będę spać w ubraniu dziennym; złamałam się dopiero po urodzeniu Michała.

Ale ja też jestem brudasem.

Wieprzowina jest dla mnie czysta. Choć nie jem jej tu ani teraz, z pewnością jem ją lub jadłam w swoim kraju. Moje ciało jest na wieki skalane kontaktem ze świnia. Moja rodzina w Polsce ją je. Może mi ją wysłać, jeśli nie w postaci schabu, to ukrytą w każdym produkcie – w budyniu, cukierku, czekoladzie (krążą plotki, że E476 i inne stosowane na Zachodzie dodatki do żywności mogą pochodzić z wieprzowiny), oczywiście

w galaretkę lub żelku, w puszcze z niewinnie wyglądającym kurczakiem. Może jem wieprzowinę po kryjomu? Kto to sprawdzi?

Nie można jej trzymać w lodówce, nie wolno używać naczyń, w których była przygotowywana, sztućców, którymi była jedzona. Tak uważają. Żadne umycie ani wyparzenie wrzątkiem nie zlikwiduje tej nieczystości. Naczynia zostałyby po prostu wyrzucone (a ja wraz z nimi, obawiam się). Moja rodzina obdarzyła mnie nieprawdopodobnym zaufaniem. Jednak niewypowiedziane widmo zagrażającej świni czasem się nade mną unosi. Wprost wyraziły to małe dzieci szwagierki: „Ona je świnie”. Choć musiałabym w Karaczi chyba stanąć na głowie, żeby zobaczyć żywą świnie, to i tak ją jem! Świnia jest tak nieczysta, że każdy kontakt z nią może człowieka skalać. Niektórzy w żarliwości nie pokazują dzieciom nawet rysunków świnek. Niestety, świnka i tak istnieje i wdziera się wraz z wpływami Zachodu, z koreańskimi czy chińskimi książeczkami do angielskiego, których pełno w sklepach z tanią książką. Niektórzy rodzice zaklejają świnie w ilustrowanych książkach. Widząc taki obrazek, milkną lub udają, że tam nic nie ma. Protestują przeciw uczeniu małych Pakistańczyków bajki o trzech świnkach. Niektóre dzieci nie oglądają przygód Peppy i jej małego brata Jacka – wcale nie dlatego, że Peppa jest dość złośliwa. Zakaz religijny dotyczy wyłącznie jedzenia, ale świnki się nie rysuje i nie wymienia wśród zwierząt. Mąż jednej ze znajomych Polek – mieszkając na Zachodzie – kazał jej myć zęby przed pocałunkiem – kto wie, czy nie jadła tego mięsa w pracy!

17 września 2012 roku Pakistan zablokował YouTube – jako protest przeciw antyislamskiemu filmowi, którego portal nie chciał usunąć. Trzy dni potem rząd ogłosił dzień miłości do Proroka, żeby ludzie mogli dać upust swoim uczuciom. W masowych demonstracjach przeciw antymuzułmańskiemu filmowi zginęło dwadzieścia osób, z czego w Karaczi dziesięć. Protestujący strzelali u nas do policji, zabili dwóch policjantów, spalili sześć kin, dwa banki, KFC i pięć samochodów policyjnych. Miasto szalało, płonęły opony, siedzieliśmy w domu, bo przy naszej ulicy też okazywano miłość do Proroka. Podczas tego całego zamieszania, które oglądaliśmy w telewizji, Śahbaz – religijny młody człowiek – wszedł do kuchni i zapytał któreś z dzieci:

- Czy to zrobiła mami?
- Tak – odpowiedziało dziecko.
- Nie będę jadł – powiedział Śahbaz.

Pewnie robię roti jak podeszwa, pomyślałam. Zawsze się martwię o moje roti – że domownicy jedzą je, bo muszą, w duchu przeklinając swój los. Ale dlaczego nie powiedział mi wcześniej? Wcześniej jadł. Czy wcześniej robiłam lepsze? Chyba nie. A może jest na diecie? Ogranicza węglowodany? Dbą o mięśnie, trzyma hantle pod sofą, chodzi na siłkę.

Następnego dnia to samo. Rano roti nie. Wieczorem: mami, czy to ty robiłaś salan?

I nie je.

Trzeciego dnia to samo. Kupił sobie roti.

Znikał. On łatwo znika, bo dom to nie jest miejsce dla mężczyzny. Wraca w nocy, śpi w dzień. O chwilę rozmowy wcale nie łatwo.

Zwierzyłam się więc Wasimowi. Powiedział: to niemożliwe. My nie robimy takich rzeczy. Czy kiedyś nie jedliśmy tego, co ugotowałaś?

Jeśli ktoś zechce poszukać w internecie, znajdzie jedynie odpowiedzi, że jedzenie ahl-e-kitab – ludzi Księgi – jest dla muzułmanów dozwolone. I tak na ogół jest. Jednak praktyka, zanotowana przez badaczy, a także przykład Asi Bibi, która pijąc z muzułmańskiej studni, skalala wodę, świadczą o tym, że mogą spotkać tu ludzi, dla których jedzenie z moich rąk będzie nieczyste. Tak jak nieczyste bywa mleko, które doi chrześcijanin, naczynia, które umyje chrześcijanka, a nawet ubrania, które chrześcijanka wypierze – nie można się w nich modlić. Kim są osoby, które mają aż tak radykalne poglądy, i jak je uzasadniają, nie wiem. Gotowanie jest szczególnie niebezpieczną czynnością: człowiek ma kontakt z tym, co mokre, i może łatwo zanieczyścić pokarm (śliną, włosami)[34]. Dopiero po kilku tygodniach zaczął jeść.

Byłam też brudna, gdy chciałam wylizać coś czy wyskrobać z naczynia, tak jak się robi w domu. Oni tego nigdy nie robią. Gdy zapomniałam, że lewą ręką się nie je. Gdy jadłam ryż i mięso z sosem, brudząc się żałośnie. Gdy nie umiałam dobrze umyć ryżu i trzeba było po mnie poprawiać. Przy myciu mięsa – nie wiedziałam, jak dokładnie trzeba pozbywać się krwi. Poza tym nie depiluję rąk, wydaje mi się, że włoski na ramionach są bardzo delikatne. Elegancka Pakistanka je depiluje, niezależnie od ich gęstości. Depiluje też wszystkie wąsy i wąsiki. Maluję paznokcie. Muzułmanka zaś, jeśli już w ogóle to robi, to tylko na kilka godzin. Pomalowane paznokcie uniemożliwiają jej dopełnienie obowiązku codziennych modlitw: w czasie modlitwy woda nie może dotrzeć pod paznokcie, więc pozostaje on brudny

i obmycie nie jest całkowite. Dlatego muzułmanki wybierają hennę, której nie lubię. Chrześcijanki te nakazy nie dotyczą, ale brud pozostaje brudem.

Zaczęłam bardzo uważać na to, jak przygotowuję jedzenie. W Polsce nauczyłam się gotować niechlujnie. Warzywa kroję byle jak – prawidłowo pokrojone ziemniaki wyglądają symetrycznie: na pół, na pół, na pół i na trzy. Cebula krojona na desce, a nie w ręce (jak tutaj), ma inny kształt piórek. Nie umiałam posługiwać się okręgiem – ludzie w mojej rodzinie wszystko robią po okręgu. Wlewają olej. Mieszają. Sypią mąkę i sól. Wałkują roti. Robią wszystko tak estetycznie, rytmicznie, okrężnie, pewnie, delikatnie, precyzyjnie i płynnie, w swoich dupattach i innych powiewających połach – aż czuję, że całe życie gotowałam jak prostak i nie szanowałam darów Bożych. Choć oczywiście to nieprawda, po prostu sposobów wyrażania tego szacunku nie da się porównać. W Karaczi nikt nie całuje kawałka chleba, gdy spadnie, a niektóre dary Boże są marnowane (marchewka na gadżar ka halwa) ze świadomością, że biedacy i tak je spożyją.

Z jodyną przez świat

Warszawa. Prywatny gabinet lekarza medycyny tropikalnej. Lekarz – młody, przystojny i elokwentny – udziela mi porad i wypisuje recepty na komputerze.

– Proszę nie płukać ust wodą z kranu. Bardzo uważać na wodę. Ameba, tyfus, czerwotka, pani rozumie. Nie jeść jogurtów, warzyw, owoców. W razie czego pić odgazowaną kolę i jeść paluszki. Zapiszę pani tinidazol. Czy wie pani, nawiasem mówiąc, na co najczęściej chorują polscy żołnierze w Afganistanie?

– No nie zgadnę, panie doktorze.

– Aha! – mówi triumfalnie. – Na grzybicę odbytu!

Oho. Cóż za kuszące perspektywy!

Przepisuje mi lekarstwo na malarię, dwieście złotych za pudełeczko. Pudełeczek mam kupić sześć. Tabletki mają poważne działania niepożądane, ale od słowa „malaria” wionie nie mniejszą zgrozą. Podobnie jak od wyrazów „tyfus”, „gruźlica” i „czerwotka”. Czuję się, jakbym miała podróżować nie tylko w przestrzeni, lecz także w czasie. Na przykład cofnąć się o dwieście lat, do epoki, gdy Konopnicka pisała *W piwnicznej izbie* i *Jaś nie doczekał*.

– Cóż. Mam nadzieję, że pani wróci żywa! – błyska na pożegnanie dowcipem pan doktor i uśmiecha się szeroko. Ha, ha, ha. Wychodzę.

Zaszczepiłam się na groźne choroby, zapakowałam jodynę, której kroplę według zaleceń miałam dodawać do wody, nawet mineralnej (paskudny smak, ale nawet ofoliowana woda może być podróbką – ostrzegał pan doktor), wykupiłam recepty na bardzo silne antybiotyki i elektrolity. Co ma być, to będzie.

W Karaczi najpierw jadłam każdy kęs, jakby miał być moim ostatnim. Wpadałam w panikę na widok komara. Odkryłam, że wypisywane w Polsce na receptę minerały są tu bardzo tanie i pije się je rutynowo w czasie upałów. Jodynę porzuciłam po trzech dniach. Wasim prowadził mnie do ulicznych knajp. Powietrze było pełne much.

– Tu jest bezpiecznie – powtarzał niestrudzenie, z anielską cierpliwością. – Jedz spokojnie. Niejeden *gora* tu ze mną jadł! Nie panikuj.

Zamawiał mi wspaniałe potrawy. Kupował lody w kubku, sałatki na plastikowych talerzach, z metalową łyżką. Potem z dumą opowiadał znajomym, co jem.

– To tylko Anglicy ciągle u nas chorują. Bo jedzą w pięciogwiazdkowych hotelach. Polacy są silniejsi!

Z dnia na dzień przybywało mi pewności siebie.

– Jesteś taka sama *masi* jak my! – cieszyli się wszyscy, gdy jedliśmy beztrósko *halim* i *nihari*. – Żadna delikatna *gori*! Zobaczysz, jak ci teraz brzuch urośnie od *roti* i *parathy*! – zaśmiewały się kobiety.

– Przez dziewięć miesięcy brałam antybiotyki! To jedzenie jest straszne! – żali się Crystal, Brytyjka, która też wyszła za Pakistańczyka, a z delikatną *gori* ma zdecydowanie więcej wspólnego.

W jej lodówce są same mrożonki – groszek, marchewka, kalafior z supermarketu. Sery, parówki, firmowe jogurty, zupy w proszku, mleko UHT. Na półkach obok dalu i ryżu płatki kukurydziane, marmite i nutella. Mimo usilnych i kosztownych prób odtworzenia normalności zmagania z Karaczi są dla Crystal równie bolesne jak dla mnie.

– Boję się kupować warzywa na bazarze! – skarży się. Kiwam głową ze współczuciem. W mojej części miasta nie da się nawet kupić parówki ani mrożonych warzyw. Crystal na moim miejscu umarłaby z głodu!

Niebezpieczne są publiczne szklanki, w których podają pyszną nimbu pani

(lemoniadę), napoje z lodem z bloków, czasem sok z trzciny cukrowej, ale z nieświeżej kuchni i zatruc słyną przede wszystkim pięciogwiazdkowe hotele i „dobre restauracje”.

– Mamy doskonałe restauracje. Ale lepiej, żeby ktoś zaufany ci je polecał. Często im porządniej i zachodniej wygląda miejsce, tym bardziej możesz wątpić, że jedzenie jest bezpieczne. – mówi Śakur, kolega Wasima. – Jedzenie w budkach jest świeże i sprawdzone. To hotelowe grzeje się od nie wiadomo jak dawna.

Musa

Mieszkamy razem i chorujemy razem, głównie dotyczy to grypy i innych chorób zakaźnych. W uporaniu się z lżejszymi kłopotami pomaga nam Musa – przyjaciel rodziny. Niski, drobny, brodaty, trochę nerwowy. Ubiera się tradycyjnie, w szalwar kamiz i *topi*. Jest pobożny, co czwartek chodzi na sufickie misteria muzyczne *kawwali*. Wychował się z Wasimem na tym samym osiedlu. Jego rodzina też przyjechała z Bihar. Mieszkają w wielkim domu, w *joint family*. Mama Musy nosi sari, złotą biżuterię i zachowuje się dystyngowanie, zupełnie jak moja teściowa. Gdy weszłam do rodziny, podarowała mi złote kolczyki. Wasim jest dla nich jak prawdziwy brat. Nieraz był doradcą i rozjemcą w kłopotach małżeńskich i rodzinnych Musy.

– Jak się czujesz? – zapytał Musa, gdy przyjechałam do Karaczi pierwszy raz.

– Biorę leki na malarię, bo się jej boję i lekarz mi przepisał...

– Leki na malarię? Wiesz, jak one szkodzą? Jak obciążają wątrobę i inne narządy?

– Wiem! Ale malaria!

– Jak zachorujesz na malarię, to będziemy ją leczyć! – powiedział. – Czy jesteś wierząca?

– Tak.

– Więc gdy się modlisz, gdy idziesz do swojego kościoła, to zawsze proś Boga, żeby komar, który cię ugryzie, nie przynosił malarii!

Tak też zrobiłam.

Musa nie jest homeopatą ani hakimem (w Pakistanie to słowo oznacza

muzułmańskiego specjalistę w zakresie tradycyjnej medycyny *junani*). Jak wielu pakistańskich lekarzy allopatów z wdziękiem łączy w swojej praktyce podejście zachodnie i wschodnie. Z zapałem podaje pacjentom antybiotyki, leki przeciwalergiczne i benzodiazepiny na sen. Nie przeszkadza mu wydawanie diagnozy i przepisywanie leków przez telefon. Szanuje medycynę *junani*, praktykowaną w Azji Południowej i na Bliskim Wschodzie, która czerpie inspiracje z medycyny greckiej i arabskiej. *Junani* to w gruncie rzeczy nauki Hipokratesa i Galena opracowane przez średniowiecznych lekarzy arabskich i perskich (najsłynniejsi to Awicenna i Rhazes), z „domieszką” medycyny ajurwedyjskiej. Podstawą jest podział na cztery „humory” – płyny ciała, które znajdują się w człowieku w różnych proporcjach (krew, flegmę, czarną żółć i żółtą żółć) – oraz odpowiadające im temperamenty, zależne od tego, który „humor” przeważa (sangwinik, flegmatyk, melancholik, choleryk). Każda choroba wynika z braku równowagi między humorami. Również jedzenie podzielono na zimne, gorące, mokre i suche. Może wzmacniać wydzielanie któregoś z humorów, a dobiera się je w zależności od choroby i temperamentu pacjenta. Zimą – gdy temperatura w Karaczi spada do plus piętnastu stopni – Musa odradza jedzenie jogurtów, o czym dowiedziałam się przypadkiem, gdy dopadły mnie kaszel i gorączka (w Karaczi zwykle nie wiem, czy choroba, której doświadczam, ma jakąś specjalistyczną nazwę).

– Jak to? Przecież antybiotyki wybiją mi florę bakteryjną! – martwię się, bo właśnie skończyłam jedną serię, a on już przepisuje mi następną. – Potrzebuję czegoś na osłonę! Nic mam nie brać? Nawet jogurtu?

– Jogurty wychładzają! – tłumaczy mi Musa, już zniecierpliwiony. – Biegunka to naturalna reakcja organizmu na antybiotyk, potem wszystko wróci do normy. Jesteś przeziębiona, a jogurty wychładzają.

Patrzymy na siebie nawzajem jak na idiotów.

Musa ma w zasadzie rację. Mój pomysł z jogurtem jest oparty na micie przywiezionym z Polski. Jogurt rzeczywiście by mi nie pomógł – na osłonę powinnam zażyć probiotyki, których tu sporo (najpowszechniejsze – *Saccharomyces boulardii*, sprzedawane są pod nazwą *enflor* i *biflor*). Musa nic takiego mi nie polecił. Dowiedziałam się tylko, że mam nie jeść jogurtu, gdy kaszlę.

Może coś w tym jest. A może się zasugerowałam. W zimnej Polsce przestałam jeść twaróg. Wydaje mi się, że wprowadzam do swojego ciała

bryłę lodu, i jest mi jeszcze zimniej niż zwykle.

W zimnych lub gorących uściskach tasiru

Co łączy mango, wołowinę, czerwone chili, czerwoną soczewicę *masur*, przyprawy adżwain i czarnuszkę, kawę, rybę, czekoladę, gotowane jajko? Są gorące. Podnoszą temperaturę ciała. Mają gorący tasir, jak się tu mówi. Powiększają się od nich węzły chłonne. Gdy masz gorączkę, ludzie potrafią powiedzieć: to nic. Może zjadłeś coś gorącego.

Co łączy niedojrzałe mango, lody, kozinę, szpinak, jabłka i grejpfruty? Wychładzają – są „zimne”. Mają zimny tasir.

– *Je garam he, je mat khao, je na khao! Je thanda he, je khao!* To gorące, nie jedz tego! To jest zimne, zjedz to – spada na nieświadomionego przybysza co jakiś czas. Latem wszyscy zachęcają do picia mleka, jogurtu, lemoniady (nimbu pani – z solą i ćat masalą). Przy pakorach, samosach, pepsi, a zwłaszcza kawie niektórzy robią ostrzegawcze „t-t-t-t”. Gdy nadchodzi zima, zaczynają jeść to, co ma gorący tasir, a unikać tego, co zimne.

Lato w Karaczi upływa mi pod znakiem potówek. Zaczynam być cała w czerwone kropki, a że opalam się na różowo, to przypominam wtedy truskawkę. Nie ma od tego ucieczki. Na próżno smaruję się maściami z mentolem. Każdy udziela mi rad, jak się wychłodzić. Jeszcze żadna nie zadziałała na tyle, żeby potówki zniknęły. Znikają wraz z upałami – i koniec.

– *Wo-ho! Prickly heat!* Jedz więcej zimnych produktów: ogórków, *tori* (niedojrzałych owoców luffy – podobnie jak ogórek, należą do rodziny dyniowatych) – radzi szwagierka.

– *Wo-ho! Prickly heat!* Pijesz faludę? A „cienkie” lassi (mało jogurtu, dużo wody)? Koniecznie pij! – troszczy się katolicka pielęgniarka, którą spotykam na niedzielnej mszy.

– W domu dają mi tukh malangę – mówię. To nasiona bazylii, które po zalaniu wodą wydzielają śluz, tworząc „galaretkę”, tak jak siemię lniane.

– *Wo-ho!* Wiesz, co to tukh malanga. Bardzo dobrze – chwali mnie pielęgniarka. – Dodawaj ją do lassi! Pij jeszcze *sattu!* – Chodzi o prażoną mąkę rozproszoną w wodzie z cukrem.

Tysiąc zasad. Latem unikaj też potraw suchych i gorących, na przykład kartofli – jedz je zimą! Jesienią – pokarmów, które pobudzają wydzielanie czarnej żółci: oleju, bakłazana, wołowiny (która zagęszcza też krew). Bakłazan jest pyszny, ale gorący, suchy i szkodzi melancholikom. Jeśli usmażysz go w *ghi* i zjesz z czymś kwaśnym, nieco go zrównoważysz. Gorący jest kasztan wodny – ulubiona przekąska rodzinna, *makhana* – nasiona lotosu, marchewka, liście czarnej gorczycy, czerwona soczewica (*masur*, której dodajemy najmniej do codziennego dału) i mięso kaczuki. Zielonej fasolki w naszym domu nikt oprócz mnie nie je, bo jest gorąca i wilgotna. Gorące są czekolada i wiele przypraw. Pomysł mieszania kwaśnych potraw i ryb z mlekiem budzi u moich znajomych zgrozę – można je łączyć tylko z jogurtem lub śmietaną. Nie żuj betelu po wypiciu mleka, bo w brzuchu oddzieli się serwatka. Nie łącz *sattu* z mlekiem ani ryżem! Po oleistym jedzeniu nie pij wody. Po jedzeniu lodów nie pij gorącej herbaty! Gotuj w naczyniach glinianych. Nie pij wody po zjedzeniu guawy, ogórka, melona, arbuza, sardy.

– Będzie cię bolało gardło! – mówią na przykład, gdy pytam dlaczego. – Będziesz kaszlała.

Zachodni naukowcy nazywają ten system „całkowicie pseudonaukowym” i ubolewają, że ludzie, czasem nawet wykształceni, wierzą w „tradycyjną naukę o żywieniu”. Nie mnie to rozstrzygać. Muszę jednak wiedzieć, co i jak. Wciąż – choć coraz rzadziej, bo wiadomo, że obca jest dziwna – zdarza mi się usłyszeć, że dodałam albo chcę dodać czegoś, czego nie powinniśmy jeść (marchewkę czy ziemniaki nie w sezonie), piję – o zgrozo! – kawę w upał albo wodę po zjedzeniu sardy czy guawy. Będą mieli gorączkę! Będzie mnie bolało gardło!

W zderzeniu z rzeczywistością

Mimo wszystko doktor Musa, ze swoją wiarą w moc tasiru i w klinice pełnej karaluchów (karaluchy są wszędzie i walka z nimi jest po prostu beznadziejna) to znacznie lepsze rozwiązanie niż wiele innych. Z pewnością lepsze niż wizyta w *polly clinic*[35] w bramie przy naszej ulicy, dokąd trafiliśmy raz, gdy malutki Michał kaszlał. Przez dwie minuty patrzyliśmy na brudne krzesła, brudne ściany, szarą podłogę i brudne prześcieradła w salce obok. Z salki dobiegał czyjś rzęzący kaszel. Bez słowa ruszyliśmy do

wyjścia.

Innym razem pojechaliśmy do szpitala w dzielnicy Nazimabad. Pracował tam lekarz, krewny Wasima. W Karaczi jest tylko kilka szpitali polecanych cudzoziemcom w nielicznych przewodnikach. Oblegają je Pakistańczycy, rozsiani po krajach zachodnich, gdzie wizyta u lekarza słono kosztuje. Wszystkie dobrej jakości usługi są tu dla nich tanie (ceny podobne jak w Polsce). To akurat nie była tego typu placówka. Typowy prywatny szpital, zatłoczony, pokryty szarym kurzem. Przed drzwiami kłębił się, jak przy każdym zwyczajnym pakistańskim szpitalu, chwytający za serce tłum ludzi, którzy przyszli towarzyszyć bliskim. Nie rzuciło mi się w oczy, żeby ktoś mył podłogę czy chociaż zamiatał. Żadnego zapachu chloru. Widok suszących się kilku par tak zwanych jednorazowych gumowych rękawiczek nikogo tu nie razi.

Zdążyliśmy zastać lekarza, który już śpieszył się na południową modlitwę *zohar*, a zatrzymał się dla nas tylko przez wzgląd na więzy krwi. Kobiety w pełnych burkach siedziały pościskane na ławeczkach. Panienska z okienka zmieszała lek różowy z plastikowej butelki z lekiem żółtym z drugiej butelki i fioletowym z trzeciej, w moździerzku roztarła dwie białe pastylki i dodała je do mikstury. Zastrzyk przeciwwymiotny, który Michał dostał, znajdował się w staroświeckiej strzykawce, jakie w Polsce można zobaczyć w muzeum farmaceutycznym albo na starych filmach. Po pielęgniarkę bieглиśmy przez wertepy. Była w części dla kobiet, więc Wasim musiał się szybko stamtąd wycofać. Zrobiła zastrzyk na krześle w poczekalni.

Zastrzyk nie zadziałał od razu i pojechaliśmy do szpitala Agi Khana – jednego z tych polecanych cudzoziemcom i budzących poczucie bezpieczeństwa. Na ostrym dyżurze dowiedzieliśmy się, że może za trzy godziny nas przyjmą, ale tymczasem Michał „odżył”: wypił i nie zwymiotował. Wróciliśmy do domu. Wiele rzeczy Wasim robi tylko dla mnie, żebym ukoila nerwy i dała mu spokój.

Któregoś razu rozchorowaliśmy się ja i dzieci. Wasim poszedł z nimi do lekarza, a ja zostałam w domu. W pewnym momencie odebrałam telefon:

– Szybko powiedz, jakie masz objawy?!

Powiedziałam. Wasim przyniósł mi tego wieczoru plastikową butelkę z czarną nakrętką – w środku był płyn o kolorze dojrzałych malin – a także torebkę z różowymi i białymi tabletkami oraz jakimiś zielonymi okruszkami tabletek.

Spojrzałam spode łba.

– A co to jest? Co jest od czego?

– To lekarstwa dla ciebie. Kochanie, ten pan jest lekarzem, zna się na chorobach i to cię wyleczy – wytłumaczył mi Wasim.

Poczułam się, jakbym należała do jakiegoś innego świata, w którym wszystkie autorytety zostały już podważone, i chciała o wiele za dużo wiedzieć na temat wszelkich sfer życia. Coś o każdej tabletki! To chyba pierwszy stopień do piekła. Potem to uczucie powtórzyło się wielokrotnie, gdy chciałam zobaczyć swoje wyniki badań, zapytać o jakiś szczegół, wiedzieć, co dolega mojemu dziecku. „Ma chore piersi” – słyszałam w odpowiedzi. „Infekcja”.

– Możesz zadzwonić do Musy, żeby powiedział mi, co jest od czego?

Ale Wasim nie mógł. Mam wrażenie, że Musa mnie nie lubi, bo gdy się spotkamy, za dużo pytam, i Wasim o tym wie. Są przecież pewne granice.

Znajoma zakonnica chorowała na tyfus. Lekarz rozpoznał go dopiero po prawie dwóch miesiącach. Podobnie było z naszą znajomą Asmą, którą spotkaliśmy kiedyś bardzo osłabioną. Choć pytała lekarzy, była źle leczona i nie otrzymywała odpowiedzi. Choroba trwała bardzo długo. Polska znajoma, też żona Pakistańczyka, zachorowała w Karaczi na czerwonkę. Myślała, że czymś się „zatrula”.

– Myłam ręce! Mam w Pakistanie obsesję mycia rąk. Smarowałam się żelem antybakteryjnym. Uważałam. Nie jadłam tam, gdzie wydawało mi się brudno. I co z tego? Kupa, dosłownie! – pisała na czacie po powrocie.

Zatrzymała przez atak choroby samolot w drodze powrotnej i wywołała panikę lekarzy w Irlandii, do której wracała. Siostrzeniec Wasima chorował na dengę. Ten potężny chłop leżał w upale pod kocem i dygotał z zimna, był w szpitalu, dochodził do siebie przez dwa miesiące. Wasim dwa razy chorował na malarię. Lubi wieczorami siedzieć z kolegami na trawie – mówi, że komary malaryczne latają po trawach, a nie, na przykład, po łazienkach. Gdy ugryzie nas komar, Wasim patrzy na ukąszenie i mówi zdecydowanie: „Z tego nie będzie malarii!” – skąd to wie? Na razie nigdy się nie pomylił. Ja chorowałam poważniej raz, nie wiem na co. Pomogły leki przeciwamebowe. Co jakiś czas gazety w Karaczi ostrzegają przed śmiertelnie niebezpieczną amebą *Naegleria fowleri*, która żyje w niedochlorowanej wodzie i dostaje się do organizmu przez nozdrza, na przykład podczas rytualnego obmycia –

wazu. Matki pod koniec ciąży są obowiązkowo szczepione na tężec.

Co parę miesięcy do naszych drzwi pukają kobiety w abajach.

– Czy wasze dzieci były szczepione przeciw polio?

Były. Zamykamy drzwi.

Nie tylko my. Bo może to złodziejki wysłane na zwiady? A może się podszywają pod kampanię profilaktyki polio? I czy przypadkiem ta cała „kampania” nie jest tylko przykrywką do walki z muzułmanami?

Pakistan, Afganistan i Nigeria – tylko w tych krajach na świecie polio (czyli choroba Heinego-Medina) jest endemiczne. W Pakistanie zaczęto szczepienia przeciw polio w 1974 roku, a kampania informacyjno-profilaktyczna ruszyła w roku 1993: akcja w mediach, systematyczne programy darmowych szczepień i odwiedzanie każdego domu. Mimo to polio wciąż zagraża pakistańskim dzieciom. Ludzie z powikłaniami po tej chorobie nie są rzadkim widokiem. W gazetach co kilka dni pojawiają się wiadomości o zaatakowanych lub zabitych wolontariuszach. Wolontariuszki są nazywane bohaterkami, a także agentkami. Od lipca 2012 do marca 2014 zabito przynajmniej dwadzieścioro wolontariuszy. Jednak wciąż znajdują się chętni, by zapukać do każdego domu z nadzieją, że nie każdy zamknie im drzwi przed nosem. W domach ludzie wciąż wierzą, że szczepionka to niebezpieczeństwo i broń wymierzona przeciw muzułmanom – powoduje bezpłodność u kobiet i impotencję u mężczyzn. W ubiegłym roku talibowie na północy Pakistanu ogłosili zakaz podawania szczepionek dzieciom w swoim regionie, dopóki USA używają dronów. A w 2011 roku amerykański wywiad użył programu szczepień przeciw żółtacze jako przykrywki do poszukiwania Bin Ladena. Chodziło o zebranie próbek DNA od krewnych lidera Al-Kaidy i użycie tego jako pretekstu do sprawdzenia, czy przebywa on w Abbottabadzie. Teraz każdy, kto chce, ma niezbity dowód, że profilaktyka chorób to fikcja i przykrywka dla niecznych celów Zachodu. Plotka to przecież potęga. W kroplach przeciw polio też może czaić się podstęp. Bo przecież kto to sprawdzi? Także pogłoski o fundacji Billa i Melindy Gatesów w Indiach i traktowaniu dzieci jak królików doświadczalnych rozchodzą się w Pakistanie błyskawicznie.

Jedenaście osób zginęło w sobotę, gdy w dwie furgonetki, którymi jechała załoga szczepień polio, uderzyła bomba w Chajber Pachtunchwa na północy Pakistanu. Wśród ofiar jest ośmiolatek, dwanaście innych osób zostało rannych. Dziesięć ofiar to plemienni policjanci – khasadarowie. Choć służby bezpieczeństwa i bojownicy próbowali walczyć z napastnikami, bojownicy

Chodząc po plecach

Jestem jedyną osobą w rodzinie, która ma zdrowy kręgosłup.

– Jak to możliwe? – dziwi się Wasim. – Skoro polskie łóżka są takie niewygodne?

Pakistańskie łóżka to raczej łoża, projektowane z rozmachem i fantazją. Bywają zbyt miękkie, ale na naszych w domu w Karaczi rzeczywiście świetnie się śpi. Mimo takich wygód wspólnota rodzinna razem cierpi na bóle i dysplazje kręgosłupa, a ja im tylko towarzyszę. Woń maści rozgrzewających unosi się w mieszkaniu. Termofofor i elektryczna poduszka rozgrzewająca należą do najczęściej używanych sprzętów. Rodzina była nieco zawiedziona, że nie umiem zrobić zastrzyku (przeciwbólowego). Synowa pielęgniarka byłaby chyba najlepszą opcją. Musiałam nauczyć się masażu (raz przy tym poparzyłam sobie palce) i chodzenia po mężu – to absolutne minimum.

– *Beta!* (To znaczy „synku”, ale można tak powiedzieć również do córki). Stań na moich plecach! – wołają dorośli do dzieci.

Mój syn świetnie wie, że dbanie o rodziców wyraża się przez masowanie ich nóg i ramion oraz chodzenie po ich plecach. Gdy tylko wspomnę, że jestem zmęczona, zaczyna masować mi plecki.

– Tak, Michale, teraz czuję się lepiej! – mówię.

– Po to mnie masz! – odpowiada, nie przerywając masażu.

Plecy bolą kuzynów, dalszych krewnych, znajomych. Powodów można się tylko domyślać. Może dieta? Może legendarne negatywne skutki powszechnie tu praktykowanej endogamii? („Jesteś tak głupi/niewydarzony, jakby w twojej rodzinie były tylko małżeństwa pierwszych kuzynów!” – to bardzo obraźliwa obelga). Może zamknięty tryb życia? Brak światła, wbrew pozorom, często doskwiera ludziom w gorących krajach. Wasim musiał brać zastrzyki witaminy D, bo wychodzi na spacer tylko wieczorem, a całe dni spędza w klimatyzowanych pomieszczeniach z zasłoniętymi oknami. Może jakieś błędy w opiece nad niemowlętami? Powszechnie jest „stawianie” maleńkich dzieci i wołanie: „O, jak chodzi!”, albo sadzanie ich na poduszkach, gdy jeszcze nie umieją siadać.

Homeopata

Pakistańczycy chętnie chodzą do homeopatów. Na każdej ulicy jest przynajmniej kilka „klinik homeopatycznych”. Wasim ma przyjaciela, który jest właścicielem takiej placówki.

– Jego tata był homeopata! I bracia! Pracowali nawet dla wojska. To rodzinny biznes – mówił, gdy jechaliśmy do kliniki Arśada.

Dzielnica podobna do naszej, ciasna, zatłoczona i brzydka, pełna domów wchodzących na ulicę (to nielegalne i powszechne), warsztatów i sklepików. Klinika była za przepierzeniem, na rogu ulicy. Weszliśmy. W razie czego miałam kilka bolączek, na które mogę się poskarżyć. W środku było bardzo ciasno. Doktor pomachał do nas ręką.

– Chodź, chodź! Siadaj! – zaprosił mnie. – Zwolnij krzesło! – polecił młodej lekarce.

Siadłam więc naprzeciwko doktora i jego pacjentów, przy tym samym stoliku, obok drugiej lekarki. Lekarka notowała i wypisywała nazwę leku na torebeczce z pieczątką. Torebeczkę przekazywała dalej, do ekipy przygotowującej leki. Z boku stała półka z butelkami i pastylkami. Pacjenci wlepiali we mnie oczy.

Kobiety miały swoje wejście, mężczyźni swoje. Spotykali się u lekarza: panie siadały po jego prawej stronie, a panowie po lewej. Było też przepierzenie, za którym można badać. Tylko jednej osobie przy mnie zaproponowano badanie. Pokazywali języki i kasłali na miejscu. Na odrapanym biurku leżały ciśnieniomierz oraz zeszyt, w którym przy nazwiskach pacjentów zapisywano nazwy przepisanych leków.

Panie doktor nosiły hidżaby: jedna brązowy ze srebrnymi koralikami, druga – czarny z błyszczącymi czarnymi. Doktor Arśad miał okrągłą twarz, bystre oczy, siwą brodę, białe *topi*, szalwar kamiz, może sześćdziesiąt lat.

Pacjentki bez problemu zsuwały nikab, gdy doktor wlewał im do ust krople. Potem się krzywiły. Niektóre panie to prawdziwe kokietki! W ciągu czterdziestu minut przyszło chyba z pięćdziesięcioro pacjentów. Z gorączką i szklistymi oczami. Z kaszlem i rżeniem, zapaleniem jamy ustnej, bolącymi zębami. Na jednego pacjenta ekipa poświęcała średnio półtorej minuty.

Lekarka – młodziutka, w kolorowym szalwar kamizie i z pierścieniem ze

szkiełkiem zamiast kamienia, rozmawiała z kobietami, pisała nazwiska, a w międzyczasie prowadziła ze mną rozmowę.

– Pytaj, pytaj – zachęcała co chwila.

Najpierw chciałam popatrzeć na gabinet i to, co się w nim dzieje. Rzadko bywam u homeopaty. Dlatego lekarka przejęła pałeczkę.

– Jak długo już jesteś w Karaczi? Jak ci się podobają ludzie w Karaczi? – (Rzut torebką do kolegi). – Może napijesz się herbaty? – (Następny rzut). – Tak, tak proszę pani – (To do pacjentki). – Co myślisz o Pakistanie? Jak tu jest? Co ci się u nas podoba? Ale może *cold drink*? – (Rzut). – Na pewno herbaty nie?

Klinika przyjmuje od dwudziestej do północy codziennie oprócz sobót. Między dziewiątą a jedenastą tłok jest największy.

– Jesteśmy bardzo popularni w okolicy. Rodziny z Lahore i z Hajdarabadu też tu przyjeżdżają, rodziny pacjentów z Karaczi.

– Leczymy cysty na jajnikach i macicy, guzy piersi, bóle miesięczkowe i łagodzymy objawy menopauzy. Kobiety nie wstydzą się mówić o swoich problemach. Leczymy wszystkie. Nie mieszamy medycyn. Nie wysyłamy do lekarzy allopatów, ani do hakimów.

– Ten chłopiec ma malarię. *Malaria fever*. – Otwiera buzię i dostaje kropelki z butli do gardła. I w torebce na kilka dni.

– Ta *amma* kaszle. – Kropelki.

– Dziecko nie je od trzech dni i ma gorączkę. Krople. *Maśalla*, wszystko dobrze.

Pani ma gazy, inną po jedzeniu boli w boku.

– Mój brat jest opóźniony w rozwoju – mówi dziewczyna w burce. – Jeśli go o coś spytać, patrzy w inną stronę, myśli. Nie wymawia dobrze. Tak jakby nie rozumiał, co się do niego mówi.

– Obserwuj – radzi jej lekarz.

– Czasem już nie możemy patrzeć na pacjentów! – wyznała lekarka. – Dziennie przyjmujemy od stu czterdziestu do stu osiemdziesięciu!

Nie osłuchiwali. Słuchali, co ludzie im mówią, w ciągu kilku sekund lekarz wydawał werdykt. Łapał za butelkę i kazał delikwentowi otworzyć buzię.

– To dobry lekarz. Do złego nikt nie przychodzi, choćby go słuchał kwadrans. Są tacy. Siedzą przez swoje cztery godziny i się nudzą –

powiedział Wasim.

Miałam nadzieję, że pogadam dłużej. Byli mili. Ale niestety – kolejce pacjentów nie było końca. Co chwila nowa twarz. Najdłuższa przerwa między pacjentami wynosiła może dziesięć sekund.

W domu opowiedziałam o wizycie.

– *Koi faida nahi he!* – powiedziała teściowa. – Żadnego pożytku. Chodziłam, chodziłam i nic.

– Jestem za leniwy na homeopatię – wykręcił się Wasim od rozważań, czy ta metoda jest skuteczna. – To trzeba brać miesiącami.

Dentysta i pir

Dentysta w Pakistanie to wszystkie moje fobie podniesione do potęgi. Odwiedzam więc tylko elitarne gabinety – a i to ze struchlałym sercem. Choć oczywiście wiem, że i w Polsce nie zawsze jest sterylnie.

Wasim to rozumie. Wie, że bakterie to podstawowy element świata białych kobiet. W ich torebkach zawsze są jakieś śmierdzące żele i mokre chusteczki.

– Pokażę ci zwykły gabinet! – zaproponował kiedyś niespodzianie i zaparkował.

Nie było źle. Fotele, lampy, właściwie czysto. Lekarze bez fartuchów, masek, rękawiczek. Mieli cały sprzęt – otworzyli większość szuflad z okazji mojej wizyty. Płyn do dezynfekcji, sterylizowane narzędzia, dwa autoklawy. Grube zeszyty z dokumentacją pacjentów. Dość tanio. Poczulałam się jak nalot sanepidu, z tą różnicą, że niespodziewany również dla mnie, więc nie miałam przygotowanych pytań.

– Yyy... Jak pan myśli, czy pana pacjenci dbają o zęby? – zapytałam młodego lekarza w okularach.

Trafione!

– Nie! Nie myją zębów, nie stać ich na szczoteczki, na pasty. Nie mają też nawyku czyszczenia zębów dwa razy dziennie.

– Ale miswak? – często widuję w łazienkach wygryzione patyczki, którymi czyści się zęby zgodnie z sunną. Miswaku używał bowiem sam Prorok. Też mam taki. Jest kwaśny.

– Sam miswak to za mało. Potrzeba i miswaka, i szczoteczki. I pasty. Byłaś kiedyś na pakistańskiej wsi? Zresztą nawet w mieście... Pewnie nie zaglądałaś ludziom do zębów. Myją zęby wodą z elektrolitami

z akumulatorów samochodowych. Wodą z solą. Kwasem winowym. To tragedia dla zębów. Leczyłem kiedyś pacjenta kanałowo. Zatrąłem mu ząb, założyłem fleczer, a on mi przyszedł po trzech miesiącach! Przecież pan doktor założył mi plombę, powiedział, ale wypadła, proszę jeszcze jedną taką samą!

– To chodź jeszcze do pira[37]. – mówi Wasim. – Chociaż jesteś żoną pira.
– Rzeczywiście, zanim Wasim się ze mną ożenił, znajomi żartobliwie przezywali go pirem. (Zresztą nie zawsze jestem pewna, czy żartobliwie, czasem tak, ale on ponoć naprawdę „uzdrawiał” – stąd wiele osób pyta go o radę, prosi o modlitwę, daje mu zdjęcia, żeby się nad nimi modlił i mają żal, że się ożenił i nie praktykuje tego, co dawniej).

Pretekstem było to, że nasz przyjaciel od kilku lat – z pewnością przez ostatnie sześć, odkąd go poznałam – szuka żony. Jego mama przebiera w kandydatkach jak w ulęgalkach. Szuka wysokiej, religijnej, dobrze gotującej, pokornej, oczywiście ze świetnej rodziny. Specjalnie podstawiony przyjaciel czekał pod domem pira.

W domu na regale stały ozdobne świątynne czapeczki. Brodaty pir, który na co dzień zajmuje się handlem nieruchomościami, a wieczorami udziela porad, siedział w kącie na poduszkach. Podłogi były wyściełane matami, paliło się światełko w glinianej miseczce (*ćirag*), z olejem z ośrodka, z którym związany jest pir, obok lampki płonęły duszące kadzidelka (*agarbatti*), z prawej strony był portret jego „nauczyciela” (murśida) w czapie. Na półce stały flakoniki z perfumami, na ścianie zdjęcie Kaaby w Mekce i meczetu w Medynie. Czekaliśmy w kolejce. Jakaś kobieta płakała. Następna para rozmawiała bardzo długo.

Pir powiedział naszemu przyjacielowi, że odrzucił on jakąś dziewczynę, która go kochała („To prawda!” – potwierdził potem Wasim), i że mama jest zbyt arogancka w swoich poszukiwaniach („I to prawda! – mówił z podziwem Wasim. – Myślałaś, że pir to byle kto?”), a potem zrobił mu wersety Koranu do wypicia – *tawizwala pani*. Wypisał je na zadrukowanej czymś kartce.

– I teraz co?

– Imran włoży kartkę do szklanki z wodą i przez dwa dni będzie tę wodę pił. Papier potem wyrzuci.

Jeśli nie pomoże, to na pewno nie zaszkodzi.

Trzy miesiące później dowiedziałam się, że przyjaciel się żeni. Już za cztery miesiące! Czy stoi za tym nasza wizyta u pira – nie dowiem się nigdy. A może?

Zioła w naszym domu

Kupić lek to nie problem. Nie potrzeba żadnych recept. Mieszkam w rajku dla lekomana i potencjalnego samobójcy. Są, jak zawsze, wyjątki, takie jak apteka szpitala Agi Khana – tam trzeba mieć receptę z tegoż szpitala. Oprócz dużego wyboru produkowanych w Pakistanie tańszych zamienników zachodnich lekarstw, półki w aptekach i działach medycznych uginają się od specyfików na bazie ziół. Hakeem Tehseem, Hashmi. Firma Hamdard produkują Rooh Afzę, dżośandę (rozgrzewającą herbatę), ispaghol (naturalny błonnik w postaci białego proszku), tutsiję (syrop morwowy na gardło). Można kupić Tunsukh, wzmacniający specyfik, od którego składu kręci się w głowie: dzika jabłoń, czarny i zielony kardamon, owoc granatu, agar, cynamonowiec *tamala*, cytryna, kolendra, zioło zwane *darunadź akrabi*, czyli *Doronicum Hookeri*), onosma, tarczownica, anyż, korzeń *senega*, róża damasceńska, szałwia, motyl jedwabnik, imbir cyttwarowy, kocimiętka, aloes, mirt...

Po ciężkich posiłkach wszyscy żują nie tylko nasiona anyżu i kopru czy *supari* (orzechy areki katechu, stanowiące część popularnej używki zwanej betelem), lecz także czarne słone i kwaśne tabletki Neo-Carmina.

Zima w Karaczi, choć z polskiej perspektywy wydaje się śmieszna, to najgorszy okres w roku. Śmiałam się z karacziwali (mieszkańców Karaczi) w wełnianych czapach i ciepłych kurtkach, owiniętych kocami w pogodę przypominającą polski czerwiec – dopóki nie spędziłam tu całego roku. Czas mojego połogu również przypadł na zimę. Porządne przemrożenie w ogrzewanym mieszkaniu z gorącą wodą jest znacznie łatwiejsze do przeżycia niż to. Wilgoć w powietrzu, wiatr, nieszczelne okna, zimna podłoga, lodowata woda, ciężkie koce, grzanie wody na kąpiel w garze. Gdy Wasim zaczyna kichać, jego mama wrzuca do rondelka z wrzątkiem odrobinę herbaty, posiekany imbir, goździki i cynamon. Gotuje przez kilka minut. Przyrządza też synowi jajko na miękko i sięga po słoń z olejem z gorczycy. Olejem naciera Wasimowe głowę i kark. Podaje mu również maść Vick's.

Rozgrzewająca dżohar dżośanda (produkt *best of Asia* magazynu „Times” w roku 2008 w kategorii „najlepsze dla ciała”) nie jest w domu popularna – ani ta nowoczesna i smaczna, granulowana z saszetki, ani tradycyjna. Podczas któregoś przeziębienia poprosiłam o dżośandę. Prawdziwą. Przynieśli mi torebkę z porządną garścią badyli, liści i suchych owoców. Pachniało okropnie, smakowało jeszcze gorzej, trochę mnie rozgrzało. Niestety, nie pomogło. Skład: lukrecja, ślaz, prawoślaz, głożyna i jakieś inne składniki, których nazwy nic mi nie mówią.

Po zioła – i po paracetamol – sięgamy w pierwszej kolejności. Gdy boli ząb, żuje się goździki. Gdy domownicy chorują, najpierw idzie się do hakima albo homeopaty. Jest ich dużo, ma się wrażenie, że nawet po kilku na każdej ulicy. Jednak Pakistańczycy mają swoich sprawdzonych. Przynoszą od nich bure tabletki (dawniej były proszki, ale teraz technologia poszła do przodu – tłumaczy Wasim) i plastikowe słoiczki z lekami na miodzie. Na butelkach i pudełkach narysowany jest odpowiedni organ. Hakimowie są cenieni szczególnie wśród panów, bo robią lekarstwa na potencję (*kušta*). Niektóre *kušta* są na wagę złota, ale nie dowiem się na ich temat niczego więcej, bo świat męskich wspomagaczy potencji jest dla mnie niedostępny. Hakim sprawdza puls, patrzy w oczy i w język. Poszłam do takiego miejsca raz. Poważny hakim kazał Wasimowi jeść migdały i owsiankę na śniadanie, mnie doradził papaję i arbuza.

Zachodni lekarz – allopata – to ostateczność.

Teść często odwiedza hakima. Kiedyś dostał specjalny olej do nacierania pleców. Do nacierania potrzeba krzepy, więc teść zaprosił do domu pehelwana. To nie był – niestety! – prawdziwy pehelwan, tradycyjny zapaśnik, który jak głoszą legendy, smaruje się przed walką tradycyjnym *ghi*, a na śniadanie wypija kilka litrów mleka z *ghi* i zagryza migdałami. Tak nazywa się tu też krzepkich masażystów, z których niektórzy kiedyś może byli pehelwanami, a w związku z tym zajęciem poznali tajniki masażu i dbania o mięśnie i kości. Kilkugodzinne poddanie się masażowi to element codziennej rutyny walecznego pehelwana.

Tego, który odwiedził nasz dom, widziałam przez sekundę. Miał czekoladową twarz oraz pomarańczowe włosy i brodę. Zamknęli się z teściem w salonie na godzinę. Poskutkowało.

Innym razem teściowie zamknęli się w pokoju z równie korzennie wyglądającym brodaczem i starszą, równie korzenną akuszerką,

pomarszczoną i ubraną jak typowa prosta kobieta. Po tej wizycie na piersi teścia pojawił się tawiz (pudełeczko z wersetami Koranu, zawieszane na szyi, coś w rodzaju szkaplerza), a na stole w przedpokoju – butelki od sprite’a, a w nich tajemnicza ciecz. Teściowa rozpałała ogień pod aluminiową pokrywką od dużego garnka i położyła na niej jakieś zioła. Ich dym wypełnił dom takim smrodem, że przerażona zrobiłam to, co zwykle robię przy fumigacji: zarygłowałam drzwi, a szparę między podłogą i nimi zatkałam adżrakami.

Potem dopiero pomyślałam spokojniej. A jeśli to było rytualne oczyszczenie, które powinno być dotrzeć do każdego kąta domostwa, by odpędzić dzinny i złe uroki? Może ten płyn w butelkach, tawiz i trociczki mają jakiś apotropaiczny wspólny mianownik?! A ja może właśnie pokazałam, że mam nieczne intencje lub wręcz konszachty ze złym duchem? Wiadomo, diabeł ucieka od święconej wody (lub jej odpowiedników w innych kulturach). Moi teściowie w to wierzą – na ich miejscu zaraz bym zaczęła podejrzewać synową o ciemne sprawki!

Ale może nie.

Historie, o których się milczy

W naszym domu w Karaczi dużo jest bolesnych historii, o których się nie opowiada. Podobnie jak w moim rodzinnym domu, gdzie tematem tabu były na przykład niektóre epizody wojenne.

– Babcia nie chce o tym mówić. Nie pytajcie o to – słyszałam często, gdy byłam dzieckiem. – Dziadzio się za mocno wzrusza, gdy wspomina obóz, nie pytaj o to.

Częścią wspomnień się z nami dzielili, niektórych mogliśmy się jednak tylko domyślać. Dlaczego babcia podczas spaceru nigdy nie szła z nami na Majdanek? Dochodziła do bramy obozu i się zatrzymywała. „Idźcie, idźcie – mówiła. – Ja tu poczekam. Nogi mnie boją”. Dlaczego dziadzio zawsze musiał mieć przy łóżku chleb, gdy zasypiał? Nawet w szpitalu?

O cierpieniu ludzi tutaj mogę tylko czytać. Przejmujące opowieści, takie jak w książce *Life and Words (Życie i słowa)* Veeny Das, uderzają mnie tym, że niektóre zwroty zanotowane w jej tekstach słyszałam od krewnych Wasima. Są tu cierpienia, które uszlachetniają i dodają człowiekowi wartości, zwłaszcza kobiecie. Wyrzeczenia, poświęcenia. Te są częścią losu i należy je

przyjmować z godnością. Czasem ciężkie życie przyjmowane z godnością jest jedynym sposobem na zdobycie szacunku otoczenia. Poza tym tyle tu prawdziwej, beznadziejnej niedoli. „Powinnaś dziękować Bogu, że masz dwie ręce i dwie nogi, że masz co jeść, że twój mąż nie wziął sobie drugiej” – mówią Pakistańczycy. I słusznie postępują. Nie my jedni na świecie cierpimy. Choć z drugiej strony, czasem zaprzeczanie własnemu cierpieniu nie wystarczy, żeby zrobiło się lżej na duszy. Trzeba je w porę wykrzyczeć, wypłakać, wyrzucić z siebie.

Są też nieszczęścia, które rozwalają same podstawy świata. Na przykład w naszym domu mówi się lakonicznie o podziale Indii.

– Tata babci zginął podczas zamieszek. Jej mama drugi raz wyszła za mąż.

Żadnych szczegółów. Może nie opowiadano o nich dzieciom, zwyczajnie, żeby je ochronić. Może nie jestem odpowiednią osobą do zwierzeń. Potem jednak była wojna w 1971 roku – oderwanie się „wschodniego Pakistanu”, który stał się Bangladeszem. Naiwnie pytałam Wasima o pobyt jego krewnych we wschodnim Pakistanie. Miałam nadzieję, że usłyszę barwne egzotyczne opowieści. Usłyszałam tylko, jak babcia opowiada wnuczkom historyjkę o małpie, która w Dhace wskoczyła przez kuchenne okno i porwała roti z talerza. Nic więcej.

– Najpierw byliśmy w Dhace, a potem w Karaczi – mówił Wasim, i tyle. Nikt mu ponoć nie opowiadał o tamtych czasach.

– Tak, znam trochę bengalskiego. – czasem przyznawał teść.

Może wyjechali, zanim wybuchła wojna? Jak tam było? Pośrednio dowiedziałam się od starszej kuzynki, która musiała uciekać z dziećmi pieszo z Dhaki do Karaczi. Wspomina to ze łzami. Starszy facet, który przysłuchiwał się naszej rozmowie, skwitował to tak:

– Tak jakby tylko ona musiała tak uciekać! Tysiące ludzi tak uciekało, umierali po drodze, a ona opowiada, jakby była jedyna!

Przypomniałam sobie fragment książki Veeny Das *Życie i słowa* – o Śanti Dewi, kobiecie, której podczas masakr towarzyszących podziałowi Indii nie udało się uratować przed śmiercią najmłodszego synka, niemowlęcia. Zginęli wszyscy mężczyźni z jej rodziny, zostały tylko kobiety, w tym jej córki.

Pierwszego dnia, gdy się spotkałyśmy, Śanti mówiła tylko: „Gdyby moje dziecko żyło, to jakoś bym zebrała odwagę, nauczyłabym się cierpliwości!”. Stary sąsiad, hindus, który stał w drzwiach, wtrącił: „Ona zachowuje się tak, jakby tylko ona jedna kogoś straciła. Popatrz na świat. Każdego dotknęło jakieś nieszczęście. Przyszła na nas burza i zniszczyła wszystko, co napotkała. Czy

możemy kogoś uratować przed taką burzą?”[38].

Wreszcie Wasim się zezłościł i zrozumiałam, że weszłam tam, gdzie się nie wchodzi.

– Po co w ogóle mówić o takich cholernych historiach (*shitty things*)? Przecież to była tragedia! – usłyszałam. I już nie pytam.

Oczywiście, żeby płakać, nie potrzeba wielkiej światowej tragedii. Wystarczy śmierć kogoś bliskiego; mąż, który zdradza; teściowa, która daje w kość; frustracja, że nie można zacząć pracy. Jednak czasem się słyszy, że poczucie beznadziei (*majus* albo *naummidi*) i smutek (*udas*) to grzechy. Jeśli płakać, to w kącie, w łazience, na balkonie, wreszcie – w czasie modlitwy. Należy szybko ocierać łzy, gdy ktoś wejdzie, i próbować mówić normalnym głosem jak kuzynka Saima, którą kiedyś przyłapałam na takim płaczu. To zupełnie co innego niż wylewne, dramatyczne szlochy, część „teatralnej pokazówki”, którą ludzie tu uwielbiają. Rzeczywiście, nad czym się roztkliwiać, skoro tyle prawdziwej biedy naokoło? Bardzo łatwo znaleźć kogoś, kto ma znacznie gorzej niż ja. Poza tym lepiej, żeby mojej słabości nie zobaczył ktoś, kto może potem ją przeciw mnie wykorzystać. Łzy i tak nic nie zmieniają, a Bóg – a On wie najlepiej – ma właśnie taki plan co do naszego życia. To nie jest miejsce dla słabych ludzi.

Karacziwale wiedzą dlaczego

N. ma dwadzieścia siedem lat, jest muzułmanką, mężatką, mówi w sindhi i urodziła się w małej wiosce jako szóste z siedmiorga dzieci. Przyjechała do Karaczi sześć lat temu. Jest drugą żoną syna zamindara (wielkiego właściciela ziemskiego). Mieszka z nim i ich trojgiem dzieci w mieszkaniu na trzecim piętrze starego budynku. Przyszła do psychiatry z mężem i trzyletnim synem. Zapytana o powód spojrzała na męża i powiedziała w sindhi: ty jej powiedz. Gdy lekarka odezwała się do niej w sindhi, wytłumaczyła sama.

– Pani doktor, zrobiłam się strasznie wrażliwa. Płaczę, gdy tylko widzę jakąś złą wiadomość. Nie byłam taka wcześniej. Nie mogę spać. Nic mnie nie ciekawi. Czuję, jakby w moim ciele nie było życia. Nie mam siły na domowe prace, żeby dbać o dzieci. Mam okropne sny, otaczają mnie dziwni ludzie, kogoś stale szukam we śnie. Boli mnie całe ciało, jestem stale zmęczona.

Wcześniej, gdy miała depresję, rodzina zabierała ją do pira sahiba –

duchowego uzdrowiciela w jej wiosce. Powiedział jej, że ktoś rzucił na nią urok i że będzie musiała poddać się rytualnemu oczyszczeniu. Chodziła do niego z rodziną co piątek, czytał nad nią wersety Koranu po arabsku i odprawiał lecznicze rytuały.

Poszła też do lekarza, który przepisał jej benzodiazepiny. Lepiej po nich spała, ale nic więcej. Więc wysłał ją do psychiatry.

Wyjazd do Karaczi po ślubie był dla niej ogromnym szokiem. Wciąż słyszała o porwaniach, kradzieżach, wybuchach bomb. Nie miała komu powiedzieć o swoich uczuciach. Przeprowadziła się z wioski do ciasnego mieszkania otoczonego wysokimi budynkami, do hałasu i brudnego, dusznego powietrza. Nie znała urdu, sąsiadki śmiały się z niej, bo była prosta i dziwna. Czowała się upokorzona, ale nic nie mówiła mężowi, żeby nie powiedział, że nie umie sobie radzić z ludźmi. Z czasem nauczyła się języka i zwyczajów, ale znalazła tylko jedną przyjaciółkę i jedynie z nią rozmawiała. Straciła poczucie własnej wartości i pewność siebie. Bała się oglądać wiadomości, które jej mąż uwielbiał. Raz, gdy była na zakupach, zobaczyła, jak wnoszono do karetki zakrwawione ciało ofiary zabójstwa owinięte w białe płótno. Otaczał je tłum obojętnych ludzi, którzy szli, jak gdyby nigdy nic. Bardzo długo nie mogła zapomnieć o tym przejawie ludzkiej znieczulicy.

Ten fragment pewnego artykułu o chorobach psychicznych w Pakistanie zrobił na mnie duże wrażenie. Nietrudno zrozumieć uczucia tej kobiety[39].

Przyzwyczajaliśmy się myśleć, że depresja to choroba Zachodu. Pęd, wyścig szczurów, rozbite życie rodzinne, wypalenie zawodowe, brak bliskich związków, samotność – to tylko kilka z jej niezliczonych powodów. Tymczasem w Pakistanie, choć ludzie żyją bliżej siebie, depresja zdarza się równie często. Nie brakuje tu zboliałych i nieszczęśliwych ludzi, którzy czują się więźniami losu. Wydaje mi się, że szczególnie dotyczy to kobiet, choć może po prostu to z nimi najwięcej rozmawiam. Wyobrażałam sobie Wschód jako psychicznie stabilniejszy – rodziny są duże, ludzie wychowują się w grupach od małego, są bardzo zżyci, mniej samotni. A tu bywa tak smutno. Może przenoszę własny obraz świata na całą rzeczywistość, ale zdziwiło mnie, ilu spotkałam tu ludzi wycofanych, z „nieprzepracowanym” cierpieniem, apatycznych. Przytłoczonych, mimo imponującej pogody ducha.

Mury otaczające budynki w Karaczi robią na mnie ogromne wrażenie.

Takich ogrodzeń jest coraz więcej, codziennie wyrastają nowe: wokół prywatnych domów, biur, świątyń. Kto tylko może, stara się odgrodzić, dobudować do muru kolejny metr, dołożyć kolejny zwój drutu, wynająć jeszcze jednego strażnika. Nie każdy, kto chce, ma takie możliwości. Granice są przede wszystkim w głowach i sercach. Te murowane tylko je odzwierciedlają. Normalne życie tutaj odbija się na naszej psychice, choć przecież staramy się myśleć, że jest normalnie.

Festiwal literacki w Karaczi. Przyszłam na sesję o zdrowiu psychicznym. To rzadko poruszany temat. Choroby psychiczne uważa się tu za wstydlive, podobnie było jeszcze nie tak dawno w Polsce. Mało kto się przyzna, że ktoś w jego rodzinie choruje. A przecież życie w Karaczi może dobić. Przewycięzanie lęku zabiera tu bardzo dużo energii. „Nie można tej sesji pominąć – napisano w jednej z gazet. – Karacziwale wiedzą dlaczego”. Na podium siedziało czworo psychiatrów.

– Mieszkamy tu na ogół dlatego, że chcemy. Wybieramy to miejsce, lubimy je, nie chcemy przed nim uciekać. Ale Karaczi psychicznie nas wszystkich wykańcza – powiedział szczupły doktor Murad Musa Khan. – Czy wiecie, że w Pakistanie jest pięćset prywatnych armii, ale za to na milion obywateli przypada zaledwie jeden psychiatra? I że w niemal dwudziestomilionowym Karaczi pracuje tylko dwudziestu siedmiu psychiatrów[40]?

– Wycofujemy się i ściskamy. Kurczymy. Chowamy w sobie. Budujemy mury, dajemy broń lekarzom i nauczycielom, szkolimy ich. Może kiedyś w szkołach co piąte dziecko będzie miało broń? Ale nadejdzie moment, że nie da się bardziej wycofać i bardziej „ścisnąć”. Jak wysoki mur można wybudować, ile ochrony ustawić wkoło domu, ile broni mieć? – pytał jeden z uczestników panelu. – To nie jest skuteczna strategia!

Doktor Sadia Kurejśi przez długi czas mieszkała w Anglii. Wróciła do Karaczi i pracuje w fundacji Aman, która znana jest w mieście z „żółtego pogotowia” – jedynych tutaj ambulansów wyposażonych w sprzęt ratujący życie.

– Najpierw mówiłam, tak jak wiele osób, które przyjeżdżają tu z Zachodu: „Ależ Karaczi jest wytrzymałe! Niezwykłe! Wspaniałe, odporne, co za energia!”. Potem przestałam się zachwycać. Jesteśmy bardzo dzielni. Tyle że cena, którą się płaci za mieszkanie tutaj, jest bardzo wysoka. Powszechne są choroby wywoływane przez stres. Pełno tu depresji i nerwic. Ktoś mówi, że

jest zdrowy, silny, nie przejmuję się, daje radę, Bóg go chroni. A jednak nawet taka osoba w końcu zaczyna chorować somatycznie. Mamy coraz mniej miejsca, żeby się wycofywać, chować. Nie można się wycofywać w nieskończoność!

Potem mówiła doktor Aiśa Mian, piękna kobieta. Pracuje z dziećmi.

– Gdy przyjechałam, byłam pewna, że największy problem pakistańskich dzieci to za ciężkie tornistry i higiena nauki. Teraz widzę, że nie. Dzieci są wytrzymałe, ale strach wchodzi do ich serc. Przede wszystkim dlatego, że już rodzice są pełni strachu i niepokoju. Przekazują dzieciom kulturę strachu! Mówią na przykład: „Nie możesz iść tu i tu, do tego domu. Czego cię tam nauczą? Kto mieszka obok? Nie znam sąsiadów!”.

Dawniej nieszczęście ograniczało się do rodziny i najbliższej społeczności, teraz ma wymiar globalny. Po 16 grudnia 2014 roku – „incydencie peszawarskim”, jak nazywała go Aiśa Mian – szkoła przestała być bezpiecznym miejscem[41].

– Dzieci mówiły mi, że rodzice dają im do szkoły keczup. „To po to, żebyśmy mogli się nim wymazać i udawać, że już zostaliśmy zabici”.

– Mówcie dzieciom, że robicie wszystko, co możecie, żeby im zapewnić bezpieczeństwo. Jak najwięcej z nimi rozmawiajcie. Mówcie, co czujecie. Musicie sami umieć radzić sobie ze strachem. Nie wpadać w panikę. Nie oglądać tyle telewizji! Zawsze zadać sobie pytanie: w jakim stopniu mój strach jest wywołany przekazami medialnymi, a w jakim stopniu – realnym zagrożeniem? Róbmy swoje. Wychodźmy, żyjmy! Nie wycofujmy się! Pokazujmy dzieciom, że tam, gdzie dzieje się zło, zwykle też pojawia się dużo dobra. Ostatnio wystraszyliśmy się „incydentu peszawarskiego”, straszliwej tragedii. Jednak nawet on wywołał falę odruchów dobra, życzliwości, solidarności. Dobra jest więcej niż zła. Zło nie jest najsilniejsze. To trzeba koniecznie pokazywać dzieciom.

Proste rady najtrudniej wcielić w życie. Nie oglądamy telewizji, rozmawiamy dużo, ale i tak często wiem nie więcej niż moje dziecko.

– Mama! A dlaczego oni strzelają? A czy jak wyjrzę przez okno, to mnie zabiją? Dlaczego jedni ludzie na świecie są dobrzy, a drudzy źli? A jakbym im zabrał wszystkie karabiny?

– Chyba musiałbyś je spalić.

– Nie spaliłbym. Położyłbym je na miejsce. A ich bym zamknął i przywiązał.

Dastarkhan

Karmię znaczy kocham

Jedzenie jest bardzo ważne, może nawet najważniejsze. To nie tylko konieczność, lecz także olbrzymia przyjemność. Nikt nie przyjdzie na imprezę, jeśli wie, że podadzą tylko herbatkę i ciastka – bez porządnego jedzenia żadne wydarzenie się nie uda. *Food streets* to ukochane miejsca rozrywki. Jedzenie to też oś domowego życia. Mężczyźni utrzymują rodzinę i oczekują, że w domu zaczerpną sił. Kobiety karmią dzieci i mężczyzn. To ich życiowe zadanie, które traktują jak misję i rzadko kwestionują.

– Jedz, jedz, synku – zachęca moja teściowa, cmokając dla wzmocnienia efektu, za każdym razem, gdy przechodzi obok jedzącego Michała.

Gdy nikt nie widzi, mężczyzna wkłada jedzenie kobiecie do ust, zostawia dla niej najlepsze kąski. Jedzą sobie z dzióbków i nie ma w tym nic komicznego, tylko czułość i bliskość.

„Karmię” znaczy tyle, co „kocham”. Przekazuję energię. Dbam o zdrowie i siły moich bliskich. Kiedyś nadchodzi moment, gdy mama już nie przytula dziecka, a na pewno, nie aż tyle co dawniej. O miłości się tu nie mówi. Czułość i troskę wciąż można okazywać karmieniem.

– Daj mężowi banana! Mandarynkę! Jabłko! – powtarza teściowa. Dla mnie dom znaczy też wolność. Karmienie na siłę przypomina mi tuczenie gęsi. Zapraszanie i zachęty – oczywiście. Ale przymuszanie? Dorosły człowiek wie, gdzie leży jedzenie. Posila się, gdy ma ochotę.

Gdy nie jem – wysyłam czytelny sygnał, że kogoś odrzucam. Nie lubię, nie szanuję, wyrażam swoją złość. Zawsze zmartwię kucharkę i gospodarzy. Jeśli Wasim nie je, mama jest niepokieszona. Jeśli ja nie jem – też odczyta moją

odmowę zawsze na dwóch poziomach, nawet jeśli będę w zamian pić zioła i powtarzać, że boli mnie brzuch. Przekłety zwyczaj porozumiewania się aluzjami i inscenizacjami, podczas których słowa odgrywają tylko pomocniczą rolę – to, co powiedziane wprost, często i tak nie zostanie wysłuchane. Liczy się zachowanie. Gest. Skoro nie uczestniczę we wspólnym posiłku, teściowa jest pewna, że nie chcę jej troski. Nie potrzebuję jej. Nie chcę czerpać od niej siły. Odmawiając jedzenia, można okazywać swój brak akceptacji dla porządku panującego w domu.

Na tej samej zasadzie działają zachowania o pozytywnej wymowie. Przez żołądek do serca. Żeby udobruchać ojca, Faiza przygotowuje mu ulubioną kimę – danie z mielonego mięsa. Żeby dogodzić bratu, z namaszczeniem lepi maleńkie kofty (okrągłe kotleciki), smaży je przez dobry kwadrans w głębokim oleju i zanurza w pachnącym sosie. Roti, które rzuca na tawę, są dziś idealnie okrągłe, równiutko przypieczone i listkują się kilka razy.

Po obiedzie przygotowuje deser o szczyropakistańskim, jak wieść głosi, rodowodzie – *śahi tukre* (*tukre* – dosł. kawałki, odłamki; *śahi* – królewski, od *śah*: król). Nasącza chleb tostowy, usmażony w *ghi* na złocisty głęboki brąz, rzadkim budyniem ze skondensowanego słodzonego mleka, mąki kukurydzianej i kardamonu, dodaje aromat i posypuje ulubionymi orzechami. Tata od lat choruje na cukrzycę. Jego zużyte granatowe strzykawki po insulinie walają się po domu, bo dzieci się nimi bawią.

– Czy tata może to jeść?! – pytam z niepokojem.

– Raz na jakiś czas może! I tak wstrzykuje sobie lekarstwo! – mówi Faiza i puszcza do mnie oko.

Tata jest zachwycony. Dał się udobruchać.

– O mojej córce można powiedzieć różne rzeczy, ale trzeba przyznać, że gotuje świetnie! – mówi, oblizując łyżeczkę. – Żyje się raz! Jeśli wszechmocny Bóg chce mnie zabrać dziś, zabierze, nawet jeśli będę trzymał dietę! A jeśli nie chce, to przecież porcja *śahi tukre* Go nie przekona, żeby zmienił Swoje plany.

Następnego dnia śpi do trzynastej. Tym razem Bóg miał rzeczywiście inne plany.

W kuchni dom łączy się ze światem. Przetwarzamy tutaj to, co mężczyźni przyniosą nam z zewnątrz. Pieczołowicie zmieniamy naturę w kulturę, według odwiecznego wzorca. Surowe w gotowe do jedzenia. Chodzę czasem

na targ po kartofle, proszek do pieczenia, kolendrę, imbir, jakieś warzywa czy kawałek kurczaka. Po mleko, jogurt i nan wysyłani są mężczyźni. Zakupy robi też teść, który płaci chłopcom za przyniesienie sprawunków do domu. Raz na dwa tygodnie Wasim jeździ na duże zakupy.

– Coś przynieść? – pytają zawsze, gdy wychodzą.

– Idę po pomidory – mówię, wkładając buty. Siostrzeniec zrywa się sprzed telewizora:

– *Mami* (ciociu)! Ja pójdę! Nie ma mowy, nie idź! Tu wszystko może się zdarzyć!

Nie gotują. Przychodzą, gdy trzeba złożyć robot kuchenny z dwudziestu części, czasem pomagają obrać imbir i czują się wtedy niesamowicie potrzebni i ważni. Wasim jest w tym otoczeniu wyjątkiem: zdarza mu się myć naczynia, gotować razem ze mną, a wręcz samemu coś przyrządzić. Robi na przykład czatnej z pędów czosnku i prażonego chili. Gotuje mi kartofle i inne warzywa.

– Zawsze taki byłem – mówi. – Dziwny.

Bywa, że wychodzimy na kolację. Czasem przynosimy coś z ulubionej restauracji. Kupujemy chleby z pieca *tandur*, bo w domach prywatnych takie piece to rzadkość: *taftan*, nan z mąki zmieszanej z kaszą manną i słodki pyszny *śirmal*. Inicjatywa dostarczenia jedzenia z zewnątrz zwykle wychodzi od mężczyzn.

Czasem rano któryś z nich pyta:

– Ile zjesz puri?

I przynosi halwa puri (kruche, tłuste placki puri smażone w głębokim oleju), dwa rodzaje sosu – z ziemniakami i z ciecierzycą, aćar (pikle) i pomarańczowo-żółtą halwę z kaszy manny. Ta halwa nie ma jednak nic wspólnego z halwami sezamowymi czy słonecznikowymi, które znamy z polskich sklepów, tutaj to długo smażone desery, zwykle o konsystencji gęstej masy (choć bywają też twarde, na przykład *sohan halwa* z mąki, wody, masła klarowanego, mąki kukurydzianej, cukru i orzechów).

Albo paratha malai (słodkawy placek *laćha* paratha z białej mąki). Próbowałam je robić wiele razy sama, ale nigdy nie udały mi się tak jak im. Malai to „śmietanka”, a w zasadzie kożuch, zbierany z gotowanego mleka, posypany cukrem. Nastawiamy herbatę. To najlepsze śniadanie na świecie.

Wasim i pozostali domownicy są jednak fanami świeżutkiego domowego jedzenia. Nie wolno dać się zwieść, gdy mówią:

– Jestem bardzo prostym człowiekiem. Dziękuję Allahowi za to, co mi daje (spojrzenie w górę). Wystarczy mi roti i trochę salanu albo dal i ćawal (ryż).

Wystarczy, że spróbują salanu autorstwa początkującej pakistańskiej kucharki, żeby okazało się, że nie są aż tak prości.

Zadanie domowe – polski „rejs” po pakistańskiej kuchni

Przeczytałam kiedyś, że:

na podstawie koloru, temperatury, połysku i tekstury wnioskujemy o smaku i zapachu potraw. Poprzez to, jak rzeczy wyglądają, jak układają się w dłoniach, jak pachną i brzmią (skwierczą, bulgoczą, chrupią), potrafimy odróżnić dobrą potrawę od złej, określić jakość produktów. Nasze oczy pozwalają nam smakować z dystansu, a znajome kolory i kształty pobudzają pamięć sensoryczną doświadczanych już niegdyś smaków, zapachów, tekstur^[42].

I zaraz pomyślałam o sobie w Karaczi.

Ze słowiańską „pamięcią sensoryczną” – a tylko taką miałam – trudno się poruszać po pakistańskich smakach. Muszę gotować i mierzyć się z rodzinną pamięcią sensoryczną ukształtowaną w Pakistanie, a wcześniej w okolicach indyjskiej Patny, gdzieś bardzo daleko. Nie wiedziałam i wciąż zgaduję, jak według moich domowników p o w i n n o smakować jedzenie. Która potrawa jest dla nich dobra, której nie przełkną? Co ma być moim punktem odniesienia, skoro na początku wszystko wydaje się jednakowo dziwne?

Domowe jedzenie było dla mnie bardzo ciężkie i niesamowicie ostre. Tonęło w oceanach wrzącego, czasem przepalonego oleju (co prawda potem pracowicie odsączanego). Kojarzyło mi się ze srogą zimą, nie z czterdziestostopniowym upałem. Zdradliwe, bo w pierwszej chwili przepyszne. Zaczynało palić przełyk dopiero po kilkunastu sekundach. Ostre i dziwne. Pomarańcze z solą i chili, arbuz z solą, cebula z chili i cukrem, słodzona ciecierzycza z ostrymi przyprawami, cola z mlekiem, lody z makaronem, bardzo charakterystyczny sztuczny aromat *kewra water* (wody z syropem pandanowym) i syropu Rooh Afza. Na wieść, że w Polsce dodajemy „sabud masala” (goździków, pieprzu, kardamonu, cynamonu –

przypraw używanych tu do mięs czy ryb) do ciasta i owoców, domownicy wywracają oczami. Pogardzili moimi pysznymi pierniczkami. Robię im teraz tylko wypieki waniliowe i czekoladowe. Staram się nie szaleć z pieczeniem, bo nie dość, że w kuchni robi się wtedy straszliwie gorąco, to na palnikach płomyk dramatycznie niknie i nie ma mowy nawet o zrobieniu herbaty.

Próbować jest łatwo i ciekawie, przyjemnie; w najgorszym razie – znośnie. Prawdziwe schody zaczęły się, gdy już straciłam status gościa. Znikł rodzinny lęk, że się poparzę, zmęczone i potnę. Pojawiło się normalne domowe oczekiwanie: że synowa pomoże teściowej w kuchni. W obcym wszechświecie z obcymi przyprawami i o innych rozmiarach – pięciolitrowe butle oleju, worki mąki, ryżu, cukru, wsypywane do wiader i ogromnych garów.

Skąd mam wiedzieć, że czarnuszka pasuje do warzyw zimowych, a do innych nie i jakie to są „warzywa zimowe” w tym wiecznie zielonym klimacie? Że cebula jest traktowana jak przyprawa? Że mam robić pastę z chili i kurkumy? Że warzywa kroi się aż tak regularnie i równo?

Jak się gotuje ryż basmati, dlaczego mam go płukać aż tyle razy? Ile ryżu zje jedna osoba? Dlaczego mam nie wyrzucać ryżu, gdy widzę w nim robaki? Kiedy postawić na pokrywkę kamień do rozcierania? Jak się nauczyć tych kolistych ruchów? Delikatnego mieszania, sypania soli, mąki, wlewania *ghi* i oleju do mąki – to wszystko oni tu robią po okręgu! W jakim garnku co ugotować? (Każdy jest do czegoś! Weź *degci*, czyli co? Wyjmij *karahi*, czyli co?) Czym zamieszać? Kiedy tawa jest wystarczająco gorąca? Dlaczego moje pakory nie chcą się usmażyć? Do czego potrzeba „bardzo gorącego” oleju, a do czego tylko „gorącego”?

Przecież można spytać. Trzeba. Kto pyta, nie błądzi.

A jednak na początku życia w nowym domu – nie można. Po pierwsze, wyganiają cię z kuchni. Musisz sama się tam wepchnąć, jeśli masz z czym. Ja nie miałam. Nie umiałam gotować po pakistańsku. Moja szwagierka, która poślubiła tak zwanego gudżarackiego memona (członka memonów, jednej ze starych kupieckich społeczności zamieszkujących Karaczi, a wywodzącej się z Gudżaratu w Indiach), nie umiała po gudżaracku/memońsku i też ją wyganiaли.

– W czymś pomóc?

– A jak ty mi możesz pomóc? – pytała teściowa, porzucając nagle język aluzji.

– Mama mi będzie mówiła, a ja będę robiła. – Tak wydawało mi się najprościej.

– Wrzuc dwa goździki. I jeden strąk kardamonu – mówiła czasem, gdy nie dałam się odgonić od garnka. Wrzucałam. Potem ona dodawała jeszcze jeden goździk. I dwa zielone kardamony. I jeden czarny. I liść laurowy. Tym mnie zniechęcała zupełnie.

Ile? Na oko. Teściowa po prostu wie. Ile oleju? Kiedy wyłączyć ryż – rozciera go w palcach. Ile wody do pulao, ile przypraw do czego. Przepisy z internetu nikomu w domu nie smakowały (teraz już wiem, który może im posmakować). Ani, niestety, z opakowań przypraw. Na opakowaniu napisane: trzysta gramów jogurtu, u nas dają dwie łyżki, bo będzie za kwaśne. Na opakowaniu: dwa zielone chili, u nas – pięć. I tak dalej.

Ze smakami bywa jak z upodobaniami muzycznymi Inżyniera Mamonia w filmie *Rejs*: „Proszę pana, ja jestem umysł ścisły. Mnie się podobają melodie, które już raz słyszałem. Po prostu. No... To... Poprzez... No, reminiscencję. No jakże może mi się podobać piosenka, którą pierwszy raz słyszę”.

Domownicy, z wyjątkiem Michała, mówią zdecydowane „nie” buraczkom, barszczowi i innym zupom, temu, co gotowane (chyba że to jajko zimą), polskiemu chlebowi, zwyczajnej pizzy i makaronowi na sposób włoski, pierniczkom, ciastom ze świeżymi owocami, kiszonej kapuście i ogórkom – nawet tym z Iranu. Pizzę, lazanie i makaron trzeba dla nich przyprawić przynajmniej zielonym chili, imbirem i niezmieloną garam masalą, czyli mieszanką pikantnych przypraw (a najlepiej jeszcze kolendrą). Zioła prowansalskie dziwnie pachną. Niedobre są: zielona pietruszka, liście bazylii, ziele angielskie, majeranek, rozmaryn. Dobra – kolendra, mięta, koperek. Na szczęście niesmaczne danie można zawsze uratować ćat masalą i ostrym keczupem o smaku czosnkowym. Wypiją ostry rosół, zjedzą frytki. A także – to zasługa Anglików, którzy upowszechnili te smaki – keks, babkę piaskową i ciasto czekoladowe.

Opowiadałam pewnej starszej Pakistance o swoich wzlotach i upadkach w gotowaniu dla rodziny. Starsza pani pokiwała głową.

– Znam jedną Niemkę – powiedziała – też żonę naszego chłopca. Przez trzysta sześćdziesiąt cztery dni w roku gotowała im to, co lubią. Tylko ich jedzenie. Ale jednego dnia usmażyła rybę, tak po swojemu. Wiesz, co

zrobili? Wyrzucili do kosza! Bo co to jest?! Przecież oni nie będą tego jeść!

Po kilku miesiącach roti, biriani i sosów okazało się, że podobnie jak inżynier Mamoń i moja pakistańska rodzina, też mam umysł ścisły. Nie ja jedna. Patricia, amerykańska antropolożka, która pracuje w Azji od 1997 roku, opowiedziała mi, jak raz trafiła na kukurydziany chleb podobny do tego, który pamiętała z dzieciństwa. Odżyła! Meggi, Niemka, która też mieszka w Karaczi, zaczęła w końcu piec chleb na własnym zakwasie. Co z tego, że czasem przypomina cegłę, bo warunki nie są zbyt sprzyjające. To jej ukochana cegła!

– Roti, ćawal, roti, ćawal! Ileż można! – mówi z irytacją.

Łarisa ze wschodniej Ukrainy piecze chleb borodiński i kisi buraki. Ja zaczęłam kisić kapustę na balkonie, robić twaróg z domowego zsiadłego mleka, hodować zakwas i piec chleb. Gotowałam kaszę jaglaną, krupniczki na kozinie i rosół z domowym makaronem. Tarłam kartofle na placki. Tęsknota za polskim jedzeniem przestała mi doskwierać, odkąd wiem, że w każdej chwili nie tylko mogę odtworzyć utęskniony smak, ale wręcz muszę – bo Michał nie je ostrych potraw. Czasem Wasim przynosi mi z Empress Market siaty pełne selera naciowego, kiełków soi, pora i natki pietruszki, które potem muszę konsumować w pojedynkę. Polubił kiszenie ogórków („Lubię te kolory!”). Bliscy z Polski wysyłają mi paczki, w których zawsze jest żurek, barszcz, suszona włoszczyzna i kisielki instant.

Jak już się otwierać na nowe smaki, to na całego. W Karaczi mieszkają podobno przedstawiciele ponad stu grup etnicznych z całego subkontynentu – nic dziwnego, że mogę tu kupić w zasadzie wszystko, czym ta część Azji bogata: kokosy, nieznane mi gatunki ryżu, rośliny strączkowe w pełnym asortymencie, setki przypraw, liści, orzechów, ziół, nasion. Co za przestrzeń do eksperymentów! Skoro nie chcą polskiego, ugotuję im azjatyckie! Wózki, stragany i półki uginają się od fascynujących, misternie ułożonych produktów. Zawrotnie pachną nieznane przyprawy, nieznane owoce i warzywa. Czasem w ogóle nie wiadomo, co to jest. Artefakt, minerał, korzeń, owoc? Ach!

Tymczasem oni już swoje przetestowali.

– Jemy wszystko, byle było smaczne! – Takimi słowami, jak już wspominałam, zarzekali się na początku. – Jeśli jest smaczne, to obojętnie, jak przyprawisz! Byle było dobre! – przekonywali.

Zachęcona, raz zabrałam się za krewetki, które Wasim przyniósł z targu rybnego.

– W naszym domu – na te słowa teściowa położyła szczególny nacisk – nie je się liści *kari* (rośliny, od której pochodzi używana w Europie nazwa „curry”). – Taki komentarz usłyszałam, gdy dodałam do krewetek składnik zasugerowany w przepisie na opakowaniu masali. – Jedzą je Sindhijczycy i Bengalczycy.

– Ja lubię liście *kari*! To ona nie lubi, więc ich nie dodaje – zaprotestował teść.

– Ja jem tylko kurczaki. Ani ryb, ani wołowiny, ani koziny – ogłosił wtedy siostrzeniec. Ale zjadł.

– Arif nie je ryb, więc nie je też krewetek. – Teściowa wzruszyła ramionami. – Dziś zje jajko.

Zadanie domowe: ugotuj obiad zgodny z porą roku, przy którym nikt z twojej rodziny się nie skrzywi

Teść nie je wołowiny (która ma gorący *tasir*), rzadko kurczaka, najczęściej kozinę i ryby. Asma je tylko gotowanego kurczaka albo sam sos, bez mięsa. Arif zje każde mięso, ale nie tknie ryby. Teściowa je bardzo mało, ale sprawia czasem niespodzianki – gdy myślimy, że nie będzie chciała, to zjada z apetytem. Każdy też wie, ile chili lubi, czy lubi kumin, ziarna kolendry i iks innych przypraw w konkretnych potrawach. Ktoś lubi roti cienkie, inny grubsze, ktoś tłuste, ktoś bez *ghi* lub oleju, ktoś z meidą (białą mąką) i sezamem. Jednemu odpowiada dal płynny, drugi woli suchy na gęsto, ze szpinakiem, z portulaką (*khurfa*), która dla innych jest zbyt gorzka; trzeci woli z liśćmi gorczycy; ten lubi więcej czosnku, tamten mniej, ten herbatę z dolewaniem mlekiem, ten z mlekiem w proszku, a tamten *dudh patti* (gotowaną z mlekiem). I na dodatek każdy ma swoje ulubione sztucce!

– Gdzie jest mniejsza łyżka? Tylko ona idealnie pasuje do moich ust! – usłyszałam kiedyś.

– Zawsze ktoś będzie niezadowolony. To normalne w *joint family*. Musisz się z tym pogodzić i się nie zrażać – mówi Pendżabka, którą poznałam w kościele. Zagadnęła mnie o życie w rodzinie i kiwa głową ze zrozumieniem.

To, co jemy, i tak jest dla mnie całkiem nowe. Jak każdy dom, nasz też ma swoje kulinarne sekrety i ulubione smaki. Jedzenie u nas smakuje trochę inaczej niż w rodzinach pendzabskich czy sindhijskich. Żona przyjaciela, Sindhijka, przyrządza świetną rybę, na mój gust znacznie lepszą niż nasze ryby w sosach. Wasim nigdy się nie częstuje, gdy przyjaciel stawia ją na stole w biurowej kuchni.

– Nasza jest smaczniejsza – tłumaczy.

Północnoindyjsko. Bez białego sera panir w jakiegokolwiek postaci. Mamy specjalny miejscowy aluminiowy przyrząd do produkcji pięknych gomulek paniru, ale to na moje zamówienie – ser jemy tylko ja i Wasim. W rodzinie nie gotuje się pysznego palak paniru (sera w sosie szpinakowym) ani sera smażonego w przyprawach. Nie dodajemy też do potraw mleka kokosowego ani wiórków kokosowych.

– Kokos jedzą w Hajdarabadzie!

Nie jemy baraniny.

– Baraninę jedzą Pasztuni i Beludżowie – słyszę od rodziny. Tylko Wasim czasem kupuje baraninę dla kolegi Beludży, który mieszka w rejonie, gdzie trudno ją dostać, i odkroi dla mnie kawałek, niech mam swoją egzotykę.

Sarapatel (rodzaj gulaszu wołowego, oryginalnie wywodzącego się z Portugalii, a w Azji Południowej rozpowszechnionego poprzez Goa, była kolonią portugalską w Indiach) jest niedobry. Pulao po kabulsku, wspaniałe danie z paskami gotowanej marchewki i rodzynkami – my tego nie jemy. Nasiona adżwainu rozgrzewają i są gorzkie, więc też nie dodajemy. Kozieradka – nie. Czarna sól – nie. Liście gorczycy – owszem, czasem, ale są gorące, więc z umiarem. Olej gorczyczny lubią bardzo, ponoć jak wszyscy Biharczycy.

Nie pozostaje mi nic innego jak dążyć do odtworzenia w ł a ś c i w e g o smaku. Nauczyć się, kiedy jedzenie będzie właśnie takie, jak ma być, jakie zostanie zaakceptowane. Takie, jak jedzą oni, a nie jakaś inna grupa. Poznać cały proces od podszewki. Wąchać na każdym etapie. Wiedzieć, kiedy cebula już osiągnęła właściwy odcień, a kiedy jeszcze jest surowa („surowe” znaczy zupełnie co innego dla mnie i dla nich). Wiedzieć, że m y lubimy na przykład, gdy bazą sosu jest smażona cebula zalana zmieloną surową cebulą, a pod koniec dodajemy jeszcze cebulę podsmażoną na złoto i pokruszoną. Że przy odgrzewaniu dosypuje się pieprzu. Że nie jemy nic gotowanego. Co jest „lekkie”, a co „ciężkie”. Ile oleju wlać i do jakiej mniej więcej temperatury

go podgrzać. Najbardziej żal mi zielonego groszku, który kojarzy mi się z latem i ogrodem. Jego cała delikatność ginie zatopiona we właściwym smaku – ostrej masali (mieszanki) ze zmielonej cebuli, chili, kurkumy, czosnku i imbiru.

Gotowce

– Nie umiem zrobić innego nihari niż Shan. – Nie wiem, jak doszliśmy do tego smutnego wyznania, które uczyniłam, pijąc kawę u naszego przyjaciela Muhammada.

– Tak? Nie ty jedna. Moja żona zrobiła w Id (jedno z dwóch głównych świąt muzułmańskich) właśnie nihari z torebki firmy Shan – posępnie westchnął Muhammad. Nie była to wielka pociecha. Żony, pięknej, nowoczesnej i tak inspirującej, że chyba każdy mężczyzna mógłby jej wybaczyć korzystanie z gotowych masali, akurat nie było w pobliżu.

Gdy stoi się w kolejkach do kasy, łatwo zauważyć, że niemal w każdym wózku i koszyku są pudełka Shan, National, Laziza, Mehran. Podstawową masalę do większości potraw robi się z cebuli, zielonego chili, imbiru, czosnku i przypraw, które miesza się samemu. Albo można skorzystać z gotowca. Wtedy smak nie jest wcale zły. Niestety.

– Gotowce to śmierć naszej kuchni! – narzeka inny przyjaciel, Amer. – Jeśli się tego nie zatrzyma, to jedzenie wszędzie będzie smakować tak samo! A przecież to przyprawy odróżniają jeden dom od drugiego! Jedną grupę od innej! Mieszanie przypraw to sztuka, której uczyły się dziewczęta przed zamążpójściem i po ślubie!

– *Bhabhi*, studiuję biznes i administrację, piszę w gazecie studenckiej, nie mam czasu na gotowanie – opowiada mi kuzynka Rahila, którą jednak już niedługo nieuchronnie czeka ślub. – Zwykle korzystam z przepisu na opakowaniu przyprawy – wyznaje ciszej. – Albo go sobie przepisuję do zeszytu.

Nadźdżar jest Pendżabką z Gudźratu (miasto w Pendżabie, nie indyjski stan) o twarzy indyjskiej bogini. Podaje wspaniałe nihari.

– Ono jest takie dobre, bo Śahbaz – (czyli jej mąż) – całe jedzenie przywozi z rodzinnej wioski. Tę wołowinę też, kości i mózg – mówi Nadźdżar, gdy już jestem w kobiecej części domu. – A przyprawiam je Shanem z torebki. – Nie do końca w to wierzę. Może, zamiast kierować się

przepisem na opakowaniu, dodaje pół łyżeczki proszku z torebki na garść własnoręcznie sporządzonej mieszanki? Pół szklanki oleju, a nie całą, więcej cebuli, mniej chili? Tak jak ja?

Teściowa też robi z torebki.

Prędzej znajdę przepis na nihari od podstaw w internecie czy książkach niż wśród znajomych Pakistanek!

Kobięcy los

Gotować!

Cały dzień nic, tylko gotować! Chyba że zlecisz to *masi* albo kucharzowi i tylko wydajesz polecenia. Ale lepiej co jakiś czas do nich zaglądnij.

Rano wstajesz i jeśli nie przygotowałaś wieczorem ciasta na roti, musisz je teraz zagnieść. Wyrabiać kilka minut i odłożyć. Będzie gotowe za kwadrans. Nastawić mleko, nastawić herbatę. Zrobić *ćapati* lub *parathę*, usmażyć jajka.

Proste?

Mleko – proste. Na początku bali się, że nie podołam. Nie przypuszczali, że w zachodnim kraju też ktoś może gotować mleko. Czy ktokolwiek w amerykańskich filmach stoi z łyżką nad mlekiem i pilnuje, żeby nie wykypiało? A tymczasem mleko w aluminiowym garnku to jedno z moich najwcześniejszych wspomnień. I proszę: przejechałam sześć tysięcy kilometrów, żeby przenieść się w mleczną krainę dzieciństwa.

Nastawić herbatę.

Ile łyżeczek, żeby nie była za mocna? Jak długo ją gotować?

– Patrz po kolorze!

– Mieszaj!

– Za mocna!

– Gorzka!

– Co to za lura?

Wasim lubi półtorej łyżeczki cukru. Mama dwie łyżeczki, dzieci też półtorej. ZARBAB lubi herbatę z *nido* – mlekiem w proszku Nestlé. ŚADAB – żeby zmieszać mleko bawole (czyli to, które gotujemy) z *nido*. Teść lubi, gdy herbatę ugotować z mlekiem, no i dodać słodzik. Czasem pije z kardamonem.

Zrobić roti umie każda kobieta. Tego się od niej w domu oczekuje, choć

białe żony, a także bogate zamężne Pakistanki czasem demonstracyjnie udają, że nie umieją, nie będą męczyć swoich wypielegnowanych dłoni, i wysyłają mężów po roti „na dół”. W innych rodzinach już pięcioletnie dziewczynki potrafią wywałkować równiutki okrąg. *Gol* (okrągłe) roti.

– Jak byłyśmy małe – opowiada Tabita – mama uczyła nas robić ćapati wałkiem. Gdy już się dobrze nauczyłyśmy, zabrała nam wałek. Ćapati można robić samymi dłońmi. Wyciągać palcami i klepać. Ale już tak nie umiem. Jak przestajesz to robić, wychodzisz z wprawy.

– Napisałam nawet opowiadanie – mówi Madiha, studentka literatury angielskiej. – O okrągłym roti. Choćbyś się nie wiem ile uczyła, nie wiem ile osiągnęła, to i tak, gdy wyjdiesz za męża, twoja teściowa poskarży się na ciebie: „Ona nie umie zrobić okrągłego roti”.

– Próbuje, próbuje! – podają mi długi cienki wałek i śmieją się z mojej nieudolności.

To tylko mąka, woda, sól i olej. Czasem czarnuszka, adźwain albo sezam. „*Roz ki roti*” – tak brzmią słowa „chleba naszego powszedniego” w modlitwie *Ojciec nasz* w języku urdu. Głupi placek: a to był za gruby, a to za cienki, za twarde, surowy w środku, przypalony, niesłony, za słony. Okropny. Niepowodzenia uczyły mnie, że ciasto trzeba długo wyrabiać pięścią, że ma być nie za miękkie ani nie za twarde, ale jeśli na ćapati – może być miękkie, a gdy będzie z niego nadziewana paratha, trzeba twardsze. Najpierw musi odpocząć, po wyjęciu z lodówki trzeba je lekko ogrzać. Wałkuje się, uderzając. Upłynęło sporo czasu, zanim moje ćapati zaczęły wychodzić okrągłe. Placek nie może być za cienki ani za gruby; jeśli robię parathę, to oleju musi być w sam raz, tawa musi mieć właściwą temperaturę, przewracać trzeba maksymalnie dwa razy, a potem placek – o odpowiedniej grubości – wrzucać do „urny”, garnka trzymającego ciepło. Można też zawijać w ściereczkę albo przykrywać. Nie da się zrobić ćapati na zapas, bo stają się twarde jak podeszwa.

Czasem rodzina zażyczy sobie innych rodzajów roti: puri (smażonego w głębokim oleju), khasta kaćori (małego nadziewanego chlebka – też w głębokim) albo parathy nadziewanej kartoflami, żółtym grochem lub rzodkwią.

Do tego jajko, smażone na gorącym oleju i polewane nim z boków i z góry, z solą i pieprzem. Biało ma być ścięte i ściśle, a żółtko płynne, żeby można było zanurzać w nim kawałki placka. Przyprawy: sól i pieprz,

czasem w miseczce cebula czerwona posiekana w cieniutkie piórka, ocet, sól, pieprz i zielone chili w plasterkach. Albo omlet z drobno posiekaną cebulką, solą, pieprzem i zielonym chili (czasem z natką kolendry i pomidorem).

Daniami śniadaniowymi są: paja (kozie nóżki w mocnym rosole z przyprawami, które gotuje się całą noc) czy nihari (rodzaj gulaszu); za najlepszy uchodzi tutaj z wołowiny z kością szpikową, a jeszcze naj-najlepszy jest magaz nihari, czyli z mózgiem – te dania jednak u nas w domu rano pojawiają się bardzo rzadko, chętnie jemy je na kolację. Nigdy na obiad, bo nie podaje się do nich ryżu, a obiad jemy z ryżem.

Gdy wszyscy zjedzą śniadanie, zaczyna się gotowanie obiadu. O dziesiątej warto już mieć w głowie gotowy plan.

Podstawą jest dal ćawal. Dal i ryż. Dom w Karaczi pachnie ryżem, dalem, koperkiem, cebulą smażoną z chili i przyprawami.

Ryż gotujemy bez przypraw. Teściowa myje go kilka razy, wrzuca do zimnej wody, podgrzewa, po zagotowaniu dodaje masło albo olej, odcedza, stawia znów na gaz, w przykrytym garnku. Równocześnie robimy dal – soczewicę o konsystencji sosu, a wręcz zupy – zwykle mieszamy *mung* i *masur* (żółtą i czerwoną), gotujemy, dodajemy tarkę (mieszaną przypraw wcześniej podsmażoną na oleju), przyprawy i zieleninę. Do tego „coś”. Jeśli nie ma nic, podajemy z aćarem (dla dorosłych i chłopców; dziewczynkom nie podaje się aćaru ze względu na przekonanie, że od aćaru – kwaśnego i przyprawionego gorącymi przyprawami – szybciej rosną piersi!) i domowymi czipsami lub paparami (chrupkami cieniutkimi plackami). Dodatkami do dal ćawalu mogą być na przykład kebab, kima (mielone mięso), *bhudża* (pysznie przyprawione warzywa, u nas często kartofle), a przede wszystkim salan. Jego podstawą jest masala (różnie przyprawiony sos z cebuli i pomidorów, w którym dusi się co dusza zapragnie – kurczaka, kozę, rybę, krewetki, ciecierzycę, smażone jajko, ziemniaki, groszek). Latem do salanu dodaje się „wodnistych” jarzyn, takich jak *loki* (kabaczek), *tinda* (okrągła mała cukinia), szpinak (u nas często z kożą) albo inne liście, na przykład gorczyca i portulaki. Zimą do wszystkiego dosypujemy zielonego groszku, jemy więcej kalafiora, ziemniaków, marchewki i rzepy (*śeldżam*). Dodatkowo można podać same warzywa – *tori* (po polsku: niedojrzały owoc trukwy, przypomina trochę ogórek – ponoć to to samo co luffa, z której robi się naturalne gąbki do masażu, tylko w innym stadium dojrzałości) ze smażonym jajkiem, kalafior z ziemniakami (*alu gobhi*), smażoną okrę,

ogórkowatą gorzką karełą, jarzynkę z bakłażanów. Danie główne zawsze jest ostre, słone i wyraziste, mocny smak ma też dal. Reszta posiłku, oprócz aćaru albo czatneja, jeśli są, ma delikatny smak. Trzeba też pokroić pomidory, cebulę lub ogórki, a w sezonie – marchewkę, białą rzodkiew, a nawet surowego buraka. Zrobić raitę – rozbełtać jogurt z solą i podprażonym zmielonym kuminem. Wyjąć aćar. Usmażyć kruchutkie papary (które kupujemy w sklepie; tylko wiejskie kobiety sindhijskie wciąż jeszcze same robią papary) albo domowe chipsy ziemniaczane – nie frytki, tylko cieniutkie talarki krojone na specjalnej tarce.

Raz robiłam naleśniki dla Michała. Na obiad.

– To nie jest jedzenie! – skomentował teść, który przyszedł do kuchni popatrzeć, co robię. – Miku nie będzie tego jadł! To pakistańskie dziecko!

– O, robisz *dosa*? – spytała teściowa. Zrób też dla mnie do herbaty. Posyp je cukrem.

Gotując obiad, dać domownikom owoce, podać herbatę. Podać obiad dzieciom, gdy wrócą ze szkoły. I wszystkim innym.

Wykąpać się i pomodlić, jeśli się praktykuje, a najczęściej tak jest. Kobiety są pobożniejsze, także w Karaczi, choć często nie dają rady modlić się pięć razy dziennie, zwłaszcza popołudniami.

Wymyślić kolację. Może nawet już zacząć ją robić. Można tradycyjnie, a można coś zmienić. Makaron z sosami, pieczone mięso – pyszne, ale niepraktyczne (w prodiżu – zżera prąd, a na gazie – blokuje dostęp do kuchni, póki się piecze, więc najlepiej je piec nocą). Sałatka nazywana tu „rosyjską”, czyli nasza stara dobra jarzynowa.

Podać herbatę z chrupkami, ciastkami, czymś smażonym (nawet którymś z rodzajów dmuchanego ryżu: *murmure* lub *ćełda*; z nasionami lotosu – makhaną – albo kasztanami wodnymi). Pamiętać o modlitwie. Teraz już na pewno pora przygotowywać kolację, no, chyba że chodzi o parathę i jajko. A zanim wszyscy zjedzą tę kolację, upłynie kolejna godzina.

Kto ma o to wszystko dbać, zlecać zadania młodszym, organizować, pilnować, żeby zawsze był zapas żywności? Przyrzęczać i podawać?

Kobiety. Jedna, kilka – czasem ich rola sprowadza się do wybrania odpowiedniego zestawu potraw.

– Co dziś gotujesz? – pyta mnie Wasim, gdy jestem w Polsce

i rozmawiamy przez Skype'a. Odpowiedź: „Odgrzewam kopytka z przedwczoraj, a kapustę kiszoną kupiłam rano” raczej go nie uspokoi.

– Co ci ugotować? Masz ochotę na coś konkretnego? – pytam go w Karaczi.

– Zjem to, co ugotujesz – mówi. Ależ mi pomógł.

Zupełnie zwykłym pytaniem, gdy sąsiadki mijają się na schodach, jest: „Co dziś gotujesz?”.

– Gotujemy kimeę (w oryginale: keema – danie z mielonego mięsa)! – opowiada mama swojej córce i przez kolejne parę minut rozwija temat (z czego, jakie przyprawy, co do niej podamy, co planujemy na kolację, co zjedliśmy na śniadanie).

– Co już umiesz gotować? – pytają wszyscy, których odwiedzam.

– Nie bierz zbyt wykształconej żony! – pouczał kiedyś teść siostrzeńca. – Kuchnia nie wystarczy jej do szczęścia! Nie będzie ci dobrze! (Ani zbyt pięknej! – dodał za chwilę. – Też nie będzie zadowolona).

– Jakie pyszne! *Bhabhi* cudownie gotuje! – mówi każdy dobrze wychowany gość, żeby gospodyni splonęła rumieńcem szczęścia.

Dania wege

Pakistan to kraj mięsa. Wszędzie widać mięso: zabijane, sprzedawane, przyrządzane, jedzone z przyjemnością. Na szczęście jest z czego gotować potrawy bezmięsne przez cały rok – i miejscowi wegetarianie to robią.

Meggie mieszka tu od czterech lat. W Niemczech była wegetarianką, w Pakistanie wciąż stara się trzymać swoich zasad. Ma szczęście: mieszka z cudzoziemkami i może sama gotować. Jednak w pakistańskich domach jest podejmowana jak gość. Ma zatem do wyboru: dal, ryż, roti, mięso i czasem kaćumber (surówkę z cebuli, pomidora, ogórka, kolendry i soku z cytryny).

– Pakistańska kuchnia jest strasznie monotonna! – mówi. – Potwornie nudna.

– Możesz iść do restauracji wegetariańskiej w Clifton i Defence – radzę jej, bo jest nowa w Karaczi. – Albo do nas. Jemy sporo warzyw. Czatneje. Niestety, nie mamy kaszy i nic nie upieczemy, i też będzie dużo ryżu i dalu, ale może nie wszystkie potrawy znasz?

Jeśli jest sobota albo ktoś choruje, gotujemy khićri. Dzieci je uwielbiają –

ja też. Jest lekkie i pożywne. Papka z rozgotowanego ryżu i soczewicy, pachnąca przyprawami. Do tego bharta (ugniecione ziemniaki ze smażoną cebulką, natką kolendry, koperkiem lub świeżą miętą), aćar (pikle), cebula usmażona na oleju z gorczycy i pomidorowy czatnej. Zwyczaj jedzenia tej potrawy w soboty jest hinduski (kilka sobót z rzędu miało chronić przed złym wpływem Saturna). Nie wiem, czy muzułmanie z Biharu znają to wierzenie, ale też jedzą khićri w sobotę.

– Czasem też w czwartek – dopowiada Ruth z Pendżabu.

Jak zrobić khićri? Ryż i oba dale przemyć. Dodać całe przyprawy – cynamon, goździki, kardamon brązowy i zielony, chili. I czosnek. Podsmażyć lekko. Zalać wodą. Gdy będzie miękkie, rozbełtać i dodać tarkę: liść laurowy, cebulę, chili.

Bharta: chili, cebula, ziemniaki, drobniutko pokrojone koperk (lub mięta) i kolendra.

Pomidorowy czatnej: uprażyć pomidory, zdjąć skórkę, zmielić lub utrzeć z zielonym chili, dodać drobno posiekaną cebulę – odrobinę oleju z gorczycy, sól i ewentualnie uprażony zmielony kumin.

– Dziś na obiad było tehri – powiedziałam raz sąsiadom, przybyszom z Delhi. Na naszym osiedlu mieszkają różni *mohadźir*, czyli imigranci z Indii.

– Ha, ha, ha! Mówicie „tehri” na „tahari”? – roześmiał się sąsiad.

Podobno tehri wywodzi się ze stanu Uttar Pradeś w Indiach i jest jednym z niewielu muzułmańskich indyjskich dań bez mięsa. Gdy nikt nie widzi, wyskrobuję nawet to, co przywarło do dna garnka. Oni tego nie robią, ponoć z powodu zakodowanych wyobrażeń o nieczystości. Nie próbują, nie wyskrobują. To domowy *comfort food*, niesprzedawany w budkach, rzadko podawany gościom. Zbyt skromny.

Przepis na tehri

2 pomidory. 5 dużych cebul. 2 kartofle. Miseczka (200–300 g) zielonego groszku. 700 ml (trzy i pół szklanki) ryżu.

Pomidory i kartofle pokroiłam w małe równe kawałki. Powiedzmy, kartofel na ósemki czy szóstki, a te jeszcze na pół.

Cebulę zmieliłam z wielką ilością kuminu (2 czubate łyżki). To jedno z niewielu dań, do których dodajemy w domu kumin. Przysmażyłam ją na oleju z 1 brązowym kardamonem, 2 zielonymi, kawałkiem cynamonu i 3 liśćmi laurowymi.

Dodałam soli, kurkumy (łyżkę), czerwonego chili (dwie łyżeczki). Dalej smażyłam. Ma przestać być surowe, dobrze się usmażyć.

Dodałam pomidory, groszek, odrobinę pasty imbirowo-czosnkowej. I wodę, bo się wygotowuje. Zmniejszyłam ogień, przykryłam. Wody dolewałam parę razy. Ma zachowywać konsystencję pasty.

Jak groszek był już miękki, wrzuciłam kartofle, a gdy zmiękły – umyty i odsączony ryż. Dobrą chwilę pomieszałam.

Dolałam wody. Przykryłam. Trzeba często sprawdzać i w razie potrzeby dolewać wody. Mieszać delikatnie, jak najmniej, żeby ziarenka się nie połamały.

Podajemy z zielonym chili, siekaną kolendrą i koperkiem.

*Często towarzyszy nam *alu ki bhudża*.*

Obrać ziemniaki, pokroić na pół, jeszcze raz na pół i w poprzek w cienkie plasterki (albo w zapałkę, jeśli się nam chce). Umyć. Pokroić cienko jedną cebulkę (najpospolitszą – czerwoną). Wlać olej do solidnego gara, my robimy to w *karahi*. Rozgrzać. Wrzucić łyżeczkę kuminu, gdy zacznie strzelać – cebulę, 2–3 czerwone chili pokruszone, można czarnuszkę, można łyżeczkę kurkumy. Poczekać, aż cebula się zezłoci. Wrzucić ziemniaki. Mieszać, aż trochę się podsmażą. Dodać kurkumę, sól, zielone chili drobno pokrojone, wlać trochę wody, przykryć i dusić do miękkości. Podawać, gdy trochę ostygnie, z koperkiem i kolendrą, można z jajkiem na twardo.

Można też zrobić duszone warzywa. Ten przepis pochodzi z domu mojej koleżanki.

Zimowe warzywa (marchew, ziemniaki, kapusta, rzepa) pokrojone w kostkę – pół kilo

Czosnek (drobno posiekany) – 2 ząbki

Kumin (nazywany tu zira) – pół łyżeczki

Adżwain – pół łyżeczki

Czerwone chili w proszku – ćwierć łyżeczki

Czerwone chili całe (suszone) – 3 sztuki

Woda – 2 szklanki

Sól – do smaku

Rozgrzać olej. Podsmażyć na nim warzywa, mieszając delikatnie. Dodać wszystkie przyprawy. Zamieszać. Wlać wodę. Zagotować. Zmniejszyć ogień. Przykryć. Dusić do miękkości.

Moim ukochanym daniem wegetariańskim w Pakistanie jest *alu paratha*. Z wyjątkiem przypraw, robi się ją właściwie z tego samego co placki ziemniaczane. Nasz domowy przepis jest taki:

Ciasto: *ata* – mąka grubsza i *meida* – biała mąka (ponoć wybielana chemicznie) najdrobniej zmielona sól, odrobina oleju, 2 szczypty czarnuszki, letnia woda. Ma być twardsze niż na *čapati*, bo inaczej nadzienie wyjdzie z ciasta. Dobrze wyrobić (nastawiam stoper w telefonie na 8–9 minut). Utluc pięścią. Zostawić. Można włożyć do lodówki na 15 minut lub na dłużej, nawet na noc.

Dużo nadzienia: 4 ugotowane ziemniaki (żółte), 3–4 suche czerwone chili usmażone z cebulą pokrojoną cienko, 3 zielone chili posiekane drobnutko, sól, drobnutko posiekana natka kolendry – pół pęczka (czasem mieszamy koperek i kolendrę – w Karaczi, w odróżnieniu od Pendżabu, ludzie jedzą dużo koperku, który nazywa się tu *soja*). Można

dodać odrobinę sproszkowanego kuminu (sami robimy: prażymy, trzemy w moździerzu i trzymamy w słoiczku). Wszystko utarte, bez grudek. Nadzienie ma być wściekle ostre i wyraźnie słone.

Na jedną parathę bierze się dwie kulki ciasta, wałkuje każdą w okrągły placuszek, nakłada łyżką nadzienie na jeden, nakrywa drugim, zlepia dokładnie i wałkuje w parathy, ostrożnie, delikatnymi ruchami. Nie za cienko. Brzegi – cieniej. Można też zrobić jeden większy placek, nałożyć nadzienie, złożyć w „woreczek” i ulepić ponownie mały placek. Obtoczyć w mące, ułożyć „szwem” do dołu. Delikatnie wałkować, uderzając.

W czasie smażenia na tawie podlewać olejem, mniej więcej pół łyżeczki. Składać na talerz, przykryć.

Rodzinna *dżirga* (rada starszych) zawsze wydaje werdykt aprobujący.

Słodycze

– Teraz musisz jeść *pandżiri* – mówi Uzma, która odwiedza mnie zaraz po urodzeniu dziecka. – To cię bardzo wzmocni, zobaczysz.

Po *pandżiri* idziemy do sklepu ze słodyczami. Takich sklepów są tysiące: Sohny's, Dilpasand, Qasr-e-Shireen, Khalid, Hafiz, Ambala, S. Abdul Khaliq... Szczupli wąsaci panowie sypią słodycze do ozdobnego pudełka. Można je też kupić w postaci *laddu*, czyli miękkich kulek. Najprostsze *laddu* robi się z mąki ciecierzycowej (*laddu* pojawiają się w indyjskiej kreskówce o Čhota Bhimie, czyli Małym Bhimie, który po ich zjedzeniu nabiera krzepy mniej więcej takiej jak Waligóra i Wyrwidąb). Sklepowe *pandżiri* składa się z prażonej kaszy manny, *ghi*, cukru, nasion lotosu, migdałów, kawałków orzecha kokosowego i pestek melona. Jest słodkie i tłuste.

Niedługo potem Wasim przyniósł mi duże plastikowe pudło.

– To prezent dla ciebie od siostry Faruka *bhai*. Sama zrobiła.

Domowe *pandżiri* było z wiórkami kokosowymi, pieprzem w ziarnach, imbirem, adżwainem, ziarnami „ćar magaz” (nasiona roślin z rodziny dyniowatych), migdałami, makhaną, kawałkami *gondu* (klejącej się naturalnej gumy) i innymi przyprawami. Przypominało tłuste owsiane batoniki-ciastka, zanim się je pokroi w kształt batonika. To prawdziwa bomba cieplna (wszystkie składniki uchodzą za wybitnie rozgrzewające i wzmacniające).

Pudełko słodyczy obwiązane błyszczącą wstążeczką to żelazna reguła, gdy idziemy w gości albo zdarza się uroczysta okazja. W cukierniach można dostać oczopląsu. Poczuć się – o co w Karaczi nie tak łatwo – jak

w orientalnym raju. Na półkach, oprócz tortów i zachodnich ciast, tajemnicze kulki i sześciany o dziwnych nazwach obiecują nieznanne doświadczenia. *Gulab dżamun* i *kala dżamun* (słodkie kulki smażone z wodą różaną), rozmaite halwy i *laddu*, *batisa* i *sohan papri* (ciastka z mąki ciecierzycowej), *barfi* (ciasta z zagęszczonego mleka z bakaliami), *rasmalai* (kulki z białego sera w śmietanie), które przypomina leciutki słodki twaróg w śmietance, *rasgulla* (kulki z białego sera i mąki w syropie cukrowym), *pera* lub *peda* (ciastka z dyni), *kalakand* (ciastka z zagęszczonego mleka i sera), *ćamćam* (ciastka z mleka, mąki i śmietany). Po prostu – „sezamie, otwórz się”. Wyglądają jak porcje mydła. Beżowe, białe, zielone, brązowe, kolorowe, ozdobione pistacjami i jadalną srebrną folią. Twardsze i całkiem miękkie, sypkie i kruche, albo jak ciągutki. Sycące i pyszne. Niektóre ociekają syropem. Tak słodkie, że słodycz cierpnie na języku. W sam raz do gorzkiej kawy. Nie znam nikogo, kto przyrządzałby je w domu. Mówią, że to zbyt czasochłonne i ryzykowne. W domu na deser można przygotować halwy, *khir* i *firni* – ryżowy pudding, *khubani ka mitha* – deser z suszonych moreli, puddingi, galaretki i drobniutki makaron *sevaija*.

Halwazótkowa – ande ka halwa

Pewnego poranka Wasim przyniósł 48 jajek (cztery tuziny) z podwójnymi żółtkami. Były owinięte w sianko, żeby się nie zbiły. Oddzieliliśmy żółtka od białek, które zmiksowaliśmy na pianę. Roztopiliśmy *ghi* w garze. Wrzuciliśmy trzy zielone kardamony i żółtka.

Mieszaliśmy, aż żótkowa masa stała się suchymi kulkami. Wymieszaliśmy w drugim garnku dwa i pół kubka cukru z kubkiem wody i nastawiliśmy na syrop. Gdy syrop był już gęsty, lepki i lejący się, zalaliśmy nim żółtka. Mieszaliśmy aż halwa stała się jasnobrązowa. Dodaliśmy posiekane orzechy włoskie i migdały. Ostudziliśmy.

Nie spodziewałam się takiego smaku po jajkach! Jest to słodkie i bardzo chrupkie, trochę się nam pokruszyło. I, wbrew moim oczekiwaniom, nie okazało się bardzo tłuste.

Gadżar ka halwa

Marchewka w Pakistanie jest czerwona i bardzo słodka. W prawie każdym domu zimą podaje się na deser marchewkową halwę – *gadżar ka halwa*. Próbowałam jej wielokrotnie i za każdym razem była nieco inna, ale prawie wszędzie pyszna. W domu robimy ją aż z pięciu kilogramów marchwi. Trzeba marchew zetrzeć na tarce, zostawiając żółty (powszechnie uważany tu za niesmaczny) środek. Roztopić pół kilo *ghi* w wielkim garze, choć można dodać trochę mniej. Nasz gar jest aluminiowy. Wrzucić kilka zielonych (tu mówi się też „małych”) kardamonów i marchewkę. Smażyć na dużym ogniu i mieszać prawie cały czas. Nie przykrywać. W tym czasie zagotować dwa litry mleka. Gdy prawie cała woda z marchewki odparuje, wlać gorące mleko i dalej mieszać, aż odparuje. Dodać 1,5–2 szklanki cukru, dalej smażyć, mieszać, aż przybierze postać pasty.

W międzyczasie uprzyżyć garść migdałów, pokrojonych w słupki. Umyć garść rodzynek.

Wziąć kilka płatków szafranu i rozetrzeć z odrobiną mleka.

Podrobić mawę na małe kawałeczki i wmieszać do halwy. Mawę (inaczej: khoję) robi się z odparowywanego mleka. Można ją zrobić samemu na przykład z mleka skondensowanego gotowanego dłużej i zmieszanego z mlekiem w proszku. Wyglądem i konsystencją przypomina białawą plastelinę albo ciasto, niektórzy jedzą ją na deser, ale jest bardzo tłusta i sycąca. Na pięć kilogramów marchwi dodaliśmy kilogram!

Na samym końcu dodać szafran i rodzynki, chwilę pomieszać. Przełożyć do salaterek, posypać migdałami, położyć trochę zimnej mawy i już nie mieszać.

Marchewkowej halwy robi się dużo. Nigdy mało.

Bardzo podobnie robi się halwę z buraków, która moim i Michała zdaniem jest równie smaczna, ale ich zdaniem – nie. Nigdy wcześniej tego nie jedli.

Można się zakochać. Jedzenie uliczne

Najbardziej kocham Karaczi, gdy jem albo gdy czekam na jedzenie. Czasem trzeba długo czekać. Sama sobie zazdroszczę. „Jednak szczęściara ze mnie” – myślę, odwijając gazetę albo patrząc, jak kelner przynosi talerze. W Polsce nigdy bym tego nie doznała. Koza pieczona na żywym ogniu, czyli *sadzi*. Kupuje się w częściach: dwie przednie nogi, dwie tylne nogi, kręgosłup. Do tego świeżutki nan, warzywa (pomidory, kapusta, rzodkiew, cebula, cytryna) i cola. Po wizycie w knajpie, gdzie panowie przyrządzają *sadzi*, włosy pachną dymem. Ja, drobna, eteryczna istota, potrafię zjeść dwie kozie nogi na raz. Życie jest wspaniałe.

Albo nihari. Najlepsze, z mózgiem i szpikiem, podają w cudownym miejscu, w którym muszę siedzieć okutana. Kiedyś poprosiłam o łyżkę, bo żeby zjeść cały talerz nihari, musiałabym użyć wszystkich trzech chlebków nan. Właściciel się zakłopotał, ale życzenie klienta było dla niego rozkazem. Nie mógł przecież powiedzieć, że łyżek nie ma. Po kilku minutach przyniósł chochłę.

Czasem najlepszy na świecie jest zwyczajny dal, taki jak w hotelu Asia w mieście Larkana, w głębi Sindhu. Po takim hotelu człowiek nie obiecuje sobie nic, tylko modli się, żeby się nie zatruć. A w prezencie dostaje doznania smakowe najwyższej klasy!

Kuchnia uliczna to domena mężczyzn, podobnie jak cała niemal „ulica”. Kobiety w Pakistanie, jeśli pracują z mężczyznami, to z pewnością nie na ulicy. Widać je w bankach, urzędach, szkołach, szpitalach (choć tam podział męsko-damski bywa dość sztywny), w wojsku i policji. Zamiatają ulice – to

niemuzułmanki. Zebrzą. I patrzą z ulicznych billboardów. Jeśli pracują w sklepach, to nie na kasach. Nie ma kwiaciarek, kelnerek w otwartych knajpach, przekupek na straganie. Czasem dziennikarze opisują kobiety, którym udało się przełamać ten stereotyp: kobiecie targ Jhatpat w dzielnicy Lyari, niestety obrzucony granatami w marcu 2014 roku. (19 ofiar śmiertelnych), kobiety ze społeczności Marwarczyków na osiedlu Gazdarabad, dzielne żony rybaków albo panią Khair Bibi z Lyari. Dziewczyny stoją przy kasach i sprzątają w McDonald's. Jednak w Karaczi raczej nie ma co się nastawiać, że to kobieta poda nam torebkę pysznej zupy na wynos albo przyniesie ryż i dal. Zrobi to prawdopodobnie ktoś wąsaty, choć broda opanowuje w ostatnich latach niemal wszystkie sfery życia, więc także gastronomię.

„Kuchnia uliczna”, czyli jaka? Oto krótka charakterystyka najpowszechniejszych dań (oprócz tych wymienionych wyżej):

Beef roll to zwinięta puri paratha (placek) z nadzieniem z wołowego *bhoti* (mięsa marynowanego w niedojrzałej papai, a później pieczonego na węglach) i cebuli. Przyrządzamy je sami podczas Świąta Ofiarowania, gdy mięsa jest bardzo dużo.

Wasim pasie mnie zawsze dwoma, bo wie, że to poprawia mi nastrój.

– Chyba ktoś z twoich przodków był Pasztunem! – śmieje się, widząc, jak pożeram mięso.

Takie „kanapki” – co stanowi dla mnie zawsze dodatkową atrakcję – są zawinięte w gazety z odległych miejsc: Meksyk, Argentyna, Stany Zjednoczone...

Bun kebab. Można by to w zasadzie nazwać hamburgerem. Kupuje się go w budce. Ten z Burnes Road (najstarsza *food street* w Karaczi, przy Pakistan Chowk, w starej części miasta) jest starannie zawinięty w szary papier i przewiązany sznurkiem. Są tu i „buła”, i „kotlet”, ale wrażenia smakowe – całkowicie różne od tych hamburgerowych – na korzyść bun kebabu. Kotlet jest cudownie przyprawiony, zanurzony w jajku i usmażony. Każdy sprzedawca ma swoje tajemnice: niektórzy dodają do bułki omlety, kotlety z ziemniaków, ryb, różnych rodzajów mięsa.

Ćat. Czasem Wasim przynosi mi plastikowy albo fajansowy talerz z metalową łyżką, a na nim – ćat. *Alu ćat* (potrawka z ziemniaków), *ćana ćat* (potrawka z cieciorke) i *bhelpuri* (ciecierzyca, warzywa, jogurt, przyprawy z dmuchanym ryżem i cieniutkim suchym makaronem z mąki *besan*). Jeśli

ktoś nie przywykł do ulicznego jedzenia, niewinny talerzyk ćatu może stać się dla niego przyczyną zatrucia. Niestety, ćat z miejsc czystych i odpowiadających wszelkim standardom higieny nie smakuje tak dobrze jak ten z wózków. Poza tym może być mniej świeży. Niektórzy sprzedawcy są tak rozchwytywani, że po godzinie albo dwóch ich ćatu już nie ma. Umieją wyczarować kulinarne rozkosze po dwadzieścia rupii za porcję.

Ćat można zrobić w domu. To nie będzie to samo, ale też smaczne. Tak robi mama mojej koleżanki Hiny. Ugotowane kartofle w ćwiartkach, ugotowana ciecierzycyca (duża lub średnia), drobno posiekane: czerwona cebula, pomidor, natka kolendry; do tego przyprawy: ćat masala, sól, ubity jogurt, czatnej tamaryndowy i ostro-kwaśne nimko (może być cokolwiek, co chrupie i jest ostre). Uwaga – w klasycznym ćacie są jeszcze „puste” pakory rozmoczone w jogurcie, zwane *dahi bare*.

Ćapli kebab w bardzo męskiej afgańskiej knajpie, gdzie wieczorami panowie – a czasem też całe rodziny – rozsiadają się na ćarpajach (łózkach połączonych plecionką), wyciągają na poduchach i raczą różnymi specjami – także tym soczystym kebabem z nasionami granatu albo *pulao* po kabulsku z rodzynkami i marchewką, a na koniec popijają z czarki zieloną słodką herbatę (którą pan przynosi w metalowych czajniczkach), przyciągając na biesiadę tabuny kotów.

Dudh ki botal („mleko z butelki”). Pachnące mleko „parowane”, które nastawia się z różnymi przyprawami (obowiązkowy jest zielony kardamon), a także z migdałami. Bardzo słodkie. Podaje się je ze słomką w małych szklanych butelkach po coli, 7 up i mirindzie.

Gola ganda to po prostu lód – pokruszone kryształy lodu, polane syropami o różnych smakach, mlekiem skondensowanym, kajmakiem. Nie wiadomo, co za woda kryje się w tym deserze, ale raczej nie przegotowana.

Golgappy. Wydały mi się na początku bardzo dziwne. Dziurawe kulki z ciasta wypełnione farszem z gotowanych ziemniaków, ciecioriki, cebuli. Do tego w osobnym naczynku kwaśno-ostra woda. Kwasu dodaje tamaryndowa pulpa. Trzeba wlać trochę płynu do dziurawej kulki i szybko zjeść. Inaczej cała przyjemność na nic: ciasto się rozciapie, a smaczne jest tylko wtedy, gdy kruche.

Pierwsze golgappy Wasim kupił mi na ulicznym straganie.

– Poprosiłem sprzedawców, żeby nie dodawali cukru! – obwieścił. Przy pierwszej kulce pół wody mi wyciekło na ubranie i ręce. Przy drugiej się

rozkaszlałam, bo ostra przyprawa utknęła mi w tchawicy. Było mi okropnie wstyd. Taksówkarze siedzący bez ruchu na maskach swoich samochodów spokojnie przyglądali się moim zmaganiom.

Halim ponoć wywodzi się z kuchni perskiej i jest bardzo pożywny, choć wygląda niezachęcająco: bura paciaja, budząca obrzydliwe skojarzenia. Gdy pierwszy raz zobaczyłam, zmusiłam się do spróbowania, żeby nie obrazić gospodarzy. I przepadłam z kretesem. Mistrzostwo. Podawane z plackami, pokrojonym cieniutko świeżym imbirem, miętą, kolendrą, zielonym chili, ćat masalą i cytryną.

Katakat. Danie owiane grozą. Siekanina z przyprawami – nazwa pochodzi od odgłosu siekania mięsa. Ponoć są tam posiekane baranie lub koźle jądra (jądra są *makruh* – niezalecane, czyli pobożny muzułmanin nie powinien ich jeść) – a nikt nie może tego sprawdzić. Stąd ta groza.

Peshawari ice cream (lody z Peszawaru). Gdy jest mi smutno, gdy mam dosyć, gdy muszę odetchnąć, Wasim bez słowa zatrzymuje się przy lodziarni, wychodzi i po chwili wraca z plastikową łyżeczką i plastikowym kubkiem. W środku są lody śmietankowe. To specjalność Karaczi. Każda lodziarnia ma własną recepturę. Lody „peshawarskie” z Karaczi stały się legendarne do tego stopnia, że nawet w Peszawarze pojawiają się szyldy: „prawdziwe lody peshawarskie z Karaczi”.

Zupa kurczakowa. Zimą mężczyźni ustawiają się w długie kolejki po coś rozgrzewającego. Kolejki po kawę, prażone orzeszki ziemne (*munghali*) czy gotowane jajka są zwykle krótsze niż po chińską *chicken corn soup*. Do miseczek lub torebek foliowych z zupą, oprócz kurczaka i krewetek sprzedawcy wkładają pokrojone jajko na twardo, a całość polewają piekielnie ostrym sosem chili. Zupa składa się „na oko” z kurczaka podzielonego na „nitki” i malusieńkie kawałeczki, z krewetek, szczypiorku, ubitego białka, czasem wkrojonego jajka na twardo, zielonego chili. Zagęszczana jest skrobią kukurydzianą, a dodatkowo zawsze w drugim foliowym woreczku jest pyszny czerwony kwaśny i bardzo ostry sos. To jedno z moich pakistańskich *comfort foods*. Inną zimową zupą jest trochę bogatsza w warzywa zupa ostro-kwaśna.

Wszystkim potrawom ulicznym uroku i smaku dodaje to, że są pozawijane w gazety, pookręcane sznurkami, powlewane w worki i torebki, wrzucone na plastikowy talerzyk z oblaźłą farbą na obwódce. Przeżyłam wielkie rozczarowanie, gdy sprzedawcy moich *beef rolls* porzucili pakowanie ich

w gazety na rzecz porządnego białego papieru. Lubię czasem odwiedzić czekoladziarnię na modnej ulicy Zamzama, delektować się nowojorskim sernikiem o geometrycznych kształtach i pachnącą najprawdziwszą kawą espresso, patrzeć na ludzi w zachodnich strojach i poczuć się przez chwilę jak w innej części świata. Jednak smaki Karaczi są dla mnie nieodłącznie związane z formą – bardzo różną od zachodniej. Z gazetą i szarym tłustym papierem kryjącym wspaniałe doznania. Ta różnica formy i faktury dotyczy też mnóstwa innych spraw: ubrań, ozdób, noszenia zakupów, sposobu pakowania paczek na pocztę.

Całe przygotowanie odbywa się na miejscu. Nie ma podgrzewania mrożonki w mikrofali. No, chyba że w hotelach. Hotelowe jedzenie, nawet to „pięciogwiazdkowe”, wypada przy ulicznych smakach blado, drętwo, „martwo” i źle. Na ćapli kebab w afgańskiej knajpie z ćarpajami trzeba przyjść wcześniej, zamówić i poczekać czterdzieści minut albo i dłużej. Mogę godzinami patrzeć, jak panowie robią placki. Jak przyrządzają biriani w potężnych garach – *degći*, wlewają, wsypują, mieszają, posypują, a para bucha.

Sattu i biharskie jedzenie

Znalazłam w kuchennej szafce c o ś d z i w n e g o. Jakby mąka, ale zapach niemączny. Stęchły? Prawie stęchły, ale milszy. Kolor taki, jakby do mleka wlać kilka kropel herbaty. To chyba nie *besan* (mąka z ciecierzycy)?

– Co to? – pytam teściów.

– To *sattu* – mówią (wymawiając to: satTU). Mąka *besan* (a jednak!) zmielona na pył i podprażona. – Bardzo zdrowe. Mieszamy to z wodą, dodajemy trochę cukru i pijemy „na żołądek”.

Mieszają też *sattu* z masłem i cukrem na halwę (bardzo gęstą, taką, że prawie się kruszy) i dają dzieciom. Można także na ostro, z solą i chili. Tak jada nestor naszego rodu. Albo nadziewać parathę, mieszając *sattu* z acarem. Jedz, jak ci smakuje.

Sattu to najkorzenniejsze biharskie jadlo na świecie. Przez swoje upodobanie do *sattu* Biharczy (a także mieszkańcy sąsiedniego stanu Uttar Pradeś, na zachód od Bihar) zyskali nawet miano *sattu khor* („sattużerców”). *Sattu* to „bomba energetyczna”, powszechna prawie na całym subkontynencie, wdzięczny materiał na parathy, napoje czy nadzienia.

Pakistańska kuchnia zawdzięcza Biharczykom także inne potrawy. Przymiotnik *bihari* („biharski”) pojawia się przy kilku znanych daniach, jak *bihari tika*, *bihari boti*, *bihari kebab* (każde z tych dań to rodzaj mięsa marynowanego w pikantnym sosie, a potem grillowanego). Według mojej rodziny z Biharu pochodzi także *khurmi* – rodzaj *namak pare* (przepis podaję poniżej), tylko grubszych i na słodko. Mają być chrupiące. Kluczem do sukcesu jest ponoć temperatura oleju, który nie może być za gorący, bo wówczas *khurmi* robią się miękkie, co oczywiście stanowi pretekst do kąśliwych uwag, przytyków i żartów z gapiostwa gospodyni – podobnie jak przy nieudanym *roti* (za ciężkim, za twardym, nieidealnie okrągłym) czy zbyt miękkim ryżu.

Namak pare

- Zrobię *namak pare*! – powiedziałam teściowej.
- Ale to ci *time lagega* (zajmie trochę czasu). – Pokiwała głową.
- Tak bardzo dużo? – zmartwiłam się.
- No, *pone ghanta*.
- ???
- *Pone ghanta!* – zawołały dzieci, które zawsze kręcą się w kuchni, gdy chcę coś piec.
- Ale mniej czy więcej niż godzinę? – Musiałam uściślić, bo czas mnie naglił. W urdu nigdy nic nie wiadomo, na przykład *derh* znaczy półtora, a *dhai* dwa i pół, niby takie małe słówko.
- Mniej! – zawołali wszyscy. Więc się podjęłam.
- Było świetne. Znacznie lepsze niż to ze sklepu.
- Czas przygotowania: *pone ghanta*, czyli 45 minut.

Meida (biała mąka), *ghi*, sól, czarnuszka, olej. Mąkę (około 300 gramów) dokładnie rozgnieść z *ghi* prawdziwym lub roślinnym (było kilka łyżek – może z 5?) na „piasek”, przyprawić (czarnuszki dwie szczypty, można ją zastąpić adżwainem), dodać tyle wody, żeby ciasto było elastyczne i dość miękkie, ale nie lepkie. Wałkować jak najcieniej i kroić w ulubione kształty, można wykroić faworka, bo aż się prosi, albo w paski, powiedzmy: 1,5 na 3 cm. Smażyć w dużej ilości gorącego oleju na złoty kolor, delikatnie mieszać. Można długo przechowywać.

Absolutely amazing (jak Uzma uczyła gotować burger

class)

W Islamabadzie uczestniczyłam w lekcji gotowania. W pięknym domu z ogrodem. Po grządkach z pietruszką przechadzały się kury.

Nie robiłam zdjęć, żeby nie tremować i tak stremowanej prowadzącej, bo to była jej pierwsza lekcja. Przyszło osiem kobiet, dość młodych. Pięć okazałych rozmiarów, a jedna drobniutka i, jak się potem okazało, odżywiała się świadomie. Ubrane bardzo modnie, poowijane, poupinane, wymalowane, w złotych i srebrnych pantofelkach na niebotycznych obcasach, z wytwornymi torebkami i wypielegnowanymi dłońmi. Rozmawiały o tym, jakie marki warto nosić w nowym sezonie (lato 2012), i zachwycaly się firmą Mausummery.

Zasiadłyśmy w kuchni. Dostałyśmy wydrukowane przepisy. Patrzyłyśmy, jak prowadząca robi *red velvet cupcakes* (babeczki Red Velvet), a potem hummus i dalekowschodniego kurczaka z warzywami.

– Róbcie same cukier puder – radziła. – To bardzo proste. Ten ze sklepu może być zmieszany z mąką albo i czymś gorszym. Kupujcie najdroższe barwniki spożywcze. – Usiłowała wytłumaczyć uczennicom ideę napowietrzania ciasta, dzięki czemu zyska ono na pulchności. Drobniutka pani zaczęła dopytywać o mąkę bez glutenu.

Robiłyśmy notatki jak w szkole, ściągając jedna od drugiej. Co chwila rozlegało się jakieś: *Wow! Amazing! Wonderful! Fantastic! I just love it!*

W końcu „red velvety” powędrowały do przygotowanego piekarnika.

– Odradzam wam pakistańskie piekarniki, jeśli chcecie poważnie zająć się pieczeniem – ostrzegła Uzma. Nie dodała, że nawet najlepszy piekarnik jest bezsilny w obliczu braku prądu i gazu.

Zajęłyśmy się hummusem: ciecierzycą, oliwą, pastą sezamową i czosnkiem. Walorami hummusu i jego wyższością nad majonezem, po który część Pakistańczyków chętnie sięga. Dla mnie najciekawszy był konkretny, czyli kurczak z warzywami. Wśród warzyw znalazł się brokuł. Uzma ma ogródek, a w nim w tym roku wysyp brokułów, które opłukuje i mrozi w plastikowych torebkach. Uczennice bardzo się ożywiły. Brokuły i ich mrożenie wydało się im bezapelacyjnie *amazing* (niezwykłe).

Kulminacja nastąpiła, gdy wykałaczką, którą prowadząca sprawdzała stan babeczek, nareszcie była sucha. Dwanaście babeczek znalazło się na stole.

Zostały posmarowane kremem z serka Philadelphia (który w Pakistanie nabiera wymiaru luksusu: pięćset rupii za pudełko), masła i cukru.

Niestety z przyczyn niezależnych ode mnie (dziecko mnie wzywało) ominął mnie moment, gdy dziewczęta odgryzały pierwszy kęs. Gdy wróciłam, na talerzu leżały cztery babeczki.

– Absolutnie *fabulous* (wspaniałe). Smakują fantastycznie! Szczególnie komuś, kto jak ja, nie jadł dziś śniadania! – rozpływała się jedna z uczestniczek.

– Cudowne! Jeszcze do niedawna byłam na diecie! – tłumaczyła inna, kończąc babeczkę. – I nie mogłabym sobie na takie łakomstwo pozwolić.

– A ja po prostu uwielbiam jeść! Rewelacja! – dorzuciła inna z pełnymi ustami, a kolejna jej przytaknęła.

Po dwóch godzinach panie opuściły kuchnię naszej znajomej. Wzięły formularze do wypełnienia, powiedziały, w jakich sektorach mieszkają i jakie godziny zajęć są dla nich najlepsze. Zapewniły, że wrócą. Lekcja była po prostu cudowna. Mąż Uzmy nareszcie mógł zrobić herbatę, Uzma – odetchnąć. Rodzina była bardzo zawiedziona, bo uczennice zjadły wszystko co do okruszka. Mieli nadzieję na jakieś korzyści z tego całego zamieszania. Niestety, mimo wcześniejszych deklaracji chyba nie wszystkie przyszły na kolejne zajęcia. Uzma dość szybko zrezygnowała z prowadzenia kursu.

Kurs w Rangoonwali

Ośrodki szkolenia zawodowego oferują w Karaczi wiele dwumiesięcznych kursów różnych kobiecych zajęć, które mogą wspaniale wypełnić czas, jeśli komuś się nudzi, ale też pozwalają dorobić. Kobiety mogą się zapisać na siłownię, dwumiesięczny kurs angielskiego, projektowania tkanin, obsługi komputera, wschodniego makijażu ślubnego, robienia biżuterii, wyszywania lusterkami albo haftu *karćob* i *zardozi*, a także gotowania bez gotowców.

Każda kobieta chce pysznie gotować dla swojej rodziny. Gotowanie to bardzo ciekawe zajęcie! Jeśli znasz sztukę gotowania, twoja rodzina będzie cię kochać. Poza tym to świetna zabawa. Zapisz się na kursy, które zmienią twoje życie rodzinne:

Pieczenie, kuchnia chińska, kuchnia kontynentalna, kuchnia południowoindyjska, kuchnia pakistańska, kuchnia memonów z Gudżaratu, high-tea, czyli przekąski do herbaty (a więc najrozmaitsze kebaby), dekoracja sałatek, rzeźbienie w owocach i warzywach, dania z warzyw i tak dalej[43].

– Co się dzieje w tych ośrodkach? – pytałam Wasima wiele razy. W końcu zapisał mnie na jednodniowy kurs gotowania w ośrodku Rangoonwala (wymawiane: Rangunwala). Miłe miejsce z biblioteką i przychodnią dla matek i dzieci. Kurs prowadziła Nauşaba Ahmed, określająca siebie jako „słynną kulinarną artystkę telewizyjną i radiową oraz *cooking expert*”. W ciągu trzech godzin przygotowała kolację: kurczaka na trzy sposoby, sos peri-peri robiony z chilli i pochodzący z Portugalii (ponoć zupełnie jak butelkowy marki Nando’s), ryż i ciasto kawowe. Artystka jest starszą panią z brzuszkiem. Na szalwar kamizie miała fartuch w czerwono-granatowe paski. Sprawiała wrażenie znudzonej.

– Mam cztery kursy na weekend – mówiła.

Przyszło dwadzieścia siedem rozgadanych dziewczyn w abajach. Na dłoniach miały malunki z henny. Zasiadłyśmy na krzeselkach w kuchni-auli na drugim piętrze. Asystentka w fartuszkach rozdała nam kserówki z przepisami.

W kuchni panował chaos. Asystentki błąkały się bez celu i wydawało się, że nic nie robią. Artystka gadała coś od niechcienia, kroić od czasu do czasu pomidorka. Pisak nie pisał, ryż się przypalał, śmietana zamiast w bitą zmieniała się w masło. Pod koniec wszystko okazało się świetnie zgrane i gotowe na czas. Dziewczęta robiły gotowym daniom zdjęcia swoimi smartfonami. Asystentka wydała po talerzyku na parę i po łyżeczce na osobę. Mogłyśmy spróbować efektów. Mięso było niedosmażone, sos mi nie smakował, ale może był właśnie taki jak ten butelkowy, reszta mile mnie zaskoczyła. Dostałam w nagrodę specjalny certyfikat oraz próbkę tybetańskiego balsamu wybielającego.

Gdy pada, trzeba jeść pakorę

Po deszczu ulice zmieniają się w jeziora. Znikają wszystkie dziury w asfalcie. Robi się chłodniej. Woda w kranie zaczyna być zimna, ulice są puste, parki – ciemne, a cisza staje się – jak na Karaczi – grobowa. Na dworze tylko grupki chłopców, dla których taka woda to niesamowita frajda. Sąsiedzi robią szaszłyki na balkonie. Faiza w tak piękny (bo dzień bez słońca uchodzi za piękny) pochmurny dzień wyspuje do miski czerwoną soczewicę i zalewa wodą. Zostawia na godzinę albo dwie. Odcedza. Żeby tylko nie wyłączyli prądu! Inaczej będzie musiała rozcierać dal kamieniem. Klasyczne

pakory z mąki ciecierzycowej robi tylko podczas ramadanu. Natomiast pakory cebulowe – smażone przekąski do herbaty na zimne mokre dni – są z czerwonej soczewicy. Tej gorącej i suchej.

Prąd jest. Faiza miksuje dal z kilkoma ząbkami czosnku. Dodaje sól, pieprz, świeże zielone chili, czerwone chili w proszku, czasem potłuczone nasiona kolendry albo kuminu i mnóstwo czerwonej cebuli pokrojonej w krążki. Rozgrzewa w *karahi* dużo oleju. Olej musi być wystarczająco gorący. Faiza wyklada pakorę na tłuszcz łyżką albo palcami. Jej mama też tak robi. „Ma skórę z azbestu?” – kąśliwie skomentował ktoś, gdy to napisałam w forum internetowym. Kto nie wierzy, niech nie wierzy. Nie wiem, jak długo trzeba się tego uczyć. Kładzione palcami pakory są znacznie zgrabniejsze. Przewraca po kilku minutach – zawsze łyżką. Kładzie usmażone na bibule, żeby odsączyć tłuszcz. Podaje z herbatą: najpierw ojcu, potem mamie, bratu i reszcie domowników. Na końcu częstuje się sama.

A czym jest *dastarkhan* z tytułu niniejszego rozdziału? To obrus rozkładany na podłodze, na łóżku, rzadziej – na stole. Rozściela go i składa najmłodsza dziewczyna w rodzinie.

– Asmaaaaa! *Dastarkhan bićhaooo!* (Rozłóż obrus!) – woła Arif do siostry przed jedzeniem. Gdy powtórzę to słowo kilka razy, zaczynam czuć się bardzo orientalnie. Przyjemnie.

Mieszkać w Karaczi

Clifton Bridge i miasto za zasłoną

Karaczi dzieli się, drastycznie upraszczając, na „bogate południe” i „biedną północ”. Mieszkamy na północy.

- Nie możesz się przeprowadzić na drugą stronę mostu?
- Powiedz mężowi, wynajmijcie coś po drugiej stronie!
- Po tamtej stronie musi być ci trudno. Przenieś się tutaj!

Tysiące razy to słyszałam, bo na południe jeżdżę regularnie. Na południu jest mnóstwo kościołów, morze, lepsze sklepy, znajomi i wydarzenia kulturalne.

– Mówią o Clifton Bridge – tłumaczy Wasim. – Za mostem zaczynają się dzielnice Clifton i Defence (DHA, Defence Housing Authority). – Najstarsze dzielnice w mieście, uważane za elitarne. Clifton zbudowali Brytyjczycy dla urzędników.

W naszej dzielnicy nie ma meczetów dla kobiet. Są tylko w Defence.

– Mogłabyś uczyć w którejś ze szkół w Defence i Clifton. Ewentualnie w P.E.C.H.S albo na zamkniętym osiedlu wojskowym. Tam ludzie znają wystarczająco angielski i jest dla ciebie bezpieczniej – mówi mi znajomy, z którym rozmawiam o możliwościach pracy dla siebie.

Knajpy ze zdrową żywnością – w Defence i Clifton. Joga, fitness kluby, salony piękności, czekoladziarnie jak w każdym europejskim dużym mieście (Brownies? Tiramisu? Babeczki *molten lava* (czekoladowa lawa)? Trufle? Kawa z ekspresu ciśnieniowego? – to właśnie tam), spokojne parki, modne ulice, takie jak Zamzama. Kawiarnie literackie, popularne knajpy, czyste kliniki dentystyczne. Blisko morza. Wspaniale, choć metal błyskawicznie pokrywa rdza, a wanny – kamień. Nie wszystko da się kupić. Pięknych

widoków nie ma nawet tu. Ludzie odbijają sobie brzydotę otoczenia pięknem wewnątrz. Czasem zakładają wspaniałe ogrody. Ich domy, odgródzone od ulicy potężnymi murami, wydają się oazami normalności. Nawet brzydkie bloki są w środku czyste i wygodne. Żeby dostać się do najładniejszych, spokojnych osiedli, trzeba zwykle przejechać przez kilka posterunków policji i ochrony. Inne enklawy ciszy i porządku to osiedla wojskowe. Normalność w Karaczi słono kosztuje (choć miasto słynie z niskich cen. Jeśli nie ma innego wyjścia, można tu przeżyć za grosze. W Islamabadzie jest co najmniej dwa razy drożej).

Dziecko chce sera. Takiego, jaki dostawało w Polsce na kanapkach. Niestety, to nie będzie pakistański ser. Bardzo chcę wspierać lokalny przemysł spożywczy, ale przy serze się poddaję. Gumiasty, mazisty, białawy. Zapychający, po dwóch dniach gorzknieje. Nazwy czedar i mozzarella mogą tylko człowieka zmylić. W sklepach pełno też serków topionych. Żeby zjeść normalny żółty ser, sięgam po europejskie. Edam kosztuje w przeliczeniu około 60 złotych za kilogram. Torebka kawy (ćwierć kilo) – 500 rupii. Niedrogo, ale nie dla tych, których rodzina zarabia łącznie 30 tysięcy rupii miesięcznie.

– Jesteś dzielna – powtarza Aiśa z „lepszej” strony miasta. Perveen Rahman, znana architektka, nie mieszkała „po lepszej stronie” mostu i pracowała w slumsach w dzielnicy Orangi. Krytykowała mafię, która rządzi dystrybucją gruntów w Karaczi. Została zamordowana w 2013 roku, jej bliscy do dziś dostają pogróżki. Stała się symbolem. A Sabin Mehmud – kto jej nie znał? Wydawało mi się, że jest wszędzie, gdzie mowa o Karaczi, o kulturze i ważnych sprawach społecznych – krótko ostrzyżona, w okularach, džinsach. W T2F, kawiarni, którą założyła (po lepszej stronie mostu – Sunset Boulevard), nareszcie mogłam odpocząć. To nic, że było daleko i w niedogodnych dla nas porach. Czasem dało się dojechać. Sabin mieszkała wprawdzie w Defence, ale tematy, które poruszano w jej kawiarni, daleko wykraczały poza „lepsze strony Pakistanu”. Została zamordowana 24 kwietnia 2015 po sesji o Beludżystanie (regionie, gdzie żywe są nastroje nacjonalistyczne), na którą zaproszono Mamę (Abdula) Qadira – beludżyjskiego działacza. Jego syn, jak setki innych Beludżów, zniknął w niewyjaśnionych okolicznościach, prawdopodobnie zabity przez pakistański wywiad. Kto jest odpowiedzialny za śmierć Sabin, pewnie

jeszcze długo się nie dowiemy.

Jednak los tych kobiet złowrogo przypomina, co może spotkać kogoś, kto wychodzi poza swoją „bańkę”.

Zdaniem jednych jestem dzielna, zdaniem innych nie mam szacunku do siebie. Twoja dzielnica mówi o tobie. Jak można mieszkać tam gdzie ja? Jak można robić w pobliżu zakupy? Tak daleko od Clifton Bridge? Nazwa naszego ronda pojawia się w mediach tylko przy ponurych okazjach. Nie otwarto tam wystawy. Coś wybuchło. Coś miało wybuchnąć, ale było kiepsko zamontowane, więc na szczęście nie wybuchło. Ostrzelali autobus szytów. Nie ma wody tygodniami i ludzie się niecierpliwią.

– Musiałam raz kogoś stamtąd uratować!– opowiada Judy, która pracuje w organizacji dobroczynnej.

Pobliska dzielnica North Nazimabad, której upadek rozpoczął się wraz z przeniesieniem stolicy kraju do Islamabadu, bo wcześniej było tam dużo ambasad i rezydencji dyplomatów, to dla ludzi z „dobrej strony mostu” synonim chudych chłopaków na głośnych motorach i licznych rodzin z niższej klasy średniej, które co weekend oblegają plaże. Przyjeżdżają na motorach albo w samochodach wypchanych jak rękawiczka z rosyjskiej bajki. Z okien i bagażników wyglądają ciekawskie czarne oczy. Nie dają żyć miejscowym, budzą lęk, przeszkadzają spać, zostawiają góry odpadków.

– Dno. – Nadyma usta Zara, kuzynka, która nas czasem odwiedza. Mieszka w nieco lepszej dzielnicy, w każdym razie lepszej niż nasza, choć mieszkańcy bogatego południa boją się tamtych rejonów równie mocno. – Nie ma wody! Co za smród. Trzy razy dziennie po dwie godziny nie ma prądu! W naszej dzielnicy nie ma tylko przez pięć minut dziennie!

A może by jednak wymóc na Wasimie przeprowadzkę?

Nie ulega wątpliwości, że za mostem byłoby mi dużo łatwiej. Tam mam wybór między „żyć jak *desi*” (czyli miejscowa kobieta) i „żyć jak *gori*” (biała).

Ciasna uliczka, wieczór. Kawiarnia literacka w Defence. Nowocześnie, czysto, modnie. Podłogi lśnią, zatrzesienie książek. Żadnego hidżabu ani burki. Znowu czuję się w szalwar kamizie jak sierota, ale przecież nie będę się przebierać w dzinsy w ubikacji, żeby coś komuś udowodniać. Wieczór

muzyczny. Tancerka – Suhae Abro – wiruje w białym stroju. Inni tancerze też przypominają motyle. Jest pięknie. Przęłykam łyżę, same mi ciekną, już trudno. Widok tańca w Karaczi to dla mnie zawsze wstrząs. Na co dzień umiem żyć, ale swobodny dostęp do muzyki na żywo to może najdroższe, co zostawiłam, nigdy nie obejdzie się bez łoża.

– Zapraszamy wszystkich na ulicę – mówią prowadzący. Wychodzimy. Na ulicy płonie ogień.

Pierwszy i jedyny jak dotąd raz widzę na żywo taniec *lewa*. Tańczą chłopaki z Lyari, Beludżowie z rejonu Makran. Sama radość i energia. Taniec z ogniem. Tancerze mają czerwone koszule z syntetycznego atłasu, przepasane żółtymi szarfami. Grajkowie ubrali się w fiolety. Chłopak obok mnie szaleńczo uderza w bęben, inny dmie w piszczałkę.

W Karaczi często czuję niemoc i złość. Tyle ciekawego! Takie skarby! Tyle rzeczy niedostępnych dla moich oczu – bo jestem biała! Bo nikogo stamtąd akurat nie znam! Odnoszę wrażenie, że to miasto nosi nikab i nie chce go przede mną zdjąć! A i tak mam dużo szczęścia i docieram w zakamarki, których moi sąsiedzi nigdy nie widzieli. Pakistańscy ludzie kultury oczywiście mogą więcej. To przecież ich świat. Rumana Hussain napisała książkę *The Karachiwalla* – praca nad nią musiała być fascynująca. To rozmowy z ludźmi z większości społeczności zamieszkujących Karaczi. Około setki. Sindhijczycy – bogaci i biedni, znad morza, Makrańczycy, Beludżowie, Afgańczycy, Pendzabczycy różnych odłamów islamu oraz chrześcijanie, Pasztuni, Persowie, Goańczycy, Tamilowie, hindusi, bohrowie daudi, ismailici, imigranci z Uttar Pradeś, Delhi, Biharu i wiele innych grup. Książka prezentuje zaledwie maleńki wycinek, a mimo to jest fascynująca, bo pozwala sobie wyobrazić życie, którego można tu doświadczyć, a które może istnieć też dzięki temu, że społeczności są zamknięte, w swoich rejonach stanowią często większość i żyją według odrębnych zwyczajów.

Zaczyna się nowenna do Matki Boskiej z Velankanni albo nabożeństwa do świętego Antoniego. Idę! Możemy iść do grobowca Abdullaha Śaha Gaziego. Do memonów, do bohrów.

– Jedziesz z nami na Diwali? – pyta Wasim. Też pytanie!

– Jutro Holi! Chcesz zobaczyć?

– Dziś spotykasz się z szyitami, to pobożna rodzina, więc możesz pytać o wszystko – ogłasza.

- Jadę na milad[44]!
 - Mamy zaproszenie na urodziny królowej angielskiej!
 - Chcesz iść na Dzień Świętego Patryka?
 - Rosjanie zapraszają na Dzień Zwycięstwa!
 - Alliance française organizuje wieczór jazzowy.
- A przecież o wielu wydarzeniach nie mamy nawet pojęcia!
Od tej różnorodności człowiek dostaje zawrotu głowy.

Plaza

Moje marzenie to obfotografować nasze osiedle z każdej strony. Nie ma o tym mowy, nawet jeśli spowiję się w trzy burki. Musiałabym mieć chyba kamerę w guziku, jeśli chcę tu dalej mieszkać.

Można biegać po świecie z aparatem, ale można też pozwolić życiu przybiec do mnie. Robię zdjęcia przez kratę w balkonie. Dwucentymetrowy kwadracik okna na świat.

Wózek z warzywami. Z balkonu wygląda jak malowidło. Marchewka, bakłazan, okra, karela, pomidory, imbir, czosnek, ziemniaki, zielone chili, szpinak, gorczyca, kozieradka, natka kolendry, niebieski szalwar kamiz sprzedawcy.

Wózek ze starzyzną – *purane kapre, purane!* (Stare ubrania! Stare!)

Golgappewala a gaja. Golgappe! (Przyjechał sprzedawca golgappy!)

Sprzedawca lodów. Melodia *Dla Elizy*.

Stary żebrak z laską i kaškulem (miseczką, do której można włożyć zapakowane jedzenie albo pieniądze) przystaje co pięć metrów i krzyczy.

Białe busiki z napisem Al Huda International – „doktor Farhat Hashmi rozszerzyła działalność na kobiety z niższych klas średnich – czytam w książce (Humeira Iqtidar, *Secularizing Islamists*) – wcześniej bowiem starała się przyciągać kobiety z zamożnych i wykształconych rodzin”. Doktor Farhat Hashmi, założycielka organizacji Al Huda, mieszka w Kanadzie, przemawia do Pakistanek w burce i okularach i zachęca kobiety do samodzielnej lektury i interpretacji Koranu, co tu nie jest oczywiste (radzi się często podążanie za interpretacjami uczonych bez dociekania, czy ich wyjaśnienia są uzasadnione). Jej nauczanie uchodzi za bardzo konserwatywne. Otwieram książeczkę *Prorok Muhammad, Pokój z Nim – łaska dla ludzkości*, którą dostałam na targach książki od cichej uśmiechniętej

kobiety w szarej abai. Zaczyna się od zdania: „Inteligencja wymaga od człowieka spojrzenia na sytuację z różnych perspektyw [...]. Jako muzułmanie zapraszamy cię do zbadania rzeczywistości z innego punktu widzenia”. Czy to, że na naszej ulicy kobiety chodzą teraz właściwie wyłącznie w nikabach, jest choć trochę zasługą doktor Farhat?

Riksz, motory, samochody, czarno-żółte taksówki, autobusy, suzuki, mazdy, wózki ciągnięte przez osiołki.

Dzieci taplają się w deszczu. W upały chłopaki grają w krykieta.

Rikszarz w swoim ozdobionym pojeździe słucha kawwali w doskonałym wykonaniu.

Śmieciarze z osłem.

Ktoś wyprawia przyjęcie weselne – walimę. Rozkłada na ulicy czerwony dywan, nagłośnienie, kręczone krzesła z białymi pokrowcami i żółte namioty.

Nazajutrz wypożyczalnia sprzętu weselnego zwija draperie, ładuje krzesła na furgonetkę.

Idą *masi*, od czasu do czasu wybuchając śmiechem.

Idzie stado owiec i kóz. Kozy wyjadają śmieci z porzuconych skrzynek. Ze stadem podążają mężczyźni i dwie dziewczynki w czerwonych lusterkowych strojach.

Dzieci wracają ze szkoły.

W piątek mężczyźni idą do meczetu.

W sobotę rano chodzi pan z małpką. Ma terkotkę i puszkę na datki. *Ćalo mera manki, dans karooo! Betho! Kharo! Roti pakao! Dulha banao! Tariq Road pe shopping banao, śadi se pehle!* (Chodź, moja małpko, tańcz! Siadaj, stań, zrób roti, teraz bądź panem młodym! Zrób przedślubne zakupy na Tariq Road!)

Domy. Napisy „*Maśalla*” przed wejściem. Pranie na dachu. Niebo – odrutowane i pełne drapieżnych ptaków.

Przez okna z drugiej strony widać plażę. To słowo budzi miłe skojarzenia. Nowoczesne, kolorowe i przeszklone centrum handlowe. I plaża – słońce, drobny złoty rozgrzany piasek, szum morza, szmaragdy, błękity, biała piana, a nawet palmy.

Nasza plaża to ogrodzone cztery szarawe bloki, w środku kilka drzew i parking, który jest też miejscem zabaw dla dzieci. Dzieci siadają na samochodach i motorach, włączają do kilku zaparkowanych tu riksz.

Popołudniami tłumy chłopaków grają w krykieta.

– Klną – twierdzi Wasim.

– Mohammad! – woła ktoś kilka razy, a brzmi to jak „Moamad”. – Saim! Abdullah!

Koty skaczą po śmieciach, woda z ciekących rur tworzy kałuże. Na podwórku stoją samochody, niektóre nie jeżdżą od dawna. Właściciel tego, który stoi obok naszego i zawadza, wyjechał dwa lata temu do Arabii Saudyjskiej. Między nimi dziesiątki motorów z napisami na przykład I HATE YOU ALL AND I DON'T NEED A REASON („Nienawidzę was wszystkich i nie muszę mieć powodu”). Na zakratowanych balkonach wala się pełno rupieci i kurzy się pranie. Huczą rozklekotane pompy wodne. Powiewają flagi MQM – partii, która miażdży Karaczi swoją władzą. Kilometry kabli oplatają bloki jak pajęczyna. Śmierdzą śmieci: można z łatwością zobaczyć, ile i czego konsumują mieszkańcy. Latem, a zwłaszcza w wilgotnej porze monsunu, jest czarno od much. Można się skryć w jedynym przytulniejszym zakątku, gdzie w glinianych doniczkach rosną kolorowe kwiaty, ale brakuje ławki. Czasem jacyś idioci bez wyobraźni przyprowadzają groźne psy – na przykład pitbulle. Uwiązują je do palika, psy się zrywają i budzą panikę.

Całego tego dobra strzegą chuderlawi brodaci strażnicy – cókidarowie z bronią.

Czasem do drzwi pukają równie chudziutkie dziewczyny w burkach – wolontariuszki kampanii walki z polio.

W weekendy w nocy rozbrzmiewa muzyka. Ciało i ściany drżą od rytmu. To ceremonia nakładania henny – *mehndi* – początek kilkuetapowego pakistańskiego ślubu – wtedy słycać bębny. Innym razem dobiegają nas sunnickie naty, czasem zawodzenia szyickich płaczek. Zgromadzenia polityczne – słycać pieśni ku czci Boskiego Altafa, szefa MQM: *Mazlumon ka sathi he Altaf Hussain!* („Altaf Hussain to przyjaciel uciśnionych”). Czasem muzyka towarzyszy zwykłej imprezie rodzinnej.

Fruwają wrony, gołębie, jastrzębie, kanie i pustułki, które próbują zapolować, na co się da. W plazie nie należy mieć na sobie czerwonych ubrań, bo przyciągają uwagę drapieżnych ptaków.

– *Ćil! Ćil!* (orzeł) – wołają dzieci, które przybiegły zdyszane do domu. – Przewrócił Asme! Otarła sobie ramię! – Na szczęście nic więcej jej nie

zrobił.

Koguty pieją całą dobę. Meczą kozy. Z okazji narodzin syna składa się akikę – ofiarę dziękczynną z dwóch kóz (z okazji córki – z jednej kozy). A mieszkańcy plaży płodzą wiele dzieci.

Wieczorami, regularnie, pyk-pyk-pyk-pyk-pyk. Czas strzelania zaczyna się po zmroku, czyli po maghribie, wieczornej modlitwie.

– To petardy czy prawdziwe? – długo pytałam Wasima. Teraz już sama umiem rozpoznać. Średnio pół na pół.

Znamy sąsiadów, ale nie utrzymujemy bliskich więzi. Ograniczają się do pogaduszek, przesyłania sobie jedzenia w czasie świąt. Pomagamy sobie tylko wyjątkowo. U dołu mieszka rodzina gudżarackich memonów – jedenaście osób, i jeszcze jedna rodzina, która trzyma w domu mnóstwo kogutów. Naprzeciwko nas – szyici. Naokoło – sami *mohadżir*, z Bihar, z Delhi, może skądś jeszcze. U góry jest pan, któremu przeszkadzają dzieci bawiące się na schodach.

Tylko czasem w plażie dzieje się coś wyjątkowego. Jakaś kobieta nocami ma napady szału. Albo panowie się o coś pokłócą.

W pewien piątek około dwunastej zgromadził się tłum facetów różnego stroju, wieku, zarostu i nakrycia głowy. Stanęli przy czerwonym samochodzie, wokół wąsacza w szarym szalwar kamizie. Wrzeszczeli. Jeden uderzył wąsacza w ramię – inny go zatrzymał. Drugi dał mu w twarz – też go zatrzymali.

Z meczetu przyszedł Arif. Wąsaty facet to *kasai* – rzeźnik.

– Mówią, że ukradł owcę, jedną z tych, co tu stoją, zabił, sprzedał mięso i skórę.

Coraz większy tłum. Jakiś brodaty starzec wygłosił mowę. Wszyscy gestykulowali – my z Europy tak nie umiemy. Tak przez dobre cztery godziny, czasem tylko się przesuwał w lewo i prawo.

Przyszedł z meczetu *bhai* (tu: siostrzeniec). Dopowiedział, że *kasai* uciął komuś palec za zniewagę, fałszywe oskarżenia i pozbawienie twarzy przed całą grupą. Żeby zachować twarz, trzeba się zemścić albo dogadać.

Kobiety oglądały wszystko z balkonów i okien.

Policji nie wezwano.

Ulica

Rzeźnicy zabijają kurczaki, które tłoczą się w zielonych plastikowych skrzynkach. Inni sprzedają z wózków owoce. Zimą granaty, guawy, cytrusy – pomarańcze *kino* i cytryny *mosambi*. Jagody falsa, liczi. W maju mango, melony – sardę, arbuzy, jabłka, śliwki (*aluća*), morele, brzoskwinie. Banany i jabłka – przez cały rok. I też jest czarno od much.

Można niechcący wejść w kałużę, ubłocić swoje wytworne złoczone kłapeczki, do których zaraz poprzylepia się rozrzucone pierze. Można poczuć duszący, kwaśny smród rozkładających się śmieci, mięsa i krwi.

– Niestety, mięso – mówi zawsze Michał, gdy tamtędy idzie lub jedzie. Ma cztery lata i od roku nie może przeboleć, że ludzie jedzą mięso. Jego wegetariańskie pomysły budzą tu pewne zakłopotanie.

Brodaty dziadek w białym szalwar kamizie gotuje i sprzedaje halim, a na każde wezwanie do modlitwy idzie do meczetu – jak wielu innych mężczyzn. Kobiety nie chodzą do meczetów.

Znajdują się tu też małe sklepiki, na które teściowa się skarży. Przyprawy ponoć są oszukane, ryż okazuje się połamany, a soczewica – stara. Można kupić naręcza trawy dla zwierząt i karmę dla ptaków, miotły (*dźharu*), loty (dzbanki na wodę, konieczne w ubikacji) i gumy do zbierania wody z podłogi. Mijam stary stół bilardowy, salon fryzjerski Stylish Hair Cut dla mężczyzn (strzyżenie za trzydzieści rupii), budkę z mlekiem i jogurtem w plastikowych woreczkach (z pieczołowicie zakręcaną gumką recepturką), sklep ze słodyczami, restaurację, z której przynosimy czasem jedzenie, pracownię krawca (*darzi*) i szewca (*moći*), który siedzi na chodniku i zawsze ma mnóstwo pracy. Dalej jest przystanek riksza i taksówek, a do tego wszędzie pouwiązywane koziołki, gotowe do bójki. Budki z ćatami i gotowaną kukurydzą. Od południa mężczyźni popijają herbatę przy plastikowych stolikach. Niektóre kobiety noszą zakupy na głowach. Co chwila przemyka kot – często z myszą lub ptakiem w pysku.

Trochę dalej jest park – ten, do którego mam nie chodzić. Podają w nim boski napój z prażonego mleka z przyprawami – *dudh ki botal*. Kilka meczetów sunnickich i szyickich i bardzo ruchliwa ulica z żółtym wiaduktem.

Za pierwszym razem nie rozumiałam, o co chodzi. Było rano, ale cała

rodzina w domu, choć dzieci miały iść do przedszkola. Na ulicy cicho. Żywej duszy. Żadnych wózków. Sklepy zamknięte.

– Była strzelanina – wyjaśnił teść. – *Firing*.

Poczułam dreszcz emocji – nie lęk. Słowo „strzelanina” nie miało dla mnie treści. Nie słyszałam przecież strzałów, tylko ciszę. Nie wiedziałam, że cisza w Karaczi zawsze coś oznacza.

Innego dnia tak samo. I w następne. Powtarza się co miesiąc albo dwa. W różnych częściach miasta.

– Dziś mamy strajk. Zabili kogoś z partii w innej dzielnicy. Partia ogłasza strajk. Pali opony, zabrania otwierania sklepów. Do odwołania. Może już jutro? W telewizji powiedzą.

Bywa, że trzy dni żyjemy na zapasach. Dzieci wychodzą tylko na podwórko, jeśli w ogóle. Dal, mąka, cukier, ryż, cebula, kartofle, herbata, mleko w proszku. Mleko, jajka i woda w butlach powoli się kończą.

Tracę wrażliwość. Boję się tylko, gdy Wasima nie ma w domu. Przestało mnie wzruszać, co się dzieje z innymi, tak jak innych z ulicy obok nie wzruszyłby zapewne mój los. Byle on – swój – dojechał bezpiecznie.

Partia to partia. Broni, radzi, nigdy cię nie zdradzi. Jej przywódca, Altaf Hussain, cieszy z portretów nasze oczy niczym car piękne słońeczko. Mieszka w Londynie i wygłasza mowy przez internet. Niezwykłe, ile może zrobić z miastem, istniejąc tu tylko wirtualnie. Musimy składać partii daniny w ofierze i być jej posłuszni. Nie wychylać się. Cierpliwie znosić okradanie. W czasie wyborów nie mamy tu ulotek innych partii ani spotkań z kandydatami z innych stronnictw – po co? Piosenki wyborcze znam na pamięć, słyszę je co noc przez trzy godziny. W zamian partia o nas dba. Jesteśmy właściwie bezpieczni.

Partia jest mocna w całym mieście. Pobiera opłaty za – ponoć nielegalnie działające – riksze (od których ulice Karaczi są jeszcze bardziej zatłoczone). Według obliczeń, które ktoś podał w czasie konferencji o Karaczi, zarabia na tych opłatach siedem i pół miliona rupii dziennie. Pobiera prowizję przy kupowaniu nieruchomości, bierze też skóry po Id ul-Adha – Świącie Ofiarowania.

– Przed chwilą ostrzelali na rondzie autobus szyitów. Pięć ofiar.

Słysząc wybuch. Ktoś podłożył ładunek przy posterunku policji niedaleko.

Włączamy telewizor i pojawiają się *breaking news*. Którędy dziś nie jechać?

– Jeździłam sama samochodem – opowiada cudzoziemka. – Ale miałam nieprzyjemne doświadczenie. *Ćor masti* (napad rabunkowy). Zostałam napadnięta. Teraz jeżdżę tylko riksami. I zasłaniam twarz.

Wasima okradli wiele razy. Jego kuzyna zabili, bo nie chciał oddać kluczyków do samochodu. Z napastnikiem się nie dyskutuje. Trzeba mieć zawsze coś, co można oddać.

Broń jest prawdziwa, nabita, dostępna. Wystaje czasem z męskich kieszeni. Wisi lub stoi w salonikach przy wazonie ze sztucznymi kwiatami. Z kałasznikowów strzela się na wiwat, gdy Pakistan wygra w krykieta.

Staliśmy w korku, szyby samochodu były otwarte. Podbiegł do nas facet. Trochę pokaleczył Wasima, zabrał mu komórkę, a przy moim czole trzymał w tym czasie pistolet. To już? Tak szybko? – pomyślałam. Gdy dostał telefon, uciekł. Był bardzo agresywny. Krzyczał.

Stracić życie z powodu komórki?

– *So, you have been robbed*. (Czyli zostałam obrabowana). *Welcome to Karaczi!* – powiedział kolega, do którego potem pojechaliśmy, i pokiwał głową.

Zebrzące dzieci potrafią za mną iść do samochodu i próbują wejść do środka albo przynajmniej otwierają szybę (gdy wsiadam do samochodu, dziecko łapie za rączkę przy drzwiach i otwiera sobie od środka szybę, żeby mogło dalej negocjować). W Bhitshah dziewczynka biegła, przyklejona do szyby, aż do granic miasteczka, bo po zatłoczonych ciasnych uliczkach jechaliśmy bardzo powoli.

– Sto rupii! – wołają. – *Charć!* (Daj mi na moje wydatki – *charć* to dosłownie: wydatek).

Będą się za mnie modlić. Allah mi pobłogosławi. Dałabym im wszystko, co mam, ale ponoć napędzi to tylko zebraczą machinę, nic w ich życiu nie zmieni, a ja zamiast piętnastki będę miała wkoło setkę. Rozumiem, że im ciężko, że to praca i walka o byt.

Zebracy to codzienność. Płacę oczywiście za lata kolonializmu i utrwalone wyobrażenie o białych bogatych paniach. Mam ich rozumieć, ich trudny los, ich brak wyboru i perspektyw, niesprawiedliwość, której są ofiarami i która ma usprawiedliwiać ich agresję. Staram się. Nie chciałabym się z nimi

zamienić. Oni nie rozumieją mnie nigdy. Pewnie na zawsze pozostaną przy swoich wyobrażeniach. Jestem potencjalnym źródłem kasy i tyle. Na pewno bogata. Nie pojmą, że nie różnię się materialnie od większości pielgrzymów, którzy tu przybyli. Że byłyby zawiedzione odwiedzinami w mojej plazie.

– Codziennie mijam na rondzie żebrzące dzieci – mówi Śaista. – Kiedyś zatrzymałam dziewczynkę. „Pracuj u mnie w domu – powiedziałam. – Będiesz myła naczynia, prała, ale też się uczyła. Dam ci dziesięć tysięcy rupii miesięcznie i ubranie”. „*Bhadźi!* Dziennie mam tu półtora tysiąca. Po co miałabym się męczyć cały miesiąc za dziesięć tysięcy?”, usłyszałam w odpowiedzi. To mnie zraziło.

„Żebrakiem nie jest się z wyboru” – głosi stare powiedzenie. Antropolożka Sheeba Sayeed (odwiedziła kiedyś Polskę z filmem *Beggars of Lahore*) uważa, że nawet w Pakistanie to nie zawsze jest prawda. Żebracze mafie istnieją tutaj podobnie jak na Zachodzie.

Plaza może zaskoczyć

Znajome małżeństwo z zagranicy po wielu latach postanowiło odwiedzić rodzinne miasto. Zamieszkali więc z rodziną (żona ma aż sześć zamężnych siostr i wszystkie mieszkają w pobliżu), żeby nie trzeba było tłuc się riksami czy taksówkami i żeby sobie mogły wspólnie spędzać dni, pochodzić na zakupy, nie martwić się, że już późno, pożyczyć pełnię życia.

Blokowisko jak nasze. Brudne, odrutowane, jakby niedokończone. Ostatnie, czwarte piętro. Z klatki schodowej wychodziło się prosto na długi „balkon”, z którego mieszkańcy wchodzą do swoich mieszkań. W środku było podwórko studnia. Poręcz balkonu sięgała do połowy uda. Mam, niestety, lęk wysokości. Dobrze widziałam, co jest w dole. Po dachu naprzeciwko przechadzał się swobodnym krokiem jakiś Pakistańczyk. To częsty widok. Gdy widzę, jak ludzie tu wychylają się z dachu, żeby zamocować rurę czy przykręcić do niej śrubę, albo zbiegają lekko jak piórko po schodach bez poręczy, myślę, że trafiłam tu chyba za sprawą jakiegoś okrutnego żartu losu.

Po długich minutach czekania przyjaciel odryglował zasuwę, otworzył drzwi i zaprosił nas do wnętrza, które wyremontowała na ich przyjazd jego *sali* (szwagierka – choć warto być ostrożnym, używając tego słowa, bo

sugeruje intymne relacje na boku: „Jesteś moim szwagrem”, „Twoja siostra to moja szwagierka” to zniewagi, za które można słono zapłacić). Na orientalnych krzesłach i sofach leżały aksamitne narzuty w wielkie kolorowe kwiaty. *Sali* wybrała na okrycie misternie zdobionego łóża prześcieradło w kratkę w różnych odcieniach różu. Sufit był pąsowy, z gipsowymi esamifloresami. Tapeta imitowała ceglany mur. Plastikowy złoty zegar na ścianie. Złożona cerata na stole. Sztuczne kwiaty. Dystrybutor wody. Telewizor plazmowy trzydzieści dziewięć cali, a może nawet czterdzieści jeden. Nowiutki klimatyzator. Sympatyczny młody człowiek, którego zastaliśmy w domu, właśnie kończył instalować internet bezprzewodowy. Zapadłam się w żółtych i różowych kwiatkach na narzucie. Fascynujące, jakie skarby może kryć coś tak zniechęcającego jak pakistańskie blokowisko trzeciej kategorii.

W pewnym momencie do pokoju weszła teściowa przyjaciela, starsza pani potężnej postury, owinięta w kwiecistą *bara dupatta* (wielką dupattę), której brzegi miała założone za uszy. Ucałowałyśmy się.

– Kilka razy proponowaliśmy mamie przeprowadzkę. Przyjeżdżała dwa razy! Byłam z nią dwadzieścia cztery godziny na dobę! Ale ona się nudziła. Ma tu ośmioro dzieci i cały czas za nimi tęskniła. Nie miała u nas co robić! Wyobrażasz to sobie? Teraz jeździ tylko w odwiedziny. Raz wzięliśmy ją do kasyna. Nie sugeruj się tym, jak mama wygląda. Ona ma wielkie serce. Grała przez całą noc! To rasowy gracz z powołania! – przedstawił mamę przyjaciel.

Żona przyjaciela poruszała się, jak gdyby tańczyła, jej twarz miała mimikę indyjskiej tancerki. Co chwila przytulała się do męża, głaskała go, owijała się wokół jego karku. Gdy coś mówił, mimiką podkreślała znaczenie jego słów.

– Ja i Nadźma nie potrafimy się rozstać na dłużej niż dwa dni – tłumaczył przyjaciel. – Po dwóch dniach ona już nie może wytrzymać z tęsknoty. Jak ty mogłaś przeżyć cztery miesiące bez twojego męża? – dziwił się.

Sali, której dziełem i własnością było wnętrze, okazała się obfita, ubrana w żółcie i kwiaty. W uszach miała mnóstwo kolczyków, usta pokryte szminką koloru nazywanego tu *shocking pink*. Uśmiechała się, ale rzadko. Miała syna, mniej więcej dziesięcioletniego, otyłego tak jak ona.

– Ona mieszka tu od trzydziestu lat – opowiadał o niej nasz przyjaciel. – Ma wielkie, wspaniałe serce. Wiesz, że ma pięć mieszkań, i wszystkie w tej *compound* (plazie)? I cztery służące! Wszystkich tu zna! Sama prowadzi samochód! Ma też kierowcę! Więc jeśli chcesz kiedyś do niej przyjechać,

a masz trudności z transportem, to nie ma problemu. Przyjeżdżaj! Na cały dzień! Zostań! Jesteś dla nas jak siostra! Teraz, podczas ramadanu, *sali* przygotowuje posiłki dla biednych z okolicy. Jesteśmy muzułmanami i wierzymy, że za ten dobry uczynek znajdziemy się w niebie. Nie wiem nawet, ile pieniędzy ona wydaje na iftar (kolację) i *sehri* (posiłek przed wschodem słońca) dla biednych! A spójrz, jaka jest ładna! Ona mi nie wierzy! Tłumaczę jej, że ma piękną twarz, gdyby tylko trochę schudła! Gdybyś widziała jej zdjęcia sprzed lat! *She was a very hot girl!* Sama powiedz, czy nie ma ładnej twarzy?

Przyjaciel mówił też o swojej mamie, która niedawno zmarła. Mieszkała z nimi w Stanach. Wasim wspomniał raz, jak jego przyjaciel wpadł na pomysł, żeby wziąć mamę do centrum handlowego i kupić jej dzinsy. Biedna kobieta przymierzała je z bólem serca. Przyjaciel opowiedział o mamie co innego.

– Na Zachodzie, jeśli zaczniesz prosić o pomoc, zawsze ktoś ci pomoże. Nieważne, jakiego jesteś wyznania, narodowości, rasy, płci. W Pakistanie tak nie jest. Pomogą ci tylko swoi. Nikt tu nie pomoże obcemu, którego spotkało nieszczęście. Nasza społeczność jest bogata. Mamy szczęście. Nasz ojciec zmarł, gdy byliśmy mali. Do mamy przyszło mnóstwo ludzi, z pieniędzmi, jedzeniem, różnymi pomysłami. Ale mama powiedziała: nie chcę. Znajdźcie mi pracę. Nie chcę, żeby moje dzieci się nauczyły wyciągać rękę. I pracowała. Bardzo ciężko. Często na kolację była garść gotowanej kukurydzy, do tego piliśmy dużo wody, żeby zabić głód. Mama bardzo dbała, żebyśmy się uczyli. Mówiła, że między biedą i bogactwem jest most: wykształcenie. Bardzo ją kochaliśmy.

Uzależnieni od Karaczi

Powoli ulica staje się moją ulicą. Osiedle – naszym osiedlem. Miasto – moim miastem. Wzrok przyzwyczajają się do śmieci i wszechobecnego dziadostwa. Przystają złościć wlepione we mnie oczy. Tworzy się porządek. Powtarzają się pory roku, smaki zaczynają mieć niuansy. Wchodzę w rytm dnia. Nawet jeśli sama nie przestrzegam, to widzę jak „oni” go zachowują. Oswoiłam niewygody i codzienne trudności. Przykład: uważam za oczywiste, że włączam piekarnik, gdy jest prąd i gdy teściowa nic nie robi w kuchni. Ciśnienie gazu jest niskie i piekarnik zabiera gaz palnikom, więc gotowanie

trwa wtedy godzinami, a generator – też na gaz – może się wyłączyć, gdy ciśnienie za bardzo spadnie.

Rozpoznaję ulice, widoki, marki, twarze polityków. Nawet jak coś huknie za oknem albo się wyłączy, to nie pierwszy raz i nie ostatni. Na dodatek wiem (mniej więcej), czego się spodziewać nazajutrz. Znalazłam sobie jakieś wyjaśnienia, które mnie przekonują, nawet jeśli nie są zgodne z faktami czy wiedzą akademicką. Strzały za oknem nie muszą przecież znaczyć, że sunnita zabija szyitę. Choć mogą.

Już zawsze będę czuła, jak blisko jestem związana z Karaczi. Niemal jakbym była „stąd”. Wyszłam tu za męża, urodziłam tu dziecko. Widziałam niezwykle sceny, świętowałam Diwali – hinduistyczne święto światła – na zamkniętym osiedlu, modliłam się przy figurze Matki Boskiej z południa Indii, byłam na miladach (spotkaniach modlitewnych ku czci Muhammada). To miasto dało mi w kość dotkliwiej niż jakiegokolwiek inne miejsce na świecie.

Jeden z naszych kolegów pochodzi z Kaszmiru, a jego żona – z Karaczi. Spotkaliśmy się w Londynie.

– Kocham Karaczi! – zawołał. – Mogę tu siedzieć dwie godziny na sztywnym rodzinnym spotkaniu, ubrany w szalwar kamiz i *topi* jak reszta towarzystwa, panowie osobno, a osłonięte panie osobno, pić herbatę i jeść dżalebi (spiralne słodczyce z ciasta smażonego w głębokim oleju). Wyjść i dziesięć minut później znaleźć się na dyskotecę, gdzie whisky leje się strumieniami, a potem w awangardowym teatrze.

Przybysze z Islamabadu czują się w Karaczi zagubieni, przerażeni i boją się prowadzić samochód. Ci, którzy przyjechali z Karaczi do pracy w Islamabadzie, cierpią i tęsknią.

– Ludzie tu są jacyś dziwni – opowiada kolega z Karaczi, który do Islamabadu wyjechał za chlebem. – Jakimś sposobem rozpoznają, że jestem z Karaczi. Raz poszedłem oddać ubrania żony do krawca. „Jesteś z Karaczi”?, spytał. „Tak”, odpowiedziałem. Wiesz, jak się wystraszył? Oni myślą, że jak jestem z Karaczi, to noszę broń i zaraz ich napadnę! Już wiele razy słyszałem tu podobne brednie. Już mu nie mówiłem, że kogo jak kogo, ale najbardziej się w Karaczi boimy Pasztunów!

Bieda, brud i kurz. Brak prądu, brak wody, woń potu. Powietrze składa się

ze smrodu; tlenu jest bardzo mało. Ulice zakorkowane.

Śmiecie, nieporządek, ciasnota, tłok, ruiny, chałupy, błoto, nieczystości; gnój, uryna, ropa, wydzieliny i pot; wszystko to, przeciwko czemu życie miejskie wydaje się nam zorganizowaną ochroną, wszystko, czego nienawidzimy, wszystko, przeciwko czemu chronimy się za wszelką cenę. Te uboczne produkty wspólnego zamieszkania tutaj nigdy go nie ograniczają, lecz raczej tworzą naturalne środowisko, potrzebne miastu do prosperowania^[45].

Lévi-Strauss pisał to w Brazylii dawno temu, ale opis idealnie pasuje do dzisiejszego Karaczi.

Mówi się, że Karaczi jest „niehumanitarne”. A może jest zgoła inaczej – bardzo dużo można się dowiedzieć o człowieku, żyjąc tutaj. Dla mnie to bardzo „humanitarne” miasto. Ma wiele twarzy – od niezwykle bogatej po przeraźliwie biedną, ale pozostawia ogólne wrażenie ubóstwa, niedokończenia, chaosu i brudu – zmagają z codziennością. Ale zarazem – niezwyklej mocy, którą czuję natychmiast, gdy wyjdę z domu. To miasto żyje całą dobę, niemal zawsze na pełnych obrotach. Jedna dzielnica to kilka milionów istnień, czepiających się zachłannie życia. Kochają kolory, ażurowe wzory, wytłaczane w blasze, wyrzynane, wycinane, malowane, umieszczane na klamkach, uchwytach, sufitach, łazienkowych dzbankach, czyli lotach. Nie sposób się nie uśmiechnąć, zwłaszcza na początku, na widok tyłu kolorów i na przykład autobusu, który posuwa się ociężale po ulicach Karaczi, powiewając szmatkami, dyndając sprężynkami, na których ktoś umocował kwiatki, motylki i piórka, uginając się pod ciężarem pasażerów, którzy siedzą na dachu i zwisają gronami u drzwi. Taka podróż jest znacznie tańsza od rikszy czy taksówki. Na zdjęciach nie widać upału, metalu rozgrzanego w słońcu i parzącego ręce. To kolorowa atrakcja (te motywy! tygrysy, kwiaty, pawie, skrzyżowane miecze, serca, krajobrazy) i egzotyczny widok dla przybyszów z innego, bogatego świata.

Nikt nie umie określić, ile naprawdę mieszka tu ludzi. Może 18 milionów, jak twierdzą Wasim i jego koledzy? Może 23, jak czasem podają gazety? Gdzie jest granica między miastem, które ponoć liczy skromne 12 milionów, aglomeracją i terenem zabudowanym? Zatłoczone, „niedokończone”, śmierdzące, duszne, lepkie od potu, zakurzone, rozwrzeszczane, zakorkowane, często spowite w ciemności. Można tu wspaniale zjeść. Doświadczyć biedy, brzydoty, zmęczenia i samotności, lecz także luksusu,

piękna, malowniczości, magii i spokoju. I wszystko jest tu wielkie. Korki, chaos, zakapiorskie dzielnice, budynki widma, dziwaczne pomniki, podarte bannery, kłęby drutów, płonące śmiecie, nielegalna broń.

Bez przemocy? To nie tutaj

Czasem się słyszy o „chronicznych wojnach domowych w Karaczi”. Etniczna, wewnątrzreligijna (największa i najbardziej znana to ta między szyitami i ich przeciwnikami), międzypartyjna i kryminalna. Według Laurenta Gayera (którego książkę *Karachi* trzeba przeczytać, jeśli chcemy dowiedzieć się więcej o tym mieście) przemoc tu nie jest całkowicie chaotyczna i niezorganizowana. Walka toczy się o kontrolę nad głosami wyborców, ziemią i bhata – pieniędzmi za „protekcję” (haraczem, który musi składać różnym organizacjom każdy, kto tu działa – na przykład właściciel sklepu musi płacić około dwudziestu pięciu tysięcy rupii miesięcznie[46]) i jest na tyle uporządkowana, że mieszkańcom udaje się tu żyć i nie zwariować. Karaczi wciąż działa i jest centrum gospodarczym Pakistanu, mimo przemocy, a czasem wręcz dzięki niej.

Kilka godzin temu na ulicy strzelali. Nie ogłoszono strajku. Teraz wszystko toczy się, jak gdyby nigdy nic: osiołki, nawoływania ulicznych handlarzy, riksze, dzieci wychodzą grać w krykieta. Niektórzy mieszkańcy Karaczi się boją i próbują zamykać w swoich społecznych „bańkach”, które dają złudzenie izolacji od niebezpieczeństw otaczającego świata. Budują mury. Mają swoje sklepy, wielkie samochody z ciemnymi szybami, ukryte miejsca spotkań, dzielnice, których nie opuszczają. Spotykają się w klubach i domach prywatnych, tam prowadzą ożywione swobodne dyskusje, oglądają sztuki o wojnie i przemocy. Piszą opowiadania i wiersze o Karaczi, o tym, jak miasto pulsuje „ukrytym życiem”. Malują graffiti. Chcą coś zmienić i żyć normalnie. Organizują tygodnie mody, koncerty, festiwale, „otwarte mikrofony”, panele dyskusyjne. Wyobrażają sobie (co prawda bez szczególnych złudzeń), że w ich świecie jest choć trochę bezpieczniej niż tam, dokąd boją się zapuszczać.

Ci, których nie stać na takie „odgrodenie się”, wspinają się na dach autobusu, wyskakują w biegu, nie noszą broni. Opierają swoje poczucie bezpieczeństwa na czymś innym.

– Jeśli Bóg chce, kula we mnie nie trafi. Jeśli chce, nie mogę się uchronić przed Jego zamysłem – powtarza mój teść.

Biała w mieście

Poruszać się.

Kocham się włóczyć. Iść. Błądzić i znajdować drogę. Nic tak nie dodaje mi energii jak podróż. Dworce to moje ukochane miejsca.

Znów dostałam mejla od kogoś, kto planuje podróż do Pakistanu. Czy można po nim pojeździć?

Połączyć po moim osiedlu? Odkryć nieznany zakątek, placyk, kącik, bramę, sklepik?

Powłóczyć się po Sindzie ze śpiworem i namiotem?

Niestety. Jeździmy tam, gdzie mamy krewnych albo przyjaciół równoważnych bratu lub siostrze. Gdzie rozpościera się sieć koneksji. W nieznane – nigdy. A więc do Beludżystanu nie, do FATA – Terytoriów Plemiennych Administrowanych Federalnie na północy Pakistanu (tam, gdzie leży na przykład słynący z niebezpieczeństw Waziristan) – też nie. W wiele miejsc – nie. Choć serce boli.

Gdybym była samotna, miałabym inną hierarchię wartości. Moje życie nie byłoby na pierwszym miejscu. I może zaryzykowałabym podróż w ciemno. Zrobiłabym to samo co cyrkowcy z fińskiego Tuk-Tuka, którzy podróżują riksą po Azji. Facetom zresztą łatwiej. A może bym pojechała na misję – w Pakistanie jest komu pomagać.

Mam rodzinę. Musiałam więc zapomnieć, co to spontaniczne wycieczki przed siebie, tylko my, natura i kultura. Jazda stopem albo pociągiem do nieznanej stacji, z wiarą w ludzi, którzy znajdą dla nas kącik. Przecież Pakistańczycy są – naprawdę! – wspaniali. Słyną z gościnności. Nie ma dla nich nic niemożliwego. Przecież jestem przyjazna. Nie krytykuję islamu, ubieram się jak należy, coś tam dukam w urdu. Zresztą lingwistka Benedicte Grima z córeczką Lawanginą robiła badania terenowe blisko Peszawaru! Co prawda nie czuła się tak całkiem bezpiecznie, nosiła nóż pod afgańską burką, ale jednak sobie poradziła. I nie ona jedna. Niemożliwe, żeby od tamtego czasu aż tyle się zmieniło. Media przesadzają. Do odważnych świat należy. Dlaczego ktoś miałby mnie porywać?

„Porwanie” brzmi tak samo absurdalnie jak na początku „strzelanina”.

A jednak to też rzeczywistość, zwłaszcza w Beludżystanie i od niedawna w Sindzie.

Jeździmy. Zawsze dołącza do nas kolega, czasem dwóch, a po drodze kolejnych trzech, którzy pochodzą z tego miejsca, do którego się udajemy. Trzeba się umawiać z wyprzedzeniem, a potem witać, siedzieć, być częstowanym herbatą, opowiadać po raz nie wiadomo który, jak się żyje w Pakistanie i co tu zachwyca, a co jest „głównym problemem tego społeczeństwa”. Nie liczyć na swobodę i spontaniczność w czasie podróży. Myśleć o bezpieczeństwie i o gospodarzach, którzy przecież są za nas odpowiedzialni i to sprawa ich honoru. Cieszyć się tym, co jest i jak jest – na szczęście na brak wrażeń nie można tu narzekać.

W Karaczi jest nie lepiej. Przygnębia mnie myśl, że przebyłam sześć tysięcy kilometrów, żeby spędzić aż tyle czasu w czterech ścianach. Nawet jeśli życie domowe jest tu sto razy intensywniejsze od europejskiego i nawet jeśli dom to nie moja ostateczna perspektywa.

Choć minęło już kilka lat, po mieście poruszam się wyłącznie samochodem. Rikszą sama – nie. Maksimum szaleństwa to rikszowe wypadki z koleżankami i spacerki po Saddarze. Taksówką – tak samo. Autobusem jest stosunkowo najbezpieczniej (i najegzotyczniej), ale też w pełnym przykryciu, i na początku warto jeździć z kimś do towarzystwa. Na motorze – z Wasimem. Kobiety same nie jeżdżą. Na rowerach nie jeżdżą wcale. Sama na spacer z Michałem po osiedlu – uważaj, na sąsiednim osiedlu porwali dziecko, a on się wyróżnia. Ile w tym rzeczywistego zagrożenia, a ile nakręcania się – nie wiadomo, ale jakoś nie mam zamiaru sprawdzać. To chyba właśnie nazywa się terroryzm. Komuś udaje się ciebie zastraszyć.

Przez to wszystko byle spacer urasta do rangi wydarzenia.

Na bazar pojechałyśmy rikszą. Przyglądałam się bazarowemu życiu. Sprzedawcom samos z keczupem i napojów, którzy noszą tace na głowach, zebrzącym chłopcom i staruszkom. Kobietom z dziećmi, które tak samo jak my przyszły na zakupy. Brokatowi na twarzach sprzedawców szklanych bransoletek. Tasiemkom, szalom, frędzłom. Patrzyłam, jak chłopak maluje dla mnie granatowym lakierem szkiełka w kolczykach. Inny obrębiał mi dupatę. Kupowałyśmy pościel dla teściów i dwa materiały na szalwar kamiz. Zaczyna się od dupatty, potem kamiz, potem szalwar, potem samiz (podszewka). Rozmawiałyśmy.

Dziś rano poszłyśmy do krawca. Nie wzięłam ani telefonu, ani aparatu, bo to przecież tuż pod domem... I bardzo żałuję, bo potem wpadłyśmy na pomysł, żebyśmy pojechała z Faizą na lekcję do salonu piękności. Faiza chce otworzyć swój *beauty parlour* i przechodzi teraz intensywnie

szkolenie w instytucie makijażu i stylizacji „Femina”. Dziś uczyła się na zmaltretowanym manekinie układania włosów w koronę, „double french”, „twist” i coś jeszcze. Oglądałam fotografie makijażu ślubnego. Rozmawiałam z zabawnym facetem, który był trzy razy w Mediolanie i co chwila się czesał, z nauczycielką Faizy, recepcjonistkami i dziewczynami, które też przychodzą na lekcje. W końcu doszli do wniosku, że chcą, żebym im pozowała do makijażu ślubnego, i że chętnie mi poprawią balejaż, tylko muszą doczytać, czy wolno to robić kobiecie w ciąży.

Potem jadłyśmy ćat, sypiąc do niego masę ćat masali. Piłyśmy sok z mango. Czekaliśmy na „żółtą” rikszę (wygodniejszą od czarnych i niebieskich). Krzyczałyśmy do rikszarza, żeby jechał ostrożnie, a przede wszystkim rozmawiałyśmy o życiu^[47].

Spacer do parku

Nie mogłam dłużej wytrzymać. Włożyłam burkę i wyszłam. Wspaniale. Usiadłam z książką w pobliskim parku. Prawie natychmiast na mojej ławce pojawił się gość. Dziewczynka w czarnej dupatcie, na oko dziesięcioletnia. Zaczęła mnie lustrować wielkimi nieruchomymi zaciekawionymi oczami. I mnie, i książkę. Z bliska.

– Co robisz? – spytała wreszcie.

Zaraz przybiegło czworo innych dzieci (jej brat i kuzyni, jak się potem okazało). Obejrzały mnie. Niestety, nie udało mi się udzielić odpowiedzi (lub może jestem głucha) – bo nagle posypał się na mnie grad pytań.

– Skąd jesteś? Gdzie mieszkasz? Po co przyszedłaś do parku? Masz mamę i tatę? Gdzie jest twój mąż? Gdzie pracuje? Kiedy wróci? Mieszkasz z jego rodzicami? A z *khala*? A z *phuphi*? – (*Khala* to siostra taty, a *phuphi* – siostra mamy).

– Jesteś Sindhijką? Co jadłaś dziś na obiad? Co lubisz jeść? Kiedy urodzi się dziecko? Chłopiec czy dziewczynka? Będziesz rodziła w domu czy w szpitalu? Gdzie jest twój kraj? Czy się modlisz? To twój prawdziwy kolor oczu czy nosisz szkła kontaktowe? Pokaż włosy! Wyciągnij trochę spod abai!

– Co masz pod burką? Jaki szalwar kamiz? – (Dziewczynka złapała mnie za poję burki, podniosła i sama zobaczyła – może ja, chcąc wszystko tu zobaczyć, robię coś podobnego?)

– Czy chodziłaś do szkoły?

Jedno dziecko wrzeszczało mi do jednego ucha, drugie kaszłało do drugiego. Najstarsza dziewczynka wypytywała o każdy szczegół. Na szczęście mieszkają po drugiej stronie parku i nie poszły ze mną do domu.

W końcu się zezłościłam. Niby z jakiej racji chcą wiedzieć o mnie aż tak dużo? Poczułam się jak rozmówca napadnięty przez zbyt wścibskiego etnografa. Ogarnęła mnie zgroza na myśl, że mogłam kogoś kiedyś przyprawić o podobne odczucia, a może wciąż przyprawiam. Poczułam podziw dla moich rozmówców, którzy nie wywalili mnie z podwórka na zbity pysk, lecz poświęcali mi nieraz długie godziny. Święci, wspaniali ludzie!

Następnego dnia poszłam do parku o innej porze. Dzieci też tam były. Zauważyły, że mam inną torebkę. Były ciekawe, co mam dziś pod burką. Znów za mną szły i znów rozmawialiśmy.

Gdy mówiłam o płci dziecka – której nie znałam – dziewczynka powiedziała:

– Będzie tak, jak Bóg chce. *Alla ki marzi*. – Pokiwała poważnie głową, jak dorosła kobieta.

Potem urodziłam dziecko i do długich spacerów właściwie nie wróciłam.

W Karaczi muszę uważać sto razy bardziej niż Pakistanka. Gdy wyjedziemy z miasta – nieskończenie bardziej. „Kobieta” nakłada się na „cudzoziemkę”.

Uważaj na dupatę! Uważaj na kamiz! Podwija się. Zasłoń głowę! Czy nie wystają mi włosy, bo jasne. Najlepiej upinać je w kok.

Uważaj, jak się zachowujesz. Nie uśmiechaj się do obcych. Uśmiech do obcego faceta to jakbyś wpraszała mu się do łóżka. Zapomnij o uprzejmości. Miej za złe. Jak nie nosisz nikabu, to naucz się zachowywać kamienną twarz i stale mieć minę nadąsanej królowej. Wydawaj rozkazy, traktuj wszystkich (poza najbliższą rodziną) niemal z pogardą. Nie proś, tylko żądaj. W domu zmieniaj się w pokorną, życzliwą żonę, mamę i synową – kochającą, gotową do kompromisów, o słodkim głosie. Podejź do tego jak aktorka do występów w dwóch różnych telenowelach, nie jak do rozdwojenia jaźni.

Raz zapomniałam. Zaczęłam skakać po parku w Karaczi z Michałem. W rodzinnym parku mogę chyba być mamą? Wasim przeistoczył się w groźnego pakistańskiego małżonka, długo miałam do niego żal. Wciąż próbuję to zrozumieć. Co komu przeszkadza, że jakaś babka w parku sobie poskacze z dzieckiem?

Problem w tym, że przyciągam wtedy uwagę. Także potencjalnych złoczyńców. Przecież nie wiadomo, kto jest obok. Łamię wszystkie tabu. Na

ulicy biała kobieta wcale nie może sobie pozwolić na więcej.

Matka dzieciom się tak nie zachowuje.

Kobieta na ulicy nie śpiewa.

Jej głos w przestrzeni publicznej powinien być niemiły, ostry i szorstki. Śpiewu mogą słuchać tylko mahramowie, czyli ci, których kobieta nie może poślubić, a i to nie zawsze (dla wielu przecież muzyka jest *haram*, czyli zakazana).

Kobieta na ulicy nie tańczy, nie skacze, nie biega, nie piszczy. Chyba że jest słynną tancerką Sheemą Kermani – ale ile ta kobieta się nasłucha i ile ryzykuje!

Facet może się przytulać do faceta i paradować z nim w czułych objęciach. Może ogolić się i ostrzyc na ulicy, na ulicy kazać sobie wymasować plecy, krzyżeć, załatwiać hałaśliwie sprawy w biurze. Ulica jest jego.

Kobieta może przytulić tylko dziecko, no i musi się przytulić do mężczyzny na motorze, bo inaczej zleci. Niepisana reguła każe jej bowiem jechać na motorze bokiem. W grobowcach świętych, takich jak ten w mieście Sehwan, kobiety zachowują się swobodnie, tańczą, rozpuszczają włosy – jednak to przestrzeń sakralna i ekstatycznym tańcem (dhamal) wyrażają swoją pobożność. Ulica to *profanum*. Właściwie wystarczy te normy zaakceptować, żeby móc cieszyć się życiem. W towarzystwie kobiet albo braci i kuzynów, w swoim hidżabie i burce kobieta może być radosna, uśmiechnięta, roześmiana. Wiele takich dziewczyn widzę w riksach. Piszą SMS-y, uśmiechają się, na motorze owinięta kobieta łapie za policzek faceta, do którego boku jest przytulona, i głaszcze.

Jednak za białą okup jest większy. O białą boją się bardzo.

– Idziesz do parku, *mami*? (ciociu) – pyta siostrzeniec. Park jest sto metrów od domu. – Zawsze się wtedy boję. Przecież z każdej strony mogą do ciebie strzelić. Ktoś cię może porwać!

– Przecież będę zasłonięta.

– To nic.

W parku jest impreza. Cuda, dziwy, wątpliwe atrakcje (sześcionogie krowy), ale też wystawa kwiatów, poszlibyśmy z dziećmi.

– Mogę iść?

– Nie.

Skończyły się kolendra i koperek. Stragany z warzywami stoją na ulicy, nawet nie sto metrów od domu.

– Kto przyniesie? – Teściowa rozkłada bezradnie ręce. Arif w medresie, teść u lekarza, Śabi śpi.

– Ja?

– Nie!

Czasem mimo to idę. Zawsze jak dotąd wracałam. „*Hello! Hello angrezi*” – słyszałam wiele razy. Znaczy to „Angielko!” lub „Cudzoziemko!”. Trudno nazwać to „swobodnym spacerem”.

Zawsze to samo wyjaśnienie: niby nic się nie stało, jak chodziłaś, ale teraz ludzie są szaleni, nigdy nie wiadomo, to zła okolica, uważaj!

To się wydaje niemożliwe. Harmonia, spokój i ład, których można tu doświadczyć nawet w największym ścisiku, po prostu porażają. W wypełnionym szczelnie hipermarkecie chłopak niesie dziesięciolitrowy aluminiowy czajnik herbaty – to pora ćaju dla sprzedawców. Chodzi od kasy do kasy między kolejkami, nalewa każdemu. Nic się nie wylewa, nikt nie jest poparzony, nie krzyczy, nie narzeka, nie komentuje. Nikt nie wjeżdża mi w plecy wózkami, nie depcze. W zoo albo w tłocznej restauracji tłumy zachowują się tak grzecznie, że to Polacy wyszliby w masie na nieokrzesanych kmiotów. Nie do pomyślenia po prostu, że ktoś spośród tak zachowujących się ludzi mógłby strzelać czy porywać. Może szaleniec.

A jednak. Szaleńcy się zdarzają.

Karaczi jest kobietą

Według legendy Karaczi założyła kobieta.

Mai Kolaći była rybaczką[48]. Jej mąż wypłynął sam na morze i nie wracał. Kolaći prosiła innych rybaków o pomoc, ale odmawiali. Wzięła więc łódkę i wyruszyła na poszukiwania. Rozpętała się burza i fala wyrzuciła ją na brzeg. Na szczęście, na ten sam brzeg fala wyrzuciła jej męża. Gdy wrócili, mieszkańcy wioski nazwali swoją osadę Kolaći, a rybaczkę obwołali przywódczynią wsi. Mimo protestów udało się jej utrzymać tę pozycję.

Bardzo długo Karaczi było niewielką osadą rybacką. Brytyjczycy weszli tu w 1839 roku, a rozbudowę zaczęli w 1854. Wybudowali wtedy stocznię, dzielnicę Clifton (początkowo mieszkali tu żołnierze brytyjscy), obecne „stare centrum”, założyli cmentarz Gora Qabristan (Cmentarz Białych). Port

w Karaczi miał dogodne położenie, ponieważ wiodła stąd najkrótsza droga morska z Indii do Anglii: 5918 mil morskich do Southampton. Zakładały tu filie największe europejskie przedsiębiorstwa i banki. Stara, potwornie dziś zatłoczona dzielnica Saddar początkowo była targiem warzywnym, a potem rozwinęła się w centrum handlowe. Brytyjczycy przychodzili tam na zakupy, osiedlali się hindusi, Gończycy, parsowie, znacznie później – muzułmanie (Arabowie, Sindhijczycy i Gudżaratczycy). Wybudowano linię kolejową łączącą Karaczi z Sindhem i Pendżabem, co sprzyjało rozwojowi handlu. Empress Market w Karaczi był, obok targu w Bombaju, największym targiem warzywnym na świecie. Pod koniec dziewiętnastego wieku Karaczi stało się poważnym rywalem dla Bombaju i Kalkuty i do dziś jest nazywane „bliźniakiem Bombaju”. Miało też ogromne znaczenie w czasie pierwszej wojny światowej (jako punkt logistyczny dla zaopatrzenia Indii), a podczas drugiej zaopatrywało wojska aliantów w żywność i wyposażenie. Było ponadto „szpitalem dla statków”. Dziś działa tu umieralnia statków w Gadani, którą bardzo chciałabym odwiedzić, ale nie jest to proste. Miasto wciąż odgrywa ważną rolę aprowizacyjną w konfliktach zbrojnych.

W latach 1947–1951 do Karaczi napłynęła fala uciekinierów i emigrantów z różnych części Indii – *mohadżir*, czyli „przybyszów” (aż dziewięćset tysięcy osób!). To był pierwszy przełom w historii miasta. Osiedlali się, gdzie mogli. W 1948 roku Karaczi zostało stolicą świeżo utworzonego państwa Pakistan i było nią aż do powstania Islamabadu. W tej chwili mieszka tu około 18 milionów ludzi i wytwarzane jest 15 procent pakistańskiego PKB.

W Karaczi są dwa rodzaje dzielnic: planowane i nieplanowane. Te pierwsze wytyczyło (albo włączyło w swoje plany) KDA – *Karachi Development Authority*, czyli biuro rozwoju miasta. Te drugie, nielegalne (zwane *basti*), ludzie wybudowali sami, na przykład wzdłuż linii kolejowej i kanałów. W *basti* żyje prawie połowa mieszkańców miasta. Wiele rodzin nie planowało pozostania w tych domach, po prostu prowizorka okazała się najtrwalsza.

Nieplanowane dzielnice łatwo rozpoznać: wąskie uliczki, nierówno zbudowane domy, ciasnota, taksujące i pełne podejrzliwości spojrzenia przybyszów (czym jest gościem? po co tu się pałęta?). Jeśli po tym wszystkim jeżdżą wypasione samochody, można mieć pewność, że „coś” się

tu dzieje.

Basti budowali nie tylko *mohadżir* (imigranci z Indii), lecz także przybysze z Pendżabu, Beludżystanu, prowincji granicznych, uchodźcy afgańscy i bengalscy. Zaraz po podziale Indii osiedlano się na sposób niezorganizowany, w latach sześćdziesiątych dzielono ziemię poza obowiązującym prawem. Położone z dala od centrum rejony były przygotowywane i sprzedawane przez dalalów („pośredników” albo „szefów”), czyli osoby prywatne, które nie miały do nich prawa własności. Dalalowie byli w bliskich relacjach z policją, politykami i urzędnikami, dzięki czemu mogli czuć się bezpiecznie. Aż do lat osiemdziesiątych wśród dalalów najwięcej było Pendżabczyków i *mohadżir*.

W latach osiemdziesiątych do Karaczi zaczęli migrować Pasztuni z rejonów przy granicy z Afganistanem, a także uchodźcy rdzennie afgańscy. W ciągu kilku lat opanowali nielegalny rynek nieruchomości i wprowadzili swój styl w „dzikich” dzielnicach. W nieruchomości inwestowali też handlarze narkotyków i broni. Uzbrojeni mężczyźni zajmowali teren. Potem zaczęła się budowa. Pasztuni byli najwytrzymalsi i nie bali się ciężkiej pracy. Do budynków wprowadzali się lokatorzy, których właściciele mogli w każdej chwili wyrzucić. Opór *mohadżir* i Pendżabczyków wobec Pasztunów był bardzo brutalny, zwłaszcza w dzielnicy Orangi – słynne ze starć są okolice Banaras Chowk i kina Metro. W kwietniu 1985 roku doszło tam do pierwszych „poważnych” zamieszek między *mohadżir* (z Bihar) zamieszkującymi *basti* i Pasztunami, którzy chcieli rozciągnąć swoje wpływy nie tylko na handel ziemią, lecz także transport, co im się zresztą udało. Kierowca autobusu, ciężarówki, taksówki czy rikszy to niemal zawsze Pasztun. Pasztuni słyną z solidarności rodowej i wytrzymałości fizycznej. Obecnie więc Karaczi to największe pasztuńskie miasto na świecie. Pasztunów jest tu więcej niż w Peszawarze czy Kwecie, w przyszłości ma być ich jeszcze więcej. Mimo to, jeśli się mieszka na przykład na moim osiedlu, o Pasztunach nie da się dowiedzieć właściwie nic. Są tłem: widać ich wszędzie, ale inaczej mówią, inaczej wyglądają, co innego jedzą (z pasztuńskiego jedzenia w naszym domu przyjął się tylko ćapli kebab), a ich kobiety pod burkami są strojne i bardzo dumne. Wciąż są dla mnie obcy.

Największy brak

W tym szalonym mieście najbardziej brakuje mi wcale nie hulanki, pijaństwa i publicznej *communitas*, choć ich też. Nie zatańczę na ulicy. Nie siądę na murku. Studenci nie idą po zajęciach na piwo. Jednak zarówno *communitas*, jak i piwo się zdarzają. Do zmniejszonej mobilności się przystosowałam – wychodzę tak, jak się da. O smogu i kurzu nie myślę.

Brakuje mi ciszy.

W Polsce było cicho. Nocą. Rano. Przed południem. Cisza pozwalała usłyszeć śpiew ptaka, pukanie, najcichsze piano.

– Jak w grobie! – mówi Wasim.

Niech mu będzie. Czasem włączałam radio, telewizor, komputer, żeby nie słyszeć warczenia lodówki albo tykania zegara. Ale samą ciszę rzadko zagłuszałam. Lubię ją.

Jedziemy samochodem. Liczę częstotliwość klaksonów. Jeden na sekundę. Warkoczą silniki, jazgoczą autobusy, wyją syreny, trudno to opisać. Przyjeżdżamy do domu.

Na moim osiedlu w Karaczi cisza trwa zwykle dziesięć sekund. Właśnie wysiadł prąd i zaraz zrobi się koszmarnie gorąco. Po dziesięciu sekundach już znów słychać warkot generatorów, szum wiatraków, dwugłos telewizorów nastawionych na full. Czasem dochodzi do tego najgorsze – świst szybkaru.

Można ogłuchnąć. Nie słyszę siebie. A odgrodzić się od świata słuchawkami w domu pełnym dzieci nie można.

Łatwiej ignorować upał niż taki hałas.

Tylko dlaczego, gdy jestem daleko od tego hałasu, upału, brudu, ścisku, szumu, ludzi i korków, tęsknię i nie umiem sobie znaleźć miejsca?

Miasto gasnących świateł

Miasto świateł. *Urus ul bilad*, czyli „narzeczona miast”. Tak dawniej nazywano Karaczi.

– Taaa. Świateł. Chyba zgaszonych – mówią jego mieszkańcy z przekąsem. Trochę przesadzają. Nie żyjemy całkiem bez prądu. Ostatecznie przecież prąd płynie przez większą część doby.

– Lądowałaś w Karaczi nocą? Zwróciłaś uwagę?

– Na co?

– Na tę szachownicę! Jedni mają prąd, inni właśnie nie. Można zobaczyć, jak to się zmienia! Ludzie robią nawet filmy!

Rzeczywiście! Miasto wtedy wygląda jak szachownica. Fascynująca, ale każdy wolałby być na jasnym polu.

„*Lajt ćali gaji!* (wyłączyli prąd)” – to codzienność. Pewnik. „*Lajt dżanewali he!* (zaraz nie będzie prądu)”.

W gazetach czyta się o *blackout*, *light shedding*, *light shortage*. Nigdy nie wiadomo, na jak długo, choć niby zawsze wyłania się jakiś (co prawda kruchy) schemat. Może na pół godziny? Może na trzy? Może na dziesięć? Może na cały dzień? Zdarzyło się parę razy, że prąd padł w całym kraju (z różnych przyczyn – a to linia była za stara, a to uszkodzili ją terroryści).

– *Fuck this country!* – złością się czasem. Ale złość na to, czego nie da się zmienić, to tylko strata energii.

Dzieci odrabiają wtedy lekcje przy latarkach i świeczkach. Sylabizują: *alif*, *be*, *pe*, *te*, *se*, *dżim*, *cze*. A ja czuję się jak bohaterka pozytywistycznej nowelki i serce mi się ściska – nie rozumiałyby pewnie dlaczego.

Zapalamy lampy gazowe przyłutowane do rur z gazem. Pamiętamy, żeby naładować duże latarki i wszystkie baterie. Mamy zapas zapalek i świeczek, które mocujemy na spodkach stopionym woskiem.

Gdy prąd płynie, nie można tracić czasu. Trzeba działać – prasować, prac, gotować. Bez prądu nie zmiksujemy masali. Gdy warczą generatory, ciśnienie gazu spada niemal do zera. Roti pieczone na małym ogniu przypomina cegłę, herbata gotuje się przez pół godziny.

Gaśnie światło na ulicznym straganie i zakupy robimy przy latarce. Fryzjer strzyże klientów przy świeczce. Podczas wykładu wyłącza się rzutnik. Trzeba włożyć laptop do lodówki, bo się nagrzał. Dokończyć lekcję czy napisać egzamin w niewyobrażalnym zaduchu. Przerwać spotkanie modlitewne (choć czasem system przełącza się automatycznie na awaryjne zasilanie i przerwa trwa tylko kilka sekund). Rozetrzeć soczewicę na *pakorę* kamieniem, a nie mikserem. W czasie wieczornej przejażdżki gasną całe dzielnice, a przez najbiedniejsze rejony samochód jedzie pośród całkowitych ciemności.

W najbogatszych za to trwa iluminacja.

No i to mokre słone ciepło, które oblepia ciało natychmiast, gdy wiatrak się zatrzymuje (dopiero wtedy naprawdę doceniamy, jak niezbędne jest to urządzenie). Generatory warczą – przez wiele godzin nie słychać nic innego. Można ogłuchnąć.

W upale czas płynie powoli. Najłżejsza praca staje się strasznym wysiłkiem. W Karaczi doszłam do wniosku, że zimno wyostrza umysł – mój na pewno. Telefony komórkowe tracą sieć, laptopy spowalniają. Ściany parzą. Ptaki nie mają siły śpiewać. Lekarze radzą brać często prysznic. Woda ze zbiorników na dachu zwykle jest gorąca i człowiek, kąpiąc się, jednocześnie się poci. Od nieustającego upału na mojej skórze pojawiają się potówki. Przetestowałam parę sposobów na ochłodę. Noszę bardzo przewiewne materiały o specjalnym splocie – naprawdę chłodzą. Moczę dupatę, ale po kilkunastu minutach jest sucha. Oblewam się wodą, nacieram lodem, przykrywam mokrym prześcieradłem, które trzymałam przez godzinę w zamrażalniku. Piję lassi, minerały, litry wody. Trochę pomaga. *Pankha*, czyli wiatrak pod sufitem, szumi, huczy i budzi lęk, ale wydaje się w tym wszystkim koniecznym minimum (choć wcale nim nie jest: najbiedniejszych, których jest wielu, nie stać nawet na wiatrak).

– Ale o co chodzi? – pytałam. – Czemu tego prądu tak nie ma, nie ma i nie ma?

– Jak to o co? Kradną! – mówił Wasim ponuro.

No tak.

Popatrz na te druty!

Popatrz na te miriady świateł w parku obok! Kto za to będzie płacił? My.

Chodziłam kiedyś na kurs angielskiego, jako jedna z trzech kobiet w grupie. Przewaga mężczyzn była miażdżąca. Połowa panów pracowała „przy gazie”, w firmie SSGC, która dostarcza gaz do pakistańskich stanów Sindh i Beludżystan. O czym więc rozprawiali godzinami? O czym przygotowywali wystąpienia i debaty, jeśli mogli wybrać temat? O energii i gazie.

– Pakistan korzysta z siedmiu procent swoich ogromnych zasobów węgla, których wystarczyłoby mu na dwieście lat – mówili. – Ma wielki potencjał

gazu, energii wodnej i powietrznej, ale wykorzystuje te zasoby byle jak. Potrzeby są ogromne, technologie przestarzałe, inwestycje za małe – biadali, rozkładając dłonie na skomplikowane wymowne sposoby. – Zamiast tego importujemy ropę naftową, która nie dość, że jest droga, to w dodatku uzależnia nas od światowych cen i kursu dolara!

Wielkim problemem w sektorze energetycznym jest tak zwany krążący dług (*circular debt*). Elektrownie są zadłużone u importerów ropy i nie mają za co jej kupować. Dłużnikami tych samych firm są dostawcy energii. Konsumenci zaś nie płacą rachunków dostawcom. W ostatnich latach ich dłużnikami stały się: pałac prezydencki, sąd najwyższy, siedziba rządu, parlament i ISI – jeden z czołowych wywiadów świata. Premier Nawaz Sharif obiecuje, że rozwiąże kryzys energetyczny w Karaczi do 2018 roku. Czy ktoś w to wierzy, nie wiem. W roku 2015 z prądem i wodą, a także gazem w Karaczi bywa bardzo źle.

Dług krąży, jednak przyczyn braku prądu jest więcej.

– Nasi politycy – (Pakistańczycy lubią narzekać na polityków podobnie jak Polacy) – są tacy jak my i sami ich wybieramy. A spójrzmy na siebie – mówili zafrasowani panowie.

– Mój kolega wyjechał na tydzień i zostawił w domu włączoną klimatyzację. Nawet nie rozumiał, że się zdziwiłem. Było go przecież stać, więc w czym problem? – dodał ktoś.

Oszczędzanie? Gdy jesteśmy biedni, nie marnuje się żadne ziarenko ryżu, kropelka wody, kawałek materiału. Gdy nas stać, konsumujemy jak królowie, nie tylko prąd. Znajomy zamawia w restauracji jedzenie i zostawia je nietknięte. Znajome dzieci wyrzucają jedzenie do kosza. Woda płynie z kranu strumieniami, jak w Polsce za komuny, bo się za nią nie płaci „od metra”. Wiatrak ustawia się na największą prędkość, klimatyzację na szesnaście, siedemnaście stopni. Zwyczaj codziennego zapalania świateł w każdym pomieszczeniu, także pustym, o zachodzie słońca (żeby odpędzić od domu szatana, który w tym granicznym czasie ma do niego szczególnie łatwy dostęp), i niegaszenie ich w porę też może zwiększyć domowe rachunki.

I – oczywiście – *kunda*.

Karaczi to druty. Kable oplatają bloki i niebo jak pajęczyna. Szczególnie dużo kabli jest tam, gdzie domy są niskie, uliczki bardzo wąskie, a słupy

energetyczne – tak blisko balkonów, że można dotknąć drutów. Wystarczy nałożyć na dłoń gumową rękawiczkę, żeby połączyć prąd ze słupa za pomocą haka, nie prowadząc połączenia przez licznik elektryczny KESC (miejskiego dostawcy energii). Tak zaczyna się system *kunda* (w urdu: „hak”) – kradzież energii elektrycznej. Można zginąć od porażenia prądem, ale najczęściej przecież się udaje. Elektrownie często przysyłają urzędników, którzy usuwają nielegalne kable, a ludzie natychmiast podłączają się na nowo.

Są dzielnice, w których z dobrodziejstw *kunda* korzysta większość mieszkańców. Kradną też ci sprytni i zaradni. Po co płacić, jeśli można nie płacić? Za pomocą haków podłączają się zakłady pracy, płacąc łapówki urzędnikom. Tak jest znacznie łatwiej: nie będą musiały składać wniosku do KESC o podłączenie do sieci i długo czekać na odpowiedź, tylko po to, żeby potem płacić wysokie rachunki! Zdobyć legalnej zgody może potrwać nawet rok i trzeba jeszcze ponosić dodatkowe opłaty. Skoro się da to ominąć, dlaczego nie skorzystać? Niemal każdy w Pakistanie jest uwikłany w skomplikowaną sieć relacji, którą badacze określają „system *biradari*” (braterstwa), a którego efektami ubocznymi w życiu publicznym są między innymi nepotyzm i korupcja.

– Byłbym uczciwy, gdybym mógł. Dajcie mi tylko możliwości! Wy na Zachodzie możecie być uczciwi. Gdy pojedę na Zachód, będę uczciwy. W Pakistanie, jeśli chcesz być uczciwy, nie przeżyjesz. Ani ty, ani twoja rodzina – takie słowa słyszałam tu bardzo często przy pytaniu o przestrzeganie przepisów, załatwianie spraw za pomocą znajomości i łapówek. Systemu nie zmienisz, a żyć trzeba.

Gdy któryś z ministrów mieszkających w Karaczi organizuje wesele syna, willa dygnitarza i wszystkie światła uliczne w okolicy rozbłyskają jak zorza, nawet na dziesięć dni. Rzęsiście oświetlony jest także park, w którym trwa wiec wyborczy MQM (partii rządzącej w Karaczi). To powszechna praktyka na uroczystościach – większość prądu pochodzi bezpośrednio ze słupów.

Może to więc nic dziwnego, że tak często nie mamy prądu. I że liczniki w blokach kręcą się znacznie szybciej, niż powinny. U nas w domu na przykład o jedną trzecią – uważają panowie z mojej rodziny. Ktoś musi wyrównywać rachunki, przynajmniej częściowo. Liczniki mogą też oczywiście zwalniać, a nawet poruszać się w przeciwnym kierunku. Wtedy im więcej zużywasz, tym mniej płacisz. W opowiadaniu *Nawabdin*

Electrician (Nawabdin elektryk) pisarz Daniyal Mueenuddin opisał praktykę, którą tytułowy bohater doprowadził do perfekcji. Klienci Nawaba mogli określić co do stu rupii pożądane miesięczne oszczędności.

Na pakistańskiej pustyni za Multanem, gdzie rury pompowały wodę ze zbiorników dzień i noc, odkrycie Nawaba przyćmiewało kamień filozoficzny. Jedni myśleli, że używa magnesów. Nieprawda, oleju – mówili inni. A może kawałków porcelany? Może substancji, którą znajdował w swoich ulach? Sceptycy donosili, że miał dobry układ z licznikowym. Niezależnie, jak naprawdę było, dzięki tej umiejętności Nawab miał pewną pracę w posiadłości swojego pana K.K. Harouniego i gdzie indziej. Posługiwał się prostymi narzędziami, przede wszystkim zwykłym młotkiem z główką kulistą, którym zadawał podstępny cios[49].

– Płacimy też za nich. – Wasim wskazuje ręką. „Oni” mieszkają niedaleko, w *kaćci abadi* – slumsach, gęsto zaludnionych i ciasnych, i wszyscy korzystają z *kunda*. – Policja boi się tam wejść, firmy energetyczne też. Życie im miłe.

Cóż zrobić.

Gdy przyjechałam do Karaczi, w domu nie było generatora.

A tu raptem – brak prądu. Czasem przez dwie, trzy godziny, parę razy dziennie.

Zatroskana rodzina brała wachlarze. *Thori hawa!* (trochę powietrza) – mówiły dzieci, wachlując mnie z oddaniem i wzbudzając poczucie winy. Cóż to za feudalne, postkolonialne praktyki? Na próżno. Nawet wachlowana, byłam tak żalnym widokiem, że któregoś dnia Wasim wrócił do domu z generatorem prądu, który przypominał mi trochę odkurzacz – po polsku mówi się chyba o „agregatach prądotwórczych”.

Generator, umieszczony na balkonie, blisko granicy między „domem” i „światem”, ma zdecydowanie męski wymiar. W domu obsługują go mężczyźni. Decydują, jaki kupić, dokonują zakupu, instalują. Dbają o paliwo i olej, mają żółtą skrzyneczkę z narzędziami, a gdy coś się przy sprzęcie popsuje, kobieta może najwyżej stanąć obok i świecić latarką (albo i nie, bo sami sobie doskonale poradzą). Znają mechaników, których wzywają do poważniejszych awarii.

– Schowaj się, ciociu – mówi wtedy siostrzeniec w trosce o moją cześć i bezpieczeństwo. – Nie wychodź.

To mężczyźni go włączają i wyłączają. Długo nie mogli się pogodzić, że też chciałam się nauczyć włączania generatora i naruszyć tym chyba jakąś

poważną granicę.

– Przecież jesteś kobietą. Przecież to takie trudne. Przecież się nie znasz. Przecież jesteśmy w domu! – tłumaczyli.

To nieprawda! Prawdziwego mężczyzny akurat bardzo często nie ma w domu. Gdy zdarzyło się, że wszyscy mężczyźni wyszli, a wyłączono prąd, złane potem kobiety i dzieci cierpiały w milczeniu, pokornie znosząc swoją dolę. Dom spowalniał. Kobiety – zwłaszcza gdy prąd gasł popołudniami – po prostu trwały w bezruchu, czasem łuskały groch albo kroїły szpinak. Dzieci próbowały się bawić w to, w co da się bawić, gdy nie ma prądu: wyliczanki, piłkę, sztuczki ze sznurkiem i palcami, puszczanie balonów, latawców i samolocików z papieru, wirowanie bransoletkami, skakanie po meblach, udawanie zwierząt. To pozytywny aspekt braku prądu: odrywa ludzi od komputerów, telewizorów, tabletów. Wymusza kontakt twarzą w twarz i bycie razem. Może czasem zachęca do sięgnięcia po książkę?

– *Alla ka súkr!* (Bogu niech będą dzięki!) – krzyczały spocone, kiedy wiatraki znów zaczynały się kręcić. Żadna kobieta nie wpadła na pomysł, żeby sama włączać i wyłączać generator, żaden mężczyzna – żeby ją tego nauczyć.

– Nasze kobiety tego nie robią – odpowiadali, gdy ich o to pytałam. – Żadna nic w domu nie naprawia, nie odkręca śrubek i nie oliwi zawiasów. Umieją uruchomić maszyny w kuchni.

Umieją, choć gdy trzeba włączyć duży mikser, teściowa wzywa na pomoc małżonka.

Poprosiłam o instrukcję na kartce. Uczyłam się. Na początku nie zawsze mi się udawało. Generator gasł – to jasne, skoro włączyła go kobieta. Słyszałam wtedy od panów, zawsze obecnych przy moich próbach:

– Sama widzisz. Przecież jesteś kobietą. Nie masz o tym pojęcia. To dla ciebie za trudne. Daj spokój.

Przełączyć zasilanie, wyłączyć lodówkę. Dwie wajchy – jedną poziomo, drugą pionowo, przekręcić kluczyk, poczekać, aż ruszy i wsłuchać się w warkot. Jeśli jest regularny, a zapach benzyny wypełni balkon, można już pierwszą wajchę przestawić na pion i odkręcić zawór przy rurze z gazem. Mieć, choć częściowe, poczucie kontroli nad rzeczywistością. Nikt jednak nie lubi dzielić się swoim polem bez walki. Nawet teraz, gdy mam wprawę, bo przez dom przewinęło się kilka chińskich (oczywiście! Te są najtańsze i najbardziej zawodne) generatorów, gdy biegnę na balkon, spotykam

siostrzeńca i słyszę:

– Ciociu, ja to zrobię! Ty to robisz? Dlaczego?

Samandar

– W Pendżabie latem jest okropnie. Z kranów leci wrzątek, trzeba wkładać lód do wiadra, zanim się wykąpiesz. Tak samo jest w głębi Sindhu (dosłownie: w *interior Sindh*. Aż kusi, żeby przetłumaczyć „w interiorze” – człowiek, który podróżuje po interiorach, to dopiero musi być twardziel). W mieście Larkana były pięćdziesiąt dwa stopnie! A u nas, choćby w ciągu dnia był największy nawet upał – po zachodzie słońca zawsze wieje wiatr. Bóg błogosławi Karaczi – mówią.

Nasze miasto chroni Abdullah Śah Gazi, którego grobowiec stoi blisko morza.

I Waruna, bóg mórz. I zesłany ponoć przez niego Dźhule Lal – bóg wód, szczególnie bliski ludziom w Sindzie!

I ubrana w sari Matka Boska z Velankanni, *Stella Maris* – ukochana tu Gwiazda Morska z dalekiego południowoindyjskiego portu.

– Lubimy Karaczi – uśmiecha się zakonnica ze Sri Lanki. Lepiej się od potu, twarz mam usianą drobnymi czerwonymi potówkami, za chwilę wsiądę do rozżarzonego samochodu. Właśnie miałam zamiar poskarżyć się na pogodę. – Taki łagodny klimat. Ten lekki wiatr od morza. Pogoda jak u nas w kraju!

Co kilka tygodni Wasim jeździ na targ prowadzony przez Bengalczyków i przywozi góry wspaniałych ryb i krewetek. Dom zaczyna pachnieć morzem. Siadamy na balkonie z nożami. Pomfret – teściowa mówi „pamplet”[50] – z delikatnymi ościami, które przesmażone chrupią, i wielki mięsisty dhotar (ości ma ostre, grube i twarde). To nasze ulubione ryby. Czasem ryba hira, jednak jest zbyt oścista. Bardzo rzadko ryba muszka. Nigdy – symbol Pakistanu, słodkowodna ryba mahaśer nazywana też tor.

Kładziemy je w przedpokoju na stole, włączamy wiatrak, żeby obeschły.

Część zamrażamy.

Pomfreta marynujemy w chili, kurkumie, soli, paście imbirowo-czosnkowej i smażymy. Z dhotara robimy salan, czyli curry. Trzeba go podsmażyć na brązowo. Cebulę zmielić, dodać sproszkowane chili i kurkumę w czasie smażenia, pastę imbirowo-czosnkową, ze dwa pomidory, zielone chili, na końcu rybę i wodę, i jeszcze natkę kolendry. Nie jest złe, tylko okropnie ostre – dwie pełne łyżeczki chili to niestety całkiem sporo.

– Zakładaj burkę – mówi Wasim, jeśli chcę z nim jechać. Bengalczyki często są w Karaczi nielegalnie. Nie wiem, jak mogłabym im zaszkodzić, skoro ledwo odróżniam Bengalczyka z Bangladeszu od Pakistańczyka. Ale może widzę coś, czego obcy nie powinien widzieć, i nawet o tym nie wiem.

Targ bengalski to dla mnie sama malowniczość. Obce napisy, nieznanne warzywa, które kupujemy dla teściów (przed rokiem 1971 mieszkali w Dhace), i pełno ryb. Tylko tu można kupić *singhara* – kasztany wodne, ich ulubione. Są tu ryby morskie i rzeczne (z Indusu i stawów) oraz krewetki.

– Ryby i ryż to bengalskie jedzenie – tłumaczy Wasim.

– Do tej pory, jeśli na kolację nie zjem ryżu, to jestem głodna – opowiada stara ciocia Wasima, która też mieszkała we wschodnim Pakistanie, a w czasie wojny w 1971 roku (wtedy, w dramatycznych okolicznościach, wschodni Pakistan stał się Bangladeszem) uciekała z dziećmi pieszo do Karaczi. Szli miesiąc.

Bengalczyki przywożą ryby znad morza jeszcze przed świtem.

Każdy cudzoziemiec, który odwiedza Karaczi, jest wieziony nad morze (w urdu morze to *samandar*). Morze Arabskie, część Oceanu Indyjskiego. Plaż jest dużo, ale zwykle pierwsza w kolejce do odwiedzin jest Seaview, z ciemnym piaskiem błyszczącym jak brokat. Brudna i zatłoczona, położona najbliżej centrum miasta. Mieszkańcy Karaczi kochają to miejsce, przybysze z innych części Pakistanu – też. Cyk. Zdjęcie z zaklinaczem węży, który przychodzi z puszczką i workiem z węzami pod same drzwi samochodu. Na głowie ma pomarańczowy turban, na szyi – naszyjnik, na palcach – pierścienie. Cyk. Zdjęcie morza. Mewy, woda uderza o brzeg. Cyk. Kąpią się kobiety w burkach! Całe rodziny jak wcielenie orientalizmu. Dziewczynki w nikabach, chłopcy w ozdobnych *topi*, srodzy brodacze. Jacy szczęśliwi! Albo ta para, która idzie brzegiem, boso: ona w burce i nikabie, ale z podwiniętymi szalwarami, on w szalwar kamizie, z brodą bez wąsów,

w białym *topi*. Trzymają się za ręce – sto razy słyszałam, jak to mężczyzna nie może trzymać publicznie kobiety za rękę. Wspaniale, że mają to w nosie! Coś zgubili. Pochylają się, szukają razem. Cyk. Idzie Beludża (chudy, smagły, wąsaty, w szalwar kamizie) z przyozdobionym wielbłądem. Kolorowe pompony, majestatyczne kroki. Cyk. Drugi Beludża, z pięknym białym koniem. Koń robi kupę. Cyk. Muszelki. Spienione fale, latem bardzo wysokie. Trzeba uważać, zwłaszcza w lipcu i sierpniu. Tyłu ludzi wtedy ginie. Jest brudno, ale pięknie. Nareszcie bez kłębów drutów. Brokat osiada na ubraniu, siedzeniach samochodu, kafelkach w łazience. Wszyscy poznają, że byłeś nad morzem, bo lśniesz.

Seaview bije rekordy popularności.

– Pełno tu tych wszystkich chłopaków z North Nazimabadu! – skarżyła się znajoma nauczycielka akademicka. – Wyją całymi nocami!

Plaż jest oczywiście więcej. French Beach – jedno z popularnych miejsc do nurkowania, słynie też z tego, że na ogrodzonych kawałkach plaży można się przebrać w kostium kąpielowy. Hawkes Bay i Sandspit – to tutaj składają jaja zielone żółwie morskie – gatunek coraz bardziej zagrożony.

Jest też plaża w Manorze, do której trzeba się dostać promem.

Pojechałam tam kiedyś z synkiem i znajomymi. Autobusem! Dużą grupą! Na cały dzień.

Będę dumna, jeśli dam radę, myślałam. Karaczi to jednak obcy wszechświat, w którym Wasim jest zawsze blisko. Teraz jadę bez niego. Co za dreszcz emocji.

Żeby wejść do autobusu, trzeba się rozkrząć. Pierwszy stopień jest wysoko (podobno dwie stopy). Kobieta w burce może mieć problem – alarmowali uczeni na konferencji o Karaczi. Na szczęście nie miałam burki.

W środku było kolorowo i twardo, dużo wzorów i napisów, które okazały się cytatami z dzieł poety i filozofa Allamy Iqbal. Strasznie głośno. Kobiet tyle, że siedziałyśmy jedna na drugiej, a druga na trzeciej, z małymi dziećmi też.

Życie z perspektywy samochodu osobowego traci dużo blasku. Autobus jest wspaniały. Idealny. Podglądanie świata z góry, zza zasłonki – wiatr w twarz! Mniej bezpośrednio niż z rikszy czy motoru, nie przez szybę, bo autobus nie ma szyb, tylko kraty. Ostra rytmiczna muzyka. Trzęsie, tak jak lubię, wieje, tak jak lubię. Kierowca, pasztuński chłopak typu Andrzej Kmicic, tylko bez wąsów, szaleje – widać, że jego też kręci rozbijanie się po

drogach.

Niestety, podróż jest krótka. Wychodzimy w porcie w Keamari. Rzadko tu bywam. Potworna brzydota i bieda mieszają się z błyskotkami, kolorami, delikatnymi wzorami glinianych naczyń, chińszczyzną, egzotyką. Między wilgotną śmierdzącą czernią (kałuże, pobrudzone ściany) ktoś sprzedaje lusterkowe złociste wazony. Inny – ozdobne lustra i tandetne zabawki. Straszliwy tłok, smród, błoto, kołki z przegniłymi linami, po wodzie przy brzegu pływają śmiecie. Ładunki, poniszczone łodzie. Schody bez poręczy. Barierki rozstawione za szeroko. Nie będziesz uważać, wpadniesz. Więc uważam.

Nasz prom jest spory i cały we flagach. Wchodzimy do środka, tam gdzie rodziny z dziećmi. Widać pakistańską flagę i wodę. Muzułmanie karmią ryby. To sadka – jałmużna, w tym samym celu karmi się też ptaki w niektórych miejscach Karaczi. Po piętnastu minutach dopływamy do Manory. Oślizgłe drewniane schody pokryte zbutwiałą matą, bez poręczy, po których idziemy na wyspę, to kolejny stopień w mojej wewnętrznej skali. Mam pod opieką czterolatka. Każdy mi pomaga go przenieść przez wodę.

Ponoć gdy przepłyniesz ze swoją troską przez morze, troska zniknie. Tak mówią.

Wyspa Manora jest zielona, cicha i pełna biednych ludzi. Małeńka – zaledwie dwa i pół kilometra kwadratowego.

Nie ma tu hoteli. Plac zabaw jest zapuszczony, zabawki na nim zardzewiały; sklepy nędzne, domki małe, a sprzedawcy herbaty nie oszukują. Stoi tam najwyższa latarnia morska w Pakistanie – dwudziestoośmiometrowa. Widać świątynię hinduską z początku dwudziestego wieku – Śri Warun Dew Mandir, ku czci Waruny – boga mórz. Jest tu też małeńki katolicki kościółek i najstarszy kościół w Karaczi – protestancki.

Czasem w Karaczi spełnia się marzenie o egzotycznej idylli. Na plaży w Manorze może bardziej niż na brokatowym Seaview, bo jest przepięknie i czysto. Żółty piasek, zielonkawe morze, białe fale, białe konie, Beludżowie równie stylowi co gdzie indziej, z równie przystrojonymi wielbłędami, faceci, którzy proponują ci zdjęcie *first class*, sprzedawcy pachnącej dymem kukurydzy (z cytryną i ćat masalą – świetna), w tle rozwalony malowniczy

mandir (hinduska świątynia) i muzułmańskie stragany pełne bajkowych bibelotów z muszelek: muszelkowe napisy Allah i Muhammad, lustra, wisiorki, ramki na fotografie, stateczki sąsiadują z chińskimi plastikowymi helikopterami i radiowozami policji, które rozwalają się po piętnastu minutach zabawy. Pełno roześmianych ludzi, świadomość, że Karaczi ze swoim brudem, smrodem, hałasem i ogromem zostało daleko. Morze faktycznie zabiera troski, przynajmniej na chwilę. Można się przebrać w koszulkę i spodnie i w takim stroju się kąpać. Nie mam nic na zmianę i jestem cała mokra. Stoję i się śmieję. Wchodzę w fale. Na spodniach mam błoto. Obok mnie kąpią się trzy kobiety w burkach, wskakują do wody, siadają w morzu, wstają i tak przez godzinę. Podchodzi do mnie wąsaty facet z dwiema kobietami.

– To moja rodzina z Lahore – mówi. – Chcą zrobić sobie z tobą zdjęcie.

Trafiam do komórki rodziny z Lahore, będę pokazywana nieznanym ludziom jako *foreigner* (cudzoziemka). Po chwili mężczyzna przychodzi z jeszcze jedną grubą starszą panią.

– Ona też chce – mówi. Ustawiam się do zdjęcia.

– Czy ja też mogę zrobić sobie z tobą zdjęcie? – pyta mężczyzna.

– Nie może pan.

Michał jest zachwycony. Najpierw się boi, a potem nie chce wyjść z morza.

– Zamieszkajmy tu! – woła. – Chcę tu zawsze mieszkać! Powiedz tacie!

Przyglądają się. Zawsze czyjeś oczy. Chyba już się przyzwyczyłam, choć ogarnia mnie strach, gdy wpatrują się w nas przeciągle brodacze w krótkich szalwarach. Niestety, takiego mężczyznę odbieram stereotypowo, choć może ten akurat to dusza człowiek, ojciec rodziny o gołęmbim sercu. Boję się, że to nie jest zwykłe oglądanie obcego, tylko kryje się w tym jakieś niebezpieczeństwo. Bo ileż można patrzeć? Niby mam, co trzeba: szalwar kamiz, dupatta owija mnie jak należy. Ale może coś jest nie tak?

Idziemy do mandiru wzdłuż straganów z muszelkowymi cudami.

W mandirze nie ma poręczy, studnia jest prawdziwa i głęboka. Wnętrze świątyni przypomina łazienkę – chyba przez ciemnozielone kafelki. Na kafelkach pawie, kwiatowe wzorki, ktoś w koronie i obok listki.

– Mama, to pan Bóg? – pyta Michał, pokazując liczne posągi.

Na ołtarzyku leży mnóstwo przedmiotów do *pudzi* (adoracji bóstwa). Muszelki, lampki, paciorki, wzór z płatków róż, naszyjnik z kolorowych kwiatów, jakby krzyż – dwa skrzyżowane patyki, dwie butelki wody w kątach. Jeden obraz przedstawia dwóch mężczyzn, kobietę w sari, pawia ze złożonym ogonem, ogród, sarenkę, rzekę. Na podłodze schodek, o który się potknęłam i zobaczyłam na nim książkę *Intermarriages (Małżeństwa mieszane)*. Wnętrze świątyni jest zadbane, na zewnątrz – ruina i opuszczenie. Wilgoć jest bezlitosna, potrzeba pieniędzy.

Gdy wracaliśmy, oglądaliśmy portowe dźwigi i oddziały kadetów w brązowych koszulkach, bo w Manorze działa akademia morska. Portowy chaos, brud, ścisk, wilgoć, czerń. Czułam lekką dumę. Dałam radę.

Ibrahim Haidari

W Karaczi rybaków widać tylko na targach. Czasem stoją z wózkami i skrapiają ryby zimną wodą.

Ibrahim Haidari to stare nadmorskie miasteczko i mały port. Jedna z pierwszych osad portowych w Karaczi. Leży w zatoce, dużo tu lasów namorzynowych – niestety szybko ich ubywa. Punktem orientacyjnym jest baza lotnicza w Korangi, za którą skręcamy w lewo. Jedziemy z kolegą. Uliczki stają się coraz węższe. Ludzie tutaj utrzymują się z rybołówstwa; wiążą sieci z importowanych lin i sznurków, budują łodzie, łowią ryby. Żeby zobaczyć łódki wracające z nocnych połowów, trzeba przyjechać z rana. Jesteśmy po ósmej. To już późno, ale ostatnie łódki jeszcze spływają. Jest chłodno, pochmurno, kropi deszcz. Pora śniadania, można kupić roti i czaj ze straganów. Nie ma tu kobiet. Mężczyźni mają klapki, kurtki, owinięte głowy, niektórzy kolorowe getry pod szalwarami, w dłoniach trzymają telefony komórkowe.

Pachnie rybami. Psy próbują się dostać do stert rybek – część to małe rybki paszowe, nie dla ludzi.

Jakiś pan przesypuje okruchami lodu świeże srebrne ryby w plecionym koszu. Niektóre są długie i lśnią jak srebrne wstążki (to *ribbon fish*), inne – płaskie (*flathead*), wyglądają jak płastugi. Są tu małe rekiny, kakkary, barakudy. Oglądamy z Michałem barakudę.

– Nie dotykaj żebów! – ostrzega sprzedawca moje dziecko. – Są bardzo

ostre!

Najlepszy jest chyba pomfret, uważają rybacy (tego samego zdania jest moja rodzina).

Stajemy przy pięknych krabach: błękitnych i zielonkawych „z trzema kropkami” (*three spotted crab*) – ich łacińskie nazwy to *Portunus pelagicus* i *Portunus sanguinolentus*, i przy płaszczkach.

– Co można zrobić z kraba? – pytam, zapominając, że krab (podobnie jak ryby drapieżne i ryby chrzęstnoszkieletowe, których na targu pełno) jest dla wielu muzułmanów niedozwolony.

– Ludzie robią zupę – mówi ktoś, po chwili zakłopotania.

– Prawo rynku – wyjaśnia kolega. – Nie chcesz, nie możesz, to nie kupuj. Znajdą się tacy, którzy mogą!

Dola rybaka w małej łódce jest ciężka. Jeśli patrzeć na jego dochód, to jest biedakiem. Mało kto chciałby się z nim zamienić. Zarabia około półtora tysiąca rupii tygodniowo. Nigdy nie wie, czy wróci. Jest mu coraz trudniej łowić – wielkie statki z Korei, Japonii i Chin łowią sieciami o małych oczkach w miejscach, gdzie dawniej zezwolenia na połów mieli tylko drobni rybacy, i wyłapują niedorośle rybki także w okresach ochronnych. Coraz mniej ryb żyje przy brzegach, lasy namorzynowe są wycinane, częściowo przy udziale „miejscowej mafii”.

– Czasem nadchodzą cyklony, dostajemy wtedy rządową prognozę pogody – opowiada nasz przewodnik po wsi, pan z Pakistan Fisherfolk Forum. – Nie wierzymy tym prognozom. Patrzymy na pianę na morzu, na kolor, na fale, na ptaki. Gdy widzimy, że pogoda się pogarsza, dajemy sobie znaki. Wyruszamy koło siódmej wieczorem. Wracamy rano. Albo wypływamy na dwa tygodnie na głębokie morze. Ale to ryzyko. Nie wiadomo, czy ktoś nas nie złapie. Dobre ryby żyją na głębokim morzu, przy granicy z Indiami.

W mediach czasem pojawia się wiadomość o zatrzymanych lub uwolnionych rybakach. Dla rodzin rybaków te zatrzymania to prawdziwe dramaty. Zwykle społeczność pomaga im przetrwać, ale kobiety muszą często sobie radzić same przez dłuższy czas. Nie wiedzą, kiedy ich mężczyźni wrócą i czy w ogóle. Niektórzy są przetrzymywani w indyjskich więzieniach przez kilkanaście lat. Wdowy i „słomiane wdowy” robią tradycyjne *ralli* – pikowane tkaniny (służą jako prześcieradła, obrusy, maty na

podłogę), prowadzą sklepy. Do tych właśnie chciałam pojechać.

– To nie tu – okazało się na miejscu. – Trochę dalej.

Jaka szkoda!

Nasza domowa ryba w sosie jest przewidywalna i niepodatna na innowacje. A zatem nudna. Jak się robi rybę w domu rybaka w Karaczi?

Żeby się tego dowiedzieć, musieliśmy poszukać kobiety, czyli odwiedzić czyjś dom. Znajomy polecił nam dom biedny i duży, za murem, z metalowymi zdobionymi drzwiami. Na podwórzu stały ćarpaje (plecione łóżka, które pełnią wiele funkcji), znajdował się zagon aloesu, biegał kogut, chodziły koty. Gospodarz był siwy, chudy i wąsaty, w ciemnoróżowym szalwar kamizie. Jego żona miała włosy czerwone od henny, błękitny szalwar w kwiaty i biały czador. Bransoletki na nadgarstkach, hennę na palcach u nóg. Mówiła w sindhi.

– Robicie w domu salan z ryby, tak? My nie! Smażymy! Łatwiej będzie przygotować niż opowiedzieć!

Weszłam do kuchni. Podłoga była betonowa, wchodziło się boso. W prawym rogu stała kuchenka, w lewym wisiała taca do ryb. Woda w plastikowym baniaku, parę naczyń, *hot pot* – naczynie do przechowywania usmażonych roti, żeby nie stygły. Aluminiowe garnki, takie jak u nas w domu, takie same łyżki do mieszania. Usiadłam na niziutkim stołku.

Wzięła cztery sardynki. W domu nigdy ich nie jemy! I ostry nóż. Poskrobała, odcięła głowy, wyjęła wnętrzności, nacięła w kilku miejscach, umyła, posoliła. Spokojnie, pewnie i równo.

Zawołała córkę. Córka przyniosła czosnek, kolendrę w ziarnach, zielone chili i duży moździerz (*hawan-dasta*). Rozbiła kolendrę, dodała trzy ząbki czosnku i trzy chili. Tylko trzy, bo dla białej.

Córka rytmicznie tłukła masalę: tuk, tuk, tuk, tuk! Obok stała dziewczyna z uśmiechniętym mniej więcej rocznym chłopczykiem w pomarańczowej wełnianej czapce, który zaczął klaskać w rytm tłuczenia.

Gospodyni włożyła masalę do środka ryby. Usmażyła na *dalda* – czyli tak zwanym roślinnym *ghi*, czymś w rodzaju nie do końca utwardzonej margaryny. Położyła na talerzyk. Było pyszne; cała się wybrudziłam podczas jedzenia. Kot miauczał pod moim krzesłem. Zapytałam o córki – wszystkie jeszcze niezamężne.

– Chodzą do szkoły! – powiedziała pani dumnie. Podała mi wodę i mydło

do umycia rąk. Dała pić. – Przychodź jeszcze! – powiedziała na pożegnanie.
Pewnie nie przyjdę, jak prawie zawsze, choć chciałabym.

Muzułmanie

Jak powietrze

Islam jest jak powietrze. Oddychamy nim. Wokół niego kręci się świat. Symbolicznie można to poczuć, wchodząc do samolotu obsługiwanego przez muzulmanów.

Pasy zapięte. Stewardesy pouczają, co robić w razie niebezpieczeństwa. Rutyna. Na ekranach pokazują się arabskie litery. Kapitan mówi:

– *Dua-e-safar*. – Modlitwa przed podróżą. I zaczyna czytać po arabsku: – *Bismilla ir rahman ir rahim...* – Po ekranach przed każdym fotelem przemyka tłumaczenie na angielski: „W imię Boga miłosiernego i litościwego. Chwała Bogu, który dał nam kontrolę nad tym pojazdem, nad którym bez Jego mocy nie mielibyśmy żadnej kontroli. Niewątpliwie do Niego wrócimy”. Przez całą drogę mapy na ekranach pokazują Mekkę i kierunek modlitwy.

„Zostań dawcą organów! – zachęca ulotka i uzasadnia to cytatem z Koranu: – »A ten, kto przywraca do życia człowieka, czyni tak, jakby przywracał do życia wszystkich ludzi« – sura Al Maida (Stół Zastawiony – 5.32)».

– Kto jeszcze się nie pomodlił? – woła szef do sprzedawców w sklepie.

– Proszę, niech pani zaczyna – mówi profesor na egzaminie ustnym. – Niech pani powie *bismilla*...

– *Bismilla ir rahman ir rahim!* – Pielęgniarka przykłada igłę do mojej skóry.

Koledzy mówią *bismilla* w samochodzie przy wyprzedzaniu albo w niebezpiecznej sytuacji na drodze. Gdy Michał się wywróci, zawsze ktoś

odruchowo krzyknie właśnie *bismilla*.

Oglądamy film na spotkaniu z okazji święta narodowego. Słysząc azan o zachodzie słońca – maghrib, czwarty w ciągu dnia: film trzeba zatrzymać, panie zasłaniają głowy. Film jest długi i w czasie następnego azanu na isę (wieczorną modlitwę) także zostaje zatrzymany. Podobnie jest, gdy siedzimy w głośnej knajpie, słuchamy muzyki w samochodzie, gramy na pianinie w domu.

Na spotkaniu chrześcijan z okazji dnia niepodległości 14 sierpnia zaczyna się konkurs. Kto najładniej zaśpiewa *Pak sar zameen* („Ta święta ziemia...”) – hymn narodowy, wyrecytuje wiersz o Pakistanie, powie, co znaczy gwiazda na pakistańskiej fladze[51]?

– *Hadż, roza, zakat, szahada, namaz* – wymieniają uczestnicy.

Pięć filarów islamu. Pielgrzymka, post, jałmużna, wyznanie wiary, modlitwa. Można zupełnie się z tym nie utożsamiać, ale wiedzieć – trzeba.

– Nasze dzieci zawsze oglądają *kurbani*! – śmieje się znajoma chrześcijanka, gdy mówię jej, że moje dziecko jest za małe na oglądanie ofiary ze zwierząt (*kurbani*) w święto Id ul-Adha.

Islam jest tematem dyskusji podczas kursu języka angielskiego, wypracowań szkolnych, rozmów, odczytów, wykładów. Modne są muzułmańskie stroje, memy, statusy na Facebooku w rodzaju: „Trudno mi było dziś wstać na *fadžr* (poranną modlitwę), ale *subhanalla* (dzięki Bogu!) – wstałem!”, zegarki z porami modlitw, naty – pieśni sławiące Muhammada, wygląd i zachowanie zgodne z sunną. Są nawet żarty dotyczące islamu, choć raczej delikatne: jeśli nie wiesz, co napisać na egzaminie, napisz *shahadę*. Nauczyciel nie może ci tego nie uznać. Choć dopiero w roku 1956 przyjęto konstytucję określającą Pakistan jako republikę islamską, stanowi on część, a może wręcz oś tożsamości. To on ma odróżniać Pakistańczyków od Indusów, choć przecież w Indiach mieszka więcej muzułmanów niż w Pakistanie.

Azan wyznacza rytm dnia. Pięć razy w ciągu dnia, poczynając od wschodu słońca, śpiewany w różnym tempie i różnymi głosami. Chyba każdy zna go na pamięć i może też rozumie, co znaczą poszczególne arabskie słowa:

Allahu akbar, allahu akbar, aś-hadu an la ilaha illa llah (dwa razy) aś hadu anna Muhammadun rasul alla, hadždża ala-s salat, hadża ala l-falaht, allahu akbar, la ilaha illalla[52].

Trudno tu funkcjonować bez znajomości nazw pór modlitwy, a więc pór dnia: *azan* na *fadžr*, na *zohar*, na *asr*, na *maghrib*, na *işę*. W okolicy mamy kilka meczetów, do najbliższego minutę spacerem. Zimą, gdy wiatraki nie zagłuszają dźwięków, okazuje się, że pierwszy *azan* może trwać nawet trzy kwadransy. Głosy *muezzinów* czasem łączą się w niezwykłą harmonię, czasem rozchodzą w zupełnej kakofonii.

Gdy słyhać *azan*, mama Wasima nakrywa głowę. Tak szybko, jak może, idzie do łazienki zrobić *wazu* – umyć się przed modlitwą. Potem nakłada czarny czador, rozkłada dywanik – *dżae namaz* – i rozpoczyna modlitwę. Staje, przykłęka, rozkłada ręce, kładzie się na ziemi, pochyla w prawo i lewo. Recytuje. Czasem siada na łóżku i czyta Koran, który trzyma w specjalnym miejscu – nie może go otworzyć bez *wazu*. Robi to, nawet gdy jest bardzo zmęczona, choćby naokoło szalało stado wnuków. Tata czyta i modli się na głos w swoim pokoju. Nie może się kłaniać, bo jest chory. Często widzę go z *tasbi* w dłoniach. *Tasbi* przypomina różaniec, oczywiście bez krzyża. Sznur paciorków podzielony jest na trzy części po trzydzieści trzy koraliki. Tata ma też automatyczne *tasbi* – nazywa się to *counter* (licznik) – dzięki niemu wie, ile tysięcy razy powtórzył na przykład „*Allahu akbar*”. *Counter* jest metalowy, okrągły i ma przycisk, który naciska się po każdym powtórzeniu modlitewnej frazy. Kilka tradycyjnych *tasbi* wisi w przedpokoju. Kilka *dżae namaz* leży na półce.

Arif ma jedenaście lat. Nosi dumnie spodnie przed kostkę – to *sunna*. Trzy lata temu miał fazę podwijania i skracania wszystkich spodni. Ma kilka szydełkowych czapeczek – *topi* (i jedno plastikowe – byłam na początku pewna, że to koszyk, potem zobaczyłam kosze z takimi *topi* w grobowcach świętych), które z namaszczeniem nakłada na głowę. Na święta wkłada długą kurtę (tunikę). W czasie ramadanu chciałby pościć. Spróbował raz, jednak bardzo osłabł. Jeszcze za wcześnie. Jego siostra jest mniej religijna. Arif wciąż jej pilnuje.

– Modliłaś się? Piłaś wodę? Umyłaś włosy? Muzułmanin, gdy się kąpie, musi zmoczyć włosy do nasady. Nie graj na pianinie! – woła, gdy rozlega się *azan*.

Rynek książek religijnych obfituje w podręczniki *sunny*: zbiory setek instrukcji, jak wykonywać codzienne i odświętne czynności.

Sunna to to, co zalecane, ale nieobowiązkowe. Jej przestrzeganie ma

przybliżyć człowieka do Boga, jednak ten, kto ją ignoruje, nie będzie ukarany. To jakby pogłębienie wiary i więzi z Bogiem poprzez zalecane dodatkowe modlitwy i czynności. Można przeczytać, jak zgodnie z sunną należy się myć, czesać i wkładać buty, kiedy i w jakiej kolejności obcinać paznokcie, jak jeść, co robić przed snem, jak spać, jak reagować na złe i dobre sny. Jak podejmować gości, jak pozdrawiać domowników. Można się cieszyć, że uśmiech i podanie ręki to też sunna. Sunna określa ponadto, jak się zachowywać wobec niewiernego (kafir)[53]. Jeśli ktoś chce traktować te zasady poważnie, musi wiedzieć, kogo spotyka. Zaglądam czasem do takich książek. Są bardzo tanie, pochodzą z Pakistanu, Emiratów, Arabii Saudyjskiej.

Nie zawsze umiem rozróżnić, co obowiązkowe, a co zalecane. Widzę tylko, że po *dżae namaz*, tak jak po meczecie, chodzi się boso. Jeść należy prawą ręką. Obcina się paznokcie, zaczynając od prawej ręki i od małego palca do kciuka, unika się obcinania paznokci we wtorek i środę. Mężczyźni nie mogą nosić jedwabiu ani złota, jednak lubią metalowe pierścienie z kamieniami szlachetnymi (niektóre wykonywane na zamówienie). W piątek obficie skrapiają się perfumami, co potrafi zatruć życie całemu otoczeniu. Jedna z lektur, które znalazłam, poleca w piątek panom nawet damskie perfumy, jeśli męskie są niedostępne. „Prorok Muhammad nie znosił wydzielać nieprzyjemnego zapachu” – czytam w swoim podręczniku. Bardzo ceniony jest zapach piżma. Gdy kichasz albo gdy ktoś cię pyta o zdrowie, mówisz *alhamdulillah* („dzięki Bogu”). Gdy zaczynasz coś – *bismilla* („w imię Boga”). Gdy planujesz – *inşalla* („jeśli Bóg zechce”), ale najczęściej chyba: *Maşalla* („Bóg tak chciał”), które chroni przed urokiem.

I tu należy zrobić dygresję. Uroku boją się chyba wszyscy Pakistańczycy, niezależnie od religii, tym bardziej że tak łatwo go ściągnąć na siebie lub swoją rodzinę. Na słynnych pakistańskich ciężarówkach i innych pojazdach często malowane są oczy. Powiewają kawałki materiału. Czarne szmatki.

– Co to znaczy? – spytałam Wasima.

– Chroni przed *buri nazar* (urokiem, złym spojrzeniem).

Wersety z Koranu w samochodach. Napisy: *Allah*, *maşalla*. Czarne rzemyki na rączkach i nóżkach dzieci, kadzalne kropki, surma na oczach, tawizy. Bransoletki przeciw urokom. Okadzanie.

Czekałam w kolejce u krawca. Był wieczór. Nagle do warsztatu wszedł

starszy pan z dymiącym „czymś” złożonym z trzech puszek przymocowanych do patyka. Okadził tym wszystkie kąty i ściany, maszyny do szycia i lady, zwracając szczególną uwagę na wersety Koranu (które też wieszka się na szczęście i żeby odpędzić wszelkie zło), po czym ruszył w dalszą drogę.

– To był *loban* – powiedział Wasim. Tak się nazywa kadzidło. Coś mi to mówi. „Ach! Po rosyjsku kadzidło to *ładan*”, przypominam sobie.

Koniec dygresji. Wystarczy powiedzieć bez *maśalla*, że dziecko jest grube, ładne albo zdrowe, nawet w żartach. Nie ochronić się – nie tylko *maśalla*, lecz także czarną szmatką lub sznurkiem, tawizem – wersetami Koranu noszonymi na szyi, pieczęcią lub sandałem Proroka na szybie czy u wejścia do budynku. Nie obrzydzić dziecka namalowaną kadzalem (czernidłem) kropką. Wystarczy nie dopełnić jakiegoś rytuału, żeby narazić najbliższych i siebie na straszliwe niebezpieczeństwo. Czasem tylko ktoś powie, że wiara w moc Bożą to wystarczająca ochrona przed złem.

Normalnym westchnieniem jest *Allahu akbar* („Bóg jest wielki”) i czasem *Ya Alla* („O Boże”). Otaczają nas wykaligrafowane szahady (muzułmańskie wyznanie wiary), imiona Boga i przepięknie napisane sury. Znajomy wypala w drewnie i rzeźbi w skorupkach jajek: *Allah, Muhammad, bismilla*.

Małemu dziecku dają do zabawy *tasbi*.

– Allah, Allah! – mówią.

– Łaa. Łaa. Łaaa – gaworzy Michał.

– Dziecko wzywa Boga – uśmiecha się babcia. – Allah, Allah, tak, synku!

Chłopcu trzeba zrobić *katna*, czyli go obrzezać. Datę wyznaczyli nam bez pytania w szpitalu, trzy tygodnie od urodzin. Nie było wielkiej imprezy w domu. Czysto, sprawnie, w znieczuleniu. Proszę podawać panadol. Po dziesięciu dniach nie było śladu.

Czasem ktoś pyta o obrzezanie dziewczynek. W Pakistanie zdarza się rzadko. Praktykuje je tylko kilka społeczności z pogranicza irańsko-pakistańskiego i grupa daudi bohrów (odłam ismailizmu; w Pakistanie liczy około stu tysięcy osób, mieszkających głównie w Sindzie). Kobiety z tej społeczności noszą piękne ubrania z pelerynką, nazywane *ridah*, dlatego łatwo je rozpoznać na ulicy.

Dzień dobry i do widzenia

Dzieci przychodzą ze szkoły.

– *Assalamualejku bhabhi!* (*bhabhi* to żona starszego brata. Dzieci ze skomplikowanych rodzinnych powodów nie nazywają mnie ciocią od strony taty – *ćáci*, którą de facto dla nich jestem, ani *aunti*).

Innego dnia nie mówią nic. Potem przez parę dni powitanie wygląda tak:

– *Assalamualejku, dziadziu! Assalamualejku, babciu! Assalamualejku, bhai! Hello, bhabhi!*

Później znów wracają do *assalamualejku*. Czuję się skonfundowana. Wiecznie „in-between”, pomiędzy. W wiecznej fazie liminalnej. Już tu jestem, ale nie całkiem należę do wspólnoty – może zawsze tak będzie? Wyraźnie coś jest na rzeczy.

Wychodzą.

– *Alla hafiz, dziadziu! Alla hafiz, babciu! Allah... Bye, bhabhi!*

Czasem przez parę dni z rzędu:

– *Alla hafiz, bhabhi!*

Na razie tak zostało. Może ktoś im już wyjaśnił?

Często stawałam w drzwiach sąsiadek. Mój synek lubił do nich zaglądać. Żegnały mnie: *Alla hafiz*. Któregoś dnia jedna skarciła drugą.

– Nie mów do niej *Alla hafiz*, tylko *khuda hafiz!*

Zrobiłam wielkie oczy. Dlaczego?

W końcu zaczęła witać tylko mojego synka, niespełna trzylatka.

– *Assalamualejku Mikail! Alla hafiz Mikail!*

Niektórzy, nie tylko szyici, mówią *Khuda hafiz*. *Khuda* to z perskiego „Bóg”, słowo używane w wielu azjatyckich krajach. Pojawia się na końcu pakistańskiego hymnu. Jednak *Alla hafiz* jest w zasadzie wszechobecne. Nie umiem określić, kiedy wyczułam, że w tych dwóch rodzajach pożegnania czai się napięcie znacznie wykraczające poza „słówka”.

– Dobrze to pamiętam! – mówi Amer. – Pierwszy raz użyto tego pożegnania w PTV w 1983 roku. Tak, wiem, że w internecie piszą o 1985. Wprowadzali je na poziomie mohalli (osiedla). W każdej mohalli, przy meczetach, zakładano komitety modlitewne, *salah committee*. Przyszło do mnie kiedyś czterech chłopców z komitetu na moim osiedlu, a ja byłam młody i głupi. „Chodzisz w piątek do meczetu?”, zapytali. „Nie”. „A modlisz się?” „A co ci do tego?”, spytałem. „Ale ja cię pytam jak muzułmanin muzułmanina, a nie jak ktoś z komitetu...” „Nie znam pana”, powiedziałem. Młody i głupi! „Religia to moja prywatna sprawa, nie chcę o tym rozmawiać

z nieznajomymi!” „To znaczy, że się nie modlisz! Jakbyś się modlił, tobyś o tym powiedział bez problemu!” „To już pana problem, co pan będzie o mnie myślał”. I oni na koniec powiedzieli: *Alla hafiz*. Byłem zły i odpowiedziałem: „OK!”. Zatrzymali się w drzwiach i powiedzieli: „Jako muzułmanin lepiej, żebyś odpowiadał *Alla hafiz!*”. „*Khuda hafiz!*”, powiedziałem. „*Khuda* to nie Allah – powiedzieli oni. – To może być każdy bóg. Lepiej, żebyś mówił *Alla hafiz!*” Potem miałem przez nich jeszcze kłopoty.

Jak ma się zegnać muzułmanin z niemuzułmaninem, skoro jeden nie może powiedzieć „*Khuda*”, a drugi – „*Alla*”? Nasuwa się ponura myśl, że najlepiej wcale. Życie na szczęście jest bogatsze i ludzie różnych wiar wciąż żyją obok siebie, witając się i żegnając.

– *Salam dżi!*[54] – mówi chrześcijanka. – Tak się witamy i rozpoznajemy – dodaje, gdy widzi, że nie znam tej formy.

Generał Zia ul-Haq zaangażował się w walkę USA z ZSRR w Afganistanie. Popierał USA. Jego ludzie zakładali muzułmańskie szkoły wyznaniowe – medresy. Proponowali ludziom dość dosłowną i upolitycznioną wersję islamu. Wiara Pakistańczyków była zbyt miękka, żeby zmierzyć się z wielkim „afgańskim dżihadem” przeciw ateistycznemu ZSRR. Zii udało się nie tylko zradycalizować część pakistańskiego społeczeństwa, lecz także wywrzeć duży wpływ na kulturę. To wtedy zamknięto bary, dansingi i kina, co na zawsze odmieniło życie publiczne Karaczi. Bandy „tygrysów Allaha” (tak twierdzi Nadeem F. Paracha, tutejszy lewicujący publicysta) napadały na pary randkujące w ciemnych parkach, na plażach, w samochodach i żądały pokazania świadectwa ślubu. Jeśli para nie mogła go pokazać, napastnicy wyłudzały pieniądze, szantażując aresztem na podstawie wprowadzonej w 1979 roku ordynacji *Zina* (o cudzołóstwie – zniósł ją rząd Perveza Musharafa). *Zina* to część ordynacji *Hudood*, która wprowadzała kary przewidziane przez szariat – a więc cielesne – za cudzołóstwo (*zina*), bezpodstawne oskarżenie o cudzołóstwo (*kazf*), kradzież i picie alkoholu. Próbowano zbudować społeczeństwo, które nie tylko odpowiednio wygląda (mężczyzna powinien nosić brodę bez wąsów i spodnie przed kostki, kobieta – hidżab, a najlepiej abaję, jak Arabki), odpowiednio się zachowuje, lecz także właściwie żegna się i wita.

Trafiają się, jak zawsze, wyjątki. W mieszanym religijnie miasteczku Mithi

w Tharparkarze we wschodnim Sindzie, a więc na peryferiach Pakistanu, hindusi poszczą wspólnie z muzułmanami. Nie wyprawiają wesel w czasie żałobnego dla szyitów miesiąca muharram, a muzułmanie nie składają w ofierze krów. W muzułmańskim Id i w hinduskim Diwali uczestniczy cała społeczność miasta[55]. Z pewnością poradzili sobie też ze sprawą powitań i pożegnań.

Moja codzienność jest jednak bardzo daleko od Mithi. Żeby ją zrozumieć, życia mi nie wystarczy, skoro o szczegóły w stylu „do widzenia” zdarzają się takie batalie.

Śia-sunni

Jutro Aszura! Największe święto szyitów!

Muharram to pierwszy miesiąc muzułmańskiego kalendarza – trochę krótszego niż gregoriański. Zwykle wypada jesienią. A święto Aszura przypada 10 dnia miesiąca muharram. Szyici wierzą, że tego dnia Husajn ibn Ali (Husajn syn Alego, wnuk proroka Muhammada) zginął w bitwie pod Karbalą (w roku 680 według zachodniej rachuby).

Jak wszystko inne, także to wydawało mi się jedną z odmian dziwności. Zawodzenia i płacze. Dziwy na ulicach! Zasieki i czerń strojów – nawet niemowlęta ubierane na czarno. Pełno policji, która ochrania imambary, czyli szyickie meczety z miejscem do żałoby. Widoczne zagrożenie i napięcie, które mi się udzielały. Czułam ciekawość, bo nie wiedziałam, co się dzieje. Pytałam w domu, ale odpowiadano mi zdawkowo: „Mają żałobę” i „Biczują się”.

Przed Aszurą wszyscy mamy wolne: zamknięte są banki, szkoły, biura. Na ulicach pełno czarnych flag, *sabil* – rusztowań z napojami w glinianych naczyniach. *Sabil* to coś w rodzaju polskich ławek z piciem dla pielgrzymów, jednak podczas muharramu mają one dla wiernych szczególne znaczenie. *Sabil* dosłownie znaczy droga. Woda ma przypomnieć o pragnieniu, które męczyło imama Husajna, jego rodzinę i wojsko przez pięć dni bitwy pod Karbalą. I rzeczywiście dodaje siły.

– Czasem jest tam woda z sokiem, czasem śarbat (mleko z syropami, migdałami, pistacjami) – mówi Lina, znajoma szyitka. – Dajemy je uczestnikom procesji, żeby nie czuli pragnienia. To też rytuał. Chcemy, żeby ta woda była żywa. Gdy ją pijemy, mówimy: pamiętaj o pragnieniu imama

Husajna! I zawsze przeklinamy Jazydów. Mówimy przed wypiciem: *Lanat dušmanan-e-ahl ul-bait* (Biada wrogom rodziny Proroka). *Ahl-i-Muhammad*. Mówimy też salawat (błogosławieństwo – Boże, błogosław proroka i jego rodzinę). Nie chcemy, żeby inni czuli to straszne pragnienie.

Stawia się też tazije (drewniane lub papierowe repliki znajdującego się w Karbali grobu imama Husajna i jego brata Abbasa).

– Tazije robi się na przykład w Multan w Pendżabie. Nie robimy ich sami. Moja teściowa co roku stawia przed taziją srebrną lampkę. Gdy miał się urodzić mój mąż, złożyła ślub (*mannat*) przed Bogiem – jeśli będzie miała syna, to co roku do końca życia będzie stawiała przed taziją lampę nocą dziewiątego dnia miesiąca muharram – tłumaczy Lina. Nareszcie ktoś mi to wyjaśnia!

Drogi są zablokowane. Wyłącza się zasięg telefonów komórkowych, żeby utrudnić odpalenie bomby. Ludzie słuchają *noh* i *marsja* – poematów upamiętniających Husajna i jego śmierć pod Karbalą, z charakterystycznym rytmem „do biczowania” (*matam* – różne rodzaje okazywania żałoby. Można lekko uderzać się w pierś, ale biczownicy biczą się też do krwi albo nacinają skórę). Te rytmy płyną z samochodów i balkonów, czasem do świtu.

– Mają pogłębić nasz smutek – mówi Lina.

Życie w mieście, jeśli się wychodzi, przypomina pole minowe. Nie ma rozmów i uśmiechu, znika poczucie luzu.

Staliśmy w korku. Nagle sprzedawcy zaczęli zamykać sklepy. Kto mógł, ruszał w drogę. Stragany zniknęły w ciągu paru minut. Ludzie rzucili się do autobusów i riksz.

– Gdzieś wybuchło – powiedział Wasim. Zrobił kiedyś zdjęcie motocyklu z przyczepionym granatem.

Śia kafir. Szyita to niewierny.

– Na tym murze jest tak napisane – wyjaśnia Wasim.

Gdy wróciłam z grobowców Sehwan Sharif, miałam na ręce czerwony sznurek, który zawiązały mi żebrzące dzieci.

– Zdejmij go – usłyszałam od Wasima. – To niebezpieczne! Można pomyśleć, że jesteś szyitką!

Niektóre grupy – takie jak Lashkar-e-Jhangvi czy Sipah-e-Sahaba Pakistan (Laśker-e-Dźhangwi, Sipa-e-Sahaba Pakistan) – powstały, żeby walczyć z szyitami. To ich główny cel. A kto jeździ do Sehwan? Przede wszystkim szyici.

W Pakistanie pełno jest grobowców (darga) wzniesionych ku czci jakiegoś świętego. Dla części sunnitów wiara w pośrednictwo świętych to niedopuszczalna innowacja. Szyici (i wielu sunnitów) wierzą, że święty może uprosić u Boga szczególnie dużo. Chodzą do grobowców świętych – mówią, że „robią *zijarat*” (pielgrzymkę), a część świątynnych rytuałów na przykład w Sehwan czy w Bhitshah (Bhitśah) ma wyraźne związki z szyizmem. Sindh sprawia wrażenie miejsca pełnego szyitów.

– Nie jeździmy do pakistańskich grobowców – mówi Lina. – Nie wiemy na pewno, kto jest tam pochowany. Byłam w Iranie, w Syrii. Moje marzenie to odwiedzić Karbalę. To prawdziwe święte miejsca. Tam jestem pewna, że modłę się na grobie imama.

– Nie ufaj szyitom! – usłyszałam prawie zaraz po przyjeździe do Pakistanu. – Oni mogą kłamać!

– Jak to?

– Mają powiedziane, że mogą kłamać! Ich religia na to pozwala. To się nazywa *takija*. Są szczerzy tylko w swoim gronie.

Ale przecież kilka dni wcześniej odwiedziliśmy przyjaciół szyitów. Podarowali mi, jak wszyscy, materiał na szalwar kamiz, komplet bransoletek, ugościli nas serdecznie. Przecież żyjemy normalnie, prosimy kolegów szyitów o pomoc, rozmawiamy przyjaźnie.

– To nic! Uważaj na nich. Ich azan jest pięć minut po naszym! Gdy się modlą w ukryciu, bluźnią na naszych imamów!

– Skąd wiesz, skoro nie wolno ci tam wchodzić?

– Ech!

„Typowy wizerunek heretyka! – myślę. – Heretyk jest gorszy od innowiercy, bo rzuca wyzwanie naszemu pojmowaniu świata. Innowiercę możemy zaakceptować, bo jest całkowicie różny. Heretyk, ze swoim podobieństwem do nas, stanowi obrazę” – myślę dalej, przypominając sobie lektury i rozmowy[56]. Czasem jestem przerażona temperaturą i głębią tej niechęci. Co kilka tygodni dowiadujemy się o zamachu, morderstwach, wybuchach w imambarach, ostrzelaniu autobusu szyickich pielgrzymów, morderstwie szyickich lekarzy albo działaczy. Może nie tylko szyici nie są obojętni na ich los. Po dużym ataku na szyicką społeczność Hazarów w mieście Kweta (zginęło sto sześćdziesiąt osób) na ulicach gromadzą się tysiące ludzi. Niektórzy zakładają koszulki z napisem: „*Kill me, I'm Shia*” (Zabijcie mnie, jestem szyitą). Jednak z pewnością to nie tylko szyici.

Mieszkamy z szyitami drzwi w drzwi.

Czasem sąsiadka z naprzeciwka do nas zajrzy i ponarzeka z teściową. W czasie ramadanu przynosimy sobie kolację – iftar. Gdy jest Aszura, przynoszą nam halim (wspaniałą potrawę o konsystencji brązowej mazi), który przygotowują całą noc na podwórku. Rozpalają na ulicach ogniska. Stawiają na nich kociołki z halimem i tłuką. To ciężka praca. Potem długo odsypiają, może z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

– To tradycja! – śmieje się Lina. – Rytuał. Żaden imam nigdy nie żądał, żeby gotować mu halim! Ale teraz stało się to ważne. Gotujesz go dużo, jest pożywny i łatwo go rozdać ludziom. Poza tym robimy go bez mięsa. Wiesz czemu? Bo przez trzy dni od siódmego do dziewiątego dnia miesiąca muharram zwykle nie jemy mięsa. Tylko warzywa, dal, ryż. W ciągu tych trzech dni imam Husajn i jego bliscy nie mieli co jeść ani pić. Nawet maleńkie dzieci. Maleńki synek imama Husajna umarł z pragnienia. Jazydzi byli tak okrutni, że nie oszczędzili nawet dzieci! A oni znosili to mężnie. Wiedzieli, że taka jest wola Boga. I że tak umrą. Dlatego tyle im zawdzięczamy. Poza tym to był wnuk proroka Muhammada! Część jego rodziny! Tym większa jest nasza rozpacz. Bez Proroka i bez jego następców nas, muzułmanów, by nie było. Podzieliliśmy rok na części dla wygody. W ten sposób możemy opłakać każdego męczennika. Porządnie. Wszyscy zginęli jednego dnia. Dziesiątego wspominamy imama Husajna. Ja opłakuje przez dwa miesiące i osiem dni – przez cały miesiąc muharram, cały *safar* i aż do dziewiątego dnia *rabi ul awwal*. Wtedy przestajemy płakać. Zajnab, siostra Husajna, powiedziała wtedy, że już dość żałoby, i zdjęła czarny strój. My też zdejmujemy czarne stroje. W czasie żałoby się nie malujemy. Nie nosimy żywych kolorów. Czerwonego, żółtego, błyskotek. Ubieram się w czarny, brązowy, szary. Nie słuchamy muzyki. Nie robimy imprez. Nie wychodzimy. Nie robimy nic, co może nas cieszyć. Gdy rodzi się dziecko, cieszymy się, ale wielkie przyjęcie urządzamy po żałobie. Żałoba po imamie jest przecież ważniejsza niż świętowanie narodzin dziecka. To tak jak żałoba po bliskim krewnym – opowiada Lina.

W miesiącu muharram moja rodzina pożyczka sąsiadom krzesła. Z sąsiedzkich drzwi słychać kobiece zawroźdzenia. Podśłuchiwałam nieraz jak wścibska staruszka. Uszy mi płonęły, ale weszłam na *madżlis*, bo tak się

nazywa żałobne spotkanie, dopiero po dwóch latach.

W przedpokoju chyba ze sto par butów. Podłogi wyłożone prześcieradłami. Siadłam w strategicznym punkcie między pokojem i kuchnią, żeby mieć widok na wchodzących, kulisy i scenę. Zebrało się tu kilkadziesiąt kobiet owiniętych w czarne materiały, chociaż, jak to kobiety – czarne w kwiatki, czarne w panterkę, czarne w esy-floresy, czarne z niebieskim, niebieskie z czarnymi dodatkami...

W jednym z pokojów nasza sąsiadka siedziała przy mikrofonie i śpiewała, na przemian z recytacją i krzykiem. Młodsze kobiety stłoczone siedziały po turecku. Starszki – na krzesłach. Włączały się w śpiew, czasem coś odpowiadały albo powtarzały. Niektóre płakały cicho z głowami wtulonymi w ramiona. Inne zawodziły jak płaczki na pogrzebach. Wycierały nosy. Miały mokre oczy. Mało rozmawiały. Karmiły liczne dzieci, też ubrane na czarno. Nie interesowały się mną. W kuchni stał potężny aluminiowy garc z e g o ś, przykryty, na nim naczynie z wodą (to sposób, żeby para się nie wydostawała na zewnątrz). Zgasło – jak zwykle – światło, rutynowo włączono generator, nie przerywając modlitwy.

– Przestałam urządzać *madżlis* – mówi Lina. – Z powodu *halat*. Zabijania szyitów. Ósmego muharrama robimy tylko *niaz* (poczęstunek przy spotkaniu modlitewnym). Robię chleb, mięso, halwę i śarbat. Modlimy się nad tym i jemy. Wkładam członkom swojej rodziny *imam zamin* (opaskę na prawe ramię). Oddaję ich na cały rok w opiekę prorokowi Abbasowi. W opasce są pieniądze (jałmużna). Noszą to przez cały dzień, a ja się modlę. Powtarzam to co rok.

Id Milad un Nabi, milad i nurkowanie

Dwunastego dnia miesiąca rabi ul awwal (w ostatnich latach przypadał on zimą – pod koniec grudnia, w styczniu lub lutym) sunnici obchodzą Id Milad un Nabi[57] – urodziny Proroka. Przez cały miesiąc Karaczi staje się prawdziwym miastem świateł. Chrześcijaninowi samo nasuwa się porównanie z obchodami narodzin Chrystusa, równie rozświetlonymi w innych częściach świata. Miasto rozbłyskuje zielenią zmieszaną z pozostałymi kolorami tęczy. Najmodniejsze są gwiazdki i stylizowane napisy „Allah”. Niektóre meczety wyglądają jak zielone klejnoty.

– To barelwici. Odłam sunnitów – mówi zwykle Wasim, gdy go pytam,

czyj to meczet jest tak bogato ozdobiony – Sunni Tehreek[58].

Czy Prorok był człowiekiem takim jak inni i nie wolno go wspominać? A może należy to robić, bo jego zasług dla ludzkości nie da się przecenić? A może jego dusza była stworzona ze światłości (*al-nur*) i jest wciąż obecna na ziemi? Nie miałam pojęcia, że muzułmanie toczą między sobą takie dyskusje!

Wszędzie zielone flagi. Na motorach i samochodach, w sklepach, na balkonach. Na flagach – tajemniczy symbol.

– Co to? – pytam.

– To pieczęć – mówi siostrzeniec.

– Ale przecież pieczęć Muhammada wygląda inaczej!

– Wpisz do Google’a „*dżaśń-e-id milad un nabi*” – radzi Wasim po chwili zastanowienia. Internet jak zawsze pomaga. Pod obrazkiem różne podpisy: *nalain mubarak*, *nalain śarif*, *nalain pak*, czyli błogosławiony sandał Proroka.

Sandał, wycięty z papieru z czystą intencją, jak czytam na jednej ze stron internetowych, może być źródłem Bożej łaski (*barakat*). Chroni przed wpływem szatana, urokiem, kradzieżą i niespodziewaną śmiercią, zapewnia szacunek otoczenia, przekonują autorzy strony. Dzięki niemu można zobaczyć we śnie proroka Muhammada. Typowy *apotropeion*, myśli we mnie etnografka. Symbol sandała widać w wielu miejscach, jednak ponieważ jest niepozorny, łatwo go przeoczyć. Świętowanie urodzin Proroka i wiara, że przedmiot – na przykład sandał – może być kanałem Bożej łaski, to dla wielu muzułmanów innowacja – *bida* – niezgodna z Sunną, kopiowanie Zachodu, zagrażające czystości wiary w jedyne Boga. Prorok nie był Mesjaszem. Nie chciałby takiego świętowania. I nie robią tego dnia nic. Albo umieszczają na Facebooku i Twitterze negatywne opinie uczonych.

Jednak ulica tego dnia nie należy do nich.

Ulicami jadą autobusy obleczone w białe tkaniny i oświetlone na zielono, z potężnymi głośnikami. To z nich płyną naty (pieśni wychwalające Proroka). Nogi i biodra rwą się do tańca, ale obowiązuje powaga i skupienie. Tego dnia radość wyraża się inaczej. Uśmiechem, ubraniem, zielonymi dekoracjami, flagami, budowaniem replik Khana Kaaby (najświętszego miejsca islamu, charakterystycznego czarnego sześcianu) i meczetu w Medynie (grobu proroka Mohammada), rozdawaniem jedzenia.

Niektóre autobusy powiewają flagami partii ruchu barelwitów. Są

obwieszane mężczyznami, którzy wrzeszczą, wyją i trzymają megafony. Wokół nich tłum motocykli z flagami, pełno broni i policji.

Coś wpadło nam do samochodu. Pikantne chipsy i zapakowany miękki biszkopt.

Wrzucił je mężczyzna z niebieskim plastikowym worem.

Przed nami stoi autobus. Pasażerowie stojący na jego dachu rzucają jedzenie na dach autobusu obok. Tego dnia wszyscy dzielą się jedzeniem.

Przechodzi mnie dreszcz. To strasznie niebezpieczne.

Każdy motor może mieć przyczepiony granat. Każdy człowiek – ukryty pistolet. W każdej rzuconej torebce może być ładunek. Oby nie tym razem. Oby to nie o nas były dziś *breaking news* w telewizji i internecie. Lęk wyolbrzymia i, jak zawsze, nie pozwala się cieszyć publicznym świętowaniem. Marzymy tylko o tym, żeby się wydostać.

W domu co chwila ktoś puka do drzwi. Sąsiedzi przynoszą słodczy: białe kulki *ćamćam*, khir (pudding ryżowy) i zarę (pomarańczowy ryż z bakaliami i słodczymi).

Niektórzy poszczą przez cały dzień aż do maghribu. Modlą się, palą duszące kadzidła.

– W tym miesiącu zakładaj butelkowitzelony szalwar kamiz ze złotym haftem. Ten w złote gwiazdki! – radziła szwagierka, ignorując moje innowierstwo. – To kolor Proroka, *sallallahu aleihi wasalam*[59], kolor islamu.

W tym miesiącu organizuje się milady – spotkania modlitewne. Pod naszym blokiem do późnej nocy dziecięce głosiki fałszują naaty.

Któregoś dnia zadzwoniła do mnie pani Nilofar, mama mojej przyjaciółki. Wie, że jestem chrześcijanką.

– Zapraszam cię na milad. Posiedź z nami. Tak dawno cię nie widziałam. Chcemy zacząć o siedemnastej, gdy wszystkie już odmówią modlitwę *asr*. Przyjdź o siedemnastej! Będzie nam bardzo miło.

Do jej domu w Defence przyszło ze czterdzieści kobiet, owiniętych w kolorowe dupatty. Dużo matron w jasnych skarpetach. Na szczęście było też kilka młodszych. Zostawiły buty przed wejściem do salonu. W *drawing room* rozstawiły wazy z ciemnoczerwonymi płatkami róż. Zaścieliły podłogę czerwonym obrusem. Usiadły na sofach i podłodze. Owinęłam się i ja. Na palcu miałam różaniec, tu nikt nie ma pojęcia, co to. Ceremonię prowadziła

pani Nilofar, wyciszona i skupiona. U jej boków siedziały dwie córki, jedna w różu, a druga w ciemnym fiolecie. Wcześniej ćwiczyły naty ze śpiewniczków. Przypomniało mi się rodzinne ćwiczenie kolęd.

Pani Nilofar jest wdową, niezwykle kulturalną, delikatną i pełną godności. Nigdy nie da mi wprost poznać, że zapraszając mnie, chce mnie oswoić z islamem. A nawet jeśli ma taką intencję, jest mądra i pełna pokory. Robi, co może.

Nosi starannie ułożoną jasną dupatę. W książce *No Shame for the Sun* autorka Shahla Haeri nazywa ją „suficką feministką”. Pani Nilofar prowadzi studia nad duchowością, dużo pisze i jeździ, jeśli zdrowie jej na to pozwala. Założyła organizację Daughters of Islam. Dzięki tej kobiecie zetknęłam się z feministyczną perspektywą w islamie.

Przewodniczyła modlitwie, podobnie jak robi to imam czy ksiądz. Opowiadała o duszy uwięzionej w klatce ciała, o małym i wielkim dżihadzie – najtrudniejszy dżihad to walka z własnymi słabościami. Wspomniała o Amerykance, która nawróciła się po wizycie w Istambule, gdzie zobaczyła ubranie Proroka. Pani Nilofar była świadkiem szahady tej kobiety (bez świadków wyznanie wiary jest nieważne). Zgromadzone kobiety zaszemrały z uznaniem. Bogu niech będą dzięki. Potem była modlitwa wiernych – *dua*, z dłońmi skierowanymi przed siebie ku górze. Za chorych, cierpiących, zmarłych, nasz kraj Pakistan, za wszystkich muzułmanów. *Amin summa amin* (Amen i amen).

Śpiewały przez mikrofon po arabsku i w urdu. *Sallallahu aleihi wasalam, Sah e Madina* i wiele innych pieśni.

Zakończyły modlitwą na maghrib.

– Długo się przygotowujecie? – spytałam potem.

– Całe życie to śpiewamy – powiedziała Namira. – Dlatego teraz wystarczą krótkie przygotowania.

Stół uginał się od ćatu, od samos, kebabów, świętego deseru *śir kurma* i owoców. Na miękkich stołkach siedziały tylko babcie, reszta kobiet chodziła między kuchnią a jadalnią.

– To moja instruktorka nurkowania. Rośin! – Namira przedstawiła mi dziewczynę, która w czasie modlitwy była owinięta czarnym, spadającym z niej co chwila, czadorem.

– Właściwie jestem prawniczką – powiedziała Rośin. – Ale mogłabym nie wychodzić z morza! Nie umiałam pływać, wiesz? Nauczyłam się, gdy

zanurkowałam pierwszy raz. Wtedy rzuciłam to całe prawo! Kocham morze. Najlepiej się pływa w Karaczi. Ale teraz tak zaśmiecają nam brzeg! Chcesz? Przyjdź w przyszłą niedzielę. O siódmej rano wyjeżdżamy. Weź strój kąpielowy, a ubierz się, jak chcesz, nawet w koszulkę i dzinsy, nie ma problemu!

„*Oj-hoi!* [60] – powiedziałam w duchu. – Całe Karaczi!”

Wokół ramadanu

Znowu strzelają za oknem. Całą noc! Znowu w domu palą kadzidła (kadzidła są najgorsze!). Co się dzieje?

– *Śab-e-barat*. Noc niewinności. Tej nocy można prosić Boga o przebaczenie! Żałować za swoje grzechy, postanawiać poprawę, unikać grzechów. Piętnastego dnia miesiąca *śaban* Bóg miał zesłać Koran Mahometowi.

I znowu przynoszą talerzyki z zardą i halwami: z mąki ciecierzycowej, z *ćane ki* dalu, czyli połamanej ciecierzycy, i z kaszy manny.

Śab-e-barat to znak, że już niedługo zacznie się ramadan. Pora rozpocząć przygotowania.

Przed ramadanem Karaczi ogarnia szczególna atmosfera. Mieszanka czegoś uroczystego i niepokoju. Na mszach modlimy się za wspólnotę muzułmańską i za jej przeżywanie tego miesiąca duchowej odnowy.

Pierwsze reklamy świątecznych kolekcji ubrań pojawiają się miesiąc wcześniej, potem – prośby o zakat (jałmużnę), iftarowe oferty restauracyjne, reklamy keczupów, olejów do smażenia i napojów. W domu jest więcej modlitwy. Teść modli się bardzo dużo, dniem i nocą, od *Śab-e-barat*.

– Robi *ibadat* (czczenie Boga) – mówi teściowa.

Stoimy od pół godziny w kolejce do kasy. Po koszyk staliśmy dwadzieścia minut. Potem długo próbowaliśmy się dopchać do półek. Będziemy jeszcze czekać, aż panowie zapakują nasze zakupy do toreb. Tak jest w każdym sklepie przed ramadanem i w jego trakcie. Na każdym targu. W Polsce coś bardzo podobnego dzieje się przed długimi weekendami.

Czarna ciecierzycy, sucha pakora do *dahi bare*, tony mąki, olej, daktyl, syrop Rooh Afza, biały tradycyjny syrop Maaz Thadal, dal, mąka *besan*, przyprawy, nowe ubrania, nowe komplety pościeli. To naprawdę sprawia wrażenie szaleństwa. Zbiorowego transu. Mit Azji oderwanej od

konsumpcyjnego stylu życia zdecydowanie wygląda z tej perspektywy tylko jak mit, zachodnie marzenie o „wyspach szczęśliwych”. Korki są jeszcze bardziej gigantyczne niż na co dzień (a na co dzień to masakra i męka!), torby coraz większe, rachunki coraz dłuższe.

Święty miesiąc

Cały ramadan jest *stasis*. Zwykły czas się zatrzymuje. Pakistan zanurza się w świętym wymiarze i towarzyszącej mu *communitas*. Wspólnocie.

Przypomina mi – trochę! – karnawał. Nie wiem, co na to muzułmanie. Jednak podczas ramadanu, podobnie jak w karnawale, wszystko jest inaczej. Na odwrót. Jak podczas wielkiego festiwalu. Nie wiem, czy jest tak, jak powinno być według zaleceń. Jest, jak jest.

– Uwielbiam ramadan! (tu wymawia się to: *ramzan*) – mówi z żarem czternastoletnia Hina. – Jemy takie pyszne rzeczy! Nocą! Chodzimy nocą na zakupy, na *mehndi* (malowanie dłoni henną), modlimy się razem, wszystko jest inaczej!

Pierwsza modlitwa *fadžr* w ramadanie wyznacza początek świętego czasu. Muzułmański post można, jeśli się bardzo chce, przebić równie skutecznie jak chrześcijański: dni przesypiać, w nocy jeść pyszności i szaleć na zakupach, trochę się pomodlić w ulubionym towarzystwie. Ale ten okres może też być głębokim doświadczeniem duchowym i wspólnotowym. Ludzie przez cztery tygodnie dzielą trudy postu i radość wspólnych posiłków. Nic tak nie zbliża jak wspólne doświadczenia. Wspólnota ustanawia się na nowo.

– Masz *roza* (post)? – pytają, gdy kogoś w tym czasie odwiedzamy. – Pościsz?

Wystarczy powiedzieć, że nie, żeby dostać poczęstunek. Każdy rozumie, że prawdziwy post jest dla silnych i zdrowych. Tylko tacy zdołają całkowicie powstrzymać się od jedzenia, picia i palenia przez długie upalne godziny, i nie będą okazywać bliźnim rozdrażnienia i złości (ten, kto pości, ma też poskramiać swojego ducha). Ci, którzy biorą leki, nie mogą pościć.

Publicznie mam zachowywać pozory. Nie pić, nie jeść, nie palić, narzucić coś na głowę. Udawać, że też poszczę. Nie rozwalać poczucia wspólnoty. Pewien portier w hotelu Karaczi jadł coś w swojej kanciapie. Zbili go do krwi[61]. Hidżaby nakłada się nawet niemowlętom. Chłopcy, którzy na co dzień noszą dzinsy, teraz wkładają szalwar kamizy i *topi*. Rozkręca się

ramadanowy biznes. W telewizji same muzułmańskie dzieci, stojaki na Koran, reklamy Rooh Afzy, promowanej do przerywania postu, konkursy, w których można wygrać *idi* (pieniądze dawane dzieciom w czasie nadchodzących po ramadanie świąt, czyli Id ul-Fitr). Przychodzą SMS-y: „Aby włączyć usługę SMS z przypomnieniami o *sehri*, iftarze, porach modlitw, wersetach Koranu, hadisach i muzułmańskim kalendarzu, wyślij SMS pod numer ...”. Na ulicach pojawiają się reklamy: „Iftar i kolacja od pory iftaru do 21.00, zestaw *sehri*+iftar”, „zniżka ramadanowa” (iftar to pierwszy posiłek po wieczornym przerwaniu postu; *sehri* to ostatni posiłek przed wschodem słońca). Ramadanowe zestawy podają w KFC, Pizza Hut, Subwayu, Student Biryani i innych sieciach. Billboardy zapraszają też do przeznaczenia swojego idowego zakatu (jałmużny) na szczytne cele.

Poranki są senne i ciche. Znikają knajpki ze śniadaniem halwa puri, budki z ćatem i napojami. Koło południa ludzie stoją już w codziennych korkach. Wstają też żebracy, dzieci, które chcą umyć szyby, sprzedawcy „ptaszków modlitewnych” (które się wypuszcza – to jałmużna), farbowanych żywych kurcząt do zabawy, lnianych ścierek, malowanek dla dzieci i bransoletek z jaśminu. Zmieniają się godziny otwarcia banków, przychodni, urzędów. Nie daj Boże zachorować w ramadan! W porze modlitwy trzeba czekać na lekarza ponad godzinę. Przez pierwsze dziesięć dni prawie nikt nie pracuje – niemal wszyscy uczestniczą w modlitwach *tarawi* – recytowaniu Koranu przez hafizów (ludzi, którzy znają Koran na pamięć).

Pod wieczór ruch na ulicach robi się coraz bardziej nerwowy, ludzie stają się głodni, spragnieni, stęsknieni za papierosem. Na chodnikach i wysepkach między ulicami ustawia się stragany z jedzeniem, czasem rozkłada prześcieradła (żeby nie siedzieć na ziemi). Przed straganami gromadzi się tłum oczekujących – najwięcej jest mężczyzn. Przy szosach stoją ludzie z torbami wypełnionymi wodą i z woreczkami z jedzeniem. Zatrzymują mijające samochody i wręczają kierowcom. Jest cicho i spokojnie, w szalonym zwykle Karaczi robi to niezwykle wrażenie. Iftar jedzą w skupieniu, bez śmiechu, rozmów, żartów, rozpychania się.

Na naszym podwórku też jest cicho. Całe popołudnie gotowałyśmy i smażyłyśmy. Czasem kogoś zapraszamy, czasem robimy iftar dla sąsiadów. Jak zwykle o zmroku zapalamy światła we wszystkich pomieszczeniach. Nalewamy śarbat do dzbanka, ustawiamy jedzenie na podłodze. Można pić i jeść. Zaczynają od *bismilla*, daktyli i wody.

W pracy Wasima liczba kolegów, którzy poszczą i którzy nie poszczą, rozkłada się mniej więcej po połowie. W domu, choć panuje duchowa atmosfera i jemy iftar, któregoś razu pościł tylko siostrzeniec, bo reszta była za mała, za stara, zbyt schorowana lub niewierna.

Menu na iftar

Daktyle – od nich się rozpoczyna.

Śarbat – woda z syropem Rooh Afza, z Maaz Thadalem (tradycyjnym białym syropem) albo z napojem w proszku *tang*.

Zestaw dań smażonych w głębokim oleju. Pakora: gęste ciasto bez nadzienia, z mąki *besan* i przypraw. Warzywa w cieście (rzadszym, z cynamonem, garam masalą i czerwonym chili) – liście szpinaku, ziemniaki, bakłażan, zielona papryka, cebula i co fantazja podpowie.

Kaćori – małe okrągłe chlebki z ulubionym nadzieniem (najczęściej z utartego dalu). Samosy („smażone pierogi”) z ziemniakami, mielonym mięsem. *Rolls* – parathy zwinięte razem z nadzieniem w rolkę i usmażone. Ziemniaczane kulki otaczane w mące *besan*. Kebaby.

Dahi bare – gotowe suche pakory obgotowane we wrzątku i zalane jogurtem zmiksowanym z ćat masalą, solą, zielonym chili – można osłodzić daktylowym czatnejem.

Kala ćana – ciemna ciecierzycza i gotowane ziemniaki w sosie ze smażonej cebuli i całego czerwonego chili (usmażonego razem z cebulą), posolone. Podawane z cieniutko pokrojoną surową cebulą i olejem gorczycowym.

Owocowy ćat – na przykład banany, zielone winogrona bez pestek, sok z cytryny, jabłka, sporo ćat masali, sól, pieprz (jadłam jeszcze z guawą i mango).

Smażone słodycze – dżalebi i imarti – które kupujemy, choć może pasjonaci robią je w domu. Dżalebi robi się z białej mąki *meida* i jest pomarańczowe. Imarti – jadowicie czerwone, co może budzić niepokój. Prawdziwe imarti robi się ze zmielonego urad dalu, barwionego szafranem, z dodatkiem kardamonu. Oba słodycze są głęboko smażone w *ghi* (ciasto leje się na roztopiony tłuszcz), potem zanurzone w syropie.

pudding (*custard*), khir, któraś z wielu halw, lody.

Kurczak *karahi*, biriani, nihari, ulubione dania mięsne.

„Zielona” *raita*: jogurt, mięta, natka kolendry, zielone chili, sól – zmiksowane.

Po posiłku panowie idą na *tarawi*, rodziny – na zakupy. Modlitwom *tarawi* mogę się tylko przyglądać zza płotków w parkach. Hafizowie recytują wtedy Koran, który znają na pamięć, a całe zgromadzenie się modli. Modlitwa angażuje wszystkie zmysły i siły ciała. Nocą można też pójść na kilkugodzinny program *kawwali*, zakończony *sehri* – posiłkiem przed wschodem słońca.

Telewizor nadaje wyłącznie programy religijne. Allah, Allah, Allah. *Allahu akbar*. I rytmiczne naty.

– Chodź szybko! – woła mnie Wasim pewnego ranka na początku

ramadanu. W telewizorze biskup Lahore i duchowny sikh.

– Opowiadają, jak wygląda post w ich religiach – wyjaśnia Wasim.

Biskup mówi, że trzeba pościć z radosną i umytą twarzą, i nigdy na pokaz! Sikh dodaje, że w poście chodzi o ograniczenie potrzeb doczesnych i skupienie się na duchowości. Wilczy głód nie odrywa od myśli o jedzeniu, tylko wręcz przeciwnie, więc jedno roti w ciągu dnia i trochę wody są skuteczniejsze niż ścisły post, a potem „odreagowanie” nocą...

Prowadzący, speszony, natychmiast podziękował gościom za uwagę.

W ramadanowych programach nie brakuje niespodzianek. Pewna dziennikarka jeździła po parkach w Karaczi, polując na pary, które umawiają się na randki bez przyzwoitek. Ktoś inny zaglądał do domów publicznych. Aktorka Veena Malik (znana z nagich zdjęć w indyjskim magazynie) prowadziła ramadanowy show, w którym uwalniano ludzi z opętania i pokazywano nawrócenie hinduisty na islam (telewizyjne konwersje zwieńczone burzliwymi oklaskami to norma w tutejszych religijnych show). Najpopularniejszy zdecydowanie jest *Amaan Ramzaan* – kilkugodzinny program Aamira Liaquata Husseina. Konkursy, quizy, częstowanie ubogich iftarem, rozmowy z dziećmi i postaciami show-biznesu. Dwanaście milionów widzów dziennie! I on – wyzelowany „charyzmatyczny prezenter” i bardzo kontrowersyjny „religijny uczyony”. W roku 2013 w ramadanowym konkursie bezdzietne pary wygrały w jego turnieju pierwszą nagrodę – niemowlęta. Można było wygrać też działkę, butle oleju, motor, samochód.

– Tę piękną dziewczynkę ktoś wyrzucił na stertę śmieci. Patrzcie, jaka jest piękna i niewinna – powiedział do kamery.

Poczuj smak ramadanu

Czy iftar w Hardis, do którego namawia reklama na billboardzie – azan z głośniczka, na ścianie fototapeta z Beverly Hills, na stole kanapka zinger, krążki cebuli w cieście, keczup i cola – może mieć jakiś urok? Trzeba to sprawdzić.

Poszliśmy więc do McDonalda. Dwadzieścia minut przed iftar nie było już miejsc. Usiedliśmy w kameralnej sali na górze. Młodzieńcy z włosami na żel, w obcisłych koszulkach i z grubymi łańcuchami siedzieli pod wielkim plakatem przedstawiającym podobnych roześmianych młodzieńców. Robili sobie *selfies*. Obok nich przy stoliku zasiadł łysy starzec w szalwar kamizie

i jego (zapewne) żona. Gdy rozległ się azan, kobiety narzuciły dupatty. Zaczęto jeść. W telewizorach uczeni wyglądali księżycyca. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie w tym roku Id.

Wszystko przebiegało bardzo spokojnie. Religijna i wyciszona wspólnota powstała w miejscu, które nawet w Pakistanie kojarzy się z burgerem, frytkami, colą i szejkiem na tacy takiej samej jak wszędzie, pewnym standardem toalet i schowaniem osobistych przekonań w najgłębsze zakamarki duszy.

Id ul-Fitr

Najpierw jest *ćand rat* (noc księżycowa). Wszyscy w napięciu wypatrują księżycyca. Obserwują uczonych, jak patrzą w gwiazdy. Kiedy będzie Id?

Jak zawsze, nie wiadomo. Czekamy.

Arabia Saudyjska już świętuje. Iran już świętuje. My jeszcze nie.

Pakistan prowadzi swoje wyliczenia i obchodzi święta w innej porze niż Arabia Saudyjska oraz Iran. Można do nich dołączyć, ale miałyby to wymiar polityczny.

Trzeba zaklepać miejsce w salonie na hennę na dłoniach i ułożenie włosów albo zaprosić do domu fryzjerkę, makijażystkę i specjalistkę od *mehndi*, czyli tradycyjnych pięknych wzorów malowanych henną. *Mehndi* w Id jest właściwie obowiązkowe. Wcześniej musimy wymyślić stroje, biżuterię, dodatki – najlepiej na trzy dni. Zajrzeć do kolorowych magazynów. Zamówić. Kupić. Uszyć z odpowiednim wyprzedzeniem. Kupić nową pościel. Odnowić, co się da. Przynieść z banku stosik nowiużeńskich banknotów i odpowiednią liczbę kopert. Przygotować desery – *śir kurma*, *sewaija*, halwy. I oczywiście dania mięsne. Wprowadzić się w nastrój oczekiwania na wielkie wydarzenie.

W Id ubieramy się pięknie, na łózkach nowe prześcieradła, wszystkie kąty wypucowane. Rano panowie idą do meczetu. *Id mubarak!* Obejmujemy się i całujemy. Rozdajemy młodszym *idi* (nowiutkie banknoty w kopertach), a najmniejszym dzieciom baloniki. Jemy słodczyce, torty czekoladowe i kawowe. Dzieci wychodzą na podwórko. Wieczorem przychodzą goście. Oglądają nasze ubrania. Wyceniają je w myśli, widzę to po oczach!

– To haft maszynowy! – wydyma usta szwagierka, patrząc na ubranie siostry.

Mehndi w czasie Idu miałam tylko za pierwszym razem. Potem zaczęłam zakładać piękne ubrania i robić *mehndi* z okazji świąt chrześcijańskich.

Dzieci liczą *idi*. Kłóć się, kto dostał więcej. Robiliśmy to samo po Pierwszej Komunii.

– *Id mubarak* – pozdrawiają się wszyscy. – Szczęśliwego Id!

Id ul-Adha

Nadejście Id ul-Adha zwiastują targi zwierząt. Karaczi zmienia się w pastwisko pełne porykujących byków i beczących koziołków. A także baranków, ale w naszej okolicy baranki nie są popularne.

– Pasztuni i Beludżowie jedzą baraninę. My nie – mówi kuzyn Śakil. Kupi byka i kilka kóz.

Czasem ktoś prowadzi wielbłąda. Wielbłądy też kupuje się rzadziej. Są drogie, trudniej je zabić. Wielbłąd nie chce iść na miejsce ofiary. Nie da się go przewrócić tak jak byka, trzeba podciąć mu żyły w trzech miejscach. Nie każdy to potrafi.

Do zwyczajowych powodów korków dochodzi nowy: oto jakiś facet przed nami zatrzymał samochód i zażarcie dyskutuje ze sprzedawcą kóz pod zadaszeniem. Zaraz potem ktoś inny wysiada, żeby zatrzymać furgonetkę z bykiem. Za ile go kupił? Gdzie? Rozmowa trwa w najlepsze.

Jest sielsko. Świeża trawa w wiązkach, siano, liście, słoma do wymoszczenia obórek, ozdobne uprząże i łańcuchy. Wspaniały i niecodzienny nastrój. Zwierzę trzeba dobrze karmić i podtuczyć. Trzeba je pokochać, mówią nawet. Przywiązać się do niego. Dzieci (dorośli zresztą też) głaszczą i poklepują zwierzątka.

– Nasza krowa! – czulą się. – Mamy kozę! – Cmokają. Ciągną za rogi. – *Aćća, aćća* (Dobrze, dobrze). Pogłaszcz. Nie bój się. *Pjar karo* (Pogłaszcz, dosłownie Okaż miłość).

– Ten kozioł kopie. *Je marta he* (Uderza). Na tego trzeba uważać.

Faceci rozmawiają tylko o bydle! Wasim wisi na telefonie. Kto za ile i gdzie kupił. Nie mogą, a przede wszystkim nie chcą szybko się zdecydować i pozbawiać się radości szukania i targowania. Przez kilka tygodni jeżdżą po targach, znikają na całe dni. To doskonała rozrywka i okazja do pokazania swojego statusu. Może w czasie takich wydarzeń męski organizm wydziela jakieś specjalne hormony? W każdym razie tym żyją i świata poza tym nie

widzą. Ile może kosztować ta krowa? A krowa sąsiada? A koza?

Męska sprawa. Samce polują na samce. Kobieta nie chodzi na targ, nie wybiera, nie płaci, nie ma prawa dokonać uboju. Jej rola zaczyna się po śmierci zwierzęcia, gdy trzeba zająć się przygotowaniem mięsa do konsumpcji.

Młode, ale dojrzałe. Żeby to ocenić, patrzy się w zęby. Bez skazy (nie ślepe czy niedowidzące, bez ogona, ucha, kulawe, ze złamanymi rogami). Samiec może być wykastrowany (*khassi*) albo nie – szyici mają składać w ofierze wyłącznie zwierzęta niekastrowane.

– Chcę do Sohrab Goth! – mówię Wasimowi. Wszyscy twoi kumple potracili rozumy, ludzie czymś żyją, chcę zobaczyć czym!

– Tam będzie mało kobiet – mówi Wasim.

Zakładam burkę, nikab. Bierzymy kolegę. Jedziemy na *bakra mandi* – targ kóz.

W Sohrab Goth, przy Super Highway (autostradzie wiodącej na północ Pakistanu) odbywa się największy idowy targ zwierząt w Karaczi. Niektórzy mówią, że w tej części Azji, inni uważają, że największy jest Chamra Mandi w Lahore. Targ dzieli się na trzy części – z kozami, z krowami i z wielbłędami.

Uroczę kózki z długimi uszami pobekują w różnych tonacjach. Sprzedawcy nawołują, riksze i motory warczą, z czerwonych wózków wytwórni lodów Walls (Algida) płynie piskliwa muzyczka, znana każdemu pakistańskiemu dziecku. Pełno lusterkowych i koralikowych uprząży, kwiatów dla bydła, pieczonej kukurydzy, wyciskarek do soku z trzciny cukrowej. Sprzedawca przygotowuje sobie roti. Ktoś śpi. Inny zrobił namiot z koca z Matką Boską! Ktoś się targuje, ktoś właśnie kupił zwierzę. Jest jak na obozie wędrownym. Chętnie zostałabym tu na noc. Nie ma o tym mowy. Wasim miał rację. Za mało tu kobiet.

W domu wystarczy zamknąć oczy, żeby poczuć się jak w górskiej dolinie. Codziennie dochodzi kilka nowych zwierząt. Brzęczą łańcuchy, w codziennym smrodzie łatwo wyczuć nowy składnik – obornik. Dużo obornika! Chwila nieuwagi i można wdepnąć.

Wasim ma dość. Podwórko jest i tak bardzo ciasne. Żeby tu zaparkować, na co dzień musi dokonywać prawdziwych sztuk cyrkowych. Gdy do dziesiątków samochodów, rikszy i motorów dochodzi kilkadziesiąt sztuk spacerującego bydła, kierowca musi wejść na kolejny poziom. *Next level*, za

który nie przyznają mu żadnej nagrody. Przeciętny zachodni kierowca by temu nie podolał.

Sielsko.

Na sielskości pojawia się rysa. Jakiś byk biegnie przerażony. Za nim gromada wyrostków z kijkami. Uderzają go po bokach, żeby biegł. Biegają za nim.

– Oe, oe, oe! – wrzeszczą chórem. Śmieją się.

To „oe, oe” to dla mnie jeden ze stałych punktów przygotowań do Idu. Słyszę je parę razy dziennie.

Do zwierzęcia masz się przywiązać, mówią. Pokochać je. Bez tego twoja ofiara nie będzie prawdziwa.

Idea swoje, a praktyka swoje. Można by wykorzystać tę okazję, żeby uczyć szacunku do zwierząt. Jednak chłopakom pod blokiem sprawia radość władza nad bezbronnym stworzeniem. Jego lęk. Jego zależność. Jego reakcje. Mogą z nim zrobić, co zechcą. Łapać za rogi, klepać, uspokoić, wystraszyć, pogłaskać i kopnąć. Prawdziwy kozioł ofiarny. I tak w końcu zrobią z nim to, co trzeba.

Naprawdę przywiązują się małe dzieci. Ich ofiara jest prawdziwa – bolesna. Maleńki chłopczyk od sąsiadów przeżywa rozstanie z kózką, którą głaskał przez kilka tygodni. Trudno zrozumieć, że, jak mówią mu starsi, „Bóg jest teraz szczęśliwy”. Właśnie teraz, gdy on płacze w kącie schodów.

Obok wiązek siana, trawy i kolorowych dekoracji leżą słomiane maty. Mata służy jako podkładka do ćwiartowania mięsa. Obok leżą też plecione kosze na mięso, a w foliowych workach – węgle, na których piecze się kebaby. Za pierwszym razem nie znałam ich przeznaczenia i nie zwracałam na to uwagi. Potem zaczęłam w nich widzieć zapowiedź końca sielanki. Tuż przed Idem oprócz mat na straganach pojawiają się noże, tasaki różnej wielkości i punkty ostrzenia narzędzi.

Mówi się: Bara Id. Wielki Id. Kulminacja. Bara to też zagroda dla bydła.

Na pamiątkę czynu Ibrahima, który miał złożyć w ofierze swojego syna Ismaela. Bóg na koniec okazał im miłosierdzie. Powstrzymał Ibrahima, który już podniósł nóż. Wystawił wiarę Ibrahima na próbę.

To historia świetnie znana mieszkańcom Zachodu, tylko w Biblii synem, który miał być złożony w ofierze, był Izaak. Z pojęciem ofiary i Bożego miłosierdzia również trudno się nie zetknąć. Są kluczowe.

Na początku chciałam oglądać. Nie uciekać przed rzeczywistością. Nie

oceniać, dopóki nie doświadczę. Umówiliśmy się więc na *kurbani* – złożenie zwierzęcia w ofierze – u Nasira. Nasir kupił wielkiego byka za kilkadziesiąt tysięcy rupii. Zgromadził się tłum. Najwięcej było mężczyzn – w każdym wieku, niemal od niemowlęcia. Kobietom zaproponowano miejsce na balkonie. Stąd będziecie widzieć wszystko i nikt was nie zaczepi – wytłumaczyli gospodarze.

– Nawet nie wszystkim naszym ludziom przyjemnie na to patrzeć – wyznała mi pocieszająco Śaista, gdy przyglądałyśmy się zarzynaniu, poczynając od związywania nóg. Była bardzo przejęta. Rzeczywiście, punkt obserwacyjny był doskonały. Oprócz byka zarzynano też koziołka. Błyskały ostrza. Rzeźnicy – *kasab* – działali sprawnie i szybko. Plac przed domem Nasira zaczerwienił się od krwi. Obok nas stała mała dziewczynka i wymiotowała.

– Dzieci zawsze tak reagują za pierwszym razem. Potem się przyzwyczajają – tłumaczyła Śaista, nowoczesna świadoma muzułmanka. Jest wykształcona, stylowa i piękna. Modne okulary, manikiur, biżuteria. Nosi hidżab, choć mąż wołał ją bez. Jej hidżaby są modne, wygląda w nich świetnie. – Ale nie zawsze, wiesz? – dodała po chwili. – Mój brat daje pieniądze na zwierzę ofiarne, ale sam nie może podejść blisko i patrzeć, jak to się odbywa. Moje koleżanki jedzą tylko kurczaki albo unikają mięsa, bo oglądały dużo *kurbani*. Wiem, że wielu z was na Zachodzie to wydaje się okrutne. Gdybym nie znała powodów, dla których to robimy, też bym tak myślała.

Czasem trzeba złożyć Bogu w ofierze to, co najdroższe. Zwierzę kupujemy wcześniej, żeby je pokochać. Przywiązać się. Żeby zabicie bolało. Być gotowym oddać naprawdę wszystko, tak jak Ibrahim.

– Mięso damy biednym – dodała. – Weźmiemy dla siebie tyle, ile zdołamy zjeść podczas Idu.

Inni dzielą mięso na trzy części: dla siebie, dla krewnych i dla „obcych” biednych.

Przez trzy dni Karaczi spływa krwią. Od porannej modlitwy na naszym podwórku i na milionach innych podwórek powtarza się ofiara. Kałuża krwi, na słomianej macie odcięta krowia głowa, ruszająca się reszta ciała, wokoło grupa mężczyzn od lat trzech w górę. Nie wiem, co czują i o czym myślą. Na ile odnoszą do religii to, co przeżywają, jak to ich kształtuje. Może przeżywają to bardzo głęboko, a ich przeżycia zostają ukryte przed okiem

obserwatora. Niby czemu mieliby mi o nich opowiadać? Sprzątają jak najszybciej. Myją chodnik. Odkładają głowę, żołądek i jelita przygotowują do wywózki, nogi opalają nad gazem, rozdzielają resztę mięsa. Skórę kładą osobno – skórę w Karaczi należy oddać rządzącej partii MQM. W niektórych dzielnicach można ją oddać partiom religijnym – Dżamat-e-Islami i Sunni Tehrik – albo dobroczynnej fundacji Abdulsattara Edhiego. Krowia skóra kosztuje 4000 rupii, kozia lub owcza 600 rupii, a wielbłądzia – 1500. Partie sprzedają zebrane skóry garbarzom – nie ma żadnych dostępnych publicznie rachunków z tych transakcji. To dla nich potężny zastrzyk darmowych funduszy.

W domu robimy kebaby i specjalną potrawę z serca, płuc i wątroby. Przez kilka dni każda rodzina je mięso.

Dzieci pokazują mi swoje zdjęcia z głowami zwierząt. Pełno takich zdjęć na Facebooku. Najpierw zdjęcia z targu, zdjęcia z przytulonymi zwierzątkami pod domem i na końcu zdjęcie z odciętą głową. *Id mubarak!* Czasem tatusiowie sadzają synków na byka, który wyrusza w swoją ostatnią drogę. Dzieci jadą triumfalnie.

Nie lubię tego święta. Mam zawsze ochotę uciekać z Karaczi, gdy nadchodzi. Ogarnia mnie też poczucie winy, że niewystarczająco się wczułam, że nie umiem spokojnie spojrzeć ich oczami, nie oceniać, zawiesić sądu. Patrzę z zewnątrz. Może za mało rozmawiam o duchowym wymiarze tego święta. Święto Ofiarowania kojarzy mi się z potwornym stresem dla zwierząt, morzem krwi i widowiskiem, któremu towarzyszą radość i podniecenie. Też mam zdjęcie z głową krowy. I też jem mięso. Może większa prawda tkwi w oglądaniu zabijania zwierząt niż w jego ukrywaniu. Mięso nie bierze się ze sklepu. Szkoda może, że na mięsożernym Zachodzie nie ma szczególnego dnia, gdy można obejrzeć, jak rzeczywiście zabijane są zwierzęta, które potem leżą na półkach w schludnych opakowaniach.

Postscriptum

Dzień po Idzie wyszłam na podwórko i w kącie natknęłam się na ślady jeszcze jednego *kurbani*. Małego. Skóra kota, głowa kota, wnętrzności kota, wszystko równo ułożone.

Postscriptum 2

Moje dziecko ma półtora roku, bliźniaki – siedem. Bawią się w pokoju.

Michał jest koziołkiem ofiarnym. Arif go składa w ofierze. Asma wiąże mu nóżki, żeby nie wierzgał.

– *Bismilla ir rahman ir rahim!* – woła Arif i palcem podcina Michałowi tętnicę.

Koziołek umiera. Za chwilę znowu go gonią.

Asma opowiada, że ktoś płakał po kózce.

– Dlaczego płakał? Bogu się podoba taka ofiara! – tłumaczy jej Arif surowo.

Postscriptum 3

Kuzynka Alina, nauczycielka, ze zrozumieniem kiwa głową, gdy mówię, jak trudno mi przyjąć to, co się dzieje naokoło.

– Zwierzęta nie powinny patrzeć na śmierć innych zwierząt. To sprzeczne z sunną! Mówi się nawet, że *kurbani* powinno się odbywać tego dnia tylko w Mekce podczas hadżu (pielgrzymki do Mekki). I masz rację. Dzieci nie powinny oglądać *kurbani* od najmłodszych lat.

Mazary – grobowce sufickie

Sufizm to jeden z wielkich mitów Zachodu o Wschodzie. Tęsknot za bliskością, harmonią, pojednaniem, pokojowym współistnieniem, prawdą o życiu. Tradycje sufickie są nazywane „inną twarzą islamu”. Przepiętna je łagodność i głębia. Koją się z *communitas* i sprzeciwem wobec sztywnej struktury, wewnątrz której łatwo stracić ducha – mułłów, meczetu, nierówności. Sufizm to tolerancja, humanizm i wzajemne dopasowywanie się różnic. Inkluzywność, brak ostrych granic. Ursy (święta urządzone z okazji śmierci świętego patrona, a więc jego narodzin dla nieba) wciąż fascynują, świątynie kuszą, tym bardziej ostatnio, gdy są zagrożone. W Karaczi znaną postacią jest Jurgen Wasim Frembgen, niemiecki autor pełnych żaru prac o sufizmie, muzyce i wspólnocie, która tworzy się w świątyniach.

W Sindzie grobowców są setki – prowincję czasem określa się romantycznym mianem „kolebki pokoju i miłości”, która miała wydać na świat „124 tysiące derwiszów” (świętych sufickich). Najbardziej znane to grobowce Śaha Abdula Latifa Bhittai w Bhitshah, i Lal Śahbaza Kalandara w Sehwan Sharif, a w Karaczi – Abdullaha Śaha Gaziego, do którego przychodzą bezpłodne pary i który ma chronić miasto przed klęskami

żywiółowymi.

– Czy przeżyłaś kiedyś duchowe uniesienie w świętym miejscu innej religii? – zapytała mnie w Karaczi muzułmanka, która sama tego doświadczyła. Pokiwałam głową.

Siedzimy od pół godziny z Zarą w Bhitshah na dziedzińcu: bose i przykryte dupattami. Słuchamy gry muzyków, których rodzina mieszka tu od kilkuset lat, przyglądamy się ludziom, dzwonom, kafelkom, kamiennej podłodze. Grubiutkie dziecko w haftowanej krzyżkami koszulce (mam taką samą!) puszcza żółty samochód do taty – rozpromienionego brodacza w białym turbanie.

Pięknie ubrane dziewczyny podchodzą do muzyków po błogosławieństwo. Muzyka ustaje – słycać azan.

Kobieta całuje Koran, który leży za szybą – a raczej, patrząc chłodnym okiem, szybę, za którą leży Koran. Ten, kto całował na przykład ikonę za szybą w cerkwi, wie, że dla wierzącego kolejność jest odwrotna.

Ktoś w mazarze daje nam kilka garści białych drobnych cukierków. „*Bismilla*” – mówi. Michał, zachwycony, karmi nimi muchy.

Chudy starzec czyta w skupieniu książkę.

Ktoś modli się na *tasbi*.

Chłopak pod ścianą wygląda jak żebrak lub sufi. Na kolanie ma komórkę podłączoną do ładowarki.

W koszu leżą plastikowe *topi*.

Zara długo mieszkała za granicą. Nie jest religijna.

– Niesamowite – mówi. – Właśnie sobie pomyślałam, że w Pakistanie nie ma publicznego miejsca, gdzie jako kobieta mogę spokojnie posiedzieć!

Oprócz świątyń.

Można sobie stworzyć „bańkę” otoczoną murem, w której będziemy się czuć swobodnie. Jednak świątynie są wciąż prawdziwe. Pełne życia, piękna i przestrzeni. Wystarczy tu przyjść.

Siedzimy więc, rozanielone, nienękanie niczymi spojrzeniami, patrząc w niebo. Chwilo, trwaj.

Odwiedzałam grobowce z ciekawości. Może w meczetach jest równie pięknie, ale do meczetu, z paroma wyjątkami, nikt mnie tu nie wpuści. W Karaczi są dziesiątki małych grobowców. Każdy ma swoją nazwę – skomplikowaną oficjalną i krótką potoczną. Na przykład grobowiec Baby

Faiz-i-Alama Sakhiego Sultana Shaha Bokharięgo nazywa się potocznie „Kala Pul” (Czarny Most). Każda jest intrygująca.

Najpierw pojechaliśmy do grobowca w Mangho Pir w Karaczi, potem na urs w Jhok Sharif w Sindzie (mniej znana za granicą). Odwiedziliśmy też dwa kultowe miejsca – Sehwan Sharif i Bhitshah, i parę mniejszych, a także piękny, lecz tego dnia pustawy mazar muhtarmy Benazir Bhutto, polityk kreowanej na nową świętą.

Mangho Pir

Śidi melę (święto Śidich) „u Sakhi Sultana” w Mangho Pir na północy Karaczi co roku organizowała społeczność Siddi. Siddi, nazywani tu Śidi, są potomkami wschodnioafrykańskich niewolników, pochodzą – jak mówią – być może z Zanzibaru (Tanzanii). Mieli tu przyjechać razem z arabskimi kupcami i zarządcami, jako niewolnicy, przez Muskat, gdy Oman zajmował enklawę Gwadar w Makran w Beludżystanie. Czasem nazywa się ich „Makrani”. W Pakistanie, podobnie jak w całym regionie, niełatwo być ciemnoskórym. Śidi są biedni i najczęściej niewykształceni. Kojarzą się z niebezpiecznymi przestępcami. Żyją w słynącej z przestępczości (i miłości do piłki nożnej – mieszkają tam chyba najzagorzalsi kibice piłkarscy w Karaczi) dzielnicy Lyari i w dzielnicach nadmorskich (między innymi Keamari i Malir). Mówią w sindhi albo balući[62].

Zawsze musieli ciężko pracować. W transporcie, jako kucharze, tancerze, śpiewacy, bokserzy, piłkarze, służący. Śidi brzmi dziś jak „czarnuch” – mówił Wasim Frembgen podczas konferencji o Karaczi. Jednak w grobowcach sufickich „Śidi” wymawia się z szacunkiem. Niektórzy mówią na nich „Habśi” – Abisyńczycy, czyli Murzyni. To też obraźliwe. W Mangho Pir Pakistan odsłonił przede mną swoje fascynujące bogactwo. Byłam oszołomiona i zachwycona.

Sto krokodyli, które według legendy miały być pchłami z włosów pira Mango, gorące siarkowe źródła, które miały powstać po jego pełnych złości tupnięciach! Każda wersja tej legendy jest niezwykła. Afrykańskie rytmy, przedziwni piękni ludzie, ofiary z kurcząt! Zostały mi zdjęcia, wspomnienia gorącej podłogi, starej ciemnoskórej kobiety zawiązującej sznurki ludziom, którzy ustawiali się w kolejce – gest zawiązywania węzłów na sznurkach widziałam potem wielokrotnie, u chrześcijan, muzułmanów i hinduistów,

czasem ktoś komentował: „Na tym sznurku jest wiele intencji”, jeśli było kilka węzełków. Pamiętam zakryte twarze, trans – który potem okazał się „uzdrawiającym rytuałem, leczącym opętanie i zarazem uzdrawiającym z traumy doświadczanej przez tę społeczność”, wspaniałe kolory i przedziwne wtedy uczucie – musiałam mieć przykrytą głowę.

Sidi meli już nie ma. Wokół grobowca talibowie założyli swoje seminaria.

Sindh (i parę słów o adźraku)

W Karaczi spędzam dni w zakratowanych pokojach i przestrzeniach okolonych murami. Gdy wychodzimy, piękna nie brakuje – zwłaszcza na początku, gdy wszystko wydaje się egzotyczne i przyciąga wzrok. Ale brzydota jest jeszcze więcej. Bywają dni, gdy Karaczi wydaje mi się wyjątkowo paskudne i śmierdzące. Czasem jedyny piękny widok w zasięgu wzroku to kilka kolorowych ubrań, które suszą się na odrapanym balkonie sąsiadów i układają w niezwykle, pełny energii wzór. Albo czyjeś ruchy, strój, ornament, napis, warzywa malowniczo ułożone na wózku.

Parę godzin drogi przez Sindh zaspokaja mój głód piękna. Droga prowadzi przez piaszczysty teren porośnięty krzakami, palmami, sadami guawy, przez równiutkie prostokątne pola ryżu, bawełny, bananowców, warzyw. Niektóre są zatopione w wodzie. Jedziemy też przez góry, które ludzie tu nazywają pagórkami. Kurz i mgła sprawiają, że wszystko wydaje się spowite w niesamowitą poświatę.

Beże, błękity, brązy, a zimą czysta mocna zieleń. Ludzie nareszcie nie stłoczeni jak w Karaczi, wydają się ładniejsi. Błękitne, beżowe, białe i różowe szalwary panów stapiają się z krajobrazem. Kobiety noszą kolorowe, wyszywane lusterkami ubrania, zasłaniają się bardzo starannie, dużo tu też białych pasztuńskich burek. Często niosą na głowach kolorowe worki albo garnki. Poruszają się lekko i zgrabnie. Czasem siedzą skulone w grupie jak stadka kolorowych ptaków.

Sindh ma kilka symboli. Męskie wąsy – nie broda. *Sindhi topi* (wspaniałe kolorowe, wyszywane lusterkami męskie czapeczki) i *adźrak* (kawał materiału w geometryczny wzór). Daje się go gościom w prezencie. Mężczyźni noszą go na ramieniu, żeby pokazać, że są szanowanymi i dumnymi Sindhijczykami. To nie musi być koniecznie adźrak – może być każdy kawałek materiału (żeby nie powiedzieć ścierki). Wszystkie te

symbole są też symbolami politycznymi.

Mieszkać w Karaczi i nie stać się w końcu właścicielem adżraku? To chyba niemożliwe. Przez cztery lata zebrałam kilka – bordowych z czarno-białymi wzorami i bordowo-niebieskich z wzorami.

Pierwszy zarzuciła mi na ramiona staruszka o marchewkowych włosach, z kolczykiem w nosie – mama znajomego w Hajdarabadzie. Pocałowała mnie i zaprosiła na rzeźbioną huśtawkę.

– Weź – powiedział Wasim. – To bardzo stara tradycja.

Zdażyłam część rozdać. Wiszą w polskich pokojach jako zasłonki.

Widziałam adżrakowe torby, zeszyty, kubki, przepiękne szalwar kamizy. Poduszki i pościel. Michał, gdy miał dwa lata, już go rozpoznawał.

– Pan z małpką ma na plecach adżrak! – wołał.

Jedną z ról i funkcji adżraku jest „bycie gościńcem”. Prezentem od gospodarzy dla gościa, symbolicznym włączeniem go do wspólnoty Sindhich. Adżrak to symbol przynależności do tego regionu i nigdy nie nosi się go tylko dla siebie samego/samej.

Z wózkami zaprzęgniętymi w osły można by stworzyć serię kalendarzy. Z maleńkimi meczetami, alamami (szyickimi flagami lub znakami pandża[63] na wysokich słupach), przyrodą, ludźmi.

W miastach też wszystko wygląda brzydko. Stragany przy świątyniach zawsze są podobne. Zabawki, suszone owoce, słodczyce. Bransoletki, pierścionki, *parande* (kolorowe plecione sznurki z lusterkami do wplatania w warkocze). Pierścienie dla mężczyzn. Kolorowe czadory ze złotymi napisami do nabycia koło grobowców. Sindhijskie czapki. Skwierczą smażone pakory i dżalebi, paruje herbata. Z magnetofonów słyhać głos słynnego muzyka Nusrata Fateh Ali Khana. Na plecionych łózkach – ćarpajach – siedzą panowie owinięci kocami i szalami. Często przejeżdża wózek. Mężczyźni, wzorem kobiet, narzucają szal na szalwar kamiz, bo jest zimno. Niektórzy przykrywają twarze i owijają głowy szalami zwiniętymi w turban.

Jhok Sharif

Kobiety siedziały ściśnięte na trawie po obu stronach drogi prowadzącej do altanki, w której przebywali sain i muzycy, otoczeni tłumem mężczyzn. Te w szalwar kamizach i czadorach to muzułmanki. Te w kolorowych spódnicach, w welonach z frędzlami, którymi zakrywały często twarze, z masą plastikowych bransoletek na ramionach – hinduski.

– Słuchaj uważnie! – powiedział znajomy, który mnie tam przyprowadził.
– Tylko słuchaj!

Siadłam z brzegu. Ziemia była zimna. Słysząc *kawwali*, śpiewane dla saina – następcy świętego, Śaha Inajata Śahida, patrona tego miejsca. Następca tkwił nieruchomo na sianie otoczony mężczyznami. Uczniowie potem zabrali to siano jako relikwię. Pod drzewem płakało dziecko. Jakaś kobieta położyła mi rękę na kolanie. Inna, w różowym welonie z gumką i kwiatkiem, w siatkowej czarnej dupatce i z modną torbą, bardzo przeżywała to, co się dzieje. Zamykała oczy, poruszała się w rytm muzyki.

Po kilku minutach zrobił się wokół mnie szum.

– Jaka jest twoja kasta?

Co odpowiedzieć? Czy mam jakąś kastę? A może należę do kasty męża? Kobieta była zdumiona, że nie umiem odpowiedzieć na podstawowe przecież pytanie.

– A jaka jest twoja? – spytałam.

– Bhutto. Jak Benazir! – powiedziała. Narracja o Benazir w Sindzie jest bardziej widoczna niż na przykład o Muhammadzie Ali Jinnahu (ojcu narodu). – Ona była Sindhijką. Inne kasty to Sumro, Pathan (Pasztun), Baloć (Beludża), Khan – podpowiadała mi bezskutecznie.

Zaczęły wypytywać, jak tu przyjechałam, skąd i czy nie tęsknię do domu.

– Co będziecie robiły?

– Odmówimy wspólnie *namaz*. Będziemy powtarzały *Je Alla*. Po maghribie rozejdziemy się do namiotów, a jutro rano jedziemy do domu.

My zostaliśmy, żeby słuchać *kawwali* i jeść *langar* (posiłek w świątyni), w ciszy i powadze, na kolorowych narzutach.

Sehwan

– Zajrzymy do Sehwan – mówi niespodziewanie Wasim. Wracamy ze stanowiska archeologicznego Mohendžo Daro. Zacieram ręce, co tu kryć.

Kto nie czytał o Sehwan? Kto nie oglądał relacji z Sehwan? Czasem nawet

ktoś słyszał o „Mast Kalandar” – transie, w który wpadają ludzie w czasie ursu – albo czytał *Pijanych Bogiem* Maxa Cegielskiego, który opisał między innymi swoje odwiedziny „u Kalandara”. Celem pielgrzymki tysięcy ludzi rocznie jest bowiem znajdujący się w mieście grób Lal Śahbaza – Czerwonego Sokoła – Kalandara, trzynastowiecznego ascety i mistyka.

Mijamy więc stację benzynową – Kalandar CNG. Potem przeraźliwie pościskane brudne miasteczko pełne świeżych warzyw i malowniczych scenek – jak wszędzie. Wreszcie złote kopuły. Robię zdjęcie. W kadr wchodzi słupki, brzydkie stragany, plakaty Pakistan People’s Party, samochody, rusztowania, druty, śmieci, wyliniałe psy, niskie palmy, alamy – szyckie flagi, których w Sindzie jest bardzo dużo, czerwone i zielone czadory. Jest sobota, zwykły dzień. Pełno ludzi. Nad wejściem rozpościera się reklama hotelu Sehwan Divine.

W domu zaglądam na stronę Boskiego Sehwan.

„W sercu miasta, dla pielgrzymów hazrata (Lal Śahbaza Kalandara) i turystów. Od pierwszej chwili zanurzysz się w szalonym świecie fantazji, przyjemności i luksusu trzygwiazdkowych hoteli. To jedyny w Sehwan luksusowy hotel, z luksusowymi pokojami, salą konferencyjną i wspaniałą restauracją podającą dania kuchni pakistańskiej”.

Na dziedzińcu krata z czerwonymi sznurkami, przy niej ludzie. Mężczyzna w turbanie sprzedaje coś w butelkach i plastikowych słojach. Może to słynny olej z grobu Kalandara? Inny pan (na szyi ma korale i plakietki z napisem *je Allah*) podaje mi fioletowy kubek z wodą:

– *Dua ka pani! Dua ka pani!* (woda modlitewna) – namawia.

– W Sehwan jest kamień Kalandara, w kształcie serca. – (Michel Boivin pisze, że w kształcie liścia). – *Galaband* – naszyjnik świętego. Wisi na łańcuchu. Ma energię, *barakat*. Jest przykryty czymś w rodzaju srebrnego termosu. Przez termos przepływa woda, dotyka kamienia i staje się *dua ka pani*. Gdy jesteś chora, pijesz tę wodę, myjesz się nią. Bierzesz ją stąd do domu – tłumaczy Wasim.

O naszyjniku świętego opowiada się historie, które łączą go z wielką historią islamu: ma być częścią zachowanego cudem czarnego kamienia w Khana Kaabie w Mekce, który imam Ali Zajn al-Abidin (syn Husajna, zwany „pochyłym imamem”, *prostrating imam*) przekazywał swoim potomkom. Kalandar miał jako ostatni go odziedziczyć. Inna wersja głosi, że imam Zajn dostał go po bitwie pod Karbalą. Dowódca wrogiej armii Jazydów

kazał mu go zawiesić na szyi, żeby Zajn musiał chodzić stale zgięty. Gdy go uwolniono, *galaband* został porzucony gdzieś w Damaszku i rozpoznała go pewna szlachetna rodzina. Wzięli go do Karbali. A może to zwyczajny kamień, uświęcony tym, że nosił go na szyi Lal Śahbaz? Noszenie ciężkiego kamienia na szyi było tradycją kalandarów (wędrownych sufich, którzy osiągnęli głębokie zjednoczenie z Bogiem). Miało to im pomóc w kontroli nad ciałem, walce z własnym „ja” (*khudi*) i pychą.

Grobowiec jest pełen ludzi. Kupują oleje, bibeloty, pierścionki, obrazki, czadory, wodę, sznurki. Wszystko, co stąd wezmą, nie tylko woda, ma moc, czyli łaskę – *barakat*. Jest tak pięknie – przestrzeń, złoto, biel, błękit, kaligrafie i wzory. Może artysta chciał wyrazić swoją tęsknotę za niebem tak jak artyści w cerkwiach? Siadam z kobietami. Moja sąsiadka ma w nosie ogromne złote koło, inna – złoty kolczyk, jak guzik.

Mazar to przestrzeń dla modlitwy, którą każdy rozumie po swojemu. Chcesz Koran, masz Koran. Chcesz *tasbi*, masz *tasbi*. Nie chcesz niczego, nie musisz mieć nic. Chcesz błogosławieństwo, masz błogosławieństwo. Chcesz posiedzieć w pięknym miejscu i tylko posłuchać, popatrzeć, pomyśleć – proszę bardzo.

Przy grobie świętego wrzeszczy potargana dziewczyna w czarnej sukni, z białą dupatą. Potrząsa głową, rzuca się. Ktoś każe innym odejść o krok. Jest opętana. Wypędzają z niej złego ducha.

Na kratach wiszą czerwone tasiemki i sznurki. Robią je ręcznie, zawsze z wełny, kobiety z Sehwan. Wiele rodzin żyje z wyrobu tych sznurków. Czerwone są Kalandara, czarne – na pamiątkę bitwy pod Karbałą. Mają zapewniać szczęście, zdrowie i bogactwo, a jeśli pobłogosławił je pir albo fakir – moc ochronna rośnie.

Na straganach sto tysięcy drobiazgów, jeszcze ciekawszych niż w Jhok Sharif. Obrazy świętych, głównie Alego (na koniu, z niemowlęciem) i Kalandara. *Sulfi* (gliniane fajki do palenia haszyszu). Suszone owoce. *Gullaki* (skarbonki). Gipsowe ręce złożone do modlitwy. Gipsowe oczy. Plastikowe zabawki, bransoletki, ponoć modlitewne, naszyjniki, świecidełka, paskudne chińskie torebki. Imiona Boga w rozmaitych kombinacjach. Czadory do kładzenia na grób świętego. Jakiś facet niesie żywego kurczaka.

Bhitshah

Brodaty starzec zamiętał dziedziniec wielką miotłą z palmy. Był ubrany na czarno: czarne spodnie, czarna suknia, czarna marynarka, czarny szal. Kolorowe miał tylko sznury koralu i srebrne pierścienie. Zęby czerwone od panu, wiele ich nie zostało.

Potrzebował przerwy. Usiadł na środku dziedzińca i jadł roti. Obok muzycy, z rodzin, które mieszkają w świątyni od setek lat, grali swoje melodie.

Jakiś pan rudy od henny próbował przed nim klęknąć. Dziadek się przesiadł. Pan znów do niego podszedł. Starzec znów się przesiadł. I tak kilka razy. W końcu zaczął wznosić ręce do nieba i wołać:

– Allah, Allah! Bogu oddawaj cześć, a nie mnie!

Koniec sceny. Nie wiem, czy to wyreżyserowany teatr uliczny, czy przypadkowa improwizacja. Wasim mówi, że scenka rozegrała się spontanicznie. Choć czy to właściwie ma znaczenie?

Starzec dyskretnie pilnował też, żeby dzieci spod grobowca nie zabrały Michałowi plastikowego pteranodona. Patrzył na nas przyjaźnie, gdy siedzieliśmy rozanieleni. Gdy wychodziliśmy, lekko się skłonił i uśmiechnął.

– Bo my się wyczuwamy – powiedział Wasim. – Wystarczy spojrzenie.

To jedna z zagadek, których pewnie nigdy nie odgadnę, ale mam dużą satysfakcję, mogąc być świadkiem tej tajemniczej, pogodnej i mądrej relacji z sacrum.

Zaproszenie do islamu

Próbowałam kiedyś pracy w organizacji pozarządowej. Wyglądała na świecką, choć była pełna brodatych pracowników i zasłoniętych pracowniczek – nic szczególnego. To przecież Pakistan. Po kilku miesiącach trafiłam do szefa. Gabinet był zastawiony komputerami i książkami. Szef, mężczyzna po czterdziestce, brodaty i uprzejmy, zapytał:

– To jaka była twoja religia, zanim tu przyjechałaś?

– Chrześcijaństwo, rzymskokatolicka – odpowiedziałam, czując, że pytanie to nie przypadek.

– A teraz?

– Chrześcijaństwo, rzymskokatolicka.

Rozmowa, która się w ten sposób zaczęła, trwała dwie godziny. Zaczęło się od wspólnych punktów w obu religiach i szacunku, jakim muzułmanie

darzą Jezusa – hazrata Isę.

– Niestety, prawdziwych muzułmanów w pakistańskim społeczeństwie jest bardzo niewiele. Niby każdy jest muzułmaninem, ale to złudzenie – powiedział szef.

– Długo nie byłem prawdziwym muzułmaninem. Uczyłem się w Indiach. Gdy tu przyjechałem, nie umiałem czytać w urdu. Nie byłem religijny. Religia to była dla mnie forma bez treści. Tradycja. Mój wujek podarował mi *Kuran Śarif* (Szlachetny Koran, sposób określania Koranu z szacunkiem) z przekładem na angielski. To był przełom w moim życiu. Zacząłem czytać i rozumieć. Koran jest stuprocentowo zgodny z nauką, choć Bóg objawił go tysiąc czterysta lat temu. To mnie zdumiało!

Szef zrobił mi następujące zestawienie.

Koran mówi: pij przed jedzeniem. Nauka mówi: pij przed jedzeniem, nie po jedzeniu.

Koran mówi: nie jedz między posiłkami! Nauka mówi: nie jedz między posiłkami.

Koran mówi: nie jedz wieprzowiny! Badania dowodzą, że wieprzowina jest szkodliwa dla zdrowia.

Koran mówi: nie pij alkoholu! Nauka – alkohol jest szkodliwy.

Koran (lub hadisy? W każdym razie źródła religijne) mówi: śpij na prawym boku! Nauka to potwierdza: nie uciskasz wtedy serca.

Koran mówi: śpij z podgiętymi nogami! Nauka mówi: zmniejszasz ryzyko paraliżu.

Koran mówi: lichwa jest zła! Nauka mówi: system banków jest odpowiedzialny za światowy kryzys.

Koran mówi: rano módl się czterema rakat[64], wieczorem siedemnastoma! Nauka mówi: nie ćwicz rano, tylko wieczorem. Nie powiedziałam mu, że moja terapeutka, której rady są dla mnie wciąż bardzo cenne, wyznawała pogląd, że należy ćwiczyć rano, a wieczorem się wyciszać.

Koran i hadisy mówią, jak robić *wazu*. Nauka dowodzi, że takie ruchy pomagają w walce z nadciśnieniem.

Koran mówi: jedz i pij na siedząco! Nauka mówi: dwadzieścia pięć procent twojego żołądka powinno być puste, nie przejadaj się.

Koran mówi: jedz palcami! Nauka mówi, że palce, gdy się je, wydzielają enzymy (użył słowa *juices*), które pomagają w trawieniu. Jedzenie sztuczkami omija ten ważny wstępny etap trawienny.

Koran mówi: kobieta ma przykrywać kostki, mężczyzna – odkrywać. Nauka mówi: gdy kobieta odkrywa kostki, choruje na choroby kobiece, mężczyzna z odkrytymi kostkami zyskuje zdrowie i animusz.

Koran mówi: góry są filarami ziemi i powinny pozostać nietknięte. Nauka mówi: ludzie robią tunele w górach i to może być przyczyną tyłu trzęsień ziemi!

Koran mówi, że ziemia ma kształt jajka. Nauka to odkryła.

– Autorem życia jest Bóg. Tylko twórca może napisać instrukcję tego, co stworzył. Tylko twórca monitora może napisać właściwą instrukcję jak się obchodzić z monitorem, ostrzec, żeby nie kopać, nie ślinić. Tak samo jest z życiem. Jako użytkownik możesz tylko się domyślać metodą prób i błędów. Stracisz życie, które trwa krótko, na szukanie właściwej drogi. Jeśli żyjesz tak, jak mówi ci Koran napisany przez Twórcę, i nim się kierujesz w życiowych wyborach, unikasz mnóstwa niepotrzebnych problemów. Znajdziesz tam instrukcje dotyczące codziennych drobiazgów i poważnych decyzji.

Opowiadał o rozczarowanych religią mieszkańcach Zachodu, którzy przyjęli islam.

– Nie mówimy, że się „nawrócili na islam”, tylko że „wrócili do islamu” – zastrzegł. – Człowiek rodzi się muzułmaninem, potem wiadomo, że bywa różnie. Zdarza się, że odejdzie od swojego prawdziwego ja, zaprojektowanego przez Boga. Gdy przyjmuje islam, to tak, jakby wrócił do domu.

Pewna dziewczyna ze Szwajcarii tak właśnie „powróciła” i wyszła w Pakistanie za mąż za muzułmanina. Była bardzo pobożna. Nosiła nikab, modliła się, czytała Koran, przestrzegała zasad. Jej mąż był „odmeczetowionym”[65] muzułmaninem, jakich tu wielu. Nie jadł wieprzowiny, ale lubił po kryjomu wypić alkohol. Nie chciał, żeby żona przykrywała twarz. Modlił się sporadycznie. Zabijał kozę na święta. Wreszcie rozwiódł się z żoną, bo miał dosyć jej pobożności. Szwajcarka przyszła do szefa z płaczem. „Wyszłam za muzułmanina, a on się ze mną rozwiódł, bo chciałam, żeby był dobrym muzułmaninem!” – szlochała. Pojechała potem do Bangkoku i poślubiła Taja, chrześcijanina, który później też „powrócił do islamu”.

Inna chrześcijanka przyjęła islam kilka lat po ślubie z muzułmaninem. Pewnego dnia jej mąż znalazł w garażu Biblię.

– Dlaczego ta Biblia jest w garażu? – zapytał.

– Nie potrzebuję już tej książki – odpowiedziała. – Wszystko znalazłam w Koranie.

– Ale to jest święta księga. Objawiona. Nie wolno nią poniewierać. Jesteś muzułmanką, masz ją szanować! Daj ją komuś, kto jest wierzącym chrześcijaninem!

Ktoś w Japonii znalazł kawałek kartki, a na nim piękny wzór. Człowiek schował kartkę do kieszeni i zaczął pokazywać znajomym. Ktoś inny powiedział mu: to nie wzór. To litery. Mój sąsiad ma książki z takim samym pismem. Jeśli chcesz, pokażę mu tę kartkę. Sąsiad był muzułmaninem, a na kartce był fragment Koranu o tym, że ziemia ma kształt jajka. Japończyk dowiedział się, że ten fragment pochodzi sprzed tysiąca czterystu lat, i nie mógł uwierzyć, bo przecież to było odkrycie znacznie późniejsze. Po jakimś czasie także on „powrócił do islamu”.

Bóg nie może mieć krewnych. Chrześcijanie jednak uważają, że Jezus jest Synem Boga. Dlaczego Bóg się rozmnożył? Czy gdyby Jezus miał dziecko, to Bóg miałby wnuka?

Gdzie był Bóg, gdy wysłał Jezusa na ziemię? W niebie czy na ziemi? Czy było wtedy dwóch Bogów?

Dlaczego gdy Jezus umarł na krzyżu, nie nastąpił koniec świata? Gdy Bóg umiera, powinno się coś takiego wydarzyć.

Dlaczego Bóg miałby stać się człowiekiem? Czy żeby czegoś nauczyć dzieci, sam muszę stać się dzieckiem?

– Czy żeby nauczyć czegoś te ciastka – szef wskazał ciastka na talerzyku – muszę stać się ciastkiem i przełamać się na pół? Dlaczego tak chciał? I o co chodzi z tym braniem ich win na siebie?

– Dlaczego w Biblii jest tyle sprzeczności?

Pytał też o świętego Pawła, który jakoby jest odpowiedzialny za podział chrześcijaństwa, i o przekłady Biblii.

Jak umiałam, tak odpowiadałam. Może dla niego to nielogiczne, mnie przekonuje. Wielu ludzi na Zachodzie by się z nim zgodziło i dodało mnóstwo innych pytań. Mówiłam o wcieleniu Boga, o tym, że w islamie człowiek rodzi się czysty i bez grzechu, a chrześcijanie wierzą w grzech pierworodny i można długo rozważać konsekwencje obu podejść. O czci i ufności, o moim zdumieniu i jak mnie ten system wartości, oparty na absurdach, trzyma przy życiu.

W końcu szef się trochę zawahał.

– Zwykle gdy spotykałem ludzi z Zachodu, nie umieli długo rozmawiać na te tematy.

Dał mi kolejny przykład. Są dwie osoby i jest klub. Dwie osoby tak samo bogate, dobre, mądre, odpowiednio ubrane, spełniają wszystkie warunki. Ale tylko jedna ma bilet. Tylko jedna znajdzie się w Raju. I nie wiemy, która to będzie. Kto z nas ma bilet? Albo on zostanie chrześcijaninem, albo ja muzułmanką.

Mówił też o Żydach, którzy chcą skłócić muzułmanów i chrześcijan, i o *Protokołach Mędrców Syjonu* – niezbitym dowodzie na prawdziwość tej tezy.

Na koniec dostałam Koran – *The Noble Quran* wydany w Medynie, nakładem Endowment for Allah Sake from the Custodian of the Two Holy Mosques King Abdullah Ibn Abd al-Aziz Al Saed NOT FOR SALE (autorem przekładu jest Muhammad Taqi-ud Din Al Hilali, Muhammad Muhsin Khan). Tłumaczeń Koranu jest bardzo dużo, a to uchodzi za „salafickie” (jest więc krytykowane na Zachodzie). Jest bardzo popularne.

– Proszę, czytaj dziennie dwie strony. Weź dwa markery, jednym zaznaczaj, z czym się zgadzasz, drugim, gdzie masz wątpliwości albo nie rozumiesz. Podaruj mi Ewangelię, zrobię to samo. Możemy się spotykać co tydzień i rozmawiać o naszych wątpliwościach – dodał pan dyrektor. Jednak więcej się nie spotkaliśmy.

Bez pytania o religię się nie obejdzie

Na ulicy, na klatce schodowej, w sklepie, w parku, u sąsiadów i znajomych, na weselu, w kolejce u fryzjera, podczas lekcji gotowania i wykwintnego bankietu. Także w rodzinie, choć moja rodzina została uprzedzona, że ma ten temat poruszać z największą delikatnością, a najlepiej wcale. Jednak to, o czym nie mówimy, i tak między nami istnieje. Czasem rośnie jak wielka gula w naszych gardłach.

– Czy jesteś muzułmanką? *Are you Muslim? Ap musliman he?*

Karmiłam Michała w szpitalnym pokoju dla matek z dziećmi. Obok mnie siedziała z niemowlęciem inna dość młoda mama.

– Czy jesteś Rosjanką? Jak ci się żyje w Pakistanie? Jestem lekarką. Bywałam nieraz w Anglii. W hrabstwie Yorkshire – zaczęła. Mówiliśmy

o pogodzie, Europie, języku, tęsknocie, internecie, który trochę osładza rozłąkę. Uśmiechała się życzliwie, pięknie mówiła po angielsku. W końcu zadała sakramentalne pytanie. – Czy przeszłaś już na islam?

– Nie. Jasne, że dużo jest między naszymi religiami różnic, ale w wielu punktach chrześcijaństwo i islam się przecież zgadzają, często stoimy po tej samej stronie barykady, nie sądzisz? Czy nie nazywacie nas ludźmi Księgi? A może wystarczy kierować się miłością i czcią do Boga i postępować wobec ludzi tak, jak chcielibyśmy, żeby oni postępowali w stosunku do nas, żeby móc razem coś robić i żyć obok siebie? – Miałam jeszcze siłę i chęć do rozmów o religii, więc mówiłam dużo.

– Mam przeczucie – powiedziała, nie odnosząc się w ogóle do moich słów. – Coś mi wewnątrz mówi, głos, może intuicja? Tak czuję! Czuję, że kiedyś z własnej woli przyjmiesz islam. To będzie twoja świadoma decyzja.

– Za nawrócenie kogoś, kto nie poznał jeszcze islamu, dostaną się do raju. Tak myślą – śmieje się Rihanna, żona kolegi, której opowiedziałam tę historię.

– To ich obowiązek – opowiada znajoma nauczycielka – Tak są uczeni. Mają głosić islam. I głoszą, jak potrafią. Moja koleżanka, chrześcijanka, zaczęła pracować w szkole. Powiedziała, że nauczyciele przy każdej okazji podchodzili do niej i mówili: muszę cię zaprosić do islamu! Przyjmij islam z otwartymi ramionami (*embrace Islam*). Przyszli chyba wszyscy.

– Przyjmij islam! – powiedziała mi inna mama w *family room*. Znała słabo angielski. – Islam jest bardzo dobry!

Może chcą dobrze nie tylko dla siebie, ale i dla mnie? Chcą się ze mną podzielić tym, co w ich życiu naprawdę najlepsze? Nie znam powodów. Czuję tylko, że to, jaką religię wyznaję, bywa dla mojego otoczenia kluczowe.

Świeżo poślubiona mężatka składa dziesiątki wizyt. Poszliśmy odwiedzić kuzynkę Rihanę w Malirze.

Kuzynka pracuje w szkole. Jest nauczycielką matematyki z niemałym stażem.

Była zasłonięta od stóp do głów, oczy miała skryte za okularami, twarz za nikabem, który w domu zdjęła. Usiedliśmy w pokoju. Podała nam szklanę wody. Uśmiechała się uprzejmie. Rozmawiała z Wasimem.

– Nawróciłeś ją?

– Nie. Jest chrześcijanką.

– Aha, czyli później zmieni religię?

– Nie zmieni.

Cisza, która wtedy zapadła, łamała wszystkie zasady kurtuazji. Kuzynka naprawdę nie wiedziała, co powiedzieć. Patrzyła w podłogę i milczała. Milczeliśmy Wasim i ja. Nie wiem, jak długo, ale pół minuty w tej sytuacji trwało w nieskończoność. Poczułam się winna. Intruz! Zburzyłam świat tej nieznaney kobiety – samą swoją obecnością.

W końcu się otrząsnęła i zmieniła temat. Zaprosiła białobrodego bosego męża w białym szalwar kamizie i szydełkowej białej czapeczce *topi*. Na pożegnanie wyszcypała mnie po policzku. Gdy w czasie świąt odwiedziłam ją i jej chorą mamę, całowała mnie i prosiła o modlitwę. Ale ta pierwsza chwila ciszy na długo zapadła mi w pamięć.

Jestem u sąsiadki. Nie pytała, uff. Słysząc azan.

– Odmówimy razem *namaz*? – proponuje przyjaźnie sąsiadka. Dukam, że muszę iść do domu. Zupełnie nie mam ochoty tłumaczyć wszystkim nieznanym osobom, że się z nimi nie pomodłę i dlaczego.

Martha, brytyjska *gori* podczas pytań o islam zwyczajnie kamienieje i traci mowę. Uśmiecha się lodowato. Zdaje sobie sprawę, że prawdopodobnie jedna rozmowa nie zmieni czyjegoś myślenia. Ten ktoś i tak wie swoje – na przykład że Trójca Święta to Bóg, Jezus i Maryja, jak jeden z kolegów Wasima. Więc *gori* przestaje rozumieć.

Nikogo nigdy nie nawróciłam. Nie zapraszam wprost do chrześcijaństwa. Rzadko mówię o swojej wierze niepytana, choć to też najważniejsze w moim życiu. Nie namawiam, nie przekonuję uparcie. Może jest w tym szacunek dla cudzych przekonań, tolerancja, pragnienie akceptacji człowieka takim, jaki jest – wzniosłe hasła. Ale moja religia również zachęca do głoszenia. Ile w moim milczeniu jest nieśmiałości, pragnienia przypodobania się, niechęci do konfliktowych i trudnych sytuacji? Lęku przed reakcją? Bo może ktoś nazwie mnie fanatyczką? Nawiedzoną dewotką? Śmieszoną dziwaczką? Wytknie mi sytuację, gdy zachowałam się wbrew temu, co głoszę?

Oni jakoś sobie z tym radzą. Mają odwagę. Opinia innych jest dla nich mniej ważna niż posłuszeństwo Bogu.

Stopniowo traciłam siły do rozmów o religii. Stawało się oczywiste, że pytanie o moją relację do islamu padnie i zmieni bieg każdej miło zapowiadającej się rozmowy. Chwilą zatrzymania, niepewności, konfrontacji, wahania. Czymś nieprzyjemnym, może ryzykownym. Będzie budziło we

mnie chęć obrony i wycofania, lęk i nieufność. W końcu – mieszanekę rezygnacji, smutku, agresji. Stałam się uprzedzona i podejrzliwa – a miałam nadzieję, że nigdy nie będę tak reagować. Cokolwiek powiem o religii, może być uznane za bluźnierstwo. Lepiej milczeć i szukać innych punktów porozumienia.

Flaga Pakistanu jest zielona, z białym półksiężycem i gwiazdą, jednak jest też na niej biały pas – symbol niemuzułmańskich mniejszości, których w chwili powstania państwa było znacznie więcej niż teraz.

Jesteście wolni. Możecie swobodnie iść do swoich świątyń, swoich meczetów i wszystkich innych miejsc kultu w Pakistanie. Możecie należeć do każdej religii, kasty albo wierzenia, państwu nic do tego. [...] Żyjemy w erze bez dyskryminacji, podziałów między społecznościami, dyskryminacji pomiędzy jedną kastą czy wiarą a inną. Zaczynamy od fundamentalnej zasady, że wszyscy jesteśmy obywatelami, równymi obywatelami jednego Państwa.

To słynny cytat z przemówienia, które Muhammad Ali Jinnah, ojciec narodu, pierwszy prezydent Pakistanu, wygłosił do Konstytuanty trzy dni przed ogłoszeniem powstania nowego państwa (11 sierpnia 1947). W podręcznikach bywa przeinaczany lub skracany, nadaje się za to świetnie do pokazywania cudzoziemcom. Słowa Jinnaha nie podobały się już współczesnym, którzy ponoć robili wszystko, żeby przemówienia nie przedrukowano w gazetach z tych dni. Taśma z nagraniem zniknęła[66]. Czasem ktoś powie, że Kaid-e-Azam (ten przydomek oznacza „Wielkiego Przywódcę”) był brytyjskim czy nawet żydowskim agentem. Żadnym muzułmaninem! Pochodził z rodziny ismailickiej, potem dołączył do szyickiej społeczności Isna Aśari. Nie brakuje też takich, dla których szyici to niewierni i będą twierdzili, że Jinnah był sunnitą.

W Islamabadzie poznałam Uzme. Jest Pakistanką, ale przypadkiem łączy nas sporo. Też wyszła za mąż poza swoją społecznością, za Pasztuna. Rodzina męża to dla niej inny świat. Jest dla nich za nowoczesna.

– I jak cię pytają, mówisz prawdę? Że jesteś chrześcijanką? – Uzma jest przerażona. – Narażasz życie! Swoje, swojej rodziny! Dlaczego nie nauczysz się modlić jak muzułmanka? Jeśli mówisz szahadę bez wiary, to nie stajesz się muzułmanką. Naucz się robić *wazu* i *rakat*. Jeśli ktoś cię zaprosi do *namaz*, módl się po swojemu. Albo mów, że właśnie masz okres i nie możesz się modlić.

Pewnie ma rację. Tak byłoby bezpieczniej. Tylko czy tego chcę? Nie mogę się na to zdobyć.

W drugiej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku w Pakistanie bywa dziwnie i niezrozumiale. Niby jest wolność – ograniczona, ale jest. Czasem tylko wydaje się, że lepiej, żeby innych nie było, żeby pozostawali obcy i się mylili. Pakistańskie podręczniki i przekazywane w nich wizje świata budzą protesty, mimo to niewiele się zmienia na lepsze.

Pokazałam na Facebooku zdjęcia z hinduskiego święta Holi w Karaczi.

Ktoś z Polski skomentował: „To w Pakistanie ludzie świętują Holi?”. Kilkunastoletnia córka mojej szwagierki, świetna uczennica dobrej szkoły, odpowiedziała mu: „To nie Pakistańczycy! To Hindusi!”.

Znajoma Belgijka uczyła przez kilka miesięcy w jednej z elitarnych szkół w Karaczi. Kilkanaście tysięcy dolarów rocznie czesnego. Uczą się tam prawie wyłącznie pakistańskie dzieci. Większość kadry to cudzoziemcy, jest kilka nauczycielek z Pakistanu, chrześcijanek.

– Naprawdę jesteś chrześcijanką? – zapytał kiedyś uczeń którąś z nich. Odpowiedziała, że tak.

– Moja mama mówi, że będziesz się smażyć w piekle! – powiedział ten sam chłopiec następnego dnia.

Ale to nie cała rzeczywistość. Może mój status nie jest zbyt jasny, ale mam przecież z kim posiedzieć i pogadać. Może za bardzo się zamknęłam?

– Dlaczego tak rzadko wychodzisz? – czasem pyta ktoś z sąsiadów. Zaprosili mnie na ślub córki, w czasie imprezy dbali o mnie bardzo.

Moja muzułmańska przyjaciółka podarowała mi na Wielkanoc jajko z cukru. Odwiedzamy się, gdy możemy.

– Pracujemy w mieszanym środowisku – opowiada chrześcijańska nauczycielka. – Obchodzimy z uczniami święta chrześcijańskie i muzułmańskie. Mieszane klasy – wspólnie. Przygotowujemy obchody razem. Nie ma święta bardziej i mniej ważnego. Pomagamy sobie świętować, jedni drugim. Podczas ramadanu postawiliśmy skarbonki w klasach, przed Idem razem je rozbijaliśmy i kupowaliśmy rzeczy dla potrzebujących. Tak samo robimy w Wielkim Poście. W Pakistanie nacisk kładzie się na aspekt rytualny religii, a etycznemu poświęca się mniej uwagi. Rodzice cenią naszą szkołę, bo dbamy o etykę. Masz być też dobrym, wrażliwym człowiekiem, nie tylko wypełniać rytuały. Widzieć tego, kto jest obok ciebie. Przecież tego

uczy cię twoja religia.

Miłość i szacunek, bez których życie staje się nieznośne, to konkrety. Prosta sprawa. Kochać drugiego (choć brzmi to górnolotnie) takim, jaki jest.

– Dziś poszczę – mówię w domu w Wielkim Poście. Żeby się nie martwili, gdy nie jem.

Wieczorem teściowa obrała dla mnie kartofle.

– Zjedz coś! – powiedziała.

– Odpocznij – powtarza teść co parę godzin.

– Zrobiłam ci obrazki na Boże Narodzenie! – Asma przynosi cztery karteczki: Mikołaj, bałwanek, choinka i renifer.

Niedziela. Wasima bolą plecy.

– Zostańmy w domu – mówię. – Odpocznij. Poszukam mszy w internecie.

– Nie. Zrób mi tylko herbaty – słyszę. – Kościół dobrze na ciebie wpływa.

– Jestem pielęgniarzem – opowiada ktoś. – Kiedyś w naszym szpitalu leżał imam. Chciał się pomodlić. Poprosił, żebym mu przygotował wszystko do modlitwy. Przygotowałem z największą miłością i starannością, z jaką umiałem. Jasne, że to moja praca, ale mogłem poprosić kogoś innego. Jestem chrześcijaninem. Imam dowiedział się o tym potem. Powiedział, że jest wspaniale przygotowane, i podziękował.

Masihi

Strome schody: modlić się w urdu i dołączyć do wspólnot

Modlitwa Pańska – Ojcze Nasz (każda linijka to jedna fraza)

E hamare Bap

Tu dżo asman par he

Tera naam pak mana dżae

Teri badśahi he

Teri marzi dżese asman par/ puri hoti he

Zamin par bhi ho.

Hamare roz ki roti adź hamę de

Or dżis tara ham apne karzdarę ko bakhśte he

Tu hamare karz hamę bakhś.

Or hame Azmeiś me / na parne de

Balki burai se baća, amin.

Pozdrowienie Anielskie – Zdrowaś Mario

Salam e Mariam, pur fazal

Khudawand tere saath he

Tu ortę me se mubarik he,

or mubarik he tere pet ka phal Jesu.

E mokadsa Mariam

Khuda ki Ma,

ham Gunegarę ke waste dua kar

ab or hamari mot ke wakt, amin.

Wciąż nie umiem wypowiedzieć z pamięci wszystkich części mszalnych

w urdu.

Najpierw musiałam nauczyć się trzech zdań: *Khudawand ka šukr ho* – Bogu niech będą dzięki, *Ap ke sath bhi ho* – w miejscu „I z Duchem Twoim” (dosłownie: I niech będzie też z Tobą) i *E Khudawand hamari dua sun* – wysłuchaj nas, Panie.

I porzucić polski drętwy parafialny styl wtopienia się w tło.

Mężczyzna zakłada wykrochmaloną koszulę, eleganckie spodnie i wypastowane na błysk półbuty. Siada z tyłu kościoła. Kobieta często siada z przodu albo z lewej czy prawej strony, ale zawsze innej niż mężczyźni. I ubiera się jak najbardziej kolorowo. Pani, która siedzi obok mnie, zdjęła klapki. Porusza palcami u stóp. Mówi i śpiewa pełnym głosem, a przy muzyce (tabla, harmonium, klawisze) klaszcze, podryguje i klepie się po udach. Nie wstydy się, że będzie ją słyszeć. Gdy ksiądz o coś pyta, ona odpowiada – głośno! Tak jak inne kobiety.

Na mszach w urdu wchodzę w kolorowy tłum w szalwar kamizach błyszczących od złocien i cekinów. Też mam szalwar kamiz. I jestem nie dość, że biała, to jeszcze blond. W kościele nie trzeba szczelnie przykrywać włosów.

– A gdyby tak malować włosy na czarno? – rozważałam nieraz, załamana. Nawet w Polsce nie lubiałam, gdy ktoś na mnie patrzy. Życie w Karaczi to dla mnie niesamowita, ale i wyczerpująca walka z nieśmiałością – Co ty na to, Wasim?

– Będzie cię jeszcze bardziej widać – zgasił mój zapal.

Taki los. Z każdej strony kościoła widzę wlepione we mnie oczy dzieci.

– *Kaha se aji?* (Skąd pani przyjechała?) – pytają. – *Kab wapas džaengi?* (Kiedy pani wróci do siebie?)

Na goańskich mszach anglojęzycznych też się wyróżniam. Tyle że tu rzadko mnie ktokolwiek zaczepia. Jestem biała i przyszedłam w szalwar kamizie. Z wielką dupatą, jak stara babcia! Niektóre starsze panie wyglądają wypisz-wymaluj jak polskie pobożne starsze panie. Mają trwałe *à la* kalafior, spódnice do pół łydki i żakiety, ewentualnie sukienki i sweterki. Kobiety w moim wieku przychodzą w sukienkach pin-up, obcisłych bluzkach bez rękawów, z dekolcami do połowy pleców, spodniach rurkach, spódnicach każdej długości, bez dupatty albo z dupatą wyłącznie dla stylu (na przykład: dzinsy rurki, koszulka z jednym ramiączkiem – i dupatta), w szpilkach.

Chłopaki w bojówkach, z dreadami do ramion. Odkryte damskie łydki, tak wstrząsające gdzie indziej, tu nie szokują. Szalwar kamiz na mszy świadczy albo o niskim pochodzeniu, albo o poddaniu się presji społecznej. O kompromisie, na który widocznie musiałam pójść, skoro tak się ubrałam.

Do kościoła przyjeżdżają samochodami albo, jeśli mieszkają w pobliżu, przychodzą piechotą. Są tutaj od bardzo dawna – ich przodkowie przyczynili się do świetności „starego Karaczi”, którego ślady można dziś tropić niestety trochę podobnie do śladów zburzonej przedwojennej Warszawy. Ich pradziadowie przybyli do Karaczi już jako chrześcijanie. Nazywają się D’Souza, Fernandez, Rodrigues, Cruz, Diaz, De Mello, Alvarez, Almeida. Są nauczycielami, pracują w dużych firmach, bo mówią pięknie po angielsku. Mieszkają w starych dzielnicach wybudowanych przez Brytyjczyków, w okolicach katedry i nad morzem, część na północy miasta – w North Nazimabad. Pięknie śpiewają, mają własne tradycje i potrawy inne niż reszta. Czasem, choć rzadko, wciąż modlą się w niezwykle brzmiącym języku konkani. Szczycą się, że budowali Karaczi i przyczynili się do jego świetności. W obliczu zupełnie szaleńczego rozrostu i zbrzydnięcia miasta robią, co mogą, żeby zachować godność i odrębność.

Dlaczego nie powieszisz krzyża?

– U was nie ma chrześcijan! – mówiłam Wasimowi, gdy przekonywał mnie do zamieszkania w Karaczi. – Albo są bardzo daleko! Może będę miała dwie godziny drogi do najbliższego kościoła! A może pięć? Jak na Syberii? O, nie. Nie ma mowy, żebym tam mieszkała! Wybij to sobie z głowy!

– Daleko? To skąd mam dobrego kolegę metodystę? Ile razy byłem u nich w domu na Bożym Narodzeniu!

– Nie mogę chodzić do metodystów!

– Twoi katolicy też są. Sama zobaczysz. Jak mam ci to wytłumaczyć? Zobaczysz!

O religię bałam się najbardziej. Sprawa Asi Bibi miała się dopiero rozpocząć, ale z Pakistanu dobiegały niepokojące wieści. Samo to, że znajduje się wśród trzech procent niewyznających islamu mieszkańców kraju, nie napawało optymizmem.

Czy kościoły są łatwo dostępne? Bezpieczne? Jakie są?

Asia Bibi, Rimsha Masih, pielęgniarki, które prawdopodobnie próbowano

otruć, bo są chrześcijankami, masakra w mieście Gojra (Godźra), spalenie chrześcijańskiego osiedla Badami Bagh w Lahore, wybuch w kościele w Youhanabad (Juhanabad), zabita szwedzka misjonarka, chrześcijanki w Kasur zmuszone do przejścia nago po wiosce, spalone młode małżeństwo w Pendzabie, setki wiadomości o porwanych chrześcijankach i hinduistkach zmuszonych do ślubu i konwersji. Zachodnie media informują tylko o ułamku.

Wzięłam małą Biblię Tysiąclecia, *Dzienniczek* Faustyny Kowalskiej, *Pustynię* Katarzyny De Hueck Doherty. Różaniec i mały krzyż franciszkański (bizantyjski), z San Damiano. Nie liczyłam, że je umieszczę gdzieś na widoku. Muzułmanie nie lubią znaku krzyża, wiele razy to słyszałam. Śmierć Jezusa na krzyżu uznają za haniebną. Nie chciałam ich obrazić.

– Kiedyś w Anglii mieszkałem w hostelu metodystów. Na ścianach w pokojach były krzyże. Dlaczego nie powiesiłaś krzyża na ścianie w swoim pokoju? – zapytał mnie po paru dniach teść.

– Bałam się, że to może was urazić.

– Co? Dlaczego? To jest też twój dom!

Jak mu wytłumaczyć, że krzyż w widocznym miejscu – nie tylko publicznym – czasem budzi protest nawet w moim kraju? Pozostawił mnie z opadniętą szczęką, w radosnym oszołomieniu.

Mama odkłada dla mnie w piątki trochę warzyw czy ryżu – w piątki muzulmanie jedzą uroczyściej, a zatem więcej mięsa. Gdy byłam gościem, uprzejmie pytali też, jak było w kościele, co ksiądz mówił, prosili o modlitwę. Zadawali dużo pytań. Dlaczego katolicy spowiadają się u księdza? Dlaczego Jezus jest Synem Boga? Czy to prawda, że chrześcijanie piją krew Boga? Dali mi się wypowiedzieć. Potem przestali pytać.

– Zawsze byliśmy trochę inni – mówią.

W Indiach, w stanie Bihar wciąż działa suficka khanka (zapisywane *khanqah*), której przywódcą duchowym (*sudżada naśin*) jest brat cioteczny mojego teścia. Wasim jest z tego dumny.

– Khanka to meczet, szkoła, biblioteka, ogród, hotel – wyjaśnił mi Wasim.

Badacze sugerują wiele możliwych etymologii tego słowa, często wskazując na jego perskie pochodzenie i znaczenie „miejsca pobytu”, a

czasem na to, że do budowy khanki używano słomy. Khanka jest miejscem przeznaczonym na spotkania sufickiego bractwa, modlitwę i duchową odnowę, a także schronieniem dla podróżnych zainteresowanych duchowością.

Ktoś z rodziny Wasima był znanym w swoich kręgach teologiem, inny – poetą i dramaturgiem. Noszą skomplikowane imiona, które rodzina w Pakistanie porzuciła – a szkoda, bo nazwisko rodowe brzmi melodyjnie i ładnie.

– Nie nosimy go, bo to zobowiązuje! – tłumaczy Wasim. Podczas jakiegoś spotkania nowo poznany znajomy kłania się Wasimowi do stóp. O kurczę, myślę.

– Co się stało? Kto to był? – pytam potem.

– Jego rodzina mieszkała w khance w Patnie w Biharze. Byli poddanymi wujka – wyjaśnia, mając na myśli ciotecznego dziadka.

Lubią dziewiętnastowiecznego poetę urdu Mirzę Ghalibę i sufickiego pendzabskiego poetę Babę Bhulle Śaha. Ich relacja z *sacrum* jest dla mnie zagadkowa. Ważna, ale dyskretna. Może najważniejsza w życiu. Chodzą do miejsc świętych, ale niezbyt często. Nie otaczają się mnóstwem świętych przedmiotów. Dużo się modlą, czasem wstają w nocy na modlitwy i poszczą. Palą kadzidła. Bywają trochę zabawni – na przykład czasem w piątek któryś z panów skropi się perfumami tak, że odstrasza chyba wszystko, co żyje. Czytają książki religijne w urdu. Pewna część rodziny porzuciła stare tradycje na rzecz saudyjskiej wersji odnowy islamu. Wasim na szczęście nie kąpie się w perfumach. Jego postawa wobec świata wydaje mi się niezwykle chrześcijańska – choć zdecydowanie jest muzułmaninem. To wielka rzadkość. Ponoć tacy właśnie są sufici.

***Kalisia* znaczy kościół**

Uzbrojona brodata i wąsata ochrona w Pakistanie jest właściwie wszędzie. Także przy kościołach, których w Karaczi jest wiele. Od niedawna ochrony jest więcej, zwłaszcza w niedziele i święta.

– Wzmocniliśmy siły po ataku w Peszawarze – tłumaczą. – I po ataku w Youhanabad – dodają.

Kościół otaczają się też, niestety, grubymi murami ze zwojami drutów kolczastych. Wasim zawiózł mnie najpierw do czerwonej katedry Świętego

Patryka, z białym posągami anioła na placu. Ta katedra jest na każdej pocztówce z Karaczi. Byłam w szoku, że msze odprawia się czasem na powietrzu, że przed mszą biją dzwony, że czasem procesje wychodzą na najbliższe ulice. Oczekiwałam chyba jakichś katakumb, spotkań po domach, modłów za zasłonami – mniej więcej tak jak w Związku Radzieckim. W Pakistanie ograniczenie wolności wyznania ma inne oblicze. To prawda, że meczety mają znacznie lepsze nagłośnienie niż kościoły. Często w czasie azanu nie słyszymy czytań mszalnych. O wystąpieniu z wykładem religijnym poza kościołem ani o promocji chrześcijańskiej książki nie ma co marzyć.

– A gdybym tak urządziła wieczór pieśni pasyjnych pod blokiem? – podpuszczam Wasima, zainspirowana niosącymi się po naszych ulicach natami i opłakiwaniami bitwy pod Karbalą. – No wiesz, tak jak oni. Rozłożylibyśmy obrusy na chodniku, wypożyczylibyśmy krzesła i namiot, nagłośnienie, mamy sto metrów do wypożyczalni... Zaprosiłabym koleżanki!

– Taaa. Kazaliby ci się natychmiast wynosić!

Wiza misyjna przekreśla możliwość pracy w „instytucjach świeckich”, wyznawanie religii mniejszości może też mocno utrudnić życie. Religię wpisuje się do paszportu. Jednak choć życie nie jest łatwe, to pakistańskie parafie sprawiają na ogół wrażenie zatłoczonych, pełnych życia i kolorów.

Podchodzili do mnie ludzie.

– Co tu robisz?

– Wychodzę za mąż.

– Za chrześcijanina?

– Za muzułmanina.

To samo pełne popłochu zatrzymanie, które potem widywałam między muzułmanami na wieść o mojej odmienności. Jakaś dziewczyna aż zrobiła krok w tył, gdy pokazałam jej Wasima.

Podchodzili też inni, wywołując moją irytację. Biedni w Pakistanie ponoć zawsze tak robią, szukając „patrona”. Irytacja białych też pojawia się zawsze, bo bierzemy to za żebranie. Zresztą kto lubi być nękanym przez obcych?

– *Bhadzi*, jestem bardzo, bardzo biedna! Moi rodzice umarli, nie mam posagu... Gdybyś mogła mi pomóc! – Zostawiła swój telefon i imię. Gloria Ndie.

– *Bhadzi!* Pomódl się za mnie! – mówi mężczyzna z długimi włosami. Męczył mnie przez kilka tygodni opowiadaniem o swojej chorej matce

i potrzebie pomocy.

– *Sister!* Poproszę o numer telefonu! Jesteśmy bardzo biedni!

W Islamabadzie jestem średnio raz na rok. Za każdym razem ten sam mężczyzna w kościelnym sklepiku pokazuje mi te same formularze z nazwiskami dzieci i zaległościami opłat za szkołę.

Do katedry jeździłam regularnie, aż zaczął ze mną po mszy rozmawiać jakiś chłopak. Wasim to zobaczył i zapalał gniewem – z zachodniej perspektywy nie bardzo wiadomo czemu. Ze wschodniej to jasne. Facet zagadujący kobietę zachowuje się niegodziwie. Kobieta publicznie ma prawo mu jedynie odwarkować albo milczeć, a nie uprzejmie (a więc: zachęcająco) się uśmiechać. Tłumaczenie Wasimowi tej różnicy kulturowej było skazane na niepowodzenie. Musieliśmy znaleźć inny kościół.

W niektórych kościołach można się poczuć jak w każdym neogotyckim kościółku. Że to nie Europa, można poznać tylko po figurce Matki Bożej w sari i po szumiących wiatrakach. Inne świątynie są bardziej orientalne (na przykład kościół Świętego Wawrzyńca w Garden East, zbudowany w stylu mogolskim) i rozbrzmiewają w nich goańskie modlitwy do Franciszka Ksawerego. Jest też trochę nowoczesnych – jak biały kościół Matki Boskiej Fatimskiej na okrągłym planie, zbudowany w 1963 roku. Bywają urocze i skromne, takie jak w Manorze – z ukochanym tu świętym Antonim i najważniejszymi obrazami, tablą w kącie, wytartymi modlitewnikami i bez żadnych zdobień. Egzotyczny jest największy w Pakistanie, niedawno poświęcony kościół Świętego Piotra – pięć tysięcy miejsc siedzących, rozścielone maty, panie po lewej, panowie po prawej. Wspólnota, kolorowa i głośna, mówi tylko w urdu i po pendżabsku. Figury i obrazy wszędzie są „takie jak w Polsce”. Święty Antoni, Matka Boska Nieustającej Pomocy, Jezus Miłosierny, Matka Boska Fatimska. Przed rozpoczęciem i po zakończeniu nabożeństwa ludzie do nich podchodzą, całują je, dotykają ich, zamykają oczy. Trwają tak czasem przez kilka minut, trzymając dłoń na obrazie czy figurze.

Małe kapliczki na osiedlach ponoć wyrastają jak grzyby po deszczu.

– Każda *ilaka* (osiedle) w okolicy chce mieć swoją. Oni mają, a my nie? O, nie. Czyli to nie może być aż takie trudne – tłumaczy mi brat Peter, który od niedawna mieszka w Karaczi. – Nie dajemy rady dojechać do każdej!

Do brata Gaspara po każdej mszy ustawiały się długie kolejki. W brązowym franciszkańskim habicie i z roku na rok coraz bardziej zgarbiony, modlił się przy każdym, kto o to prosił. Ludzie nie mogą odzależać jego odejścia. Opowiadał co tydzień, ile osób zostało uwolnionych z opętania.

– Jechaliśmy obok grobowca Abdullaha Śaha Gazięgo. Wiesz, tam nad morzem, gdzie przychodzą największe tłumy muzułmanów. Ponoć stoi tu od tysiąca czterechset lat – opowiada inny ksiądz staruszek. – Kierowca mówi do mnie: „Ojcie. Proszę spojrzeć, ilu ojca ludzi tam chodzi!”. Ludzie wierzą w duchy, w przesady, w zabobony. Proszą, żeby wypędzić dzina (ducha) z rodziny. Nic nie poradzimy. Tak tu jest.

Brat Gaspar pochodził z Goa. Goańscy księża mają dziś na ogół dobrze po osiemdziesiątce, ale rozmowa z nimi jest pełna błyskotliwego humoru, spokoju i uroku. Bardzo ich lubię. Pamiętają czasy przed podziałem kraju. Opowiadają o Indiach i starym Karaczi, które wydaje się mieć tyle wspólnego z obecnym co Warszawa przedwojenna z powojenną. Najlepiej znają angielski, a urdu nauczyli się, bo musieli. Dziś coraz więcej jest księży z Pendżabu. Ich homilie są płomienne, głośne, pełne warkotów i krzyków. Ludzie wychodzą zachwyceni i poruszeni, takie warczenie jest dla nich naturalnym sposobem ekspresji.

W każdy piątek po modlitwie *zohar* Karaczi wypełniają krzyki i powarkiwania z megafonów – muzułmańska „homilia”, czyli *khutba*. Nie da się od nich uciec. Duchowny imieniem Tahir ul Qadri, barelwita, który szczycił się kanadyjskim paszportem i uczestnictwem w organizacjach dobroczynnych, w urdu warczał tak, że serce mi truchlało. Podobnie truchleję, gdy ksiądz beszta swoje owieczki:

– Co z was za chrześcijanie? Kogo macie w sercu? Nawet wam się nie chce przyjść dziesięć minut wcześniej i się pomodlić! Nic wam się nie chce! Ile osób chodzi na kurs biblijny?! Nawet nie rozpoznajecie księdza! Jesteśmy wam potrzebni tylko do ślubów, komunii, pogrzebów! Przyszła do mnie kobieta! Z córką! Chciała zgłosić ślub! A ja jej mówię: „Nie widziałem pani u nas! Kiedy pani ostatnio tu była!”. I wiecie co? Nie wpuściłem jej!

I bliscy, i dalecy

Tutejsi chrześcijanie (*masihi*) to dla mnie zagadka. Modlę się z nimi i to

może jedyne chwile, gdy w Karaczi czuję się częścią wspólnoty, ale potem nasze drogi się rozchodzą. Mieszkają na swoich osiedlach, do których nie mogą się wprowadzać muzułmanie (Anthonian Blessings, Anthonian Apartments, Blessed Homes), w swoich „koloniach” czy *basti* (nielegalnie zbudowanych osiedlach), których nie odwiedzę bez zaproszenia. Bardzo daleko ode mnie. Czasem z nimi rozmawiam. Gdy dowiadują się, że mój mąż jest muzułmaninem, stają się ostrożni. Wciąż za nimi tęsknię. Muszę o nich dużo czytać, żeby ich lepiej poznać.

W Karaczi mieszka około 150 tysięcy katolików i podobna liczba osób innych wyznań chrześcijańskich z różnych odłamów protestantyzmu. Działa siedemnaście parafii rzymskokatolickich. Niektóre są wyłącznie pendzabskie (ale urdujęzyczne). Do tych w „starym Karaczi”, które powstały w wyniku podziału wielkiej niegdyś parafii katedralnej (Świętego Patryka) na Saddarze, należą rodziny „anglojęzyczne” i „urdujęzyczne” (na przykład u Świętego Antoniego – 1250 rodzin anglojęzycznych i 1600 urdujęzycznych, według statystyk z 2011 roku). Wyglądają inaczej, śpiewają inaczej, stają w swoich grupkach, odpowiadają po swojemu.

– Zapraszamy wszystkich parafian! Podkreślam: wszystkich! Na bal noworoczny – słyszę w ogłoszeniach duszpasterskich. – W sobotę o dwudziestej drugiej. Przychodźcie całymi rodzinami!

Potraktowałam zaproszenie poważnie.

To był najprawdziwszy dansing z najprawdziwszym barem. Rozdawano alkoholowe koktajle. Panowie byli we frakach, a panie w sukniach wieczorowych. Przyszły same rodziny goańskie i angloinduskie. Wszyscy się znali. Tańczyli.

– Nie było żadnej rodziny pendzabskiej! Żadnej, czy to nowoczesnej, czy tradycyjnej... – opowiadałam Wasimowi zdziwiona. – Dlaczego? Kilka razy zapraszali wszystkich.

– Dziwisz się? – odpowiedział mój mąż. – Oni świetnie wiedzą, kto na to przyjdzie i kto ma w związku z tym nie iść. To się samo przez się rozumie.

Spośród mieszkających w Pakistanie grup wyznawców chrześcijaństwa najliczniejsi są chrześcijanie pendzabscy. Czasem mówi się o nich pogardliwie *ćuhre* (to nazwa kasty nietykalnych, którzy zajmowali się odpadkami – ta grupa masowo przyjmowała chrześcijaństwo) albo *Christian sweepers* (chrześcijańscy zmiatacze). Ich przodkowie przyjmowali chrześcijaństwo najwcześniej sto dwadzieścia lat temu. Najubożsi z nich

wciąż wykonują „niskie” zawody. Wiele kobiet sprząta lub pierze, mężczyźni zbierają śmieci. Lepiej wykwalifikowani pracują jako kierowcy, elektrycy, sprzedawcy, pielęgniarki, nauczyciele i policjanci.

Gdyby nie lektury, nie dowiedziałabym się pewnie nigdy, że mówiono na nich też „padlinożercy”, bo długo nie wolno im było, z racji swojej niedotykalności, jeść zabitego zwierzęcia. Jedli więc mięso zwierząt zmarłych naturalnie, ze starości, choroby czy otrucia (*mardar*). Wyczytałam też, że inne kasty bały się duchów nietykalnych, nalegały, żeby chować ich zmarłych twarzą do ziemi albo innymi sposobami te duchy unieszkodliwiać. Nie wiedziałam o rytuałach inicjacyjnych, które dobitnie dają odczuć inicjowanemu, w jak okrutny i pełen upokorzeń świat wchodzi. Relacje osób, które mieszkają wśród nich od dawna, uświadomiły mi ogrom „zinternalizowanej opresji”, którą członkowie tej grupy noszą w sobie od stuleci, tak potężnej, że jeśli uda im się osiągnąć sukces i prestiż społeczny, niektórzy zaczynają unikać spotkań z chrześcijańskimi śmieciarzami. I że bardzo szybko upodobniają się kulturowo do nowego otoczenia. Ćuhrowie nawracali się też na islam (muzułmańskich ćuhrów nazywa się *masali*) i na sikhizm (*mazhabi*) i podobnie jak w przypadku chrześcijaństwa motywacją było przede wszystkim poszukiwanie zmiany – wyjścia z niedotykalności. Wcześniej należeli do hinduskiej wspólnoty balmikich (mającej swoistą interpretację hinduizmu). Obecna religijność pendżabskich chrześcijan jest intrygująca. Pełno między nimi podziałów i skomplikowanych zależności, jak w każdej grupie.

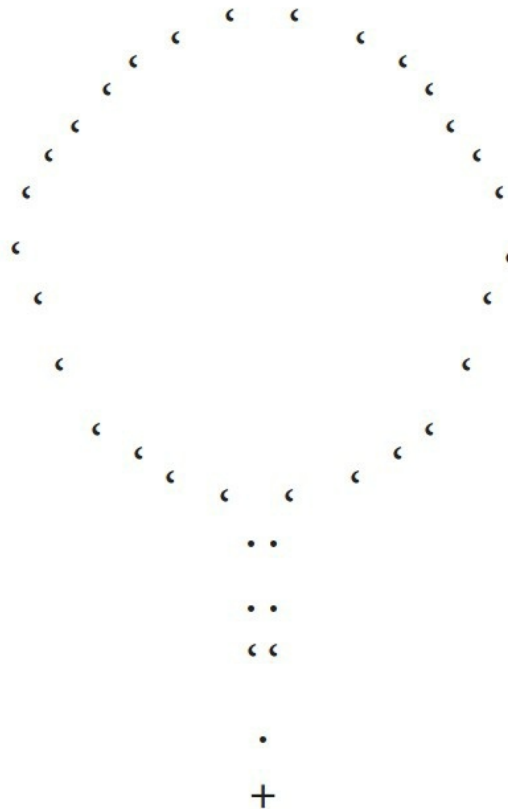
Wpatrują się we mnie przez kilka minut albo są zupełnie obojętni. Mało tu „uprzejmości”. Niektórzy wydają się bardzo biedni, ci najubożsi przychodzą do kościoła Świętego Antoniego tylko na wielkie święta. Wspólnota goañska jest dziś inna niż otoczenie – choć to ona była tu pierwsza, społeczność pendżabska sprawia wrażenie zupełnie „tutejszej” i „ludowej”. Na święta Matki Boskiej mówią *id Matki Boskiej*. Na pielgrzymkę do Mariamabadu, do Velankanni czy gdziekolwiek mówią *hadż*, na modlitwę – *dua* albo *namaz*, chętnie używają zwrotów *inśallla* i *maśalla*. Podczas muzulmańskich świąt piszą na Facebooku „*Id mubarak*”.

– Kochani! Proszę was! Minął już tydzień Wielkiego Postu! Ile razy mam wam powtarzać, że my nie przerywamy postu! Nie przychodźcie do mnie i nie pytajcie, o której godzinie macie przerwać post! Nasz post polega na czym innym! – woła znękany ksiądz w czasie ogłoszeń duszpasterskich.

Jednak w Wielki Piątek wciąż przerywa się post około piętnastej, po nabożeństwie pokutnym. W pozostałe dni Wielkiego Postu niektórzy postują podobnie jak muzułmanie w czasie ramadanu, tylko surowiej – „przerywają” post tylko raz na dobę.

SMS-y, Jennifer i Pinky

Jakieś dziewczę prosi mnie po mszy o numer telefonu. Znajomość jest dość luźna, ale wystarczy, żeby przez parę tygodni obsypywać mnie SMS-ami.



Wyślij ten Różaniec do 9 osób. Potem przyjdzie do ciebie radosna wiadomość. Nie kasuj! To jest Różaniec!

Albo:

***NIE USUWAJ TEJ WIADOMOŚCI BEZ CZYTANIA.** Zanim przeczytasz, pomyśl życzenie i powiedz 3 razy: „Mam nadzieję, że to się spełni”. Potem cisza. Powiedz „Wierzę w Boga”, prześlij tę wiadomość dalej, proszę, nie*

ignoruj jej, to jest sprawdzian. BÓG załatwi dziś dwie (WAŻNE) sprawy na twoją korzyść. Jeśli wierzysz w BOGA, porzuć wszystko i prześlij tę wiadomość dalej. Jutro będzie najlepszy dzień twojego życia. Koniecznie wyślij tę wiadomość do 14 znajomych w ciągu 10 minut od przeczytania.

W komórce Wasima jest pełno „muzułmańskich” wiadomości podobnej treści.

Dostaję też inne SMS-y. Pewnego razu po mszy podeszły do mnie dwie dziewczyny.

– Widziałyśmy, że byłaś smutna! – powiedziały. – Nie martw się! Weź te kwiaty. Połóż je u ołtarza. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz! Będziemy się za ciebie modlić!

To było bardzo miłe, pomyślałam. Wzięły mój numer telefonu. SMS-y zaczęły przychodzić parę razy dziennie.

Tęsknię za tobą, moja kochana przyjaciółko, jak się masz, skarbie? Dziękuję ci, kochanie, tęsknię za tobą!

Umbrella Cannot Stop the Rain But Allows Us to stand in the Rain, Confidence may not bring success but it Gives the Power to Face the Challenges, Good Morning have a nice day...

Jedna z moich koleżanek chce z tobą porozmawiać, ona też cię lubi, powiedz mi, czy dać jej twój numer?

Nie miej ZBYT dużo nadziei, nie przejmuj się za bardzo, nie kochaj ZA mocno, bo to „ZBYT” może zranić cię ZA BARDZO! Dzień dobry!

Nieobecność to najlepsza obecność, jeśli ludzie są nieobecni, to tęsknisz za nimi, a jeśli za nimi tęsknisz, to znaczy, że są obecni w twoim sercu... Dobrego dnia!

Jennifer dzwoniła do mnie kilka razy dziennie, już od rana. Została moją znajomą na Facebooku. Nalegała na spotkanie. Była protestantką, jednak chciała „tylko dla mnie” przyjść na którąś z niedzielnych mszy. Mieszkała na Saddarze – w starej części Karaczi. Pracowała jako sekretarka.

– Teraz już nie jesteś sama! – mówiła. – Jestem dla ciebie jak siostra! Będziesz przychodziła do nas na Boże Narodzenie i Wielkanoc!

Jej kuzynka imieniem Pinky także wysyłała do mnie SMS-y z błogosławieństwami, nazywała mnie siostrą i zapraszała. Jennifer zaczęła mnie pytać, czy Pinky dzwoni, co mi mówi, co mi pisze, i przybrała ton ostrzegawczy.

– Pamiętaj, że to ja jestem twoją najważniejszą przyjaciółką, bo byłam pierwsza... – powiedziała – Pinky miła? O, jest bardzo bystra. Szuka pracy. Ale pamiętaj, że to ja jestem twoją pierwszą przyjaciółką. Masz mi mówić wszystko, co ona do ciebie pisze.

Oho, pomyślałam. Świetna okazja, żeby teraz to przerwać.

Rozstanie (usunięcie się z przyjaciół facebookowych) było dramatyczne, mniej więcej tak, jakbym się rozstawała z chłopakiem.

Niestety, „*Hello my sweet dear, how are you*”, serduszka, „bejbi”, buziaczki, kochania, skarby, misie powtarzały się jak klątwa w różnych znajomościach z kobietami i były nie do zniesienia.

Afśan

Afśan mieszka w jednej z „kolonii”, na ciasnej uliczce, w wielorodzinnym domu wybudowanym własnym sumptem z szarych nierównych cegieł. Domów takich jak jej i jej męża Josepha w Karaczi są tysiące, a może dziesiątki tysięcy. Mówi się na nie *kaćca* – „surowe” albo „nielegalnie postawione”. Dom ma klatkę schodową, główne schody prowadzą do różnych mieszkań. Z klatki schodowej widać zaludnioną ulicę i osiołka, który je trawę z wiązki.

– Po tej uliczce chodzą hidźrowie (transwestyci) – wyjaśniła Afśan, gdy przystanąłam przy oknie. – To nie ci, którzy żebrzą. Nie ci, których spotykasz przy Tin Talwar (pomnik Trzech Miecz, postawiony za czasów Zulfikara Ali Bhutto – prezydenta 1971–1973 i premiera Pakistanu 1973–1977; jeden z charakterystycznych punktów Karaczi; trzy granitowe miecze to Wiara, Jedność, Dyscyplina – *Iman, Ittihad, Nazm* – zasady, które miały prowadzić Pakistan ku lepszej przyszłości, autorem tego motta jest Muhammad Ali Jinnah). Nasi są inni.

Niestety, Afśan nie zdradziła mi więcej szczegółów.

Mieszkanie jest duże, jakby składało się z dwóch połączonych. Było świeżo odmalowane – wybrali róż, żółty i biel. W przedpokoju stoi pralka miejscowej marki Dawlance i wspaniałe akwarium ze złotymi rybkami, glonojadami, zabawkami. W jednym z salonów, oprócz telewizora i *dining set* (stół ze szklanym blatem, sofa, krzeselka), Afśan urządziła ołtarzyk – Pismo Święte na specjalnej półce, na ścianach święte obrazki jak u mojej babci: Serce Jezusa i anioł chroniący dzieci, gdy przechodzą przez kładkę nad

strumykiem. I zdjęcie z audiencji rodzinnej u Benedykta XVI. Pełno ciuchów, zabawek, samochodzików na pilota. Wszystko to zostało stopniowo posprzątane w mojej obecności, bo nie byłam zapowiedzianym gościem.

– W niedzielę jesteśmy bardzo zajęci. Wychodzimy wcześniej, bo jest msza, dzieci idą do szkoły niedzielnej, a w sobotę wieczór też zawsze wychodzimy, jedziemy na Sea Side (plażę) i do Boat Basin (to nazwa znanej restauracji) – mówiła Afśan, poganiając córkę.

W pokoju Afśan i Josepha sterty ciuchów wyglądały na uleżale i zadomowione. Chyba tak miało być. Wodę doprowadzono w jednym tylko miejscu: tam jest łazienka, a po drugiej stronie – zlew kuchenny, obok – aneks z kuchnią. Łazienka wyglądała na niedokończoną: stara deska sedesowa, szare, gołe ściany, betonowa podłoga, biedniutki prysznic z dołączoną gumą i ceratką, dziura w ziemi, mydło.

Afśan natychmiast się wykapała i przebrała w spodnie i T-shirt. Wszyscy w domu tak się ubierają. Afśan i jej córka, gdy wychodzą, wkładają odświeżone szalwar kamizy. Joseph wpadł na obiad ze sklepu, w którym pracuje, wziął prysznic i jadł w samych szortach. Zupełnie go nie krępowała moja obecność. Byłam zszokowana bardziej, niż się spodziewałam. W muzułmańskim domu zamieszkanym przez *joint family* gołe udo jest nie do pomyślenia nawet między „mahramami” (osobami, których nie można poślubić, bo są zbyt blisko spokrewnione).

– Chyba już masz dość pakistańskiego jedzenia, co? Musisz odpocząć. Zrobię ci coś innego! Elisia! – zawołała do syna. – Biegnij do sklepu po keczup i majonez! Gdy Elisia posłusznie pobiegł, Afśan wyjaśniła: – Muszę go nazywać pełnym imieniem, żeby go nie skracali „Ali”. Co to się porobiło. Ja nazywam się Afśan. Moja mama – Nasrin, normalne pendzabskie imię, dla muzułmanek, chrześcijanek i hindusek. Ale teraz chrześcijanie dają dzieciom angielskie imiona. I mówią do nich po angielsku od małego! Musisz wysłać swojego synka do szkoły montessori jak najszybciej, ucz go piosenek, liczenia, nazw kolorów. Dwa i pół roku to najwyższy czas!

Rodzice Afśan pochodzą z Pendżabu i mówią po pendzabsku. Rodzice Josepha przyjechali do Karaczi wcześniej i mówią w urdu. Joseph pracuje w supermarkecie dla elit.

– Umiem gotować po europejsku, śródziemnomorsku, chińsku, indyjsku, pakistańsku, piec ciasta. Skończyłam kursy! Teraz chodzę do Aurat

Foundation (fundacji dla kobiet) na kurs kosmetyczny. Założę salon piękności – chwaliła się Afśan, włączając kuchenkę. Gaz podłączono domowym sposobem i kuchenka buchała płomieniami.

Telewizor – typowy podkład dźwiękowy pakistańskiego domu (przynajmniej jeden musi być, a idealnie mieć tyle telewizorów, ile pokoi) – pokazywał film bollywoodzki, który synowie Afśan znali na pamięć. Recytowali poszczególne kwestie razem z aktorami. Młodszy syn Afśan wybijał rytm rękami dokładnie w takt piosenek. Nasze dzieci też tak robią, ale on był lepszy.

Afśan zrobiła furę frytek i burgery z ziemniaczanym kebabem, chicken spread (rodzaj pasty z kurczaka) i żółtym serem. Na stole pojawił się keczup marki Shangrila – jeden z wielu produktów, które łączą Pakistańczyków ponad podziałami. Pojawiło się też coś, co ich nie łączy, czyli owoc lokat, pomarańczowożółty. Jadłam przez cztery lata tyle d z i w n y c h owoców: dżamun, ber, ćiku, faśę, liczi, niesmaczne odmiany cytrusów. Lokatu – nigdy![67] Smakował nieźle.

– Dali mi lokat – opowiedziałam później Wasimowi. – Dobry. Dlaczego wcześniej mi go nie kupowałeś?

– Lokat? To jest pendżabski owoc. My tego nie jemy – usłyszałam.

Afśan musi być z ludźmi, żeby istnieć. Rozmawiać z nimi, klepać ich po plecach, opowiadać, wysłuchiwać, śmiać się, być stale w dialogu. Czasem tylko jest poważna. Religia jest jej sposobem na życie. Jest szafarką Komunii Świętej i lektorką. Uczy w szkole niedzielnej. Skończyła studia teologiczne. Teraz dodatkowo zajmuje się dystrybucją Oriflame i makijażem. Jak niemal wszyscy, używa Facebooka. Umieszcza na swojej osi czasu zdjęcia z ważnymi osobistościami Kościoła. Jej synowie na zdjęciach mają obcisłe koszulki, bejsbolówki, wielkie okulary słoneczne, na szyi różaniec albo sznur koralu. Piszą: „Tak, jestem katolikiem i jestem z tego dumny”. Życzą szczęśliwego Idu i szczęśliwego Diwali. Afśan jest duża, hałaśliwa, zamaszysta i głośna. Tylko czasem wydaje mi się smutna. Mówi, w czym mi ładnie, a w czym źle. „*Maśalla*” – woła czasem. Na msze przychodzi z włosami skręconymi w idealne sprężynki, z błyszczącymi turkusowymi tipsami i mocnym makijażem.

– Mam trzech braci. Miałam czterech, jednego ktoś tam zabił. – Macha ręką. – I siostrę mam, w Peszawarze. Jej syn zginął w ataku na kościół –

mówi tak, jakby opowiadała o ostatniej wizycie nad morzem.

Szczypie Michała w policzek, jej paznokieć zostawia czerwony ślad.

– *Sorry, sorry!* – woła, widząc, że Michał się krzywi.

– Z niechrześcijanami w ogóle nie rozmawiam o religii. Za duże ryzyko. To zawsze może się obrócić przeciwko mnie. Teraz jest bardzo niebezpiecznie – mówi, gdy jesteśmy same w pokoju. – Choć wiesz co? Mam prawdziwą przyjaciółkę muzułmankę, mieszka blisko ciebie. Ale nie odwiedzałam jej parę lat.

Zabur, czyli psalm

Za chwilę zacznie się msza. Siedzimy na matach. Jest gorąco, szumią palmy, skrzeczą ptaki. Słysząc dźwięki tabli, sitaru i harmonium. Wstajemy. Śpiewamy pieśń. *Ibadat karo us ki* („Czuj Go”).

Szukałam potem gorączkowo tekstu tej pieśni. Melodia wpada w ucho, refren jest prosty. Nic tak nie podnosi na duchu jak moment, gdy zaczynasz móc uczestniczyć: odpowiadać i śpiewać. Tak zetknęłam się pierwszy raz ze słowami *zabur* i *git* (psalm i pieśń). Pełno jest nagrań z nimi na chrześcijańskich stronach internetowych. Może to jakiś gatunek? Poezja? Tak jak na przykład *gazela*? Wersety z Biblii?

– *Zabur* to święta księga i napisał go król Dawid – mówi Wasim. – Są cztery święte księgi: *Torat*, *Zabur*, *Indżil* i *Kuran*.

Psalm!

Ponoć pod koniec dziewiętnastego wieku (w 1895) pendzabski misjonarz Kościoła prezbiteriańskiego, Imam ud Din Śahbaz, przetłumaczył *Księgę Psalmów* na język pendzabski. Próbował wcześniej tłumaczyć psalmy na urdu, lecz pendzabscy chrześcijanie nie polubili ich w tej wersji. Misjonarze zebrali najpopularniejsze ludowe melodie i zaproponowali, żeby skomponować na ich podstawie muzykę do psalmów. To niezbyt się podobało ówczesnym hierarchom, ale chyba nie wszystkim, skoro pomysł udało się wcielić w życie. Śahbaz wykonał kawał świetnej roboty, za którą miał nawet zostać nagrodzony (nagrodą DD – Doctor Divinitatis – wokół tej historii toczy się dyskusja, ale zostawmy ją na boku). Psalmi w jego adaptacji do dziś są śpiewane przez pakistańskich chrześcijan wszystkich wyznań. Ich teksty i melodie chwytają za serce.

Mogę słuchać godzinami, jak śpiewają. Wkładają w to całą duszę!

Klaszczą. Znają je na pamięć. Choć w kościele nie ma sztywnego podziału na część dla mężczyzn i kobiet (formalnie istnieje, ale można się wyłączyć), to mężczyźni śpiewają swoje wersy, a kobiety swoje. Ich głosy przeplatają się i tylko czasem łączą. W internecie można znaleźć różne wykonania, ale nie mają dla mnie nawet ćwierci tej siły co pieśni słyszane na żywo.

Matka Boska z Velankanni

– Zapraszamy wszystkich na Nowennę do Naszej Pani z Velankanni! – mówi tubalnym głosem w drugiej połowie sierpnia brązowoskóry usher, jak tu nazywa się panów ze służby liturgicznej, dzięki którym w czasie mszy panuje niezwykle porządek. – Jak zwykle rozpoczynamy o jedenastej.

Velankanni jest bardzo daleko. Na południu Indii, w Tamilnadu. Lourdes Wschodu, słynie z objawień maryjnych. Maryja miała się tu ukazać trzy razy – tamilskiemu pastuszkowi, ubogiemu kulawemu chłopcu sprzedającemu maślankę i portugalskim marynarzom w czasie sztormu.

Nabożeństwo do Matki Dobrego Zdrowia przywieźli Tamilowie jeszcze przed podziałem Indii. W Karaczi teraz mieszka może dwa tysiące Tamilów – hinduistów, chrześcijan i muzułmanów. Większość tych, którzy znali modlitwy po tamilsku, już nie żyje.

Przez dziewięć dni przychodzą do kościoła tłumy, kolorowe i odświętne. Podczas rozpoczęcia wszyscy stoją. Każdy trzyma pomarańczowy sznurek, tasiemkę, wstążkę, kawałek włóczki. Odmawiają różaniec w urdu, po angielsku, po łacinie, w konkani i po tamilsku. Biją dzwony. Flaga zostaje uroczyście wniesiona (z salutowaniem, przytupywaniem, patrzeniem w prawo, w lewo i tak dalej) i umieszczona na maszcie przez śmiałka. Następnie tłum ustawia się w gigantyczną kolejkę. Też się ustawiam – całuję, jak wszyscy, sznur, po którym flaga wjeżdżała na maszt, a później zawiązuję swój pomarańczowy sznurek na „ogrodzeniu” kaplicy Matki Boskiej Fatimskiej, przy której nabożeństwo się odbywało. Modlę się, ale oni są żarliwsi. Niektórzy stoją tam godzinami.

Sznurek to podstawa. Kupuję kilka przy wejściu. Każdy sznurek to intencja. Za pierwszym razem dostałam sznurek od pani, która zauważyła, że nie wiem, o co chodzi, a sama miała dwa. Ten sznurek nas połączył. Korzystała ze swojego szacownego wieku i ignorowała kolejkę, puszczając oko do znajomych chłopców ze służb porządkowych – a mnie ciągnęła za

sobą.

– Kiedyś, gdy poczet wnosił flagę, ludzie rzucali na nią monety – opowiadała mi. – A potem zbierali. I to były monety na szczęście. Niby mówią, żeby w to nie wierzyć, bo to przesąd... Ale podniosłam kiedyś dwie. Jedną do dziś mam w torebce. Drugą dałam córce, gdy miała kłopoty w małżeństwie. I jej kłopoty się skończyły. Może nie przez to. Chociaż ja myślę, że ta moneta miała znaczenie. Ten kult nie jest tutejszy, tylko madraski. Słyszałaś modlitwy? Też są po madrasce.

Większość w tej masie to chrześcijanie. Katolicy ze wszystkich wspólnot (pendzabskiej, goańskiej, tamilskiej), protestanci. Są też hinduiści, a nawet muzułmanie. Nowennę organizują Tamilowie i Goańczycy. Przywożą do kościoła Świętego Antoniego drugą figurę Matki Boskiej, przechowywaną na co dzień w kaplicy Stella Maris w dzielnicy Clifton.

Podczas nowenny ludzie – ubrani na pomarańczowo lub ciemnożółto – siedzą na matach, na krzeselkach, w kościele, przy wystawionej figurze Matki Boskiej i udrapowanych żółtych tkaninach. Wszystko jest udekorowane motią i różami. Niektórzy poszczą. Czasem – coraz rzadziej, ze względów bezpieczeństwa – mają zasłonięte twarze.

Po pierwszej wieczornej mszy zapadła cisza i do kościoła weszli panowie ze służby liturgicznej w pomarańczowych szarfach. Nieśli dwa grube zwoje pomarańczowego sznurka. Rozwijali go i podawali ludziom tak, żeby każdy mógł schwycić. Wszyscy byliśmy oplątani, kościół zaczął przypominać pajęczynę.

– Teraz jest ten moment! – powiedziała dziewczyna obok mnie. – Gdy złapiesz za sznur, jeśli masz jakąś intencję, to módl się gorąco do *Our Lady*! Ona na pewno wysłucha! – Dziewczyna trzymała wydaną w Indiach książeczkę z nowenną i informacjami o Velankanni.

Modliliśmy się, trzymając sznurek. Niektórzy pocierali sobie nim twarz albo rękę, na koniec modlitwy całowali go i żegnali się. W końcu sznurek trzeba było zwinąć, nie lada sztuka, bo bardzo łatwo przy okazji zaplątać się w sieć i runąć na ziemię. Panowie musieli uważać, żeby nie stanąć tyłem do ołtarza i obchodzili się ze sznurkiem z dużym szacunkiem i delikatnością.

Na koniec do figury Matki Boskiej ustawiała się gigantyczna kolejka.

Tę ceremonię zlikwidowano rok później.

– W tym roku nie ma już ceremonii sznurka, ten nowy ksiądz zlikwidował

– tłumaczyła mi jakaś pani. – Powiedział, że się modlimy do sznurka! I teraz już mniej ludzi przychodzi. I dobrze. Wszystko niszczyli, łamali palmy w doniczkach. Joanno, ale wiesz? Dobry jest ten nowy ojciec, ale ileż on pije! Im wolno. I poza tym robi dużo dobrego...

Żeby uniknąć protestów po likwidacji „ceremonii sznurka” (*rope ceremony*) wystawiono dwie kopie figury Matki Boskiej – jedną w kościele, a drugą na ołtarzu „w plenerze”. Ktoś codziennie zmienia im sari.

Pani Francis siedziała na krzeselku, piła wodę i jadła ciastka. Jest żoną wysokiego ushera. Powiedziała, że nie mają dzieci, są małżeństwem czterdzieści siedem lat, że teraz ma cukrzycę i jest już słaba – ale przez dwadzieścia parę lat pracowała dla *Our Lady*.

– Ludzie kupują sari. My ubieramy, potem zdejmujemy, a później sari się sprzedaje. Zbierałam pieniądze. Dbałam też o flagę. Flagi się niszczą od deszczu, co jakiś czas trzeba je zmieniać. Wczoraj była nowa flaga. Byłam w Velankanni trzy razy. U nas jest dużo *Velankanni people*... Tam jest cudownie! Pojedź tam koniecznie. Pogadaj z księdzem. Prosiłam Matkę Bożą o dziecko. Nie mam dziecka. Ale wiesz, czego doświadczyłam? Niesamowitego spokoju. Wciąż mam mocną wiarę. Bóg był dla mnie bardzo łaskawy.

Panią Rukhsanę spotykam na eleganckiej konferencji. Jest starsza, wytworna, w ciemnofioletowym sari, z włosami do ramion. Jest muzulmanką.

– Interesuje mnie ostatnio nowenna do Matki Bożej z Velankanni... – mówię i widzę, że twarz pani Rukhsany się rozjaśnia.

– Chodzę na te nowenny! Od wielu lat! Byłam też w tym roku i też zawiązałam supełek. Byłam tam chyba jedyną muzulmanką. Tam jest taka miłość! Taka łączność z *Holy Mary*! Taka obecność...! Wstrząsające miejsce. Aż ciarki mi przechodzą po plecach. Mam w domu Jej figurkę, takiej wielkości. – Pokazuje dłońmi wysokość mniej więcej czterdziestu centymetrów. – Czy wiesz, że do 2007 roku wspólnota tamilska modliła się razem na Saddarze? Jak on się nazywa, ten ksiądz? August? On chce zabrać ludziom rytuał. Chce, żeby to wszystko stało się suche... Chce zabrać rytuałowi jego bogactwo. To prawda, że kiedyś ludzie rzucali monety w czasie otwarcia nowenny, teraz to zabronione. Znam wiele osób, którym taka moneta pomogła w kłopotach małżeńskich, rodzinnych. Nasza Matka

(*Our Mother*) w czasie tsunami w Tamilnadu chroniła Velankanni!

Mela

Do figurki świętego – tłumy. Każdy chce dotknąć. Setki rąk. Bo tu się obrazy i figury dotyka. I całuje. Po kolei wszystkich: Jezusa Miłosiernego, Matkę Boską Nieustającej Pomocy, Antoniego. Przed tabernakulum niektórzy biją pokłony, tak jak muzułmanie. Panie ze wspólnoty urdujęzycznej poprawiają dupatty tak samo często jak muzułmanki. Wiele ma *mehndi* – rudoczerwone wzory z henny na rękach. To przecież wielkie święto.

Uśmiechnięta pani podzieliła się ze mną bułeczką. Inna podbiegła z życzeniami. Wszyscy jedli lody w czekoladzie rozdawane przez ochronę. Rzucali papierki na ziemię. A moja babcia[68] włożyła dziś bordowe sari.

Bardzo lubią świętować. Podczas odpustu parafialnego kościół był ustrojony jak galeria handlowa na Id Milad un Nabi, w girlandy światełek. Służba liturgiczna rozdawała świeże bułeczki z wielkich foliowych reklamówek. Liturgia była dwujęzyczna, uroczysta, pełna lampionów, peleryn i strojów jak z filmów o hiszpańskiej inkwizycji. Zeszły się tłumy. Obowiązywały stroje, makijaże i manikiur jak na Id, bo to przecież *id* – wszystkie chrześcijańskie święta nazywane są Idami. Chrześcijanie świętują swoje Idy podobnie jak muzułmanie – swoje. Kobieta, obok której siedziałam, śpiewała pięknym, pełnym głosem, dbała o mój strój (raz podwinął mi się kamiz i mało brakowało, a okryłby mnie wstydem i hańbą) i o to, żeby moja bułeczka do mnie dotarła. Niektóre parafianki przechwytywały po drodze czyjeś bułeczki i wkładały je cichcem do przepastnych toreb ustawionych pod nogami.

Mela znaczy święto – wspólne jedzenie i zabawę. W kontekście parafii *mela* to odpust. Malowanie twarzy, malowanie *mehndi* kobietom, gry, zabawy, loterie, wyprzedaże. Polega na tym, że kupuje się kupony (za 5, 10 i 20 rupii), którymi następnie płaci się za jedzenie oraz udział w grach i zabawach. Że jest loteria. Świętowaniu towarzyszył podkład muzyczny jak na dyskotece. Trzeba było do siebie krzyczeć, żeby cokolwiek usłyszeć. Dźwięki amerykańskiej muzyki, rytmiczne jak młoty, cichły tylko czasem, gdy na przykład wjeżdżało *hot and spicy* (gorące i pikantne) biriani

(„Śpieszcie się!”) albo lody o smaku mango i czekoladowe („Biegnijcie, zanim się roztopią!”).

Ruszyłam ku straganowi z sorpotelem z drobno posiekanych wołowych serc i płuc w kwaśnym czerwonym sosie – za 80 rupii (mniej więcej 2,5 złotego).

– Czy to nie jest też bożonarodzeniowa potrawa? – przypomniałam sobie opowieść o katolickiej rodzinie w Karaczi, spisana przez Rumanę Husain w cudownej książce *Karachiwala*:

„Alan i Francesca bardzo lubią sarpotel – potrawę przygotowywaną na szczególne okazje, na przykład Boże Narodzenie. Sarpotel (czasem nazywa się go sorpotel albo sarapatel) przygotowuje się z niedużych kawałków wątróbki, serca i mięsa. Przechowuje się go w lodówce przez tydzień, a podaje z chlebem saana, przygotowywanym z mąki ryżowej i kokosowej”.

– Tak, tak, my to robimy wcześniej, można trzymać nawet trzy miesiące w zamrażalniku, tam jest ocet i nic się nie zepsuje!

Pani zaczęła mnie zachęcać, żebym kupiła więcej torebeczek, zamroziła je i potem odmrażała, bo im dłużej leżą w chłodzie, tym są smaczniejsze. Jak bigos! Wzięłam jedną, bo czułam, że w domu odzew nie będzie entuzjastyczny.

Inna pani lała na tawę bielutkie ciasto na masala dosę (cienkie szerokie placki z pikantnym farszem), a koleżanka je nadziewała. Dosy były miękkie, puchate, z kwaśno-ostrym kokosowym nadzieniem. Podawano też smakołyki bardziej „ogólnopakistańskie”. Bun kebaby, chatneje, halim i *khatta alu*, czyli ziemniaki na kwaśno. *Cold drinks*, fast foody, snacki i słodczyce.

Mela to zwyczajna zabawa, głośna i wesoła, bez śladu cierpiętnictwa czy udręczenia. Mam czasem wrażenie, że nie takich pakistańskich chrześcijan chcemy widzieć na Zachodzie. A jednak tak też bywa.

Świętowanie

Pierwsze święta były najtrudniejsze. Samotne i straszne. Strasznie mocne, strasznie trudne, strasznie otwierające. Jak przetopienie w wielkim tyglu mojego wcześniejszego przeżywania świąt. Ogołocenie i odarcie. Grunt osunął mi się spod nóg. Żadna wspólnota nie była moja. Ani domowa, ani kościelna.

Potem było scalanie się na nowo. Rozkładanie świętowania na czynniki

pierwsze. Dopasowywanie części do rodzinnej układanki. Tworzenie czegoś nowego. Fragmentów wspólnoty, dzielenia się tym, czym mogę się dzielić. Swoją radością. Mogę podarować wszystkim coś do jedzenia. Coś, co lubią. Niekoniecznie to, co się pojawia na polskim stole podczas świąt, bo pakistańska rodzina takich rzeczy nie przełknie. Mogę być pięknie ubrana i rozmawiać przez Skype'a z tymi, którzy są naprawdę zebrani przy wspólnym stole. Być z nimi, dziękować za wzruszające paczki i znaki pamięci, które w tym czasie do mnie nadchodzą od Polaków z różnych zakątków świata. Mogę pokazać dzieciom nasze tradycje, które nie są sednem wiary ani nawet jej częścią, a tylko znaczącym kontekstem, który wywołuje emocje. Muszę się pogodzić ze swoją kondycją: stałam się absolutną mniejszością, a to, co wyznaję, jest dla wielu herezją.

To prawda, że w kontakcie z obcością poznajemy przede wszystkim siebie. Nagle okazało się, czym były dla mnie święta, jaką rolę odgrywały w nich wspólnotowość i *communitas* w domu, przy stole, w kościele, w mediach. Wykonywanie rytualnych czynności. Nakrywanie do stołu w Wigilię, przygotowywanie potraw, roraty i inne modlitwy, sprzątanie, posty, rekolekcje. W Karaczi nic nie było tak, jak być powinno. Byłam sama. Na zewnątrz żadnej świątecznej atmosfery, przygotowań, zapowiedzi. Żadnych dzielanych emocji. Oni żyją swoim kalendarzem. Z kim się dzielić opłatkiem? Tutejsi chrześcijanie też tego nie robią. Tłumaczenie sensu moich tradycji sprawiało, że czułam się jeszcze bardziej samotna. Tego, jak świętować, się nie tłumaczy. To się wie. I robi się razem. Wasim, choć starał się, jak umiał (na przykład w środku nocy, gdy chciałam w ciszy zabrać się do robienia świątecznych ciastek, wyjął skądś ułatwienie dla spracowanych pań domu w postaci robota kuchennego Braun Multiquick 5 w 24 częściach i uparł się, że ciasto uda się tylko wtedy, gdy się je zmiksuje), nie rozumiał podstawowych rzeczy – że w święto się nie robi wielkiego sprzątania! Że sprząta się przed świętami! Że życzy się Wesołych Świąt! Nigdy wcześniej nie doświadczyłam świąt poza słowiańską tradycją, która jest mi bardzo bliska. Łączyłam Boże Narodzenie z zimą i krótkim dniem, Wielkanoc ze świętem wiosny – śmierci i ponownych narodzin. Nie tylko ja. Gdy w Polsce na Gwiazdkę nie ma śniegu, a na Wielkanoc trwa zima, ludzie narzekają. Jest dziwnie. Zupełnie nie tak!

W Karaczi też jest n i e t a k. Żadne drzewo nie traci liści i nie wypuszcza na potęgę nowych pączków, nie ma przednówka, braku słońca ani

awitaminozy (chyba że z ubóstwa lub na własne życzenie). Owoce i warzywa przez cały rok. Jak przekazać pradawną symbolikę jajka, kurczątka, młodziutkiej zieleni i bazi ludziom, którzy przez cały rok żyją w słońcu, oglądają kolorowe kwiaty na drzewach i nie rozumieją, co to „warzywa na patelnię” Hortexu czy „suszona włoszczyzna”? Kiszona kapusta? Cebula, ziemniaki i kapusta przechowywane w piwnicy?

Boże Narodzenie

Przed Bożym Narodzeniem w Karaczi pojawiają się Mikołaje: rysunkowi na wystawach i czasem żywi w riksach. W adwencie w kościele ustawiana jest szopka bez Dzieciątka i zapalane świece, dostajemy adwentowe kalendarze z „odklejkami” i Słowem na każdy dzień. Nie ma rorat. Pakistańczycy 25 grudnia świętują urodziny Ojca Narodu. Czasem tuż przed Bożym Narodzeniem zaczyna się miesiąc *rabi ul awwal* i większość miejskich dekoracji jest związana z prorokiem islamu. Wszystkie pakistańskie dzieci mają w tym czasie ferie.

Przed Wigilią Wasim kupuje choinkę w szkółce leśnej. Kleimy łańcuchy z papieru. Dzieci pomagają nam ubierać drzewko, w tle słychać gromkie muzulmańskie pienia, które w tym czasie lubi włączać teść, żeby porządek domu nie uległ zaburzeniu. Czy dzieci mogą brać udział w pogańskim, bądź co bądź, zwyczaju? Najpierw nie wiedziałam i je zapraszałam. To przecież żadna rytualna czynność, święta bez choinki są równie święte. Gdy się dowiedziałam, że może nie mogą, przestałam zapraszać. Wtedy one zobaczyły, że mam sporo pracy – i to całkiem przyjemnej. Wycinam sobie i kleję.

– Asma pyta, czy może pomóc *bhabhi* – powiedziała do mnie teściowa.

Pomoc to pomoc. Jeśli pomagają mi świętować, to granice są nienaruszone. Przecież też pomagam im świętować Id.

Gdy nie mam siły piec, kupujemy w kościele tradycyjne owocowe ciasto – właściwie bakalie w cieście. Gdy mam siłę, piekę miodowe ciastka z wanilią w zastępstwie pierniczków. Ciasto z przyprawami do mięsa – cynamonem, goździkami, kolendrą, anyżkiem – nikomu tu nie smakuje. Tylko kardamon jakoś by uszedł. Miodowych ciastek dzieci zjadają po dziesięć naraz. Wykrawanie ciastek, napełnianie uszek farszem (z suszonych grzybów z pakistańskiego supermarketu) i patrzenie, czy się nie rozleczą we wrzątku –

te czynności pomagają mi nie zapomnieć, że nie jestem znikąd. Reprezentuję sobą jakieś *continuum*. Robię to, co hen za górami, w mitycznej krainie przodków moich i mojego dziecka robią miliony spoconych pań domu, wykrawam, napełniam i sklejam, zupełnie jak wykrawały, napełniały i sklejały przed Bożym Narodzeniem moja mama, babki i prababki. Czymś się różnię od tego cholernego otoczenia, które by wszystko smażyło w morzu oleju i dla którego moje miejsce pochodzenia owiane jest mrokami tajemnicy. Właściwie wydaje się im, że nie ma w nim nic oprócz choinki i „santaklosa”.

Na świąteczny obiad był barszcz z uszkami, ryba (morska), keks, ciastka, sałatka jarzynowa z irańskimi kiszonymi ogórkami i pieczona kura. Teściowie zaglądali do moich garnków z wyraźną ciekawością. Łączyliśmy się z Polską przez Skype’a, składaliśmy życzenia, było wzruszająco, a widok szczeropolskiego talerza z barszczem czerwonym i uszkami na azjatyckim stole wywarł w Polsce odpowiednie wrażenie.

Na murze kościoła Pakistan People’s Party nakleiła plakat z życzeniami dla wspólnoty chrześcijańskiej – od *Minorities Wing* (oddziału tej partii zajmującego się kwestiami mniejszości). W kościele były kolędy, dzieci w czerwonych wełnianych czapczkach prawie jak Mikołaje, cudne kazanie księdza staruszka, szopka, choinka i sto tysięcy zapowiedzi przedślubnych. Mnóstwo życzeń.

Potem pojechaliśmy do chrześcijańskiej dzielnicy. Czasem naprawdę biednie, a bieda jest malownicza. A to żebrak, który ma na sobie plastikowe butelki, a to osiołek, a to jakieś dziwaczne stare meble, a to dziecko z młodszym braciszkiem na ręku, jak z „National Geographic”. Mnóstwo kościołów, przed nimi huśtawki i pełno dzieci w nowych ubraniach, błyszczących od cekinów. Gwiazdy i lampki świąteczne w niektórych oknach, ozdobione wąskie uliczki. Tutejsze cukiernie sprzedają świąteczne ciasta. Uliczni sprzedawcy – kasety i kalendarze z Jezusem Dobrym Pasterzem.

Weszliśmy do kościoła – prezbiteriańskiego, jak się potem okazało. Rada parafialna (czy jakiś jej odpowiednik) miała właśnie spotkanie świąteczne. W kościele nie było krzesel, za to stała cudowna rozświetlona choinka, a pod ołtarzem table i harmonium. Pomodliłam się. Potem rada parafialna, w garniturach i z krawatami, zaprosiła nas do wspólnej modlitwy w naszej intencji. Odmówiła ją charyzmatycznie, ze wzniesionymi rękami[69].

Wielkanoc

Na ulicach wcale nie widać Wielkanocy, oprócz większej niż zwykle ochrony i tłoku przy kościołach.

- *Masihi* mają dziś chyba jakiś Id? – powiedział Kaśif do Wasima w pracy.
- Przez ten cały *Easter* śmieciarz już trzy dni nie przychodzi! – złości się

teściowa.

– Zajął mi kuchnię! – złościła się dalej, bo zachciało mi się piec ciasto. Nikt przede mną tego nie robił, a kuchenka zabiera sporo gazu. Później jednak ciasto znikło prawie natychmiast.

Ponieważ nic na zewnątrz nie pomaga mi w świętowaniu, łatwiej skupić się na modlitwie i rozważaniu tego, co najważniejsze.

Gdyby nie Wasim, nie mogłabym uczestniczyć w nabożeństwach. Kto by mnie zawiózł? Nie mamy kierowcy, dopiero uczę się prowadzić auto, kościoły są daleko, samotna *gori* w taksówce to niebezpieczna opcja, a jazda riksą czy autobusem wymaga przynajmniej dwóch przesiadek oraz okutania w burkę – no a do kościoła w burce się nie wejdzie.

Czasem, gdy bolą go plecy, mam wyrzuty sumienia. Jestem rozdarta między moim obowiązkiem i tęsknotą a miłością bliźniego.

– Nie myśl o mnie! Jest niedziela! Muszę przecież o ciebie dbać – twierdzi.
– Jedziemy.

Jest w tym nieugięty. Gdy ja się modłę, idzie do znajomych, których ma wielu.

– Znowu jedziecie? – wzdycha teściowa. Właściwie nie wymawia słowa „kościół”. – Jedziecie po południu? Musicie wyjść po południu?

Wychodzenie do kościoła to chwila, gdy nikt z domowników się nie cieszy. Trudno się temu dziwić.

W Niedzielę Palmową (*khadzuron ka itwar*) idziemy w procesji (*dżulus*) z liśćmi palmy, niektórzy wiążą z nich krzyże. W Wielki Poniedziałek jest nabożeństwo pokutne. Kolejki do spowiedzi skręcają się w ślimaka.

W Wielki Czwartek msza jest dwujęzyczna, bo niechętnie sobie wspólnoty mają się łączyć. Trwa do północy. Jednym pieśniom akompaniują tabla i harmonium, innym – klawisz. „Moja” babcia, dopóki żyła, modliła się przedsoborowo (na przykład w czasie Ofiarowania i Podniesienia wypowiadała specjalną formułkę z modlitewnika albo odmawiała starą wersję *Ojciec Nasz*), a na wezwania w urdu odpowiadała po angielsku.

W Wielki Piątek ubieramy się na biało, czarno, szaro, błękitno. W kościele w Wielkim Poście zdejmują się obrazy, a posągi zakrywa fioletową tkaniną. Liturgia trwa dwie godziny – Droga Krzyżowa, adoracja krzyża i komunia. Służba liturgiczna działa bez zarzutu. Dla tych, którzy siedzą daleko, są

ekrany. Droga Krzyżowa jest wymownie inscenizowana, choć zgromadzeni nie idą razem z Jezusem. Wszystko jest prawie prawdziwe: Jezus, żołnierze, którzy go prowadzą, płaczące niewiasty i krzyż, do którego Jezus zostaje przybity (nie dosłownie, jednak prawdziwie na nim zawisa). Krew jest nieco zbyt jaskrawa. Kiedyś stałam w miejscu, gdzie była stacja dziesiąta – odarcie Jezusa z szat, i moim oczom ukazały się spodenki gimnastyczne z tarczą szkolną. Nie dało się też nie zwrócić uwagi na sandały w rodzaju najpopularniejszych sandałów Scholla. I na papierowe hełmy. I na to, że jeden z żołnierzy przygryzał wargi, żeby się nie roześmiać, gdy Jezus drżał z zimna odarty z szat. Ale przecież nie o to w tym wszystkim chodzi. Jakby zaproszono do niej zawodowych aktorów i ubrano ich w stroje z epoki, nie byłoby bardziej autentycznie. Śpiewa się angielskie pieśni pasyjne, w tym jedną – uwaga! – na melodię *Góralu, czy ci nie żal*.

Po liturgii dostałam dwa woreczki biriani: *nijaz*. Przerwanie wielkopiątkowego postu. Czasem *nijaz* składa się z *bakery-bun* (bułeczki), *mithai* (czegoś słodkiego) – na przykład *gulab dżamun* czy *ćane ki ćawal* (ryż z cieciorką), czasem z biriani, suchej czerwonej halwy i *naurus sherbet* (bardzo słodkiego syropu). *Nijaz* to zapożyczenie z terminologii muzułmańskiej. W domu powiedzieli mi, że w islamie taki poczęstunek nazywa się *nijaz*, a w hinduizmie – *prasad*. Czyli: musisz się pomodlić w jakiejś intencji, na przykład wyrecytować fragment Koranu albo wspomnieć Proroka, trzymając w ręku czy przed sobą jedzenie albo słodycze. A potem rozdzielić je między potrzebujących; najlepiej robić to wszystko bardzo dyskretnie.

Dostałam po południu prezent wielkanocny od córki kuzynki Khadidzi, studentki, która nosi burkę i nikab. Był niepraktyczny – duża fajansowa miska ze zdobieniami, owinięta w kolorowy papier, a na nim życzenia, które mnie wzruszyły: „*Dear Auntie, many many happy returns of the Holy Week! Happy Easter!*” (Droga ciociu, wszystkiego najlepszego na Wielki Tydzień! Wesołych Świąt Wielkanocnych!).

Liturgia paschalna

Każda wspólnota, odświętnie ubrana i wyperfumowana, obchodzi ją osobno, a przygotowuje z wielkim zapalem. Jest taka jak polskie liturgie

paschalne – poświęcenie ognia i wody, hymn o błogosławionej nocy i szczęśliwej winie Adama (z pochwałą pracowitej pszczoły), dziewięć czytań, pokazujących miłość Boga do ludzi, uroczyste *Gloria* i modlitwa wiernych, chrzest trojga katechumenów, pokropienie wodą święconą wszystkich zgromadzonych, Komunia, piękny śpiew przy akompaniamencie zupełnie nie „moim”. To wszystko widać też na ekranach. Raz na kazanie przypadły może dwie minuty. Ksiądz – nowoczesny i energiczny Tamil z Singapuru – powiedział, że w zeszłym roku się namęczył nad homilią wielkanocną, a ludzie i tak zapamiętali tylko, że on sam, jak był chłopcem, to był gruby, a jego tata był oficerem policji, więc teraz mają zapamiętać to, co im powie – i powiedział, że to wszystko, co się tu dzieje, to wielki dar i trzeba być świadomym jego wartości – rzeczy, których w życiu się nie szanuje, często zostają zabrane.

Z liturgii paschalnej wracamy po drugiej w nocy, przez miasto, w którym nie ma śladu wielkanocnej radości, niby-śpiące i pogrążone w czerni, ale żyjące ukrytym nocnym życiem – nocnym krykietem, przesiadywaniem na ćarpajach, spacerami albo wizytami w nielicznych otwartych o tej porze knajpach.

Pisanki

W pierwsze święta nie malowałam pisanek. Byłam tak zdruzgotana, że nie miałam ochoty podtrzymywać żadnej tradycji. Potem tradycje mnie na nowo zbudowały. Gdy zamieszkały z nami bliźniaki, a Michał podrósł, postanowiłam, że chcę pokazać dzieciom, co robią ludzie na świecie. Pisanki zrobiliśmy z wydmuszek, bo przy takim upale gotowane jajko zaczęłoby szybko wydzielać koszmarny smród.

W Wielki Piątek wieczorem w domu odbyło się przekłuwanie rylcami z zestawu dla majsterkowiczów. Okazało się, że pakistańskie jajka mają bardzo kruche skorupki, więc nożyczki i ostre noże się nie nadają. Potem było dmuchanie. Nikt w domu wcześniej takiej metody nie widział! Potem gotowanie, owijanie w koszulki z tradycyjnymi wzorami (nadesłane przez dobre dusze z Polski) i zanurzanie we wrzątku. Tradycyjne wzory z naklejek mają niesamowity potencjał kulturowy. Umiałam kiedyś zrobić tradycyjnego kogutka (i leluję), ale teraz cierpliwości by mi chyba nie wystarczyło i na pewno byłyby dużo bardziej koślawy.

Dobre dusze przysłały nam też trzy śmigusówki w kształcie pisanek, rozmiar 1. W Lany Poniedziałek pokazałam dzieciom, jak t o s i ę r o b i, nie spodziewając się specjalnych zachwyków. Tymczasem okazało się, że Karaczi to idealne miejsce dla śmigusów. Nasz śmigus-dyngus trwał dwa dni i wyglądał, jakby został nakręcony w polskiej wsi przed wielu laty – z piskami i polowaniem na dziewczyny! O dziwo, bardziej się podobał rdzennym Pakistańczykom niż mojemu synkowi, który narzekał, że woda mu wpada do oka. Z upodobaniem za to wlewał wodę do moich oczu. Ciuchy, ściany, dywany schną tu błyskawicznie. Michał wyrzucił jedną śmigusówkę przez okno i musiałam sobie radzić za pomocą przekłutej butelki.

Zaduszki

O polskich lotnikach w Karaczi nakręcono film *Polskie orlęta na pakistańskim niebie*. To jedna z tych kart historii, którymi możemy się szczycić. Generał Władysław Turowicz, bohater wojenny i twórca Pakistańskich Sił Powietrznych, jest pochowany na Gora Qabristan, czyli Cmentarzu Białych.

Na tej samej nekropolii znajdziemy też dwa skromne rzędy płyt z piaskowca. To groby polskich uchodźców wojennych ze wschodnich ziem RP – w większości dzieci i kobiet[70]. Niedawno wzniesiony okazalszy pomnik z polskim godłem upamiętnia ich wszystkich. Piaskowiec chyba nie był dobrym pomysłem: wyżerają go kurz i słona wilgoć. Nowe groby pękają, spod kurzu nie widać napisów. Sprzątają tu wolontariusze przed świętami, bo czasem parafie organizują akcje sprzątania chrześcijańskich grobów. Przy pomniku z polskim godłem spotkaliśmy parę Pakistańczyków, którzy zapalili kadzidełka i rozsypali kilka garści róż. W Zaduszki groby Franciszki, Andrzeja, Albiny i wielu innych aż proszą się o znicze. W Karaczi chrześcijanie kładą na grobach róże, margerytki albo mocno pachnące kwiaty motii o drobnych kremowych płatkach. W Zaduszki zapalają naręcza kadzidełek. Gdzie kupić znicze?

– Coś wymyślimy – doszliśmy do wniosku z Wasimem. I wymyśliliśmy. Gliniane naczynko, gliniana osłonka wycinana we wzory, oliwa i knot ze skręconej waty albo bawełnianego sznurka.

Gliniane naczynko nazywa się *dija* (albo *ćirag*) i łatwo je kupić. Osłonki – trudniej. Za pierwszym razem Wasim przywiózł sześćdziesiąt osłonek – i nie

powiedział skąd. Za drugim razem tak go namawiałam, że owinął mnie szczerlnie i pojechaliśmy wspólnie do garnarczy na dalekiej północy Karaczi. Moja dzielnica z tej perspektywy wydała mi się niemal luksusowa – tamta przypominała obskurne i szerniałe miasteczka w Sindzie. Wybraliśmy dostępne rodzaje lamp, złożyliśmy zamówienie, w prezencie dostaliśmy urocze gliniane trojaczki.

W Zaduszki zapakowaliśmy wszystko do samochodu. Zapłaciliśmy chłopcom, którzy myją groby. Na miejscu stawialiśmy znicze. Położyliśmy też wianuszki z dzikich róż, nanizanych na sznurek, których używa się do różnych celów: mogą być naszymi, ozdobą ślubną, dekoracją świątyni albo właśnie chrześcijańskiego grobu.

– Kto tu jest pochowany? – pytało parę osób. Niektórzy znali historię Polaków, inni udawali, że ją znają.

Nasze płonące znicze po zmroku wyglądały pięknie. Następnego dnia Wasim przyniósł mi miejscową gazetę z wielkim zdjęciem jednego z nich.

Dozorcy cmentarza na wieść, że jestem z Polski, ożywiają się. Proszą, żebym zaczekała. Po chwili podchodzi do mnie starszy mężczyzna, bardzo uradowany.

– Nazywam się Roque! – mówi. – Mój ukochany przyjaciel był z Polski! Nazywał się Bogdan! Kilka lat temu zmarł! – Zaczyna płakać. – Uratował mi życie! – Na karteczce zapisuje adres kogoś z Polski. – Proszę do nich napisać, że pamiętam, tęsknię, żeby nie przerywali kontaktu. Oni nie znają angielskiego, a ja polskiego.

Jest Goańczykiem i jak wielu goańskich chrześcijan w Karaczi, był marynarzem. Pływał na statkach handlowych.

Napisałam. Okazało się, że to siostra przyjaciela pana Roque. Panowie poznali się na statku handlowym u wybrzeży Australii. Na pakistańskim statku wybuchł pożar i Polak uratował Pakistańczykowi życie. Od tej pory zaczęła się ich przyjaźń, tak mocna, że Pakistańczyk długo nie mógł oswoić się ze śmiercią swojego przyjaciela i pisał do niego listy jeszcze przez kilka lat.

To spotkanie mnie zdumiało, potem było jeszcze kilka innych z polskim motywem.

Na grobach wyryte są nazwiska angielskie, irlandzkie, portugalskie (bo

cmentarz jest w pobliżu starych osiedli goańskich), hinduskie. Okazałe pomniki z dziewiętnastego i dwudziestego wieku, ze staroświeckimi epitafiami, i skromne groby ziemne. Cmentarz dla białych założyli Brytyjczycy w 1845 roku. Budowano go na ówczesnych peryferiach Karaczi. Dwa lata po podboju Sindhu wybuchła w mieście epidemia cholery i pochłonęła około siedmiu tysięcy ofiar, głównie brytyjskich żołnierzy i ich rodzin. Historia cmentarza łączy się więc ściśle z obecnością Brytyjczyków. Można tu znaleźć – najczęściej w opłakanym stanie – groby osób zasłużonych dla miasta i całego stanu Sindh.

Dawniej cmentarz był podzielony na część katolicką i protestancką. Prowadzono oddzielne rejestry zgonów. W latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku po stronie katolickiej zaczęło brakować miejsca i podjęto decyzję o połączeniu obu części. Dziś chowani są tu chrześcijanie „wszystkich misji” (tak tu się mówi) – katolicy i protestanci różnych denominacji.

Cmentarz znajduje się przy Sharah-e-Faisal (Śara-e-Feisal), jednej z najruchliwszych ulic Karaczi. Ożywa, tak samo jak cmentarze w Polsce, tylko podczas świąt. Na co dzień na płytach z białego marmuru leżą puste butelki po winie, igły i strzykawki. Kilka razy w roku wolontariusze z katolickich parafii organizują akcje sprzątnięcia. Opowiadają, że za każdym razem zbierają kilka worów śmieci. Śpią skulone psy, łażą koty. Na ramiona statuetek aniołów ktoś narzuca damskie staniki.

W Zaduszki Gora Qabristan przestaje być opuszczony. Trudno wtedy o miejsce na parkingu. Tak samo jak w Polsce, stawiamy czoła kłopotom z parkowaniem. Ulicę wypełnia kolorowy tłum. Przed wejściem ustawiają się sprzedawcy kwiatów, które kupuje się na wagę albo na sznury. Żebracy wyciągają ręce. Unosi się mocny zapach *agarbatti* – kadzidełek. Wokół grobów zbierają się całe rodziny. Same zwykle nie myją pomników i zlecają tę pracę ekipom dzieci. Z podobną jak w Polsce troską pochylają się, aby przybrać groby bliskich i zapalić kadzidełka. Modlą się w wielkim skupieniu, stojąc lub siedząc wokół pomników.

Musisz być mocna

Msza u sióstr franciszkanek bardzo cicha, kameralna, było z dziesięć osób,

żadnych śpiewów, żadnych ozdób. Spowiedź w pokoiku przerodziła się w długą rozmowę. Kim jestem, z kim żyję. Ksiądz miał niesamowicie przenikliwe oczy.

– Krzyż, czy też to, co my nazywamy krzyżem, to nie jest nic negatywnego, tylko część życia. Droga i siła – powiedział. – Masz być silna! – dodał.

Każdy tu nawołuje mnie do siły. Bądź silna. Musisz być mocna. Nie swoją siłą, bo człowiek jest, jaki jest, tylko Jego.

Co to znaczy – być silna?

To znaczy: idź do przodu, rób swoje, dąż do swojego celu, mimo że oprócz ciebie nikomu na nim nie zależy. Tym bardziej że jesteś w mniejszości. W wielu aspektach życia – sama. Więc jest bardziej niż prawdopodobne, że ktoś będzie próbował cię osłabić: zignorować, wyciąć, ominąć, obwinić. A ty się tym zupełnie nie przejmuj. Nie daj się. Nie skupiaj się na własnej słabości. Bądź mocna i pewna, bądź odważna.

Właśnie takie przesłanie tutejsi duchowni przekazują wiernym. Żeby przetrwać, musisz mieć wiarę jak skała.

Nadia cztery lata temu wyszła za mąż. Nie mieli dzieci.

Gdy była w trzecim miesiącu ciąży, mąż oznajmił, że zmienia religię, a wraz z nim – cała rodzina.

„Ty też masz zmienić. Inaczej o mnie zapomnij” – miał powiedzieć.

– Dlaczego?! – pytam Amny, która mi o tym opowiada.

– Jakieś sprawy biznesowe. Nie wiem. Wszyscy zmienili. On, jego rodzice, rodzeństwo.

Przypominam sobie, jak gdzieś przeczytałam, że czasem na ćuhrów mówi się „kameleony”. Pewnie nie ma statystyk, ilu z nich robi tak jak mąż Nadii, a ilu pozostaje „skalami”. W Pakistanie muzułmaninowi jest łatwiej, nie ma co do tego żadnych dyskusji. Jego decyzja nie jest przedmiotem oceny.

Ale Nadia jest jak lwica. Nie mogła zostawić swojej wiary.

Wróciła do domu matki. Urodziła córeczkę. On czasem przychodzi. Zaspokaja swoje potrzeby emocjonalne i wraca.

Nadia poszła do biskupa. Biskup poradził jej kochać go takim, jakim jest, i trwać w małżeństwie – i być wierną Chrystusowi.

A przecież na pewno znalazłyby się sposoby na odejście zgodnie z prawem kanonicznym. Nadia trwa w małżeństwie, nawet z perspektywą dożywotniej

samotności. Ma przyjaciół, z którymi otwarcie o wszystkim rozmawia, którzy ją wspierają. Jednak większość społeczności nie wie. Nadia się wstydzi.

Wydawało mi się oczywiste, że w Karaczi nie da się dostać mięsa niezgodnego z prawem muzułmańskim.

Aż kiedyś brat Peter powiedział z figlarnym uśmiechem:

– Melania czasem przyniesie kawałek wieprzowinki!

– Ale skąd?

– A, mówi, że ma dojścia.

Melania jest starszą chudą Goanką, która wychowała się dawno temu w miejscu, gdzie teraz pracują bracia – tylko że dawniej prowadziły je zakonnice. Nosi koszulę i wąskie spodnie, jest krótko ostrzyżona, wypala przy mnie kilka papierosów. Mieszka z córką. Znowu ogarnia mnie wrażenie, że nasze światy dzieli przepaść. W naszym rejonie była tylko raz, żeby kogoś uratować.

Nigdy nie pytałam, gdzie tu można kupić szynkę. Nie ma wątpliwości, że wieprzowina nie mogłaby leżeć w naszej domowej lodówce. Piwo mogę trzymać ukryte w szafie, ale na „kawałek kiełbaski” nie byłoby tu szans.

Skąd Melania to przynosi?! Czyżby ktoś w Karaczi hodował świnie?

– Tu jest umieralnia statków. W Gadani. Pracują tam chrześcijanie. I oni zabierają z kuchni szynkę na przykład!

Chcę pojechać do Gadani. Bardzo. Wasim kiedyś tam pojechał i nie przywiózł co prawda szynki, ale za to płyty z przepiękną muzyką, osobliwe sprzęty (na przykład deskę do prasowania rękawów u koszuli), stary akordeon, którego niestety nie udało się naprawić, i statyw.

Prawo o bluźnierstwie

O prawie o bluźnierstwie przeciw religii trzeba pamiętać zawsze. Artykuł 295 C głosi, że ktokolwiek słownie, na piśmie, przez przedstawienie wizualne albo poprzez przypisywanie, niedopowiedzenie, aluzję, bezpośrednio i nie wprost znieważa święte imię Świętego Proroka Muhammada (PBUH, czyli: pokój z Nim), podlega karze śmierci albo dożywotniego więzienia i grzywny. „Nie wprost” i „aluzja” – co za przestrzeń dla interpretacji! Artykuł 298 – że „ktokolwiek ze świadomą intencją zranienia czyichkolwiek uczuć religijnych cytuje jakieś słowo albo

wyduje jakiś dźwięk w obecności tej osoby, albo wykonuje jakiś gest w zasięgu wzroku tej osoby, albo umieszcza jakiś przedmiot w zasięgu jej wzroku, podlega karze więzienia lub innego pozbawienia wolności do roku lub grzywny, lub i temu, i temu”. Podobne zapisy dotyczą zniewag imienia którejkolwiek z żon albo członków rodziny Świętego Proroka, któregoś z prawowitych kalifów lub towarzyszy Muhammada. Wymiar lżejszych kar waha się od roku do trzech lat. Osobny dział prawa stanowią szczegółowe wskazówki co do kar dla członków „grupy z Qadian (Kadijan)” i „grupy z Lahore” – odłamu ahmadytów za nazywanie ich religii islamem, wezwania do modlitwy – azanem, miejsca kultu – meczetem i tak dalej[71].

W cieniu prawa o bluźnierstwie żyją, pracują i poruszają się przede wszystkim niemuzułmańskie mniejszości, ale muzułmanie również. Junaid Jamshed (wym. Dżuneid Dżamśed) jest człowiekiem sukcesu. Dla kariery piosenkarskiej porzucił pracę w lotnictwie. Był wokalistą rockowej grupy z lat osiemdziesiątych, Vital Signs, znanej tu z hitu *Dil Dil Pakistan* (1987). Od 2004 roku poświęca swoje życie religii – kojarzy się go z konserwatywnym ruchem misyjnym Tablighi Dżamat i na przykład poglądami, że kobiety nie powinny prowadzić samochodu ani w ogóle wychodzić z domu bez burki. Jest też twórcą sieci butików i marki odzieżowej „J”. Nazywa się go „burgerowym” albo „dyskotekowym” mułłą. Jamshed w 2014 roku zbluźnił przeciw żonie Mahometa, Aiszy, gdy mówił w telewizji o wadach kobiet. Partia odłamu barelwi – Sunni Tehrik – wniosła na policję zawiadomienie o popełnionym bluźnierstwie. Po tym oskarżeniu musiał uciekać z Pakistanu, żeby uniknąć więzienia. W sieci krąży film, w którym Jamshed błaga ummę – wszystkich muzułmanów – o wybaczenie, jednak wciąż do kraju nie wrócił (a przynajmniej nic o tym nie wiadomo). Na niektóre tematy po prostu się tu milczy. Łatwiej milczeć niż ważyć sto razy każde słowo. Jeśli ludzie ci nie ufają, nigdy nie powiedzą, co myślą. Zasłonią się frazesami. Wystarczy „nie taki ton”, żeby zostać skazanym. Modlimy się za muzułmanów podczas ramadanu. Mówimy na nich „bracia”. Gdy na Zachodzie dzieje się coś głupiego, na przykład ktoś chce spalić Koran albo gazeta publikuje bluźniercze obrazki, na kościołach pojawiają się oświadczenia potępiające te akty. Chrześcijanie deklarują patriotyzm, narodową więź, wyrażają solidarność ze wszystkimi ofiarami terroryzmu (według mądrych ludzi robią to, bo nie mogą się odwoływać do islamu jako czegoś, co ich łączy z większością Pakistańczyków).

W roku 1927 Brytyjczycy wprowadzili w Indiach karę za „umyślne i złośliwe czyny, które mają intencję obrażenia uczuć religijnych jakiegokolwiek klasy poprzez znieważanie jej wierzeń religijnych”. Dotyczyło to wszystkich religii i w 1947, gdy utworzono niezależne państwo Pakistan, przepis ten został utrzymany. Generał Zia ul-Haq, który rządził od 1977 roku, wniósł jeszcze kilka poprawek do praw o bluźnierstwie, w tym zapisy o bezczeszczeniu Koranu. W 1984 zabroniono nazywania członków sekty ahmadytów muzułmanami – grozi za to kara trzech lat pozbawienia wolności. W 1986 wprowadzono karę śmierci za obrazę islamu. W latach 1927–1985 do sądów trafiło dziesięć spraw o bluźnierstwo[72]. W latach 1986–2014 według danych komisji do spraw sprawiedliwości i pokoju 633 muzułmanów, 494 ahmadi, 187 chrześcijan i 21 hinduistów zostało oskarżonych o bluźnierstwo[73] i skazanych na śmierć. Nie wykonano jeszcze żadnego wyroku – wszystkie zostały uchylone lub złagodzone po apelacji. Jednak każda wzmianka o konieczności zmiany tego prawa jest w Pakistanie obarczona wielkim ryzykiem. Przypomina o tym los zamordowanego ministra do spraw mniejszości, Shahbaza Bhattiego, i gubernatora Pendżabu, Salmana Taseera, który został zabity przez swojego ochroniarza w Islamabadzie, bo walczył o złagodzenie praw o bluźnierstwie i prosił o ułaskawienie Asi Bibi. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że dzięki między innymi temu prawu życie w Pakistanie ma niespodziewany wymiar, swojski dla Polaka (szczególnie tego, który pamięta jeszcze czasy sprzed 1989 roku): przypomina nieco życie w państwie totalitarnym.

Moja żona pisze książkę

– Moja żona pisze książkę.
– Pisziesz książkę, prawda?
– Ona pisze książkę.
– Mamy dwie *masi*. A ona wkłada ubrania do pralki i pisze książkę – mówi teściowa sąsiadce.

To do sąsiadki, pocieszam się. Może to miało znaczyć, że jesteśmy fajną rodziną, którą stać na takie fanaberie?

Poczułam się jednak też, jakbym nic nie robiła. Synowa jest do pomocy w domu, tak mi nieraz dawano do zrozumienia. A u nas – *masi* pracują (ta druga została wywalona po dwóch tygodniach), pralka pierze, teściowa gotuje, a ja, świeża i wyspana, spędzam czas na przyjemnościach. Bo czy pisanie to praca?

Moja teściowa jest kruchotka, choć upartego ducha. Gdyby była silna, wredna i leniwa, mogłabym mieć do niej żal. Ale nie jest. Nie leży i nie ogląda seriali jak południowoazjatycka teściowa z tutejszych kawałów. Jest bezwzględna wobec siebie. Uważa, że o wartości kobiety stanowi jej zdolność do cichych poświęceń, i sama tak właśnie postępuje. Je ostatnia albo pierwsza, bardzo mało. Zmusza się do wstania, do modlitwy, do pracy. Czasem wali się po karku, który jej dokucza.

Czwarta, piąta albo szósta rano – siadam do pisania. Robię kawę, zbieram myśli.

Ósma – budzą się Michał i Wasim. Mycie, śniadanie dla obu, pomoc przy toalecie, po śniadaniu kąpiel. Czekam, aż Wasim pójdzie do pracy. Tak, cały czas otwarty komputer. Może uda się uszczknąć kwadrans, gdy Michał będzie oglądał bajkę.

Jednak ileż można oglądać bajkę?

Uprać. Przetrzeć podłogi i meble na mokro. W Karaczi wszystko jest zakurzone. Szybko, póki jest woda!

W Karaczi brakuje czterystu milionów galonów wody dziennie – czytam w gazecie. Galon to 3,78 litra. Woda bywa czasem raz na dwa dni po półtorej godziny. Gdy jest, jest najważniejsza. I trzeba się spieszyć. Pralka automatyczna z wdzięcznym napisem Fashionable Washer co dwie minuty i tak się wyłącza, bo cenna woda ciurka przez rurę zbyt powoli. Piorę więc ręcznie (miska z wodą, słoik z proszkiem Surf, którego reklamy widzę od sześciu lat) i wrzucam rzeczy do pralki, tylko żeby przepłukać. Wodę do bębna wlewam z wiadra.

– Mama! Baw się ze mną!

Dziecko, które zajmuje mi większość dnia, bo z różnych powodów nie było jeszcze w pakistańskim przedszkolu, to nie praca. To część losu. Na dodatek tylko jedno. Może się zająć samo sobą. Mało to dzieci biega po ulicach całymi dniami i żywi się śmieciowym jedzeniem? Albo ogląda cały dzień bajki, gra w Angry Birds na tablecie, snuje się bez celu, czasem znajdując sobie coś do roboty?

Trzy siostry bawiły się w dom. Mają braci, ale żaden nie nadawał się do roli ojca – byli za mali albo za duzi. Wpadły na pomysł, że będą trzema siostrami, które rodzice opuścili i umieścili w przytułku fundacji Edhi. A one stamtąd uciekły do Szwajcarii. Zamieszkały tam i najstarsza siostra wydawała młodszym rozkazy bardzo stanowczym donośnym głosem:

– Szybko, szybko! Kładźcie się spać! Jutro szkoła! Szybko się kąpcie! Szybko się módlcie! Szybko, kolacja! Dal ćawal (soczewica i ryż)! *Dźaldi* (szybko)!

Nie widziałam w swoim otoczeniu dorosłego, który budowałby z dzieckiem wieżę z klocków, paćkał się w farbách albo rysował dinozaury. Dom to nie przedszkole. Dziadkowie nie grają z wnukiem w szachy, nie rysują, nie skleją modeli samolotu, nie czytają książeczek, nie uczą liter, nie budują nic z klocków. Nie opowiadają bajek!

Pozostawieni z wnukami, włączają im telewizor. Czasem uczą religii.

– Kupujemy dzieciom zabawki, a dzieci same się bawią – mówi Wasim.

Żeby odciągnąć Michała od telewizora, rysuję z nim, uczę go literek, cyfr, rozmawiamy. Albo włączam mu *Było sobie życie*, które wymaga mojego

komentarza. Ale czy to praca? Męcząca? Z pewnością nie w ich oczach. To natura, a to, co naturalne, nie wymaga tyle wysiłku. Matka kocha dziecko i lubi z nim przebywać. To dla niej przyjemność.

W każdym razie po dwóch godzinach zabawy w mamę i Michałka, którzy leczą żarłacza ze spuchniętą płetwą i koparkę ze spuchniętą oponą, rysowania ryb, których nie ma (wymyślamy więc im nazwy), lub w coś podobnego, jestem zupełnie skołowana.

Przychodzi *masi*. Nie sprząta w naszym pokoju ani łazience, nie powinna ich bowiem widzieć. Jednak co chwila czegoś ode mnie chce. Jest w moim wieku, często smutna. Michał robi wszystko, żeby ją pocieszyć. Chce pomagać prac i przynosi jej wodę do picia. Dyskutujemy nad rozwieszaniem prania: jednego balkonu nie starcza dla ośmiu osób pod jednym dachem.

– *Tehri paka lo* (Ugotuj tehri) – mówi mama. Tehri to danie z ryżu i warzyw. Najbliższą godzinę spędzę z ryżem, groszkiem, cebulą i łyżką.

– *Ćiken banao! Gość nikal dija, kima paka lo!* (Przyrządź kurczaka! Wyjęłam mięso, zrób kimę, czyli danie z mielonego mięsa).

Dzielimy się tym. Mama robi dal, którego ja pilnuję. Ja robię salan, który ona pomiesza. Wszystko z rysowaniem i zabawą w tle.

Trzynasta. Dzieci wracają ze szkoły. Przypilnować, żeby umyły ręce, żeby nie marnowały wody. Podać obiad. Zmyć naczynia. Chwila przerwy, ale trzeba nasłuchiwać, bo mogą się pozabijać podczas oglądania bajki – jedno chce Burkę Avenger, drugie Oggiego, trzecie Dore[74].

Piętnasta. Bliźniaki, jak większość pakistańskich dzieci, po „świeckiej szkole” idą do medresy, która jest niedaleko. Zostajemy w domu. Siedzimy na balkonie. Przyczepiam Michała do tabletu, jednak trudno mu się dziwić, że nie lubi grać czy oglądać filmów sam – więc robimy to razem. Albo dalej rysujemy. Układamy. Czytamy. Wymyślamy historie. Gdy jest prąd, włączamy pianino. Nie mamy dokąd wyjść. Mam nie wychodzić. Pocieszające, że na dole i tak nie jest fajnie.

Siedemnasta. Zacząć gotować kolację.

Osiemnasta. Dzieci wracają z medresy. Jeśli wrócą wcześniej, bawią się z Michałem na schodach. Podajemy herbatę i coś do herbaty. Co chwila ktoś krzyczy. Skaleczył się, pokłócił, walnął, trzeba przykleić plaster. Rozsądzam spory. Rozmawiamy o tym, co się działo w szkole, o zwierzętach na podwórku, o kolegach. Zawsze jest o czym.

Dwudziesta. Kolacja.

Dwudziesta pierwsza. Przychodzi Wasim. Przed jego przyjściem powinnam się wystroić, umalować, uczesać i wygłądać świeżo. Przecież cały dzień na niego czekałam. Niestety, praktyka często odbiega od teorii. Jesteśmy razem tyle, ile się da. W końcu usypiam Michała. Pomagam mu myć zęby.

– Mama, opowiedz mi jakąś bajkę! O gąbkach.

A więc o gąbkach. Gąbka bardzo chciała się napić coli, uciekła do sklepu, bo w domu coli nie było, i niestety niechcący zbiła butelkę. Napiła się, ale wbił się w nią kawałek szkła. Bała się powiedzieć mamie.

Dwudziesta trzecia. Jeśli chcę, teraz mam czas dla siebie. Nikt mi nie broni pisać książki.

– Pisanie to dla ciebie zabawa. Idzie ci tak lekko – dobija mnie Wasim, gdy mu mówię, że trudno mi się skupić, że marzę, żeby się wyspać, wyleżeć, w ciągu dnia pójść na chwilę na spacer, nic nie robić. Albo żeby wziął Michała na cały dzień. Niania w naszej okolicy to ponoć zły pomysł. Wasim rozumie jednak, że czasem potrzebuję skupienia i wychodzimy razem do jego pracy. Dobrze i to.

Pisanie to nie wysiłek. Żadne rozwalanie łyżką góry. „Dyspozycja mozartowska, radość, jaką odczuwa się nad białą kartką papieru, lekki lot fantazji – wszystko bzdury... Nawet kiedy piszę najbłahsze opowiadanko, czuję się jak człowiek, który musi sam łopatą rozkopać Everest”[75] – twierdził Izaak Babel. Babel może rzeczywiście się męczył, poza tym kto tu miałby słyszeć o Bablu?

Czasem nie ma prądu. Dwie godziny da się znieść. Ale dziewięć? Pisanie biorą diabli. Żadna bateria tego nie wytrzyma. Zimą teść marudzi przy włączaniu generatora.

Lepiej nie pielęgnować depresyjnych myśli, przypominam sobie. Że nie dam rady, że to bez sensu, że może w ogóle nic nie ma sensu: pisanie, moje bycie tu, moje bycie w ogóle. Najbliżsi ludzie nie mają pojęcia, co przeżywam. I nie można ich o to winić ani posądzać ich o złą wolę. Skąd mają to wiedzieć? Po prostu, ludzka kondycja. Wystarczy spojrzeć na moje sąsiadki czy kobiety z rodziny Wasima. Jeśli zacznę rozmyślać nad tym, jak to nikt mnie nie rozumie, jaka jestem zmęczona i jak na pewno nic mi się nie uda, tylko się nakręcę. Wtedy się naprawdę nie uda. A mam pisać – zacząć i skończyć. Więc po dwudziestej trzeciej robię kawę i siadam. Albo o trzeciej czy czwartej w nocy. Jeszcze przed pierwszym azanem.

To, co na zewnątrz, jest warte wielu poświęceń. Myśl, ile musiałabym się namęczyć, żeby przyjechać tu na badania terenowe (etnograf zawsze myśli o badaniach terenowych!), dodaje mi otuchy. W jakimś sensie mam szczęście, mogąc uczestniczyć w tym, co się tu dzieje. Próbować to zrozumieć i nie móc, ale to przecież normalne – sam wysiłek ma wartość. Wciąż trwać w wyzwaniu, mocować się i nieustannie ćwiczyć uwagę. Szukać tego, co piękne wśród tej brzydoty (i smutku w tym, co piękne – często ludzie okryci najpiękniejszymi kolorami mają w sobie mnóstwo smutku), tego, co dobre, mierzyć się ze sobą i własnymi słabościami. Pakistan to dla mnie jedno z miejsc, gdzie widać prawdę o człowieku, o tym, co w ludziach szlachetne, i tym, co okrutne. Wielka lekcja pokory i delikatności. Z perspektywy wiary życie tu jest nieustannym szukaniem Boga ukrytego. Piękna tu bardzo dużo. Można je znaleźć i w Karaczi, i poza – przyroda tu koi duszę. Niektóre miejsca urzekają. Kolory, wzory, sceny. Gdy przyjeżdżam na Zachód, wydaje mi się, że ktoś wycisnął z życia wszystkie kolory i smaki, a także serdeczną gościnność (co oczywiście też jest stereotypem, bo i na Zachodzie ludzie mają serca).

W tym niemożliwym, trudnym i często przerażającym świecie właściwie wszystko jest możliwe. Nigdy nie wiadomo, co kryje się za pakistańską zasłoną. Nie można jej dowierzać. To, co na zewnątrz, to tylko fasada, za którą może być zupełnie co innego, niż się spodziewam. Mało który stereotyp ma szansę się uchować. Naprawdę chcesz boczku? Znajdzie się. Kilogram! Kaszę gryczaną – proszę bardzo. Płytę z żydowską muzyką – masz. Chcesz pokazać nogę – i na to jest miejsce. Chcesz nakarmić dziecko piersią w miejscu publicznym? Zaraz ktoś ci to umożliwi, choć nie ma żadnych ułatwień. Opinia, że Pakistańczycy mają coś wspólnego z Cyganami, to stereotyp, który bywa użyteczny. Są bowiem mistrzami prowizorki i stwarzania przytulności w kilka minut i dosłownie z byle czego. Myślisz, że wszystkie kobiety poza tobą to sponiewierane strażniczki patriarchy – mylisz się. Myślisz, że nikt cię nie rozumie i przyjechałaś z innej planety, a wtedy słyszysz od znajomego:

– Przecież on był Polakiem!

– Kto?

– Czesław Miłosz! *Zniewolony umysł* to jedna z najlepszych książek na świecie! Mam ją zawsze w zasięgu ręki. Pamiętasz, o Ketmanie, o tych

czterech typach intelektualistów! Znam ją na pamięć.

Zanim wyjechałam do Pakistanu, chciałam mieszkać w Rosji. Rosja to taka prawda o życiu, myślałam. A więc gdzieś na Syberii albo w tej „etnograficznej” Rosji – europejskiej, w *głubince*. W zapyziałym miasteczku, w drewnianym domu pomalowanym na niebiesko albo na blokowisku. I – koniecznie – żeby wszędzie łążyły kury. Chciałam chodzić do bani, kupować rzeczy na targach, gotować z tamtejszych produktów. Zapraszać znajomych na jarzynową sałatkę oliwje albo płow, pić czaj z zefirkami. Słuchać rosyjskiej muzyki, czytać poetów i zwyczajnie żyć w tamtych dźwiękach, kolorach, smakach, zapachach, myślach. Z całym okropieństwem i okrucieństwem tamtego świata. Z wiarą, że można zachować wewnętrzną wolność przy zewnętrznym ucisku – tym bardziej że ucisk rosyjski zawsze wydawał mi się pełen niedoróbek i wolnych przestrzeni.

Rosja, może na szczęście, nie była mi pisana. Spełniło się jednak moje marzenie o blokowisku i wszędobylskich kurach, o nieludzkim albo właśnie przejmująco ludzkim miejscu na ziemi. Pod naszym blokiem skaczą kozy, przechodzi stado owiec. Sąsiedzi trzymają koguty na balkonach, więc na brak piania nie mogę narzekać. Mogę karmić koguta sąsiadów w każdej porze dnia. W jakimś sensie Pakistan to również kraj uciskany: nękany przez różne problemy i idee, które sprawiają, że można tu reagować na wydarzenia podobnie jak w państwie totalitarnym, ale wolnych przestrzeni jest tu bardzo dużo.

Gdybym nie spotkała Wasima i nie przyjechała do Pakistanu, nie byłoby tego wszystkiego. Nie poznałabym wielu pięknych ludzi. Spotkania z nimi, świadomość, że właśnie tu i teraz istnieją, żyją, pracują – to wszystko dodaje otuchy i nadziei. Skoro oni mogą, mogę też ja. Przynajmniej próbować. Bo dlaczego nie?

Warszawa, Karaczi, Islamabad, maj 2014 – maj 2015



Sindh. Jedna z najczęściej widzianych scen: podróż wózkiem zaprzęgniętym w osły.



14 sierpnia – Dzień Niepodległości, święto narodowe Pakistanu. Mauzoleum, w którym jest pochowany Muhammad Ali Jinnah – ojciec narodu.



Dzieci są bezbronne, bardzo podatne na uroki. Rzemyk na nóżce ma je chronić przed złym spojrzeniem.



Wybór sygnetu jest trudny. Wielu mężczyzn nosi srebrne pierścienie (złoto według islamu jest zakazane dla panów) z kamieniami, które znawcy dobierają indywidualnie, na przykład na podstawie daty urodzin, imienia, imienia matki. Pierścień ma odpędzać pecha i przyciągać pomyślność.



Sehwan Sharif, boczna uliczka. Tu można zjeść omlet (stąd jajka i drobno pokrojona cebula z czili i kolendrą), ale też kupić ozdoby na ścianę (dłonie w modlitewnym geście, a na nich szahada – muzułmańskie wyznanie wiary, czy replikę najświętszego miejsca islamu).



Sklep podczas ramadanu.



Suszone owoce uchodzą za „gorące”, ale są bardzo lubiane, szczególnie zimą.



Daktyle – ukochane owoce proroka Muhammada – to nimi przerywa się post podczas ramadanowej kolacji. W tle butelki z syropem Rooh Afza – nieodzownym składnikiem wielu pakistańskich deserów.



Aluminiowe naczynia wciąż są najpopularniejsze.



Układanie owoców i warzyw to prawdziwa codzienna sztuka.



Gdy pada deszcz, gdy jest zimno albo gdy nadchodzi ramadan, sprzedawcy pakorów i samosów mają najwięcej pracy.



Kuchnia uliczna to domena mężczyzn (na pierwszym planie ciasto na pakorę w aluminiowym garnku).



Kupowanie ubrania na uroczystość. Czasem, gdy wybór się przedłuża, sprzedawcy przynoszą klientom herbatę.



Targ ze strojami wyjściowymi. Najczęstszą okazją, podczas której się je zakłada, są wesela.



Śirwani, czyli tradycyjny męski strój weselny – coś, czego Wasim unika jak ognia.



Pantofelki eleganckiej kobiety muszą lśnić.



Ramadanowa promocja w sieci fast foodów OPTP: One Potato, Two Potatoes.



Iftarowa propozycja KFC dla pakistańskich rodzin, w ramadanie ubranych szczególnie starannie.



Kurbani (ofiara) wciśnięte między samochody pod blokiem to zwyczajna scena w czasie Święta Ofiarowania – Id ul-Azha – nazywanego też Wielkim Idem (Bara Id) lub Kozim Idem (Bakra Id).



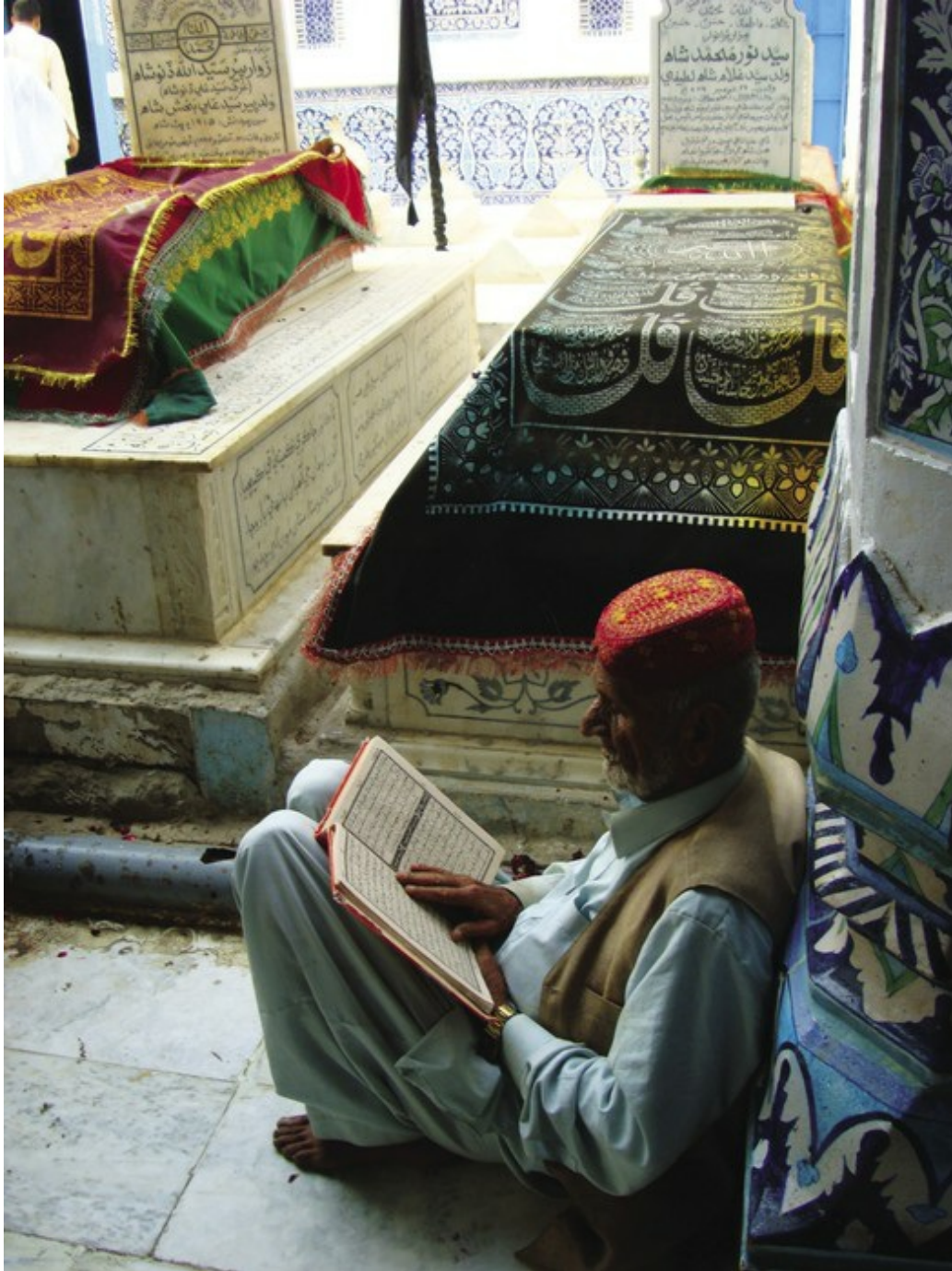
Stado owiec i kóz, które codziennie przechodziło pod naszym blokiem, prowadzone przez rodzinę pasterzy. Wasim mówi, że pochodzą z jednego z pobliskich wzgórz (w granicach miasta) zasiedlonych nielegalnie.



Id ul-Fitr, park Sił Powietrznych w Karaczi. Kobiety czekają, aż ich mężczyźni i dzieci zejdą z karuzeli.



Sehwan Sharif. Przy grobie świętego wrzeszczy potargana dziewczyna w czarnej sukni.



Bhitshah (świątynia Śaha Abdula Latifa Bhattai). Cicha modlitwa między grobami rodziny świętego.



Plaża to miejsce pikników i spotkań w jednopłciowym gronie, ale też romantycznych spacerów.



Tak właśnie wiesz się pranie, nawet przy najruchliwszych ulicach.



Kunda, czyli kable nielegalnie podłączone do legalnego źródła prądu. Jeden z kilku powodów, dla których w Karaczi tak często gaśnie światło.



Balkon w Hajdarabadzie, prawdopodobnie jeszcze z czasów obecności brytyjskiej na subkontynencie. Takich śladów przeszłości jest tu wciąż sporo, a tropienie ich to fascynująca przygoda.



Front domu z religijnymi napisami w języku arabskim. Najczęściej widać proste *mašalla* lub szahadę, tu bardziej wyszukany napis – werset z Koranu.



Toaleta w stylu zachodnim, z muzułmańskim prysznicem i kranem, dzięki któremu można nalać wody do loty.



Plastikowa lota – naczynie do podmywania się (lewą ręką, oczywiście), absolutnie konieczne w pakistańskiej toalecie.



Kuchnia pełna wiader z mąką, ryżem i cukrem oraz aluminiowych naczyń. Na kuchence – *karahi* (naczynie o grubych ściankach, do gotowania salanu i smażenia w głębokim tłuszczu). Kuchenka ma pięć palników, równie powszechne są trzypalnikowe. Czteropalnikowych nie ma w sprzedaży.



Tawa, czyli płaska patelnia, bez której trudno sobie wyobrazić pakistańską kuchnię. Smażymy na niej roti, prażymy warzywa i przyprawy, podgrzewamy chleb.



Huczy i wieje. Wiatrak w Karaczi kręci się przez prawie cały rok.



Kotary, sztuczne kwiaty, dywany, miękkie sofy, niski szklany stół – *drawing room*.



Sufit i oświetlenie w naszym domu są bardzo podobne do tego przedstawionego na zdjęciu.



Pakistańczycy chętnie umieszczają na ścianach akcenty religijne: nie są to oczywiście obrazy, ale w każdym niemal domu znajdzie się przynajmniej kaligrafia z werselem z Koranu lub imieniem Boga i proroka czy zdjęcie Khana Kaaby – najświętszego miejsca islamu.

Przypisy

- [1] Skoncentrowane naturalne perfumy na bazie olejków eterycznych, uwielbiane na Bliskim Wschodzie, ale też m.in. w Pakistanie.
- [2] *Bhabhi* (dosł. bratowa) – jako że przyjaciele w Pakistanie często tytułują się braćmi, do żon i partnerek swoich przyjaciół zwracają się „bratowo”.
- [3] Czyli tradycyjny – tunika, spodnie, szal – przeciwstawiany strojom „zachodnim”.
- [4] Rodzinie połączonej, czyli nie tylko wielopokoleniowej, lecz także poszerzonej „na boki”: składającej się z rodziców, żonatych synów z rodzinami, niezamężnych córek, a często także dziadków i kuzynów rodziców.
- [5] Herbata gotowana w mleku z dodatkiem cukru i kardamonu bądź imbiru lub z większym asortymentem przypraw.
- [6] Potrawa, którą w nieco zmodyfikowanej postaci znamy w Europie jako pilaw.
- [7] Okrągła płaska patelnia, na której robi się roti albo praży warzywa, żeby zdjąć z nich skórkę.
- [8] Za: sweatypilgrims.com/2013/02/15/so-whats-pakistan-like-warmth (dostęp 6 czerwca 2014).
- [9] Rdz 18,2–8, według Biblii Tysiąclecia.
- [10] Reformatorski ruch muzułmański zapoczątkowany w 1927 r. w Indiach, mający dziś wielu zwolenników m.in. w Pakistanie.
- [11] Czuły sposób tytułowania chłopców.
- [12] Sprzątacze przyszedł!
- [13] Klasyczny sanskrycki traktat, datowany między II w. p.n.e. a II w. n.e. Zawiera m.in. bramińską hierarchiczną wizję społeczeństwa, zakładającą bardzo nierówne traktowanie najniższych warstw. Autorem polskiego przekładu pod tytułem *Traktat o zacności* jest Maria Krzysztof Byrski.
- [14] John O’Brien, *The Unconquered People. The Liberation Journey of an Oppressed Caste*, Oxford University Press 2012, s. 43, przypis 104.
- [15] Sura *Zastawiony Stół – Al Maida*, 5,5. Źródło: www.poznajkoran.pl/koran/5.
- [16] To jedna z najbardziej prestiżowych warstw społecznych. Islam nie uznaje kast, jednak w Pakistanie podział między grupami społecznymi jest bardzo ostry i może przypominać układ kastowy. Często jestem pytana o moją kastę albo ktoś wciąż przedstawia mi swoją.
- [17] Ogłoszenia zaczerpnęłam z „Dawn”, najpoczytniejszego anglojęzycznego dziennika w Pakistanie.
- [18] Veena Das, *Masks and Faces. An Essay on Punjabi Kinship*, „Contributions to Indian Sociology” 1976, t. 10, nr 1, s. 9–10.
- [19] Tamże, s. 10.
- [20] Tamże, s. 10.
- [21] Tamże, s. 11.
- [22] Tamże, s. 3.
- [23] Fragment mojego bloga.

- [24] To wypowiedź, którą znalazłam na stronie *Humans of Karachi*.
- [25] Cytat z broszurki o islamie, którą podarowała mi mama koleżanki.
- [26] Czyli ktoś z *burger class* – klasy wyższej, która gdy czuje lekki głód, bez zastanowienia idzie do amerykańskiego fast foodu i wydaje tam mnóstwo pieniędzy.
- [27] Veena Das, *Masks and Faces...*, s. 11.
- [28] Banbhore – stanowisko archeologiczne 65 km na wschód od Karaczi. Był to port w delcie Indusu, który działał między 100 r. p.n.e. a 1200 r. n.e. Niektórzy badacze mają nadzieję, że jest to historyczne miasto Debal, do którego według przekazów miał przyplłynąć Mohammad bin Qasim – a więc pierwsze miejsce kontaktu północy subkontynentu z islamem.
- [29] Bardzo podobną sytuację w pakistańskim kontekście pokazała dr Fouzia Saeed w książce *Working with Sharks. Countering sexual harassment in our lives*, wydawnictwo Sanjh, Lahore 2012.
- [30] Grupa etniczna z Hindukuszu, na południe od Ćitral na północy Pakistanu. Wyznaje częściowo szyizm, a częściowo starą religię politeistyczną. Kalaszowie wierzą, że wywodzą się od Aleksandra Wielkiego.
- [31] Agencji rządowej, która prowadzi rekrutację urzędników państwowych.
- [32] Czyli przednim krańcu koszuli. Ma on znaczenie symboliczne, bo według tradycji narzuca się go na kogoś, żeby go ochronić. Stąd wywodzi się też gest będący symbolem poddaństwa czy służby: ktoś, kto rzuca się innej osobie do damanu, prosi ją o pomoc i opiekę.
- [33] Tu: to, co zalecane i pogłębiające wiarę, ale nieobowiązkowe.
- [34] Więcej o o nieczystym mleku i skalanych ubraniach w Pendżabie: Jo Bell, *Dealing with Dirt and the Disorder of Development. Managing Rubbish in Urban Pakistan*, „Oxford Development Studies” 2006, 34 (1), s. 81–97.
- [35] Pisownia *polly clinic* pochodzi z pakistańskiej wersji angielskiego, pełnej fantazji i brawury, połączonych z nieznanymi zasadami pisowni, składni i tak dalej. Im bardziej tradycyjna dzielnica, tym ciekawsza pisownia.
- [36] Źródło: <http://edition.cnn.com/2014/03/01/world/asia/pakistan-attack> (dostęp 12 czerwca 2015).
- [37] Pir (słowo pochodzi z perskiego) to inaczej „starzec” lub „święty”, suficki przewodnik duchowy, który może udzielać porad w różnych trudnościach, dostał zezwolenie od swojego nauczyciela (murszida) na wypisywanie *tawizwala pani* itd. Może mieć swoich uczniów i cieszy się wielkim szacunkiem, w Pakistanie wyrażanym na przykład kłanianiem się do stóp.
- [38] Veena Das, *Life and Words. Violence and the Descent into the Ordinary*, University of California Press 2006, s. 185.
- [39] Anita Aijaz, Uzma Ambareen, *Depression in a Pakistani Woman*, „American Journal of Psychiatry”, 2014, t. 171, s. 729–731 (<http://ajp.psychiatryonline.org/doi/abs/10.1176/appi.ajp.2013.13111548>).
- [40] Źródło: <http://tribune.com.pk/story/692206/health-concerns-aman-foundation-hopes-to-alleviate-depression-mental-disorders> (dostęp 12 czerwca 2015).
- [41] Tego dnia talibowie pakistańscy zaatakowali Army Public School, szkołę prowadzoną przez armię pakistańską w Peszawarze. W ataku zginęło 145 osób, w tym 132 dzieci.
- [42] Barbara Kirshenblatt-Gimblett, *Playing to the Senses. Food as a Performance Medium*, „Performance Research. A Journal of the Performing Arts” 1999, t. 4, nr 1. Fragment po polsku można znaleźć na blogu stosowana.wordpress.com (dostęp 22 czerwca 2015).
- [43] Cytat z foldera ośrodka szkoleniowego Tulip.
- [44] Holi i Diwali – święta hinduskie (hinduistyczne). Milad un Nabi – święto narodzin proroka Mahometa.
- [45] Claude Lévi-Strauss, *Smutek tropików*, Warszawa 1964, s. 122 (cytat za: Clifford Geertz, *Dzieło i życie*, Warszawa 2000, s. 61).
- [46] Źródło: <http://www.aaj.tv/2014/06/'bhatta-khori'-in-karachi-a-money-making-business> (dostęp 7

- kwietnia 2015).
- [47] Fragment mojego bloga.
- [48] Źródło: <http://www.thehindu.com/thehindu/lr/2002/12/01/stories/2002120100460600.htm> (dostęp 22 czerwca 2015).
- [49] Daniyal Mueenuddin, *Nawabdin Electrician*.
- [50] Pomfret (*Pampus argenteus*) – niewielka ryba z rodziny żuwakowatych, okoniokształtnych, płaskich, rodzaj „ryby maślanej”.
- [51] Pakistańska flaga jest ciemnozielona, z białym pasem z lewej strony. Na ciemnozielonym (kolor proroka islamu) polu widnieją biały półksiężyc z gwiazdą. Biały pas symbolizuje niemuzułmańskie mniejszości.
- [52] Allah jest wielki, nie ma boga prócz Allaha, Muhammad jest wysłannikiem Allaha, przychodźcie na modlitwę, przychodźcie ku zbawieniu, Allah jest wielki, nie ma boga prócz Allaha.
- [53] Przykłady pochodzą z: Abdullah bin Hamoud al Furaih, *Daily practices of the Prophet (pbuh)*, Darussalam 2014.
- [54] *Salam* – pokój, *dzi* – sufiks dodawany na znak szacunku.
- [55] <http://www.dawn.com/news/1167315/mithi-where-a-hindu-fasts-and-a-muslim-does-not-slaughter-cows> – (dostęp 5 marca 2015).
- [56] Rozmawiałam na początku studiów z katolikami i prawosławnymi w ukraińskich wsiach, a lektury dotyczyły wizerunku obcego.
- [57] *Nabi* – „prorok” w języku hebrajskim i arabskim.
- [58] Sunni Tehreek – grupa założona w 1990 roku i promująca interesy ruchu barelwitów, który jest wyznawany przez większość Pakistańczyków. Ma w Karaczi wielu zwolenników.
- [59] „Niech pokój i błogosławieństwo Boga będzie z nim” – arabskie wyrażenie, które muzułmanie dodają zaraz po wspomnieniu proroka Mahometa.
- [60] Pakistański odpowiednik polskiego: oho lub angielskiego wow.
- [61] Źródło: <http://www.siasat.pk/forum/showthread.php?196530-Man-beaten-in-Karachi-only-because-he-was-eating-in-Ramadan> (dostęp 22 czerwca 2015).
- [62] <http://www.dawn.com/news/308558/karachi> (dostęp 22 czerwca 2015) oraz wystąpienie Wasima Frembgena na konferencji o Karaczi w Arts Council w 2014 roku.
- [63] Szyicki znak w kształcie dłoni, oznacza „piątkę” – pięcioro członków rodziny proroka: Muhammad, Fatima, Ali, Hasan, Husajn.
- [64] Muzułmańska „jednostka modlitewna” w czasie obowiązkowej modlitwy *namaz* – jeden pokłon do pasa (*ruku*) i dwa pokłony do ziemi (*sadźda*) oraz wypowiedane w tym czasie słowa.
- [65] Wymyśliłam termin *odmeczetowanie* jako analogiczny do używanego w kontekście chrześcijańskim *odkościelnienia*, które jest według niektórych socjologów religii jednym z wymiarów sekularyzacji.
- [66] Shahzeb Jillani, *The search for Jinnah’s vision of Pakistan*; źródło: <http://www.bbc.com/news/world-asia-24034873> (dostęp 22 czerwca 2015).
- [67] Lokat uchodzi w moim domu za pendżabski, bo w Pakistanie występuje od Pendżabu wzwyż. Po polsku ma kilka nazw: nieśplik japoński, kosmatka japońska, miszpelnik japoński, groniweł japoński. Jego bordowe pestki są trujące. Można z niego robić dżemy, galaretki i czatneje. Ale nie ma szans, żeby pendżabski owoc przyjął się w biharskim domu ani na świeżo, ani jako galaretka.
- [68] „Moja babcia” już nie żyje. Poznałam ją w prezbiterium, gdzie modliła się wspólnota goańska. Babcia nosiła jasne sari, w zimie narzucała na sari sweterek. Włosy upinała w koczek. Zawsze po mszy podchodziła do ołtarza i obrazów. Gdy wracała, podchodziła do mnie, bo zostawałam się pomodlić, głaskała mnie po głowie i policzkach i robiła mi znak krzyża na czole. Miała na imię Rut. Jej obecność niesamowicie mi pomagała.
- [69] Fragment mojego bloga.

- [70] W czasie II wojny światowej w Karaczi utworzono dwa obozy przejściowe dla polskich uchodźców ze wschodnich ziem RP zagarniętych przez Związek Radziecki w 1939 roku, głównie kobiet i dzieci. Przez te miejsca przewinęło się około 21 tysięcy osób.
- [71] Ahmadyci reprezentują odłam islamu, ale prawo pakistańskie nie traktuje ich jak muzułmanów i zabrania określać ich w ten sposób.
- [72] Źródło: <http://tribune.com.pk/story/99414/the-history-of-the-blasphemy-law> (dostęp 30 stycznia 2015).
- [73] Źródło: <http://www.bbc.com/news/world-south-asia-12621225> (dostęp 30 stycznia 2015).
- [74] Oggy – bajka o kotku imieniem Oggy, Dora – amerykańska bajka o dziewczynce imieniem Dora, Burka Avenger – pakistańska bajka o nauczycielce w burce zwalczającej różnego rodzaju zło (religijnych radykałów, skorumpowanych polityków itd.).
- [75] Za: Jerzy Pomianowski, *Posłowie*, w: Izaak Babel, *Opowiadania odeskie*, KiW 1961.

ZADUCH

REPORTAŻE O OBCOŚCI



Długo czułam się bezdomna...

Sąsiada nie mam ani tu, ani tam.

Żyję w lęku...

Chciałam uciekać. Jak najdalej...

Nie stać mnie na tanie rzeczy.

Jestem chyba najstarszą eurosierotą na świecie.

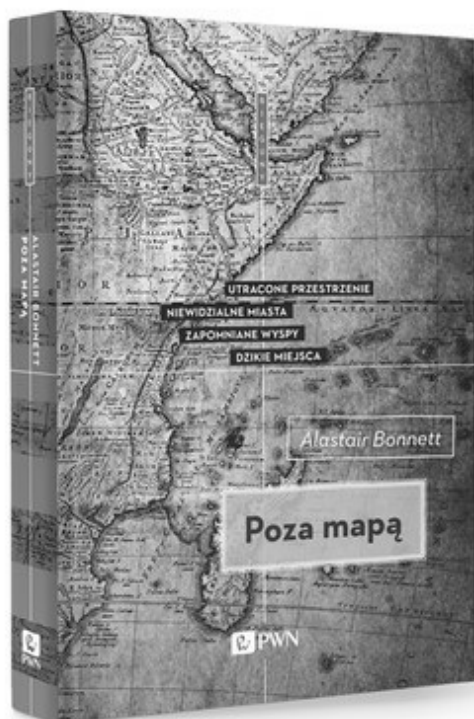
PREMIERA: WRZESIEŃ 2015

Duszne historie. Mam na myśli tytułowy zaduch i duszę, którą otwierają bohaterowie Marty Szarejko. Młodzi ludzie, którzy ruszyli ze wsi i miasteczek do miast. W poszukiwaniu wykształcenia, pracy, lepszego życia, powietrza. Pogardliwie nazywani „stoikami” często wykazują więcej energii i uporu niż miejscowi, bo gra toczy się o to, czy uda im się znaleźć swoje stałe miejsce w nowym środowisku, często bardzo odmiennym od rodzinnego. Ta decyzja ma swoją cenę. Jest nią zaburzenie lub zerwanie więzi z rodziną, utrata pierwszego języka, wyobcowanie, poczucie winy. Małe przykrości, nieporozumienia, akty wykluczenia, niezręczności są udziałem bohaterów Szarejko i tam, w domu dzieciństwa, i tu, gdzie teraz mieszkają. Autorka z taktem i wrażliwością daje głos młodym Polakom, którzy borykają się ze zmianą sposobu i stylu życia.

Joanna Bator



Poza mapą



UTRACONE PRZESTRZENIE

NIEWIDZIALNE MIASTA

ZAPOMNIANE WYSPY

DZIKIE MIEJSCA

Już w księgarniach!

www.dwpwn.pl

 PWN

www.pwn.pl

W serii Bieguny dotychczas ukazały się:

Jake Adelstein, **ZEMSTA YAKUZY**. Mroczne kulisy japońskiego półświatka

Anna Badkhen, **KAŁASZNIKOW KEBAB**. Reportaże wojenne

Alastair Bonnett, **POZA MAPĄ**

Michael Booth, **SUSHI I CAŁA RESZTA**. Wszystkie smaki Japonii

Anthony Bourdain, **ŚWIAT OD KUCHNI**. W poszukiwaniu posiłku doskonałego

Bryan Bruce, **HISTORIA SMAKU**. Jak warzywa i przyprawy budowały fortuny, wywoływały wojny i wpędzały ludzi w szaleństwo

Tim Butcher, **RZEKA KRWI**. Podróż do pękniętego serca Afryki

Nominacja do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za Reportaż Literacki

Tomasz Cichocki, **ZEW OCEANU**. 312 dni samotnego rejsu dookoła świata

Claire i Mia Fontaine, **KĄPIEL ZE SŁONIEM**. Matka i córka w podróży dookoła świata

Henry Hemming, **KIERUNEK BAGDAD**. Jak zostałem włóczęgą, terrorystą i szpiegiem na Bliskim Wschodzie

Kari Herbert, **CÓRKA POLARNIKA**. Zapiski z krańca świata

Kari Herbert, **ŻONY POLARNIKÓW**. Siedem niezwykłych historii

Merle Hilbk, **CZARNOBYL BABY**. Reportaże z pogranicza Ukrainy i Białorusi

II nagroda w konkursie Ambasador Nowej Europy

Joanna Irzabek, **INDIE SPÓŁKA Z O.O.**

Dom Joly, **WITAMY W PIEKLE**. Wyprawy do miejsc odradzanych przez biura podróży

Nicholas Jubber, **TAJEMNICA PREZBITERA**. Śladami papieskiego emisariusza z Wenecji do Etiopii

Peter Kerr, **POMARAŃCZE W ŚNIEGU**. Pierwsza zima na Majorce

Radek Knapp, **INSTRUKCJA OBSŁUGI POLSKI**

Igor T. Miecik, **KATIUSZA Z BAGNETEM. 14 sekretów ZSRR**

John Mole, **BYŁEM ZIEMNIACZANYM OLIGARCHĄ. Jak prowadzić biznes w Rosji i nie zwariować**

Katarzyna Pawlak, **ZA CHINY LUDOWE. Zapiski z codzienności Państwa Środka**

Boris Reitschuster, **RUSKI EKSTREM. Jak nauczyłem się kochać Moskwę**

Boris Reitschuster, **RUSKI EKSTREM DO KWADRATU. Co zostało z mojej miłości do Moskwy**

Jarek Sępek, **W 80 DNI DOKOŁA ŚWIATA (NIE WYJEŹDŻAJĄC Z LONDYNU)**

Emilia i Szymon Sokolikowie, **DO SANTIAGO. O pielgrzymach, Maurach, pluskwach i czerwonym winie**

Wojciech Śmieja, **GORSZE ŚWIATY. Migawki z Europy Środkowo-Wschodniej**

ŚWINKI NA PATYKU. Najlepsze opowiadania podróżnicze Lonely Planet

Jeffrey Tayler, **MORDERCY W MAUZOLEACH. Między Moskwą a Pekinem**

UCHO NA ŚWIAT. Wywiady Katarzyny i Krzysztofa Świdraków

Eric Weiner, **GEOGRAFIA SZCZĘŚCIA**

Eric Weiner, **POZNAM SYMPATYCZNEGO BOGA. Moje flirty z istotami wyższymi**

Tony Wheeler, **PRZEKLĘTA ZIEMIA. Wyprawy do miejsc zatraconych, często nieprzyjaznych i trudnych do zrozumienia, ale może właśnie dlatego tak ciekawych i prowokujących**

Paulina Wilk, **LALKI W OGNIU. Opowieści z Indii**

Bursztynowy Motyl
– Nagroda im. Arkadego Fiedlera

nominacja do Nagrody
Literackiej Nike

Anna Wojtacha, **KRUCHY LÓD. Dziennikarze na wojnie**